

GUSTAW DANIŁOWSKI

NOWELE

Paltocik

Pani Katarzyna P., znana w ściślejszych kołach pod szanownym pseudonimem Janiny, zapłaciła z westchnieniem dwie szóstki za brakującą marką, zbliżyła się do lampki i rozpieczętowała zaadresowaną bladym, wodnistym atramentem kopertą. Data była z przed kilku tygodni — nagłówek: Kołpaszowo, Narymskij kraj. „Kochana Kasiu! Piszą do ciebie, żeby cię zapytać, jak ci się powodzi w owym Krakowie; jak się mają baki i czy jesteś już w zajęciu. Ja tu czytałem w jednej gazecie, co ją przysłali z Irkucka, że te stany mają być skasowane i ci, co dostali za granicą, bądą mogli wrócić. Jeżeli to prawda, to machaj -nazad: w Warszawie łatwiej ci się będzie prze- kołatać, póki co. Może cię aawet przyjmą na „Labor”, bo tak Malować kwiaty, jak ty, nie każda potrafi. U nas tu śnieg zwałił i mróz siarczysty, a żeśmy się wydarli z ubrania, siedzimy pod piecem i turbujemy się, co dalej będzie. Podobao za te ostatnie nieporządki mają nam „zbawić kormowoje”, to też radzimy, jak mamy sobie postąpić I Przybył nam do kompanii jeden z naszych, pamiętasz, ten, zezowaty z Łodzi. Rad jestem, bo swój, a reszta, choć niezłe chłopcy, ale straszne esdeki i dogryzały mi od socjal-patryjotów, a ja choć mocnym w rękę, ale ciężki na gębę. Teraz nam we dwóch łatwiej. Przy* tym ten z Łodzi gada, że nasi teraz górą i sami jedni robią ruch, a inni opuścili uszy i poszli całkiem do luftu. Swoją drogą, choć się kłócimy, „trzymamy sztamę”, jako żeby była solidarność.

„Jużem teraz dokumentnie obliczył, że wystarczyłoby 40 blatów... Gdyby można gdzie wytrzasnąć tó już wie\$z co... A chciałbym. Pięć lat — to nie w kij dmuchał... Cni mi się okrutnie i do swoich i do ciebie, babo moja, też. Ucałuj daieciaki, odpisz, a Jasiowi powiedz, że, jak ci się będzie sprzeciwiał, to mu sprawię wały”.

Jan^

— Czterdzieści rubli — zastanowiła się Janina — • z górą 100 koron. Bagatela 1 — i, jakby pragnąc obliczyć swe fundusze, pociągnęła ókiem po izbie, a właściwie sklepionej piwnicy z małym od ulicy podłużnym okienkiem, wzniesionym o parę cali nad chodnikiem. Prawie połowę ?uteryny zajmował komin i dymiąca parą bal ja resztę przestrzeni — podparte paką łóżko i dwa zydle, na których leżąca deska do prasowania zastępowała stół. Łaehy trzeba

MIE NISZCZYĆ KSIĄŻEK było wieszac w sionce, od których prowadziły schodki aa górę, zaopatrzone w drzwi z kwadratową szybką. Za tę stancję oraz prawo używania góry, niezbędnej przy jej zajęciu, Janina płaciła dwa guldeny tygodniowo, drząc przed każdym terminem, gdyż gospodarz tej kamienicy, składającej się z samych przybn- dówek, nie znał pardonu i momentalnie wyrzucał niewypłacalną hołotę.

— Czterdzieści rubli! — powtórzyła, ścinając w ironiczny, gorzki uśmiech wargi, i zamyśliła się o tych czasach, gdy wraz z mężem zarabiała niemal tyle tygodniowo, ona przy malowaniu emaljowanych naczyń na Laborze, on jako ślusarz przy filtrach. Mieszkali wtedy

w dwóch przyzwoitych pokojach z kuchnią, miała dywanową otomanę, przy oknach firanki, trzymała do dzieci „szturmaka”, nosiła porządną bieliznę i najmowała babę do prania. A teraz...

Poruszyły się w niej wszystkie zgryzoty, przeżyte cierpienia, zawrzał głucho bezsilny gniew. Zanurzyła zawinięte po łokieć ręce w balję i niemal z wściekłością zaczęła trzeć szmaty, wdychając smrodliwą parę, gryzące wyziewy mydlin, chlorku i sody, które wyjadały z jej czarnych, 'płonących gorączkowym ogniem oczu ostre, jak szpilki, łzy.

Umiała znieść mężnie i z godnością wszystkie perypetie niedoli, tym cięższe, że urodziła jej się w celi Julcia, ale tu emigracyjna nędza zżerała ją, jak rdza. Widok więdnących w piwnicy dzieci zatruwał

rozpaczą; tysiączne dotkliwe upokorzenia buntowały do podstaw, hardą duszą, wprowadzając ją w stan i gorączkowej szarpaniny i ustawicznej niemal irytacji.

Czuła, że robi się zła, opryskliwa, rozdrażniona, ordynarnie wymyśla, szturcha o byle co flzieci, najwięcej zaś obrywa niegdyś oczko w głowie, a dziś "i najwięcej pokrzywdzony Jaś.

Julce bowiem, leżąc w powijakach na łóżku, 3 wystarcza do szczęścia sucha pielucha, butelka ze smoczką, papka bułki w szmatce. Dwuletni Staś, jak siadł od tygodnia na kuferku i uwiązał do porę- ' r czy łóżka tasiemkę, cały dzień, cmokając i przytupując nóżkami, do Warszawy jedzie i, gdyby dostał jeszcze bat, byłby zupełnie zadowolony ze swej sytuacji.

Co innego Jaś. Sześciolatek już myśli i pamięta: pamięta spacer do Łazienek, picie wody przy okrągłaku z miętowym piernikiem, pamięta sprężynowego bąka, pajaca, bijącego w talerze, jarzącą się choinkę, baszyk, ciepłą jesionkę, zabawę w śnieżki i ślizgawkę po rynsztoku, której właśnie nadeszła pora. Korzystać jednak z tej uciechy nie może. Ma czapkę włóczkową, wcale niezłe buty, ale' brak mu palta: w lustrynowej zaś kurtce, jedynym ubraniu, zabytku lepszej przeszłości, matka go nie wypuszcza, w obawie choroby, Ictórabym się stała ostatecznym zarżnięciem całej rodziny.

To też Jaś nudzi się śmiertelnie, tłucze się po izbie, jak uwiązany ptak i wiecznie coś zmagstruje: pluł póty na lampę, patrząc, jak szkiełko syczy, aż pękło; otworzył drzwiczki od komina i spalił podłogę, skaleczył się nożem, o mały włos nie oblał wrzątkiem Stasia; w najniestosowniejszej chwili nawija się matce pod rękę, płacze się pod nogami i zbiera guzy.

Jedyna jego bezpieczna rozrywka polega na" przypatrywaniu się przez okienko nogom snujących się przechodniów: oto mignęły kalosze, zawinięte spodnie, koniec laski — pan przeszedł. Wionęła sukienka i drobne nóżki — panienka. Grube buty — robotnik. Czasem zajrzy piesek, ppwacha szybkę i dalej polecie: czasem się dłużej zatrzyma, pokręci ogonem, podniesie tylną łapę i załatwi interes, z czego Jaś się mocno cieszy. Najsilniejszych jednak wzruszeń doznaje, gdy zoczy zbite obcasy przyjaciela Kubusia, z którym, gdy było. ciepłej, poczuł się na podwórku — podwórku jakby stworzonym ku zabawie, pełnym zakamarków, galeryjek, daszków, schodków i jaskiń śmiecia, obfitych w skarby, gdzie można wygrzebać i gwóźdź, i blaszkę, i butelkę, a czasem nawet kawałek podkowy.

Wszystko to jest obecnie, dla braku palta, absolutnie niedostępne. Co gorsza, jedyny wygląd na świat, okienko, robi się matowe i Jaś ledwie rozróżnia przesuwające się cienie. Nieraz nocą zamarza całkowicie, stroi w liście, siatki, żyłki, i dopiero pod

^ihłŚiwftwhS'y{ i ^łti^MifS-^K jłSJf??

wieczór, gdy nieco w środku od ta je, po żółciejącym malutkim krążku Jaś poznaje, że skończył się dzień, noc się zbliża, że nastąpiły na świecie przemiany, niedostzegalne niemal w ich stale mrocznej piwnicy. Ten brak światła zbrzydził mu nader przyjemną rozrywką — puszczanie baniek z mydła; próbował ale kule, grające tak ślicznie w słońcu kolorami tęczy i barwnymi odbiciami przedmiotów, tu wychodziły szare, mętne, podobne do pęcherzy, nie chciały latać, a gdy je sadzał Stasiowi na głowę, robiły klapę i brudną wodą spływały bratu za kołnierz. Staś się rozbeczał, matka się zgniewała i odebrała spodek.

Jaś czuje, że mu jest źle; izba ciasna, ani rusz się rozpędzić, niema gdzie podskoczyć, kozła fiknąć; przeklęta balja nietylko kradnie mu' przestrzeń, ale przez intrygujący go mocno swój czop staje sfi; przyczyną strasznej katastrofy — zalania całej suteryny i formalnego „na gólkę” skórobicia... ,

Czego się dotknie, wszystko jest zakazane: i że-’ lazko do prasowania, i deska, i smoczek Julci, z któ- regoby można zrobić niezłą strzykawkę.

To też Jaś się buntuje i kiedyś, gdy matka zabroniła mu kręcić wyżymaczkę, nabzdyczył się i oburk- nął hardo:

— Więc cóż ja mam robić?

— Zdychaj I — zabrzmiała dziko i gwałtownie odpowiedź.

Pani Janina pochyliła się nad balją i Jaś widział, jak nagle zwiśla jej głowa i zaczęły się wstrząsać łopatki. Potym złapała kubek, wyleciała po wodę, bawiła dość długo i wróciła z wypiekami na twarzy, a co ważniejsze, z metalową trąbką za kilka halerzy.

Radość była wielka, ale niedługa. Trąbka szybko zachrypla, potym wyleciał blaszany jęczyzek, ktoś ją rozdeptał i matka, wymiatając szczątki, zrobiła Jasiowi ostrą uwagę, że nic uszanować nie umie.

— Co mam szanować kiedy nie trąbi I — pomyślał Jaś, westchnął i zaczęły mu krążyć w główce mętne pojęcia o tym, że coś się pokręciło na świecie: przyszli w nocy, wzięli mamusię i tatusia — potym ich rozebrali między sobą sąsiedzi; teraz tatuś gdzieś się zapodział, mamusia niewiadomo poco przywlokła się z niemi do tego Krakowa i, zamiast siedzieć na „Komunie”, gdzie było przynajmniej dużo ludzi, zamknęła się w piwnicy i pierze to łachy, to jęgo na- przemian... Nikt u nich nie bywa. Jedna panna Marja czasem zaleci, da adres nowej bielizny do wzięcia, spyta Stasia, czy daleko jeszcze do Warszawy, spojrzy na niego, powie: „Ach, ty wisusie, wartoby ci palto wytrzasnąć” — i udeka. Matka nazywa ją opatrnością.

Jaś wogóle nie wie dokładnie, co to jest opatrność, a już do takiej, co w sprawie palta trzaska bez skutku, nie żywi najmniejszego zaufania. Niewiara jego w potęgę panny Marji jest z gruntu fałszywa. Panna Marja, jak prawdziwa opatrność, bytuje wszędzie : i w „Secesji”, i u Michalika, i na Plantach,

i w hotelach, na każdym miejscu zjawia się, jak z pod zieaaai, przed struchlałą kieszenią sympatyka czy towarzysza i zatruwa mu spokój sumienia składką na emigrantów. Bierze datki i w gotówce i w naturze, jak handlarz starzyzną obiera z podniszczonej garderoby płci obie i nijaką i przy odziewa w nią swych klientów z za kordonu. Jest niezmordowaną i nie zna litości. Osoba jej wniesca popłoch zarówno wśród zahartowanych na jej ciosy przybyszów z Królestwa, jak niedoświadczonych, co może Marja, cesarsko-królewskich obywateli.

Święta, pogrzeb, urodziny czy ślub, najmniejszy pozór uroczystości staje się dla niej odpowiednim pretekstem do podniecenia słabnącej ofiarności.

Obecnie właśnie podwładne jej panny, które trzyma w rygorze i posłuchu otrzymały kategoryczny wydobycia choćby „z pod ziemi” dziecinnego paltu; cyrkularze i listy w tej sprawie krążą od Krakowa aż po Zakopane.

Jaś o niczym nie wie, to też, dostrzegłszy przez swe obserwatorjum charakterystyczny ruch spódnicy i zdeptane trzewiki, zawiadamia obojętnie matkę, że panna Marja „sypie”. Matka lubi te odwiedziny: w obcowaniu z panną Marją przypominają jej się minione czasy, przestaje być poniewieraną praczką i staje się na nowo „Janiną”, wtajemniczoną w bieg spraw.

Padają niezrozumiałe dla Jasia wyrazy : „cekaer
4ffe NISZCZYĆ książek i

„kazet”, „rob”, kryjące dlań jakieś niepojęte jeszcze tajemnice, które, czuje to intuicyjnie, znajdują się w pewnym związku z kolejami losów jego i rodziców.'

Tym razem jednak jawienie się panny Marji staje się dla niego długotrwałym transem silnych wzruszeń. Bo oto wchodzi z tobołkiem w rękę i od progu woła:

• — Jasiu jest tu coś dla ciebie 1 Od wija się węzełek, z którego przed błyszczą- cemi ciekawością oczyma chłopca wyłania się granatowe sukno, rogowe guziki, futrzany kołnierz; panna Marja podnosi za wieszak to wszystko i, potrząsając paltotem, z tryumfującą miną mówi:

— Na wacie i multonie, z prawdziwym fokowym kołnierzem I No, chodź tu, urwisie, przymierzmy.

Jaś z zapartym oddechem wysuwa się na środek. Daje się ubierać, jak manekin, energicznie obracany to w prawo, to w lewo.

■— Znakomicie, jak na obstalunek 1 co ? Janino! Zapnij guzik, nastaw kołnierz 1 — Pycha, wyglądasz jak burżuj. ^ wiesz, co to jest foka? Nie wiesz? Pies morski! ,

Jaś podaje się mechanicznie rozkazom, czuje delikatne muskanie futerka koło uszu, pulsy mu biją w skroniach, mieni się na twarzy, poci, jak szczur, nie rozumiejąc jeszcze dokładnie, co to wszystko ma znaczyć.

— No zdej, bo się zgrzejesz.

Paui na Marja ściąga mu futro, wręcza pani Ja- /linie i zabiera się do odejścia.

— Podziękuj! — odzywa się matka, patrząc na dziecko z uczuciem radości, pomieszanej ze smutkiem, że jałmużną posiłkować się musi.

Jaś sterczy jak słupek. Nie wierzy swemu szczęściu, w głowie mu się mąci i dopiero po wyjściu panny Marji zdobywa się na zdanie:

— Więc to naprawdę moje?!

— Twoje, twoje — potwierdza szybko matka, ogląda przy lampce prezent, wzdycha i wynosi do sionki, zalewa bieliznę na noc i zabiera się do szykowania posłania. Sama sypia z młodszym rodzeństwem na łóżku. Jaś ma własny sienniczek pod ścianą, gdzie pomimo pewnej dozy wilgoci i chłodu, wysypia się, jak suseł.

Teraz jednak zasnąć nie może. Jest rozgorączkowany, podniecony i niespokojny. Losy palta w sieni są bardzo niepewne: w drzwiach jest okienko, zło- duej wybije szybkę — szust 1 i po wszystkim. Każdy szelest wzniewa w nim podejrzenia i trwogę, poty nań biją. Wreszcie zdobywa się na krok stanowczy; wstaje i, na bosaka i w krótkiej koszulce, skrada się ostrożnie do sionki; trąca wiadro.

— Gdzie ty łazisz ? — odzywa się sennie matka.

Jaś, porywa paltocik i, drżąc ze wzruszenia, ucieka na swój siennik. Głaszcze futerko, szepcząc pieszczotliwie: „Kiziu, miziu”, jak do kota; natrafia na haftkę i, wyobrażając sobie, że to pazurki, uderza po nich rączką, powtarzając: „A psik!” Wreszcie, wyczerpany wzruszeniami, trzymając palto w objęciach, zasypia.

Nazajutrz buja po podwórku, jak szalony. Jest tu jego rówieśnik, Kubuś, Lejbuś, syn handlarza, ospowaty Antek z przeciwka, przewiskiem „Skubent”, bo nosi czapkę uczniowską i Michaś, syn introligatora, zwany „Makolągwą”.

Cała gromadka podziwia palto Jasia: wielkie rogowe guziki, a szczególnie kołnierz z psa morskiego. Ten pies morski staje się przedmiotem nie tylko najżywszego zainteresowania, ale i sprzeczeki.

Kubuś dowodzi, że pies nie może mieć na imię foka, a tylko suka.

Skubent powątpiewa o możliwości istnienia psów w morzu.

Makolągwa liże futerko i oświadcza, że nie jest słone.

— Jak Boga kocham — zaklina się Jaś — panna Marja mówiła.

Dotknięty jest do tego stopnia, że gotów się założyć.

— Dobrze! — o co? — stawia się Skubent.

— O dwa prztyki w nos,!

Zakład staje. Lejbuś przecina ręce, świadkiem zakładu jest Kubuś; rozstrzygającym autorytetem ma być pan Fajtalski, c. k. urzędnik magistratu, zwany

w kamienicy „profesorem”, gdyż przygotowywał syna gospodarza do drugiej klasy.

Pan Fajtalski lada chwila wyjdzie do biura, i dzieciarnia, trzymająca w oblężeniu schody, skraca sobie czas ssaniem sopli z lodu. Wreszcie w głębokich ' kaloszach, z teczką pod pachą, ukazują się miejscowa powaga. Chłopcy otaczają go kołem.

— Proszę pana profesora — interpeluje śmiało Skubent — czy jest suka morska? '

— Suka ? — zastanawia się pan profesor, poprawiając okulary. ■— Nie — odpowiada po namyśle.

— Zyg, zyg, zyg! — wybuchają docinki.

{ — Foka, foka! — woła rozpaczliwie Jaś.

¹, — A, fokal A jakże, jest 7— odpowiada pan Fajtalski. — Pies morski, istnieje.

1 zaczyna wykład:

— Rząd V, czteropletowce, foka vitulina, w dalekich morzach północy; do tegoż rzędu należy...

Ale audytorjum zajęte jest czym innym.

Skubent chciwie nadstawia nos.

— Eins! — liczy Lejbuś. -Hł — Zwei! — Prztyk drugi.

— Dreil

Jas nie może się powstrzymać i wymierza cios trzeci.

— Świnia 1 Oszukaniec! — rzuca się zaperzony Skubent.

mm\ 11¹¹ »¹¹ |

8 niszczyć KSIĄŻEK 15

.— Bo poco on powiedział drei ? — broni się zawstydzony Jaś.

— No, czego ty się pichasz, łobuz 1 — woła napadnięty Lejbuś — nie możesz mu dać reszty?

Argument trafia wszystkim do przekonania. Jaś wyciąga nos i otrzymuje potężnego szcztka, aż mu świeczki w oczach stają. Wie jednak, jak się należy zachować w takich razach. Okręca się na pięcie, by ukryć łzy, i mówi:

— Wcale mnie nie bolało.

Honor jego i palta jest uratowany; nikt już nie wątpi o pochodzeniu kołnierza i Jaś zyskuje przydomek Foki. • \ •

Foka, mniej szczęśliwy w walce na śnieżki, odznacza, się zato na ślizgawce. Prócz jazdy na jednej nodze, popisuje się nieznanym sposobem w kucki i szewca po warszawsku — z jednym zgiętym kolanem, na którym naśladuje rękoma bicie młotkiem i szycie dratwą. W turnieju: „kto dalej plunie”, również zwycięża, umie bowiem strzykać przez zęby, jak warszawski dorożkarz. Te przechwałki warszawskie, . fanfaronada Królewiana drażnią Galicjan, a czupur- nie zanucona strofka:

Świeci się Warszawa, jak jedwabna nitka. Za Warszawę,sto tysięcy, a za Kraków dydka... mało co nie doprowadziła do bójki.

Medjatorem staje się międzydzielnicowo nastro

jony Lejbuś, co mu się tym łatwiej udaje, że na podwórzu zjawia się kataryniarz ze szczygłem, ciągnącym losy wyroczeni.

Zawołany na obiad, Jaś wnosi do piwnicy rozpromienione, czerwone .od mrozu policzki, iskrzące się oczy i sinawy nosek; jak wilk, pochłania żur z kartoflami i, pomimo dodatku pajdy chleba, czuje się trochę przyglodny.

Po obiedzie odkrywa w kieszeni paltota skarb: długi sznurek i skórkowe rękawiczki. Z części sznurka sztyftuje Stasiowi bat. Rękawiczki okazują się mniej użyteczne, gdyż, ilekroć chce je włożyć, brak mu zawsze palca; zato wydymanie ich sprawia komiczny efekt puchnącej ręki.

Przed wieczorem raz jeszcze wyprasza się na podwórze. Koledzy gdzieś się rozbiegli; wysuwa się tedy na ulicę i, stojąc przed bramą z wypiętym brzuszkiem i rękami w kieszeni, obserwuje wrażenie, jakie czyni na przechodniach jego pyszny paltocik. Nawet stójkowy z mosiężnym półksiężcem pod szyją zwrócił uwagę, przygląda się i zbliża; ale nie w ciemię bity Jaś unika bliższych stosunków z- „salcesonem”, wydaje przeciągły gwizd i znika w czeluściach bramy. Na noc paltocik wisi już na specjalnie przybitym ćwieku, w pobliżu siennika. Jaś jest spokojny, przy- tym zbiegany i upojony świeżym powietrzem, szybko więc zasypia.

Jest późno. Szeleszczą oddechy dziecinne, a pani Janina układa wykończoną bieliznę. < Jutro, korzystając z niedzieli, odstawi ją na miejsce. Wedle je obrachunku, należeć się będzie z górą 5 guldenów. Z tego 2 wyda na przypadającą już dziś właściwie ratę mieszkaniową — termin najcięższy, bo przed pierwszym, któremu pod groźbą „wylania” niewolno uchybić; reszta pozostanie na bieżące wydatki.

Z wykonania roboty Janina rada nie jest: kolory puściły i poplamiły białe sztuki, gorsy koszuli są za sztywne, jak deski, a jedna — najpiękniejsza, w zakładki V- została nieco spalona i nosi fatalną, półokrągłą, żółtą plamę.

Pani Janina stara się, jak może, ale jest nowi- wicjuską w swoim zawodzie, nie może utrafić dozy krochmalu, nie rozumie, że kolory należy prać oddzielnie, i, broń Boże, w sodzie.

Szkody porobione niepokoją ją cokolwiek, ale pociesza się, że jakoś to będzie. Jej wielokrotnie sponiewierana ambicja straciła wrażliwość na połajanki, to też, myśląc o jutrzejszej przeprawie, niedawna patry- cyjuszka przedmieścia czuje, że zniesie z rezygnacją najbrutalniejsze wymyślenia, byle tylko zapłacili.

Kładzie się, ale usnąć nie może. Oblicza wydatki, przypuszczalne docho*dy; przychodzi jej na myśl — że Jaś mógłby teraz zająć się sprzedażą gazet: ma stosunki w „Naprzodzie”; kusi ją możliwość zarobienia przez chłopca paru szóstek, ale jednocześnie

obawia się, że plątanie się po ulicach może zdemoralizować chłopaka. ,

Przypomina jej się list męża. Gdyby tak zdobyć gdzie 40 rubli, mógłby tu być. Tęskno jej — ciężko bez niego. — Chęta by go widzieć chciała jak Pan Bóg przykazał, bo jest jak ^ patrzy... Czuje się za \ młodą na wdowę.

Myśli jej się płaczą, głowa zachodzi mgłami otwiera się zwolna otchłani w którą stopniowo .wiedza i pamięć zapadają.

Ranek niedzielny Jaś musi przepędzić w mieszkaniu. Matka idzie odnieść bieliznę, on więc musi pilnować młodszego rodzeństwa i wsadzić Julci w ręce, gdy się zbudzi, butelkę z mlekiem. By urwis nie uciekł, drzwi zostają zamknięte na klucz.

Jaś skraca sobie oczekiwanie bębnieniem po wiadrze i biegiem w pustej balji. W pewnym momencie przerywa mu zabawę stróż, który oświadcza przez drzwi, że gospodarz upomina się o komorne.

— A jakże — odpowiada rezolutnie Jaś — jak rak śwśnie na oborze — i, czując się bezpiecznym, pokazuje przez szybkę język swemu prześladowcy za chowanie miotły i zbytki na podwórzu.

Stróż klnie. Jaś, widząc, że śnieg spadł, można więc będzie lepić bałwana, otwiera drzwiczki od pieca i wybiera odpowiednie węgielki, na nos, oczy i usta. Chowając zdobycz do palta, spostrzega z brzegu podszewki rozprucie. Robi mu się gorąco. Czyżby rozdarł? Zapuszcza rączkę. Nie, to głęboka kieszeń, a na dnie płaski, okrągły przedmiocik. Wyciąga: lusterko z jednej strony, z drugiej ze szkłem mikroskopijna myszka i dwie malutkie pułapki. Sztuka polega na tem, by potrząśnięciem lusterka wpędzić mysz w pułapkę.

Zabawa ta pochłania tak całkowicie chłopca, że nie słyszy otwierania drzwi, i dopiero spostrzegłszy matkę , na progu, rzuca się z radosnym okrzykiem :

— Mamusiu! co ja w palcie znalazłem !

Ale matka go odtrąca. Jaś spogląda na jej twarz i w mgnieniu oka gaśnie. Z wyrazów jej rysów umie już zgadywać zapowiedzi nieszczęścia.

Usta pani Janiny są blade i zaciśnięte, na policzkach ceglaste wypieki, oczy podkrążone sińcami i jakby w głąb zapadłe. Siada ciężko na łóżku i kurczowo zaplata palce na palce.

Przecucia chłopca nie myślą. Matka została strasznie zwymyślaną i, po wytrąceniu za szkody, o atrłazymledwie kilka szóstek odczepnego.

Była po ratunek u panny Marii, ale ta wyjechała na dni kilka. W bramie spotkała się z gospodarzem, prosiła, dawała mu koronę — ale wziąć nie 'chciał i przy niej zapowiedział stróżowi, by jutro do południa suterena była wolna, ma już bowiem kandydata.

— Co robić? — tłuką jej się po głowie ro-

zbite myśli, aż w skroniach trzeszczy. Sprzedać narzędzi pracy niepodobna, poza tym nie prawie nie ma. Rozgląda się płonące mi gorączką oczyma po izbie — pustki: Staś na kufunku, Julcia na łóżku — dzieci nikt nie kupi.

Powiesić się, napalić tęgo w piecu i zasunąć szyber — przesywają jej aiózg, jak ostre błyskawice, mordercze myśli. Sprzedać wszystko, . . .

. . . w . . . Zawrzało jej w piersiach, skłębił się głuchy gniew, zatargały sercem mściwe, złe uczucia — a potem opadło wszystko i nastąpiły minuty śmiertelnego znużenia.

Jaś tymczasem wymknął się na podwórko. Tam Kubuś i Makolągwa taczają już korpus. Jaś zabiera się do głowy. Zabawa ta porywa go całkowicie. Zapomina o wszystkim, nawet o lusterku. Śnieg lepi się, jak wosk; głowa rośnie w rękach wielka, okrągła, coraz cięższa, wyborna. Dźwiga ją, czerwony z wysiłku, rozpromieniony z radości. Jest tak zajęty, że nie widzi matki, dążącej do ojca Lejbusia, Szmula, handlarza starzyzną.

Rozmawiają. Stary żyd potrząsa głową, rozkłada ręce — idzie z matką do piwnicy. Ogląda jakieś łachy, obmacuje i oddaje obojętnie. Coś żywo gadają.

— Tobym może kupił — "WSIfSzuje żyd ręką na Jasia.

Pani Janina spogląda nań przerażonemi oczyma. W drżących ustach, jakby otrutych podsuniętą myślą, targa się wyraz gwałtownego protestu.

— Nie, nie! — powtarza głośno, a jednocześnie w głowie huczy myśl, że ratować rodzinę musi... musi, choćby miała paść trupem. \

—¹ No, więc jak będzie? — odzywa się żyd.

Pani Janina opiera się o ścianę, jakby w obawie, by nie upaść. Potym prostuje się nagle i z akcentem przejmującym, niemal tragicznym, wykrzykuje:

— Jasiu!

— Zaraz —' odpowiada chłopak. Wprawia bałwanowi oczy z węgielków, kończy nos i, rozradowany, w podskokach wpada z impetem do, sionki.

Pani Janina, papierowo blada, z łopoczącymi jak w febrze ustami, rozpina pośpiesznie guziki: ręce jają się trzęsą, doświadcza strasznych, dzikich uczuć, jakby obierała rodzone dziecko ze skóry; zrywa z syna palto, wpycha go do izby i zapiera swą osobą drzwi.

Oszołomiony Jaś stoi za progiem i słyszy za- wzięty targ.

-Pi,*, "lezczye

■ — Nu, pani chyba żartuje?

— Przecież to całkiem porządne.

— Dwa — dać mogę.

ilill

— Co, dwa? Sam kołnierz...

Na dźwięk tego wyrazu zimny dreszcz przebiega krzyż Jasia... Wytęża słuch.

— Trzy!

— Dwa i trzy szóstki — na moje sumienie...

— Nie!

— No, niech stracę!....

Brzęk liczonych pieniędzy, po tym cisza.

Matka gdzieś idzie. Wraca wyczerpana, jak zbita siada na łóżku i zwija machinalnie papierowy kwitek, trzymany w ręku.

Jasia ogarnia silny niepokój j przeczuwa, że zaszło coś niezwykłego, że w niezrozumiałą historję wplątany został paltocik; patrzy z pode łba na matkę i twarzyczka jego staje się niedzielną posępną.

Matka siedzi bezmyślnie zapatrzona niby ślepymi oczyma w ścianę. Czuje się wyzutą z resztek sił. Łza za łzą spływa po zmarnowanych policzkach.

— Mamo!

— Co ? — budzi się Janina.

— Czy ja mogę pójść po lusterko?

— Lusterko, lusterko... jakie lusterko?

— Z myszką. Zostawiłem w palcie.

— Nie, nie! — zrywa się pani Janina, zamyka drzwi na zaszczipkę, przypomina sobie... i wybucha gwałtownym, histerycznym płaczem.

— Ja chcę lusterka! — kategorycznie, niemal zuchwale krzyczy Jaś.

— Dobrze, dobrze ...jutro, jutro — przez łkanie bąka matka. — Odbiorę — myśli w duchu — jutro... napewno... dziś późno... — Jeść wam się chce, prawda?

Zaczyna się śpiesznie krzątać po izbie kraje chleb rozlewa mleko. Sama jedzenia tknąć nie może.

W serce Jasia wstępuje otucha: jeśli jest lusterko, to i, paltocik być musi. Nie może jednak pozbyć się pewnych wątpliwości, patrzy podejrzliwie na matkę: zachowanie. się jej jest tak dziwne. POCO Szmul przychodził? Dlaczego palto jest w sionce, a nie na wła- ściwym miejscu. Tam przecież zginąć może. / Chleb przestaje mu smakować i więźnie w gardle. '

Spogląda znowu badawczo w, twarz matki, która wyraźnie unika jego wzroku.

— Mamusiu — odrywa się raptem — jak to się mówi, jeśli co zginie? Święty Antoni...!.

— Padewski... — i pani Janina cytuje machinalnie całą modlitewkę.

— I znajdzie się zawsze? — dopytuje się dziecko.

. — Tak mówią — brzmi głucha odpowiedź i pani

Janina rozbiera Stasia, zaściela pościel każe się kłaść Jasiowi i gasi lampę.

W izbie robi się ciemno, jak w grobie.

Jaś nie śpi.

— Muszę się przekonać — myśli.

Słyszy, że matka wstaje, stąpają jej bosc nogi, zbliżają się w jego stronę; nakryty zostaje ciepłą

chustką i spada mu raptem na usta mocny, gorący pocałunek drżących płaczem warg.

Serce Jasia zamiera, a potem ściska się spazmatycznie, jak kleszczami Ujęte. Mętnie odczuwa w tym pocałunku i miłość i jakby zdradą, napętniającą go niezmiernym rozczuleniem i strasznym, niepojętym żalem.

Leży skurczony, patrzy rozwartymi oczyma w tępą ciemność piwnicy » nieruchomo czeka, aż wszyscy zasną. •! j.

Słyszy regularne oddechy. Lekko przerażony, z mrowieniem w piersiach, z uczuciem jakby obcego chłodnego powiewu pod sercem wstaje i skrada się ostrożnie. Omija zręcznie przeszkody, odmyka za- szczepkę, i ^sjiwa się w zimAó &eni.

— Święty Antoni Padewski, Obywatela niebieski, Jak twoja sława słynie, Tak moja zguba nie zginie...

Szeptają strwożone usta i szukają po ścianach małe rączki. <

Kołek pierwszy — miotełka.

Kołek drugi — ścierka.

Kołek trzeci — pusty.

— Święty Antoni! — gorąco i namiętnie, modli się chłopak, maca po wszystkich kątach błakając się w nieprzeniknionych ciemnościach. Słania się i za-

25

.wraca do izby, wodzi dokoła rękoma, zbliża się z umarłą nadzieją do ostatniego punktu, gdzie może stać się cud odszukania zguby. Trafia na mur wilgotny, wspina się na palce i rani dłoń o gwóźdź. Paltocika niema.

Zastyga w nim na moment wszystko, serce się kuli, w głowie robi się przerażająca pustka.

Zaczynają mu trząść się ręce i kolana, drgać żebra i łopatki. Dzieciak dygocze, jak trzcina na ^wicherze, targany łkaniem. Chlipiący, .dławiony łzami płacz jego żalony i rozdzierający tuła się Samotnie, jak bezradne nieszczęście, w ponurych ciemnościach podziemia.

tflfl <r

fs-k*\ firt.yja

u

¹ f^gT ^W.-r

LUŻNE KARTKI.

Wpadłem z kretesem w ten młyn djabelski i krę" cę się, jak wiewiórka w klatce, otrzymując chwilami wrażenie szalonego pędu.

Zdarzają się dni absolutnego braku czasu. Człowiek jest niby, Bóg wie jak, zajęty... pracowitem próżniactwem, które męczy i wyczerpuje gorzej, niż najcięższy wysiłek.

Latanie, wiatrak w języku, rozpraszanie się na wszystkie strony, miliony drobnych, poszarpanych, ru- chliwszych niż obrazy kinematografu wrażeń — oto życie z dnia na dzień, jałowe, rozbite na momenty, na atomy, na „kółka" papierosowego dymu.

Robię się nie chcąc. Za ledwie kiedy niekiedy w bezsennej godzinie popełniam jakiś fragment, lakoniczny artykuł, ciętą krytyczną uwagę, m a x i m u m trzysta wierszy miesięcznie.

Szczupły dorobek! Jedynie te notatki prowadzę dość systematycznie, ale jakże inaczej, niż dawniej!

W Klonowie były to długie, serdeczne zwierzenia, istna spowiedź z rachunkiem sumienia, po której następował dotkliwy żal, a często i poprawa. Dziś są to prawie migawkowe zdjęcia, chwytające je ułamek.

kontury zjawisk, uczuć i zdarzeń, utrwalone napręce,

** ?

bez retuszu, raczej z nałogu, niż z potrzeby ducha*
Poprostu strzępy.

Dzięki im mogę powtarzać, że prawie n u 11 a dies sine line, i zagadywać w ten sposób wewnętrzne wyrzuty o marnowaniu czasu. Wykręt! ale skuteczny. Niestety! Prawdziwie niestety! Bo jednak trafiają się minuty, w których wyczuwam w sobie krążący wir skłębionych chaotycznie tematów i pomysłów, zdaje się, świetnych w dodatku. Wszystko to czeka tylko chwili stosownej (tu — sęk właśnie), by się wyłonić i wcielić...

Ohol Wrocki paradyje! zacznie ml zaraz zerkać przez ramię, wietrzyć, a co najważniejsza —* radzić. Pęcherz dziennikarski, gruchoczący w potrzebie rymami.

Nie lubimy się, choć uchodzimy za przyjaciół i jesteśmy na „ty”*. Sztuka — więc — pauza... i do szuflady.

••

Prawdziwa niespodzianka: Żosicki-laureat, druga nagroda — trzysta fajgli, nie w kij dmuchał! Notabene powieść ma być wcale niezła. Zobaczymy! Tymczasem sto rubelków, jak lodu, puścił z nami w jeden wieczór. To się chwali)

Zaczęło się pod „Świąteczkami”, dalszy ciąg u Ga- blera. Narazie czułem się nieswojo: ten piramidalny małpizjon próbował imponować zdobytym wawrzynem, na dobitkę znać było, że cieszy go nie powodzenie dzieła, ale własnej osoby! Tego już zupełnie nie rozumiem! Trzeba chyba być szewcem ostatniego gatunku, nie artystą!

W epilogu, przy winie, zniwelowały się wszelkie różnice hierarchiczne i przekonaniowe i zapanował rozczulający, napoły łzawy, napoły bohaterski nastrój. Potem pojechaliśmy tam i wróciłem późno.

Było koło szóstej. Dawno nie widziałem o tej porze Warszawy. W puste korytarze ulic wsącał się mizerny, zamglony dzień. Wszystko, co rości jakąkolwiek pretensję do inteligencji, spało jeszcze. Tro- tuarami ciągnęło tylko bydło fabryczne. Dążyły grup* kami lichy odziane postacie z blaszankami w ręku i zagasłem spojrzeniem — bezmyślne automaty, dopasowane do maszyn.

Posępne głosy syren wzywały ich do pośpiechu, huczac wstrząsającym jękiem, podobnym do wycia i zgrzytania nienazartej paszczy wietrzącego zdobycz potworu. Gdzieś, jak grzmot daleki, toczyły się wozy ładowne z ciężkim, miarowym tartasem, od którego brzęczały, witryny. W huku tym znać było krwawe, mozolne tętno natężonej pracy.

Głupio jest przy takim akompanjamencie wracać z birbantki. Przebrzydły katzenjammer staje się czemś ostrem i bolesnem. Szklanka kawy wydaje się czarną otchłanią, siedliskiem ciemnych upiorów; cytryna ma smak kwasu siarczanego i tylko woda sodowa jako tako działa, a najlepiej czempredzej powtórzyć bibę i w koniaku utopić zgryzotę.

• * •

Brawo! Twórczość była: dwie noce z rzędu przy biurku i obie owocne. Wiersz — mocny w koncepcji, kunsztowny w formie, napisany z niezwykłym polotem. Jakkolwiek mocno pokiereszowany przez cenzurę w druku, zrobił wrażenie. Zemler nawet raczył się wyrazić: — Czytałem z satysfakcją! — a to u niego dużo.

Następnie zaszczycił mnie dłuższą pogadanką o zadaniach krytyki; poglądy jego w tej materji są istotnie ciekawe.

Dowodzi mianowicie, że w krytyce wcale nie chodzi o ocenę wartości dzieła.

— Obiektywnie — mówił — jest to niemożliwe

o

ila braku odpowiednich przyrządów! Subiektywne zaś sądy, jakkolwiek się opowiada o stałości skali naszego „ja”, są tak zależne od nastroju chwili, zbiegu okoliczności, że trudno coś na nich fundować. My, ■ fachowcy, — przyznawał się — w zawodzie naszym zatracamy w dodatku dziewiczą wrażliwość. Prędko wkraczamy w stan, w którym niepodobna już oddać się dziełu bezpośrednio duszą i sercem, jak zwykły śmiertelnik, ale odbieramy wrażenia za pomocą skomplikowanego aparatu doktryn, przyjętych poglądów, utrwalonych uprzedzeń. Ani rusz nie możemy wykrzyknąć z prostotą: „Ach, jakie to piękne!” lub: „Co za skandal!” Entuzjazm, gwizdanie, frenetyczne brawa — to rzecz niezblazowanej publiczności. Robotę tak- satorską rzetelnie wykonywa czas, więc przyszłości powierzmy tę czynność!

Większość kolegów moich zgadza się ze mną w tym względzie, ale mają zato pasję sprowadzać do wspólnych mianowników; oczywiście, dzieje się przy tem grube naciąganie, bo prawdziwe dzieła sztuki są zwykle absolutnie nie współmierne i rozsadzają szuflady.

Ja staram się jak najmniej pisać o książce, a zato wypowiadam się z talentem a propos dzieła, chociażby w formie subtelnego aforyzmu, lub zjadliwego konceptu.

Wtedy krytyk staje się twórcą; jest to wprawdzie twórczość wtórna, coś w rodzaju muzycznych warjacyj na pewien temat, ale zawsze twórczość, a więc posiada trwalszą wartość.

— Wy, zdaje mi się, pisujecie także sprawozdania? — zagadnął mnie raptem.

— Tak! — odparłem nieco zawstydzony.

Spostrzegł to i rzekł:

. — Cholernie niewdzięczne zadanie: opowiadać treść „swojami słowami”, jak w sztubie; wytykać jako błędy zwroty, których jeszcze niema w gramatyce...

To się robi często dla grosza, a zawsze wtedy, gdy się chce być gwałtem literatem, nie mając żadnych kwalifikacyj po temul... '

W- rezultacie streścił się w pożyczce n przy sposobności", jak się wyraził, dziesięciu rubli — „da jutra".

Ta ostatnia okoliczność zachwiała we mnie wiarę w szczerść jego wynurzeń.

Zdolny niewątpliwie, ale na wielu punktach skończony rzezimieszek. Sam nie od da, a upominać się trudno i niebezpiecznie w dodatku; mógłby mnie schlastać, zarznąć, posypać solą i pieprzem i połknąć, jak nieszczęsnego Laskowicza, który dotychczas wije się z powodu tej bezlitosnej, a pozornie trafnej krytyki. Oskalpował go tak, że nieprędko zapuści czuprynę.

•
••

Przenieśliśmy się do nowej cukierni, gdzie mamy zarezerwowany oddzielny pokóik między szóstą a dziewiątą.

Zły jestem, bo trochę daleko, choć niewątpliwie wygodnie. Narazie miałem nawet zamiar (postanowień z doświadczenia unikam) przestać chodzić, ale nie wytrzymałem.

Znałogowałem się poprostu do tych posiedzeń, które w gruncie rzeczy nie są zajmujące, a tem mniej pożyteczne. Swoją drogą łązi się i gada przeważnie o niczem.

Stosunkowo jest najzabawniej, gdy się kto z kim pokłóci. Wówczas bardziej dotknięty zakłada na przeciwległym rogu secesję i wszelkiemi sposobami jedna zwolenników.

Neutralni, do których zwykle należę, bywają tu i tam, starając się pogodzić zwaśnionych. Jakoż, po pewnych ceregielach i obustron-

nym warunku omijania nadal drażliwej kwestii, następuje uroczystość pojednania — i znów jesteśmy w komplecie. W „knajpie” rej wodzi Rudzki, jakoby filozof, tak go przynajmniej tytułują wszyscy, choć, zdaje mi się, jest to ranga czysto honorowa, którą otrzyma! w braku innej.

Jest to człowiek istotnie imponujący: wygląda, jak lew; gdy mówi, ściany dygocą, a gdzieś daleko rozbrzmiewa huczne echo, niby gwar wzburzonego potoku. Oponować mu niepodobna, gdyż z punktu ogłusza przeciwnika. Był niegdyś bogaty, włóczył się po całej Europie, gdzie stracił wszystko, a nabył wiel- kopańskich manier i pewności siebie, która mu do- pisuje stale. Zna języki, jest niewątpliwie inteligent' ny, czytany i mógłby prawdopodobnie pisywać z powodzeniem, ale nie chce z zasady.

— Ja przyrzekłem sobie — grzmi, nagabywany w tym względzie — że nic absolutnie robić nie będę i basta!

Jakoż dotrzymuje słowa. Obywa się byle czem; prowadzi żywot ascetyczny; o ile mu wpadnie w ręce większa kwota, zwrócona przez dawnych przyja- ciół-dłużników, przepuszcza ją z nami natychmiast i znów komenderuje garsonowi: „Szklankę wody” i „Figaro” — ale w sposób tak wyniosły, jakby obstało* wywał co najmniej kosz szampana.

Lubimy go wszyscy i podziwiamy za wiecznie dobry humor, zamaszystą fantazję i murowane zdrowie, którego mu zazdroszczę, zwłaszcza teraz, kiedy się coś popsło w państwie Duńskim.¹

Sypiać nie mogę, to jest właściwie usnąć, po* czem popadam w jakiś kamienny letarg, który nie- tylko nie pokrzepia, ale nuży.

Nie wstaję, lecz dźwigam się z łóżka z ołowianą głową, niezdolny do niczego, jakby zaczadziały. Prostuję się dopiero pod wieczór, a w nocy zaczynają

się dzikie harce rozegzaltowanej myśli, żywiołową, niepowstrzymana gra wyobraźni, pożar w mózgu.

Muszę się chyba poradzić...

•••

W zeszłym tygodniu byłem na „Złotym Rogu”, a dusza jeszcze się kołysze melodją tej sztuki.

Tak potężnego wrażenia nie doznałem dawno, a chyba nigdy w teatrze.

Nie było to przedstawienie, ale jakieś czarodziejstwo, hipnotyzowanie widza do zupełnego obojętności refleksji, zapamiętania się w zachwycie.

Z początku przypatrywałem się uważnie, potem pochłaniałem, wreszcie zostałem pochłonięty ze szczętem i zdawało mi się, że ta scena, ci ludzie, upajający rytm ich słów, są wytworem mych własnych marzeń.

Gdy spadła kurtyna, siedziałem chwilę, jak we śnie, goniąc duszą ulatujące widma.

Trzeba było jednak wstać i wyjść w głupi zgiełk ulicy, który mnie bił, jak pałką, po głowie.

Krytyka sygnalizuje niezwykle powodzenie, zachowując się oględnie wobec nieopatentowanej firmy. Publiczność entuzjazmuje się i gada, gada, gada.

Ale cóż z tego? Nic właściwie!

To, co poruszone w piersi mogłoby się rozrosnąć w milczeniu i wstrząsnąć do głębi, ugrzęźnie w zaspach frazesu.

W naszej knajpie zwłaszcza wrzało, jak w ulu.

„Rozbierano” w ścisłym słowa tego znaczeniu sztukę i lubowano się kolejno jej wdziękami w sposób obrzydliwy.

Nie było w tym ani krzty uwielbienia, namiętnego porywu uniesienia, który pragnie owoładnąć i sam się całkowicie oddaje, lecz, jakby lubieżność, rozkoszowanie się każdym poszczególnym dreszczykiem,

Wyrafinowana rozpusta zużytych starców, których coś wreszcie zdołało podniecić.

Kurczyłem się z odrazy i nagle wybuchnąłem mimowoli:

— Co tu długo gadać, zbłąźniliśmy się i kwita, bo właściwie po opuszczeniu teatru należało się rzu- cić i spełnić jakiś bohaterski czyn!...

— A wiecie — po pauzie zdziwienia odezwał się pierwszy Zemler — taką pointą możnaby wcale efektownie zakończyć sprawozdanie. Pozwolicie skorzystać?

— Wiadomo, że w Henryku siedzi stary, patetyczny romantyk — wtrącił pobłaźliwie Wrocki — podszyty w dodatku...

— Wiem, co chcesz powiedzieć — przerwałem silnie podrażniony — nie fatyguj się, rozumiem dobrze znaczenie tych epitetów: „pierwszy* to coś pośredniczącego między „naiwny" a „głupi", a „społecznik" to już dureń skończony; znam przecież najnowszą encyklopedję! Nie obrażam się jednak — ciągnąłem, siłąc się na spokój — bo ty mi to mówisz, ty, który nie pojmujesz zupełnie tego dramatu...

— W sztuce tej — mówiłem zdyszany — bije właśnie echo z tamtych uroczych, romantycznych stron, w głosie złotego rogu słycać metaliczne, bron- zowe wieszczby tych słonecznych dzwonek, zaśniedziałych, lecz tylko w twym sercu; temat, jeżeli etykietę przyczepić się godzi, jest prawie społeczny.

Poeta wmyśl ał się, wrósł cierpieniem w życie narodu i postawił przed nami, jak złowieszcze widmo, plastyczną wizję momentu jego dziejów: Zbutwienie domniemanych szczytów, które, jak skały zwietrzałe, sypią się w gruzy i w proch niemocy, ciemne, ślepe szarpanie w dołach, cały ten zamęt tragiczny, ziejący grozą zagłady. Każdy tam ujrzał siebie, każdemu otwarła się jego mogiła, cuchnąca posepnem tchnieniem śmierci. Róg szydyczko podzwoniał w nasze

trąbki blaszane, aż wyrzuci) własny, posępny, przerażający nawet zwierzęta, złoty ton, jasny piorun na nasze głowy, grzmiący policzek prosto w twarz.

Rudzki śmiał się fortissimo* jakby kto rzucał kule o bęben.

Coś mnie poderwało.

— Panu się łatwo śmiać tak głośno, boś pan pusty zupełnie i stąd rezon i rezonans — wyrzucam resztkami głosu, wstrzymując spazmatycznym kurczem woli napływający zewsząd potok gorących łez.

Zrobiła się chwila ciężka i natężona, w której poczułem się odosobniony zupełnie.

Ścięło się we mnie odrazu wszystko i suchem, hardem spojrzeniem fiksowałem Rudzkiego.

W zmienionej jego, jakby skamieniałej twarzy uśmiechały się w dalszym ciągu wesoło rozbawione^ oczy.

— Histe-ry-ja! — poskandował, bębniąc takt palcami, wstał i po chwili wywołał przez garsona Zemlera.

— On was wyzwie — szepnął mi trwożnie La- skowicz.

— I owszem — odparłem z udaną swobodą i opuściłem cukiernię, biegnąc prawie kłusem do domu, gdzie dałem spłynąć niezrozumiałym, niosącym smutne ukojenie, obfitym łzom.

Potem mnie wciągnęła milcząca otchłań zadumy i stężała w sen.

O pierwszej, kiedy myślałem właśnie, że niema wcale tej „siły fatalnej, któraby mogła zjadaczy chleba w aniołów przerabiać”, Zemler i niejaki pan Szocki, do przesady ugrzeczniomy, ale mocno sztywny jegomość, zjawili się w imieniu Rudzkiego z żądaniem satysfakcji.

Miałem pewien kłopot z wyszukaniem sekundantów.

Wiedząc, że mam do czynienia z tak szcwa-

ftym lisem, jak Zemier,. nie mniej kutym Rudzkim, że Szocki w dodatku jest specjalistą od spraw tego rodzaju, batem się bardzo, by mnie nie wystrychnięto na dudka.

Pomijając więc najbliższych kawiarnianych kolegów, którzy co moment wpadali z wyraźną ochotą oddania mi przysługi, udałem się do starego dorpat- czyka, adwokata Koscicza*

Przyjął mnie bardzo życzliwie, i wysłuchawszy sprawy, wyraził nadzieję, że wszystko niewątpliwie załagodzi się pokojowo.

Na drugiego świadka wprost gwałtem narzucił mi się Wrocki.

Gruboskóre bydlę! Wie przecież, jak go nie- cierpię.

No, ale trudno — stało się.

Dziwna rzecz, żem się dopiero teraz spostrzegł, jak jestem, pomimo licznych stosunków, samotny!

Tylu znajomych, kolegów, przyjaciół od pióra od knajpy, od spódniczki, ale ani jednego od sercaj

••.

Miałem dobre przeczucie. Chcieli mnie zbabrać najwyraźniej. Przed chwilą był Koscicz i gdy mi pobieżnie, łagodząc niewątpliwie słowa, zakomunikował tekst cyrografu, przy którym się upierają, z oburzenia ledwiem się zdobył na wykrzyk: — Co?

— Oczywiście! — potwierdził Koscicz — to też powiedziałem im bez ogródki, że żądania ich są niemożliwe do przyjęcia; po południu mamy się zebrać powtórnie. Widząc, że sprawa się komplikuje, chciałbym pana prosić o wyznaczenie granicy ustępstw...

— Dziękuję! — przerwałem mu żywo — i oświadczam, że wobec takiego postawienia kwestji o żadnych przeprosinach z mojej strony nie może być mowy.

— Cóż? Więc pojedynek?

— Chociażby, ale poważny! nie chciałbym, by zakrawał na szopkę...

— Błahy powód! błahy powód! — powtarzał zafrasowany Kosicz — ale trudno, kiedy wyraźnie przypierają do muru. Może to strachy na lachy, a w takich razach istotnie dobrze robi zażyć na ostro, choć można się zawieść.

— W każdym wypadku jestem i będę panu wdzięczny! — odezwałem się, ściskając go mocno za rękę.

— A masz pan przynajmniej pojęcie o strzelaniu?...

— I owszem, za czasów uczniowskich polowałem dużo, miałem też okres pistoletomanji i doszedłem do względnej wprawy, od kilku lat jednak nie miałem broni w ręku!...

— Fechtunku — ani dudu?

¹— Bijaliśmy się ongi domorosłym sposobem w palcaty...

— Domorosłym! to na nici No, jakoś to będzie — uśmiechnął się sympatycznie i wyszedł.

Pod wieczór zjawił się Wrocki z miną uroczystą i tajemniczą.

— Alea jacta est! — wyrzekł sentencjonalnie, i gładząc rękoma cylinder, przyglądał mi się pilnie.

Dla zamaskowania rozjątrzenia, które zadrgało mi pod piersiami, począłem pogwizdywać, wybijając takt nogą...

— Jutro o 6-ej zajdziemy po ciebie — recytował Wrocki — meta 15 kroków; po komendzie: raz! w ciągu czterech sekund strzał wolny; pistolety gwintowane z muszkami i wizjerami — ostatni wyraz wymówił niepewnie i wlepił we mnie oczy. Zrozumiałem, że węższy mój strach.

— Z dwoma wizjerami, czy z jednym? — bra-

Żem go na fundusz, domyśliwszy się, że się absolutnie nie zna na tych puszkarskich terminach.

— No z wizjerami — powtórzył - zresztą Kosicz ma protokół.

— Jeżeli tylko z dwoma, to głupstwo — drwiłem, siląc się na obojętność.

— Zapewne — choć Rudzki podobno kapitalnie strzelał trafia w asa! — dodał z ubolewaniem.

— Całe szczęście, że nie jestem żadnym asem!

— Dowcipnie! ale zawsze... Wierz mi, że robiłem, co mogłem — to ten warjat Kosicz!

— Niepotrzebnieś się fatygował; chodziłeś przecie nie w obronie mojego życia, lecz honoru! A Kosicz jest dżentelmen, nie żadna fujara. Zresztą prosiłem go o takie warunki.

Wrocki, zбитy z tropu, umilkł na chwilę; poczem, spostrzegłszy, że nastąpiła zmiana ról i zamiast, by on igrał ze mną, ja się z nim droczę — zjeżył się i rzekł sucho:

— Winszuję ci zimnej krwi i życzę jej na placu!

— Zapewne w myśl tego życzenia napomknąłeś niechcący o rzekomym kunszcie strzeleckim Rudzkie* go?... — wtrąciłem złośliwie.

Wrocki zmieszał się i jakby się zmartwił naprawdę.

Henryku — zaczął z innego tonu — być może, że popełniłem niezręczność, sądziłem jednak, że w takim stosunku, jak nasz...

— To jest w jakim? — osadziłem go.

— Chciałem powiedzieć szczerym i przyjacielskim, ale widzę ze zdziwieniem, że coś się nagle zepsuło między nami. Nie poznaję cię.

— Ale ja ciebie za to — wybuchnąłem — doskonale! Zawsześ ten sam! Przyszedłeś napawać się moją obawą, patrzeć, jak mi dzwonią zęby i drżą mankiety; zachciało się upolować na gruncie mojej duszy trochę wzruszeń —■ gratka nielada!

Popsuto się? Kie a nici Żeśmy się po ptjanemii lizali i pili bruderschaft, to nie znaczy jeszcze, bym na trzeźwo nie dostrzegł tej antypatji, która nas stale roztrąca...

— Antypatji? Ja do ciebie?! — cedził Wrocki— z jakiej racji, za co?...

yr Za co? Niecierpię cię za to właśnie, za co się brzydę sam sobą: za fałsz, za skoszlawioną wrażliwość, za metodyczne świadome kłamstwo; za roztrwoniony płomień duszy w bladze literackiej!... Gdybym jutro zginął, byłbyś w stanie wyczelować z tego powodu rzewne wspomnienie, bo w tobie już się wszystko transponuje na wiersze. Masz cerę, jak bibuła, farbę drukarską w żyłach, zatrueś się' ołowiem czcionek i tym jadowitym wyziewem zaraziłeś mnie... Jak koloraturowej śpiewaczce drga w gardle tryl, tak nam się ciągle skręca język we frazes. Wielkie słowa bełtają się w zbutwiałej piersi. Zanurzeni po szyję w gnojowisku, możemy z bezczelną swobodą deklamować hymny do słońca. Myszkuje po ra* nach ludzkich, po najdyskretniejszych zakątkach zbolełego serca, by wyłupać stamtąd pomysł do nowelki!... Tybyś dla sensacji na dwie szpalty spalił Warszawę, nowożytny Neronie, kurjerkowy Cezarze! Kochankę-byś zarznął za nowy ton, brata rozpruł dla świeżego porównania... Po hulaszczej nocy w tin- gel-tanglu, przy biurku stajesz się święty i ronisz na temat rozpusty atramentowe łyzy, wstrętne, jak kleksy!... Ciebie zdaleka czuć czernidłem; patrz! włosy ci się jeżą, jak istne stalówki; uważaj, bo się rozlecisz: jesteś cały pocięty na paski, szpalty; za dziesięć kopiejek od wiersza wnet się rozwijasz z niczego, jak papierowy wąż w ręku magika!...

Urwałem z braku tchu.

Wrocki stał blady i osłupiały; kąty ust krzywiły się w wyraz cierpki i prawie bolesny.

— Widzę — wyrzekł z trudem — ie, pomimo pozorów męstwa, upiór jutra odbiera ci zmysły.

To nikczemne posądzenie podziałało jak okład z lodu; w jednej chwili odzyskałem panowanie nad sobą i, pragnąc go zwieść, bąkałem ze świetnie zrobioną skruchą:

— Mylisz się, u podstawy mego uniesienia leży co innego: zazdrość mnie pożera — rozumiesz? Jalousie du metier — nędzne uczucie!... Zawadzasz mi, zaćmiewasz wszechstronnym talentem, na każdym polu zastaję ciebie, jako groźnego rywala...

Wrocki przyglądał mi się podejrzliwie.

Spuściłem skromnie oczy, jak najwprawniejszy kabotyn, uśmiechając się smutno.

I co to jest próżność; twarz Wrockiego złagodniała.

— W każdym razie... — zaczął.

— Jest to stan nad wyraz przykry: wleż w moją skórę, a zrozumiesz katusze stałego rozdrażnienia.

— Ha, trudno! — uśmiechnął się błogo — nic dla ciebie pod tym względem uczynić nie mogę; licytujmy się owszem, ale i n p 1 u s...

— Wolałbym in minus — szydziłem, wzdychając melancholijnie.

— A ja wolę zamknąć dyskusję. Pamiętaj, że jutro musisz być spokojny; możemy kiedyś pogadać na chłodno o tym drażliwym temacie, a teraz idź spać!...

Zawahał się i podał mi rękę, którą uściśnąłem odruchowo.

Kiedym ochłonął, doznałem wrażenia ulgi, jakobym załatwił zadawniony ciężki rachunek. W rezultacie zbeształem w nim siebie i to mi sprawiło rodzaj satysfakcji. Widmo pojedynku nie zawadzało mi nic a nic. Rozumiałem dokładnie, że warunki są ostre, ale przypuszczenie, iż mogę zginąć, przedsta-

If

wiało mi się niby przykład fikcyjny, oderwane wyobrażenie, ślizgające się swobodnie po powierzchni mózgu.

Śmierć, moja własna śmierć wydała mi się czemś tak odległym, trudnym do pojęcia, a zwłaszcza od jednego wystrzału wprost bezsensownym, że myśl o niej łączyła się niemal z wesołym, skłonny do kpin nastrojem, w jaki nas wprawia nieprawdopodobnie zabawna przygoda.

To też nie bałem się wcale; podniecała mnie jedynie nowość sytuacji, w jakiej się miałem znaleźć niebawem; lekko drażniła nerwy stara znajoma trema, targająca mnie zwykle przed każdym publicznym występem. Starłem się uprzytomnić sobie dokładnie, jak się to wszystko odbędzie. Korciło mnie nadzwyczaj drasnąć kulą Rudzkiego, nie przez mściwość lub gniew, który już zwietrzył zupełnie, ale tak sobie, dla próżnego triumfu, dla puszczenia po mieście miłego echa, że biliśmy się nie dla formy i że ze mną zadzierać niebezpiecznie. — To w każdym razie dobrze robi — pomyślałem radośnie i nadto jaskrawe wyznanie jakby mi rozdarło owrzodzenia duszy.

Spłynąłem ohydną posoką, wzdrygając się:

— Na com ja już zeszedł; pochlebny Jielkot ulicy mnie łechce; na jakie słupy gotówem się drapać ku uciesze gawiedzi!

Płaski gad ambicji stoczył godność osobistą ze szczętem.

Zataiłem się przed sobą ze wstydu, zdławiony, zalany goryczą.

Zbudził mnie trzask otwieranej bramy.

Późno było. Ze wszystkich stron kamienicy szklily się sztywne szyby wygasłych okien, jak ślepe oczy. Wokoło zwolnionym, przytłumionym gwarem huczał młyn miasta. W lichym strzępie płachty zbrukanego

nieba tliła się nieśmiało niska gwiazda; koty, orły blaszanych szczytów, darły się dziko.

— Spać czas! No i list na wszelki wypadek warto zostawić — przypomniało mi się z jakiejś powieści i odsunąłem szufladę. — Ale do kogo? — w miękki samotny smutek, jak ptak w swoje pióra, wtuliło mi się zziębłe serce.

W posępnej samotności począłem machinalnie przerzucać stare szpargały, cofając się w przeszłość ich śladem.

Mijałem pośpiesznie, niecierpliwie widne brutalne koszary świeżego zgiełku, dążąc z zapartym oddechem w rodzinne zacisze, w tę dal minioną, osnutą słodkim zmierzchem, majaczącą w sinych, pachnących mgłach.

Znalazłem swój gruby dziennik. Z kilku przejranych stron buchnął na mnie zwichrzony, odurzający tuman siedemnastoletnich uczuć i marzeń, gorący, jak płomień, upajający, jak kwietnik purpurowych róż.

Dalej leżała paczka listów rodziców, jedyne widome dziedzictwo umarłych. Kartki wyżółkłe, jak światło gromnicy, spłowiałe pismo, niby zaschłe łzy; wypieczone nad lampą na papierze półkole na podobieństwo glorioli świętych w zaśniedziałych obrazach.

Listy z wioski zapadłej w piaskach, w sosnowym lesie, nad cichą rzeką, z dworku do okien wrosłego w ziemię, z pod którego omszałego dachu wyrażały się na chwałę i wesele, a wracały na śmierć zgarbione niedolą pobite szeregi pokoleń.

Mus — króciutkie słowo — sprzedał na kołki, na parkany, na podpałki te czarne belki, do których przywarło tyle westchnień, żarliwych pacierzy, gorących łez; krwawego potu, klęsk życia, że bez święcenia mogły iść na ołtarz Bogu, na krzyże Męki Pańskiej, na trumnę bohatera.

Chłonałem rdzeniem serca rzewne, proste, bez

żadnego stylu związane wyrazy. Usypiały mi w żyłach tętna krwi. Ciche, żałobne marzenia o jakichś gasnących wieczorach miłości, o szumnym przelocie ptaków szczęścia nad głową, ginących w nieprzejrzanym mgle, wyzuły mnie z sił i, jak omdlenie, położyły na łóżko.

Czułem, jalc mnie kołyszą na sen fale śmiertelnej tęsknoty, melodyjne i smutne, fale bezbrzeżne, niewiadomo skąd i dokąd idące, jak głuche, dalekie granie wiecznie wzruszonego morza.

Bez oporu tonąłem w ich zalewie, jakby wciągany w głąb obcą pieszczotliwą mocą.

•••

Wszystko odbyło się trochę inaczej, niż sobie wyobrażałem, a zwłaszcza niespodziewanie prędko.

Przeciwników zastaliśmy na placu; po wymianie ukłonów, sekundanci oddalili się na stronę; pocziwy doktor Sijeski, który wmawia we mnie neurastenję, parał się jakąś szkatułką, a ja z Rudzkiem przyglądaliśmy się dawno niewidzianej wiewiórcie, migającej, niby rudy płomień, między gałęziami potężnego świerku.

Rozmierzono metę na niedużej polanie, porosłej nędzną trawą.

Stanęliśmy.

Szocki wyrecytował suchym głosem zwięzłą, pojednawczą przemowę. Następnie Kosicz wyrzekł kilka zdań w tej samej materji, ale tonem tak serdecznym, że byłbym pewno wyciągnął rękę, gdyby nie zabójcza flegma, z jaką Rudzki przecierał binokle. To mnie rozdrażniło, a figlarne, jakby życzliwe, a zarazem przekorne jego spojrzenie rozjątrzyło mnie do reszty.

Kurczowo ścisnąłem podany pistolet.

— Raz! — podniosłem broń do oka. — "Dwa!" — brzmiała miarowa komenda. — Trzyl — rozległ się

stłumiony strzał i dyskretne świsnięcie tuż koło ucha, które mnie zniewoliło pociągnąć za kurek.

Buchnęło i wąska smuga dymu zamroczyła mi oczy na moment.

Kiedym przejrzał, Rudzki, oparty o czerwonawy pień sosny, stał na jednej nodze, a drugą podgiętą oglądał poniżej kolana.

Wszyscy czterej sekundanci razem z Lipskim oto- czyli go w jednej chwili: pozostałem samotny w dziwnym rozproszeniu całej istoty.

— Nie marnuj mi tylko doktor spodni — postyszałem wspaniały głos Rudzkiego, który echo poniosło po lesie.

— A gdzież on? — wyjrzało z poza cylindrów jego lwie oblicze. — Stoi zdrów i cały!

— No, no! — potrząsnął głową, jakby z podziwem. — Chodź pan — przewierciłeś mi łydkę, boską łydkę, którą z takim nabożeństwem modelowali paryscy rzeźbiarze. No, daj rękę, wandalul

Uścisnęliśmy się.

Rudzki, podpierając się, rzec można, wątłą postacią Zemlera, któremu tik nerwowo latał po policzku z niezwykłą szybkością, wpakował się do karety.

Ruszyliśmy się również; w drodze milczący Kosicz rozgadał się na dobre.

— No, panie — odetchnął: ujmując mnie za łokieć — jakby mnie kto na sto koni wsadził! Rana głupstwo, będzie za tydzień wycinał hołubce. Miałem przez was noc niewesołą; bo trzeba panu wiedzieć, że Rudzki niegdyś djablo strzelał, a przytem dziwny to człowiek, nieobliczalny, po którym można się spodziewać najlepszego i najgorszego. On jest w stanie tak sobie en passant zdmuchnąć człowieka, jak świecę, i ani się obejrzyć.

Swoją drogą musisz go pan odwiedzić jak naj-

prędze), choćby jutro!... Podaliście sobie ręce, więc tnaczy niema urazy.

— Co do mnie — odparłem — to nie czułem lej ł przedtem.

— Właśnie tembardziej, szczególnie, ii dałbym głowę, że Rudzki parł do pojedynku ot tak sobie. No, ale trafiła kosa na kamień i mogło być nieszczęście. Tak to przez drobiazg, przez brak gwoźdźcia w pod' kowie, niejeden jeździec kark kręci!... Właściwie za tę dzisiejszą naszą wyprawę należą się nam baty, a mnie, jako najstarszemu, bizun najgrubszy. Bo rozumiem: zdarzają się brutalne potrącenia, nadeptanie jakiegoś tak serdecznego guzika duszy, że następuje gwałtowne rozprzężenie całej istoty ludzkiej, przeistoczenie wszystkich władz w bezkształtną, zmieszaną z błotem i śliną, skrwawioną masę czucia, dla którego zmiżdżenie przeciwnika staje się najpilniejszą, niemal organiczną potrzebą, jak wycie dla kopniętego psa. I wówczas pojedynek, choćby amerykański, jest klapą bezpieczeństwa, ujętym w pewien kodeks uplis- tem dla nabrzmiałych krzykiem mściwego bólu instynktów... Można też gwoli opinji publicznej puknąć sobie z daleka... Ale tak ni z tego, ni z owego — Ko- sicz skrzywił się i machnął niechętnie ręką.

— Ja tu wysiadam — dodał po pauzie. — Muszę być na dziesiątą w sądzie.

— A ja w redakcji — odezwał się nakoniec Wrocki.

Rozstaliśmy się. Pozostawiony sam sobie, uczułem straszne znużenie, jak ścięty z nóg, ledwiem wygramolił się na schody. Wchodząc do pokoju, wstrząsnąłem się febrycznie, przerażony do głębi. Przyczajony, blady, trupi lęk teraz dopiero wychynął się z kryjówki, strosząc mi włosy na głowie, chwytając zimnem pod kolana.

Jrwało to krótko, a potem nastąpiły przewlekłe

minuty ciągnącej się, jak klej, obrzydliwej apatji, podobnej do tych bezmyślnie nudnych gam, które jut wybrzękiwały nade mną i pode mną dwa, bez słońca rosnące na stare panny, podlotki przybite, anemiczne, trzecie córki przykutych do biurka, szarych jak asfalt urzędników.

Nazajutrz odwiedziłem Rudzkiego. Przywitał mnie t łózka okrzykiem:

— Witaj, bohaterze! Pakuj się w fotel; mam tu coś dla pana.

— O! — podał mi dziennik poranny — proszę, czytaj pan głośno.

„Wczoraj w pobliżu pól Grochowa odbył się poważny pojedynek pomiędzy znanym w szerszych kołach filozofem i estetą panem E. R. i młodym, lecz utalentowanym literatem panem H. O.; przyczem p. R. otrzymał lekki postrzał w nogę.

Przyczyną orężnej rozprawy była ostra dyskusja z powodu głośnej premjery teatralnej. Oryginalne tło tego zajścia jest, bądź co bądź, faktem charakterystycznym i wysoce znamienym. Oto nagle pojawia się w środowisku naszym gotowość walczenia o sztukę z bronią w rękę. Huk kruszących się lodów wróży wiosnę, bujność, słoneczność, uniesienie! Kto wie, czy ten wystrzał nie jest również taką zapowiedzią pęknięcia zapleśniałej skorupy obojętności społeczeństwa naszego dla spraw artystycznych?

Pragniemy wierzyć, że taki I z tej racji, choćby to się miało komu nie podobać i ściągnąć na nas gromy oburzenia, wtórujemy temu wystrzałowi z całą sympatją entuzjastycznym, niebosiężnym:

Evviva l'artel"

— Jezus! Marja! — wyrwało mi się z ust — któż to pisał?!

— Wrockił — grzmiał Rudzki śmiechem. — Och! — krztusił się — aż mnie bebechy bolą. Wyobraż pan sobie, był wczoraj u mnie, Nudziłem się,

opatrunek piekl i przyszedł mi kapitalny koncept zaszcześcić mu powyższą ideę. Przyznam się, że nie- bardzo liczył na powodzenie.

Aż tu dziś patrzę: jest! owocuje moja płonka w najlepsze... No, no, jakie parę tygodni mamy zapewnione bajeczne wzięcie we wszystkich fajfoklo- kach, zwłaszcza pan, jako pogromca. Ja bo nawet nie mogę nosić nic na temblaku, chyba po szkocku z gołemi łydkami?...

Ale, a propos, czyś pan kuli mojej nie słyszał zupełnie?

— I owszem, i to bardzo blisko koło ucha!

— No, patrzcie, co to wyjść z wprawy; mierzyłem powyżej brzegu kości policzkowej, w przewidywaniu, że jeśli nieco zgóruję, trafię w skroń — a tu gdzie Rzym, gdzie Krym? — Fatalne pudło!

— Poważne były zamiary — po pauzie zdumienia wyrzekłem, przymuszając się do uśmiechu, który mi się nagle zwarzył w coś szorstkiego. — Nie przypuszczałem, że pan potrafi być tak dalece zawziętymi

— Zawziętym? Przytem „dalece”? — powtórzył Rudzki. — Pan mnie posądzasz o skarb, o zdolność do mocnych uczuć, gdy mnie tymczasem wszystko ani parzy, ani ziębi. ■ Jestem tylko ciekawy, chciałem poprostu przekonać się, jak wygląda celny strzał do człowieka; przypuszczam, że musi to być coś więcej zajmującego, niż tir aux pigeons. Ach, cóż za grymas zgorszenia! Oczywiście sądzisz pan, że istnienie ludzkie, a zwłaszcza pańskie jest czymś znacznie donioślejszym, niż egzystencja gołębia. Trzebaby o to spytać gołębia.

— W danym wypadku interesuje mnie znacznie więcej pańskie — przerwałem sucho.

— Ja na tym punkcie nie mam jasno wyrobionego zdania. Wiem zato dobrze jedno: pomrzemy

wszyscy, nie dziś, to jutro! Jest to więc tylko kwe- stja czasu.

Że zaś w chwili śmierci dziesiątek czy setka lat przeżytych wydaje się mniej niż momentem, bo przeszłość, jako nieistniejąca realnie, jest pozbawioną rozciągłości, a obraz jej — perspektywy, nie widzę słusznej racji troszczyć się zbytnio o długowieczność swoją, a tembardziej cudzą!...

— Od kiedyż to, jeśli wolno wiedzieć, przyszedł pan do tych wniosków? — spytałem z przekąsem.

Rudzki popatrzył na mnie filuternie, zlekka przy- mrużonemi oczyma.

— Nie od chwili strwonienia majątku, zaręczam, choć może panu to się wyda podsyrzanem, ale znacznie wcześniej! Nie potrafię, rozumie się, ściśle określić dnia ani godziny; powiem tylko, że skłonność do wyluskiwania prawd rażących objawiałem od dzieciństwa; była to wrodzona zdolność mej cynicznej, jak mówiono, natury. Ach! przecież pamiętam wybornie, kiedym wreszcie skończył jakoby nauki, mój świętej pamięci rodzic, który, pomimo olbrzymiej fortuny, zrobionej na budowie domów, pracował w dalszym ciągu od świtu do nocy, zapragnął mnie przyprządz do swego kieratu.

Opirłem się temu stanowczo.

— Nie, papo — oświadczyłem — mówiłeś mi ty- lekroć, że zbijałeś dla mnie majątek, sądzę więc, że ci zrobię jedynie przyjemność, jeżeli spożyję owoc twoich zabiegów, bez troski, swobodnie, jak ptak, który ani sieje, ani orze...

Ojciec mój osłupiał.

— Jakto, trutniu! — zaperzył się — więc ty śmiesz mi cynicznie mówić w oczy, że zmarnujesz to, co zgromadziłem w pocie czoła?

— Dla mnie przecież, papo!

— Ale nie na roztrwonienie; chciałem ci dać podwalinę bytu, gotowy warsztat do pracy, abyś nie

potrzebował zaczynać z niczego. Liczyłem, że rozwiniesz interes i, jak ja- tobie, zostawisz swoim następcom świetną firmę.

— Dobrze — mitygowałem oburzonego starca— przypuścmy, że zastosuję się do twego życzenia i nietknięty, a nawet zwiększony majątek zostawię dzieciom, oczywiście w myśl twych zasad, nie na użycie, lecz jako kapitał, który pomnożony winny przekazać wnukom i tak dalej i tak dalej. Słowem, każde bieżące pokolenie, jak się też w istocie powszechnie dzieje, ma się trudzić, wyrzekać się wielu darów życia dla następnych, te z kolei dla przyszłych — i tak w nieskończoność.

Wiecznie pościć, suszyć przy suto zastawionym stole w przewidywaniu jakichś tam zagórskich gości, którzy w dodatku też nie zasiądą do biesiady, oczekując nowych przybyszów, czyż może być większy absurd, bezmyślniejsze marnotrawstwo? Nie! Niech każdy ma swoje c o n t o. Ja będę żył na własny rachunek, za samego siebie! Nie chcę, nie potrafię i nie rozumiem, jak można umartwiać się i czegokolwiek wyrzekać przez troskliwość o nieistniejących dalekich, nieznanym mi ludzi!

Uparty starzec obciął mi pensję i zapracował się na śmierć.

Odziedziczywszy wszystko, zawiąłem się po swojemu, prędko, w przeciągu dziesięciu lat puściłem sześćkroć, jak oko.

Używałem, ale. nie użyłem. Na każdym kroku przeszkadzało mi widzenie brutalnej prawdy. Co to długo gadać, kiedy nawet miłość, najmocniejsza esencja rozkoszy ludzkiej, nie była w stanie czujności mojej upoić!

Poprzez uroki wzorzystej przędzy, w którą się lubi ten instynkt osniawać, przeświecał mi zawsze wyraźnie ostateczny cel, istotny rezultat: nieestetyczne, pozbawione wszelkiego wdzięku obcowanie

fizyczne! To też nie mogłem być ant rusz poetą w miłości, lecz jedynie doświadczonym maszynistą, świadomym wszystkich sprężyn, trybów, dźwigni tego pociągu, który bez względu na ilość zwrotnic, zakrętów i tajemniczych tuneli, wyładowuje się wiecznie na tej samej stacji ku zawodowi naiwnych pasażerów, puszczających się w tę podróż z torbą złudnych uniesień. Ja zawsze miałem tor oświetlony jaskrawię i widziałem, jak i dokąd jadę. Włókna mego mózgu, jak druciki elektrycznej lampy, żarzą się ustawicznie; powabne twory zmierzchu, mamidła zagadkowej ciemności, są dla mnie dziedziną niedostępną. Mózg mnie przytłacza. Wszystko mi się odbywa w przeraźliwym blasku białego dnia!... To w końcu nuży.

Rudzki umilkł. W źrenicach mu zawibrowały cienkie, metaliczne połyski, niby migotanie igieł. Kąta ust prześliznął się szybki uśmiezek, ostry i bolesny, i znikł, jak lśnienie.

Zesztywniałe na moment rysy twarzy przybrały po chwili zwykły wyraz niedbałej pewności, z którym mówił:

— Apetyt mój okazał się w gruncie rzeczy mizernym. Przekonałem się, że ta energia, która zdaje się tryskać wszystkimi porami mego wielkiego cielska, jest właściwie ledwie werwą, czymś w rodzaju musowania szampana, który z hukiem wyrzuca ale korki tylko, pieni się, szumi, niby przelewa przez brzegi kielicha, aż raptem gaz się ulatnia, piana kurczy, opada i w przepelnionem pozornie naczyniu ledwie coś się belta na dnie.

To też, gdym stosownie do obietnicy, danej ojcu, wyzuł się z jego dziedzictwa w przyśpieszonym z umysłu tempie, z pewną złośliwą satysfakcją wydobyłem z futerału mój „Smit i Weston” i zajrzałem w czarny otworek.

— Oto jest dmuchnięcie, którym cię w jednej chwili mogę zgasić, nieznośna świeco! — przemówi-

lem do świadomości w nadziei, że zmruży wytrzeszczone ślepie i zmętnieje raz wreszcie.

Tymczasem płomyk jej ani drgnął, przeciwnie: wydłużył się, rozdał, jakby czemś podsycony i zajaśniał przezroczystym ogniem.

— Niech cię piorun trzaśnie! — zakląłem, odrzucając rewolwer, i jednocześnie, jak objawienie, olśniła mnie myśl: toż ja, do licha, pobrnąłem zupełnie fałszywą drogą! Bez najmniejszego talentu, bez szczypty życiowego natchnienia, podjąłem się tej nedorzecznej komedji d e l i a r t e, która się na widowni świata od wieków rozgrywa, czynnej roli, mając zaledwie kwalifikacje na postawnego figuranta, milczącego statystę, nic więc dziwnego, że zrobiłem fiasco.

Zato niewątpliwie tkwi we mnie świetny ma- terjał na widza. Stwierdziwszy to, usunąłem się z trupy, ze sceny przesiadłem się do krzesła i patrzę, bawiąc się nieraz wcale nieźle.

Sztuce można wiele zarzucić, jest naprzykład Za rozwlekła, ale posiada dużo interesujących momentów, zawiłe sytuacje i znakomitą obsadę, świetnych aktorów, traktujących swe role zupełnie serjo, rzetelnie, z prawdziwym przejściem, a nawet z wiarą 'w jakieś posłannictwo mistyczne.

Widowisko przedewszystkiem urozmaicone. No, choćby ten wasz świat artystyczny, gdzie się dzieje wszystko na pokaz, czyż nie jest efektownym zespołem arlekinów, żonglerów słowa? Masz pan więc i panopticum, v a r i e t e s, szopkę, teatr ma- rjonetek, farsę, żywe obrazy, tragedję, co się komu podoba, przytem bez żadnych antraktów, kurtyna wiecznie otwarta, suflera nie słyhać, a bilet gratis. Czegóż chcieć więcej? To też gdyby nie to, że i tu mi trochę bywa za widno i "często z pod szminki dostrzeżony trąd lub łachman w kostjumie razi, mógłbym długo jeszcze....

Rudzki urwał, przeciągnął się leniwie, podnosząc do góry prężące się mocno ręce, i ziewnął potężnie:

— Och, jak się czasem nagle spać zachciewał Panu sen służy?

— Niebardo!

— A w dzień możesz pan zasnąć?

— Nie zawsze!

— Ja zaś na zawołanie, a w tej chwili nawet z ochotą. Całą noc przemyślałem....

opatrunek dó- skwierał!

Zrozumiałem, że audjencja skończona.

Wizyta okazała się w skutkach ciężką. Łatwiej z nim się strzelać, niż obcować sam na sam.

Po tych jego zwierzeniach czuję się tak, jakby mi grzyb rozjadał zrąb duszy.

Głowa mi pęka. Państwo z przeciwka sprowadzili sobie gramofon i kręcą go dzień cały. Doszło do tego, że dostaję dreszczów na sam widok tej mosiężnej trąby z rozdziawionym, błyszczącym wylotem. Mam uszy rozdarte od skrzypiących taktów udanego śpiewu. Reszta piętr zato szaleje z uciechy. Nic dziwnego: zamieszkują je ludzie urodzeni w murach, którym plafon sufitu zastępuje niebo, palniki Auera — gwiazdy, kilka oleandrów pod markizą — las, bruk — murawę, a pieśń żywej piersi — dygotanie mechanizmu. Chwilami napastują mnie przypuszczenia, że kiedyś cała treść inteligencji ludzkiej wcieli się w maszyny, a człowiek przekształci się w jakiś przewód pokarmowy, w polipa wkręconego w ich tryby, automat całkowicie zależny od tych stalowych istot, ściśle wyrachowanych, dokładnych, obojętnych, jak lodowiec. Dusza zniknie, stając się jakąś zdolnością szczątkową, a zbyteczne jej wzruszenia będą wywoływały takie wrażenia podziwu i komizmu, jak dziś osoba strzygąca uszami. Czasem majaczy mi się, niby we śnie, jak dźwiga się naprzód morderczym pochodem kamienne miasto, miazdząc rośliny, ptaki i zwie*

rzęta. Ceglaste, jak krew spiekła, mury zagrodzą
glob cały. Ziejące dymem straszliwe gardziele kominów oślepią słońce. Centralna stacja
elektryczna nerwami drutów rozsiewać będzie głosy i światła. Cen* tralny warsztat siecią rur
i szyn będzie dostawiał porcje odzieży i strawy. Centralny buduar stanie się zakładem
antropotechnicznym, przy nim w centralnej hali jeden wielki motor będzie niańczył w
gumowych łapach niemowlęta, a w centralnym grobie mechaniczne świdry drucziane stoczą
ciała umarłych*

W ocembrowanych morzach legnie trupem woda i zdławione wichry pod krzyżami
mostów żelaznych. Padną na płask góry zryte prócz jednej, centralnej, skąd potworna pompa
będzie ssawkami wtłaczała w studnie kamienic określone dawki powietrza.

A potem wszystko się zleje razem: mury w skałę monolitu, kominy w krater olbrzymi,
bogacze we wzdęty jak balon brzuch, urzędnicy w ogólny s i t z- f l e i s c h, ludność robocza
w jedną, jak sosna opalona, szerniałą rękę, my, literaci, w olbrzymią szczotkę najeżoną
piórami i przyśrubowaną do maszyny rotacyjnej, a Rudzcy wówczas w kopułę łba palną sobie
z armaty, bo życie stanie się śmiertelnie jednostajne i nieciekawe zupełnie. W tym kierunku
przynajmniej dąży ewolucja ze swą specjalizacją, żelazną dyscypliną, paragrafami na
wszystko i tresowaną w koszarach ludzkością.

Trzeba się jednak, póki czas, choć samemu ratować.

Czuję, że jestem tym trybem życia potrzaskany, zasypywany do pół duszy jakimiś gruzami,
w które się zapadam coraz głębiej, i rozdrażniony do tego stopnia, że pobudliwość moja staje
się wprost anormalną. Onegdaj, na przykład, ledwie nie wytuział łobuza, który ml piszczącą
cewkę drewnianą chciał sprzedać jako słowika. Wczoraj, zobaczywszy zdjęty bruk i
rozkopaną do gruntu glinę, ledwie się opafl po-

kusie, by nie paść na nią, jak niegdyś, kiedy w gwałtownym, namiętym porywie rzucałem się piersią w trawę lub na rolę i słyszałem pod sercem, w dalekich głębiach jakgdyby drugie, głuche, dumnie bijące tętno, które rozogniało miłość do tej ziemi i wciągało myśli w mogiły krwawych pogromów i świetnej chwały. Po minutach gorączkowego podniecenia, nierzagle, bez widocznego powodu, następują rozwlekłe, upadłe godziny, walące się w przeszłość ciężko i bezdźwięcznie, jak bryły ołowiu. Woskowa wrażliwość tężeje na granit, o który się szczyrbia rąbania najostrzejszych wrażeń.

Staje się tak zwartym wewnątrznie, że aż mnie boli to jakieś prawie srogie zacięcie się w sobie. Czuję się jak w szczupłej celi więzień, okuty na rękach i nogach w pudowe kajdany. Ramy okna wydają mi się kratą, a ten dudniący za niemi, nieprzerwany tar-tas ulicy czemś bezlitosnem, obrażającym i haniebnem, niby szydercze urągowisko rozbestwionej gawiedzi nad płynącą skrycie krwawą łzą wieczystej niedoli...

Budzę się w czas posepny, jakby otruty goryczą, zupełnie samotny, więcej niż na odludnem pustkowiu, na jakichś ciągnących się bokiem świata bezdrożach, któremi błądzą tajemnicze smutki i zagadkowe niepokoje. Przesuwają się, niby jednostajne paciorki różańca z martwym, monotonnym szelestem, zadumane milczenia ciszy. Łka serce. I gdzieś, niby z cmentarnych katakumb wyjęty, zaczyna grać brązowy dzwon bezdennej tęsknoty, kołysze się, dźwięcząc melancholijnie, coraz piękniej, coraz sennej.

W pół oddechu wstrzymuje się tchnienie piersi, krew tętna swe zawiesza i staje się jakby na jawie niepojęty sen.

Z powłóczystego obłoku lotna postać wychyla ku mnie tkliwe, dziewicze oblicze o rysach tak delikatnych, jak rzeźba w eterze. Nie mocą wzroku, ale

M

zachwytem wzruszenia chłonę subtelne piękno widziadła, przeczuwam za ciemną zasłoną długich rzęs cudne, utopione we łzach oczy, odgaduję rzewnym smutkiem strwożonej duszy bolesne wycięcie rozchylonych w żaloszny pocałunek ust, śmiertelny wysiłek dźwigających się do uścisku omdlałych rąk.

Trwa moment słodkie zjawisko i rozplywa się w błękicie, jak melodyjny akord w przestrzeni, jak pachnące westchnienie kwiatu.

Znika wszystko. I znowu duszna klatka pokoju w hałaśliwym podwórzu, łoskot i wrzawa wokoło.

Muszę się przenieść, wyjechać, jak najprędzej zmienić mieszkanie, bo stracę zmysły w tym odmieciel

* . *

Prowadziłem przez sześć dni żywot posłańca. Zdeptałem mile chodników, miliony schodów, muszę żelować buty, ale znalazłem prawdziwy skarb, przy-tem bajecznie tanio: dziesięć rubli z usługą, a zalet tysiące, poczynając od bramy, za którą niema tej przytłaczającej, sklepionej nory, ale odrazu obszerny plac podwórza. W nim tylko jedna podłużna oficyna, piętrowa rudera, stokroć lepsza, niż studnie; na końcu przyklejona przybudówka: ów mój skarb.

Drewniane, dygocące, odkryte schodki na osłoniętych gontowym daszkiem ganeczek, wyłączne własne wejście, otwierane prostym kluczem drzwi, a za nimi przestronna bielona izba ze zwykłą podłogą i dwa weneckie okna, patrzące sześciu szybami prosto w ogród sąsiedniej posesji.

Granicę stanowią zielone sztachety, po których mogę w pokoju brząkać laską, a gdy się dobrze wychylę, omal nie palcami. Jeden gimnastyczny skok z parapetu, a dałbym nurka w zieloną kępę jaśminów i bzów, które coś z sobą szepczą i trwożą się pękami kwiecica, ilekroć na nie spojrzę.

— Nie bójcie się, nie zamroczę wasi Oplećcie się

w wieńce niebieskie i białe, w obłok aromatu!— Szemrzą, więc przenoszę wzrok na brzozy, które w świeżo rozwitem listowiu wyglądają jak jasny roz- prysk zielonkawego światła, zwisający w powietrzu; za nimi mocna zieleń trawnika, a pośrodku, między kasztanami, plecami do mnie, okrakiem na odłamku skały usadowił się nagi amerek, złotym grotem przez ramię mi grozi, a brązowym kołczanem ciska srebrne snopy wody. W głębi lekki włoski pałacyk, jeszcze niezamieszkały, ale widocznie lada dzień spodziewa się gości, bo go porządkują nagwałt.

Szkoda, bo gracują ślicznie omszałe ścieżki i z pewnością wysypią ostrym, bolesnym żwirem. Za pałacykiem znów sztachety, pusty plac, szary domek i gdzieś za nim dopiero większe budowle, mam więc widok tak rozległy, że mogę długo staczać oczy po cudnie zgiętej linii nieba, prawie do horyzontu, który musi być gdzieś niedaleko. Nad głową mi nikt nie tupie, za to, gdy przechyliłem się mocniej w fotelu, ujrzałem w całości pierzasty obłok, który skądś zabłąkany przeciągnął cichy i wdzięczny, niby żagiel na wklęsłym jeziorze. W nocy ujmuję całe konstelacje gwiazd, mam nieśmiałą nadzieję posłyszeć słowika, który może się zataić w tak ustronną dzielnicę.

A wtenczas zaczynają się rozkoszne, prawdziwie wiejskie wieczory, czarewne, upajające majowe noce, drgające śpiewem, zapachem i miłością. Choć i teraz jest mi już do tego stopnia dobrze, że wprost ruszał się nie chcę.

Zdaje mi się chwilami, że z promocją wyjechałem na wakacje.

Przypominają mi się żywo te pierwsze dni odurzenia, słodkiej, leniwej kontemplacji, niedbałego wywczasu. Wrażenie potęguje to samo uczucie zagmatwania w mózgu, który rozpędzony eg2aiiinami. zdaje się, jeszcze coś twardego miele; a właściw <

tylko jakieś resztki bezkształtnych myśli w kółko bbraca.

Od czasu do czasu chwytam machinalnie pióro i wodzę po tym papierze, nie zdając sobie jasno sprawy, jakie z liter składają się słowa, nie troszcząc się o budowę zdań; może gdzie nawet zbraknie przedmiotu, lub orzeczenia, to i cóż? W każdym razie muszą one pozostawać w jakimś związku z obecnym stanem mej duszy i kiedyś, gdy zechcę, wyłatać tymi skrawkami obraz ubiegłej przeszłości. Czy dokładnie? mniejsza o to. Nie zastanawiać się! Przedewszystkiem oddychać i patrzeć!

Trzeba jednak jeszcze dla ścisłości zanotować protokół zeznań gadatliwej gospodyni, beczkowatej pani Kaczmarskiej, właścicielki nieruchomości policyjnej 8, hipoteczny —• pal go djabli! tudzież pralni z magłem — bagatela!

W jej to twarde, jak pracze, dłonie z niezwykłą skwapliwością złożyłem całkowitą należność za komorne. Zaszczyciła mnie za to dłuższą pogadanką, która od kwestji czyszczenia butów, samowara, nie- wyprawiania breweryj po nocach, ostrożności z ogniem, wyrzekania na lokatorów, którzy, jej zdaniem, rekrutują się przeważnie z pod ciemnej gwiazdy, przeszła na sąsiedni ogród, przedmiot stałych jej wzdychań. Okazało się bowiem, że dziadkowi jej, mydlarzowi, trafiała się sposobność nabycia go za psie pieniądze, a teraz takie czasy, że trudno wymaglować „fondusz” na postawienie frontu, a o kupnie ogrodu niema co gadać!

Posesja ta przez kilka rąk, rosnąc ciągle w cenie, przeszła w posiadanie państwa Roinich. Z potoku słów w tej materji o jakimś pięknym ojcu, co umarł młodo, smutnej wdowie, utkwilo mi najmocniej w uwadze, że jest i córka, ale „pożal się Boże, czyste zmartwienie: ni z pierza, ni z mięsa, słaniające się

stworzenie, wiecznie słabe na chorobę nerwową*, o jakiej pani Kaczmarska - jak żyje nie słyszała.

Na nieśmiałą uwagę, że jednak takie niesłychane choroby się zdarzają, otrzymałem krótką replikę: „Z próżniactwa! — nie machać po nocach smyczkiem, ale postać z pół dnia przy balji, albo maglu, a w mig byłoby zdrowie, jak nie wiem co*!

Oczywiście ani pisałem o swoich dolegliwościach, bo zamaszysta baba gotowa-by mnie wpakować do pralni, albo co gorsza — wylać z mieszkania.

Zataiłem też sWój zawód literacki; strzelił mi koncept odpowiedni, że piszę pozwy do sądy, czem zaimponowałem jej wyraźnie.

*

* •

Nie zauważyłem, kiedy przyjechali! Właśnie weszła po raz pierwszy pełnia i patrzyłem z zachwytem w rozjaśniony, pachnący ogród, gdzie, jak złom marmuru pod srebrzystą łuską dachu, błyszczał ml w oczach ten pusty dom.

Wtem drgnął żywy jęk w głębi i z czeluści okna trysnęły śpiewne, wibrujące, rozlewne tony, ujmując mnie odrazu za seęce.

Lękliwy, rozkoszny dreszcz przecwałował mi. po całym ciele.

Moment bezwiednego oporu wciągane go morzem człowieka i natychmiastowe poddanie się tajemniczej władzy.

Straciłem z oczu wszystko i zatonąłem w rozkołysanych falach płynącej wprost na mnie melodji.

Muzyka zawsze odmykała mi tajniki duszy i podszeptowała jakieś półmyśli, półczucia niewysłowionej piękności, w powszednim toku życia zakryte; próbowałem czasem wyrazić je w słowach i choć chwytałem jedynie widma, rysunek tych cieni posiadał wiele powabu.

Ale jej gra jest czemś nadprzyrodzonym.

Chyba ma struny plecione z cierpiących nerwów, z włókien mrącego w smutku serca, a skrzypki sklecone z drzewa, które uschło z nostalgji.

Grała z natchnienia, improwizując porywczo.

Chwilami melodia trzepotała się boleśnie, plą* cząc się w obłądne spazmatyczne akordy, które huczały mi w głowie, jak wichry szaleństwa.

Muzyka trwała niedługo i pękła nagle w pół tonu, jakby raptem opadły zemdlone ręce.

Ogród mi się w oczach odmienił: drzewa przybrały dziwne kształty chwiejnych melancholijnych postaci, kiście okwitających bzów i świeże pęki jaśminów szeptały rytmiczne, odurzające a niepojęte wyrazy.

Biały amarek zdawał się jakimś skulonem, wy- straszonym dzieckiem, porzuconym w nocy samotnie. Wiązka bladych księżycowych promieni sączyła mu się w kołczan, a przygasła iskra, niby kropelka krwi, migotała na ostrzu złotej strzały. W piersiach mi za- łkał nieutulony żal...

Orazu miałem mgliste przeczucie, że nie jestem tylko przygodnym słuchaczem, lecz, że jakiś węzeł mistyczny dzięrga się między nami.

Jakoż fibry mej duszy stały się szybko czułym kamertonem jej skrzypiec, który, współdźwięcząc ze strunami, jednocześnie i tony ich stroił.

Po trzech dniach graliśmy wspólnie, jakby oddając sobie smyczek naprzemian.

Zaczynała ona swe muzyczne zwierzenia tajemnic najskrytszych. Rozedrganiem minorowych tonów wyznawała najgłębsze tęsknoty, w tkliwych pianissimi- mach roztopiała ciszę swych smutków. Dźwięczały boleśnie żale wielostrunne, przeciągłe, zawodzące monotonną melancholją. W spazmatycznych, burzliwych akordach wibrowały nuty namiętne, rozdarte dysonanse buntowniczych szalów ducha, porywcze stakata jęków, konające w pauzach gwałtownych

upadków, 1 znów kwili! rzewny leitmotyw szlochają" cych dźwięków, płynących rytmem żalobnym w wieczystą ciemność.

A wszystkiemu temu wiernie i harmonijnie wtórowała rozegrana moja dusza, jak gdyby mi w piersi drgało jej dziewicze, umęczone serce.

Lecz dość było, bym uczynił jeden samodzielni ruch uczuć, a przekształciła się wnet na jego wzóli melodja.

I moje własne wzruszenia, jakby w okamgnieniu przemienione w muzykę jej władzą, wracały do mnie, żywe, zharmonizowane, śpiewne.

Niesfałszowane nigdy, czasem tylko jak gdyby nieco spieszczone, otulone delikatną posnową subtelnego czaru, równie szczere, tylko więcej dyskretne.

Tak minął cały czas pełni, siedm złotych, rozmarzonych nocy, które spędziłem w jakimś innym, księżycowym świecie.

Zbudzony, zastałem dzień słotny i smutny, a po nim zaszła noc chmurna i wietrzna, w której nie grała, tylko umarłym kwiatem płakały kity bzów.

Nazajutrz deszcz nie padał, ale czas zdawał się jeszcze bardziej posępny. W ciężkiej chwili niezgrun- towanego żalu skreśliłem na skrawku papieru, że mi śmiertelnie głucho bez głosu tych strun, żem je ukochał, tęsknię i czekam — i machinalnie rzuciłem tę białą ystążkę w prąd wichru.

Pod wieczór wypogodziło się nieco, z opon zadymionego nieba wysypała się garstka rozproszonych, drobnych gwiazd. Ale na drzewach ogrodu wisiały rozpięte kiry nocy: każde było jakby w krepowym welonie.

O późnej godzinie, kiedy wszystko leżało w mar- twem uśpieniu i zmęczony późnem czuwaniem zaczynałem drzemać, oparty na parapecie okna, nagle ocknąłem się, tknięty przecuciem, że coś się staje.

W pierwszej chwili zdawało mi się, że Amor powstał ze skały. Niel
Płynęła ku mnie rytmicznie wiotka, kształtna postać, wyglądająca w ciemności, jak
smukła kolumna zwartego mroku.

Serce mi się porwało na jej spotkanie, perliste łyzy rozkoszy wypełniły piersi.

— To ty, jedyna! — szepnąłem.

— Ja! — zadrgał cichutki ton.

— Nie mogę rozeznac twoich cudnych rysów, daj pocałunkom twą rękę śpiewną!

Wyciągnęła nad sztachety filigranowe, jakby z błękitu toczony palec. Wychyliłem się,
zawisłem prawie, ale nie zdołały się zetknąć nasze ręce. Rozległo się niby chrzęstliwe
pęknięcie struny i wymieniliśmy przeciągły, pieszczotliwy, upajający uścisk przez zroszoną
gałązkę jaśminowych kwiatów, które zostawiła w mej dłoni.

Znikła, rozwiała się i po chwili zabrzmiała krótka, serdeczna piosenka, pełna słodkich
fletów, radosnych dzwonek i jakichś dalekich sygnałów żałoby.

Wszystko odbyło się tak prędko, niespodzianie, po nocy, że choć stało się wczoraj, mam
wrażenie, jakbym wspominał o smutnym widmie szczęścia z przed lat wielu i patrzę, jak na
dawną i jedyną pamiątkę, na pęk białych kwiatów, które zachodzą po
brzegach zwiędłą barwą śmierci.

* * #

Dziś z rana rozdarł mi sen raptowny, krótki przesywający jęk, nie wiem czy z zewnątrz,
czy ze mnie idący — i zgasł, jak przeraźliwa błyskawica w stężącej chmurze uśpienia, która
zawarła się znów nade mną.

W dzień zauważyłem niezwykle ruch w ich domu.

O zmierzchu zajechał powozem znakomity doktor i bawił długo. Może tylko znajomy?
Noc minęła cicho i spokojnie. Sierp księżycy wyrznął się na niebie.

* •

Niepodobna łudzić się dłużej. Ona jest ciężko chora. Onegdaj było konsyljum.

Przed ich bramą wyłożono ulicę słomą, na której turkot najcięższych nawet wozów
zamiera i dudni tak ponuro, ponuro przez dzień cały.

Miewam nocy straszne.

Widzę w jej oknie nikłe, pełgające światełko, w które wpatruję się, jak w ognisko życia.
Czaszka mi się w szwach rozchodzi, ilekroć płomień ten chwieje się i przygasa, a potem się
spaja w jakimś palającym gorącu, gdy się prostuje i równo żarzy.

W godzinę kilkakroć przekręca się koło tortury.

Krzewy okwitły. W ogrodzie tuła się pełno rozchwianych, zagadkowych cieni, trwoźnych
poszeptów, tajemniczych, nękających szmerów, przerażających trzasków, wzniecających
paniczny popłoch wokoło.

Wszystko zanurzone w szarych, mętnych, posępnych otchłaniach mroku.

Amor wydaje się jakimś zmiażdżonym kształtem białości, a nad nim stale unosi się
rozprysły, szlochający płacz. Nie widzę tych łez, bijących w ciemność, ale słyszę ich łkania i
czuję tak, jakby wszystkie płynęły skroś moje serce zimnym, szalejącym pianą strumieniem'..

* • •

— Jezus, Marjal Jeszcze przed świtem wzięła kilka harmonijnych pełnych akordów, które
skonały w przeciąglej, długiej jak wieczność, zaciekającej w wolnych interwałach cudownej,
kochanej nucie.

W dzień słomę zdjęto; rzucił się na to miejsce rozjuszony turkot i grzmi, grzmi.

Zgiełk walił ulicą, a na tej jednej bramie ktoś raptem przylepił białą kartę: krzyż, pod nim wyolbrzymione tragicznie, szerniałe litery:

Stella Roini umarł a..

Zamykam oczyj we śnie kamiennym czekam sto lat! Budzę się, patrzę, patrzę: karta wciąż wisi. Więc znów zasypiam w bałwanie żelaza na tysiąc lat... karta wisi...

Ściśnięty w dyszącej siną trucizną ołowianej bryle czekałem raz jeszcze milion... — napróżno!

Więc teraz pójdę gwałtem!

Nie dalii!

* * »

Wchodzili tu wszyscy. Każdy kto chciał. Jakiem prawem? Nie wiem!

Potworna, zlepiona z kopyt, sierści i sukna czwórka koni stała przed bramą.

Obok krzątali się jacyś dygnitarze, w czarnych, stosowanych kapeluszach.

Gdy mnie mijali, powitałem ich dostojnym ukłonem.

Przeczekałem, aż weszli i, jak ujęty za rękę, wstąpiłem na schody. Duża sala; pod ścianami ludzie... a właśnie ci czarni, jak szatani, odstawiali pośpiesznie wazony i gasili płonące, ogromne pochodnie. Pośrodku na wysokościach widniała ona.

Poznałem ją odrazu. Ujrzałem wyraźnie, że to unosi się przede mną nawiedzające mnie dawne słodkie i piękne widziadło. Z powłóczystego, białego obłoku wychylała się ta saińa tkliwa, dziewicza twa-

rzyczlta, za ciemną zasłoną długich rzęs Czulem cu- dne, utopione we łzach oczy. Bolesne, wycięte usta rozchylały Się w żaloszny pocałunek.

W zwiniętych na piersi bezsilnych dłoniach znać było śmiertelny wysiłek dźwigających się do uścisku omdlałych rąk.

Tylko zakryła się przede mną nie rozplwającym się melodyjnie błękitem, lecz twardem wiekiem ciemnego drzewa.

Wieźli ten mój klejnot, a potem nieśli, prawdziwie jak śliczne skrzypce, naboźnie, ostroźnie.

Myślałem, że na cmentarzu ją wyjmą i zagra, by zbudzić wszystkim umarłym serca...
Mnie — mojel

A oni co zrobili?

Wrzucili ją w ciemną szczelinę ziemi, zamurowali bezlitośnie spiekłym, szorstkim, krwawym kamieniem i obciążyli jeszcze górą gliny w obawie, żeby nie wstała.

Powiedziałem tym nikczemnym szatanom, że są nietylko źli i podli, ale i bezdennie głupi, bo nie wiedzą, że ja mam władzę jednym drgnieniem uczucia grób ten rozwalić, wskrzesić ją i wyzwolić.] * *

Siły fizyczne wracają powoli, ale władze ducha zapadają jeszcze często w to apatyczne odrętwienie, w jakie je wtrąciła długotrwała choroba.

Co prawda w znacznym stopniu współdziała temu monotony tryb kuracji.

Całe dnie spędzam pod cieniem magnolji w nisko zasłanym leżaku.

Nieruchome, ciepłe, przepojone zapachem kwitnących róż powietrze, modra, bezobłoczna otchłań nieba, ogromna hipnotyzująca zielonawo - błękitna płaszczyzna jeziora Garda — wszystko to wprawia du:>zę w stan z przedmiotowej zadumy, w ostateczną bierność, graniczącą prawiS z niebytem,

Oczy moje właściwie nie patrzą, ale, niby zwierciadła, zatrzymują w sobie odbicia obrazów i leniwym ruchem włączają się machinalnie w półkole widnej przestrzeni.

Z białego lśniącego szczytu Monte-Baldo staczają się zwolna po zielonem zboczu gór na rozpostartą powierzchnię jeziora i nieraz mrużą się do łez, oślepienie skrzęcem się migotaniem drobnej fali. I wtenczas jawi się zwykle coś podobnego do myśli i, jako te ciche, majaczące, o spłóviałych żaglach łodzie, przesuwa się zwolna i ginie w czymś tak milczącym, jak daleka grupa strzelistych cyprysów, które, niby smutne wieże pogrążonego w toniach gotyckiego tumu, unoszą się tęsknotą w przezroczyście niebo. I czasem istotnie, kiedy w przedwieczornej godzinie poczną bić dzwony wokoło, nadlatujące, melancholijne jęki zdają się dobywać i z pod wody i czynią wrażenie rozegranych Glorją Boskich organów, zatopionych w głębinie na wieki.

Ze wszystkich stron uderza w piersi jakby jeden żalósny lament:

— Amen, amen, amen!..

Potem się nagle cały pejzaż ucisza i otula w girlandy liljowych zmierzchów.

I wtenczas zaczynają od brzegu przeszłości przybijać do mnie cicho płynne orszaki słodkich wspomnień o tym śnie cudownym. Zapatrzony w ich uroczy wizerunek, niby w piękną wizję odległej, zasnutej subtelnym smutkiem krainy, zaczynam pojmować, żem się rozkochał w gwieździe urojenia, w uplastycznym marzeniu, wypiastowanym samotną melodją duszy podczas kwietnych zamieci, w złotych luna tycznych godzinach nocy.

ZA

Zgon marzeń jest śmiercią rzeczywistą, a bywa
tak tragiczną, że można eślepnąć z rozpaczy! «

* #

A jednak słowa, rzucone jękiem nieprzytomnej boleści straszonym grabarzom, zawierały
prawdę.

Człowiek, dopóki nie straci zdolności kochania, władny jest mocą cierpiącego uczucia
rozwałać w sobie katakumby najgłębsze i, jak stwórcy światła, tchnieniem miłości
podnosić złożone już w grobie i wskrzeszać wszystkie własnego serca tęsknice,
w krwawych skrytkach jego skarbcza zawarte.

•

* *

Dziś, nie mogąc zasnąć, otwarłem żaluzje)

W jasnej, prawie bezbarwnej kopule nieba widniał wzbity niezmiernie wysoko,
błyszczący otwór księżycy i kilku rozrzuconych migotliwych gwiazd; w dole, jak drugie
niebo, płasko w bezkresy rozpostarte, stało się nieruchome jezioro; po bokach góry owiane
mgłą wyglądały, jak stężałe, opięte zgęstniałym mrokiem cienie. Na jednym leżał biały,
podłużny obłok — to śnieg!

Zapatrzyłem się i poczułem, jak zwolna rozdała się widok, mętnieje, roztapia się,
wszystko, co realne, gdzieś zapada, ginie i, jak z morza ziemia, wyłaniają się mirażowe lądów
nieznanych*

Rwą mi duszę do lotu; cicho drgająca nad nimi błękitnawa luna skrapla się w senną
gwiazdę, która zawraca głowę i ciągnie do siebie, jak żywioł obłądny.

Czyżby czas już w płomień lecieć po nową urnę popiołów?...

U

WESOŁY PASAŻER.

Przezywano go „wesoły pasażer”. — Umiał nle«
ile wyslizgiwać się badaczom egzaminacyjnym. Jego wielkie, zamglone i smutne oczy patrzyły tak naiwnie, cały wyraz twarzy był tak niewinny, że dotychczas wykręcał się sianem. Ale teraz troszkę „wsypał się”, bo zwolniono go na lat parę od obowiązków studenta i poradzono mu odpocząć po studjach w zacisznym bardzo kątku Europy.

— Mogło być gorzej — mruknął, dowiedziawszy się o swych losach, pasażer, którego życie często zmuszało szukać pociechy w tej pięknej maksymie; wsiadł w asystencji dwóch odprowadzających go je- gomościów i jechał z jakimś dziwnym uczuciem smutku i rozrzewnienia.

— Poczciwi — myśl' — przyszli wszyscy na pożegnanie, a ona — i,j_ptał, dotykając drżącymi palcami złotego krzyżyka na piersiach — to dała... Czyżby?... — nie dokończył zdania, a natomiast zaczął żałować, że jej zatajonego w głębi serca uczucia otwarcie na wyjezdne nie wyznał. Ot, spisał się tak, jak może tylko postąpić zmęczony sceptyk a zarazem niepoprawny marzyciel, gdy mu ukochana dłoń symbol straconej wiary przynosi.
Chwycił ją za

ręce, zaczął coś bełkotać, odwrócił się nagle i z istic pasażerską zręcznością skoczył jak żbik do oczekującej go karetki. Drzwiczki trzasnęły, zadudniły koła, a nazajutrz był już tak daleko i w tak odmiennych warunkach, że gdyby nie krzyżyk, który mu piersi uciskał, mógłby mniemać, iż mu się śnił wczoraj sen dziwny, nieprawdopodobnie rozkoszny. Od tego snu minęło akurat dwa razy więcej czasu niż potrzeba na to, by dalecy krewni i bliscy znajomi zapomnieli zupełnie o istnieniu jakiegoś pasażera, którego los na chwilę ich zelektryzował i do wybuchu nadmiernej życzliwości pobudził...

Nic więc dziwnego, że już od trzech miesięcy „wesoły” nie potrzebuje się fatygować, odpowiadać na listy, dziękować za pamięć, a tylko leży sobie na łóżku i patrzy niezmordowanie w sufit z tem, równie przykrem jak i nieokreślonym uczuciem człowieka, który nie umie powiedzieć: co mu jest właściwie? Bo przecież ten tępy ból, co jak ziarnko piasku zawadza mu w sercu, nie może pochodzić z braku listów i wiadomości, Miał dość czasu z tem się oswoić, a że tak będzie mógł łatwo przewidzieć, jako osobliwy wyjątek, który, gdy burza gniazdo rozniosła, sam jeden ocalał, widocznie po to, by serca ludzkie mogły swą litość przejawić, a jego własne mogło uczuć całą gorycz tej krzywdy, jaką mu niesyta nigdy wdzięczności litość wyrządza, i żywić żal, że jest pozbawiony własnej serdecznej przystani, i że się tuła po świecie, jak istny, według dosadnego wyrażenia miejscowej ludności, „krągły sierota”, jeżeli tylko można nazwać krągłą — tę leżącą na łóżku tyczkę, a sierotą dwudziestoczteroletniego draba, któryby mógł być mężem stanu w parlamencie, a niezawodnie ma ochotę być mężem jej.

Dzień dzisiejszy niczem się również nie różni od tylu w tem mieście spędzonych, prócz tego chyba, że zrana wypłacił służącej niezwykle honorarjunt rubla

za S2eść stów „z nowym rokiem, z nowem szczęściem”, ponieważ jednak pasażer nie ma w sobie ani cienia redaktorskiej oszczędności, trudno przypuścić' by ten wypadek był przyczynę bezmyślnego wpatrywania się w sufit.

— Ot, musiał wstać lewą nogą — tak sobie prawdopodobnie tłumaczy nieokreślony stan swego pana, stojący tuż obok łóżka budzik, który, jakkolwiek nosi na plecach niemiecki napis, swą niepun- ktualnością zdradza słowiańskie pochodzenie, choć z drugiej strony skłonność do filozofowania i krytyki, której ostrze najczęściej zwraca przeciw leżącemu na łóżku przedstawicielowi „mniej wartościowej” nacji, świadczą o silnej domieszce krwi germańskiej. W głosie budzika daje się słyszeć obecnie pewne rozdrażnienie połączone z szyderstwem. Nic dziwnego! Od wczoraj jest zmuszony do wpatrywania się całym swym cyferblatem w opartą na nim kartkę, pokrytą czemś tak śmiesznem w trzeźwym stuleciu „siły przed prawem”, jak następujące rymy:

...Rok minie: ja, patrząc w ulicą Olgowa, Jak sroży się wicher stepowy, Pomyślę: tam dzisiaj gwar, śmiechy, rozmowa, Tam święta, tam dzisiaj Rok Nowy!... I wstanę i szybę, co zmarzła od chłodu, Przycisnę ciężarem swej (iłowcy, I będę się patrzył ku stronie zachodu, Tak myśląc: tam dzisiaj Rok Nowy! Tam zeszli się wszyscy, a twarze tak jasne! Tam ona jak pączek różowy...

W dniu jutra, śnie ciężki, zejdź do mnie, niech zasną I prześpię kamieniem Rok Nowy!

Prócz tego zegar, któremu, rzecz prosta — ko ślą, jeżeli nie w gardle, to, w werku, mogły stanąć te, od doby czerniące się przed nim, monotonne wier-

sze, ma najzupełniej szą rację czynić wyrzuty swemu panu, że ani jednej z obietnic, które na papierze ry«mami utrwalił, nie spełnia, bo ani śpi, ani myśli, ani głowy na szybach nie opiera, choć te, jakby na ob- stalunek, zamarzyły — jednym słowem, nieprodukcyjnie czas traci, zamiast swojemu słudze krzywą nóżkę naprostować lub zardzewiałe serce na święto od- czyścić.

Eh! krótko mówiąc—Idjota-ta-tal Idjota-ta-ta — powtarza zegar tak energicznie i zacięcie, że wesoły pasażer budzi się na chwilę z odrętwienia i szepcze zły:

— Czemu ten cykacz tak głośno wali?

Ocknięta myśl zaczyna dalej pracować w sposób dość oryginalny. Nie pasażer myśli, *lecz, wprost, po jego głowie snują się myśli same. Pierwsza, którą dziś zewnętrzny bodziec wywołał, ciągnie za sobą pokrewną, drugą, ta zaczyna o trzecią, trzecia wywlekła gdzieś z głębi mózgu następną: i w ten sposób powstaje nieskończony łańcuch zdań, uwag, głównie wspomnień i obrazów, dość luźnych, poplątanych i chaotycznych, bo jedynym ich motorem jest prawo <kojarzenia, a sternikiem w danym wypadku nie jest porządna i stateczna pani Uwaga, lecz coś tak kapryśnego, obszarpanego i dzikiego jak serce.

Wślad więc za pierwszą myślą w głowie pasażera zjawia się wspomnienie, iż tu zapłacił za ten klekot pięć rubli, a tam za trzy lepszyby kupił: skąd taka różnica? — Pytanie to jednak nie budzi bezpośredniej odpowiedzi, lecz naprzód wywołuje ogólną refleksję, iż wartość określa się ilością społecznie niezbędnej pracy, zakrzepłej w danym towarze, a potem żywe wyobrażenie tytułowej karty książki, z której to zdanie jest wzięte. Kartka ma jeden róg po- żółkły, u góry wielkimi czarnymi literami słowa nagłówka, a pod tem kilka wierszy dość długiej dedykacji: „Poświęcam mojemu zapomnianemu druhowi... ;

zmarłemu na obczyźnie, dnia..." I nagle obraz znika, natomiast po sercu pasażera zaczyna pełzać jakiś nieokreślony niepokój, a z ust zrywa się szept:— „Czyżbym i ja miał tak umrzeć!?” Tu następuje chwilowa cisza uczuć i myśli, podczas której budzik, znać obrażony przezwiskiem „cykacz”⁴¹ i „klekot”, grzmi ciągle „idjota-ta-ta”, a jednocześnie obmyśla plan zemsty, czując, iż sprężyna będzie niedługo już spadała, co mu pozwoli wydać odpowiedni dźwięk...

„Wesoły” jednak nie słyszy wymyślań budzika i myśli o śmierci, a właściwie o tem, jak to będzie, gdy umrze? Wyobraża więc sobie, że oto szczerze opięty w ten sam mundur galowy, którego niegdyś na wieczorki od kolegi pożyczał, leży w czarnej trumnie.— Dość mu tu wygodnie, ale bardzo obco, smutno jakoś i głupio. Żenują go źle uprane białe rękawiczki, a zwłaszcza to, że wieko otwarte. Gdy zaś spostrzega zbliżających się krewnych i znajomych, ogarnia go szalona chęć zerwać się i uciec.

Zapóźno! Otoczono go kołem, i wszyscy ze łzami w oczach zaglądają mu ciekawie w twarz, czyniąc sobie w duchu wyrzuty, że byli dlań tak obojętni. On widzi to, i nagle wszystkie poprzednie wrażenia znikają bez śladu; natomiast w piersi się kłębi jakieś w pół-bolesne, w pół-radosne uczucie, że przecież go fcałują.

Pragnie napić się do syta ich żalem i jeszcze się zemścić; — leży więc obojętny, zimny i niedostępny na wyniosłym katafalku, jak król na wysokościach tronu. Lecz óto wchodzi Ona. W twarzy jej maluje się niezmierne przerażenie i rozpacz, płynąca zapewne z poczucia, iż wyrządzonej mu krzywdy ni- czem i nigdy wynagrodzić nie zdoła — w jego zaś sercu zrywa się radość olbrzymia, a później rzewny żal nad nią. Gotów jest już wszystkim wszystko przebaczyć, przez wzgląd na Nią ułaskawić ich, ożyć. Czując, że go bierze za martwą rękę, czeka tylko jej

pierwszych, z pewnością czułych słów. Jakoż Ona pochyla się nad nim i szepcze:

„Pas-saże!” — szczęka radośnie budzik, luzując sprężynę.

Zegar dobrze się zemścił. Wszystkie myśli pierzchają nagle jak ptak, strzałem spłoszony, a „wesołego” ogarnia gniew i taki wstyd, że pragnąłby się w tej chwili schować gdziekolwiek, choćby naprawdę w mogile.

— Jestem idjota — szepcze, ściskając zęby.

— O, to, to, — wtóruje mu bezlitośnie budzik.

— Co się ze mną dzieje, u licha! — myśli, ochłonawszy nieco, pasażer i, jak złapany w żelazo lis, który dla wydostania się z sideł sam kitę sobie odgryza, przystępuje do równie ciężkiej operacji samo- pocieszenia się. Bierze się do rzeczy dość ostro.

— Zresztą, co oni mnie tam wszyscy obchodzić mogą!? — mówi prawie głośno, — albo mi tu źle! Mieszkanie jest, obiady są, życie ciche i tanie, a jak wrócę, psia krew, i spotkam którego...

— O, jak się mamy! cóż tam nowego? — zapytam.

— Kopę lat! kopę lat! — odpowie zdziwiony filister. — Bój się pan Boga! cóż, pan żyje! zdrow?! Jakże mi miło!...

A ja na to:

— No, kopę nie! zaledwie parę — kilka! Sekunda to w porównaniu ze światłem wiekuistem... Ze żyję, łatwo się domyśleć, bo nieboszczykom po ulicach chodzić nie wolno, że miło — uwierzyć trudniej... Co do zdrowia, to i owszem, na swoje potrzeby wystarczy.

— Jakże tam panu było? co za kraj? coś pan tam robił?

— Niczego, kraj jak wszędzie; po dniu noc, po nocy — dzień; bułki tylko większe i tańsze... ja tam sobie śpiewałem poważnie

„Precz, precz smutek wszelki, Zapal fajki! staw butelki...”

Zrywa się z ust pasażera kilka różnych taktów wesołej piosenki; w głosie jednak czuć pewną sztuczność, przykrą jak taniec kaleki, jak wszelki wysiłek, o tyle przytem bezowocną, że pieśń urywa się nagle, a z mózgu wylania się gorzka myśl: „mogliby chociaż bilety dziś przysłać...” Pasażer jednak nie daje za wygraną; zmienia tylko taktykę i występuje do dalszej walki, zbrojny całym szeregiem przypuszczeń:

' — A może są w drodze? kto jak kto, ale ona z pewnością się zdobyła na ten dowód pamięci. Zresztą, może być, że listów jedynie dlatego niema, iż poginęły: wszak jego korespondencja także ginie — ma na to dowody... Ostatnia myśl wydaje mu się tak prawdopodobną, że już ją ma zamienić w niewzruszony pewnik, gdy naraz budzik wyrzuca zagadkowy dźwięk, coś jakby „jołop!” a w ślad za tem dodaje „piramidalny, pirra...” i wybucha całą kaskadą warczeń, złożonych z samych r r... — Tego już zanadto! Wściekły pasażer zrywa się z łóżka; chwyta zegar, nie mogąc jednak po ciemku namacać guzika, wrzuca zegar w czapkę, a sam zaczyna chodzić po pokoju niezwykle zdenerwowany i podniecony. Zegar warczy głucho jeszcze chwilę, a później, jakby odsapnąwszy, rozpoczyna swoje monotonne „tik-tak” stłumionym i znękanym głosem człowieka, którego spotkała niczem nie zasłużona obelga.

Dolna część budzika niknie w cieniu obszernego ronda, górna zaś mocno świeci w promieniach księżycy. Ta gra cieniów i światła nadaje cyferblatowi jakiś niezwykle wyraz ironicznego smutku. Wkrótce mina jego staje się tak wymowną, iż łatwo się domyśleć, że treść długiej tyrady, pełnej skarg, uwag

nauk moralnych, w tłumaczeniu na język ludzki winna brzmieć mniej więcej w następujący sposób: — Czego ty chcesz właściwie i czemu się znęcasz nade mną? Jeżeli ci się zdaje, że cię uprawnia do tego jakaś olbrzymia, istniejąca pomiędzy nami, różnica na szczeblach wszechświata, to błędzisz tak strasznie, jakbym ja błędził, gdybym ci o szóstej dwunastą pokazał. Takiej różnicy niema; mówię to tak szczerze, jak pragnę mieć dwanaście kamieni i złote koperty. No, pomyśli — ja chodzę, i ty chodzisz — ja na stole, ty z kąta w kąt. Gdy mnie Cię wykręci sprężyna, zawieszam chwilowo proces życia, gdy pęknie nawet, non omnis moriar! bo z mego mosiądzu może być trąba, lub działo, którego kula rozsadzi głowę genjusza... A ty? będziesz mniej wart niż moje ucho stalowe, bo ciebie nikt nie kupi, nawet na szmelc. A wykręca się, wykręca, i to jak jeszcze! Machnę raz sekundnikiem, i już o chwilę bliżej twój grób; przejdę się wielką wskazówką naokoło, i o godzinę bliżej twa śmierć... A wszak macham niezamordowanie, bez przerwy, bez ustanku! Zły jesteś, że zadzwoniłem nie w porę, i miotasz się po pokoju jak krótki perpendykuł: zrozum-że więc, iż musiałem dzwonić, bom na tę godzinę był nastawiony od doby. To zaś, że chodzisz teraz w tej klatce, jak wilk, któremu las nagle zapachniał, było ci przeznaczone od dawna. Wyznaj więc, głupi kompasie, że cały twój stan obecny, przeszły i przyszły, twoje tęsknoty, miłości, i myśli twe, boleści i radości — są również dobre jak moje takty, szczęki i wark, bo każde tętno twego krwawego serca, jak i mego z mosiądzu, zostało zdecydowane przed laty w głównym korpusie wielkiego warsztatu. Kto wie nawet, czy nie jesteś wobec kogoś takim samym jak ja czasomierzem, z kurantem, a nawet kukułką, i kukasz teraz samotnie? Jeżeli tak, toś lichy zegar, toś niesystematyczny. To też przypuszczam, że prędeż

grasz rolę uciesznego mechanizmu lub instrumentu, który dla czyjejś rozrywki wykonywa mnóstwo poruszeń, wyrzuca tysiące dźwięków, zaczynając od śmiechu, a kończąc na łkaniach; ponieważ zaś główną zasadą każdego zajmującego widowiska jest różnorodność, tobie, co jesteś ledwie krótkim akordem olbrzymiej uwertury, są przeznaczone minorowe tony, trochę odmienne niż innym. Być może, iż w samej operze role się zmieniają... A chociaż zarówno me* lodja jej jak i libretto są tajemnicą, przewidzieć łatwo, że unisono nie przebrzmi nigdy. Nietrudno również jest pojąć, że, gdyby wahadło tej mojej maszyny, której cyferblat jest ci tak miły, zaczęło się poruszać w takt twego, byłoby to zwiększeniem monotonji, pierwiastkiem nudy w widowisku, karygodną stratą efektu. W dobrej sztuce komiczne sceny są przeplatane smutnemi.^ Czyż możesz przypuszczać, by genialny mistrz, tworząc swe dzieło, zapomniał o tej regule? Ty jesteś smutnym frazesem, ktoś inny — wesołym, a całość tylko na tem zyskuje, i dzieło w sumie jest arcydziełem! Trzeba być dzikim wandalą, by chcieć zniweczyć tę pełną dźwięku harmonję, coby się stało niechybnie, gdyby byle cymbał dostał swobodę działania. Słuchaj więc ślepo batuty, smętna fujaro, zwłaszcza, że słuchać jej musisz, lub precz z orkiestrą poproś o urlop! za skutek ręczę!... O ile w biurze zażaleń trudno coś wskórać, wydział śmierci dla wszystkich stoi otworem. Szef jest o tyle dostępny, że byle-byś miał szczery, ohochozy zamiar, przyjmie cię zawsze uprzejmie. Dłoń ci kościstą swą poda i bez łapówki rzecz całą szybko załatwi... Pamiętaj tylko, że taki urlop jest bezpowrotny, równa się zwykłej dymisji. Z formalnej strony o tyle lepszy jest od niej, iż ci zostawi ostatnie złudzenie, żeś się z honorem, bo z własnej woli, wycofał i choć w ten sposób melodję mistrza zamącił...
\$

Tymczasem pasażerowi robi się coraz duszniej w pokoju.

— Trzeba wyjść — myśli, wciągając na jeden rękaw smutną imitację paltota.

A dokąd ja pójdę? — szepcze, zapinając resztki guzików. — I poco właściwie? dodaje, siadając.

Po chwili wstaje, kręci się bez wyraźnego celu po pokoju, zatrzymuje się przy stole i, myśląc ciągle: dokąd pójdzie? — wyjmuje budzik z czapki. Napróżno wierny towarzysz skrzyżowaniem wskazówek na dziesiątej ostrzega, że jest już późno; pasażer zostawia budzik, wkłada czapkę i znika za drzwiami.

Noc jest dość mroźna. Olgów śpi cały. W ulicach pustka. Długie szeregi niskich domków, pokrytych śniegiem, czynią wrażenie trumien, które ktoś prawidłowo poukładał wzdłuż cichej alei cmentarza i przykrył białym całunem. Na ciemnym horyzoncie nieba rysują się na kilku punktach grube wieżyce, przywalone ciężkimi baniami. Nad niemi lśnią rzadkie gwiazdy, jak złote nitki do mrocznego szafiru przymarzłe, a wysoko leży cichy księżyc w matowej swej aureoli, jak krąg bladego mosiądzu, na tle żółtego muślinu złożony. Suchy wiatr zrywa się chwilami i, świszcząc, leci po przez ulice, łomocze w bramy, rzuca okiennicami i nagle znika.

Wtenczas nastaje ta przeraźliwa cisza, równie bolesna jak przenikliwy krzyk, co wrzyna się w ucho i nerw każdy, dopóki ostrzem swem w głąb serca się nie wwierci.

Pasażer mija szybko ulicę za ulicą, jakby uciekał od skrzypu własnych kroków. W ruchach jego daje się dostrzec pewna machinalna bezmyślność. Jako też rzeczywiście w tej chwili niema w nim żadnej myśli, żadnego nawet uczucia, prócz rozpaczliwej potrzeby szybkiego ruchu. Ogarnia go coś

podobnego do szalu psar, spuszczonego pod wieczó z łańcucha, który, skowycząc, wrywa się na podwórze, przeskakuje płot, pędzi na pola, tam biega w kółko, coraz szybciej, szybciej, do zupełnego zapamiętania się, do utraty sił i tchu, aż w końcu, z pianą w pysku, pada zmęczony. To też pasażer przyśpiesza wciąż kroku. Mija ulice, okrąża place, iskrzące się jak wielkie półmiski pełne miążkiego cukru; nie czuje zimna, śniegu, co mu włazi przez dziury w podeszwie, ale niezmordowanie idzie wciąż dalej i dalej, znajdując w tem zmęczeniu ffzycznym dziką rozkosz i ulgę zarazem. W końcu brak tchu każe mu się zatrzymać. Świadomość zaczyna się budzić, bardzo jednak powoli. Pasażer stoi chwilę z miną człowieka, który nie wie co ma zrobić z sobą; wpatruje się błędnym wzrokiem w białość śniegu, jakby chciał stamtąd odpowiedź wyczytać; w końcu zawraca w kierunku domu. Stąpa teraz zupełnie inaczej — leniwym, chwiejnym krokiem, niosąc w twarzy niezwykle, senny wyraz wielkiego znużenia.

Jeszcze nic nie myśli, ale już słyszy każdy takt kipiącej w nim krwi, a jednocześnie w serce mu się wciska znowu tęsknota, wprawdzie nie tak dzika i gorzka jak przedtem, niemniej jednak ogromna i smutna.

Pasażer czuje, że oddałby wszystko, by choć na chwilę znaleźć się tam wśród swoich. Nie miałby ochoty mówić, pytać, być nawet widzianym; chciałby tylko jak niemy cień zająć wśród nich miejsce, chwycić ich ruchy, pieścić się dźwiękiem ich mowy, wykraść im potajemnie trochę ciepła z serc, ogrzać swą duszę i patrzeć, patrzeć i słuchać... Ayvraz z tem, wprost — żywiołowym pragnieniem zjawiafc się wspomnienia tak silne i- wyraźne, że bierze je prawie za rzeczywistość. Zdaje mu się, że idzie dobrze znaną ulicą, wchodzi w bramę, wspina się na schody (tu podnosi no[^]i niezwykle wysoko, jakby istotnie szedł

w górę); znajduje się na pierwszym piętrze, spostrzega tabliczkę doktora, pod nią przylepioną kartkę z napisem: „Wyjechał za granicę” — a u spodu dopisek ołówkiem: „Szczęśliwej podróży*!”, (w tym miejscu coś nakształt uśmiechu przesuwa się po bladej twarzy). Jest już na drugim piętrze i z bijącym sercem chce dotknąć dzwonka.

Nagle realny wybój na ulicy zmusza pasażera rozwiązać praktycznie zadanie z dziedziny mechaniki: wykonywa więc, jak na „wesołego” przystało, wcale zgrabny skok i znajduje się wprost oświeconego okna. Skok i nagle światło budzą go z marzeń.

Pasażer mimowolnie zagląda do środka i przez zamarzłe szyby jak przez mgłę widzi wewnątrz małego pokoju: lampę z czerwonym abażurem, owalny stół, a przy stole trzy ludzkie sylwetki. Jedna, obrócona tyłem, należy do mężczyzny; naprzeciw niej różowieje świeża dziewczęca twarz ze spuszczonej nad robotą oczyma i uśmiechem na ustach; a trochę w głębi widać suchy profil kobiety, która zdaje się, opowiada coś ciekawego stłumionym, starym swym głosem, a może tylko chce przerwać młodym miłosnych szeptów pieśń wiekiustą.

Pasażer oczu od okna oderwać nie może; niby wryty słup stoi bez ruchu, jakgdyby stopą przy- marzył do śniegu. Przez zamglone szkła płynie ku niemu ogromna ciepła fala słyszanych niegdyś i na- zawsze pamiętnych szmerów i dźwięków; duszę mu porywa i wprost do góry dnem wywraca jakiś potężny, odurzający wir, a z jej warstw najgłębszych i z najtajniejszych zakątków serca rwą się wspomnienia i najdawniejsze pogrzebowe widziadła zmar- wychpowstają jak żywe. W miarę zaś tego stężała poprzednio twarz przybiera łagodny wyraz cichego, zamyślonego smutku, a jednocześnie to małe ziarnko, które od rana kłóło mu serce, pęcznieje, zaokrą-

J§

gła się i rozrasta z niezmierną szybkością, wypełnia mu całe piersi, dusi go łkaniem w gardle i wylewa się przez oczy w postaci łez.

Szczęściem, ulica pusta, nikt więc tego płaczu pod cudzem oknem nie widzi.

Jeden księżyc tylko, stojący prawie w zenicie, księżyc, który lubi wpatrywać się w ziemię, spostrzega tę scenę.

— Cicho! cicho — szepcze pobliskim gwiazdom, — chodźcie-no, a prędejl

— Co się stało? — odpowiadają mu również szeptem wylekłe gwiazdy i, jak świętojańskie robaczki, płyną ku niemu po ciemnym błękanie.

— Patrzcie tam! na tym wirującym ziemskim okruchu, jak mała kreska stoi „wesoły pasażer”. Widzicie w nim te drobne, jaśniejsze cętki niby owalne mgławice — to oczy! a przezroczysty deszcz białych aerolitów, co po nich krążą, aż się oderwą i po policzkach stoczą — to łzył Cały ten proces w języku ziemian zowie się płaczem. A sprawcą płaczu jest rzecz dziwniejsza aniżeli pierścień Saturna i równie niepojęta jak plamy słońca... wiadomo tylko, że gdy człowieka swoją obręczą opasze, to jest on smutny!...

Tu nagle stary melancholik umilkł, jakby sobie dawną boleść przypomniał, chwycił za chustkę z obłoków i twarz w nią ukrył.

Wesoły pasażer smutny!... Gwiazdom to się wydaje trochę zabawnem: zaczynają więc drgać od tłumionego chychotu, a wiatr, który, na znak ciszy, dany przez księżyc, przysiadł był na chwilę w kotlinie, poprostu pęka ze śmiechu.

i — Ha! ha! ha! wesoły pasażer płacze! —^xhuczy wiatr i zrywa się, i gna ulicą, jak rozbawiony łobuz na widowisko. Po drodze strąca szyld jakiś, bębni w okiennice, w braku żyda wali w kark wpół-zeschłą akacją i pędzi dalej... Ha! ha! ha! płacze, jako żywo,

płacze! — wybucha nową kaskadą, mijając w pędzie pasażera; chwyta garściami pył śnieżny, ciska nim wokoło i leci dalej, zanosząc się od śmiechu. Wydostaje się na plac; tam się tarza, jak w paroksyzmie szału. Zrywa się znowu, gna już po polach, a w tym wybuchu nie ma już zwykłej swawoli; jest w nim natomiast coś ze śmiertelnych kurczów i drgawek. Wkrótce śmiech wichru przechodzi w syk, w jęk prawie. Aż w końcu wyczerpany, bliski obłądu i furji, rzuca się całym swym ciałem na białą pierś samotnego pagórka — i tam w konwulsjach umiera.

ÓÓ

Chudy Pan.

Czasem, diabli wiedzą skąd, chwytą człowieka tęsknota i smutek- serca się czepia. Dusza się rozmarza, a mózg wzburzony, jak rozfalowane morze — muszle, najrozmaitsze myśli wyrzuca, dziwaczne nieraz jak te muszle: jedne puste, w innych tkwi perła.

Otóż byłem w tak dziwnym usposobieniu; dlaczego? nie wiem. Może dlatego, że byłem sam i tak daleko...

Lecz często bywałem samotny. Wszystkiemu chyba winien był wiatr, co się szamotoł i wył, i ta rzeka, co, szlochając, pędziła gdzieś w dal swe szare fale, i pieśń burłaków tęskna, monotonna — jak życie, jak praca ich ciężka.

Właśnie wieczór nappełnił pokój mój mrokiem, gdy przyszło mi na myśl, że przykro człowiekowi wejść, na przykład, na pierwsze piętro, zadzwonić, spytać się: czy państwo w domu? — i usłyszeć gniewną odpowiedź: „To nie tu; to o dwa piętra wyżej!...” Choć może przykrzej stokroć przyjść przez pomyłkę na ten świat i w nim utknąć, choćby dlatego, że schodów na wyższe gwiazdy niema...

A potem znowu ni stąd ni zowąd myślałem, że śmierć to chytry majster. Ledwie się zjawi — chcesz

się jej lepiej przypatrzeć, by poznać co to za ptaszek... a tu fiut... i już cię nawet niema... Nie widzisz majstra, dla tej prostej przyczyny, że oczy ci szkłem już zaszły, i ani się ruszysz, ani drgniesz, choćby ci nawet najukochańsza istota na szyi zawisała...

— Dziękuję panul — zabrzmiał głos. — Z pierwszego widzę, żeśmy krewni, a druga myśl, choć nic wielkiego... ale na bezrybiu i rak ryba, a teraz taka tandeta, wierz mi pani Nikt chyba tego lepiej ode mnie wiedzieć nie może.

Tu gość mój przysunął sobie stołek i dalej ciągnął, siadając:

— Daruj pan, że przychodzę tak późno, ale w innej porze stale siedzę, a raczej leżę, w domu: nie przedstawiam się — to zbyt cenne, zresztą mam czasu tak niewiele... możesz mnie pan nazywać jak zechcesz, choćby — Chudy Pan...

Gość był rzeczywiście przerażająco chudy; twarzy dokładnie w zmroku dostrzedz nie mogłem, ale zauważyłem, że frak wisiał na nim jak na haku, a lśniące buty o bardzo cienkich podeszwach wyraźnie były za duże i marszczyły się niemożliwie.

— Nazwałem pana krewnym, — mówił dziwnie głębokim i sympatycznym głosem, — bo ja również przez jakąś pomyłkę dostałem się na ziemię.

* Niańka moja sformułowała to w inny sposób: „Ten rak nie pasuje do kołyski” — rzekła. Czy byłem za duży, czy >za mały? — tego dowiedzieć się nie mogłem. Wiem tylko, że mi później ciągle przeszkadzał ów brak „pasunku”. Wyraz ten nie jest moim wynalazkiem: stworzył go pewien znajomy mój, stary ślusarz-mechanik, który zwykł był mawiać: „Pasunek, panie tego, to grunt w każdej robocie; bez tego, panie, wszystko na nici Najlepsza

^m aszyna stanie, ani rusz! jakby w nią piorun trząś, panie tego!"

Był to jedyny człowiek, który pomimo „panie tego” miał genialne pomysły.

Z dzieciństwa mego niewiele pamiętam. Mieszkaliśmy na wsi. Ojca nie znałem, tylko matkę, która, widocznie, zanadto silnie dopasowała swe serce do reszty mego rodzeństwa. Dla mnie zabrakło „pa- sunku”: byłem więc traktowany trochę inaczej niż inni. Widziałem to doskonale, ale nie widziałem wtenczas tego, że jestem inny, że mam ogromne wa« dy: gwałtowny łobuz, z przerażającą szybkością darłem po drzewach i dachach ubranie — co prawda, i skórę także; raz próbowałem uciekać do Ameryki, by odszukać „Ducha puszczy”; a już najgorszą to była chorobliwa prawie nadczułość duszy i serca. To, co innych mogło ukłuć zaledwie, mnie przenikało do głębi. Ta nierównomierność między razem zadany a echem jego w mem sercu była źródłem wszystkiego złego, jak dla mnie tak i dla mego otoczenia.

Dodaj pan jeszcze do tego jakiś wieczny roz- dźwięk między mą duszą i rzeczywistością: a nie wyda ci się to dziwnem, że często nie rozumiałem sam siebie, a prawie nigdy mnie — blizcy.

Takie nieporozumienia męczące są i smutne.

Stąd działa mi się rzeczywiście krzywda, choć rzeczywiście skrzywdzić mnie nie chciano. Tak mówię dziś; wtenczas jednak nie umiałem sprawiedliwie całej sytuacji ocenić. Cóż dzKwnego? Trudno dorosłemu trzeźwo patrzeć, gdy go głowa boli lub serce; trudniej jeszcze dziecku, szczególnie, gdy to dziecko ma nieprzepartą skłonność do zapatrywania się w mglistą dal.

Myślałem wszakże i ja czasem, najczęściej nocą, gdy wszyscy spali, a na niebie paliły się rzewne gwiazdy i śnił księżyc, ale myślałem o głupstwach.

Roilem, naprzykład, o tern, czyby nie moźria z tych jasnych promieni, co jak złote pasma spływały od księżyca, ukręcić sznurka, dźwignąć się po nim tam, het, w górę i siaść na tym krzaku uwięźnym jak na talerzu; wnet jednak przypominałem sobie, że znówbym podarł ubranie; mama-by się gniewała, a przytem talerzyk musi • być gorący, jakże więc na nim usiedzieć?

Zastanawiało mnie także, co też ten księżyc musiał przeszkrobać, że mu kazano błądzić tak wiecznie samemu i nigdy słońca nie widzieć? I żał mi było smutnego księżyca, co patrzył na mnie, jak żywy, bladą swą twarzą w te ciche noce bezsenne. Ogarniała mnie wtenczas dziwna jakaś tęsknota; wsuwałem się cichutko do łóżka i jeszcze ciszej płakałem... Czasem płacz w łkanie przechodził... W takich razach, bojąc się, by kto się nie obudził, pakowałem w usta koniec koszuli lub róg poduszki.

Nie zbudził się nigdy nikt; zasypiałem łzami zmęczony. Śniły mi się wtenczas najdziwaczniejsze rzeczy, a czasem nawet i to, że matka moja przychodzi do mnie, schyla sřę-cicho i tak mnie całuje, jak całowała Marylkę, Józia i małego Kazika.

Lubiłem bardzo ten sen: więc mi się wkrótce śnić przestał.

W dwunastym roku mego życia wszyscy przenieśliśmy się do miasta. Z początku było to dla mnie coś okropnego. Ciasne mury, brak powietrza, swobody — dokuczały mi strasznie. Człowiek jednak potrafi znieść co najgorszego być może: tem się różni przedewszystkiem od zwierząt.

Na dobitkę złego zacząłem chodzić do szkoły. Odrazu w pierwszym tygodniu dowiedziałem się o czemś, čo miało odegrać dość ważną rolę w mem życiu. Pamiętam, stało się to mniej więcej tak: Nau czyciel gwałtownie zaczął mnie wypytywać: kto cały piec na pauzie wyczernił atramentem? Z początku

milczałem uparcie; w końcu ośmieliłem się zauważyć, że przecież nie można zdradzać kolegów... Trzy godziny kozy były odpowiedzią na moje zuchwałe twierdzenie. Zbeczałem się jak słońce; wróciłem do domu, gdzie mnie nie wyłajano, co prawda, ale zrobiono uwagę, że się takich rzeczy nie mówi. W ten- czas-to po raz pierwszy dowiedziałem się o istnieniu „takich rzeczy...” Tego wieczoru, a często jeszcze później, myślałem o nich uparcie — nic wymyślić nie mogłem; tymczasem brózdziły mi one ciągle.

, Zaraz na pierwszym kursie uniwersytetu powiedziałem pewną , taką rzecz" jednemu z profesorów, który popełnił był jakąś niesprawiedliwość... Za to zaproponowano mi opuszczenie na pewien czas przybytku nauki. Dzięki staraniom i dobrej znajomości chemji dostałem tymczasowo dość korzystne zajęcie w jednym z podmiejskich zakładów przemysłowych.

Główny administrator, mój pryncypał, był nawet zadowolony ze mnie, wyrzucał mi tylko, że się za mało interesuję wykrywaniem nieporządków w fabryce.

Postanowiłem się poprawić.

Jakaś fatalność kazała mi zauważyć, iż zegar fabryczny bardzo źle chodzi: zrana się śpieszy, a wieczorem późni. Trudno o większy nieporządek. Pełen radości udałem się do administratora, by mu fen fakt zakomunikować. Po drodze opowiadałem o mem odkryciu u wszystkim. Nie mogę panu opisać mego zdziwienia i goryczy, gdym usłyszał gniewną i drwiącą odpowiedź: „Musimy się rozstać, mój naiwny panie: takich rzeczy się nie odkrywa i nie opowiada całemu światu!"

Wyjechałem. Mój stary ślusarz-mechanik zaopatrzył mnie na drogę obszernym kazaniem o ważności p a s u n k u.

Był trochę pijany dnia tego i, jak zwykle w takich razach, dziwnie wymowny. „Dam panu radę—

mówił — wyszlifuj se pan do miary czoło i sumienie; inaczej cię rdza ogarnie i zje".

— A gdzież pilniki i miara, stary? — spytałem.

— Hm — pilnik? — odparł — życie- paniczku; miara •— ludziska!

Żegnał mnie pocziwiec ze łzami; przywiązałem się do niego serdecznie: więc wkrótce umarł.

Zgryzłem się całą tą historją i znowu zacząłem uporczywie myśleć o tem, jak tu odróżnić „takie rzeczy" od innych. Wszak główną cechą słów moich była dotychczas prawda, a trudno chyba przypuścić, by ona właśnie była „taką rzeczą", której unikać należy. Cały świat zachwyca się prawdą; słowo to cieszy się jak najlepszą opinią. Prawdziwa nauka, prawdziwa sztuka, prawdziwy pilzner, prawdziwy ser szwajcarski... jednym słowem — wszędzie wyraz ten jest synonimem czegoś najlepszego.

Miałem wtenczas lat dziewiętnaście; nie miałem jeszcze opinji warjata: nic więc dziwnego, że tak niezmórowane myślenie nad jedną kwestją doprowadziło mnie do pewnych wyników.

Po pierwsze, przekonałem się, że rzeczywiście nie bardzo pasuję do świata i że przez jak,} \$ pomyłkę tu się dostałem — ot, miałem żyć gdzieś Indziej, a tu kur zapał w złą godzinę, i znalazłem się na ziemi. Skoro jednak już tak się stało, to trudno: trzeba się dopasować, i basta! Ale jak?!

„Takie rzeczy" wzbudziły we mnie podejrzenie, że ludzie kłamią i tak do kłamstwa przywykli, iż wierzą czasem w szczerłość słów swoich, a co gorsza, lubią ładnie brzmiące wyrazy: szlachetność, poświęcenie, prawda i t. p., i dlatego tak je często wymawiają.

Słowa więc utrudniają zrozumienie świata i dają bałamutne pojęcie o ludziach, których dokładne poznanie, ze względu na pasunek, było nadto ważną rzeczą dla mnie, bym się tej myśli tak łatwo wyrzekł.

Zacząłem się więc zastanawiać nad tem: czyby nie można sięgnąć do głębi istoty ludzkiej bardzo bezpośrednio — nie przez usta i słowa, ale, na przykład przez czaszkę, przez myśl?

Wkrótce stałem się właścicielem tego smutnego wynalazku.

Jeżeli widziałeś pan kiedy armatni strzał z odległości, to zauważyłeś pewnie, że z błysku, kierunku, dymu i huków można mniej więcej określić jaką drogą szybuje pocisk, a nawet jakiej był wielkości, chociaż ogień, dym i huk są zupełnie czemś innym, niż granat.

Otóż i myślałem, jakkolwiek są czemś[^] zgoła odmiennym od materji, stale jednak towarzyszą pewne określone zmiany i drgania w miążdże mózgu naszego.

Jeśli tak jest, to słusznie mogłem przypuścić, że zmianom tym materjalnym, jak wogóle wszystkim zjawiskom, muszą towarzyszyć pewne wahania temperatury, a może i stanów elektryzacji. Umieć je mierzyć dokładnie, zastosować odpowiednią skalę: a kwestja odczytywania myśli będzie rozstrzygnięta.

Przypuszczenia moje sprawdziły się w zupełności.

Wynalazłem substancję nadzwyczaj czułą zmieniającą objętość pod wpływem specyficznych termoelektrycznych wahań myślącego mózgu, a zatem i czaszki.

Najdłużej ślęczałem nad wypracowaniem skali, której urządzenie jest tak zawile i trudne, że wolę przemilczeć o niej, gdyż nie mógłbym panu w ciągu całej naszej rozmowy dać nawet przybliżonego wyobrażenia o jej konstrukcji.

W półtora roku przyrząd mój był gotów, ale był zanadto wielki i ciężki, prawie jak ten pański kałamarz. Postanowiłem go zmniejszyć do minimum, bo chodziło mi o to, bym go mógł kłaść na głowach ludzkich w sposób niedostrzegalny dla nich, gdybym

bowiem nie mógł, kto wie czyby się umyślnie nie starali nieszczerze myśleć...

Byłem pewny, że dopnę swego, gdyż niema takiej technicznej trudności, którejby przezwyciężyć lub ominąć nie było można.

Pewnego dnia o świcie założyłem ostatni sztyft, głowy ludzkie stanęły przede mną otworem...

— Jakiś warjat! — szepnąłem w duchu.

— Mylisz się pan — odrzekł gość — nie uciekłem z domu obłąkanych.

Mrowie mnie przeszło: Chudy Pan wiedział co myślę... ^

I, uśmiechając się zagadkowo, wyjął z kieszeni od kamizelki dziwnego kształtu różowy przedmiocik, niewiele większy od tureckiego orzecha:

— Oto mój przyrząd — rzekł — jest on koloru ciała, bo przeznaczony dla łysych; taki sam, tylko cokolwiek większy i ciemny, masz pan we włosach.

Podniosłem rękę w górę.

— Daj pan pokój! — wstrzymał mnie gość: — to nam znakomicie ułatwi rozmowę.

Opuściłem dłoń. Chudy Pan ciągnął dalej:

— Gdyby jaki uczony zrobił ten wynalazek, nazwałby go, co najmniej, elektro-termo-mikronous-ta- chy-metrem; ja go nazwałem wprost „sztuczka”. Takie dwie sztuczki, jedną różową, a drugą ciemną, miałem zawsze przy sobie; długi, cienki, przezroczysty drut z mojego metalu, wpuszczony w lampas od spodni, pozwalał mi nawet ze znacznej odległości umieszczać sztuczkę na głowach badanych osobników.

Wszystko udało się znakomicie: tylko...

— Tylko co? — spytałem szybko, zelektryzowany do najwyższego stopnia.

— Tylko i tu, jak zwykle, doznałem rozczarowania i zawodu, •r^ Jaktó?...

— Bardzo prosto: ludzie prawie wcale nie myślą, procent prawdziwie myślących głów wyraża się zaledwie ułamkiem, i to wśród tak zwanej inteligencji.

Bo powiedz pan sam: czy można nazwać myślą— wiązanie za pomocą spójników zdań, frazesów, zaczerpniętych nie z siebie, zapożyczonych skądinąd? Taki proces*~ma się do prawdziwego myślenia tak, jak złe fotografie do oryginału, jak dźwięki odtworzone przez zepsuty fonograf do żywego głosu. Odbywa się on prawie machinalnie, odruchowo, często nawet pomimo woli i wiedzy tak myślącego osobnika. Głowy takie — a takimi się okazały czaszki wielu uczonych — są podobne do worków, przepełnionych najrozmaitszą tandetą i starzyzną, z których kiedy-nie- kiedy wypadnie jakiś przedmiot: to stara cerowana skarpetka Kanta, to znów przydeптany pantofel, lub popękany monokl Sokratesa.

Jakż mogły mieć wartość dla mnie takie myśli, co znacznie mniej świadczą o istocie tej głowy, w której na oślep błędzą, niż głosy przysięgłej krytyki o istotnej wartości, dzieła, lub dźwięki katarynki o duchu odtwarzanej melodji?

A takim „tembrem" kataryniarskim brzmiały wszystkie głowy prawie całej inteligencji: mózg wyglądał jak niedołąźnie ułożony katalog, cała zaś praca umysłowa redukowała się do wprawy szybkiego odszukania potrzebnej cytaty.

Słownik myślowy tych ludzi był przerażająco u- bogi; ledwie garść pojęć: po czemu? ile?.., kiedy obiad?... dwa piwa! —■ pasł' bez atul... oto prawie wszystko.

Przytem chodziło mi nadzwyczaj o wykrycie tego stosunku, jaki zachodzi między myślą a słowem..!

Cóż się jednak okazało? Oto żaden stały stosunek nie istnieje.

Czasem myśl jest wprost ze słowem sprzeczną; czasem nawet mówi się to, co się myśli... lecz najczęściej myśl biegnie swoją drogą, a słowa lecą swoją.

Pamiętam moje zdziwienie, gdy po raz pierwszy włożył mą różową sztuczkę na łysinę wielce poważanego radcy.

Skazówka stała, choć radca właśnie miał nader piękną mowę o szlachetnych zadaniach tej instytucji, której był prezesem.

Myślałem, że przyrząd zepsuty; wkrótce jednak, ku większemu jeszcze zdumieniu, zarysowała się myśl wyraźnie: „Co zjeść na kolację — raki, czy kurczęta?” — właśnie w tej samej chwili, kiedy szlachet- nem uniesieniem drżące usta mówiły: „Dzieliliśmy się sprawiedliwie swym skromnym chlebem powszednim z naszymi młodszymi braćmi”...

Chodziło o wyznaczenie gratyfikacji noworocznych.

Myśli żywej, drgającej uczuciem i siłą, twórczej, długo zobaczyć nie mogłem. Później spotkałem się z nią, a powiem panu, że dość często widywałem ją tam, gdzie się tego najmniej spodziewałem.

Czasem wikwitła ona z drobnego czoła rozmarzonego dziecka, spłynęła z bujnych włosów zaparzonej gdzieś w dal dziewczyny, lub zabłysła nad szerniałą od pracy głową robotnika. A piękny to widok prawdziwie!... Wskazówka drży, jakgdyby jakimś strachem zdjęta, przebiega niespokojna rozpaloną skalę — widzisz coś nowego, nieznanego.

Często też myśl taka nie jest zupełnie jeszcze jasną, przebija się zaledwie, jak pierwszy złoty promień poranku przez mgły, splątana, nieokreślona, przypomina wybieranie na skrzypcach nowej melo-

dzi. Zmącone to jeszcze dźwięki, niepowiązane w akordy; czujesz jednak, że wkrótce popłyną szeroką falą— czyste, śpiewne i piękne. —

W takich chwilach ze drżeniem myślałem o tem: co się stanie z moim przyrządem, gdy się zetknie z olśniewającą, wielką, płomienną myślą genjuszu? Pryśnie w drzazgi, roztopi się, ulotni cały! Dla myśli takiej musiałbym, zamiast sztyftów ze stali — słupy brylantowe osadzić, niuty tak wielkie jak słońca, a kryształowej skali za wymiar dać — nieskończoność.

Próżna to była obawa: sztuczka ma nigdy nawet nie pęknąć; a ileż zato musiałem się nachodzić, ilu głupstw i zleżalej starzyzny się napatrzeć, by taką ładną i świeżą myśl chociaż zobaczyć.

Tymczasem coraz trudniej było mi o nią. Wyobraź pan sobie, że od trzech lat dziś po raz pierwszy spotkałem u pana coś lepszego; katalogów zato, worków coraz więcej, coraz przytem one ciaśniejsze, uboższe — tak, iż mimowoli nastęrcza się pytanie: czy z czasem cała praca mózgowa nie rozdrobi się i nie zmechanizuje do tego stopnia, iż będzie ją można zastąpić dowcipnie obmyśloną machiną?

Już wtedy nieraz ogarniało mnie takie zniechęcenie, iż oddałbym swój wynalazek za byle co; za promyk szczęścia, za kawałek kochającego serca — dałbym go zawszel...

Chudy Pan umilkł; wsparł czoło na rękę, tak, że widziałem jego długie palce, cienkie, prawie przezroczyste, błyszczące jakimś fosforycznym blaskiem.

Mną zaś owładnęła gwałtowna chęć zdobycia na własność jego przyrządu.

— Łaskawy paniel — prosiłem — daruj mi taką jedną sztuczkę! — a widząc, że milczy, dodałem szyb

ko: — Odprzedaj chociaż! — i gorączkowo zacząłem przetrząsać kieszenie.

Wydobyłem jednak zaledwo dwie marki na obiad i zmiętego rubla.

Po raz pierwszy zrobiło mi się przykro, że posiadam tak mało.

— To nie mało; — odrzekł Chudy Pan, uśmiechając się dziwnie; — swoją drogą nie sprzedam panu mej sztuczki; odstąpiłbym ją może komu innemu, ale tylko za cenę kosztu...

— Za ile? — przerwałem.

— Za jedną boleść...

Tu Chudy Pan wyciągnął swą patykowatą rękę w kierunku mej głowy, zdjął sztuczkę i wsunął ją w kieszeń...

Myśląc, że chce odejść, ponowiłem gorąco swą prośbę.

— Zanadto dobrze panu życzę — rzekł, a później dodał ciszej: — Zawsze ta sama historia: nie wiemy nigdy dokąd idziemy i co znajdziemy w upragnionym napoju, a jednak, gdy się pan dowiesz, jakiego mi wypłatano figła, to, o co tak błagasz, sądzę, że chęć twa przygaśnie.

Znowu umilkł.

Było zupełnie już ciemno i cicho; słyszałem tylko jak wiatr wył, i, jęcząc, cisnął się w okno zdyszana piersią.

— Choć, kto wie? — zaczął znowu; — bywamy tacy zacięci w szukaniu guzów... Guza ci się zachciewa, mój panie: ja ci to mówię, nie lepszy w tym względzie od ciebie, — ale i nie gorszy; ja, co do pierwszych chwil mojej pamięci leciałem bez tchu, by spotkać — ból zawiedzionego serca, a potem, niepomny wszystkiego, znowu wołałem: Chodź, ty czarowna, zawrotna!... nie! — jak gorączka trawiąca, łakoma krwi ^serdecznej i łez niesyta, — ty — Miłości!...

— A! a! — wydarł mi się z piersi okrzyk zdziwienia i protestu...

— Niegdyś i ja-bym [tak krzyknął, — drwił Chudy Pan, — a może nawet stokroć głośniej...

— Gdy się ma jednak wzajemność — wtrąciłem. Zauważyłem, że gość mój wtrząsnął się cały.

— Skąd pan wiesz o tem? — wybuchnął, a potem dodał złośliwie: — Czy, mówiąc tak, nie jesteś czasem podobny do tego chłopca, który zachwalał nadzwyczaj bułkę z masłem> a zapytany: czy ją jadł? — odparł spokojnie: „Nie, ale mój brat widział, jak ją jadł lokaj ze dworu”? Ja zaś wiem dobrze, w co się ten specjał zamienia, gdy masło się naraz ulotni... a sucha bułka uwięźnie w gardle, i dusi i dławi. Mnie chwyciła ta dławica za gardło właśnie w tym czasie, gdym był bardzo zniechęcony i smutny całym ogromem smutku tych niepoprawnych, którym myśl przenikliwa wszystkie marzenia potłukła, a oni wiedzą, że znów ruiny te dźwigną, i znowu w gruzy gmach legnie, i będzie wiecznie to samo... ciągle to samo.

Byłem tak bardzo zmęczony, że uległem wciąż ponawiającym się namowom rodziny, by wyjechać i ukończyć studja...

Ogólna radość zapanowała w domu. Wszyscy byli pewni, że wchodzę nakoniec na dobrą drogę życia, że nabrałem rozumu.

Nie protestowałem przeciwko tym złudzeniom; zobojętniałem na wszystko do takiego stopnia, że zacząłem nawet składać wizyty i brać udział w życiu to-warzyskiem.

Na krótko przed wyjazdem spotkaliśmy się.

Odrązu zwróciła moją uwagę. Nie była piękna— ładna tylko, miała jakiś zagadkowy wyraz fijołko-

wych oczu i usta nadzwyczaj wyrwane; zdawało się, że ciągle szepczą jeden wyraz: „Chodź*!

Spostrzegłem odrazu niebezpieczeństwo, tem- bardziej, że sprawiała wrażenie typu bardzo odmiennego — ode mnie. A unisono w miłości — panie — jest na nic.

Postanowiłem jej unikać, bałem się instynktowo zakochania. Wzajemność przy tym wydawała mi się niemożliwą; takim się już przyzwyczaiłem do tego, że mnie najczęściej raniła ta dłoń, którą chciałem uściskać.

Tymczasem spostrzegłem coś, co mi się zrazu w głowie pomieścić nie mogło: jej dłoń wyraźnie wyciągała się ku mnie, jej oczy spotykały się ciągle z moimi, a usta jeszcze wymowniej szeptały ten wyraz zaklęty.

Przez pierwszych kilka dni zdawało mi się, że zmysły tracę, że cały świat stanął na głowie: gwiazdy leżą na ziemi, na bruku rosną kwiaty, ludzie kochają się jak bracia... złoto straciło potęgę... ja pasuję do świata, świat do mnie, a życie jest najpiękniejszą operą bez żadnych nudnych antraktów. Zgłupiałem do reszty.

Bywałem tam tylko, gdzie ją zobaczyć mogłem. Wyrazów wymieniliśmy niewiele, ale spojrzeń za to i uśmiechów — tysiące. W wigilję wyjazdu, jak przynajmniej myśleli wszyscy, choć ja nie miałem już wcale zamiaru wyjeżdżać,—urządzono wspólną składkową majówkę.

Po południu całe towarzystwo znalazło się za miastem.

Oczywiście, każdy z mieszczuchów, skoro raz wydał pieniądze, czuł się już w obowiązku zachwycać się najmniejszą trawką, najlichszym drzewem, głośno wygłaszać hymny na cześć natury, a w duchu tęsknić do stolika knajpianego, wygodnego krzesła i kufla piwa.

Dawniej było to dla mnie nieznośne. Dnia tego byłbym uściskał każdego z tych poczwiców. Było mi jasno i ciepło na duszy.

Dzień był rzeczywiście piękny.

Pyszne słońce paliło się łagodnie na błękitnym niebie, lało się złote przez świeże liście drzew na ma* lachity trawy. Wiatr > niewielki szumiał po lesie i niósł zapachy łąk i kwiatów, i omdlewał chwilami, jakby sam upojony czarami wiosny.

A przytem do mnie śmiała się ta druga wiosna, śmiała się ona — różowa cała, z białą wstążką na złotych włosach... miała fijołki w oku; perły i róże w ustach...

Tymczasem dzień uciekał szybko. Słońce pobladło, las ucichł, spowaźniał cały. Zrobiło się tak pięknie, cicho, że najbardziej brukowa dusza zaczęła odczuwać jakieś tajemnicze drgnienia. Rozmowy i śmiechy umilkły naraz. Towarzystwo jęło się rozbijać na małe grupki i, głównie parami, zaczęło błędzić po lesie.

Znaleźliśmy się we dwoje.

Jakieś tajemnicze, prawie smutne przeczucie majaczyło mi w duszy. W milczeniu szliśmy wąską ścieżyną. Po bokach młode krzewy drżały cichutko, tuląc się do siebie jakby wylękle, a w chwiejbie tej ich tkwił dziwny niepokój.

— Dokąd ta droga prowadzi? — spytała w końcu.

— Do rzeki — odparłem, równając się z nią właśnie w tem miejscu, gdzie dróżka rozwidlała się nagle i las się kończył

Przed nami błysnęła żółta ława piasku, smutna swą pustką.

W dali marszczyła się wielka szara wstęga.

— Oto jestem — rzekłem.

Nie odpowiedziała nic, tylko posunęła się dalej w kierunku wielkiego kamienia, który, zdawało się,

sam dźwignął się z piasku, by wyrzeć ku gasnącemu słońcu.

Drobne jej stopy zanurzały się w wilgotnym mule.

— Ojoj! — krzyknęła figlarnie i, unosząc zlekka różowe muśliny, frunęła jak barwny motyl przez płowe płaszczyzny; upadła prawie na stary głaz, co się ożywił nagle i rozjaśnił splotem jej rąk białych. Twarz miała zaróżowioną od biegu i zorzy, a w piersi szybkie fale.

— Spocznijmy! — rzekła.

Usiadłem niżej, prawie u jej nóg. Tuż pod nami toczyła rzeka swe mętne, u wierzchu lśniące jak bronz, fale.

Słońce staczało się coraz niżej i kryło za górą— w końcu prawie znikło. Tymczasem przeciwległe białe obłoki powlokły się krwawym rumieńcem.

— Jutro pan jedzie? — szepnęła pierwsza.

— Tak mówią, — odparłem i spojrzałem na nią.

Wyminęła mój wzrok, a swoje oczy utkwiała w przestrzeń. Stawała się jakąś ociężałą i senną. Usta miała nawpół rozwarte, i cała postać zdawała się szeptać: „Chodź! weź mnie i zapomnij o wszystkim!”

W głowie mi się mącić zaczęło.

Szczęściem, wstał z oczeretów wiatr i przemknął nad falą, niosąc chłód. Oderwałem od niej oczy i pobiegłem za jej spojrzeniem. Daleko, na drugim brzegu majaczyły jakieś poszczerbione mury; dalej czerniał las, a od lasu stąpała cicha noc. Niebo coraz bardziej blade. Kilka migotliwych gwiazd zakręciło się na niem, jak w oku łyzy... Ogromnie było cicho — tylko fale szumiały ciągle i wzdychał wiatr.

Raptem z pod nóg jej oderwała się jakaś większa grudka i plusnęła do rzeki. Spłoszone dwa szare kulony porwały się nagle od brzegu i, świszcząc tęsknie, leciały tuż nad wodą i biły o fale skrzydłami.

— Co to? — szepnęła, chwytając mnie za rękę, a przy tem pochyliła się tak blisko do mnie, że mi wzrok zgasł.

— Ty moja!... — odparłem.

— Mój — westchnęła.

Dotknąłem ustami jej ust... Następnej chwili nie pamiętam dokładnie... wiem tylko, że gdym przyszedł do siebie, staliśmy oboje... trzymałem ją za ręce, a w piersi miałem pełno krwi, łez szczęścia i szału.

Wołano nas. Wracaliśmy w milczeniu. Była już noc zupełna. Na niebie stał pełny księżyc i drżały roje gwiazd.

Tu gość umilkł, oparł znów czoło na dłoniach, a cienkie jego palce błyszczały tak mocno, że mogłem widzieć przeraźliwą szczupłość jego smutnej twarzy i wyraz wielkich oczu — zacięty, obłąkany prawie. Wkrótce jednak podniósł głowę, opuścił ręce na kolana i rzekł sucho:

— Na drugi dzień musiałem wyjechać. To, żeśmy po słowie, miało być tajemnicą, póki nie skończę uniwersytetu. Tak przynajmniej, wypadło z narady mej matki z jej opiekunką, ciotką. Mieliśmy sobie zastępować się listami. Zgodziłem się na to i na wyjazd. Wszystko to stało się tak niespodziewanie, spadło na mnie tak nagle, jak grom, i przewyższało najskrytsze i najzuchwalsze marzenia moje.

W drodze ochłonałem cokolwiek i zacząłem już trzeźwej myśleć o przyszłym naszym życiu. Z rozkoszą wyobrażałem sobie jak się jej oczy ze zdziwieniem rozszerzą, gdy jej pokażę swój wynalazek, bo przed nią nie chciałem mieć żadnych tajemnic; przeciwnie, najgorętszym życzeniem mojem było, by myśli nasze i tętna serc zlały się w jedno. Nie pragnąłem przytem bynajmniej przytłoczyć jej duszy swoją:

przeniknąć się tytko wzajemnie, objąć swoim jej ser*

Ce, swoją myślą jej myśl, i tak się samemu rozrósć i rozszerzyć, — w tem widziałem szczęście.

Pragnienie to jaknajmniej było wynikiem mych postępowych poglądów: było naturalną potrzebą istoty, która się długo tułała samotna, a teraz rwała się cała ku innej.

Na trzeci dzień po przyjeździe zapukał do mego p jkoju ktoś, co mi się wydał gołębicą Noego. Gołębica ta miała na sobie mundur z żółte mi wypustkami, olbrzymią torbę skórzaną i czerwony nos, a w ręku list — pierwszy list od niej, panie! — dobry, kochany list...

Za tydzień przyszedł drugi, już nie taki; trzeci szedł jeszcze dłużej, był krótki, szary, bezbarwny; czwarty już tylko aby zbyć; piątego doczekać się nie mogłem; szósty nakoniec... nie przyszedł wcale.

A ja pisałem ciągle i kładłem w słowa coraz więcej mózgu i serca, chociaż widziałem jasno, że coś się psuje i rwie.

Zrozumie pan, że niezbyt przyjemnie jest, lecąc w przepaść, chwycić się jakiejś gałązki i, wisząc nad otchłanią, widzieć, jak wąż ta nitka zbawienia trzeszczy i pęka.

Gorzej też może znaleźć się samemu w pustyni z szalonym pragnieniem w piersi mieć dokoła tylko martwy, szklisty i bezlitosny piasek gorący, a nad głową rozpalone i wściekłym żarem ziejące słońce.

Ale to było stokroć gorsze!

Przepaści można wygrażać pięścią, pustyni złorzeczyć, słońcu kląć, piasek deptać. Ofiara za mękę swoją odpłaca nienawiścią, przekleństwem, pogardą. A tu skarga na usta wypełznąć nie śmie, bo kochasz bardzo i musisz w jeanem sercu dusić mękę i miłość, rozpacz i nadzieję. A jeśli zdołasz się zdobyć na chwi- lę myśli spoi , ej, myśl bezlitosna ci powie: „ Czyż możesz żądać, by ona stworzyła uczucie, które zni-

kio, skoro ty sam nie masz władzy nakazać sercu milczenia?"

Wolno tylko zrobić jedynie uprawniony wyrzut: „Może zanadto lekkomyślnie rozdmuchiwałeś iskrę w mej piersi” — nic więcej. Teraz to widzę jasno i rad jestem, że uniknął tej niesprawiedliwej ssi, którą wówczas chciałem wyrzucić.

Na Boże Narodzenie, pełen złych przeczuć, jechałem do domu; miałem ją znowu zobaczyć, by się przekonać naocznie o tem, co 'mi mówiły, a raczej czego mi już nie mówiły, jej listy, bo dawno ich nie miałem.

Spotkaliśmy się raz, drugi, trzeci.

Coraz fałszywszy ton brzmiał między nami, uchodziliśmy jednak za narzeczonych. Nie zadawałem jej żadnego stanowczego pytania, choć ciągle o tem myślałem. Nie zastosowałem do niej mego wynalazku: bałem się poprostu. W sercu mojem, gdzieś na dnie, tała się głupia, niczem nieusprawiedliwiona nadzieja; zrywała się chwilami i rozjaśniała świat. Myślałem sobie: — Do końca studjów rok jeszcze... kto wie, co przez ten czas się stanie?... może się wszystko na lepsze obróci...

Stawałem się podobnym do bankruta, co dziesięć razy sprawdzał niepożądany rezultat swego rachunku, i znów go sprawdzać myśli; podejrzewa ciągle omyłkę, boi się prawdy — nie chce ogłosić bankructwa.

Pewnego wieczoru wyszedłem od niej bardzo zgnębiony, prawie bez złudzeń. Wlokłem ją jak senny; którądy i jak długo? — nie wiem. Kiedym się ocknął, zobaczyłem przed sobą lśniące białe pole, po którym wichur tańczył i w słupy tumany śnieżne skręcał. Wysoko nade mną stał zamglony chmurami księżyc... Wokoło była przeraźliwa, blada pustka. W górze tymczasem matowe niebo brało barwy ołowiu i owijało się w kir. Słup śnieżny opadał nagle

i wicher przycza! się na chwilę, lecz wnet się porwą!
jeszcze bardziej wściekły i rzucił mi w twarz zimną garść lodu.

Poznałem, że zamieć idzie. Wracalem szybko ku miastu. Juz dobrze bylo po północy, kiedym się dobił do domu. Tu dopiero zauważyłem, że palce mam sztywne, jak z drewna. Ledwom się zdołał rozebrać; zimna jednak nie czułem: przeciwnie, miałem taki żar w piersi, że kołdrę zrzucił i długo usnąć nie mogłem.

Kiedy otworłem oczy, powiedziano mi, że jestem bardzo chory, i trzy dni byłem nieprzytomny; dowiedziałem się o tem, że wczoraj przysłano od nich dowiadywać się: jak się miewam? Gdym to usłyszał, zrobiło mi się nagle słabo, mgła też przykryła mi oczy. Nadzieja wracała. Postanowiłem w tej chwili wyzdrowieć koniecznie i byłem pewny, że tego dokażę. Wkrótce zjawili się dwaj lekarze.

Byłem w świetnym humorze. Przy badaniu jednemu z nich włożyłem mą sztuczkę: „Djabli wiedzą co mu jest” — myślał. W tej samej chwili drugi rzekł poważnie: „W zupełności zgadzam się z waszą dja- gnozą.” — Dobryś!... zaśmiałem się wesoło.

Wieczorem znów przysła od nich służąca. Wprowadzono ją do mnie, by się naocznie przekonała, że żyję.

— Cóż tam... panienka? — spytałem.

— A nic; chciała nawet dziś tu przyjść, ale se posła na spacer, bo pani powiedziała, że to nie pasuje.

Dość mi było usłyszeć dźwięk tego fatalnego słowa, by stracić całą wesołość; poczułem^ odrazu, że mi się znowu gorzej robi. Myśli moje odleciały od niej, zwały się na chwilę, a później zwróciły się ku śmierci.

i nagle doznałem pewnego rodzaju ulgi: przypo- mniałem sobie, że jest coś, co się do każdego dopa-

suje samo. Przyjdzie to widziadło nieznane i przyniesie spokój niezmacony i ukojenie wieczne.

A im więcej myślałem o niej, tem więcej wydawała mi się lepszą, niesprawiedliwie sądzoną i ponętą. Do tego wszystkiego przyłączyła się niezmierna ciekawość. Przypomniałem sobie, że niegdyś czytałem jakąś dziwną książkę. Miejskami wesoła, częściej smutna — zajmowała mnie ona dosyć. Gniewało mnie tylko jedno: że długo nie mogłem pochwycić jej myśli zasadniczej; zdawało mi się, że niema sensu. Dopiero po przeczytaniu ostatniej kartki zrozumiałem wszystko.

Obecnie rodziło się we mnie przypuszczenie: czy taką ostatnią stronicą życia — nie jest czasem śmierci i byłem prawie pewny, że się nie mylę; że mi ona powie coś bardzo ciekawego, coś nowego, że mi odsłoni wielką jakąś tajemnicę. Czarna jej postać rozpromieniła się cała; wyobrażałem sobie, że nic w niej niema z mroku, że jest to raczej ogromna błyskawica: zapala się na chwilę, rozjaśnia wszechświat, daje zrozumienie wszystkiego, a potem — ciemność, cisza i sen.

Prócz tego doszedłem do wniosku, że istotnem zadaniem śmierci nie jest bynajmniej milczenie, ale raczej zdarcie tej wielkiej zasłony, przed którą błądzimy ciągle, którą przeniknąć pragniemy tak gwałtownie, a tak daremnie, gdy, jak słabe dzieci, silimy się uchylić jej rąbek tajemny. Lecz oto zjawia się wielki mistrz: śmierć. Zasłona nagle pęka. Blask wszystkich słońc i gwiazd, krążących w bezgranicznej przestrzeni, wszystka jasność świata, od łuny pożaru do . białych światła gromnicy, do błysku świętojańskiego i J robaczka — zalewa oczy. Olbrzymi akord każdego i śpiewu, każdego dźwięku, od szumów Oceanu do wycia wichrów, od cichych szelestów róży, gubiącej swe listki wśród nocy ciepłej, do pieśni zdławioną piersią HeUtów wy tchniętej — zgodną melodji, płynie i dźwięczy. Dalej, unosi się fala zmieszanej woni

wschodnich balsamów, które ml pozostali maścili ciała tych, co odeszli; wszystkich pachnideł, rozlanych na białe łona dziewic, oczekujących kochanków, co się zjawili — albo też wcale nie przyszli; zapachów kwiatów, które wykwitły w jasnych cieplarniach lub ze smutnej łąki, smaganej łzami chmur rozslochanych. A także w jednej tej chwili przenikną duszę wszystkie boleści nieba i ziemi i radości wszystkie: najcichsze smutki dusz zasklepionych, tęsknoty spojrzeń płaczących oczu i takich oczu, które już płakać nie mogą; i rozżalenie całe serc zapomnianych i takich, którym żadnej nie dano pamięci; wszystkie westchnienia, wyjęte z piersi, które ktoś słyszał i których nikt nie liczył i słyszeć nie chciał, a których nawet nie można policzyć, bo tak ich dużo; wszystkie tajemne dreszcze każdej najmniejszej istoty; szał pocałunków, którymi się niegdyś spoiły usta, i łączą teraz, i łączyć będą, i złączyć się pragną, choć się to nigdy nie stanie — cała pieszczota, słodycz i gorycz wszelkiego kochania, co zgodny oddźwięk znalazło, lub też bez echa przebrzmiało, napęłni serce.

Mózg się rozwidni, a myśl się stopi, zarem przejęta i błyskawicą świadomości wszelkiej i zrozumienia wszystkiego rażona. Chwila to straszna, a taka zarazem zawrotna i dzikiej, graniczącej niemal z boleścią, rozkoszy pełna, że upojona dusza zatracą pamięć świadomości i bytu, pada w omdleniu, niby zgwałcona dziewczyna, w namiętym uścisku ze- słabła.

Taki śmierć nadaje cały sens życiu. Nie po to się cierpi na ziemi, aby się unicestwić, lecz, by się przygotować do zrozumienia i odczucia tej chwili, w której się odkryją głębie wszelkich tajemnic. Ten krótki moment dłuższy jest niż wieczność; w nim się z rozkoszy umiera — i słusznie: ta jedna chwila wyczerpuje wszystko. Dalsze istnienie byłoby bezcelową męczarnią nudy. Ten wieczny odpoczynek jest tylko

'edyną, rozumną konsekwencją śmierci i naturalną, pilną potrzebą duszy, przetrawionej tą jedną chwilą do cna i znużonej do ostatecznych granic.

Tyle spodziewając się od śmierci, z niecierpi- wem drżeniem oczekiwałem jej przyjścia. „Chodź ty! — szeptałem namiętnie — kryształe życia... ty wierna i niezawodna!”

Nie przychodziła jednak; zato zjawiała się jeszcze większa gorączka, i znów straciłem przytomność.

Na jak długo? — nie wiem. Był mrok w pokoju, kiedy otworzyłem oczy. Tuż obok łóżka siedziała skulona staruszka; poznałem ją. Była to Antoniowa, specjalistka od konających... Trochę dalej ujrzałem zwróconą ku oknu twarz ex-kolegi prawnika. A o trzy kroki ode mnie znajdowała się ona: w jednej ręce trzymała ciemny kapelusz, drugą podparła swe białe czoło... I oczy moje i dusza znów poleciały ku niej. Chciałem się odezwać, ale nie mogłem głosu wydobyć, patrzyłem więc tylko z pod dziwnie ciężących powiek na jej delikatny profil, obłany światłem lampy, trochę smutny i jakby zamyślony głęboko.

„O mnie myśli...” — byłem tego pewny i zapragnąłem koniecznie tę myśl jej zobaczyć.

Słabnącą ręką wydobyłem z pod poduszki swą sztuczkę, przyczepiłem do przezroczystego drutu... lecz wnet się zawahałem.

Zdjął mnie jakiś lęk niewytłómaczony.

Włożyłem więc ją naprzód na rozczochraną głowę Antoniowej.

— Nie wiem co zrobię, jeżeli ten chudzi^lfclziś się nie kopnie... Nam jutro zamówienie na starego radcę.

Tak mniej więcej wyglądała myśl starej...

— Tej-bym jednak mógł niemałą wyrządzić przysługę — myślałem, lokując przyrząd na głowie prawnika.

U

Myśli mego kolegi nie od razu mogłem zrozumieć.

— Co to może być? — szeptałem, widząc jakieś porwane zdania: „W kwiecie wieku... pełen na^w dziei — nieodżałowany. — Stoimy nad mogiłą”...

Wkrótce jednak zrozumiałem wszystko; zrobiło mi się trochę dziwnie, prawie wesoło; bawiła mnie ta oryginalność sytuacji. Pokazało się, że asystuję przy układaniu mowy na mój własny pogrzeb.

Znudziło mnie to jednak w końcu; zanosilo si[^] jeszcze i na to, iż mowa będzie niezmiernie długa- pełna kwiecistych, oklepanych frazesów. Zdjął^{erri} więc sztuczkę właśnie w tej chwili, kiedy mój przy^ljaciel wahał się: co mi przyznać? wyjątkowe, czy ganjalne zdolności? Wiedziałem zresztą, że mnie przeceni: ludzie dla zmarłych stają się znacznie pobłażliwsi i serdeczniejsi niż byli dla żywych. Jest to może pewnego rodzaju wdzięczność za łaskawe wycofanie się z konkursu.

Spojrzałem na nią: siedziała ciągle w tej samej pozycji, tak samo smutna, piękna i zamyślona. Wzruszony, wyciągnąłem drżącą rękę ku niej, opuściłem sztuczkę na jasność złotych jej włosów i, dławiąc dech w piersi, patrzałem.

Skazówka stała w miejscu: o niczem nie myślała.

Trwało tak chwilę. Raptem wskazówka drgnęła... przesunęła się lekko po skali, i myśl zarysowała się wyraźnie:

— Przykra to rzecz żaloba w karnawale!...

Nie mogło być trafniejszej myśli: przyznaję to[>] teraz; lecz wówczas doznałem od niej takiego wrażenia, jakgdyby mi ktoś serce wziął w kleszcze, a w usta nasypał chininy. Ostra jakaś mieszanina bóleści i gniewu napelniła mi piersi... Chciałem się zerwać, chciałem krzyknąć i żyć! — żyć na złość.

wszystkim. Szalonym wysiłkiem dźwignąłem się trochę na łóżku>..

Wtem usłyszałem w drugim pokoju cienki głos małego Kazika:

— Mamusiu,—czy jakby on umarł, to ja-bym nie poszedł do szkoły?...

— Nie mów o tem! — brzmiała odpowiedź...

— Dlaczego?

— Widzisz... to są takie rzeczy...

— Ale zawsze ja miałbym święto — prawda?— szczebiotał dalej malec, a w głosie jego brzmiała taka szczerza chęć święta i taka naiwność dziecięca, że złagodniałem odrazu.

Jakaś omdlałość rozlała się we mnie; oparłem się na poduszkach i widziałem, jak przez mgłę, jej piękną twarz i zamyślony błękit oczu.

Mgła jednak stawiała się coraz gęstsza i zmieniała się w olbrzymią wstęgę perel; płynęła szerokim szlakiem, pełna dziwnego zapachu i jakiejś melodji niepojętej. Łagodność i słodycz tej chwili była tak wielka, że gdybym mógł mówić jeszcze, to-bym ostatnim tym tchem dał przebaczenie wszystkiego i o przebaczenie wszystkiego sam żebrał.

Potem melodja cichła i szlachetniała, aż w końcu umarła razem ze mną.

Nazajutrz w wybornie pasującej trumnie leżało me ciało; cztery gromnice po bokach prostowały swe obojętne płomienie. Malutki wianek wpół zwiędłych kwiatów tulił się nieśmiało do trumny. Kościół był pusty i zimny.

Ja zaś w tej chwili byłem bardzo daleko, stałem wśród stężonych łez drogi mlecznej i czułem ból zrozpaczonej komety, co mijała właśnie ostatnią gwiazdę umiłowanej konstelacji i pędziła dalej, obłąkana świadomością tego, że bieg jej niepowstrzymany i do zmienienia niemożliwy... Ukochane rozmarzę*

nie gwiazd coraz dalej za nią — a przed nią tajemnicza, nieskończona głąb, zimna i nieświadomości.

Zerwałem się z krzesła...

Chudy Pan zamilkł. Rzuciłem się ku drzwiom, były, jak zwykle, na haczyk zamknięte. Pobiegnę do okna. Ulica była pusta. Deszcz padał wielkimi kroplami, dzwoniąc monotonnie po dachach. Rzeka niezmordowanie łkała. Nad wszystkim krążyła ciemna noc.

Głupia Baba.

Drogi przyjacielu, zdziwisz się zapewne, odbierając miast spodziewanych odpowiedzi, opis zdarzenia dość zwykłego przytem, które jednak, jak ostry stempel, odcisnęło niezatarty ślad w mej pamięci. Wybacz, ale właśnie twoje zapytanie wywlokło z lamusa wspomnień ten obraz przeszłości i tak przedziwnie oświetliło i uwypukliło rys każdy, żem niemal dokładniej niż w rzeczywistości, a w każdym razie więcej świadomie, przeżył ponownie to, co już dawno minęło.

Byłem podówczas młodym, dość wrażliwym studentem; przy granatowym kołnierzu nosiłem jaskrawe krawaty, a na każde zawołanie, czy to w dzień, czy w nocy, potrafiłbym udowodnić jak najdokładniej, że rychłe zbratanie się wszystkich ludzi i ludów jest koniecznością dziejową. Posiadałem mir wśród kłęgów i w coraz szerszych kołach zyskiwałem już wtenczas trzymujące się mnie po dziś dzień przydomki otwartej głowy i gorącego, wylanego serca. Nie byłem zresztą świadomym aktorem — przeciwnie, wierzyłem święcie, żem szczerzy wyznawca głoszonych zasad, któremu starczy sił wypić ocet w potrzebie i mężnie przyjąć krzyż. Ta gotowość do ofiar, poparta wielokrotnie odpowiednim czynem, napełniała mnie uczuciem podniosłej dumy; lubiłem celebrować przy tym ołtarzu...
Jakoż owego pamiętnego lata

spełniłem również akt poświęcenia—i to nie było jakie. Rzecz się tak miała: Po śmierci matki ojciec mój sprowadził ze wsi siostrę swoją, starą pannę, która też objęła klucze od spiżarni i dozór nad młodszym rodzeństwem. Była to sobie poczciwa, ale nudna, wiecznie wystraszona i wiecznie zakłopotana staruszka, która większą część życia spędzała nad igłą i rondlem w dni powszednie, a przy konfesjonalach w niedziele i święta. Taki tryb życia służył jej do czasu, ale w końcu wycieńczona wielkim postem, przeziębła się podczas rezurekcji i zległa na dobre; przekaszła całą wiosnę, a na lato, pod presją ojca, zgodziła się wyjechać w góry. Tak się jednak fatalnie okoliczności złożyły, że nie miał jej kto towarzyszyć. W ciągu paru dni odbywały się w tym przedmiocie ożywione narady całej rodziny, które, gdy w ytkie kombinacje zostały wyczerpane, przerwałem ja, ofiŁ-rując tonem niedbałym swoje usługi.

Oferta ta została przyjęta potokiem łez rozrzewnienia ze strony ciotki, a „znana poczciwość mojego serca” stała się na długo przedmiotem jawny, h zachwytyw wszystkich krewnych i bliższych znajomych. Owacje te łechtały moją próżność, ale i żencwały zarazem, jako niezasłużone, gdyż najprzód cftarom dla poszczególnych jednostek, nie zaś ide, nfe przypisywałem wielkiego znaczenia, a następnie, w danvm wypadku, miałem niepłonną nadzieję po.wi.ccć się Zakopanem.

Licho jednak przyniosło w ostatniej chwili jakąś kuzynkę, która drżącej ze strachu przed tajemniczą zagranicą ciotce naroiła „nie do uwierzenia cudov ną”, okropnie zdrowotną i „niemożliwie tanią” pagórkowatą miejscowość, tylko o 6 godzin jazdy od Warszawy.

Wy ^szone wrażeniami ostatnich dni ciotczy- sko uczepiŁo się tej myśli, jak deski zbawienia. Pierwszy raz bodaj w życiu objawiła upartą wolę.

Nie było rady, wyjechaliśmy do owych Karczo- wisk, ciotka w ustawicznym transie to zachwytu, to znów przerażenia z powodu spiskujących na nasze mienie i życie żydów, ja zaś zrezygnowany na święte nudy. Ale tym razem, jak w poprawnej powieści, cichą mą cnotę miała spotkać nagroda.

Pagórki w samej rzeczy były nadspodziewanie piękne, zjazd letników duży, czas więc płynął z początku tak sobie, później wcale nieźle, a pod koniec omal nie rozkosznie.

Wynajęliśmy za miasteczkiem cały domek łagodnego wzgórza, gęsto podszytego po bokach krzakami berberysu, jałowcu i leszczyny, a na czubie zagajnikiem mieszanego lasu.

Z wyniosłości ganeczku porywał oczy rozległy widok na poszczerbione brutalne mury starego zamczyska, na srebrny pancierz majestatycznej rzeki z płowemi ławicami piasku; na szmaragdowe płaszczyzny łąk, szeroko rozpostartych od brzegu, aż hen pod siny kraniec majaczącego na widnokręgu lasu. Z tych łąk czasami pod wieczór podnosiły się tak obfite mgły, że zlewały się one z rzeką i lasem w jedno nieogarnione białe morze, które zdawało się bić o mury zamku, niby o samotną poszarpaną skałę.

Z tylnego okna widok był znacznie skromniejszy. Na prawo grupa młodych brzózek o wiecznie roz- - szeptanych liściach, na lewo gęste zarośla z wynio- ślejszym krzakiem kaliny, a pośrodku dobrze udeptana żwirowa ścieżka, która, niby rzeczulka, rozlewała się szybko w prostokątny, bity placyk, jakby stworzony do krokieta i istotnie upstrzony bramkami. Przy placyku bielił się parterowy domeczek z wysokim śpiczastym daszkiem i dwoma wązkiemi oknami, z których jedno było zwykle otwarte, a drugie zamglone tiulową zazdrostką. W domu tym spędzały lato jakieś dwie panie, jak się okazało, warszawianki, matka z córką.

Poznaliśmy się bardzo prędko, gdyż prócz sąsiedztwa łączył nas naturalny węzeł w postaci wspólnej piwnicy, oraz kumostwo wynajętych na miejscu zamaszystych kucharek: naszej wymownej Marjanny i ich wygadanej Janowej.

Pani Irena, niemłoda wdowa, zwiędła resztką niewątpliwej niegdyś światowej i pięknej kobiety, przypadła odrazu do serca mojej ciotce, tembardziej, że obie były chore na płuca i obie, choć każda dla innych powodów, przekładały przeszłość nad terażniejszość.

Za to córka, panna Izabela, wywarła na mnie wprost olśniewające wrażenie.

Iza, jak ją zwała matKa, przyznała się sama do pełnoletności, choć musiała być starszą; z ogólnego wyglądu czyniła wrażenie nie panny, lecz raczej młodej mężatki w poślubnych miesiącach; składały się na to: pyszne rozwinięcie biustu i bioder, pewna leniwa powolność i miękka okrągłość ruchów, a także swobodny, nic jednak nie rażący sposób bycia, a nawet kroju ażurowych wolnych bluzek i lekko wciętych szlafroczków, które umiała nosić z naturalnym wdziękiem. Cała jej postać, oraz rysy twarzy, trochę grube i mało ruchliwe, posiadały szczególny, może nieco surowy, a jednak ponętny, mocno odurzający powab, który się zwłaszcza silnie ujawniał w sennym wyrazie podłużnych jej oczu, barwy zadymionego turkusy, w bezwładnym odchyleniu się dolnej wargi pąsowej i wilgotnej, jak płatek róży rozwitej, w puszystości bujnych włosów, wpadających w bronz, w pełnym tembrze altowego jej głosu.

Kobiety tego typu nie mają daru budzenia tkliwych strun w sercu, ale posiadają za to żywiołową moc zapalania w żyłach krwi. Mężczyźni prawie się nigdy w nich nie kochają, ale często tracą zmysły z ich powodu, zawsze zaś w zetknięciu się doznają

silnej pokusy lub niemniej silnej niechęci, która jest tylko maską nurtujących głęboko
pożądań.

Ja jednak, pomimo moich 22 lat, byłem podówczas względem kobiet, a zwłaszcza kobiet
z towarzystwa, poprostu bałwanem — pniem drewnianym. Jako medyka drugiego kursu,
niepodobna mnie było posądzać

O naiwność, zdawałem już bowiem i z anatomji szczegółowej i ogólnej, poza tem pisywałem
budzące dyskusje referaty o prawie macierzystem, o stosunkach płciowych u Irokezów;
gdyby tak jednak ktoś mnie zapytał znieńcka, co ukrywa damska sukienka, wyre-
cytowałbym niechybnie: pończoszki, gorset, halkę

I tubym się zatrzymał, uważając przedmiot za wyczerpany zupełnie.

k Nic więc dziwnego, że uczucia moje do pięknej sąsiadki budziły się tak, jak się budzi każda
pierwsza miłość. Orały więc najprzód moje serce: bezprzedmiotowa tęsknota, cichy niepokój
i słodkie zasmucenie; na tem tle zarysował się idealny wizerunek jej postaci, pozbawiony
plastyki i barwy, niby subtelny chiński cień; z czasem cień ten zmienił się w posąg biały i
czysty,* jak marmur, do którego zbliżałem się po niezliczonych stopniach, z uczuciem
kornego uwielbienia, coraz bliżej i bliżej, i, gdym go dotknął dopiero, on spłonął krwią,
niecąc pożar w mych zmysłach.

Właściwości typu panny Izabeli wyraziły się jedynie w przyspieszaniu stadjów rozwoju
mego uczucia, które odbywały się niezwykle szybko, niby w gorącej oranżerii, czemu zresztą
sprzyjała jeszcze jedna okoliczność, bodaj najważniejsza.

Pączkujący w mojem sercu kwiat rozdzierał brutalnie, niby brudnymi palcami, znacznie
starszy ode- mnie kolega, który również bawił w Karczowiskach. Był to jeden z tak zwanych
wiecznych studentów, zawołany hulaka, lampart i bezwzględny cynik, który lubił, jak się sam
wyrażał, „uwędzić różowego chłopaczka”. Przezywano go powszechnie Jerzykiem, raz

od imienia, a powtórę dlatego, że był on w istocie jakiś kolczasty: małego wzrostu, o ostrych rysach i jeszcze ostrzejszym języku; do obrzydliwości szczery i otwarty, czasem nagle skręcał się nakształt kłębka i wyszczerzał kolce.

Nie lubiłem nigdy tej czarnej kościstej mały, a owego lata chwilami nienawidziłem go śmiertelnie dla wielu powodów, a głównie dlatego, że widziałem w nim groźnego rywala.

- Jerzyk rozumiał doskonale, co się ze mną dzieje i nieraz, starając się niby ułagodzić moją zapalczliwość, miewał do mnie następujące mniej więcej przemowy:

— Ech, ty trubadurze — prawil — o co ci chodzi właściwie? Rywalem twoim nie jestem; ja się przystawiam do Izy, a ty się w niej durzysz... kapitalna różnica! Zresztą — uważasz — chodziłem około niej jeszcze w Warszawie; nie ja więc tobie, ale ty mnie włazisz w paradę... Właz sobie! zmieścimy się obaj — to pakowna kobieta, tramwaj...

— Bydłę jesteś — przerywałem mu zwykle.

— W każdym razie przenikliwsze od ciebie, ja mam czuja i to dobrego: mdlejące oczy, koci ruch!... odrazu widać, co w trawie piszczy. Zresztą mój drogi, czy to komu ubliża? Kwestja temperamentu — i tyle! A z was to szykowne ananasy: wolnej woli — niemal wolna miłość — o to to! przecie! A niech która choć tyle (tu odmierzał koniec paznokcia) — to gwałt! Ubędzie co komu? — nici Jej także nie przybędzie nic a nic, jak mi kufel miły! Znałem przecież taku- sieńką tylko w kwadracie; no i cóż powiesz? Nosila ona skórzany pasek, taki sobie zwykły z oksydowaną klamerką; i wiesz, co to było? to było przepierzenie jej istoty... Powiadam ci dwa odrębne lokale: na pierwszym piętrze — hulaj dusza, a na parterze mniszka, co mówię — westalka! Płacz... łzy... skandal!... Takie to bywają one syreny, rybodziwiceL. Zresztą, królu mój drogil — dodawał tonem pociechy — ty masz

grube fory: chłop jesteś byczy, niema gadania! a dalej— takie sąsiedztwo na letnim mieszkaniu—fiu, fiu! to jak jeden dach, i jeszcze wspólna -piwnica! Daj mi wspólną piwnicę, a poruszę z posad cnotę!... Jaby na twojem miejscu sam z fasek masło nabierał..

— Daj mi spokój! — syczałem.

— Owszem, tylko daj papierosa, a o trzeciej krokiet, pamiętaj!...

Odchodził, zostawiając mnie pod wrażeniem swych słów. Te gorzkie ziarna, które mi rzucał w duszę garściami, obracało w niwecz każde serdeczniejsze drgnięcie uczucia, ale już wówczas z tego posiewu nagromadzał się na dnie mej istoty ów osad zepsucia, który pozwala gorzeć zmysłom bez współudziału serca, bez szczypty ukochania.

Pewnego dnia, z powodu wściekłego upału, zebraliśmy się na placyku dopiero pod wieczór. Starsze panie usiadły jak zwykle na belce i gawędziły o sztuce kulinarnej wogóle, ze specjalnem uwzględnieniem działu konfitur, gdyż sezon smażenia dosięgał zenitu, a myśmy grali zapamiętałe podwójną partję. Ja i panna Iza stanowiliśmy jeden obóz; Jerzyk i jego zahukana siostra — przeciwny. Właściwie był to bój między nami tylko, gdyż panny władały młotkiem -słabo, nasze więc „coups" rozstrzygały o wszystkim. Sprawność ręki i celność oka — były to moje fory, które Jerzy wyrównywał z naddatkiem systemem swojej gry, chłodnym, wyrachowanym i bezlitosnym. Było coś wysoce drażniącego nawet dla widzów w tym flegmatycznym, brutalnym i niemal okrutnym spokoju, z jakim strącał kule przeciwnika przy każdej sposobności. Nie folgował nigdy i nikomu. Dostrzegałem nieraz w skośnych oczach jego siostry niema prośbę o litość i prawie łyzy; on wówczas uśmiechał się, spoglądał na nią z pod oka, wytrzymywał przez pewien czas w niepewności, przewlekając z umysłu cios, aż

W końcu wykroketowywał jej kunię jak mógł najdalej* dogadując z widoczną satysfakcją:

— Mańka, widzisz teraz, co to znaczy pojechać na grzybki!

(Muszę wyznać, że gdym z kolei dorwał się do jego kuli, nie żałowałem ani młotka, ani ręki i waliłem z taką pasją, jakby w jej wnętrzu siedział apatyczny właściciel.

Dnia tego partja szła zwykłym trybem. Jerzyk nie oszczędzał nikogo, nawet panny Izabeli, choć się do niej stale zalecał, a pomysliwość jego pod tym względem była w istocie niewyczerpaną. Miałem sposobność podziwiać ją codzień, podziwiałem i tym razem.

Strącił kulę panny Izy z wyśmienitej pozycji, zrobił jej widoczną przykrość, a jednak w rezultacie potrafił wyzyskać sytuację na swoją korzyść. Podbiegł do pokrzywdzonej partnerki, skłonił się w przesadny sposób, złożył ręce na piersiach i począł mówić górnolotnie:

— Panno Izo, nie tajem ci jest, iż wolałbym raczej własną głowę widzieć w tej murawie, niż twą kulę czcigodną — o boska! Ale cóż robić? a la guerre comme a la guerre!... Wszak prawda? Proszę więc o rączkę na zgodę!

— Niech pan gra dalej — odparła panna Iza.

W głosie jej znać było hamowane rozdrażnienie.

Wówczas Jerzy, rozłożywszy dramatycznie ręce, zwrócił się do starszych pań i począł się żalić z komiczną powagą:

— No, niech panie same rozstrzygną, czy ja mogę grać? Skrokietowałem — panna Iza obrażona; nie skrokietuję panny Izy — Mańka ma słuszny żal: w jakiej ja jestem sytuacji? Z jednej strony rodzona siostra, z drugiej strony córka pani! Serce moje rozdarte! '

— To też właśnie, ponieważ nie mogę mieć

pretensji i nie tnam, wszelkie przeprosiny uważam za zbyteczne — przerwała panna ^rza spokojnie.

§ Byłem wprost zachwycon; i trafnością odpowiedzi, szczerze jej wdzięczny i zarazem ciekawy, co pocznie Jerzyk?

A ten djabeł na to tragicznym głosem, padając na oba kolana, zawołał:

— A więc wybrałem! Mańka, wyrzekam się ciebie na wieki wieków! i, póki nie otrzymam od tej kobiety przebaczenia, będę tu sterczał, jak posąg bo- leści!

— Ach, ten pan Jerzy! — zaczęły się śmiać obie panie; udobruchana panna Iza uśmiechnęła się również i skończyło się na tem, że Jerzy naj beczelniej wyczałował ją po obu rękach; poczem poprosił mnie o chustkę, wytrzeptał najspokojniej powalane piaskiem kolana i, oddając mi ją, rzekł:

— Schowaj to sobie, trubadurze, na pamiątkę tej wzruszającej chwili!

Zmiałem chustkę w kieszeni, a gniew i oburzenie w głębi rozżalonego serca.

I tak było zawsze. Jerzemu udawało się i ucho • dziło wszystko; miał on jakiś specjalnie dar bagatelizowania swych najszałeńszych wybryków i nadawania im pozorów tak naturalnych, że się nietylko nikt nie gorszył, ale przeciwnie, choćby sobie najwięcej pozwolił, każdy z obecnych był przekonany, że wszystko jest w porządku, że tak być może, a nawet powinno. Nawet ciotka moja, pomimo swej przesadnej prudencji, nie znajdowała w zachowaniu się Jerzyka nic niestosownego.

— Trzpiot i tyle — mówiła, choć ów trzpiot miał z górą trzydzieści lat, łysinę i złajdaczone oczy.

Tego dnia jednak zdarzyła się krótka chwila, w której myślałem, że Jerzy, przynajmniej w opinii ciotki, jest zgubiony na zawsze.

Bezpośrednio po owym przykrem dla mnie zaj

ściu z panną Izą, Jerzyk przysiadł się do starszych pań i, słysząc, że mówią o konfiturach, odezwał się hagle:

— Jeżeli chodzi o Stasia, to nie warto marnować tyle wiśni, bo on to najwięcej łąsy na panieńskie ciało...

Obie panie skrzyżowały niespokojne spojrzenia, ja zamarłem, panny pospuszczały oczy.

— Tak — ciągnął dalej najspokojniej Jerzyk —¹ powiadam pani, przepada za tem; jak byliśmy dziś w miasteczku, to wszystkich faktorów rozpytywał, gdzieby tego specjału dostać? Ma wschodni gust, co zresztą w jego młodym wieku...

— Panie Jerzy, zdaje mi się... — przerwała z godnością ciotka.

— Słucham panią! — A gdy się ciotka zająknęła, dodał raptem: 7— Ja mogę służyć przepisem; jest to tak zwane po turecku „rahatlakum”, robi się jak sorbet, tylko więcej żelatyny. — I tu począł najdokładniej wyliczać dozy i sposób przyrządzania.

Ciotka, dla której każdy nowy przepis był uciechą nielada, podziękowała mu z niekłamanem uniesieniem i nie omieszkała zapytać mnie:

— Więc doprawdy, Stasiu, tak to lubisz? Nie wiedziałam.

— Taki — odparłem grobowym głosem — sam nie wiem, dlaczego, bo Jerzyk skłamał od a do z, ale czegoś mi się wydawało, że „tak” lepiej.

— A co! — zawołał tryumfująco Jerzyk—widzicie” państwo, jaki to nieoceniony chłopak ten Staś. Ja zawsze mówiłem, choć go do rany przyłoż.

Tu począł kiwać głową z uznaniem w sposób tak żalony, że wszyscy wybuchnęli śmiechem, ja zaś miałem ochotę schować się pod ziemię i jednocześnie czułem, że jeśli zrobię mu awanturę, ośmieszę się do reszty.

Chcąc ukryć pomieszenie, rumieniec, który mi

palił twarz i Izy bezsilnej wściekłości, usiadłem nę ławeczce i począłem wiercić trzonkiem młotka dziura w piasku, z taką rozpaczą, jakbym kopał swojemu szczęściu bezdenny grób.

W takich to chwilach ostatecznego pognębiaenia otrzymywałem zwykle od panny Izy kroplę ożywczego balsamu.

Jakoż i tym razem odgadłem przez trwożliwy zamęt wszystkich instynktów, że stanęła koło mnie. - Nie śmiałem podnieść wzroku i z pochyloną głową, bez oddechu w piersi czekałem na cios.

— Panie Stanisławie — zagrał jej niski, głębok głos — brońmy się energiczniej, bo zginiemy oboje zamiast psuć teren, niech pan lepiej naprawi moją pozycję. Dobrze? — przeciągnęła ostatni wyraz i poparła prośbę jeszcze dłuższem spojrzeniem, za które byłem gotów do nóg jej upaść.

— Ale jakże... tylko, zdaje się, będzie deszcz— wyjąkałem, słuchając z przerażeniem tych bezmyślnych słów, które jakaś złośliwa siła wyrwała mi z gardła.

Straciłem głowę do reszty; zdawało mi się, iż moje nogi i nogi ławki uginają się podemną, a zanim zdołałem ochłonąć, panna Iza odeszła, ja zaś uczułem, że jakaś nowa szopka przy współudziale Jerzy- ka wyrabia się na placu. Jakoż ujrzałem następującą scenę:

Jerzyk w pozie tancerza w menuetowych ruchach kręcił się przed jakąś wiejską babą i deklamował z patosem:

O, ty, jakimkolwiek uczczą cię imieniem,

Bóstwem jesteś, czy nimfą, duchem czy widzeniem?

Mów: własnali cię wola na ziemię sprowadza,

Lub odejdz, bo twa postać wszystkim grać przeszkadzać

Potem, kłaniając się w stronę pań, z ręką na sercu oświadczył: „Autor Mickiewicz i spółka”.

Tym razem nawet ja nie mogłem się powstrzymać od śmiechu.

W istocie, zacytowane przez Jerzego słowa, poniekąd trafne, tak się zarazem kłóciły z wyglądem i zachowaniem się stojącej w milczeniu baby, że w rezultacie otrzymywało się wrażenie silnego komizmu.

Pasowana na Zosię wieśniaczka miała na sobie wyblakłą niebieską spódniczykę, zaszarganą i podartą u dołu na frendzliste strzępy; z pod niej wyzierały pocięte pręgami, czerwone, mizerne łydki, zwężające się w suche piszczele bosych nóg, które były do kostek oblepione tak szczelnie zaskorupiałą gliną, że zdawało się, iż są obute. Biała chustka, osunięta klinem na kark, odsłaniała płataninę dość bujnych włosów, miejscami czarnych, jak lśniące skrzydła kruka, to znów pozlepianych w strąki i kołtuny nieokreślonej barwy. Brudna, podarta koszula, rozchełstana na- oścież, pozwalała widzieć spaloną, żyłastą szyję i nędzne obwisłe piersi, puste, jak sakwy żebracze. Stosunkowo najmniej przykre wrażenie sprawiała owalna, lekko obrzękła i chorobliwie blada twarz, ozdobiona mocno zarysowaną brwią.

Baba, nie ruszając się z miejsca, oglądała się ciągle wokoło, jakby czegoś szukała.

— No, idźcież, kobieto, kiedy wam mówią — odezwała się pani Irena z odcieniem zniecierpliwienia.

— Dać jej co, to pójdzie, Stasiu — dorzuciła ciotka.

Wyjąłem miedziaka, a gdym się zbliżył, uderzył mnie przyjemny wyraz dużych, szarych, nieco spłowiałych oczu. Były to miłe oczy zaniepokojonego dziecka, które spletało rodzicom figla i jest jednocześnie rade i wylękłe, gotowe wybuchnąć za chwilę zarówno śmiechem, jak płaczem.

Włożyłem babie pieniądz między brudne, grube palce splecionych na podołku rąk i rzekłem:

— idźcie, matko, z Bogiem!

Baba spojrzała na mnie nieufnie, cofnęła się cośkolwiek w tył i znów się zatrzymała, rozglądając się wokoło; pieniąż wysunął się jej z rąk i potoczył po żwirze, na co nie zwróciła najmniejszej uwagi.

Poczułem pewne zakłopotanie.

— To chyba niemowa — odezwała się panna Iza.

— Je crois est qu'elle folie! — odpowiedziałem mimowoli po francusku.

— Jezus Marja! Stasiu, nie zbliżaj się, chodź tu! — zrywając się z miejsca, zawołała przeraźliwym głosem ciotka.

— Iziu! — zawtórowała pani Irena.

— Mańka, ratujcie! — z udanym przest్రachem darł się Jerzyk, jak opętany.

Wszczął się mały tumult, który się zmienił w jarmark, gdy się zjawiły nasze służebnice.

Ciotka uczepiła się kurczowo mego rękawa, a kucharki rozpuściły pytle.

— A ty tu skąd? A pójdziesz! — to głupia, gdzie zalaźła!... — wołały obie prawie jednocześnie.

— Stachu, tylko ty się nie mieszaj! — jęczała błagalnie ciotka.

Tymczasem kucharki pochwyciły babę pod pachy i jęły ją popychać w kierunku ścieżki; znikły za węglem domu, ale po chwili, okrążywszy go wokoło, ukazały się z drugiej strony. Baba się szamotała i, wyrwawszy się w końcu, wbiegła na plac, przytuliła się do ściany i zaczęła szlochać żałośnie.

— Nie szarpicie jej! — zaprotestowałem. — Ma- rjanno, proszę jej dać. Ot tu leży dziesiątka. Sama pójdzie.

— A jużci, co panicz wie! O, widzicie ją, nie chce brać! To „głupia baba!” — jak się gdzie znęci, kijem jej nie wyprosi! Poszła won! — i powtórzyła się poprzednia scena wypychania, ale tym razem z lep-

szym skutkiem. Kucharki wróciły zasapane, czerwone — ale same.

— No, przecie poszła w krzaki — a leś ci się zedźwigła; bo to jak starsza pani krzykła, to mniś zaraz w dołku ścisnęło, ledwom balji nie wylała — prawila Marjanna, obcierając rękawami pot z czoła.

— A ja tam sobie zaraz pomyślałam, że pewno „głupia baba”, bo i cóżby innego? — przerwała, złapawszy oddech otyła Janowa.

— Co to jednak za porządki? — oburzała się pani Irena. — Toż taką powinni w miasteczku przypilnować, można się na śmierć przestraszyć.

— No przecie! — potwierdziła Marjanna. — Tylko ona nie tutejsza, aż z Udryjowiec, ale tak łązi wszędzie, jak ta owca kołowata; mąż ci ją wygna, to idzie; przyjdzie gdzie, stanie i, choć tam nie wiem co, ani rusz; chleb weźmie, jak głodna, albo rzuci... O tak, wiadomo, bez nijakiego rozumu; toż jej dawałam, jak panicz kazał, dziesiątkę, no i co? przecież państwo sami widzieli.

— Otóż właśnie — puszczając na koniec mój rękaw, odezwała się wzruszonym głosem ciotka — pieniędzy nie bierze, nic nie gada, tylko się ogląda, szuka; kto może wiedzieć, czego ona szuka? Aż mi jeszcze serce bije!...

— Szukała, a widzi pani! — klasnęła w ręce Antoniowa. — Szukała! mówiłam, a co!... dziecka tak szuka! Bo to się oni łośkiego roku spalili, cała chata do ziemi i dziecko z kolebką. To ona tak fort chodzi, a jak gdzie dzieciaka dopadnie, to zaraz łaps! że niby to jej... Jak tu kiedyś schwyciła na rynku żydowskiego bachora, to ci ją ludzie ledwie na szosie dognali; miała ci wtenczas grzanie, oj miała, a jeszcze mąż w domu pewnikiem jej dołożył. Bo to chłop, jak chłop — bił ci ją zawsze okrutnie i, powiadają, przebił. To i bez to bicie, bez ten ogień i dziecko — tak ci się jej we łbie wszystko pokiełbasiło.

— To jeszcze całe szczęście, że my dzieci nie mamy — rzekła pani Irena.

— A ja, mamusiu; ładnie... — przeciągając ostatnią zgłoskę, przymiiła się rozkosznie panna Iza.

— No, ciebie przecież nikt nie weźmie...

— Jaby tam wziął — mruknął dostatecznie głośno Jerzyk.

Starsze panie uśmiechnęły się pobłażliwie; pannie* Izie zadrgały kąciki ust; zmieszała się trochę, ale wyraźnie była rada.

— No, a teraz — obrzuciwszy ją wymownym spojrzeniem ciągnął Jerzyk — skoro niebezpieczeństwo porwania Stasia minęło, do roboty, bo coś na deszcz zakrawa i późno. Trubadurze, twoja kolej — zaczynaj!

Wziąłem niechętnie młotek, zły na wszystkich, a najwięcej na siebie. Nurtowała mnie zazdrość. Dlaczego — myślałem — nie ja, ale on właśnie, on zdobył się na to sprytne powiedzenie, on, zawsze on!

Trafiłem jakąś kulę, zdawało mi się, że Jerzyka; wykroketowałem ją z podwójną pasją i to mi trochę ulżyło; gdy naraz rozległ się rozpaczliwy okrzyk panny Izy.

— Co pan zrobił? — moja kula! — nie! przez, tę babę pan zupełnie głowę stracił!...

— Struchlałem.

— A to się spisał — piramidalnie... — przysia- dując od śmiech*, wołał Jerzyk.

To jego nieznośne „r” wkręciły mi się jak świderk przez uszy do mózgu. Rzuciłem młotek i odwróciłem się, łykając łzy.

— No dalej, masz jeszcze jedno coup — dodił drwiąco.

— Idź do diabła! — burknąłem brutalnie.

— Więc nie grasz?

— Nie!

Czyli się poddajesz. Maniu! górą nasi!

— Dlaczego pan nie chce grać? — usłyszałem miękki głos panny Izy.

— Bo., bo... —jąkałem się — i tak zaraz deszcz będzie...

Jakoi rzeczywiście za rzeką z mgły lasu jak le- wiatan wynurzało się bure, sfatdowane cielsko strzępiastej chmury. Jedna odnoga, jak bezkształtna łapa polipa, wsysała w swój cień błądy, stojący nisko, prd- mienny krąg słońce, druga wlokła się nad laseni, a trzecia czepiała się ziemi.

Powietrze zdawało się z głuchym łoskotem uginać pod tym bezmiernym ciężarem. Słychać było stłumiony wark i odległe dudnienie. Drzewa i krzewy drżały coraz silniej, jakby oglądając się z niepokojem, aż w końcu jęły się miotać na wszystkie strony; zdawało się, że jedne zbiegają z góry, inne znów wdzierają się na szczyty, tłoczą się w wąwozach, rozpraszają w dolinach, jak tłumy w panicznym popłochu.

— No Mańko, nogi za pas 1 — bo jak rozmięknie będzie bieda I — przerwał milczenie Jerzyk.

— Co to będzie, co to będzie! — jęczała żałośnie ciotka.

— Prawdopodobnie burza — odparł, całując ją w rękę Jerzy. — Do widzenia, a jutro...

Resztę słów zgłuszył nowy napad gwałtownego wichru, tak potężny, żeśmy się wszyscy cofnęli. Robiło się coraz ciemniej. Chmura posuwała się szybko wzdłuż rzeki. Coś się kotłowało z groźnym pomrukiem w jej wnętrzach, a za nią słał się szary dym. W miedzianym fej jądrze migotały blade ognie, niby stalowe połyski zmagających się w ciemności orężnych rycerzy. ^

Przetoczył się przeciągłym turkotem pierwszy daleki grom.

Ciotka poczęła się żegnać nerwowo, powtarzając:

— Jezus Marja, Józefie święty...

— Proszę do nas, do nas! — przekrzykiwała wiatr pani Irena. — Janowo, okna, samowar 1 — ko- mendorowała już w pokoju. — Panie Stanisławie, zapalki I...

Błysnęło raz i drugi, grube krople jęły trafiać z ukosa w okna, potem chlusnęło, jak z wiadra, i sypnął zmieszany z deszczem drobny grad, dzwoniąc po szybach... Burza musiała nas zawadzić tylko jed- nem skrzydłem; główna siła poszła, gdzieindziej, bo, jakkolwiek okna siniały co chwila, pioruny rozgrzmie- wały słabo, grad szybko ustał, wiatr się uspokoił, a gdy podano herbatę, było już tylko słyszeć rzadkie pluskanie ściekających z dachu kropel.

Uspokojona ciotka z resztkami alteracji w głosie poczęła opowiadać pani Irenie o strasznej nawałnicy gradowej, która nawiedziła Wołyń przed piętnastu laty.

Ja tłumaczyłem pannie Izie, jak się oblicza odległość grzmotów i trzymałem się z całej siły tego tematu, bojąc się, że jak się wyczerpie, znów sfanę się małymównym mrukiem. Siedzieliśmy blisko siebie, zasło- nięci od starszych pań samowarem; to mnie krępowało trochę, a jeszcze więcej jej uporczywe spojrzenia, które czułem co chwila na sobie. Trzymałem się jednak wcale dobrze, mówiłem gładko i przytomnie, nawinęło mi się nawet parę dość barwnych porównań...

— Dziękuję panu—przerwała mi nagle wykład — ale niech mi pan szczerze powie, dlaczego pan Jerzy nazywa pana trubadurem? — rzekła, zniżając głos.

Niespodziewane zapytanie zmieszało mnie w jednej chwili.

— Nie wiem, doprawdy! — odparłem po chwili namysłu. Jakoż nie wiedziałem istotnie.

— Trubadur — powtórzyła rozwlekłe panna Iza— jaki to ładny wyraz! Trubadur — szepnęła wibrującym głosem jakby do siebie — śpiewa i kocha 1

Nastąpiła dość długa pauza.

Ośmieliłem się spojrzeć na nią: siedziała pochy-

łona cokolwiek naprzód z rozchyłonymi cudnie ustami, jakby wpatrzona w jakiś obraz daleki i mglisty. Oczy jej, z lekka przysłonięte dużymi rzęsami, wydłużyły się i zrobiły ciemniejsze, niż zwykle; niemal granatowe. W nieruchomych rysach twarzy znać było pewne napięcie.

Westchnęła — powtórzyła raz jeszcze sennie i powoli — trubadur! — i, zwracając się nagle całą twarzą do mnie:

— Pan śpiewa! — spytała tonem twierdzenia.

— Niestety, nie! — odparłem, spuszczać oczy, jakby zawstydzony, że muszę jej zaprzeczyć.

— Więc chyba pan kocha? — rzuciła szybko stłumionym głosem, akcentując ostatni wyraz.

Uczułem płomień na twarzy i zamęt w całej istocie; jakiś przerażający popłoch rozpędził mi wszystkie myśli i dusił głos w krtani.

Wyrwało mnie z tego stanu naprzykrzające się wołanie ciotki: ^

— Stasiu, słyszysz, Stasiu! czy aby w Leszczanach nie było gradu, jak myślisz? Trzebaby jutro napisać. Tobo było prawdziwe nieszczęście!...

— Ależ, ciociu, gdzie Leszczany! trzydzieści godzin jazdy! Ech! bo też ciocia zawsze...

Urwałem niechętnie z odcieniem rozdrażnienia.

— I to prawda — ale kto wie? kto wie? zawsze dobrze napisać; a nuż broń Boże!... Bo to powiadają* pani, złoci ludzie... a wali się na nich... dwa lata temu... księgosusz o mało co... było w las... Amelko.-. Feluś zgasił... Poparzone... — wpadały mi w ucho słowa trajkotu ciotki, a w dalszym ciągu, jak strzała w celu utkwiona, dygotało we mnie to jej zapytanie; czułem, że coś niesłychanego wypada mi powiedzieć i w nerwowym pośpiechu przetrząsałem wszystkie zakątki duszy, usiłując namacać stosowny wyraz, gwałtownie potrzebny, który mi się gdzieś nagle zapodział.

Nie to! nie to! wszystko nie to! — odrzucałem wirujące w kółko zdania głupie i uparte: samowar — piszczy! ciotka — piecie! piszczy samowar; krokiet został; został krokiet; krokiet! Idjotyczny ten pomysł nie dawał się wyprzeć z mózgu, pomimo mych rozpaczliwych wysiłków.

— O czym pan tak dumą?

— Krokiet został—nie mimo, ale wprost wbrew woli prześlizgnęło mi się zdanie przez ściśnięte gardło i wielkim, jakby przestraszonym głosem, zabrzmiało w pokoju.

— Ach, prawda! — zachichotała panna Iza — krokiet został! trzeba zabrać, panie Stanisławie... •

— Narzuć tylko co, masz mój szal — posłyszałem głos pani Ireny.

— I tybyś wziął co; choć się zapnij na wszystkie guziki; zimno! — dogoniły mnie już za drzwiami przestrogi ciotki.

Ciemność i przejmujący, chłodny prąd powietrza owionęły mnie dokoła; drzewa skrzypiały, gąszcze zarośli bałwaniły się z chrzęstem i szumem. Na horyzoncie w czarnej lawie chmur migwały chwilami słabe, rozlewne ognie dalekich, bladych łun. Wyżej jakby w cieczy zadymionej mgły, pływały nikłe, migotliwe kropelki rzadkich gwiazd.

Szliśmy w milczeniu.

Panna Iza wyprzedziła mnie cokolwiek, błysnęła jasną spódniczką w szerokim pasie sączącego się przez okna światła i znów się zmieniła w rozwiewny cień.

Poprzednie moje pomieszczenie ulotniło się szybko, ogarniał mnie zato łagodny smutek, w którym się błakał ledwie dostrzegalny niepokój, tak nieuchwytny, jak chwiejny lot lelka w nocnej pomroce.

Zrównaliśmy się na placu.

— Widzi pani — zacząłem bezwiednie wypowiadać jakąś kształtującą się we mnie myśl.

**• Nie widzę nic — niech pan zaświeci — przerwała mi nieco żartobliwie.

Myśl zgasła tak szybko, jak ogień mojej zapalniczki.

— To na nic — wyszeptała po bezowocnych próbach.

— A więc szukajmy tak — odpowiedziała cicho, leCZ dobitnie, jakby w podrażnieniu.

Poczęliśmy zbierać bramki po omacku. We wspólnych pochyleniach włosy jej musnęły mnie parę razy po twarzy, a ręce kilkakrotnie spotkały się z miękkim ciepłem jej rąk.

Były to dotknięcia przelotne, trwożne i tak subtelne, jak pocałunki motyle, ale przy każdym serce moje płoszyło się coraz mocniej, niby łowiony ptak, aż roztrzepotało się do utraty sił; poczem, Wyczerpane, Zamarło w kojącym rozemdnienu wszystkich władz ducha. Tle pan ma bramak? — usłyszałem, jak przez

ścianę.

— Siedm — odparłem z pewnym wysiłkiem.

— A ja trzy — więc dobrze!

Złożyliśmy wszystko na ganku i staliśmy długo, nie mówiąc nic. Wpatrywałem się w nią, jak w kolumnę zwartego mroku, w piersi mej otwierały się coraz liczniejsze łkające źródła rzewnej tęsknoty.

— Zdaje się znów błyska... Chodźmy do furki zobaczyć... Niech pan da rękę... tak ciemno... — ■ po* szarpanym, głębokim półgłosem przerwała pierwsza mil czenie.

Ujął ją lekko powyżej dłoni i wiodłem troskliwie i powoli po pochyłości ścieżki.

£ Po obu stronach chwiały się krzaki z mocnym szelestem; fantastyczne ich sylwetki przybierały dziwaczne, ruchliwe kształty istot nieznanych. Jakieś wielorękie, wiotkie postacie zdawały się wyrastać przed nami co chwila i pierzchać w gęstwianę, gdyśmy się ku nim zbliżali.

Siedliśmy na ławce. W niezwykłym roztargnieniu zatrzymałem przy sobie jej dłoń. Miałem pod palcami szybkie tętno jej pulsu, rytmicznie bijące, riiby roz- drgana, minorowa struna.

Ten śpiew jej krwi kołysał całą moją istotę na jakiś cudny rozmarzony sen. Na dnie mojego serca rozplakał się do wtóru pełen głęboki ton, niby żalosne echo dzwonu, huczącego gdzieś bardzo daleko w podziemiu. Czułem co chwila na piersiach i krzyżach ściskający chłód, jakby spływanie grubych, zimnych łez. Rękę chwytaly mi raz po raz niepoahamowane drgawki.

Poruszyła się, usłyszałem cichy szelest porywających się w niej wyrazów, zanim zaszemrały koło mnie, jak westchnienie.

— O, tam gwiazda. Pan widzi?

Pochyliła się w tył i głowa jej oparła się na mojem ramieniu. Zadygotałem cały. Nie wiem, jakim sposobem i kiedy, wargi moje w nabożnym pocałunku i tkliwym płaczu wewnętrznym zatrzymały się drgające na wilgoci jej ust. 1

Słodka boleść przebiła mnie na wskroś od głowy do stóp, a po tym krwawym śladzie z jej warg zleciało iskrą zarzewie i objęło nas jednym płomieniem.

Związałem wówczas w ramionach i w drapieżnym szale zacząłem całować namiętnie, na śmierć, jej oczy, włosy, twarz, usta i szyję.

Słyszałem jakieś szczątki poszarpanych wyrazów, duszących się jak w ogniu, w gorącu gwałtownych oddechów. Czułem w mych żyłach wibrujące tętno jej krwi... vi

Nagle podniosła się, wydarła mi się z uścisku i poczęła prawie biec w stronę domu. Podążyłem za nią, jakby wleczony jakimś niewidzialnym powozem, który mi sprawiał i rozkosz i ból, i wrywał z dna duszy błagalny jęk.

Zatrzymała się i raptownym ruchem obróciła się ku mnie. Wrosłem przed nią w ziemię i zgasłem

w mgnieniu oka, jak zdmuchnięta świeca. Stała w świetle okien z opuszczonymi rękami; wiatr rozwiewał targające się końce szala, niby szare skrzydła. Rysy jej twarzy, zakrzeple w nieruchomości, miały wyraz surowy, niemal, cierpiący. Oczy były przymknięte. Wzniosłe jej piersi wzdymały się i opadały w szybkim tempie urywanych oddechów. Podała się w tył, oparła się o ścianę, westchnęła długo i głęboko, przyczem twarz jej łagodniała stopniowo, aż półotwarte wargi stuliły się w przelotnym uśmiechu. Wyprostowała się, odwróciła się do mnie profilem, owinęła się w szal i zwolna znikła za węglem domu.

Wkrótce skrzypnęły drzwi.

Stałem jak zamagnetyzowany, nogi uginały się pode mną, wstęsały mną raz po raz febryczne dreszcze i musiałem zaciskać zęby, by powstrzymać latającą szczękę.

Nie byłem przerażony swoim zuchwalstwem, raczej zdziwiony, wzburzony i wyczerpany zarazem; oprócz tego, przez wszystko przesączał się żalostny smutek i nieśmiały zawstydzenie. Jakby chcąc się ukryć przed światłem, padającym z okien, zrobiłem kilka kroków w bok i zatrzymałem się w cieniu.

W tej chwili znowu skrzypnęły drzwi i usłyszałem wołanie?

— Panie Stanisławie, ciocia prosi!

W swobodnym głosie panny. Izy uderzył mnie lekki akcent swawoli.

Zbliżyłem się. Sylwetka jej cofnęła się do pokoju. Przed progiem zdjął mnie niesłyszany lęk; stałem kilka sekund z zatajonym oddechem, nadśluchając pilnie, jak zaskoczony na gorącym uczynku przestępca; w końcu, zebrawszy wszystkie siły, z rozpaczliwą odwagą popchnąłem klamkę.

Ciepłe, parne powietrze i światło odurzyły i oślepiły mnie odrazu; instynktownie zdrętwiałymi nogami przekradałem się na swoje krzesło i siadłem szybko,

kryjąc się za samowarem; serce mi waliło, jak młotem, zdawało mi się, że łąda chwila spotka mnie straszna katastrofa.

— Jest zbieg! Cóż, bardzo zziębłeś? Może herbaty?

Zwały się na mnie jednocześnie trzy wykrzykniki.

— Niel — wykrztusiłem i odzyskałem przytomność.

Wówczas zobaczyłem, że wszyscy siedzą na swoich miejscach, a twarze ich nie zdradzają żadnego szczególnego wzruszenia.

— No, to chodźmy! — zakomenderowała ciotka — Pono się znów na burzę zanosi.

I poczęła się żegnać długo i serdecznie z obiema paniami. Ja pożegnałam się również, ale bardzo prędko, me podnosząc oczu, i z uczuciem ulgi wyskoczyłem na dwór.

Ostatecznie uspokoiłem się dopiero w swoim pokoju. Przestrach i wzburzenie minęło bez śladu; doznałem zato nad wyraz słodkiego rozkołysania, rozlewnych uczuć błogich i cichych. Serce moje, jak senna łódź, miłośnie unosiło się na tych falach, bujając się w jakimś słodkim rozmarzeniu, chwilami porywało się jakby do słonecznego lotu i znów omdlewało w bezwładzie czułego rozrzewnienia.

Nigdy przedtem tak bogobojnie i z taką czcią nie korzyłem się przed nią, jak w tej chwili. Słyszałem w sobie dźwięczne strojenie się, subtelne drgania i tkliwy płacz strun, niegdyś mi obcych zupełnie. Wezbranie dobrych uczuć i serdeczny rozlew duszy dosięgał nieznanym przedtem rozmiarów.

Szum wichury za oknem, targanie i szamotanie się drzew, blade łuny tułających się gdzieś w nocy błyskawic — te posępne w swej istocie zjawiska — przybierały dla mnie postać nieco zorstkich, ale przychylnych wyrazów wzruszonego olb zyma.

Westchnienia, ubolewania i narzekania niepokojącej się w drugim pokoju ciotki nie rozdrażniały mnie, przeciwnie współczułem jej prawdziwie.

Kiedy zaś zaczęła się modlić głośno i żarliwie, słowa jej pacierza rozczuły mnie do głębi, a słysząc jak powtarza: „dobry i miłosierny, zlituj się nad nami, Panie!” — radowałem się sercem z istnienia dobra, litości i miłosierdzia we mnie i poza mną.

Nagle ciotka urwała i w tej chwili posłyszałem bełkotliwy, zdławiony ni to szept, ni to głos: „Stasiu, Stasiu!” — tak okropnie zmieniony, że zerwałem się, jak zlany ukropem i, wrzasnąwszy nieludzko: „co!”, wpadłem do jej pokoju.

Ujrzałem ją skuloną na podłodze; twarz miała białą, jak papier; podana ciałem w tył, zdawała się wyciągniętej rękoma zasłaniać głowę od jakiegoś ciosu.

Ujrzawszy mnie, poruszyła kilkakrotnie bezkrwistymi wargami, nim wydobyła dźwięk.

— Tam, tam!

— Gdzie tam? Nic nie widzę! — spytałem, opanowując z trudem rozklekotane nerwy.

— Znowu! Marjanno! — krzyknęła po raz drugi ciotka; zerwała się z klęczek i siadła na łóżku, dygocząc całym ciałem.

Zjawienie się Marjanny i jej natarczywe badania zdołały w końcu wydobyć z ciotki wyjaśnienie, że ktoś się dobija do okna.

Próbowałem wytłumaczyć, że to wiatr, ale nadstawiając uszu, dosłyszałem wyraźne, delikatne pukanie.

Z lekkim mrowieniem w kościach, pomimo protestów ciotki, wprowadzając niebardzo się śpiesząc, zbliżyłem się do okna. Uprzedziła mnie jednak Marjanna i, zasłoniwszy się dłonią od światła, przytknęła do szyby twarz.

W tej chwili zobaczyłem, jak się szybko z dru- 110

giej strony cofnęła jakaś biała plama i jednocześnie zawarczały zamaszyste wyrazy naszej służebnicy:

. - A to cholera „głupia baba!” A pudziesz, psiakrew, bo ci mordę rozwałę i gnaty połamię

I

Tu odrzuciła haczyk i otworzyła okno gwałtownie.

Zimny prąd powietrza wdarł się do pokoju, a niewyraźny kontur postaci, chlapiąc cichym płaczem, rozwiął się w ciemności.

— Ja ci tu dam i — wołała jeszcze chwilę energiczna kucharka; zatrzaskała okno i poczęła uspakajać ciotkę.

— Niech się pani tego ścierwa nie boi; ziąb ci jest i na deszcz idzie, to tak się majta. A nuż, myśli, kto puści? bo to tak, jak owca, lizie na światło. Niech pani tylko zgasi lampę i już I...

— Boże mój — przychodząc do siebie, stękała ciotka. — Kiedy, powiadam wam, mówię sobie litanję, a tu pęc, pęc! Jakby kto mi nogi podciął!...

— No, ma się wiedzieć — niespodzianie i to w nocy... Toż i mnie, jak pani krzykła, to aż teraz jeszcze w dołku...

— Niech Marjanna idzie spać, a ciotka zgasi lampę! — przerwałem zły i wróciłem do siebie.

Rozebrałem się pociemku, otuliłem się w kołdrę i powoli pogrążyłem się w stan błogiego rozmarzenia i cichych rojeń...

Zbudziło mnie nowe zapytanie ciotki:

— Stachu, czy widzisz, jak strasznie błyska?

— To daleko, ciociu — odparłem.

— Bój się Boga! — powiadasz daleko, a odrazu we wszystkich oknach.

— Bo dom stoi na górze, to tak się wydaje.

— Nie! słuchaj, ja chyba zapalę świecę i tu na progu postawię, to i tobie będzie jasno.

— Mnie wszystko jedno, jak ciocia chce — odrzekłem.

Po chwili wpadł do mego pokoju wąski snopek światła, a po dłuższej pauzie nowe wołanie:

— Stachu, deszcz pada!

— No to i cóż? Popada i ustanie!

— Ładnie ustanie, leje jak z cebra! A nie wiesz, gdzie kot?...

— Widziałem go pod stołem.

— Kci, kci, kci! tu chodź; będzie ci lepiej!

Posłyszałem lekki skok, a potem rozkoszne mruczenie.

Nie wiem, dlaczego, ale ten odgłos mrukliwy wprowadził mnie na myśl o pannie Izie.

Spi teraz — wyszeptalem i ciepła, rzewna fala trąciła o me serce.

— Stachu — ocucił mnie znowu trwożny głos ciotki — słyszysz, jaki wiatr?

— Słyszę.

— Co to będzie? toż nas zniesie... Domek na kurzej łapie!

— Niech się ciocia nie boi: wytrzymał — odparłem z przekonaniem, choć istotnie można było mieć pewne wątpliwości.

Wicher dosięgał chwilami zdumiewających rozmiarów.

Z początku dawało się słyszeć gromkie, niskie huczenie, jakby ścieranie się w powietrzu skrzydlatych olbrzymów. Bojowy ten zgiełk, zbliżając się z błyskawiczną szybkością, zmieniał się stopniowo w przeciągły, wysoki dyszkant, w gwizd przeraźliwy.

W końcu nawałnica dzikiego wycia i szalu uderzała w dom.

Wzdrygały się futryny; jęczały szyby żałośnie, a przerażone krzaki szumiały naokół, jak zbałwanione morze. Wówczas nastąpiła krótka, spokojniejsza sekunda, i raptem gdzieś w znacznym oddaleniu rozbrzmiewał jeszcze jeden, ostatni, zduszony, okropny prawie

ludzki lęk: hool Poczem urywało się wszystko, rzekłbyś: padł śmiercią rażony tytaniczny trup.

Wkrótce jednak na jakimś ponurem, niezmiernie dalekiem pustkowiu rozległy się znowu przyciszone, jakby wyczerpane męką, nawoływania potępieńczych głosów.

Nie bałem się ani piorunów, ani najbardziej niepohamowanych wybuchów burzy, ale te momenty zmawiania się, istne tajemnicze spiski sił niewiadomych, napełniały mnie zabobonnym niepokojem.

Nagle struchlałem, wydało mi się bowiem, że jeden z tych głosów nieznanych, przepojony łzami, lękiem i smutkiem, kwili tuż pod moim oknem — samotny.

Ciarki mnie przeszły po skórze; coś mnie podniosło mimowoli na łóżku i, uniósłszy się na rękach, z zapartym oddechem, zmieniłem się w czujny słuch.

Lecz właśnie wicher przypuścił nowy szturm i zgłuszył wszystko na chwilę.

Skoro jednak minął, z szumu rozpaczliwie targających się drzew, z chlupotania ulewy wyodrębnił się wyraźnie człowieczy zanoszący się płacz i drażniące, nieśmiałe pukanie.

Z drobnym dreszczykiem w piersi przegiałem się w stronę okna i wlepiłem wzrok w czarne morze nocy.

Nie mogłem dostrzec nic a nic.

— Deszcz — pomyślałem — lub ćma się tłucze; głupie złudzenie.

Wtem błysnęło i w sino-zielonym ogniu za szkłem mignęła mi, niby maska gipsowa, trupio blada, bolesna ludzka twarz. Zachnąłem się i ciężko usiadłem na łóżku z uczuciem słabości w kolanach i tysiąca mrówek na ciele.

Zmrużyłem oczy. Wówczas jeszcze raz ukazało mi się, jak w powidoku, to samo wybladłe oblicze i utonęło szybko, przepadło w labiryntach pamięci.

Jest coś wysoce uwłaczającego w ambicji ludz<*

klej w tem przeświadczeniu, jakie w nas wpaja chwila przestachu, że jedno przelotne wrażenie jest w stanie cały nasz charakter, rozum i wolę w niwecz obrócić i zmienić świadomą istotę w ohydny galaretę trzęsących się w upodleniu instynktów. Upokorzenie jest tem większe, im bliższym był powód przestachu.

To też, ochłonawszy, doznawałem uczucia silnego niesmaku, byłem zły na siebie, a jeszcze więcej na tę „głupią babę”.

Owinałem się w kołdrę i postanowiłem usnąć jak najprędzej. W tym celu starałem się nie zwracać uwagi na srożącą się burzę, co mi się udawało, choć niezupełnie, bo ilekroć przeminął wściekły szturm wichru, mimowoli nadśluchiwałem w stronę okna.

Pluskał deszcz, szamotały się krzaki i drzewa z szmerem gwałtownym, zmorzony wiatr zwoływał rozproszone swe siły, z głuchym tartasem toczył się daleki grom, ale nikt już nie kołatał i nie łkał w pobliżu. Widocznie baba straciła cierpliwość, lub może wreszcie zrozumiała obłąkanym mózgiem, że na nic jej tułać się około siedzib ludzkich i garnać się z łkaniem nieszczęścia ze swej ciemności do cudzego światła.

Uspokojony zasnąłem.

Zbudziłem się wesół i wypoczęty. Dzień był piękny i stała pogoda dopisywała nam do końca lata. Grywaliśmy więc bez przeszkody po całych dniach w krokiet. Jerzyk mnie bijał po dawnemu, choć już nie tak bezkarnie. Przytem nie gniewały mnie jego zwycięstwa, bo gdy on z miną triumfatora wracał do domu, ja z panną Izą odbywałem niedalekie, ale długie, wieczorne spacerki, podczas których przekonałem się, że ten złośliwy cynik miał poczęści rację.

Wszystko to już dawno minęło; od tego burzliwego wieczoru i nocy oddziela mnie przeszło dwadzieścia zimowych obumarć i wiosennych odrodzeń naszego starego globu.

Przez ten czas setki ludzi, widoków, zdarzeń, przygód, tysiące uczuć, nastrojów, wrażeń i myśli przeleciało się przez moje oczy, serce i mózg — i nagle od jednego dotknięcia wszystko to obłupiało i rozsypało się w proch, jak miał zmurszałych nawarstwień tynku, a z pod nich ukazał się stary, zapo* mniany fresk, który nie tylko się nie uszkodził i nic nie stracił z pierwotnych kolorów, ale jak gdyby z kryjących go długo pokładów wyssał esencję nowych barw, zyskując przez to na żywości i sile.

Oto z głębokiego tła czarnych, przepaścistych czeluści chmur, podartych wichrem i skłębionych, ze żrących dymów dżdżu, w błękitnym ogniu błyskawic wyrwa się na pierwszy plan i rzuca mi się w oczy zaszklona taflą szyby, niby skrzepem zastygłych łez, blada, człowiecza twarz. W śmiertelnie wylękłych jej rysach tkwi obłąkany stygmat zadawnionej krwawej bolesti, ale wymowa jej, niegdyś trwożna i błagalna, nabrała dziś twardych akcentów żądań zuchwałych.

Ona już nie puka delikatnie i nieśmiało, ale po- prostu wali obuchem w sam środek serca, wołając.

— Wpuść!

Nie mam władzy wyrzec się tego widoku, ani sam się odwrócić, ani ją do odejścia zniewolić. Proszę tedy:

— Wejź!

Zamknijcie! Pali się wyrzut, skwiercząc w sumieniu,

Zamknięte — to prawda! Szukam więc wszędzie z pośpiechem i nie umiem znaleźć w sobie nigdzie dobrego klucza miłości, któryby serce moje dla niej naoścież otworzył.

A wytrychami posługiwać się niepodobna i strasznie — wstyd.

#¹

Tak, mój przyjacielu, na cześć nowego wieku

pragniesz stwierdzić przez usta „powołanych”, że w ciągu dziewiętnastu stuleci pojęcie bliźniego w uczuciach cywilizowanych warstw Europy rozszerzyło się do pożądaných granic.

Dziękuję ci za zaszczyt, ale sam widzisz, przyjąć go nie mogę. Zwracam ci przeto blankiet. Zamiast mego adresu, napisz na nim: „głupia baba” i wyślij powtórnie. Jeżeli dojdzie do rąk właściwych, uda ci się może pozyskać dla swej ankiety sporo danych, i ciekawych i pouczających.

Pan Jabot.

Karol Jabot w dzieciństwie przywędrował z nad Sekwany do brzegów Wisły, gdzie się też wraz z rodzicami zatrzymał.

Tu pozornie przynajmniej spolszczył się do tego stopnia, że jedynie dobra znajomość rodowitego języka, nazwisko i gardłowe r zdradzały w nim cudzoziemca. Te przymioty, zwłaszcza dwa ostatnie, były mu niepoślednią pomocą w zawodzie nauczycielskim) któremu za przykładem ojca postanowił się poświęcić. W mieście, gdzie po dojściu do młodzieńczych lat osiedlił się na stałe, uchodził powszechnie za oryginalnego Paryżanina, a widząc, jak to popłaca, tał szczegóły przeszłości, rozповідаjąc, iż zdobył znajomość miejscowego języka usilną pracą w tym kierunku, do czego go skłoniły względy natury pedagogicznej oraz sympatja dla przybranej ojczyzny.

Jednao mu to popularność wśród patryjotycznych mieszkańców, a co ważniejsza, wysoko płatne lekcje.

W gruncie rzeczy Jabot nie posiadał narodowości wcale. Dziecinne wspomnienia z kraju z czasem zatarły się zupełnie. Z chwilą zgonu ojca pękł łącznik ostatni, a z całej przeszłości trwała w nim ukrywana przed otoczeniem dumna świadomość, że pochodzi z nacji, przodującej całej Europie, nie mówiąc już o tym mizernym jej skrawku, który chciałby uchodzić za „Francję północy”. Jakoż do nowej ojczyzny Jabot wcielił się tylko o tyle, że posiadał sztukę trafnego wzdychania w odpowiednich chwilach. W procesie tym

wprawdzie brały udział jedynie mięśnie jego piersi, podczas gdy u reszty towarzyszyły mu pewne skurcze serca, słabe zresztą; różnica więc była tak subtelna, że niepodobna było jej zauważyć. To też Jabot niemal jednogłośnie był uważany za człowieka pewnego, godnego zaufania i poparcia.

W miarę wzrastania dochodów Jabot podnosił stopniowo skalę życia do normy, którą sobie z góry zakreślił. A nie był zbyt wymagającym

Dwa pokoje z alkową, ładnie choć trochę po kobiecemu umeblowane, wystarczały mu najzupełniej; kuchnię oddawał za usługę posłańcowi, stołował się przeważnie w domach prywatnych, ubierał się modnie, ale poważnie, stając się pod jesień życia coraz pedantyczniej porządnym.

Ów zewnętrzny fizyczny porządek i zegarkowa systematyczność były to zasadnicze cechy jego charakteru, wrodzone i rozwinięte przez regularny i umiarkowany tryb życia, który prowadził z początku z musu, a potem z przyzwyczajenia. Stąd płynęła mechaniczna skrupulatność w formalnym wypełnianiu obowiązków sumiennego nauczyciela, akuratanego stołownika i terminowego lokatora — jedynych, które posiadał, stałość upodobań, zamiłowanie spokoju oraz niemal przesadna poprawność i przyzwoitość w sposobie życia, wysławiania się, a z czasem i myślenia.

Jeżeli Jabot wyrzekł się papierosów, to głównie dlatego, by nie widzieć na kłapie surduta śladów popiołu i okruchów tytoniu. Dla tych samych przyczyn, dla których nie znosił brudnego kajetu, miał odrazę do tanich miłostek, a że był oszczędny, pędził pod tym względem żywot nader wstrzemięźliwy.

..Tęsknił wprawdzie trochę do kobiet i nieraz myślał o żeniaczce, ale, wyobrażając sobie swą przyszłą, nie widział nigdy koloru jej oczu, włosów, kształtów lub wyrazu twarzy, dostrzegał zato zawsze rurkowany

biały fartuszek, zarys ręki, a w niej ściereczkę lub pióropusz do okurzenia mebli.

Żona jego miała być przedewszystkiem uosobieniem porządku i czystości.

O takiej marzył, nie żenił się jednak. Gwałcony instynkt, jakby przez zemstę, wszczepił mu w duszę pierwiastek płochliwości, który wywoływał w całej istocie Jabota trwożliwy zamęt, ilekroć się pokusił w matrymonialnych zamiarach zbliżyć do osoby płci odmiernej.

Straciwszy w ten sposób możliwość przystępu do żywych kobiet, zastąpił je sobie zbiorem fotografii mniej i więcej dekoltowanych piękności, które nie posiadały żadnych przywar swej płci, a wszystkie zalety plus przewilej wiecznej młodości. Była to kolekcja bogata i oryginalna, istny harem papierowy, gdzie królowały wybrane odaliski, dla których Jabot żywił uczucie bardzo zbliżone do rzeczywistej miłości.

Zresztą oschły w stosunkach z ludźmi Jabot zdobył szczególny dar przywiązywania się do przedmiotów wogóle i szanował rzeczy nawet zupełnie zepsute, zgoła nieużyteczne. Stąd alkowa jego mieszkania była formalnie zawałona gratami. Jak w poczciwym zamożnym dworku, znajdował tam przytułek rezydent- fotel kulawy, rolę starej panny ciotki grała spłowiała, stękająca kanapa, a w kufrach mieściły się sterane służbą pantofle, dymisyonowane części garderoby i inne drobne rupiecie, które wysłużyły emeryturę lub chwilowo spadły z etatu.

Wszystko to miało w grubej księdze odpowiednie miejsce, cenę nominalną, cenę rzeczywistą, krótką biografię w formie detalicznych kosztów przeróbek, poprawek, opakowania lub przenosin, a nawet rodzaj zwięzłej charakterystyki, jak naprzykład: „prawą szufladę przy otwieraniu pociągać mocno, bo się zacina!” lub „spodni tych nie podpinać, bo przykrótkie...”

a dalej: „jako w p e w n e m miejscu wytarte, możliwe jedynie pod surdut!..”

W otoczeniu swych rzeczy, z książką rachunkową przed oczyma Jabot doświadczał tego ciepła i błogiej radości, jakiej doznajemy nieraz -w gronie domowników wśród rozmowy wspomnień. Przytem wobec tych przedmiotów zajmował on szczególne stanowisko, niejako ojca patriarchy, który własną pracą to wszystko zgromadził i od zmarnienia zachował; i to przeświadczenie, że samemu sobie to zaszczytne stanowisko zawdzięcza, podnosiło go we własnych oczach i mile łechtalo kielkującą w nim próżność, która rosła w miarę powodzenia.

Jabot początki miał ciężkie, ale stosunkowo dość szybko wybrnął o własnych siłach z otchłani nędzy, która go już wciągać zaczęła. Jak pletwonogie stworzenie, zapomocą niemal bezwiednych, ale zręcznych ruchów potrafił wypłynąć z topieli i na ład twardy się wdrapać. Niegdyś zupełnie nieznanym — dziś był poszukiwany, ceniony i dobrze płatny, a biletów lekcyjnych, które chował, jak trofea, w specjalnym pudełku, przybywało z każdym rokiem coraz obficie. Jabot w przystępie dobrego humoru lubił się bawić tymi skrawkami; układał z nich mianowicie piramidę, której przyglądał się z takim upodobaniem, jakby to była podstawa jego pomnika, wznoszonego własnoręcznie codziennie o kilka milimetrów wyżej i wyżej.

Patrząc na tę kolumnę z kartek, rozróżniał pokłady lat dalekich i bliższych i widział postęp powolny, ale stały, nietylko ilościowy, ale i jakościowy: na spodzie szarzał lichy karton — smutne wspomnienie pierwszych lekcji dwuzłotowych, wyżej błyszczał ponętny, brystol rublowych godzin prywatnych, a w górze lśniły sit pysznie grube warstwy jeszcze zyskowniejszych lekcji na pensjach, gdzie, tytułowany profesorem, miał możliwość przemawiać z podniesienia do ■

licznego, choć trochę sennego audytorjum. Każdy taki przegląd generalny dotychczasowych owoców życia utwierdzał Jabota w wierze we własne siły i zdolności. Kiedy zaś wpadł na pomysł napisania metody, która, jego zdaniem, miała, jeśli nie wyrugować, to przynajmniej stanąć na równym poziomie z słynnym Margot'em, ambicja jego dosięgła niemal chorobliwych rozmiarów.

Jabot, jako materialista z natury, utożsamiał sławę z rozgłosem a wielkość zasługi mierzył bezpośrednim pożytkiem; jakkolwiek więc praca jego posuwała się opornie i powoli, w przekonaniu, iż tworzy wiekopomne dzieło niejako na rachunek przyszłych laurów i sukcesów, przejął się własną wyższością do tego stopnia, że stał się patetycznym, z czasem nawet istotnie podniosłym w mowie, pompatycznym w gestach, jeszcze więcej powściągliwym w stosunkach z ludźmi, szczęśliwym w odosobnieniu i samolubnym w tem szczęściu.

W tym okresie życia Jabot, niby gąbka, z morza zadowolenia, pragnień i pożądań wchłonął akurat tyle, ile był w stanie w sobie utrzymać. Czuł się sytym, pełnym pomyslności, wzdętym powodzeniem, niemal ociężałym, a sto mil dalekim od przypuszczeń, że może się trafić coś takiego, co zeń szybko wszystek sok wycisnie.

Tak się jednak stało.

Był to czysto zewnętrzny, drobny przypadek: spróchniały stopień od katedry, po którym szczęśliwie przeskoczył na krzesło fertyczny matematyk, a po nim z kolei obszerny ksiądz-prefekt wstąpił bez szwanku, załamał się właśnie pod stopami Jabota.

Kilka krótkich stłumionych wybuchów śmiechu ze strony klasy, 'zwięzłe „sapristi” z ust poszkodowanego, żądło bólu w kolanie — oto były wszystkie bezpośrednie skutki tego skrzyżowania się dwu pozornie niezależnych łańcuchów przyczyn.

Po kilku dniach ledwie dostrzegalny siniak znikł, po tygodniu jednak ból się nanowo odezwał, zawadzał, wiercił się niecierpliwie przy żywszych ruchach nogi, świdrował głębiej przy wchodzeniu na schody, w ciągu godziny lekcji uspokajał się powoli, a chwilami przyczajał się zupełnie.

Jabot pilnie śledził wszystkie te objawy i doszedł do wniosku, że dłuższy wypoczynek usunie je zupełnie i bezpowrotnie.

Nawinęło się akurat pięć dni wolnych od zajęć: galówka, Wszyscy Święci, a potem niedziela. Korzystając ze sposobności, Jabot z porady doktora położył się do łóżka, jodynując co trzy godziny stłuczone kolano. Ponieważ zaś nie lubił tracić czasu nadaremnie, postanowił sobie w ciągu świąt oszlifować ostatecznie dwa pierwsze rozdziały metody. Szło mu to jednak ciężko, doświadczał jakiegoś rozemdlenia wewnętrznego i rozpierzchania się pojęć. Co gorsza, łapał się na gorącym uczynku odwracania Się myśli do wspomnień dawno minionej przeszłości lub snucia nieokreślonych planów na przyszłość. Jako człowiek praktyczny, człowiek chwili bieżącej, uważał takie zaniedbywanie planów realnej rzeczywistości dla nieprodukcyjnych rojeń za naganne wogóle, a w danym wypadku, gdy wchodziła w grę rzecz pierwszorzędnej wagi, t. j. losy metody — za wysoce lekkomyślne, wprost karygodne; zbierał się tedy ze wszystkimi siłami, zaciskał władze duszy, ale po chwili przykrego natężenia wszystko się luzowało ponownie, jak mutry na śrubach wytartych.

Uporczywość tego dziwnego stanu zaczynała go niepokoić.

Wezwany powtórnie lekarz zaproponował konsyl- jum. Jakoż w oznaczonym dniu wpadł w towarzystwie niepozornego jegomościa o przenikliwych rozbieganych oczach i drobnych filigranowych rękach pieszczonej kobiety. Sława medyczna, bo była to ona, opukała

Jabota w mgnieniu oka, palnęła go młotkiem w kolano, aż chory stęknął, poczem usunęła się z „kolegą” do drugiego pokoju; po chwili ożywionej rozmowy przyfrunęła stamtąd, i opróżniwszy w powrotnym przelocie zawartość dłoni Jabota, rozwiła się w okolicach drzwi wchodo\frych.

Mniej sławny towarzysz, jako istota bardziej pozioma, zabawił nieco dłużej. Pałac papierosa, wyłożył Jabotowi w sposób pobieżny i zawył nieodzowność małej operacyjki, jasno i treściwie udowodnił mu kosztowność i kłopotliwość przeprowadzenia kuracji w domu, zalecał osobiście w danej sytuacji szpital, pozostawił mu łaskawie trochę czasu do namysłu oraz bilet polecający do asystenta; poczem, wyskrobawszy ładnym palcem przygotowaną trzyrubłówkę, pozostałymi uścisnął zdrętwiałą dłoń oszołomionego Jabota, i jako nie specjalista w danym zakresie medycyny, pożegnał go tak, jak się żegna na rozdrożu przygodnego towarzysza podróży, — z miłym grymasem na obojętnej twarzy.

Jabot wodził czas jakiś rozszerzonymi źrenicami po lśniącej płaszczyźnie biurka, po szklistych powierzchniach rozwieszonych na ścianach fotografii, po lakierowanych połyskach mebli giętych — jakby pytając: co to wszystko ma znaczyć?!

Chłodne i śliskie wrażenie niby topniejący sopel lodu, rozpływało mu się pod piersiami. Wstrząsnął się, zamknął oczy i pozostawał chwilę w owym nagłym zatrzymaniu się wszystkich procesów ducha, które jest jakby sekundą przemijającej śmierci, punktem zwrotnym kierunku uczuć i myśli, a wydaje się wiekami oczekiwania.

Oto przystanął na moment w biały dzień na znanej ścieżynie pewny siebie, rzeźwy i syty, a ocknął się w mrocznym trzęsawisku, mizerny, wyczerpany, wyrzucony za kark z pewnej kolei, którą sam sobie Żłobił w ciągu lat mozołu.

Konieczność szybkiej decyzji, perspektywa raptownej zmiany dotychczasowego biegu życia, a zwłaszcza materialnego środowiska, z którym zrósł się, jak żółw ze skorupą, — to głównie sprowadziło ów krótki, ale bolesny zamęt w duszy Jabota.

Operacyjki małej—podkreślał te wyrazy — nie uważał za niebezpieczną, a szpital, który mu się przedstawiały dość abstrakcyjnie, uznał po głębszym namyśle za instytucję istotnie dogodną.

Zato nie mogło mu się pomieścić w głowie: w co się właściwie obróca godziny jego lekcji? czy pozostaną one w czasie, jako luki, niewypełnione ni- czem? czy doba się o nie zmniejszy? czy też — i to mu dokuczało najwięcej — kto inny je zabierze i z jego krzywdą dla swych osobistych celów wyzyska.

Troskał się też silnie o losy mebli i mieszkania; nie miał komu tych skarbów powierzyć, a myśląc o zamknięciu lokalu na czas nieobecności, doświadczał przykrego wrażenia chłodu, zaduchu, pustki i ciemności, jaka panuje w opuszczonych murach.

Wszystko niemal skłaniało go do pozostania w domu, ale praktyczny rozsądek protestował w niebo- głosy. Wprawdzie Jabot posiadał pewne oszczędności, przeznaczone na tak zwaną czarną godzinę; przezorność jednak nie pozwoliła ich ruszać, zwłaszcza, że sumka była przedziwnie okrągła; prócz tego odpychał on rękami i nogami dojmującą myśl, że jakaś tam czarna godzina rzeczywiście nadchodzi.

Ostatnie względy przeważały szalę.

Jabot, i tym razem pokonawszy popędy ślepego instynktu, według wskazówek trzeźwego rachunku skorzystał z bileciku, który mu doktor zostawił.

W pierwszych dniach listopada, w chłodnawy ale piękny poranek, Jabot, oparty na ramieniu stróża, zstąpił bohatersko ze schodów i zajął miejsce w odrapanej karetki. Był trochę blady, niezwykle sztywny

I poważny, skupiony w sobie, niemal majestatyczny. W rękę trzymał ostentacyjnie związany równą wstążeczką zeszyt — rękopism rozpoczętej metody, a zarazem klucz do zrozumienia jego heroicznego zachowania się w chwili stanowczej. Sił i męstwa ^dostarczyło mu, jakkolwiek mętne, ale jedyne źródło miłości, jakie posiadał, — miłość własna. Szukając boWieżin w swem nagłym zachwianiu się na wszystkie strony jakiegoś oparcia, drogą dziwaczych skojarzeń przypomniał sobie, że jeden z głośnych pisarzy (który mianowicie — nie pamiętał dokładnie) najświetniejsze stronic słynnego dzieła wykończył właśnie w szpitalu. Ana- logia sytuacji wydała mu się dziwnie i nie bez kozery rażąco podobną.

Silnie uderzony tym jedynym punktem stycznym w historii swego życia z bjoğrafją sławnego człowieka, z gorączkowym wzruszeniem odświeżając w pamięci życiorysy ludzi niezwykłych, odnajdywał takich punktów coraz więcej, aż w rezultacie z fanatyzmem maniaka uczepił się wiary w nadzwyczajność swego posłannictwa.

Zawirowało mu w głowie od tysiąca olśniewająco- świetnych pomysłów, temat do wzruszającej przedmowy nastrecał się sam przez się, a załamanie się deski nabierało w tem oświetleniu szczególnych tajemniczych cech zrządzenia Opatrzności.

To też Jabot jechał, szczerze przejęty ważnością chwili, i okiem pobłażliwej wyniosłości spoglądał z wyżyn trzęsącej karetki na płynące ulicami tłumy. Ale patetyczny ów nastrój, jak cieplarniany kwiat, zwiądnął w mgnieniu oka w dusznej atmosferze sali szpitalnej, przesyconej zapachami leków i wyziewami chorych. Na Jabota wionął ze wszech stron piwniczny chłód i posępny smutek. Gdy zaś znalazł się na łóżku wprost ogromnego okna, widok dużych, spotniałych szyb pognębił go ostatecznie. Uczuł pod sercem jak gdyby łopotanie skrzydeł śmiertelnie wystraszonego

ptaka, a cała jego istota skurczyła się boleśnie przed druzgoczącym uderzeniem warczącego gdzieś w mrocznej dali pocisku. Był to moment krótki, dotkliwy i prawie proroczy: pobyt w szpitalu miał się dlań stać długotrwałym pasmem udręczeń, wobec których sama' choroba zajęła stanowisko podrzędne.

Po ozdobnym, miękkim pudełeczku, jakim było jego mieszkanie, ta olbrzymia sala z wyszczerzonymi groźnie szybami dużych okien, czyniła wrażenie odpychającej szorstkości. Na ponurych ścianach wyłomy i rysy łupiącego się tynku wyglądały, jak zastarzałe rany i blizny w jakimś wielkim skostniałym cielsku. Proste żelazne łóżko, przy niem gładka szafka bez ozdób z cienką blaszaną tacką, z ordynarną pękatą karafką i takąż szklanką z grubego zielonkawego szkła — całe to umeblowanie raziło Jabota swą bezczelną prostotą i przejmowało uczuciem surowego chłodu.

Co gorsza, nie mógł się poszczycić wyjątkowością swej sytuacji: po obu stronach sali pionowo do brązowego lampasu w regularnych odstępach sterczały zimne szeregi takich samych łóżek, szafek i karafek. Na łóżkach leżały, to znów siedziały, ze zwieszonymi piszczelami brudnych nóg, jakieś zakazane postacie—jednego typu, niechlujne, często koślawe, a wszystkie nacechowane wspólnym piętnem niedostatku lub nędzy. Była to przeważnie wielkomięjska hołota, szary, nieokrzesany świat, odcięty ostrą linią od sfery, do» której Jabot należał, wśród której nadto we własnym mniemaniu, jako człowiek niezwykły, dodatnio się wyróżniał. Napęlniała go przeto gorzkim uczuciem poniżenia i wstrętu krzywdząca świadomość, że^ został niejako zniwelowany do niższego poziomu, brutalnie zmieszany z motłochem, jak klejnot z kupą śmieci. Postanowił z tem walczyć i chwycił się rozlicznych środków, by się od tej jednolicie plugawej

masy odróżnić i w jakikolwiek sposób wyższość sw[^] go stanowiska zaznaczyć.

Wystrzegał się więc starannie wszelkich poufal- szych stosunków z chorymi, co mu przychodziło tem łatwiej, że ci nader szybko, choć bezwiednie, zdali sobie sprawę z wrogiego nastroju jeg[^]iczuć i patrzę* li nań z ukosa.

Zato, gdy lekarz główny lub który z asystentów obchodził salę, Jabot usiłował go jak najdłużej przy sobie zatrzymać, starając się nawiązać serdeczniejszą rozmowę po francusku. Z początku udawało mu. się to i mógł się pochlubić pewnymi względami władzy naczelnej. Ale w miarę, jak się przeciągała choroba, całemu personalowi spowszedniała i jego osoba i jego cierpienie. Zaczęto go wkrótce traktować w ów zabi- jąco-zdawkowy sposób, z pewną dozą lekceważącego zniecierpliwienia, w jaki się traktuje chronicznie chorych, nudnych, hipokondrycznych pacjentów.

Rozżalony Jabot nie dawał za wygraną; zawiódłszy się na ludziach, zapomocą przedmiotów postanowił wyodrębnić się z pośród otaczającej go lichoty.

Sprowadził sobie tedy piękne haftowane pantofle, turecką czapkę i szlafrok z niebieskimi kutasami. Rzeczy te nie były mu właściwie potrzebne, gdyż. mając nogę w gipsie, nie ruszał się z pościeli, ale ich obecność wyróżniała ten kwadrat przestrzeni od innych, i w tem znajdował szczyptę pociechy.

Ilekcjo manifestacyjnie rozwieszony na poręczy łóżka szlafrok zwracał bacniejszą uwagę. Jabot doświadczał w okolicach piersi lekkiego wzdęcia. Prostował się wówczas na łóżku, chrząkał, chwycił zeszyt 'metody i z lekkim rumieńcem na twarzy kreślił zamasyście ołówkiem kffcalistyczne znaczki. Były to momenty chwilowej ulgi, po których następowały nieprawdopodobnie rozwlekłe dni upadku, poniewierki, jakby doszczętnego zalania przez lepki brud, bijący od tego dwunożnego bydła, które instyktownie czując,

ze Jabot nlem pogardza I w sercu śwem maltretuje, obrało go z kolei za cel płaskich żartów i niewybrednych docinków.

— Bądźur, mosiu szczur! Koman wu porty wu?— witał go z przeciwległego łóżka co ranek zezowaty sklepikarz z prącem policzkiem, przeżartym od kąta warg aż pod oko przez nieuleczalnego wilka. — Skąd znowu szczur? — z głupia frant rzucał zapytanie połamany murarz o zapadłych gorejących oczach i Gerze koloru wapna.

— Szczur czy żaba — jedna baba! — odpowiadał ni w pięć ni w dziewięć zapytany, i obaj wybuchali grzmiącym, rozlewnym, serdecznym śmiechem. Wówczas pod zaciśniętymi powiekami Jabota zapalały się złe, suche ognie dymiące zgryzotą. Udawał że śpi, i przyczajony nadśluchiwał z trwogą, czy nie budzi się jego bezpośredni sąsiad, zdziecinniały staruszek z kamieniem w pęcherzu, wyschnięty jak wiór a na nagiej czaszce i zmiętej twarzy pokryty czemś w rodzaju pleśni.

Jakoż najczęściej ledwie śmiech przebrzmiał, rozlegał się cichy, drobny kaszel, potem-przewlekłe stękanie, przeplatane płuciem, a wkońcu resztki ludzkiego głosu składały wieczne zapytanie:

— Panie Żabo! czy to piątek, czy niedziela?

Ten głos, rozbity, pozbawiony intonacji, jakby pochodzący nie z ust żywych, lecz z zepsutego fonografu, akcent na pierwszej zgłosce nazwiska i jednostajna treść pytania — doprowadziły Jabota do wściekłości.

Próbował udawać że nie słyszy, zżymał się, groził, wkońcu odpowiadał. **

Nic jednak nie mogło zadowolić ani zrazić uprzykrzonego staruszka.

Po dłuższej przerwie, ocknąwszy się ze zdrętwienia, ponawiał z mechaniczną dokładnością wszystkie czynności od kaszlu, płucia aż do zapytania, któ-
m

re zdawało się tkwić ustawicznie w jego stygnącej krtani.

Sąsiad ów mimowoli stawał się dla Jabota źródłem najdotkliwszych udręczeń.

Nietylko bowiem zrobił sobie z niego żywy kalendarz, ale zdawał się nie przypuszczać nawet, że Jabot może mieć jakieś inne znaczenie poza zadaniem informowania go w tym względzie.

Kiedy zaś zrozpaczony Jabot próbował go raz przekonać, jak dalece się myli, zidjociały staruszek w trakcie przemowy chrapnął co się zowie.

Obezwładniony Jabot stracił ostatnią nadzieję sprostowania błędnych poglądów starca, który co krok ranił i rozdeptywał jego miłość własną.

W dodatku ten trup ruchomy odbywał wobec wszystkich najobrzydliwsze funkcje zdezelowanego organizmu z właściwem swemu wiekowi niedołęstwem, nie krępując się ani trochę obecnością drażliwego sąsiada.

Próżno czysty i przyzwoity Jabot wzdrygał się ?e wstrętu, przeklinał, spluwał — niezachwiany staruszek przyjmował te oznaki niezadowolenia z kamienną obojętnością, bardziej obelżywą, niż najwynioślejsza wzgarda.

Rozjątrzony do żywego Jabot życzył w duchu staruszkowi rychłego, ciężkiego skonania i wielokrotnie z zjadłością pastwił się nad nim we wnętrzach swego serca, zachwaszczonych coraz silniej piołunami mściwej nienawiści.

Gorzkie to uczucie powoli rozciągało się na całą salę, na wszystkich bez wyjątku chorych, których teraz uważał już nietylko za istoty nieskończenie niskie, ale za wrogi obóz, spiskujący podle na jego zgubę.

W tem przedstawieniu siebie samego wszystkim ambicja jego doświadczała jakby ostrego, podniecającego zadowolenia. Gdyby mu odjąć to złudzenie, że jest przedmiotem ogólnego prześladowania, czułby się

zapewne znacznie gorszej, niż morfinista, pozbawiony ukłuć, które go trują, ale obdarzają zarazem zapasem sztucznej energii.

To też istotnie Jabot doznawał największego pogłębienia, rozklejenia się i pogruchotania wszystkich władz ducha w niedzielę i we czwartki, to jest wówczas, kiedy martwa naogół sala ożywiała się niezwykle i stawała się pochłoniętą do szczętu przez odwiedziny bliskich osób. W dni te świat chorych, wyjęty z czarnej ale normalnej oprawy życia, wracał do niej chwilowo z całą tęsknotą serdecznego przywiązania, z ożywieniem szczerej ciekawości, z niez walczoną siłą głęboko wkorzenionych uczuć i nałogów. Wtedy właśnie zjawiały się z tobołkami ppd pachą dozgonne towarzyszki dawnych trosk i mozołów, przedwcześnie zwiędłe baby, o wytartych oczach, twarzach i salopach, grubych, kostropatych dłoniach, stworzonych raczej do prania, nie zaś do pieszczoty; prócz nich przychodziły jakieś kumy - koczkodany w potwornych czepcach, niby monstrualne, rozlane ropuchy, owinięte w kraciaste płachty; dalej przewalały się w ubrankach na wyrost zasmarkane Ignasie, Walki i Zośki z gapiowatemi minami, różne „oćcy” „wuje” „brachy”, w długich, śmierdzących butach i zawadjackich kaszkietach, z butelkami i paczkami machorki w kieszeniach.

Wszystko to od rana do zmroku zaśmiewało dokumentnie podłogę, rozsiadało się naokół łóżek, czuliło się, całowało się, biło z głośnym śmiechem po rękach, popłakiwało, wzdychało i opowiadało niezdarne o domowych kłopotach, smutkach, plotkach i radościach; a chorzy zapominali o boleściach, niemocy i widmach śmierci, pijąc ów pieniaący się łzami i śmiechem, gorzki w smaku, ale mocny trunek życia.

Wszyscy, nawet staruszek, któremu jakiś obdartus z pod ciemnej gwiazdy, o ponurem, a zarazem bez- czelnem wejrzeniu, dostarczał od czasu do czasu w kawałku gazety szczyptę tabaki, zdawali się stawać

lepszymi i zdrowszymi w ciągu tych kilku godzin ' zarwańskiej ulicy.

Jeden Jabot czuł się gorzej, niż zazwyczaj, a serce jego zacinało się przed tem całym otoczeniem na podwójny zatrask — nienawiści i jakby zazdrości. Rodziło się w nim chwilami jakieś mętne, niesformu- łowane wyrażnie, niemniej jednak krzywdzące poczucie ograniczoności własnego istnienia w porównaniu z istnieniem reszty chorych.

Cały jego interes życiowy, wszystkie myśli, pociechy, a także cierpienia ogniskowały się obecnie w żelaznych ramach łóżka, ich życie wylewało się poza te ramy, sięgając daleko za salę do dusznych poddaszy i wilgotnych suteryn, do których przenosili się w jego oczach dwa razy w tygodniu. Do tego dołączało się palące duszę podejrzenie, że jednak temu „bydłu" lżej cierpieć, niż jemu, i wszystko rozdrażniało go do tego stopnia, że po owych zgiełkliwych dniach nie mógł usnąć w nocy.

Po jego wytężonych bezsennością nerwach wśród halucynacyj zlepionych z wrażeń chwil świeżych i dawno ubiegłych — przebiegały od czasu do czasu jakieś drgania nieokreślonego smutku, niewysłowio- nego bólu, nieznaney tęsknoty, i nieraz płakał bez trwalszej ulgi dla serca, bo były to łzy zazdrości, łzy rozżalenia, płacz nad sobą jedynie. Zdarzało się to coraz częściej w miarę, jak wpływy psychiczne, a zwłaszcza nurtująca organizm choroba rozprzęgała silnie usystematyzowaną i starannie wytresowaną osobowość Jabota.

Jabot nie zdawał sobie sprawy z groźnego stanu zdrowia.

Przeraził się wprawdzie mocno, gdy w kilka dni po zdjęciu gipsu ujrzał rozpuchnięte, jak kłoeż, kolano, ale szybko się uspokoił, gdy po powtórnej operacji opuchlina spadła, a ból się zmniejszył, choć rozlał się szerzej, sięgając prawie do obojczyka. Wierzył

święcie, że to się wszystko rozejdzie, że. wkrótce * wyrwie się z tej błotnistej kałuży i ponownie wypłynie na powierzchnię życia do wysokości poziomu, który < mu się słusznie należy. Nieznane dawniej stany żalosego smutku, bezprzedmiotowych pragnień lub gorączko- wego rozdrażnienia — ową grę niegdyś zatajonych* a dziś wyzwających się z pod gwałtu sił — przypisywał destrukcyjnym wpływom otaczającej go kanałji*

Pracować nad książką mimo wysiłków nie mógł; przychodziły nań wprawdzie istne nawałnice świetnie pomyślanych rozdziałów, lecz ulatniały się bez śladu, skoro je próbował piśmem utwalić.

Odkładał więc pracę na później, ciesząc się zawczasu przyszłym powodzeniem dzieła, które mu miało stokrotnie chwilową poniewierkę wynagrodzić.

Od tych radosnych, różowych marzeń coś go nieraz przerzucało nagle i bez widocznego powodu w przykry stan wyniosłej oschłości lub natężonego osłupienia.

W podobnym uciążliwym nad wyraz letargu zastał go pierwszy majowy wieczór, tak ciepły, że okna w sali poroztwierano naościęż.

Była to sobota.

Obfity napływ świeżego powietrza, bliskość niedzielnego dnia, przyjemne ciepło — wszystkie te czynniki podniecały chorych, dodając werwy humorom.

Nieraz najwątliwszej wartości dowcip toczył się, grzechocząc śmiechem, od łóżka do łóżka i omija) jedynie już bardzo schorzałych. Przez okna od strony miasta wdzierał się grzmotliwy turkot i huczny zgiełk walącego ulicami życia.

Jabot nie spał, choć miał oczy zamknięte.

Wesołość i gwar otoczenia drażniły go niewy> mownie, Jako rzecz zgoła mu obca, a nieznośnie natrętna. Śmiech, wykrzykniki i krzyżujące się szmery wkręcały mu się w ucho i, niby ostre młoteczki, stukały boleśnie po wyprężonych, jak przeciągnięte struny, nerwach. Słyszał wyrazy dokładnie, odróżniał nawet

pojedyncze akcenty, ale całość zdań rozsypywała się u brzegu świadomości, na chaos dźwięków, pozbawionych wszelkiego sensu.

Ze zgaszeniem lamp hałas się uśmierzył, wyczerpana sala pogrążyła się we śnie, a Jabot w dalszym ciągu słyszał tak potężny szum, jakby mu dwie, niezmiernie muszle konchami do uszu przywarły.

W zgorzelinach trawionego gorączką mózgu zrywały się co pewien czas poszarpane szczątki niewyraźnych myśli i ułamkowych obrazów, niby chmury skier popiołów nad świeżem zgliszczem. > Chwilami przysłaniał wszystko siny tuman gryzącego dymu. Wówczas zdawało mu się, że lada moment zmorzy go sen, i doznawał pilnej potrzeby jakiegoś wypoczynku.

Jakoż omdlał istotnie.

Ocknął się, wyczerpany do cna i strasznie osłabiony, ale stan, ten po uprzednim napięciu całej istoty, sprawiał mu niemal przyjemność.

Dźwignął ociężałe powieki.

Było ciemno; wszyscy chorzy już spali, czuwały, za to ich choroby, wrywając z głębi drzemających ciał to jęk, to chrapliwe westchnienie, gwałtowny odruch, to znów zgrzytający, drewniany bełkot poskracanych wyrazów lub nieludzki krzyk, jakby nie z piersi, lecz z dna wnętrzości gwałtem wydarty.

Rogi sali tonęły w pomroce, przez co wydawała się większą, przybierając rozwiewne kształty przepaścistej groty.

Długie szeregi łóżek wyglądały jak szczelne aleje wyniosłych grobowców, idących w nicość i mrok.

Regularne plamy okien od strony ulicy sprawiały wrażenie ogromnych zakłębłych źrenic potwora, zgaszonych i wystygłych; zato pozostawione otworem okna na ogród były jasne, jakby ociekające rozpylonem srebrem.

Jabot wodził w półprzymkniętymi oczyma dokoła

z uczuciem lekkiego niepokoju, lecz i ciekawości zarazem, jakby to nie był znany obraz realnej rzeczywistości, lecz fantastyczna dekoracja, po raz pierwszy widziana.

Wzrok jego machinalnie odwracał się od [ciemności i z uczuciem ukojenia zawisał na promienistych, wiązkach wątlego światła.

Od tej strony płynął ku niemu falą szeroką przesycony zapachem, pieszczotliwy szept kwiecistych rozmarzeń miłości. Za temi oknami, jak dziewczę u progu kochanka, wzdychała raz po raz słodko i głęboko ciepła księżycowa noc.

A po każdym takim westchnieniu następowało rytmiczne drgnięcie wszystkich gałązek liści i kwiatów, i ten tkliwy dreszcz wzruszenia sięgał do najgłębszych* nietkniętych nigdy myślą pokładów duszy Jabota; on jednak nic o tem nie wiedział.

Tuliły się z cichym szelestem rozkoszy kity bzów do siebie, nabrzmiewały rosą i słodyczą lepkie pęki nowej zieleni; pogrzebane żywcem w czeluściach ziemi zczerniałe korzenie, poskręcane męką poświęceń i pracy, odnajdywały siebie i swe szczęście na szczytach, liściastych koron, szumiących ku gwiazdom i niebu.

Słowik rwał serce i przepojony krwią głos rzucał, w pachnące powietrze.

Jabot wszystkimi zmysłami wchłaniał uroczę, wrażenia, ale świadomość jego, coraz mniej ruchliwa i tężejąca, niby marznące zwierciadło bezdennego jeziora, nie miała władzy ani ich nazwać, ani określić.

Sypały się one w głąb jego jestestwa, niby puszyste kwiaty, nie rwane, ale tryskające wprost z drzewa, i w całym swym przepychu rosistej wilgoci i pachnącej krasie były w dno duszy. Każde takie uderzenie krzeszało drobną, błękitną skrę, aż w końcu zatliło się to wszystko i buchnęło, jak ofiarniczy stos wonnym płomieniem.

Wówczas w oczach Jabota, niby odbłask tega 134

wzniesionego światła, zamigotały dwie duże łzy czyste i dobre, a na twarzy rozlała się łagodna łuna cichego szczęścia.

Gdyby go w tym momencie spytał staruszek, co to za dzień, odrzekłby mu życzliwie, z cichą radością, że to jest jakieś wielkie, uroczyste święto i

Bo w istocie w jego sercu odbywała się w tej chwili cudowna tajemnica zmartwychpowstania.

Wszystko, co było w nim z dobra, dźwigało się po długim letargu z pod skorup gruzów zjadliwych i zapleśniałych namutów—jedyne trwalszego do#obku samolubnego tycia.

Ale staruszek nie pytał, bo spał.

Tymczasem z najczarniejszego kąta sali pomału wyłaniał się właśnie przyczajony tam oddawna. po- sępny, groźny, bezkształtny cień.

Chmurzył się, gęstniał i rósł, jakby rozplūżając się, w stronę Jabota.

Rozległ się nieuchwytny dla zwykłego ucha szmer, coś — niby czołganie się śliskiej, galaretowatej masy, przelewanie się grząskie) kurzawki, Jub szelest usypiska miałkiego, chłonnego piasku.

Żrenice Jabota poczęły mętnieć i zachodzić szklistem bielmem, a wszystkie pory ciała wypełniać się wstrząsająco obcym, at do boleści odrażającym pierwiastkiem.

Myśli, obrazy, pojęcia — cała jego świadomość, wszystkie instynkty i uczucia w przerażającym szale i popłochu jęły się rwać, szarpać na sztuki, pękać i, rozsypując się w nicość i proch, tonąć na wieki w ciemnych otchłaniach wstrętnego żywiołu.

Po chwili Jabot wyprężył się i wydał ostatnie tchnienie.

Owa głośy.

Dnia tego, ścigany zgfyzotą trawiących myśli, srogością tęsknoty, uciekłem z obcego miasta w step, jeszcze więcej mi obcy.

Tam błądziłem do umęczenia i w wyczerpaniu fizycznym znajdowałem moralne ukojenie.

Kiedym wracał po własnych śladach, już tylko sam jeden omdlały smutek szlochał cicho na mem udręczonem sercu.

Zbliżał się wieczór, a upalone piachy ziały ciągle gorącem, iskrzyły się całe, niby rosą umarłą, słonym szronem, a tu i owdzie szklily się jeziorami skamieniałej soli, jak skrzepami wielkich łez goryczy.

Na żółto-popielatych powierzchniach nagiej pustyni liche kępy anemicznej wielbłądziej trawy i majaczące w przestrzeni, jak kretowiska, kurzące się dymem, tułacze kibitki kałmuków stanowiły jedyne nikłe ślady życia w tej jałowej ziemi, żarem zabitej.

Zresztą nic więcej — tylko boleśnie rozciągnięte w bezgraniczną dal, nieprzejrzane, płowe płaszczyzny pod wysoko rozpiętym lazurem bezlitośnie czystego nieba, posępna pustka i cisza tak złowroga, jakby gdzieś w pobliżu czała się w skoku morderczym nagła śmierć.

Nie oglądając się, dążyłem szybko ku miastu i z uczuciem wytchnienia złożyłem zmęczone oczy na rysujących się coraz wyraźniej sylwetkach budowli, które ostremi linjami wrzynały się w przezrocze po wietrze. Wszystka szpice blaszanych dachów, krzyż

I banie cerkiewne tliły się ogniem różowym, a najwyższy półksiężyc nad strzelającą w niebo smukłą wieżycą minaretu wyglądał, jak sierp skrwawiony. Przez klatkę domów złociła się Wołga, rozlana szeroko w morze bezbrzeżne, pyszna tonącym w niej pożarem żagwią- cego się słońca. Całodzienna spiekota i skwar zdawały się ściekać obecnie w to purpurowe ognisko, które, jak krwawe serce, wyrwane z łoną dnia, drgając aureolą jaskrawych promieni, pogrążało się zwolna w milczącą toń.

Na ten widok coś rzuciło się we mnie i w kurczu boleści, z mocą wizji jawiły mi się moje rodzinne zachody, tak odmienne od tego, któregoś był świadkiem.

Otoczył mnie przytulny, słodki i rzewny wieczór letni, kiedy powiew łagodny kołysze do snu rozmodlone niwy, kiedy błędne tumany ślaniają się, jak sny białe, po rozgranych gwarem żab moczarach, srebrzy się trawa łzami rosy, a w zorzy czerwonej pławią się płomienne obłoki, jak złocenie i róże, kwiejące się na niebie, i liljową mgłą zmierzchu rozmarza się rozłożysta ziemia...¹

Obraz był tak silny, że wydało mi się nagle, iż dzwonią w kościółku. To szczyt minaretu zabrzmiał wieczornym izanem. Słyszałem nieraz ten śpiew mue- zina, ale nigdy nie tknął mnie tak głęboko, jak w tej chwili. Nie było to wołanie, ale istotnie jakby dzwonięcie ludzkiej piersi. W martwej ciszy przeciągłe, monotonne „ałlach, ałlach!” tłuło się samotne, niby rozplakane żywe tułactwo, szukające spoczynku.

Donośny, niezmiernie smutny, przejmujący głos sprawiał wrażenie nie modlitwy, nie nabożnego uwielbienia, lecz smętnego wybuchu tęsknoty do nieznanego Boga. Śpiew łkał żałościwie, w sercu mem zrywały się głuche echa uczuć zamierzchłych. Migną) przelotny majak nieśmiałej nadziei, że ten głos nie wzywa daremnie, westchnęło tajemnie święte wzru

szenie ufności, to jest jakaś myśl mądra, troska fra*. sobliwa, dobroć bezsenna, czuwająca nad światem.

Były to krótkie, ledwie uchwytnie poruszenia du- izy, w których urodziła się ciepła otucha.

Z czułem rozkwileniem całej istoty, podobnym do tego, i jakim wracałem od pierwszej komunji, Jpieszyłem przez wąskie taulki do domu i, przekraczając próg pokoju, miałem jeszcze subtelne poczucie doznanego wzruszenia, a jako nowa łaskę, odnajdywałem w sobie błogosławiony dar wewnętrznego •pieszczania najbrutalniejszych wrażeń.

Dzięki tej przedziwnej władzy, podwórko, pełne feoszlawych szop, walących się przybudówek, krzywych daszków i śmiecia, wydało mi się mniej duszne, schody nie tak strome i brudne, jak zwykle, a lichota i brzydota sprzętów mego pokoiku o odrapanych ścianach nie uraziły mnie zupełnie.

Z rozkoszą wyciągnąłem się na zapadłym barłogu I z pod ociężałych powiek widziałem otwór odemkniętego okna, zasnuwany się drobną siateczką mroku. Gdzieś ta nią, na fioletowej wklęsłości dalekiego nieba wytrysnęła, jak światło z innego świata, cętka gwiazdy i żarzyła się nagłymi drganiem to sinych, to czerwonych płomyków.

Nietyiko wpatrzony, ale niejako i wsłuchany w jej rytm ognisty, wtulałem się zwolna w bezdenne puchy leniwej zadumy o jakichś rzeczach tak lotnych i rozwiewnych, jak cienie żeglujących górą obłoków w sennych głębiach zmaconego jeziora.

Mój spokój zamącały częste skrzypienia furtki, szepty i szmery, które sprawiali dyskretnie wkradający się do domu nocni mieszkańcy podwórka — stali i przygodni. Byli to rozmaici włóczędzy, osobniki bez określonego miejsca pobytu, zajęcia i nazwiska, przeważnie przedstawiciele tak zwanej „złotej rotty”, licznej kategorii istot, jak gdyby zgoła różnych od reszty społeczeństwa. Nietyiko bowiem «ie wiadomo, co ta

odmiana, pozornie podobna nieraz do bardzo solidnych ludzi, porabia, z czego i jak żyje, ale i skąd pochodzi? Zdaje się ona nie rodzić, ale poprostu wyrastać, dźwigać się wraz z swymi łachmanami z gliny nadbrzeżnej, odrazu w wykończonej postaci porośłego szczeciną obdartusa, witającego świat ochryłym głosem? „na wódkę!” Gatunek ten przymiera zawsze głodem,, ale nie umiera chyba nigdy, przynajmniej trupów nie widać i nic go nie ubywa, jak nie ubywa wody w Wołdze, choć mija fala za falą.

Otóż kilkunastu takich drapichrustów zląziło się na nocleg do naszego podwórza i wysypało się pod okapami szop, komórek, pod daszkami, nawet na daszkach, słowem, gdzie się dało.

Kiedy i jak zdobyli sobie ten uświęcony starą tradycją przywilej, tego nikt nie umiał wytłumaczyć. Zapewniano mię za to, że obecność tych podejrzanych figur właśnie lepiej, niż wszelkie zamki, skuteczniej, niż najuczciwsza policja, zabezpiecza mieszkańców od kradzieży i rozboju; a że dom stał na uboczu, w tak zwanem „złym miejscu”, stanowili oni poniekąd dobrodziejstwo. Przytem nie przeszkadzali nikomu, schodzili się późno, cicho, jak upiory, i znikali ze świtem

Z początku, choć uprzedzony zawczasu o wszystkim, doświadczałem lekkiego niepokoju, słysząc stąpanie i szepty tych nieznanych gości, widząc skradające się ich cienie, a przestraszyłem się na dobre,, gdym razu pewnego ujrzał na poziomym daszku pod mojem oknem rozciągniętą w ogromny ciemny kształt postać jakiegoś dryblasza. Oswoiłem się jednak z tem bardzo prędko i już bez najmniejszej emocji słuchałem nieraz, jak rozpaczliwie trzeszczały gonty, podczas gdy „mój” na daszek się gramolił.

„Mój” — dziwny wyraz! Żartem używany, stał się dostatecznym powodem do wykielkowania jakiegoś zarodka przychylności dla osobnika z pod ciemnej gwiazdy, którego nie znał nawet z wyglądu, bom

go nie widział nigdy przy świetle, z którym nie łączyło mnie przecież nic a nic, prócz chyba stosunków przestrzennych. A jednak tak było; miałem sposobność przekonać się o tem tej nocy.

„Mój” od pewnego czasu gdzieś się zawieruszył, I teraz właśnie, słysząc, jak inni się schodzą, łapałem się na gorącym uczynku oczekiwania, zmartwionego roztargnienia, jakby zawodu, że jego jeszcze niema. Brakowało mi go dziś do tego stopnia, że gdy rozległ się wreszcie charakterystyczny trzask, ucieszyłem się niemal i wstałem, by się przekonać, czy się nie myłę.

W dole pod oknem czerniał znajomy kształt, koło szopy rozróżniłem również kilka wydłużonych cieni, znieruchomiałych w śnie.

Musiało być dość późno. W zenity wzbijała się zachwycająca południowa noc, noc, w której niema rozlewnego czaru ukojenia, ale znać mocne tętno jakiejś porywającej potęgi istnienia. Na granatowym, wysoko podniesionem sklepieniu nieba, drgając, gorzały, jak żar rozsypany, zawrotne roje gwiazd. Odczuwało się ogrom tych światów palających, przerażający pęd zataczanych orbit. Rozpylona szeroko droga mleczka zdawała się kipieć, prężyć i wichrzyć twórczym szalem wyłaniających się z chaosu bytów.

I tylko jeden sierp księżycy lśnił martwo i > nie- ruchomie, niby złowrogi symbol śmierci, przybity w szafirowej grocie, wrzącej orgią życia.

Nasycony upajającym widokiem, rozebrałem się pośpiesznie i, jak człowiek, któremu zupełnie po myśli skończył się dzień, począłem zaraz usypiać, po raz pierwszy od dawna nie z umęczenia rozigranych serwów, ale w błogiem ukołysaniu całej istoty.

Spałem krótko, ale widocznie twardo, bo ocknięty poczuciem, że coś niezwyklego się dzieje, musiałem dobrą chwilę zмагаć się z odurzeniem sennem, zanim otrzeźwiałem zupełnie.

Wówczas posłyszałem w pobliżu jak gdyby po

rywający się nagłymi rzutami jęk, który uśmierzał natychmiast inny stłumiony głos, powtarzający surowym tonem:

— Waśka, zostaw!

Znalazłem się w mgnieniu oka przy oknie i stanąłem zdumiony.

Na daszku, zwrócony tyłem do mnie, kiwał się w szybko bitych pokłonach „mój”; uderzał się gwałtownie oburącz w piersi, aż stękało, i zgrzytając zębami, jak gdyby się dławił jakimś niezrozumiałym wyrazem. Na osrebrzonym słabą poświatą podwórzu snuły się, jak w popłochu, mary różnych postaci, a ktoś niewidzialny dawał z dołu ciągle napomnienia:

— Waśka, uspokój się! powiadam „zostaw!... * Śpij!... przejdzie!...

Miało to ten skutek, lecz tylko chwilowy. Ilekroć bowiem rozlegał się ten stanowczy głos przestrogi* Waśka zastygał na moment w nieruchomość, by potem ze zdwojoną furją grzmocić się w piersi, zginać się w pas i ciskać jakiś szczątek słów dla mnie zagadkowych.

Nagle zadarł głowę, wyprężył się i podniósł obie zaciśnięte pięści w górę.

Natenczas gromadka majaczących cieni rozwiała się po placu, jak garść widm, i gdzieś w pobliżu muru wsiąknęła w mrok.

— Zostaw!... Bies przeklęty!... Potępieńcze!... — zerwało się z dołu kilka rozpaczliwych prawie zażegnania i przypadły raptownie do ziemi, jakby zmiażdżone nieludzkim rykiem, który buchnął w powietrze.

— Antychryst! Antychryst! Antychryst!... — zadygotał z dna duszy wydarty, pełen zdziczałych akcentów, ochryply, bolesny głos.

— Antychryst! — Antychryst! — coraz przeraźliwiej wołał Waśka, jakby podżegany zaciekłością, wyciągając ku niebu rzucające się jak w konwulsjach.

ręce o rozczapierzonych palcach, drgających WwAffźnie, niby szpony, gdy wietrzą bliskość ofiary. t \$yło w tem błagalnem wzywaniu potęgi piekiei* *nej, w l^j namiętnej ewokacji coś tak groźnego, że mi się włosy jeżyły na głowie, zgwoidzialemi logami nie byłem w stanie ruszyć się z miejsca, ani odlepić wzroku od tej rozjuszone) krzykiem, upiornej postaci.

— Antychryst! Antychryst! — jęknął okropnie Jeszcze kilka razy w ekstazie uniesienia, jakby orzele- •wając w ten okrzyk całą moc duszy, wszystkie Dulsy krwi, ostatek tchu piersi, przedśmiertny wysiłek żvcia— i zwałił się z nóg.

Widziałem go na daszku; leżał twarzą do dołu, <niby wielki, na ukos rozpięty krzyż.

Chwilę trwała cisza Potem załkał spazmatyczny płacz, łzawe chlipanie, i wreszcie parę westchnień stękających zakończyło wszystko.

Cofnąłem się i siadłem na łóżku, jak nieprzy- tomny. To, com widział, trwało stosunkowo tak krótko i było dla mnie do tego stopnia niepojęte, że gdyby nie jakiś dotkliwy cierń, który czułem pod sercem, mó.łbym mniemać, iż mi się przyśnił ponury, krwawy sen.

Oddychałem z trudnością, jakbym dźwigał jeszcze dławicę zmory na piersiach. Zjadliwe mgły zgryzoty, niby dymy myśli, zgorzałych w cieniach mewia- domości, podnosiły się we mnie i jak letnym pyłem *adzy zasepiały obolałą duszę.

Było mi źle, ciężko i gorzko nad wyraz Siedziałem bez ruchu dłu<*o pA zdrętwiały, nie mając odwagi wyzwolić si^'stwiff .isjsu&u, gdyż czułem, że pierwszym lilj i liii ili filltolMllfl n akalecze się do żywego.

Jakże okropity mtaft byS ten, co tak niegodziwie się modlił — w chwili zaciętego bólu, wstrząśnięty tą gwałtowną refleksją, wzdrygnąłem się do głębi z trwogi i obrzydzenia, i otworzyłem oczy.

Zmierzch pokoju nasiąkał mętną jasnością. Poznałem, że świta. Naokół panowała zabójcza cisza; wyczuwałem ją, jako przepaścistą czeluść milczenia, w której lekliwie kołacze jedno moje serce; gdy nagle coś targnęło się w jej wnętrzach i, niby smutek samotny i przeszywający, poczęły lecieć ku mnie donośnie, smętne, wołania:

— Ałłach! Ałłach!

To muezin wydzwonił hymn tęsknoty wschodzącemu słońcu.

Słuchałem, a pierś mi się ścisnęła niezmiernym żalem nad tym kryształowym głosem, że się rozbija nadaremnie między ziemią a niebem.

Gdy skończył, zbliżyłem się machinalnie do okna, jakby chcąc zobaczyć potrzaskane szczątki tych wezwań bezowocnych. I zachnąłem się, niby ugodzony tęnym ciosem między oczy.

Na daszku z ręką podwiniętą pod głowę leżała na wznak wyciągnięta postać odrażająca.

W strzępach rozłazących się łachmanów żółciało spaloną skórą wychudłe ciało żebracze.

Na jednej z bosych nóg, pozartych bliznami, ślimaczył się powyżej kostki rozdrapany strup niezgojonego wrzodu. Odrzucona na bok, niby zbyt ciężka, wynędzniała ręka, obwiązana jakąś szmatą koloru ścierki, drgała co moment skurczem bóleści. Twarz porośnięta kłakami lichego włosienia, nosiła również ślady świeżego pobicia. Ku mocno wydatnej grdyce, jakby ustawicznie coś łykającej, zwieszał się z rozdarcia rozpuchniętej wargi stalaktyt zapiekłej krwi. Policzki były sine i obrzękłe. Tylko doły oczu zamkniętych, ozdobionych łukami gęstych brwi, nie miały żadnej skazy, a czoło — ledwie jedną niewielką zaognioną centkę, jakby fatalną pieczęć krwawych przeznaczeń. Ta górna część oblicza stanowiła dziwny kontrast z resztą zelżonej twarzy; zwłaszcza to czoło cudownie sklepione, szlachetnie wyniosłe, z dwoma mądrymi

guzami, zdawało się być stworzone na gniazdo orlich pomysłów.

I z niego to wionęła ku mnie ta świetlana myśl* że to nie on wołał: „Antychryst”, że to się rwały ku piekłu zgniłe szmaty łachmanów, wynędznienie ciała* rozjątrzone strupy, haniebne sińce pobicia, bolesne skrzepy krwi, rozognienie ran.

A jakby na potwierdzenie dźwignęły się jego powieki i popatrzyły na mnie dwie duże blado-nie- bieskie źrenice, czyste oczy rozbudzonego dziecka, naiwne wyrazem szczerego zdziwienia, onieśmielona popłochem żalosego lęku.

— Mój — zaszłochoło mi coś w sercu.

Ale on zsunął się szybko z daszku, chyłkiem, czając się pod murami, dowlókl się kulejąc do furtki i znikł.

Tylem go widział.

A ilu jest takich? Któż zliczy?

Dra WITOLDA SKÓRCZE[^]SKłtSO

w KRYNIC

INSTYTUT

SAO AŃ LITff¹? ACKICH PAN

biblioteka

Warszawa, ul. Nowy Świat 71

Tel 26-68-63

r

IDA PŁACZE

Byłem rad, że poznałem się z Roberto Carioli, jedynym poza mną turystą, bawiącym dłużej w tem miasteczku, który w dodatku umiał po francusku. Mogłem więc z nim w braku włoskich słów, porozumiewać się w tym*, lepiej mi znanym, języku.

Był to przytem człowiek wykształcony, widział wiele świata i, jak przypuszczałem, podobnie do mnie, zaszył się w tem zacisznym rybackim osiedlu, by usunąć się na czas pewien od toku zwykłego życia i móc przebywać z sobą długie godziny sam na sam, godziny, w których się głębiej myśli a wyraźniej odczuwa pracę owych tajemniczych prządek, snujących coś w podziemiach ducha. Schodziliśmy się zwykle wieczorem pod markizami małej traitorji na kieliszek marsali, przeglądaliśmy dzienniki i gadaliśmy nieraz do późna.

Carioli rozpytywał mnie o kraj mój, ze zdumieniem dowiadywał się o istnieniu wielkiego narodu, o jego tragicznych kolejach, o roli, jaką grał w walkach o niepodległość, wogóle o Polsce i Polakach.

Ale gdy tylko nadarzyła się noc cicha, urywał gawędę i szliśmy ku morzu, stale w jedno i to samo miejsce, nad małą zatokę, która, jak świadczyły słupy, stanowiła dawną przystań rybacką, zanim wykopano

•^CZYĆ książek* ,

gdzie obszkle spoczywają barki i łodzie. Carioli s.adał na piasku tuż nad wodą, ja nieco opodał i poddawaliśmy się magicznym urokom morza.

Morze w nocy kołysze się trochę spokojniej, niż w dzień — jakby usnąć chciało, raz wreszcie odpocząć. Otulona w mgły roztocz jego ginie z oczu i tylko z ciemnej, tajemnej, nieprzejranej otchłani wybiegają fale i jakby zgonione, ostatnim tchem rzucają się na brzeg. Czasem, zamiast fali, podnosi się spieniony wał olbrzymi, zwija się, rośnie wpoprzek i naraz zapada się z pluskiem jakgdyby ogromnego, rzuconego w wodę płaskiego ciężaru. Bałwani się nieustannie i szumi wiecznie ruchoma ciemność, wysyłając raz po raz swe fale, jakby westchnienia, ku ziemi.

Lecz zdarzają się pewne chwile jakoby znużenia niemającego spoczynku żywiołu, morze jakby na mgnienie omdlewa i ostatnia jego fala rozściela się sennie na piasku i po tem, jakby ucałowaniu ziemi, z cichym ławym poszeptem, stłumionego szlochania, spływa napowrót w burzącą się na nowo toń.

I wtedy zwykle Carioli, który stawał nad morzem niezwykle milczący, pochylał się nad wodą i wymawiał półgłosem: „lacrima, lacrima”, przyczem często dodawał „ona”, a czasem niezrozumiały dla mnie wyraz „Ida”.

To jego niepowszednie zachowanie się zastanawiało mnie; znaliśmy się jednak za mało, bym go śmiało otwarcie pytać.

Kiedyś jednak, gdy trochę głośniej, niż zwykle, wymówił: „Ona płacze”, nie wytrzymałem.

— Dlaczego — spytałem — mówi pan „ona”, skoro jest nie „la”, a „il mare”, co właściwie znaczy „Ida”?

Carioli drgnął, jakby zbudzony, milczał chwilę, a potem, zwracając się do mnie smutnie uśmiechniętą twarzą, rzekł:

— Ida, jest to często spotykane u nas dziewczę Smlę i w tem znaczeniu mówię ona, i ona mi zawsz płacze,

Całego przebiegu zdarzenia, prócz mnie, nikt nic zna dokładnie; panu jednak mogę sprawę całą wyjaśnić: jesteś pan przygodnym znajomym, z którym prawdopodobnie nie spotkam się nigdy, jutro bowiem wyjeżdżam, zresztą, to jest dawno minione, umarłe, realne niezaledwie widmo pamięci.

Wstał, zapalił cygaro i na drodze, obwiniejęt krzewami, zwrócił mi uwagę na niezliczoną mnogość świętojańskich robaczków, które, niby skry elektryczne, migają na wsze strony.

— Takie maleńkie, a palą się miłością, cóż dziwnego, że człowiek do utraty rozumu może nią zapłonąć.

Moja hi stor ja, jest historją takiej właśnie zapalnej miłości. Ogień zgasł dawno, ale chwilami fosforyzują jego szczątki...

. Przed dziesięciu laty — tak, mija prawie dziesiąty — zostałem przez lekarzy zapędzony do tego miasteczka. Nie byłem właściwie chory, tylko zmęczony życiem hulaszczem. Przed dwunastu bowiem laty, po śmierci ojca, pozostałem samowolnym panem siebie i dużego majątku, z którego dziś pozostała połowa wystarcza mi na dostatnie utrzymanie, a nawet zbytki.

Byłem młody, zdrow, no i dość przystojny; stałem się więc wkrótce ulubieńcem\ salonów, przedmiotem wdychań panien, względów mężatek, a miałem ogromne, tak zwane „szczęście” do kobiet. Nazywano mnie Don Juanem. Prócz dam z towarzystwa, znały mnie też kulisy i kabarety.

Silna muskulatura moja, wyrobiona sportami, wytrzymała dość długo ten, nie rozróżniający dnia od nocy, tryb życia. Ale wreszcie zmogło mnie, zaczęły kaprysić nerwy. Bezsensność, brak apetytu, oznaki pewnego przesytu i znużenia zaprowadziły mnie do

starego doktora, przyjaciela mego ojca. Stary, opukawszy mnie na wszystkie strony, przepisał, jako jedyną receptę, wyjazd do tego miasteczka, bym wytchnął i ustatkował się w braku pokus.

Tu bowiem, jak trzeba panu wiedzieć, na całym wybrzeżu panują dość jeszcze surowe sybackie obyczaje: nie znajdzie tu pan ani jednej lekkiej dziewczyny. Rada miejska uchwaliła pod tym względem bardzo ostre przepisy. To też ludzie tu się wcześniej znią, a jeszcze wcześniej zaręczają, zaręczyny bowiem zato pozwalają nie czekać na załatwienie formalności, — chodzi jedynie o to, by przed chrzcinami odbył się ślub.

Osiadłszy tu, począłem prowadzić mniejwięcej ten sam tryb życia, jaki obecnie: kładłem się wcześniej, wstawałem późno, czytałem książki, przeglądałem dzienniki, a na poobiednią kawę i wieczorny kieliszek wina uczęszczałem do tej samej tratorji. Nic się w niej nie zmieniło, prócz właściciela, picola i tak zwanej „signoriny” za bufetem, która jest czemś w rodzaju kelnerki, kasjerki, a wówczas właśnie była nią Ida.

Zrazu nie zwróciłem na nią uwagi, kiedyś jednak, gdy mi podawała kawę, spostrzegłem, że jest niezwykle zgrabna, ma regularne, subtelne rysy, a piwne jej, o długich rzęsach oczy, zasnute iakby pajęczyną, mienia się złotawym połyskiem. Potem uderzyła mnie zwinność i gibkość jej ruchów, z jaką się uwijała pomiędzy stolikami. Zauważyłem, że przy jednym z nich, przy którym zwykle siadywał podrzędny urzędnik z poczty, mizerny, kulejący, o pałających oczach młodzieniec, Ida zatrzymuje się dłużej i z pewnem nadąsaniem i wstrząśnieniem ramion odpowiada na jego, półgłosem wypowiedane słowa.

Bywając parę razy na dzień w tej tratorji, nie mając zwłaszcza nic do roboty, przesiadywałem zwykle długo i wkrótce wszedłem z Idą w ten, napoły z arii Eobliwy, napoły zalotny siEosunelc, w jaki się wKodzi z tego rodzaju dziewczętami, bez żadnych zamiarów na przyszłość.

Przytrzymywałem więc nieraz, sięgającą po należność, ogorzałą rączkę, oglądałem tani pierścionek na małym paluszku, zaglądałem w oczy, prawilem komplementy, przy których spuszczała rzęsy i nieco zawstydzona, odsłaniała w uśmiechu białe, równe, jak sznurek, zębki.

Po pewnym czasie dowiedziałem się, że jest córką rybaka Piętro, matka nie żyje, rodzeństwa nie posiada; wydobyłem też od niej, nie bez trudu, wiadomość, że urzędnik z poczty, Albino, pragnie z nią się zaręczyć i ojciec też tego sobie życzy, i nie wie, co robić, bo się jej nie podoba.

;— Dlaczego? — przekonywałem, i, mając dar udawania, w komiczny sposób naśladowałem jego ruchy, gesty i ułożenie nogami. I oto w ten sposób, stopniowo mój stolik, że się tak wyrażę, stał się przystanią dla Idy, za co Albino topił we mnie zawzięte spojrzenia pałających oczu.

A pewnej nocy, iściąc do domu, zauważyłem, że się czał za węglem. Czyżby mnie chciał pchnąć nożem? - mignęło mi w głowie.

Zwaliłbym go jednym uderzeniem pięści — pomyślałem i inimowoli namacałem w kieszeni mały, lecz ostro bijący rewolwer. I skutkiem tego spotkania, trochę na złość, zacząłem nadskakiwać Idzie, odkrywając przytem coraz nowe uroki tej niezwykle wdzięcznej dziewczyny. Wkrótce zauważyłem na ogorzałych policzkach śliczny, podskórny rumieniec, a gdym kiedyś odwinął u łokcia kończący się rękawek, załśniła biało- różowa delikatna pleć. Odznaczałem się zawsze wielką „geotilezą” w stosunku do kobiet i ta, oczywiście, wobec nieraz rubasznego sposobu bycia otoczenia, zaleta moja występowała w całej okazałości i widzia-

łcm, że Ida to odczuwa i jest moją delikatnością ujęłaś

—Ida jest piękniej wyrzeźbiona, niż ta statua Fortuny — wskazywałem posążek, ozdabiający wodotrysk.

—O, signore — uśmiechała się z niedowierzaniem.

Czasem trochę swawolniej szy zwrot ubierałem w rymy, a liche te wierszyki wprowadzały ją w zachwyt.

Kiedyś, gdy mi podała mniej ocukrzoną kawę, powiedziałem:

—Jeżeli gospodarz żałuje mi cukru, to niech Ida umacza swoje usteczka, a będzie słodsza, niż miód.

Twarz jej ściemniała od silnego rumieńca. Porwała filiżankę i pierzchnęła za bufet. Przez cały następny dzień unikała mnie i wówczas dopiero uświadomiłem sobie, że jestem nieco tą dziewczyną zajęty, przynajmniej o tyle, że gdy jej nie mam przy stoliku, odczuwam, że czegoś mi brak.

Nazajutrz miałem załatwić pewien interes w An- conie, to też wieczorem, gdy Ida podeszła do mnie, rzekłem:

—Ida się na mnie gniewa, niedobra jest, więc nie pozostaje mi nic innego, jak jutro wyjechać, skoro mnie tu tak nieżyczliwie przyjmują.

Dziewczyna naraz jakby zastygła, usta jej drgnęły.

—Panie — zaczęła, utknęła, w oczach stanęły łzy, wybiegła, znikła na moment w ciemnej uliczce, w kilka minut wróciła i zaszyła się w jakimś kącie za bufetem, tak, że nie mogłem jej wytłumaczyć, że jadę tylko na parę dni.

To wrażenie, jakiego doznała na wieść o rozstaniu, sprawiło mi pewną radość, ale zarazem zaniepokoiło mnie trochę, nie miałem jednak zwyczaju dłużej zastanawiać się nad tego rodzaju serdecznymi sprawami, miałem bowiem tych przygód zawiele. Postanowiłem natomiast przywieźć, niejako na przeprosiny, drobny prezencik: wybrałem mały, oksydowany, z cienkim złotym łańcuszkiem zegarek, i przy napisie „ricordo” — pamiątka — kazałem wyryć swoje litery i jej litery złączone w monogramik, I. B., nazywała się bowiem Bertini.

Gdy po dwóch dniach nieobecności ukazałem się „Pod Markizą”, Ida, zapominając o wszystkim

— Signor! — zawołała, rzuciła się ku mnie z roz- iożonemi rękoma, zatrzymała się, spuściła ręce i silnie zmieszana wybąkała: — Che comandate?

—Cafe nero — odparłem, trochę oszołomiony jej wybuchem.

A gdy mi podała, rzekłem półgłosem:

—Niech Ida, jak wyjdę, wybiegnie na chwilę pod arkady Lanei, mam jej coś powiedzieć. I miałem właściwie jedynie zamiar oddać jej zegarek, z prośbą, by go przyjęła.

Nie kazała mi długo na siebie czekać. W parę minut po wyjściu, ujrzałem pomiędzy kolumnami jej smukłą postać.

— Ido — ująłem ją ciepło za ręce — byłem w An- conie i na przeprosiny przywiozłem ci tę małą pamiątkę.

Włożyłem jej na szyję łańcuszek, i nagle wzruszenie podszeptało mi zdanie:

—Noś go z lewej strony. Gdy twoje serduszko posłyszysz jego ciche „tik tak”, niech ci się zdaje, że to moje przy twojem tak bije!

Objąłem ją wpół i pocałowałem w usta. Nie bronila się: przeciwnie, przytuliła się piersią do mej piersi, rozchyłonymi ustami do warg i poczęła szeptać:

—Mio carol o mio!

Oplotła mnie ramionami i puściła raptem, dały się bowiem słyszeć kroki

Zawróciła za Kolumnę, ja w przeciwną stronę, bo poznałem po kulaniu, że zbliża się Albino.

Nazajutrz po tem mimowolnem wyznaniu, powitała mnie w tratorji tak cudownem wejrzeniem, że co i się poruszyło w mej duszy; doznałem jakiegoś nowego subtelnego uczucia, jakby odświeżenia całej istoty, odzyskującej dziewictwo serca.

Bez porozumienia się, bez żadnych układów poszukiwaliśmy ciągle sam na sam, co nie było łatwem w małym miasteczku, zwłaszcza wobec zajęcia Idy, pomysłowść jej jednak pod tym względem umiała usuwać najgorsze trudności. Na oznaczone punkty za miastem, na odległe od ruchu wybrzeża morza przedostawała się wiadomemi sobie tylko ścieżkami, by mnie uściskać, powiedzieć, że kocha i gdzie oczekiwać nowego spotkania.

Głównym naszym wrogiem był Albino, który wyraźnie nas śledził. Na widok tego z łagodnych oczu dziewczyny wyzierał błysk nienawiści, a czasem nawet na usta wybiegały brutalne słowa przekleństwa.

Bezpieczeństwo od tych jego przespiegów gwarantowało nam jednak dwa dni w tygodniu, podczas których wypadał mu dyżur przy telegrafie.

Na te dni Ida, pod pozorem, że ma dużo szycia i prania, wyszukiwała na całe popołudnie zastępczynię i rozpoczęły się cudowne wtorki i czwartki, w które mogliśmy po kilka godzin spędzać we dwoje, siadać nad morzem i mówić sobie te pieszczotliwe słowa, których jest tak dużo w naszym języku, całować się. kłaść tuż obok na wznak na piasku, dotykać ramieniem ramienia, śledzić niebieskie obłoki, budzenie się gwiazd i mówić, jak cudny jest świat... Kiedyś, gdyśmy wracali do miasta, rozplakała się nagle, a gdym ją poęzał uspakajając, zaczęła mówić, szlochając, że trudno jej uwierzyć, bym mógł kochać taką prostą, zwyczajną dziewczynę, że nie zasłużyła na to szczęście, a gdym ją zapewniał o mych uczuciach", potrząsnęła głową i, patrząc na mnie rozkochanemi oczyma, rzekła, odmierzając koniuszek paluszka:

— Wystarczy, jeżeli pan ma dla mnie serca choć tyle.

Dziwił się pan nieraz, dlaczego zamiast w hotelu, mieszkam w tej ciemnej uliczce naprzeciw walącej się rudery.

W tej norze gnieździła się ona wraz z ojcem, który prawie ciągle przebywał na morzu. Otóż, gdy usnęło miasteczko, mniej-więcej po północy, rozsuwałem lekko żaluzje i nadśluchiwałem pilnie, a gdy odezwał się cichy, umówiony głos kociątka: — miau! miaul — 'schodziłem na dół, otwierałem furtkę, a z bramy jednym zręcznym skokiem Ida upadała mi w ramiona.

— Miaul miaul! — cichutko powtarzała mi nad uchem, całując w szyję.

Biła od niej jakaś pierwotna krasa, urok natury, coś z słońca, mofza i dojrzewającej winnicy: biła z niej i skromność, a zarazem jakby nieświadomość wstydu w miłości, całkowitość oddania się oraz jakiś pierwiastek uwielbienia, prawie pokory.

Uważała mnie za jakąś nieskończenie wyższą istotę, niemal bóstwo, które zeszło z nieba, by ją uszczęśliwić. I tylko chwilami budziła się w niej mętna świadomość swego uroku, wówczas tuliła się do mnie, uśmiechała się nieco figlarnie i mówiła:

— Więc naprawdę ci dobrze ze mną?

— Jak z nikiem, kotku!

— Miaul! miaul! — przymilała mi się, wtulała główkę w ramiona i przeciągała się rozkosznie, naśladując mruczenie,

Czasem w ten sposób zasypiała i musiałem ją budzić, by zdążyła wrócić przed świtem. Roztwierała rozmarzone oczy, nadstawiała zaróżowione snem policzki, ubierała się szybko, otulała mnie w koldrę

i w upajającym pocałunku wymawiała: Buona notta, signore! — poprawiała zwichrzone włosy i znikła za drzwiami.

Rano była już w tratorji. Od tego niedosypiania zmizerniała trochę na twarzy, ale rozkwitła w sobie. Z oczu jej jakby zeszyły pajęczyny, a złoto ich nabrało silniejszego połysku, usta szkarłatu.

Ciągnęło się tak ze dwa tygodnie, i nie wiem czy wy szpiegował nas Albino, czy ojciec zauważył, dość że pewnej nocy próżno oczekiwałem jej do późna, a gdy uchylił żaluzję ujrzałem przed bramą krępą figurę starego Piotra.

Jak zawsze w słomianym kapeluszu, z nieodłączną fajką w zębach, siedział na stoiku. Morzył go chwilami sen, lecz budził się, pociągał z fajeczki i po chwili znów drzemał.-

Zrobiło mi się trochę nieswojo. To jego czuwanie nie wróżyło nic dobrego.

Jakoż istotnie, nazajutrz, ledwie się ubrałem, bez pukania, z fajką w zębach, w kapeluszu, ukazała się na progu przysadkowata, niska, o krótkich nogach, przydługich rękach, ze spaloną na brąz kwadratową twarzą, postać Piotra.

—Si g nor... — zaczął z punktu jakimś gardlanym, ochrypłym głosem, w miejscowym narzeczu, coraz bardziej podniesionym tonem wyrzucać urywane słowa, których nie rozumiałem dokładnie, ale łatwo się domyślałem z poszczególnych wyrazów, o co chodzi. Tak dalece jednak nie byłem przyzwyczajony, by ktoś w ten sposób śmiał mnie nachodzić, podnosić na mnie głos, że z jeżyła mi się dusza i rzekłem zimno:

—Przedewszystkiem, z głowy kapelusz.

Piętro od razu jakby zgasł. Odsłonił łysą, otoczoną żółto-sinemi kępkami włosów czaszkę, obracając kapelusz w rękę, począł coś bąkać, wreszcie podniósł na mnie spłowiałe oczy: _

— Mia filia sola, oh Diol

Głos mu zwilgotniał, zatrzęsła się siwa bródka, Zagulgotało coś w piersiach.

Zrobiło mi się żal starca.

— Piętro — wyrzekłem wstając — tak jest istotnie, ale Ida jest moją narzeczoną, a skoro nią jest to — znam przecież wasze zwyczaje... Piętro — położyłem mu rękę na ramię — mam tyle, że córce twej niczego nie zabraknie, a tobie — uśmiechnąłem się — mógłbym kupić nawet parowiec.

Piętro stał, jak słup, z wy trzeszcz onemi oczyma. Powiesz pan, że kłamałem bezczelnie. Kłamałem, ale niezupełnie. Gdy mówiał, jednocześnie świtał we mnie zamiar pobrania się z tą dziewczyną, może nawet nie zamiar, a tylko możliwość tego związku; im dłużej mówiłem, tembardziej niejako przekonywałem siebie, że niema powodu, dlaczegobym nie miał tego uczynić. Dziewczyna jest śliczna, kocha mnie bez pamięci i budzi we mnie nie tylko szal namiętności, ale i inne serdeczne uczucia.

— Piętro — zakończyłem, podając mu rękę — uściskajmy się i bądźmy przyjaciółmi — udała ci się có/ka, niema co gadać!

— Panie — ryknął starzec — to chyba jej Madonna z Lor et to...

Coś mu zagrało w gardle, jakby łkanie: potrzęsnał mi tak mocno rękę, że aż mi strzyknęło w stawie, i, trochę zataczając się jak pijany, wyszedł.

— Dlaczego bym się nie miał ożenić? — powtarzałem. — Dlaczego?

Gdy znikł, nie opuszczałem mieszkania, spodziewając się wizyty ich obojga.

Ale Ida nie przysłała: nie zastałem jej również w tratorji. Dopiero nocą, jak zwykle, po umówionym sygnale, zjawiła się jakby trochę znękana.

— Zapewne wiesz o mojej rozmowie z ojcem?— rzekłem zaraz na wstępie.

— Si — odparła i z nagłym jakimś wybuchem miłosnej pasji owinęła mi ramionami szyję.

~ Kochaj, kochaj! — szeptała gorączkowo. — POCO myśleć o jutrze! — I zamykała mi usta pocałunkiem, ilekroć próbowałem wznowić tę sprawę.

Chwilami upojony wzmagajacem się, jakby bijąc- cem przyśpieszonym tempem gwałtem jej miłości, zapominałem o wszystkim, oczarowany jej krasą, która zdawała się rozkwitać w pieszczotach, jak kwiat w rosie.

Ale w samotności zastanawiałem się poważnie nad całą sprawą i przychodziłem do wniosku* że nie jest tak prosta, jak mi się narazie zdawało.

Poczęły się odzywać te wszystkie przesady, które wchłaniamy w siebie bezwiednie i przyjmujemy, jako prawdy bez namysłu, czy i czego są warte.

Mniej chodziło mi w danym wypadku o sferę. Ida nie miała nikogo prócz ojca, który prawdopodobnie nie chciałby się rozstać z morzem. Zresztą, nie byłem arystokratą, ani z przekonań, ani z pochodzenia. Mój dziad, który się wybił z gminu, ledwie umiał czytać i pisać. Ojciec dopiero postawił dom na odpowiedniej stopie, zawiązał towarzyskie stosunki, pomnażał majątek i dorobił się nawet jakichś orderów, a już przedemną otwarły się salony, nawet dla ojca jeszcze zamknięte, miałem bowiem potężny indygenat: grube pieniądze.

Inna wątpliwość poczęła mnie trapić: czy ona potrafi mnie zrozumieć.

Carioli się roześmiał.

Uważa pan, czy mnie zrozumie? Uważałem się, znaczy, za jakąś szaradę, którą żona .koniecznie roz-

16

\f | t

I wiązać musi, i sądziłem, że tylko panna, która umie p tańczyć, brząkać na fortepianie, posiada pewne wiado- | mości z arytmetyki, zoologii, zna piątę przez dziesiątę i;- historję i geografję: panna, która skończyła pensję« 4 posiada tem samym klucz do skrytek duszy innego człowieka, -skrytek, których my sami nie znamy.

Dziś wiem, że Ida byłaby kochającą mnie bez pa- i mięci istotą, że nie pragnęłaby, nie śmiałaby się nawet kusić o przerabianie mej duszy na modłę swego „wi- [Widbąsiej⁰, że nie żądałaby, bym stał. się „inny" jak jestem, bo kochałaby mnie takim, jakim byłem bez zastrzeżeń.

I kto wie, gdyby Ida pozwoliła mi mówić o pro- . jektach na przyszłość, gdybyśmy poczęli snuć nie ma- rzeń życia we dwoje, możeby się oswoiła z tem małżeństwem ma dusza i wszystko by poszło inaczej.

Ale ona nie chciała mówić o tem, ani słuchać. W stosunkach też tyle tylko się zmieniło, że przestała usługiwać w tratorji, siadywała na progu, naprzeciw mego okna, i przerzucając klocki robionej koronki, I podnosiła na mnie często swe jasne, <jak gwiazdy, • a czasem pełne łez oczy.

— Będiesz moją — wzruszało się wówczas me ' serce, ale gdym jej nie widział, znów poczynały za- : kraść się różne wątpliwości, z którymi wreszcie po- i stanowiłem się zwierzyć memu przyjacielowi. Po wysianiu listu byłem trochę nierad, przewidywałem, że x Nani tylko mi jeszcze wszystko zamąci, a z toku mych , rozmyślań wynosiłem jedno coraz wyraźniejsze po- i czucie, że kocham Idę w sposób, w jaki nie kochałem dotychczas żadnej kobiety. I, kto wie, możebym spacerował po tych ulicach z nią, jak teraz z panem, mo- I żeby nam się plątało u nóg jakieś czarnowłose bam- bino, gdyby nie ten przekłety kuternoga, o którym nie r wiem nawet, gdzie się teraz obraca

Ida płecra — 2

17

l^mfWfP

Stało się to w niedzielę, akurat w miesiąc od dał" ty, w której mój kotek zamiauczał po raz pierwszy pod oknem.

By uczcić ten dzień, postanowiłem urządzić z Idą wycieczkę do Tosombro samochodem. Wymawiało się biedactwo od tego samochodu, nie wiem, czy z powodu wydatku, czy wstydziła się tego „państwa” wobec przyjaciółek. Proponowała omnibus, ale postawiłem na swoim.

Patrząc, jak strojnziej niż zwykle ubrana, z główką owiniętą w błękitny woal, siedzi w pojeździe, my* siałem sobie: — Jak ona nic nie razi. Jakby urodziła się do strojów, ekwipaży, ile posiada naturalnego wdzięku; czemu ja się waham?!

Wróciliśmy pod wieczór z pękami kwiatów, zieleni, upojeni pocałunkami i szaloną jazdą.

Na placu spotkał nas stary Piętro.

— Jesteście — mruknął. — Ja tu czekam, chciałem bowiem was przewieźć łódką; noc cicha, morze dobre.

— Cudownie. Tylko coś zjemy — odparłem —» bośmy głodni jak wilki.

I wstąpiliśmy we troje do restauracji.

Piętro jeść nie chciał, wypił tylko pół litra wina, a gdym zamierzał załatwić rachunek, odsunął mą rękę i rzekł twardo:

— Ja płacę.

— Chciałem za ryby.

•— Ja dziś za wszystko zapłacę — odburknął, wyjął zatłuszczony papier, zebrał resztę i ruszył przodem.

Patrzyłem na jego założony kaftan, krępą postać o krótkich nogach i długich rękach, na jego bez wstążki kapelusz i pomyślałem;^A

} — Dość ciężki teść!...

Piętro odwiązał łódkę, zapalił zawieszoną u masztu latarkę i rozwinął żagiel.

Wkrótce jednak ustał lekki wiaterek, trzeba by<3 ło zwinąć żagiel i zabrać się do wiosł.

Morze było nieco omglone i tylko w pobliżu łodzi w świetle latarki migotała srebrną łuską fala. Dalej panowała ciemność i bałwaniąca się woda wydawała się czarną. Płynęliśmy długo. Ja ścisnąłem Idę za rękę, stary wiosłował w milczeniu. Chwilami oglądałem się na brzeg, majaczący we mgle. Wkrótce zginęła jego linja, przygasły migoczące światła miasteczka, wreszcie roztopił się wysoki słup z wielką latarnią i tylko lśniło mętne jej światło, jak promyk brzasku, potem, jak gasnąca gwiazda, wreszcie jak centka, aż i ona zgasła.

Byliśmy na pełnym morzu. Coraz żywiej tańczyła łódź.

— Czy nie czas by wracać, Piętro? — przerwałem ciszę.

— Zaraz — mruknął stary, zdjął latarkę, począł czegoś szukać za kaftanem; wreszcie wydobyl i rzekł posepnie:

pl — Mam do pana list.

Podał mi kopertę. Była otwarta.

Poznałem pismo przyjaciela.

— Ja mogę poświecić, jeżeli ciemno.

Poświecił mi w oczy latarnią.

Przebiegłem szybko kartkę.

„Niepoprawny Don Juanie — pisał Nani — więc i tu znalazłeś ofiarę?. Nie przeczę, że tego rodzaju dziewczęta mogą posiadać niepowszedni urok, zwłaszcza dla trochę zblazowanych, jak ty, młodzieńców. Ale słusznie nazywasz „szalonym” swój projekt marjażu. Nie rób głupstwa, któregośbys potem całe życie

balował, i wracaj. Tutejsze panie i panny Hopytujf się o ciebie i wypatrują cię niejedne cudne oczy. Więc wracaj, a donnie swej, o ile zwłaszcza zanosiłoby się na małego Robertka, pošlesz stąd odpowiednią porcję lirów, by starczyło i na pieluszki i na otarcie łez. Twój Nani".

—Głośno czytaj! — zwracając się po raz pierwszy do mnie na „ty" zahuczał Piętro, a gdym milczał, wyrwał mi list. — To czytaj ty! — i wręczył go córce

Zaczęła wylekła i głos jej, w miarę jak czytała, tracił wszelką dźwięczność, stawał się martwy, wyzuty z tembru i barwy. Skończyła zdławionym szeptem, wypuściła papier i ukryła twarz w dłoniach.

Piętro postawił na dnie łodzi latarnię i postąpił ku mnie. Podniosłem się mimowoli.

W mgnieniu oka opasały mnie jego żyłaste ręce, na twarz mi wionął winny oddech i poczułem, że pcha mnie całą siłą ku burcie, by wrzucić w morze.

Rozpoczęła się nierówna walka, ręce bowiem miałem jak w sznurach: opierałem się piersią, o ławeczkę nogami, widząc z rozpaczą, że ulegnę. Wystąpił na mnie zimny pot, śmiertelne przerażenie odebrało mi resztę sił.

Nagle pomiędzy nim a mną poczęła się szarpać

Ida.

~ Ojcie! — krzyczała. Chwyciła go z tyłu za szyję, odrzucona kopnięciem nogi, rzuciła się ku rękóm.

I raptem starzec syknął i puścił mnie.

—Gryziesz suko! — zacharczał. Pchnął ją tak silnie, że padła na dziób, a potem purpurową twarzą zwrócił się znów ku mnie.

Ale teraz ja stałem się panem położenia. Zdążyłem wyrwać z kieszeni rewolwer i, mierząc między zawzięte oczy starca, zawołałem głosem tak groźnym, że aż się sam wstrząsnąłem cały:

—Do brzegu, Piętro, bo ci w łeb palnę jak psuf

Piętro się cofnął, miotając przez zęby przekleństwa. Purpura zwolna spłynęła mu z twarzy, która stała się martwa, jak wykuta z szarego piaskowca.

Ujął wiosła, zatoczył krąg i płynął ku brzegowi. Drżałem na całym ciele, nogi mi się uginały, ale lękałem się usiąść, w Obawie, by mi nagłem uderzeniem wiosła głowy nie rozłupał.

Po chwili usłyszałem za sobą płacz cichy, jak szmer, ni to głęboki szloch, ni wzdychanie, przechodzące czasem w stłumione kwilenie dziecka.

Ida płakała.

Spojrzałem: siedziała w kucki na burcie, trzęsła się w dłoniach czarna jej głowa, wzdrygały się spazmatycznie skulone ramiona. Nie miałem siły zdobyć się ani na jedno słowo pociechy,

—Adio Roberto — wymówiła, podnosząc ku mnie jakby zmizerniałą twarz i załzawione oczy. — Adio! — powtórzyła, znowu ukryła twarz w dłoniach: łkając, pochyliła się i plusnęła w morze.

—Ido! — krzyknąłem, widząc jak się zamyka nad nią fala. — Piętro! Piętro!

A starzec w milczeniu obrócił łódź tak, że przepłynęła na miejscu gdzie znikła, i robił dalej wiosłami, jakby nic szczególnego nie zaszło.

Osunąłem się na ławkę, tak wyzuty z sił, że mógłby mnie w tej chwili wziąć za kołnierz i jak szczenię do wody wrzucić.

Ale Piętro ani się poruszył. Dobił do brzegu, u- wiązał łódź, zabrał latarkę i ciągnąc z fajki oddalił się w milczeniu.

Opamiętałem się wreszcie. Pobiegłem na przystań, ofiarą sutych napiwków poruszyłem kilku rybaków. Wypłynęli niechętnie, pokręcili po morzu i przybili do brzegu.

—Ciemno i mgła — mówili.

Nazajutrz zarządziłem poszukiwanie ciała — na- próżno.

Potem rozpoczęło się śledztwo.

—Straciła równowagę i wpadła — odpowiadał w kółko Piętro.

Nie pozostawało mi nic innego, jak potwierdzić zeznanie starca. Sprawę umorzono, zwłaszcza, że Piętro w parę dni, rażony atakiem apopleksji, umarł. Zostałem jedynym posiadaczem tajemnicy, a teraz i pan.

Kpzmaicie tam bywało później ze mną. Powiem tylko tyle, że od czasu do czasu odczuwam potrzebę odwiedzenia tych miejsc. Gdy nadciągnie tak szlochająca fala, chętnie poddaję się złudzeniu, że to Ida płacze, doznaję przytem pewnego subtelного bólu, którym lubię rozdrażniać duszę.

Zamieszkuję te same pokoje i w nocy rozczulam się... nad sobą, zyskując w ten sposób drobne ziarnka goryczy, któremi zaprawiam jałowe me życie.

Zatrzymał się u furtki domu, w. którym mieszkał, wytrząsnął z cygarniczki i rzekł:

—Z cygara został niedopałek, a z tego wszystkiego nic, nawet popiołu. No adio! Jutro do dnia wyjeżdżam.

—Buona viagio!

Uścisnął mi rękę i znikł w ciemnej sieni.

Nazajutrz czułem się trochę osamotniony z powodu braku miłego wiocha. Wypiłem prędeej, niż zwykle, wino i pociągnąłem machinalnie ku morzu. Tak samo roiły się w zieleni krzaków migotliwe płomyki, tak samo noc była cicha, a omglone morze wysyłało z ciemności ku brzegom spienion eswe gońce,

Wkońcu nadciągnęła taka cicha, mięka fala i rozesała się ze szmerem i jakby łzawym poszeptem i wówczas zrobiło mi się dziwnie smutno.

— Ida płacze — ■ wyszeptałem bezwiednie. Zanurzyłem rękę. Około dłoni owinęło mi się drgające ciepło i poczułem się tak wzruszony, jakby widmo tej nieznaney dziewczyny stało się czemś memu sercu Miśkiem i wspomienie o niej zawsze jakby lekko uchyla wieko tej skrytki duszy, w której leży smutek.

BARYKADA

Sir Karol Bulton, uczonego angielski, znany powszechnie psycholog, podróżuje po całym świecie i bada „duszę dziecięcą” różnych narodów, by uchwycić zasadnicze cechy ich charakteru.

Metoda, którą się posługuje, jest dość oryginalna: mianowicie w każdym kraju poleca on nauczycielowi lub nauczycielce opowiedzieć dzieciom pewną własnego pomysłu powiastkę tak prostą, iż jest dostępna pojęciu najmniej rozwiniętych dzieci. Sam zaś obserwuje, jakie powiastka wywiera wrażenie i, stosownie do tego, jak została przyjęta, wytwarza sobie pojęcie o właściwościach duszy danego narodu.

Zwiedziwszy rozmaite kolonie, Chicago, Melburn, Tokio, sir Bulton przybył wreszcie do Paryża. Dotychczas, jak mówiono, doświadczenia Anglika nie dały iadnych pozytywnych, namacalnych rezultatów, powiastka jego, ten próbny kamień, przyjmowana była przez małych słuchaczy dość obojętnie, bez śladu żywszych wzruszeń.

W Paryżu sir Bultonowi polecono dla doświadczenia ochronkę w dzielnicy „kamieniarzy” na przedmieściu, zamieszkanem przez robotników.

Personel szkoły, zawiadomiony zawczasu o wizycie Anglika, przygotował się pośpiesznie na przyjęcie *

czcigodnego gościa, Naszuwaksowane obficie, niż zwyj kle, obuwie dzieci lśniło się, końce bucików, zazwyczaj podejrzanie matowe, świadczyły blaskiem, że się i po nich przejechała glansująca szczotka.

Ani przełożona, ani nauczycielki nie znały dokładnie celu wizyty, co potęgowało wzruszenie.

Wiedziały jedynie, że mają być dokonane jakieś głębokie studia nad powierzoną ich opiece dziatwą przez znakomitego uczonego specjalistę .

Z tego powodu przełożona uważała za stosowna zaapelować do swych pupilów i, zebrawszy wszystkie trzy klasy do jednej sali, wygłosiła następującą, jakkolwiek obracającą się w sferze ogólników, niemniej jednak przekonywującą przemowę:

— Pan, który dziś nas odwiedzi, ogląda, podobnie jak naszą szkołę, wszystkie inne; widział już albo zobaczy małych Niemców, Włochów, małych Murzynków i malutkich Japończyków. A wiecie, dlaczego to robi? Oto pragnie się przekonać, czyje dzieci są naj-rozłropniejsze na świecie. Ażeby jednak być pierwszym *na świecie, trzeba być grzecznym, zachowywać się cicho, nie dokazywać, nie wyprawiać krzyków, nie bić się, prowadzić się skromnie i przyzwoicie. A wówczas sir Karol Bulton powie, że nigdzie nie spotykał tak miłej, posłusznej i przykładowej dziatwy, jak tutaj, że nie widział tak grzecznej i obyczajnej szkoły, jak nasza. I skoro go kto zapyta: „czyje dzieci są najlepsze na świecie?” — odpowie bez namysłu: „oczywiście; dzieci z ochronki w dzielnicy kamieniarzy”.

*

* *

Korzystając z paury, przeznaczonej na śniadanie, przełożona wyszła, by otrzymać ostatecznie instrukcje od inspektora szkół początkowych, który żywo się in

teres ował przedsięwzięciem przez Anglika doświadczeniami. Zanim jednak zdążyła wrócić, zjawił się sir Karol Bul ton i poprosił, by go zaprowadzono do klasy starszych, t. j. dzieci od lat 6 do 7.

Pomocnica przełożonej, prowadząca tę klasę, panna Bord, przerwała lekcję, by przyjąć gościa.

Była to osoba subtelna, smukła, ubrana całkowicie na czarno, a matową, bladą twarzą i szlachetnymi rysami przypominała obrazy Madonny.

Patrząc na nią, sir Bul ton miał wrażenie, że jej regularna, klasyczna piękność dziwnie harmonizuje z prawidłowością mechanizmu całej szkoły, którą odczuł całą istotą, za ledwie przestąpił próg gmachu.

Rzeczywiście, dyscyplina była wyjątkowa, wprost idealna.

Dość było ściągnięcia brwi, a już wszyscy uczniowie stali wyprostowani, ułożeni znakomicie, po jednej stronie klasy dziewczynki, z zawiązanymi z ręcznie i szykownie kokardami we włosach, po drugiej chłopcy, których wichrowate czupryny, widocznie pod wpływem uroczystej chwili, uległy posłusznie energicznym pociągnięciom mokrej szczotki.

Ledwie dostrzegalny ruch, i wszystkie bez żadnego hałasu usiadły na ławkach.

Słowem, porządek — bezprzykładny, wzorowy. *

* *

Sir Bul ton zaczyna cicho rozmawiać z panną Bord, której twarz, jak gdyby dotychczas zamglona niepokojem nieznanego zadania, wyjaśnia się powoli. Potakuje zgodnie ruchem głowy i uśmiecha się. Trudno o rzecz prostszą. Chodzi jedynie o to, by opowiedzieć* ilustrując rysunki na czarnej tablicy, najzwyczajniejszą pogadankę o baranie, powszechnie znanym zwierzęciu domowym. Tak! tak! Nic więcej, ogólnie znane wiadomości o tym potulnym, łagodnym i tak pożytecz- nem dla człowieka przez weinę, mleko i mięso stworzeniu.

Jeden tylko szczegół, z naciskiem podkreślony przez sir Karola, niepokoi coftblwiek pannę Bord. Mi- mowoli wzrok jej ślizga się po tylnych -szeregach dzieci niedbale uczesanych, lecz szybko uspakaja się, i twarz jej staje się jasna, pełna gotowości, sprzedając uprzejma.

Dla sir Karola stawiają krzesło w kącie na równi ze stołem nauczycielki, i lekcja się rozpoczyna.

Obecność czcigodnego gościa nie rozprasza uwagi dzieci, co możnaby poczytywać za nowy dowód dobrego ułożenia i zbawczej dyscypliny.

W danym jednak wypadku idealny sposób bycia dzieci jest w znacznym stopniu, jeśli nie zupełnie, zasługą panny Bord, znakomitej rysowniczkii i utalentowanej mówczyni.

Oto na tle ślicznego pejzażu naszkicowała baran- . ka. Głos jej, sposób mówienia, rzecz można, nadaje koloryt, ożywia rysunek, jak gdyby wjewa nowy sens i świeże barwy w najzwyczajniejsze banalne opisy i znane formy.

Wkrótce zainteresowanie się wzmacnia, dzięki ukazaniu się na tablicy owcy-matki, przy czym dzieci dowiadują się o takich ciekawych szczegółach, że niektóre gatunki serów, jak na przykład rokfort, wyrabiają się nie z krowiego, lecz z owczego mleka.

Wreszcie ilu zaciekawienie dosięga zenitu. Przed oczyma dzieci zjawia się jagniątko, zupełnie białe, które zdaje się podskakiwać, bawić się i tkliwie be- * czeć, małe jagniątko, takie pocieszne, taka ślicznotka, że twarzyczki dziecięce zdają się rozpląwać w roz

koszonym uśmiechu, a wargi mimowoli składają się, by wycalować to cudne maleństwo.

Wśród martwej ciszy główki dziecięce wyciągają się chciwie, napięta uwaga ściąga brewki, drga w skrzydełkach nozdrzy, rozciąga kąty ust.

Słowa chwywane są w locie, ich sens wyczerpywany do dna, z chciwym pośpiechem.

Wtem nagle panna Bord przestaje rysować i zwraca się do klasy.

Twarz jej, przed chwilą tak ruchliwa i wyrazista, zastyga do tego stopnia w surowym, nieruchomem i zimnem pięknie, że staje się jak gdyby zwierciadłem odbiciem surowej obojętności przyrody, fatalnych, nieuniknionych, żelaznych, nieubłagalnych praw świata.

Dzieci zamarły w przeczuciu jakiejś fatalnie nadciągającej grozy. ...

I w tem grobowem milczeniu dobitne, głuche słowa padły, niby kamienie na dno przepaści:

— Ale wiecie, dzieci, że trzeba jeść, a mięso zwierząt żywi doskonale, daje siły, współdziała wzrastaniu. I wy wszyscy zapewne lubicie kotleciki i pieczeń baranią z kartofelkami. Otóż, jeżeli natura nakazuje, jeśli świat jest tak urządzony, że ludzie karmią się stworzeniami, niema rady, trzeba będzie zarznąć nasze jagniątko.

Zdawało się, że w panującą ciężką ciszę wtargnęła fala ciszy jeszcze większej,

Dzieci wstrzymały oddech. I Nauczycielka tymczasem zwróciła się ku tablicy I zaczęła ponownie rysować.

— Mamy zamiar zarznąć jagniątko, musimy więc zrobić odpowiednie przygotowania: ten budynek — to szlachtuż, oto sznur i hak, na którym powiesimy baranka, ten pień będzie jak gdyby szafotem, na którym poćwiartujemy jego ciało, a oto nóż...

Przerwała, gdyż zjawił się służący z raporfeni, iż przybyła przełożona z „samym” panem inspektorem, który pragnie zaszczycić osobistą obecnością wizytację sir Karola Bultona, wobec czego przełożona prosi, by panna Bord zechciała zaprowadzić sir Karola do gabinetu przyjęć dla przedstawienia mu pana inspektora.

Panna Bord szybko położyła kredę i wskazała drogę-znakomitemu gościowi, który powstał z krzesła z całą gotowością dobrze wychowanego Anglika.

Klasa na kilka minut pozostała bez dozoru. * *

Skoro sir Karol Bulton w towarzystwie pana inspektora i przełożonej z całym ceremoniałem oficjalnego przyjęcia zjawił się ponownie na progu klasy, ciężki stół panny Bord, ten centralny punkt i jakby fort władzy państwowej, leżał, przewrócony na bok, naokoło czarnej tablicy z wyrysowanym jagniątkiem z poprzeszonych i spiętrzonych ławek wznosiła się barykada.

Wokoło tej, jakby z ziemi wyrosłej fortecy tłumił się z lewej i z prawej strony, z przodu i z tyłu wszystek mały lud klasy.

Poprzez szczeliny barykady błyszczały groźnie dziesiątki oczu dziecięcych, niby drobne otwory luf, gotowych do strzału. Sympatyczny Adam, pierwszy urwis klasy, z gęstą, buntowniczo nastroszoną jasno-blond czupryną, z twarzą wołu i herkulesową budową małego niedźwiadka, stał po środku, obok stołu panny Bord, a tyłem do barykady i zdawał się obejmować komendę.

Jakoż, zanim przybyli dorośli zdołali się opamiętać, Adam, zadarłszy w tył głowę z wysuniętym

podbródkiem, z podniesionymi ramionami, z napiętymi mięśniami rąk, instynktownie zaciskając pięście, rzucił im na spotkanie ze swym akcentem z przedmieścia rewolucyjny okrzyk:

— My nie damy zarznąć jagnią tka!

Sir Karol szybkim, porywczym gestem powstrzymał przełożoną i inspektora, którzy byli gotowi, jak wypadało wmieszać się do¹ sprawy, i poprosił o chwilę swobody, by rozejrzeć się i zrozumieć, o co chodzi.

I sir Karol pociągnął po klasie swym poważnym spojrzeniem, majestatycznym i przenikliwym, nabyłem wskutek głębokich rozmyślań i dociekań nad życiem wielu narodów na rozmaitych szczeblach cywilizacji.

Zgiełk głosów, długa, nie rozczłonkowana wibracja dźwięków zadrgała w ciszy klasy po okrzyku Adama. Wszystkie oczy, wszystkie usta, wszystkie krtanie, policzki napięte i drżące powtarzały z zuchwalstwem rozpaczy jedno zdanie:

— My nie damy zabić jagniątka!

— Oho! — pomyślał sir Karol — więc to znaczy, że cały ten mały narodek powstał, jak jeden mąż, by bronić niewinnej ofiary.

I nagle szlachetny Anglik doznał wrażenia, że w tych dziecięcych okrzykach dzwoni mu głos całej rasy.

Każda dziecinna twarzyczka krzyczała po swojemu: jedne z siłą, inne błagalnie, przerażone lub uciśnione, ale wszystko zlewało się w jeden potężny, porywający protest przeciw wszelkiemu zamachowi na niewinną ofiarę.

Wzrok sir Karola jął badać poszczególne grupy. Z różnolitej mieszaniny chłopców i dziewcząt wyławiał najbardziej jaskrawe typy.

Oto silne, otwarcie zdecydowane, jak Adam, oto dzikie, pozornie lękliwe* ale do okrucieństwa śmiałe, jak Leon Gros.

Ci przedewszystkiem przykuwali uwagę.

Za nimi następował długi szereg wielkich w swej prostocie przedstawicieli macierzyńskiego heroizmu: Helenka Leblanc, Luiza Clouet i inne. Czułe ich, drżące, filigranowe postacie wzdrygały się od każdego uderzenia wzruszonych serduszek, pozostawały jednak na swych stanowiskach „gotowe paść trupem, jeśli będzie potrzeba;

Ulubienice klasy: ładniutka, zalotna Irma Guepin, Jul ja Casin, protestowały błagalnie, z nabożnym oddaniem się, jakby w imię pokrzywdzonego piękna świata, którego ożyły uosobieniem.

Ale, być może, najwyższy stopień piękna patrzył na sir Karola z głęboko zapadniętych oczu, z pod okrytego strupami czoła odepchniętych: Ryszarda z głową schorzałej małpy, garbusa Vidala, Ronvalota, chodzącego szkieletu. Z jakimś zaciekle poświeceniem, z dochodzącą do zapamiętania się zawziętością byli gotowi do upadłego bronić jagniątka, nie dopuścić za nic, by je zabito, jakby ich własne kalectwo było już ostatecznym kresem dostępnej dla człowieka krzywdy.

Również kategorię malowało się na obliczach nierozwiniętych i zwyrodniałych.

Głęboki, tępy ból tkwił w ich wyrazie, niedołężne, zgnębione fałszem i złośliwością losu, zdawały się mówić swym posępnym wejrzeniem:

— Jeśli zamordujecie jagniątko, wieczyste prze-, kleństwo zacieży nad wami!

Pałające, czerwone słońce padało przez otwarte okna i zalewało dziedzinę, tak że żaden cień nie zatuszował i nie łagodził konturów jaskrawego obrazu.

Widać było, że i najposłuszniejsze „benjaminki” klasy, prymusy, dzieci zamożnych, „przyzwoitych”

rodzin, którym władze nie szczędziły pochwał, stawia³ ły za wzór, jak np. Berta Cadeau, Leon Chereau, obydwój z piersiami obwieszonymi orderami szkolnymi, ci również uczciwie i otwarcie stali na barykadzie, żałując może, iż są zmuszone brać udział w buncie, ale rozumiejąc, że inaczej postąpić niepodobna.

I dzieci, wiecznie głodne, morzone od urodzenia, których anemiczne policzki domagały się na gwałt mięsa, te wynędzniałe, zapadłe twarzyczki, dzięki którym zyskały przezwiska Luizy Nienasytki i Karola Głodomora, nawet one, z oczyma i rękami zdychającego z głodu wilka, wołały również, iż one nie chcą, nie chciały! Nieprawda, jakoby były kiedykolwiek głodne. Łaski! Łaski! Nigdy już nie będą... nie będą więcej głodne! Nigdy nie będą się napierały — jeść!...

Wreszcie sir Karol na froincie barykady spotkał się ze spojrzeniem równie rozumnym, nie! nieskończenie mędrszym, niż wzrok jego własny.

Tricot ze starczą twarzą, która już poznała wszystko w życiu, Tricot, który z niedającym się opisać uśmiechem ironji mawiał o swojej matce: „mam z nią święty spokój tylko wówczas, gdy mnie bije”. Tricot bez kołnierzyka, w rozłożącym się, powięzonym tasiemkami obuwiu, przedstawiał obraz istoty, stokroć zabijanej i niezmiernie ku zdumieniu otoczenia pozostającej wiecznie na właściwym, przynależnym jej miejscu, które jest otchłanią łez i niedoli.

Znać było, że, gdyby wszyscy jego koledzy rzucili się do ucieczki, onby pozostał na stanowisku sam jeden, jak stoi: z ręką w kieszeni, w odrzuconym na bok fartuchu, z łachmanem, niby symbolem bohaterskiego sztandaru, wyłazającej ze spodni koszuli, zostałby, przeciwstawiając atakowi wroga całkowitą odwagę swego zuchwale zadartego nosa i dobrodusznie gorzkiego uśmiechu kpiących warg:

x— Nie damy mordować jagniątki!

I szczerze wzruszony sir Karol Bulton pochylił przed barykadą dumną swą siwą głowę na znak czci, jaka zwykł darzyć w Ameryce, w Japonji, na całym obszarze świata wszelkie męzne przejawy woli narodu.

Następnie majestatycznym ruchem wznosił w górę kapelusz. I tonem bardziej uroczystym, niż ten, którym miał zazwyczaj wznosić na dyplomatycznych bankietach zdrowia dygnitarzy, wykrzyknął na cześć dziatwy dzielnych „kamieniarzy”:

— Niech żyją wielkie dzieci wielkiego narodu!

ZA ŚCIANĄ

I

Cela Janusza Tarczyńskiego mieściła się w narożniku najwyższego piętra. Taka sytuacja numeru miała swe dodatnie i złe strony. Dodatnią był względnie szeroki widok z za krat okna na okryty darniną forti skrawek pola, spory łuk nieba i czuby dalekich drzew. Zła — utrudniona komunikacja z resztą gmachu, jedna ściana była bowiem szczytowa, nad sufitem — starych, w dole jakiś składzik, a przyległa cela — jedyny łącznik ze współtowarzyszami — stała od dawien dawna pustką.

Był więc odosobniony zupełnie i ten brak stosunków, które wyrażają się w więzieniu przeważnie pukaniem do siebie przez ścianę, potęgował niezmiernie poczucie osamotnienia i jakby zupełnego wycofania z obiegu życia.

— Dobrze się trzyma człowiek, zamurowany dokładnie I

— Ścierwo nasze konserwuje się zdrowo, jak sardynka w zalutowanym pudełku!...

— Ryby i więźniowie głosu nie mają!

Tworzył od czasu do czasu okolicznościowe, jak nazywał, aforyzmy i rył na wieczną rzeczy pamiątkę w tynku muru.

Była to jedyna jego umysłowa rozrywka, zdobyte bowiem niegdyś z radością książki przestały interesować zupełnie, Wyprocesowany z trudem atrament, pióro i papier leżały beczynnienie, zajmowały go jeszcze nieco ilustracje starych tygodników, ciąg i przemiany obłoków na niebie, ale oddałby to wszystko za szelest żywej istoty za ścianą, za łoskot kroków niewidzialnego człowieka. Ale ściana była martwa i nieraz, gdy pukał, by nie stracić wprawy, wywołane z niej głuche echo wzniewało lekki chłód w sercu i mrowiące wzdłuż krzyża uczucie, jakby się dobijał do wieka zasklepionego nad trupem grobowca.

Złudzenie to było chwilami tak silne, że go strach chwycił za włosy i lepiły się w mózgu przeraźliwe obrazy w męce pochowanego tam życia, przesuwwały się przed oczyma fantastyczne widma krwawych tajemnic Starych kazamat.

I czasem potem rozsypywała się w proch dźwignięta pracą ducha twierdza męstwa, pobielając twarzą rzucał się w poduszkę i płakał zalewającymi pamięć łzami, gorzkim, zachłystującym się z trwogi, żalu i pokrzywdzenia szlochaniem zamkniętego w ciemnym pokoju dziecka.

Łez tych wstydział się i lękał.

Znał bowiem przykłady, jak w takich łkaniach rozpręgała się na nic, miękła na mokrą szmatę niejedna dzielna dusza, jak z momentów zachwiania się tworzyły się gruzy, nieszczęśliwie i często występne ruiny męźnych na wolności ludzi. Czuł instynktownie, że stokroć łatwiej jest zaglądnąć śmiało w oczy żywego niebezpieczeństwa, niż w próżne umarłe nic; a bardzo blizkiem nicości stało się w tych czasach jego życie. Nachodziły nań długie godziny, szeregi dni kompletnej apatii, całkowitego zleniwienia wszystkich

władz duszy — jakby zaspania się na jawie, w którym realne przedmioty przybierały kształt dziwnych widziadeł, a rzadkie myśli wpełzały ze zdrętwiałego mózgu w postaci błędnych mar, włóczących się bez sensu i celu.

Czasami znów budził się gwałtownie i wszystko w nim się zrywało, jak wypłoszone obcą siłą z gniazd ptactwo. Zaczynał biegać gorączkowo od ściany do ściany, z wichrem w głowie, z nawałnicą wzruszeń i wrażeń.

Zdawało mu się, że pisać będzie, że napada go dawno niezaznany trans twórczego natchnienia.

Pomysły, tematy, obrazy, postacie, kształty, Całe dialogi, dramatyczne konflikty, płomienne, erotyczne sceny wypychały mu czaszkę po brzegi, wydobywały się na zewnątrz, napelniały mozaiką barw, chaosem głosów, tłumem osób za ciasną na przyjęcie tyłu gości celę. I wszystko się kłębiło, spletało, przewalało w polu jego widzenia i w końcu stłaczało w bezkształtną masę, zbijało w miążgę rozkładającej się w oczach czarnej materji.

Wreszcie znikało, i w głowie pozostawał jakby czad spalenizny, para mgły i swąd gęstego dymu.

Wygryźli mu tym wapnem talent — szeptał zeszlęmi wargami do biednych ścian.

— Oskubali żywcem z piór — mrucał z wściekłością i mściwa nienawiść rozjątrzała mu serce.

— Wytrawiam się z wrażliwości uczuć, to może i dobrze — rozmyślał — wyjdę twardy i goły, jak kamień, jak osełka, wyostrzę się tu jak brzytwa...

— „Ferfał” ślamazarny sentymentalizm i tym podobne humanitarne „dyrdymałki”... będę golił bez pardonu i kwita!...

Ale tego rodzaju pociechy nie przynosiły ulgi — nie goiły, lecz rozdrażniały duszę, niby synapizmy, kładzione na rany; jednym zyskiem była hartująca się w tym ogniu moc protestu, wzrastanie wytrzymałości na wszelkiego rodzaju szturm śledztwa, które odpierane zacięciem milczeniem, stawały się coraz radsze, a od kwartału ustały zupełnie.

Zaczęły się miesiące absolutnego spokoju, jakby zupełnego zapomnienia o jego egzystencji. Zjawienie się milczących, sztywnych postaci z posiłkiem, o ściśle regulaminem oznaczonych godzinach, pewne automatyczne obrządki więzienia nie mąciły, ale raczej zdawały się potęgować monotonię i ciszę.

Czas zwolna zanikał, ograniczało się poczucie przestrzeni, a gdy słoty marcowe zawlokły jedyną przerzoczystą szybę w matowych oknach, Janusz, rzecz można, zwinął na pewien czas warsztat życia. Urządził sobie lokaut i sfrejkował.

— Niema mnie — zdecydował i przestał być.

Wylegiwał się godzinami na łóżku, — zjadał machinalnie, co mu dano, w dzień wpatrywał się w płamę kopcia na suficie, a wieczorem w płomyk lampki, aż, zahypnotyzowany nikłem światelkiem, nieznacznie zasypiał.

Czasem tylko przewinęła się wątła jakaś myśl, z Obu końców urwana, bez premisy i konsekwencji, mignęło nie budzące wzruszeń wspomnienie, przepłynął pod powiekami mętny powidok, nastąpiła jakaś drobna przemiana w nastroju uczuć — chybniecie się serca tak słabe, jak drgnięcie skrzydeł motyla.

Pauza ta ciągnęła się dość długo — aż któregoś ranka założył protest przeciw tej letargicznej beczynności żywy promień słońca.

Janusz śledził przez obwisłe rzęsy przeszywającą na ukos celę złotą strzałę, która to się rozwidlała w oczach w wiązkę rozszczepionych promieni, to, znów ściągała w drgającą strunę, otoczoną wibrującymi centkami jasności i żółtawym pyłem.

Pogoda — pomyślał, ubrał się bardziej ochoczo niż zwykle, by wychylić się przez lufcik. Słonecznie jaśniało przejrzystym błękitem pociągnięte niebo, darń fortu lśniła aksamitną zielenią. Dalekie czuby drzew stały jakby otoczone świetlistym obłokiem — poznał brzozy, poszywające się młodem listowiem.

— Wiosna — wyszeptał — znowu wiosna!... — i zamyślił się o tej ostatniej, spędzonej na wolności która miała dlań szczególne znaczenie.

Krwawe zapasy na dalekim Wschodzie, których przebieg śledził z zapartym oddechem, powszechne podniecenie i jakby głuche drganie gotującej się do wstrząśnienia ziemi — przekształciły go tamtej wiosny szybko i gruntownie. Grzęznący zwolna w apatii, wciągający się w gnuśne życie prowincjonalnego zakątka, młody wykolejeniec ocknął się odrazu. Te iskry, które błysnęły w oczach, gdy wyczytał pierwszy telegram

O nocnym ataku na pancerniki przebiegłych wyspiarzy, nie zagasły w ciemno-orzechowych źrenicach, ale jakby się utrwały na stałe w postaci jasnego płomienia; niezwykle uczucia, których wówczas doznał, osiadły w jego duszy i bytowały ciągle, niby sploty mocno naciągniętej sprężyny. Obecność ich sprawiała wrażenie nabrzmiewającej tęgości, ustawicznego napięcia wszystkich władz duszy, wewnętrznego rozmachu, nagłego spotęgowania żywiołowych sił, w których kielkujący w nim talent rozkwitu, nabrał wysokiego polotu.

Dawno zamarzona powieść, majacząca przedtem w mętnej mgłę, widziane jak przez muślin postacie

I obrazy nabrały nagle żywych barw i wyrazu. Całość skryształizowała się w spoistą, przejrzystą, artystyczną koncepcję i, niby wirem porwany, znalazł się w toku sytuacji wrażeń i wzruszeń, któremu nastrój i ton nadawało przyspieszone bicie jego serca. Senny nią w dzień, gdy nastawała noc, w obłokach papieroso

wego dymu, zapamiętawszy się w sobie na amen, z wypiekami na twarzy, z gorączką w skroniach, niby nagłony obcą siłą do pośpiechu, nie mogąc nadażyć za impetem rwących uczuć i myśli, urywkami słów pisał i pisał, doznając tego podniosłego wezbrania duszy, jakie daje poczucie twórczej mocy i pełna tajemniczych, bezimiennych wzruszeń godzina natchnienia.

Czuł, jak z jakichś niewiadomych dziedzin wyobraźni, z tajemnych skrytek intuicyjnych spostrzeżeń, z nieznanых źródeł wrodzonej mądrości wyłania się wszystko samorzutnie, jakby za podszeptem bujającego nad głową anioła o szeroko rozpiętych, tęczowych skrzydłach, o zaopatrzonych w nieskończoność marzących oczach i smutnem obliczu, podobnem do prześlicznych rysów rozteśknionej miłością cudownej dziewczyny. Doświadczał radości oskrzydlenia, subtelnych drgań głębokiej tęsknoty i jakby zamierania serca z żalosej rozkoszy.

Takim go zastawał n. craz biały świt i, zbudzony świegotem ptaków, błędnymi oczyma, nie rozróżniając dokładnie przedmiotów, rozglądał się po sinym od papierosowego dymu, niskim pokoju, który mu się wy' dawał wówczas czarodziejską grota.

Poznawał, gdzie jest, rozumiał że lampa gaśnie, odrzucał w tył wichry ciemno-blond włosów i wychodził na ganek. Roztaczający się stąd szeroki pejzaż wydawał mu się nieraz w pierwszej chwili jakby dalszym ciągiem poetyckiego widzenia, nie realną rzeczywistością, ale wizją imaginacji.

Drżąc ze wzruszenia, patrzył w czarowne mister jum wydzierającej się na świat bujnej wiosny.

Wzgórza, wąwozy wybuchały świeżymi pędami młodą zielenią rozrośniętych gęsto krzaków. Nad nimi, jak wytryski światła, wznosiły się biało-pienne brzozy, pyszniły się rozpęknięciem świeżych, drobnych liści rosochate lipy, jaśniały złote klony, szumiały pod

niebem korony dębów, nad ziemią szemrały srebrem podbite poszycia wierzby.

Po pochyłościach, jak korowody ślubnych dziewczyc, śnieżną mgłą owiane schodziły orszaki tarniny ku kasztanowi, ustroi onemu w białe kity, niby lamp jony.

Gdzieniedzie czerwieniły się pnie i szyszki drzew iglastych, pikiety wystrzelonych wysoko sosen tęgiego boru.

Świeża trawa dyszała rosą i zapachem ukrytych fijołków, które rosły obficie na stokach wzgórz.

W rozwartej dolinie rozsiane domki, ustawione w szeregi sadyby z tej odległości sprawiały wrażenie zabudowań schludnych i powabnych. Około nich i jeszcze niżej ciągnęły się sady tak rozkwiecione, że zda* wało się, że to nie drzewa, lecz budujące w powietrzu roje biało-niebieskich motyli.

Wysadzona sokorami szosa błyszcząca jak blichotne płótno — wzdłuż niej płynęła majestatycznie szeroko rozlana Wisła.

Na wolnej pustoszy chodziły błyski czasem tak ostre, jak wynoszone z głębi fali obosieczne miecze, to znów łagodne, jak połysk dojrzałego lnu lub oka oliwy.

Za nią leżały rozdalone płaszczyzny korzających się niskim oparem łęgów, role pól idącego w kłos żyta ;na krańcach majaczyły sine frendzle lasów, coraz mniej wyraźne,, stapiające się z linią odległego horyzontu.

Powietrze było upajające, jasne i przezrocze; niebo modre, wysokie i uśmiechnięte, jak promienne oczy młodości.

Dzwoniły w nim radośnie skowronki, ściagały się zygzaki jaskółek, wieszały się klucze ciągnącego na łąki ptactwa.

w zenicie szybował, jak żagiel szeroko rozpięty, perłowy obłok, bliżej widnokręgu marszczył się inny,

drobno sfałdowany, podobny do stada tulących się ku sobie baranków; ruń ich oświecała szybko podnosząca się płomiennie-różowa tarcza słońca.

Janusz patrzył zachwyconymi oczyma i jakby tulił w ramiona ten widok z wiarą i ufnością, że tak piękna ziemia musi się stać siedliskiem szczęścia.

Burzyło mu się serce na myśl o tem, że jest inaczej, wprost przeciwnie, i zamiast hańbę jej zniszczyć, z upadku podźwignąć, stawał się nie przekonaniem już, nie formułą programu, ale namiętną żądzą.

To też skoro skończył absorbującą go powieść nim przebrzmiał uzyskany nią rozgłos, przekonany, że czas uderzyć w strunę drugą, „w czynów stal", z całym entuzjazmem rozognionego ducha wyruszył zdobywać to szczęście.

I oto naraz, na widok mizernego skrawka budzącej się ziemi, zadrgały w nim nagle wspomnienia szczytnych wzruszeń, których doznał w ciągu dwu lat pełnego, natężonego na niepowszednią miarę życia.

Szarpnęła go tęsknota odzyskania dawnego impetu uczuć, zamarzyły się bezkreśne obszary, wzdęły się piersi pragnieniem lotu i, zbuntowany do głębi, począł krążyć po celi.

Chodził szybko z kąta w kąt, wymachując rękami, z podaną naprzód głową, jakby miał zamiar mur czołem rozwalić.

Ruch stawał się dlań fizyczną, niepohamowaną potrzebą. Coś go jakby gnało, porywało; każdy nerw, każda tętnica zdawała się nie znosić spoczynku. Kuły jak młoty wszystkie pulsły coraz prędzej, coraz prędzej, jakby podzęgając do pośpiechu. •

Tłukł się jak rozkiwane wahadło od ściany do ściany, usiłując napróżno gorączkową gestykulacją nadążyć za szybkimi obrotami myśli, które wirowały w głowie, jak wezbranym prądem wody rozpedzony młyn. Żył mu wystąpiły na skroniach, nabrzmiały

muskuły — podniosły w nim się jakieś dzikie chęci; połamać meble, zrobić niesłychaną awanturę, pobić do krwi strażnika. Rozdęły się nozdrza, w oczach zamigotały czerwone plamy.

I gdy był już bliski szału, poczuł, że opada napięcie energii, rozkołysane serce się uśmierza, wzburzona krew wraca w normalne łożyska.

Zaczął chodzić wolniej, regularnym, więziennym krokiem. Usłyszał wreszcie miarowy łoskot własnych stóp, z którym jęły się płatać jak gdyby echa cudzego stąpania. Przyjął to z początku za zwykłe słuchowe złudzenia, których nieraz doświadczał, ale ten obcy takt zaczął chodzeniu wprost przeszkadzać, jakby wpadał pod nogi.

Przystanął i chyneło mu się serce zalęknione nie- spodzianem wzruszeniem: w przyległej celi za ścianą szemrały płynne, delikatne stąpania tam i napowrót, bez przerwy; wysubtelnione jego ucho rozróżniało krótkie przystanki na skrętach i potem drobne, lekkie kroki do przeciwległej ściany i znów szurgnięcie stóp, by zmienić kierunek.

Z charakteru chodu poznawał, że sąsiad jego nie przywykł jeszcze do spacerów w ciasnej przestrzeni lub nie oswoił się dostatecznie z rozmiarami swego numeru, nieraz bowiem zapędzał się nadto i musiał się wstrzymywać w półfroku, by zawrócić. Zbliżał się zastukać, ale w tej chwili wniesiono wrzątek na herbatę.

— Kogo przywieźli? — spytał.

—> Przywieźli, „kawo nado” — zabrzmiała odpo-' wiedź.

Aha! więc przywieźli — pomyślał Janusz i zabrał się do rannego posiłku, pozorną obojętnością maskując silne podniecenie. Gdy strażnik się oddalił, wytężył słuch. Za ścianą rozległo się brzęczenie naczyń, za- biegliwe krzątanie się koło śniadania.

Jakiś porządnicki — pomyślał, a gdy uspokoiła się ranna latanina po korytarzu, zapukał, — Kto?

W odpowiedzi odezwało się żywe, drobne kołatanie, sprawiające wrażenie wystukiwania gam.

Nie rozumiejąc, co to ma znaczyć, Janusz wolno, dobitnie powtórzył zapytanie. Ściana odpowiedziała w ten sam sposób. Z miarowości pukania, z krótkich lecz nie częstych przerw, Janusz domyślił się, że sąsiad nie zna właściwego alfabetu, ale używa jakiegoś ..nieznanego mu, prawdopodobnie własnego pomysłu sposobu. Mozolił się, by odkryć klucz, wreszcie po wyczerpaniu rozmaitych kombinacji, gdy przyszło mu na myśl liczenie liter w kolejnym porządku, odcyfrował: n-i-e r-o-z-u-m-i-e-m. Uradowany, tym samym systemem począł objaśniać, na czym polega uproszczony więzienny alfabet.

— Opuszczając ę, ą, ł i jotę — dodać iks i resztę rozstawić w poziomych szeregach po pięć w każdym, wyrzyj szpilką litery na tynku — przerwał, przyłożył ucho do ściany i wsłuchiwał się w delikatne skrobanie:

a b c d e f g h i k l m n o p r s t u v x y z

Gdy tabliczka była gotowa, zastukał:

— Dobrze! Pierwsze takty oznaczają szereg, a następne po przerwie kolej litery w szeregu—rozumiesz?

Wolno, z pewnemi momentami wahania się, rozległo się:

—, T_ok,

W tej samej chwili Janusz poczuł oczy utkwione W otworze judasza, następnie zgrzytnął rygiel i w są-

sieciniej celi "rozległy się głucho gburowate słowa napomnienia.

Cela zacichła.

Janusz tymczasem pogwizdywał tryumfalnie.

—Najważniejsze zostało dokonane, reszta fur- da — myślał. — Jak dobrze słyhać, ściana cienka, jak przepierzenie, może się uda z czasem wybić telefon... Prowok? — nie! znalazłby niechybnie alfabet.

—Jakiś nowicjusz, zastraszone, muszę go uspokoić — i począł stukać.

—Nie bój się, strachy na lachy! pukaj śmiało nazwisko.

—K-l-a-r-a S-l-o-t-w-i-ń-s-k-a.

Głoska po głosce wyłaniała się z muru wzruszająca wiadomość, że sąsiadem jes/t kobieta.

Januszowi osunęła się bezwładnie gotowa do następnych zapytań ręka, serce zakołatało w takt jej uderzeń i zlekka zamarło, gdy urwała.

—Jaki lekki chód? musi być młoda — mignęła uwaga i zasłuchał się całkowicie w płynnych jej krokach, które sprawiały wrażenie rozlewnej, harmonijnie kołyszącej się fali.

Ogarnęła go daleka zaduma, senny półsmutek i cichy żal nad nieustannym ruchem drobnych tych stóp w ciasnym zamknięciu.

Wydawało mu się, że rozróżnia szelest jej sukien, objających się boleśnie o węgły muru, jak skrzydła kaleczącego się w klatce ptaka.

Kobiety były wogóle rzadkością w tem więzieniu, gdzie osadzano podejrzanych o ciężkie polityczne przestępstwa.

Janusz, który znał dobrze ludzi i stosunki, gubił się w domysłach, kto to być może? — nie Stefa, nie Ola, ani Halina — szczupły zastęp doświadczonych niewiast, które były już świadome wszystkich tajemnic więzienia, wiedziały, gdzie pod którym numerem kto siedzi, i postawiłyby się hardo gburowatemu dozorczy, a nie milczały potulnie.

Imię i ładnie brzmiące nazwisko mogło być zmyślone i nie objaśniało nic.

—Skąd? — zdecydował się po dłuższej przerwie.

Wymieniła prowincjonalny zakątek.

—Dawno tu?

—Od wczoraj, dwa miesiące w ratuszu.

—O co?

—O należenie do... i współudział.

—A więc towarzyszka? — i, ujęty uczuciem szczerzej sympatji wystukał swe nazwisko i pseudonim

Po pewnej pauzie mur jakby zadygotał ciekawie i żywo.-

—Więc# to pan?

—Pani mnie zna?

—Z czytania i słyszenia.

—Proszę zażądać książek z miejscowej bibliote- ki, spacerów... Z restauracji obiady, wszystko, co jest potrzebne, o ile pani ma monetę, brać można. Radę dam w każdej sytuacji, siedzę tu siedemnasty miesiąc, ósmy bez sąsiedztwa... dla tego tak zanudzam — i, z-pominając, że przy braku wprawy tego rodzaju porozumiewanie męczy i wyczerpuje, stukał i stukał.

—Dobrze! — rozległo się, gdy przerwał, poczem w jej celi zapanował długotrwały spokój.

O zmierzchu zapytała:

—Czy dają światło?

—Zostawiają na całą noc, wolno gasić — odparł.

Znowu zrobiło się cicho i dopiero wieczorem usłyszał pluskanie wody, zrzucanie trzewików, szykowanie się na noc.

Postanowił pójść za jej przykładem i, gdy był już w łóżku, zastukał dyskretnie:

—Dobranoc!

—Dobranoc! — odpowiedziało mu tuż nad głową.

Poznał, że stuka w pozycji leżącej i że jej posłanie jest tuż obok za ścianą.

— Dobranoc, Jasna! — tłumacząc jej imię, szepnął w mur i, patrząc w ciemności kamery, myślał, że jej nazwisko przypomina słodycz i wino, że musi to być jakaś mocno sympatyczna dziewczyna o delikatnej i smukłej, sądząc z chodu, postaci. Przypominał sobie, niby melodię, rytmiczne takty jej stąpania i z subtelnym uczuciem wewnętrznego ukołysania począł zasypiać.

Skoro Klara nabrała wprawy w pukaniu, porozumiewanie się przez ścianę odbywało się łatwo i dorównywało szybkością tokowi zwyczajnej mowy.

Ściana szczebiotała prędko niby aparat telegraficzny. Nie brakło też różnych sposobów skróceń; nieraz jedna sylaba wystarczała za słowo, a początkowy wyraz za zdanie.

Klara ustępowała w sprawności Januszowi, który posługiwał się więziennym językiem z doskonałością mechanizmu, ale posiadała zato jakiś dziwny talent nadawania głuchym kołataniom pewnej intonacji. Mur pod jej palcami jakby nabierał zdolności brzmienia, przez co jej stukanie grało chwilami jak dźwięczne słowo, osiągało modulację, przypominającą akcenty żywego głosu. Dotykany jej ręką kamień zdawał się ożywiać, przejmować wibracjami wzruszeń.

Janusz podziwiał ten, jak go nazywał, sekretny dar sąsiadki, nieoceniony dlań skarb, przez który otrzymywał wrażenie prawdziwej ustnej rozmowy, co po długim osamotnieniu stawało się źródłem wysokiej rozkoszy.

Nabożeństwo, jakie Klara żywiła dla głośnego w literaturze nazwiska Janusza, spotęgowane ujawnieniem pseudonimu wysokiej rangi, utrudniało początkowo stosunek.

Dziewczyna czuła się skrępowaną, a nawet nieco strwożoną blizką obecnością tak znakomitego w jej mniemaniu człowieka; nie śmiała go niepokoić i doznawała silnego zażenowania, gdy wypadało odpowiadać na jego pytania. To też na razie rozmowa krążyła wyłącznie około sprawy.

Janusz pouczał, jak się zachowywać na śledztwie, poddawał świetne pomysły wywikłania się z ciężkiej sytuacji i wreszcie tak doskonale rzecz całą ułożył, że perspektywa wykręcenia się sianem stawała się zupełnie prawdopodobną.

Zmuszona siłą rzeczy do szczerych wyznań w tej dziedzinie, Klara szybko się oswajała z osobą sąsiada, wchodząc z nim w coraz swobodniejszy, zażywszy, wreszcie pełen serdecznej ufności stosunek.

Współdziałał temu znakomicie prosty, sympatyczny sposób bycia Janusza, wesoły, żartobliwy ton, który, z obudzoną nagle pod wpływem bliskości uroczej osóbki radością życia, stał się jego stałym nastrojem. Nazywał ją od imienia „Jasną”, gdy zaś dowiedział się, że rodziców nie ma, a z krewnymi zerwała, nadał jej przydomek „Sierotki”.

— Jak Sierotka spała?—pytał ją zwykle na dzień dobry.

— A co się śniło? — pewnie coś jasnego.

— Dla czego jasnego?

— Bo w jasnowłosej główce.

— Skąd pan wie?

— Domyślam się: Jasna nie może być czarna.

— Właśnie, że jak smoła...

— Sosnowa, złota żywica, śliczna niby bursztyn...

— A pan jak noc spędził? — starała się zmienić kierunek rozmowy.

— Szczęśliwie! Choć położyłem się o świcie.

«— Bezszenność?

— Nie, coś lepszego, co nawiedza mnie z celi są-

siadł: natchnienie... A ja myślałem, że już wyschły mi doszczętnie piersi, że mnie na zawsze porzucił tęczy anioł mój, tymczasem, jak gdyby za sprawą Sierotki, powrócił czarodziej i nawiewa marzenia melodyjnym ruchem swych piór...

Staje przy mnie jasny — Jasna!

— Słowa rytmiczne, jak twe kroki, kołaczą w głowie, skrzydli się dusza, w sercu nabrzmiewa świeżych kwiatów pąk... Błękitne oczy ma ten mój anioł, oczy głębokie, oczy przejrzyste... w puszystych rżesach topi je, gdy śpi, a gdy się budzi, to jakby z perłowego obłoku lazur się wychylał... czy tak?

— Skądże ja mam wiedzieć! — drżącą ręką wystukiwała jakoś zająkliwie i prosząco, jakby pragnęła powstrzymać jego uniesienia.

Ale Janusza tego rodzaju wybuchy napadały coraz częściej, rozmowa jego stawała się nieraz jak gdyby dalszym ciągiem opanowujących go aktów twórczości, w słowach drgały coraz silniej romantyczne akcenty, pełne poetycznego polotu i nagłych zwrotów od ogólnego tematu ku jej osobie. Świadomość, że go słucha młoda dziewczyna, wprawiała go w szczególny, porywający serce nastrój. Poczucie, że jest za ścianą stale obecna, zaczęło bytować w nim ciągle, "nie opuszczać nawet we śnie, gdyż z myślą o tem zasypiał i z myślą o tem się budził.

Każdy jej ruch przynosił trwożną wiadomość, że istnieje, słodką radość, że jest tak blizką, i bezsensowną nadzieję zdobycia władzy widzenia skroś mur.

Często, jakby pragnąc roztworzyć cegły oczyma, wpatrywał się długo wyteżoną źrenicą w tynek i istotnie osiągał wreszcie jakoby wizję rozwiewnych niewieścich kształtów, wibrujących jak lotny cień na ścianie.

Zbliżał się z wyciągniętymi rękami, jakby miał ją wydobyć całkowicie, niby posąg z kamienia, ale naraz wszystko nikło i spostrzegał jedynie plamy wilgoci

^ i cętki, które poznał wkrótce tak dokładnie, że nie były już w stanie łudzić wzroku.

Tymczasem chęć przekonania się, czy powierzchowność jej odpowiada widzeniom rozbudzonej wyobra- | żni, urastała do rozmiarów tęsknoty. h \ Pytać otwarcie było niezręcznie, subtelnych na- , \pomknień zdawała się nie rozumieć, a słuchów? wra- ' lenia, jakkolwiek obficie dostarczane skutkiem cien- h, kości ściany, dawały niewiele materiału pod tym ^ względem, nie zaspokajały, a jedynie rozdrażniały I w namiętność pragnienie ujrzenia. Janusz łowił uchem najlżejsze poruszenia jej cia- ■ la, trzask opuszczanego posłania, miękkie stąpanie bo- H sych stóp, rozmaite szmery tualety, pluskanie się w wodzie, trzepanie ubrania, szelest sukni. Przed wydelika- i conym jego słuchem przesuwiał się jakoby cały tok jej dnia.

Chciwie zbierał uchem rozmaite drobne szczegóły, mogące świadczyć o jej wyglądzie, by odziać ciałem l nieźle już poznaną, bardzo blizką sobie, silnie wzru- ' szającą go duszę. Wiedział, że jest młoda, ma dwadzieścia lat. Kiedyś na zapytanie, co robi? odsttikała:

— Koafiurę.

A jaką? Może secesja, albo wysoką?..

— Zwyczajne warkocze, na wymyślne uczesanie za małe mam lusterko.

• — Chciałbym w nie spojrzeć teraz...

— Nic ciekawego.

— Jak dla kogo — i wydobył zegarek, by wie- | dzieć, jak długo splata warkocze.

— Bujne!... — wyszeptał, słysząc, jak wstaje, ^ i wydało mu się, że go otacza luna złotych włosów, a od | jej stąpań jak biała mgła zaczyna się chwiać ściana.

Nieraz w nocy budziło go pragnienie wyczuć w ciszy miarę oddechu kołyszących się tuż za ścianą piersi,

Ida dUcm — 4

ale słyszał tylko przyspieszony rytm własnego serca./ szum pulsującej w tętnicach krwi.

— Śpi lżej, niż dziecko — szeptał z rozrzewnieniem, i chciało mu się weśnić w jej sen, poznać najgłębsze tajniki jej bezimiennych wzruszeń, zajrzeć w przejrzystą uśpianą jej toń i myślał, że musi być łagodnie błękitna, zagarniająca, bezdenna, cudownych przemian i kolorów pełna, ciepłymi źródłami bijąca, rozdrzana falami rozlewnej rozkoszy.

Przypomniało mu się Switezi jezioro, nad którei błakał się dzieckiem i uczył się tęsknić i marzyć.

Nieraz stukał delikatnie: kocham! i nadsluchiwał, czy nie zmaćiło jej snu to słowo, a gdy się czasem poruszyła żywiej, jakby wzruszeniem ocknięta, słaby mu ręce i mdłością zawlekało się serce.

Kiedyś mu wystukała, że go widziała przez otwór judasza, gdy mijał korytarz.

— Jaka pani... szczęśliwa — zaczął odpowiadać i, poniafkowawszy, że byłby palnął kapitalne głupstwo — samemu sobie komplement,- zeskamotował ostatni wyraz

— Jaka jaka?

A on korzystając, że drażliwe pytanie stanęło niechęć, dodał żartobliwie:

— Jaka? — to znaczy proszę o rysopis.

— Kiedy paszport wzięto!

— Ale zostawiono lusterko!

— Malutkie!...

— Może być minjatura, byle wierna, odpowiednio powiększyć potrafię.

— Mówiłam: czarna jak smoła, a do tego gruba, pękata, oczy jak szparki, nos jak kartofel, strączki włosów...

— Kto panią nauczył tak kłamać — niewolno...

— A kto dawał lekcje fałszywych zeznań...

To nie jest śledztwo, lecz dążenie do równo*
sa

^uprawnienia... Pani mnie widziała, ja nie i nie zoba- lczę, bo moja cela z brzegu, chcę choć za pomocą opisu (wyrównać sytuację... Przytem wszelkie kłamstwo, jak nauczałem, powinno mieć wszeikie pozory wiarogodności, nie wpadać w sprzeczność. Tymczasem — primo: warkocze plotło się, jakem sprawdził,obiektywnie, cały kwadrans; stąpa się lekko; stukanie, które wypada ranej więcej na wysokości piersi, świadczy o słusznym Wzroście. Oto są moje dane, ściśle jak matematyka, a wnioski: smukła, o długich warkoczach osoba; następnie coś przecie warta moja intuicja poetycka, która ułożyła na intencję sąsiadki następujące rymy: Niedarroo jasność i słodycz i wino Z imieniem twojem splotły się dziewczyno! Wiem, żeś upojna i jasna i słodka, I serce moje potna cię, gdy spotka...

— Miła Sierotko, czyż jest w mem pragnieniu coś złego? Czyż nie jest ono zupełnie naturalne? Aby ułatwić sprawę, ja będę mówić, a ściana niech milczeniem potwierdza, a stukaniem zaprzecza.

— Blondynka, błękitne duże oczy, długie rzęsy...

Ściana milczała.

> — Małe usta!

Zaprzeczyła krótkim uderzeniem.

— Aie kształtne — ciągnął dalej Janusz — drobne różowe rączki, puszyste złote włosy, tak zwanych szczególnych znaków żadnych, o ile nie jest w nim naturalny wdzięk.

Ściana milczała.

— Uroki postaci omijam, przyrzekam nie dotykać więcej tego najpiękniejszego tematu i proszę o przebaczenie.

Nie odpowiedziała nic.

— No, przebaczyć! mozem niewłaściwie postąpił,

ale doprawdy półtora roku me widziałem żadnego/ blizkiego człowieka. Wizerunek Jasnej, zawieszony w mojej wyobraźni, wygoi zbolełe oczy od widoku sa mych mundurów, będę miał na czem zatrzymać wzrok, zmordowany monotonią nienawistnych ścian — prócz jednej, wspólnej, tak dla mnie łaskawej, że chciałbym ją wymieść z sobą jako serdeczną pamiątkę, nim się spotkamy. A spotkamy się napewno... Sierotka wyjdzie prawdopodobnie niedługo... za parę lat i ja się# znajdę, odszukamy się, zgoda?

— Zgoda 1 — odpowiedziało wzruszone kołatanie.

To porozumienie w sprawie, mocno poruszającej Janusza, wywarło silny wpływ na dalszy rozwój jego uczuć.

Idąca z ducha skłonność ku niej zaczęła nasiąkać krwią, przyoblekać się w ciało. Marzona jedynie przedtem, postać jej jęła nabiegać plastycznych, jasno widomych kształtów i wizerunek, urobiony wyobraźnią z poznanych pierwiastków, nie będąc api portretem, ani tem mniej fotograf ją, posiadał pewne pokrewieństwo z osobą sąsiadki.

Jego Klara przypominała rzeczywistą Klarę w'typie, nosiła charakterystyczne cechy, jej gatunkowi urody właściwe.

I typ ten indywidualizował się w oczach Janusza na modłę owego niewieściego prawzoru, który jest jakoby przez naturę włożony w najgłębsze elementarne nasze instynkty, staje się dopełnieniem rodzaju, powoduje owe rażące różnice w gustach, określa kierunek popędów i żywiłowo zbliża płcie nie na zasadzie wyboru, lecz doboru.

W danym wypadku Janusz niby rzeźbiarz z kamienia wydobywał z muru podobiznę tej swej jedynej, mógł więc kształtować dowolnie jej rysy,,stonować do swych najbardziej istotnych upodobań, przez co stawała mu się jak chciał śliczną, szczególnie po- nęfną, jakby z jego miłosnych rozręsknień subtelnie zdjętą dziewiczych wdzięków formą, doskonale do ser- jCa pasującą.

Praca ta dokonywała się w nim stopniowo, zgodnie ze zwyczajnym trybem dostarczonych przez wzrok wrażeń.

Początkowo obnażały mu się jedynie twarz i ręce, uwydatniały ogólne lin je postaci. Reszta jej piękna, utopiona zwykle w fałdach sukien, ledwie mu się śniła, jakoby cudowne istnienie kryjąca się dyskretnie w powiciach przecucia. ;

W tych wysiłkach wywoływania obrazu jej postaci przyjmowały udział nietyiko zmysłowe instynkty, ale i artystyczne popędy, przez co wzruszenia jego nabierały cech jakby ustawicznie trwającego aktu tworzenia.

Klara stawała się dlań jednocześnie utworem i podniętą twórczości, rozwijającym się w nieskończoność tematem, a zarazem ogniskiem poetycznego natchnienia.

Jedynie zasadnicze rysy jej marzonego oblicza zdołały się ustalić w wyobraźni —poza tem rozciągała się płynna dziedzina różnorodnych możliwości, liie- wyczerpane bogactwo odmian.

I dzięki tej właściwości twarz jej nie przedstawiała mu się nigdy obojętną, mieniła się wciąż rozmaicie, zdumiewała swą niesłychaną wrażliwością, zachwycała czarem wieczystych przeobrażeń, urokiem nieustannej gry wzruszeń, dziwnym darem ciągłych odnowień, tajemniczą zdolnością najsubtelniejszych przemienień, szczególnym talentem przystosowywania się do nastrojów jego uczuć, niepojętą sztuką ujawniania w wyrazie rysów najlżejszych chybnąć serca/

— Wiecznieś ta sama, a nigdy taka sama — stukał do niej — zdaje mi się chwilami, że nie ty oddychasz za ścianą, ale morze, które nigdy fali nie powta

rza, choć się kołysze od wieków; że oczy twe są jak oj błękit nieba, po którym ciągną wciąż inne obłoki, nai ustach twych rozwijają się pąki co moment w świeży kwiat...

A ona, która pomimo próśb nie odważyła mu się mówić „ty”, kołatała nieśmiało i jakby ze smutkiem:

—Zdaje mi się, że Janusz poemat pisze...

—Nie, tylko szczerze wyrażam to, co z celi Jasnej bije, a że ogarnia mnie nastrój romantyczny, nie moja wina, ale Sierotki zasługa. Sierotka wie dobrze, ale jest skąpa na słowa jak nasz strażnik, muszę na-kuć się, jak dzięcioł, by zdobyć jej odpowiedź, która jest zawsze wymijająca, bofjażliwa — czemu?

—Lękam się.

—Czego?

Nastąpiła dłuższa pauza, a potem zakołatała trwożliwie:

—Siebie.

—Co to ma znaczyć? — próbował zastanowić się Janusz, ale raptem przypomniał sobie, że miał ją za-? wiadomić ją o ważnym odkryciu.

—A wie Jasna, że koło pieca przy podłodze cegły z lekka się rozchodzą, mam zamiar wybić tam otwór. O ile uda się go dostatecznie rozszerzyć, zdobędziemy telefon, przez który będzie można gawędzić żywym głosem; jeśli wypadnie poprzestać na szczelinie, urządzimy sobie pocztę, wymowniejszą niż ten nasz telegraf.

—Ależ to znakomiaie! — rozległo się radośnie.

—Chodzi o narzędzia; mam upatrzony gwóźdź, który niełatwo dostać.

—Czy ta robota długo potrwa?

—O ile Sierotka z drugiej strony pomoże, wystarczy, myślę, tydzień, trzeba bowiem działać ostrożnie i cicho, by nie spostrzegli, zalepić dłubanie białym papierem; gdyby odkryli, rozsadziliby nas napewno, a to byłoby dla mnie prawdziwą katastrofą, bo ty nie wiesz...

Przerwała szybkim, nerwowym kołatanem, jakby go pragnąc zagłuszyć, i odeszła od ściany.

wkrótce upragniony gwóźdź został zdobyty i rozpoczęła się benedyktyńska praca wydłubywania ziarenek skamieniałego cementu, a potem dłubanie w spojenie coraz szczelniej, jak się okazało, dopasowanych cegieł. W dodatku gwóźdź się stępiał, a w miarę zagłębiania się coraz trudniej było manewrować krótkim trzpieniem. Pierwszy cał poszedł stosunkowo dość łatwo, ale dalej, gdy wypadło kruszyć cegłę, szło strasznie opornie. Praca zdawała się nie posuwać wcale naprzód i Januszowi chwilami opadały ręce.

— Idzie jak z kamienia — sygnalizował zniechęcony.

— Mnie nie lepiej, połamałam wszystkie rogowe szpilki, a druciane na nic, szkoda, że nic z tego nie będzie.

— Musi być — zawziął się Janusz, i znowu zaczynało się uciążliwe borowanie milimetr po milimetrze. Przytem gwóźdź giął się i trzeba go było wciąż trzonkiem od szczotki prostować, a gdy odleciała główka, wyslizgiwał się co moment ze zdrętwiałych palców. W dodatku zniknęła silna podnieta, której Janusz doświadczał, słysząc idące na spotkanie skrobanie z jej strony.

— Co Sierotka robi? — zapytywał od czasu do czasu, chcąc wywołać poczucie jej obecności.

— Myślę, jak pomóc! Słyszę, jak Janusz się trzyma i tak mi żal, ale nie mam czem... chyba zębami!

— Szkoda ząbków.

— Zbrzydły mi bezradne ręce...

— Miła — i, tknięty nagle rozkosznym pomysłem, dodał wzruszony — a jednak mogłyby mi się stać wielką osłodą.

'— W jaki sposób?

— Proszę tu, gdzie stukam, położyć dłoń,

— Już.

Janusz pocałował to miejsce.

— A teraz drugą — uczynił to samo i wybębnił — dziękuję!

I odtąd coraz częściej całował w ten sposób jej ręce. doświadczając potężniejących poczuć rozkoszy, jakby w miarę powtarzania pieśczoła stawała się coraz bardziej realną. Jednocześnie jednak wznagało się wrażenie niedosytu, niekompletności i pocałunku.

To wszystko w połączeniu z niecierpliwością i mozolną pracą wprawiało go w jakiś denerwujący stan gorączkowego podniecenia, niepokoju i nagłych zmysłowych rozdrażnień.

Kiedyś, gdy złożyła, jak prosił, dłonie, pochylił się i przycisnął usta do wizji występujących z muru jej piersi tak silnie, że poczuł smak wapna.

Krew mu uderzyła do głowy, podniósł rozjątrzony zaciśnięte pięści, grzmotnął silnie w ścianę, sycząc: przekłeta, i jął się miotać po celi wzburzony do dna.

Gdy ochłonął, przeraził go i czyn i stan własny oraz dziwna martwota, która zapanowała w jej numerze.

— Przepraszam — wybąknął winowa jczo.

— Nie gniewaj się — rozległo się spazmatyczne dygotanie, tak żalosne, jakby mur załkał jej łzami.

— Przepraszam bardzo — powtórzył — proszę

0 rączkę — i ucałował wzruszony^ nic nie wiedząc, że położyła na wskazane miejsce drżące płaczem usta

1 czyniła to potem wielokrotnie, choć twarz jej za każdym razem oblewała się szkarłatnym rumieńcem.

Ostatecznie przewiercenie na wylot ściany stało się Klary zasługą, wpadła bowiem na świetny pomysł użycia stalek od gorsetu. Narzędzie to okazało się tak znakomite, iż wkrótce szpara była gotowa,

Rozmiary jej nie pozwalały wprawdzie na ustną fozmowę, ale listy w postaci wążkich, w kilkoro złożonych pasków można było przesyłać z łatwością.

I z drobnej tej szczeliny, niby z mocno bijącego źródła, poczęły tryskać niewyczerpane potoki miłości.

Korespondencja ich bardzo szybko przybrała postać otwartych zwierzeń, przyczem w jego wyznaniach drgały nuty porywcze, burzliwe, namiętne, w jej — miękkie, stłumione, dyszące tkliwym kochaniem akordy

Telegraf stał się przeważnie już tylko sygnałem wyruszającej poczty. Poczem ze szparki wysuwały się białe zwitki, zamazane jego zamaszystem pismem lub zasypane jej maczkim, i te białe wstążki stawały się iakoby paskami transmisji, wprawiającej w coraz żywszy ruch ich zmysły i serca.

Znikły wszystkie dolegliwości więzienia — zapominali o tem, gdzie są i co ich czeka. Zasłuchali się w sobie, jakoby zagarnięci wichrem, który wiał z celi do celi raz lekki, polotny, jak czyste emanacje ducha, to znów unoszący w niebo egzaltacji, a czasem ciężki, obarczony cielesną tęsknotą, przesycony wrzeniem krwi.

Polubili więzienny mroczny dzień za to, że wyglądał jak zmierzch, usposabiający do dyskretnych zwierzeń, polubili swe osamotnienie i ciszę we dwoje, rozkochiwali się w głuchych nocach, kiedy ich w pół- omdlałe ciała mimowołnie tuliły się ku sobie przez mur i nieraz w uspieniu luba moc rozsuwała ścianę, jak jedwabną kotarę, łączyła usta, kładła piersi na piersi i wplatała ramiona w ramiona.

I potem rano jakże leniwie roztwierały się omglone senne oczy, jak słodko drgało pierwsze dzień dobry. jak śliczne były jego listy, upajające, jak kwiaty, rozkoszne, jak pieśni,

gorące, jak płomienie. Czytała

i nie wiedziała, czy płakać ze szczęścia, czy się wstydzić — więc się płoniła we łzach.

Czuła, że się stała więźniem Janusza i pisała mu o tem otwarciu.

A on potwierdzał, dodając: —i to wiecznym, skutym na całe życie, jak Lelum i Polelum... i ja cię w ramionach poniosę na wonny stos miłości...

W te ich sny, rozkoszy i uniesienia wtargnęła na* gle pracująca poza nimi rzeczywistość.

Janusz otrzymał akt oskarżenia, zarzuty były ciężkie, paragrafy groźne, ale dowodów niewiele.

Bez względu jednak na rezultat sprawy -r skazanie czy uwolnienie —stanęło przed' nimi widmo rozłąki. Na myśl o tem ogarnęła ich gorączkowa pasja wyczekania do dna pozostałych chwil, wypowiedzenia solne jak można najwięcej, wyzyskania każdej sposobności. Przez szparę szły paski za paskami, od pocałunków i słów pieszczoty, niby zdjęta szalem, od świtu do nocy dygotała dzieląca ich ściana.

W wilgę dnia sądu wróciła rozważa. Janusz odesłał jej listy, by nie wpadły w obce ręce. Udawał spokój i wesołość, by usunąć jej obawy, sam jednak nie mógł zasnąć i słyszał, jak słaniającym się krokiem, niby zmęczony śmiertelnie szyldwach, chodziła do rana.

Gdy go wyprowadzono, mijając jej drzwi, schwy-- tał wzrokiem dwie pozbawione powiek źrenice w otworze judasza; gdy wracał, tkwiły tam jeszcze zagasłe Z rozpaczy.

Myślała, że został skazany.

Mylili się: dla braku dowodów sąd go uwolnił, ale zatrzymała administracja. Wkrótce też otrzymał parę lat zesłania.

Gdy opuszczał celę, podszedł do jej drzwi i zastukał mocno „kocham”, próbował zajrzeć z blizką w jej ukazujące się oczy, ale dostrzegł tylko łzy, za

lewające źrenice, i po raz pierwszy usłyszał rozplynie- * ty w żalony jęk jej głos: mój!...

Reszta słów zginęła w szczękę ostróg i pałaszy otaczającej go straży. -

II

Klara mogła wyjść dawno z więzienia za kaucją, ale póki był Janusz, nie chciała za nic ruszać się z miejsca, gdzie dziewiczy pęk jej serca rozchylił się w purpurowy kielich i doznał pierwszych omdlałych przerażeń, idących z otchłani rozkoszy.

Obecnie nie śpieszyła się również, chodziło jej bowiem o ocalenie listów. Szukała długo sposobu, aż wreszcie wpadła na pomysł wciągnąć całą ich korespondencję do zeszytu, w którym prowadziła rodzaj pamiętnika, przyczem w obawie, by i ta najserdeczniejsza tajemnica nie dostała się w ręce wrogom, nadała wszystkiemu postać jakoby zmyślonej opowieści.

Póki ta praca trwała, doznawała wrażenia, że jeszcze obcuje Z Januszem, i to łagodziło dotkliwy smutek rozłąki.

Gdy skończyła, nie było racji zwlekać.

Przed opuszczeniem celi spaliła oryginały listów, odłupała na pamiątkę kawałek tynku z tego miejsca, gdzie się najczęściej spotykali, i, ukrywszy częśćkę ściany i kajet na piersiach, wyniosła na wolność świadectwa więziennej miłości.

Opiekujący się nią krewni wypłacili jej skwapliwie resztę należnego kapitallku i dali do zrozumienia, że mają dość tych kłopotów, że jest pełnoletnia, może więc opuścić dom, którego spokoju nie umiała uszanować.

Sprawiło to jej pewną przykrość, ale jednocześnie zapewniało kompletną swobodę działania.

Niepoprawna — skompromitowała się ponownie i_f

nie czekając tym razem groźnych istotnie konsekwencji za dostarczonym paszportem na imię Aliny Starek wymknęła się za kordon.

Z Galicji napisała do Janusza o wszystkim, ale list zaginał.

Pracowała czas pewien na emigracji, targając coraz mocniej nadwątlone więzieniem i tułaczką zdrowie. Na jakimś rozkrzyczanym wiecu, gdzie po raz pierwszy spotkała się naocznie z ludźmi, łączącymi imię jej ojczyzny — rzuciła się jej krew. Przeleżała czas pewien w Zakopanem, ale surowy klimat nie służył, polecono jej wyjechać na Południe.

Z Włoch napisała do Janusza powtórnie, ale i tego listu nie otrzymał, skutkiem bowiem natłoku zesłańców włączył się jeszcze po rozmaitych turniach i etapach, oczekując swojej kolei. W dodatku z powodu ostrego zatargu z władzą wyjechał znacznie- dalej, niż mu kazano pierwotnie.

Uciążliwa wędrówka skończyła się w samotnej jurcie w dzikim, oderwanym od cywilizacji świata kącie dalekiej Północy.

Tu spoglądał w te dziwne, niepokojące dni, kiedy tarcza słońca, niby zapalona żrenica ścigającego ziemię olbrzyma, tygodniami błąka się po widnokręgu; a potem — w długie, posępne noce, w których się czuje, że w milowym promieniu niema żywej duszy, w których każdy szelest w zmrózonem powietrzu nabiera ostrych, przenikliwych wyrazów, a trzaśnięcie deski wstrząsa jak wybuch gromu.

Poznał te momenty panicznego lęku, kiedy zdaje się nagle, że we wszystkich kątach jurty, pod powalą, za wrotami, za oknami z lodu ktoś stoi, czai się, czyha — pierś wstrzymuje oddech, przerażająca groza oblega serce, wzrok nie śmie się podnieść, by nie zobaczyć strasznych, potwornych istot, skradających się kociemi krokami.

Czasami wychodził, zaszyty w reniferowe skóry, i, jak słup zasłuchany w olbrzymie, grające światłem organy — wpatrywał się w zjawisko zorzy polarnej.

Wytryskami roztopionych płynnych farb kłębiło się niebo. Drżącymi ruchami rozpościerał się szeroko koronkowy wachlarz, utkany z subtelnych kolorów, i dygotał, jakby w trzęsących się ze wzruszenia dłoniach. Raz wraz osłaniały go zielonkawa'te rozwiewne welony — przerzynały szerokie, karminowe pręgi, słuckie pasy, zwoje falujących wstęg, mieniające się w fałdach ogniami rubinów.

Potem wystrzelał drgający, tęczyowy łuk i miotał na wsze strony promienne strzały.

Nagle migotliwym lśnieniem, niby raptownym zamachem stalowego miecza, rozpruwało się łono niebios i z rozplątanej, zaognionej rany w złotej kurzawie występowały jakoby orszaki samego Boga — Cherubiny, Archanioły, Trony, udrapowane w powłóczyste szaty ze złotogłównia, fioletów i purpury. Kołysały się rozwiewając różnobarwne chorągwie, rozścielały przepyszne swe płaszcze, których ciężkie, bogate frenalce niby roztopiony bursztyn zdawały się ściekać ku linii horyzontu — rozsypywały girlandy kwiatów, sznury klejnotów.

Na gorejącem sklepieniu zdawały się odbywać jakieś płomieniste procesje, tajemne misterja: to jakby składanie żywych ofiar, których broczeniem, jak krwią, nasiąknął śnieg ziemi, to rozpalenie uroczystych stosów, których płomieniem, jak pożarem, zajmowało się lodowe pole.

Potem wyjaśniały się barwy, stawały się nikłomodre, seledynowo-różane i przez ich delikatną posnowę przeziierały tu i owdzie senne gwiazdy, niby splakane oczy istot eterycznych i nieznaných.

Płonęły drgające kolorowe ognie, niby łuny występujące z za świata, tajemnicze sygnały czegoś, co może

jest na tamtym brzegu życia za Aclierónem i Styksem ■w widmowej krainie słodkiego wytchnienia.

Janusza ogarniało mistyczne wzruszenie, melan- cholja zadumy, niemal tęsknota śmierci, lunatyczne pragnienie zlania duszy z tem dalekiem, cichem pełganiem cudownie mieniących się światła.

Nastrój głębokiego smutku i zniechęcenia do życia minął wraz z zimą i nocą.

Ze zbudzeniem się wiosny, z puszczeniem śniegów i ze spękaniem się lodów, z hucznym rozlewem potężnych potoków, ocknęła się i jego dusza. Przybierały w rzekach wody a jednocześnie wzbierały energią młodzieńcze siły.

Nadciągały radośnie stada ptactwa, gęźbiące klucze skrzydlate, niosąc z Zachodu wspomnienia. Wydierała się na świat bujna wiosna, kielkowało, kwieciło wszystko, kochało na okół i nabrzmiewało pragnieniem miłości i jego serce.

Wówczas zaczęła się zjawiać ona. < '

Nieraz, gdy brodził w aromatycznych, soczystych trawach łąk, jakby jej oczy WySierały mu z kwiatów. Czasem znów, gdy płynął rzeką, we wzdętej fali zamajaczyły nagle dziewicze piersi, w drgających plamach słońca przewinęły się złote warkocze, ze skłębienia wód wynurzyły się na mgnienie oka kuszące kształty niewieściego ciała. Gdy się przedzierał przez krzaki, zaplątawszy się w młode pędy, doznawał często lekkiego dreszczu, jakby go opasywały lubością sprężyste ręce.

I wszystkie te złudy podnieconych zmysłów, pochodzące z pragnienia kochania, łączące się ze wspomnieniem o Klarze, stawały się gwałtownym nawrotem • przeżytych z nią wzruszeń i wzniecały krwawą ku niej tęsknotę.

Był pewny, że to tamta namiętność tak się odzywa, że poza tą jedyną dziewczyną wszystkie inne > są mu obojętne.

Przewidywał, że już jest na wolności, dostępna, przedzielona nie twardą ścianą, a jedynie próżnią przestrzeni ,którą przebyć można i trzeba.

Ciągnęło ku niej, rwał się też do kraju i wreszcie się wyrwał.

Na opuszczonym pobojuwisku zastał zgliszcza, ciepłe popioły, pod spodem pełne ognisk, gorejących tu i owdzie skrycie — świeże zwłoki zdarzeń, broczące jeszcze żywą krwią. Mnóstwo ludzi gdzieś się podziało, wielu odstąpiło, szczupła garstka niezłomnie wiernych snuła się w głuchej, posępnej nocy, by pozbiierać i- zeszyć w całość strzępy potarganego sztandaru.

O Marcie — pseudonimie Klary — znalazł ledwie nikłe wspomnienie, ogólnikową wiadomość, że wyjechała za kordon.

Janusz czas pewien tułał się po kraju, ale robiło mu się coraz, ciaśniej i wkrótce wypadło przekroczyć granicę.

Emigracja roiała się od rozbitków, atmosfera jej była zgryźliwa, pełna swarów, nieufności, a nawet ciężkich wzajemnych podejrzeń — rozgoryczenie potęgowała w wielu razach ostateczna materialna nędza.

Janusz zorientował się szybko, że jest tu na razie zupełnie zbyteczny, należał mu się zresztą odpoczynek. Postanowił więc bawić tylko póty, póki' się czegoś nie dowie o Klarze. Ale o niej, jako o pionku, szybko zapomniano i nikt mu nic dokładnego powiedzieć nie umiał.

Dopiero zupełnie przypadkowo natrafił na dość niewyraźną, wszechwiedzącą figurę, która mu zakomunikowała, że Klara pod obcem — nieznanem mu jednak nazwiskiem — bawiła czas pewien w Zakopanem, a teraz siedzi na włoskiej stronie Gardeńskiego jeziora. Gdy Janusz zauważył, że trudno ją będzie bez nazwisk

ka odszukać, uprzejmy jegomość objaśnił mu, że jest tam jeden kurort tak niewielki, że niepodobna się nie spotkać.

Janusz uważał za stosowne zataić, iż szuka osoby, której nigdy na oczy nie widział, rozpytał więc tylko o marszrutę i z myślą, że gdyby on nie zdołał, to ona go w każdym razie pozna, puścił się w podróż.

Jechał na Semering drogą, którą niegdyś przebywał z zachwytem. Obecnie po Uralu, górach Sejańskich, po groźnych widokach polarnych — Alpy te wydawały mu się mniej malownicze, zbyt wychuchane, obdarte rękami sprytnego człowieka.

To też ku zgorszeniu Niemców, którzy z lornetkami i okrzykami: „schón!", sehr schon" — pchali się do okien, drzemał w najbardziej godnych widzenia, zaznaczonych gwiazdami w Beadeckerze miejscach.

W Mori przesiadł się na wązkotorówkę, która z piskiem i zgrzytem, niby długa jaszczurka, przewijała się między nagiemi skałami, podobnemi do rumowisk potrzaskanych kamiennych budowli.

Trwało to kilka godzin, a wreszcie jakby się okiennice otwarły i łysnęło cudne i postarcie błękitnego jeziora.

W małej zatoce dymił statek.

Delikatna rewizja sygnali dzwonnka, przeciągłe buczenie, włoskie okrzyki rzucających liny majtków —

I poruszyły się tłoki, aż zadrżał kadłub. Parowiec się cofnął i, zataczając zwolna łuk, ruszył naprzód.

Janusz usadowił się na pokładzie.

Ciepło było i słonecznie. Po obu widomych brzegach jaśniały rozsiane u podnoża łagodnych wzgórz białe wille, otoczone murami, przez które przelewały się falami bluszcze, laury, czerwone i kremowe róże. Na stokach zieleniły się rozpięte winnice, gdzieś widniały wachlarze palm, delikatnym kwieciem osypane bezlistne brzoskwinie, rozłożyste o białych pąkach magnolje i potężne, ociekające złotem mimozy. Tu i owdzie rysowały się strzeliste cyprysy.

Rozstępowały się powoli wzgórza, rozdały wybrzeża, coraz większym stawał się błękitny obszar, którego drobne zmarszczki zdawały się krzesać iskry ostrzami kling z niebieskiej stali.

Łagodna chwiejba statku, wibrująca, połyskliwa fala, przejrzyste niebo, bezmiar rozciągającej się toni, cały ten cudny, majacny pejzaż w połączeniu z myślą, że ku niej dąży, wprawiały Janusza w stan półsennej rozkoszy.

Miał wrażenie, że ten błękit, te blaski, te róże są jakoby czarownicami zwiastunami uroków szczęścia, po które płynnie, prześlicznym powitaniem zbliżającej się miłości.

Im bliżej, tem piękniej I

Złocistym rozpięciem wzdętych żagli zdawały się go witać spotykane łodzie, laurami gaje, smukłością cyprysy. Powitalnym hymnem zdawały się grać rozplakane, pod wieczór dzwony, które melodyjnym klan-gorem przeciągały nad wodą, niebem i ziemią.

Gdy słońce zgasło, różanym blaskiem zapłonął się śnieżny szczyt Monte-Baldo i jednocześnie zamigotały w oddali światelka Gar dony.

Statek * dobieł, a Janusz patrzył wzruszony na mrugające ogniki Tusiłując odgadnąć, z którego okienka wyglądają jej promienne oczy.

Przejmujący gwizd, tłocząca się ku pomostowi publiczność zbudziła go z rozmarzenia.

Jakiś „facino" wyrwał z rąk pakunki, uszeregowani szwajcarzy wykrzykiwali nad uchem nazwy hoteli, proponując swoje usługi.

Zastanowił się co robić i, ujrawszy wielkie elektryczne latarnie pobliskiej kawiarni — wstąpił, kazał podać sobie kieliszek wina i „kurlistę”.

Szybko przebiegał oczyma kolumny nazwisk prze-
me ai szczyć książeki

ważnie obcych, natrafił na kilka „ski”, ale były to albo małżeństwa ,albo mężczyźni — dopiero przy końcu pod nagłówkiem „Pension Belle-Vue” znalazł dwie freileinr Alina Starek i Marta Sławińska, obie z „Königreich Polen”.

— Jedna z nich, prawdopodobnie ostatnia — pomyślał z bijącym sercem, zapłacił i w ślad za wózkiem tragarza szedł długo przez szosowaną ulicę.

Pensjonat Belle Vue — lekki dwupiętrowy budynek z licznymi balkonami od frontu stał na wzgórzu w oliwkowym gaju. Okna na piętrach były przeważnie już ciemne. Parter świecił się cały. Jak się okazało, mieściła się tam już zupełnie uprzątnięta jadalnia i salon, w którym cztery osoby: wygolony starszy jegomość, opasła dama, jakiś młodzieniec o stożkowatej głowie i anemiczna, chuda panna grały w domino.

— Guten Abend — na różne głosy i jednocześnie, nie przerywając gry, odezwała się cała czwórka na widok Janusza.

Wkrótce zjawiała się gospodyni.

Po długich targach Januswpdobył jedyny wolny pokój na drugim piętrze za 8 franków tuto com- p r e s s o.

Gdy schodził po rzeczy, zauważył naprost schodów czarną tablicę z wypisaną listą gości: pod siódmym numerem widniała Alina Starek, pod dwunastym Marta Sławińska.

To ona — zadrżało mu ponownie serce i jednocześnie uderzył dziwny zbieg okoliczności: cela Klary w więzieniu była również dwunastą, a jego fatalna trzynastka jakby się tylko odwróciła, zajął bowiem numer trzydziesty pierwszy.

— P o l e n? — spytał, wskazując palcem

— O ja, j a l — potwierdziła gospodyni.

— Ja także — oświadczył Janusz, wziął kredę

x w odpowiedniej rubryce wykaligrafował swe na- * -zwisko.

Znalazłszy się w swym pokoju, położył się w u- braniu, zapalił papierosa i rozmyślał:

Marta jej pseudonim, Sławińska — podobne nazwisko — dwunastka — no tak, oczywiście. Znowu pod jednym dachem... Dwa lata... nie — 25 miesięcy i 17 dni, stosunkowo niewiele.

Wstał i wyszedł na balkon .

Cisza. W nocnym szafirze — żywo jarzące się gwiazdy. Sierp księżycy nad śniegiem góry Ba Ido — w dole rozciągnięta w dal tafla, odbite w jej zwierciadle niebo, sprawiające wrażenie mirażu.

"Sztynne cyprysy jak sztyldwachy stoją na straży milczenia, nie śmie nic się poruszyć, ale oddychać wolno, więc kwiaty, kfórych tchnieniem jest zapach, napełniają odurzającym aromatem przejrzyste powietrze.

— Jak zaczarowana królowna śpi w tej błękitnej •grocie spokoju!... — w ładnej formie złożyła mu się w głowie myśl o niej i zdjęła pokusa pójść i zobaczyć. Włożył pantofle i po matowemi lampkami oświetlonych schodach spuścił się o piętro niżej.

Od 1 — 16 zobaczył napis, wsunął się w korytarz i zatrzymał się przed jej pokojem. Z białego w o- drzwia haczyka spływała w miękkich fałdach jedwabna halka, cze-czunczowa spódniczka i taki stanik, który zdawał się jeszcze w bufach rękawów zachowywać kształt pięknie rozwiniętych ramion. Przesunął dłonią po powłóczystych szatach: pieszczotliwie zaszeleś- ciał jedwab i delikatny zapach perfum owionął mu głowę. Wpadły mu w oczy stojące przy sobie wysokie, zapinane na guziczki buciki z białego zamszu, świadczące o zgrabności małych stóp ich właścicielki.

Widok ten przypomniał mu urok polotnych, rytmicznych stąpań za ścianą; zachwiało mu się ze słodkiego jak wówczas wzruszenia rozrzewnione serce.

Błogi uśmiech otoczył mu usta i delikatnie końcami palców więziennym sposobem wystukał: kocham. Stał chwilę, nad słuchując, ale lakierowane drzwi milczały — zato ktoś w pobliżu zakaszłał, gdzieś zadzwieczał pod zdwojonym ciężarem sprężynowy materac i zaszemrał zduszony, tkliwy szept i grubszego głosu łakome mruczenie.

Janusz się wzdrygnął, skradając się na palcach, wycofał się do siebie, gdzie, odurzony wrażeniami, wyczerpany podróżą, zasnął szybko i mocno.

Klara, meldująca się stosownie do paszportu jako Alina Starek, była jedną z najsystematyczniejszych kuracjuszek pensjonatu. Wstawała regularnie o ósmej, wypijała śniadanie, potem szła w ustronniejszą część ogrodu, gdzie werandowała oznaczoną liczbę godzin.

Pomimo, iż leczyła się niezmiernie skrupulatnie, wagi przybywało bardzo niewiele, a temperatura, jakkolwiek opadała, od czasu do czasu podnosiła się o parę kreszek ponad normę.

O ile jej leżak był prawie[^]dależ zajęty, sąsiedni, należący do Marty, próżnowałTiaj częściej. Żywa, kipiąca młodością dziewczyna zdawało się nie mogła uleżeć spokojnie.

Była co prawda zupełnie już zdrowa. Lekki bron- chit, którego się nabawiła w kilkudniowym areszcie, minął oddawna, ale rodzina, w obawie by się mocniej nie zaplątała w ruchu, któremu się dała chwilowo porwać, trzymała ją zdała od kraju.

Obie dziewczyny, jako rodaczki, szybko się zbliżyły na obczyźnie, a jako rówieśnice i do pewnego stopnia towarzyski, wkrótce zaczęły mówić sobie po imieniu i uchodzić za przyjaciółki.

Jeżeli jednak Marta, łatwa do zwierzeń, prędko zaczęła obdarzać „drogą swą Alę” zupełnym zaufaniem — Klara, jakkolwiek żywiła sporą dozę sympatii dla wesołej koleżanki, trzymała się z pewną rezerwą.

Była z natury dość skryta, głęboko uczuciowa, wskutek poważnych przeżyć nad wiek dojrzała, niezdolna wogóle do wynurzeń, tembardziej wobec takiego pustaka, jak Marta, która potrafiła jedynie ślizgać się po powierzchni wszystkiego, czyniąc to jednak z wrodzonym wdziękiem i zawsze tak, by było do twarzy.

To też cała przeszłość Klary była dla Marty księgą zamkniętą, zresztą dość obojętną prócz jednej kart- ki, którą spróbowała odsłonić.

— Powiedz mi, Ala — zapytała kiedyś — czyś się już kochała.

— Dla czego pytasz w czasie przeszłym?

— Więc znaczy kochasz? — rzekła żywo, przysiadając się bliżej...

Ale Klara przymknęła oczy, długo milczała, potem wzdrygnęła się, jakby dreszcz ją przeszył, i wymówiła sennie:

Którego dziś mamy? — i szła w przeszłość datami do chwili rozstania.

Z całego jej zachowania Marta odczuła, że nie dowie się niczego.

W ten sposób mocno podmywający jej serce temat stał się przedmiotem jedynie jej szczebiotań i komicznych utyskiwań, że między tymi szwabami niema ani jednej ludzkiej twarzy.

Mimo to, by, jak się wyrażała, nie wychodzić z wprawy, przewracała cudowne swe oczy, i niejednen hakatysta pomiędzy jednym kuflem a drugim miewał chwile melancholji, westchnień i niepokoju sumienia

Z typu urody przyjaciółki były do siebie podobne

Obie błękitnookie, złote blondynki z uroczem, nie cc powłóczystem spojrzeniem, szykiem w stroju i w całym układzie ciała, rasowością delikatnych rąk i drobnych nóg odcinały się jaskrawo od reszty otoczenia i wydawały się nietylko niezwykle zgrabne, ale wprost lotne wobec ciężko ciosanych teutonek.

Rysy Klary były więcej cyzelowane, wysubtelnio- ie jakby dłutem cierpienia, ciekawsze, odkrywające swój czar stopniowo w miarę bliższego poznania.

Marta sprawiała zato wrażenie niezwykle świeże, hoże. Znacznie bujniejsza od kształtnej tylko Klary górowała nad nią darem tej prawie mimowolnej, niby niewinnej i tembardziej ponętnej kokieterji, którą umiała rozdrażniać innych, doznając sama ledwie lekkiego zakłócenia nie tyle serca, ile musującej jak szampan krwi.

Niewyraźnie świadoma, ale bardzo domyślna znajdowała upodobanie w zręcznym igraniu z ogniem, który ją tylko rozgrzewał, ale nie parzył jeszcze.

Zresztą pomiędzy nią, a całym tem cudzoziem- skiem otoczeniem istniał zbyt wielki przedział, by mogła się kimś zająć poważniej, to też igraszki jej nie wychodziły poza obręb flirtu, w którym wobec słabej znajomości języka kształciła ją swą wysoce utalentowaną mimikę zalotnych uśmieflów i mieniących się tysiącami odcieni spojrzeń.

Gdy miała już dość, biegła do Klary i śmiała się do łez ze wszystkiego, przyczem naśladowała głosy i gesty tak świetnie, że Ala rozweselała się i mówiła:

— Bój się Boga, nowy Grunwald chcesz sprawić.

A ona owijała swemi puszystymi warkoczami, które nosiła zwykle zrana, czesząc się dopiero inaczej na obiad, obnażoną szyję i odgrażała się:

— Poduszę tymi arkanami knechtów, jak ten w czerwonym kapturze, pamiętasz, na obiedzie Matejki.

Tego dnia przybiegła znacznie wcześniej, niż zwykle, podniecona, rozpromieniona, podskakując jak w tańcu — klaskała w ręce i wołała z daleka:

Alu, Alu! nowina!... Aus malcajtygut. m o r g e n y! mamy Polaka... i to niebyłe kogo, poetę, artystę — ni mniej ni więcej, tylko sam Janusz Tarczyński... Przyjechał wczoraj... dopytywał się, czyśmy

70

Polki. Stoi na górze pod 31-ym../Musi nam asystować, musi — tupnęła stanowczo nóżką, nie zauważając w ferworze, że Klara zbladła jak płótno, a potem się oblała po czoło gorącym rumieńcem,

— Co mówisz? — wydobyła z głębi piersi zdyszany głos.

— Janusz Tarczyński! — wypisany na tablicy — widziałam własnymi oczyma. Resztę wiadomości dostarczyła gospodyni. Wkrótce pewno zejdzie, kawę sobie kazał podać na górę... Przyjechał wczoraj nocnym statkiem... Strasznie ciekawa, jeżeli choć w połowie podobny do swoich książek, musi być okropnie zajmujący. Pamiętasz^ — zaczęła deklamować z patosem:

0

Lwa rozdarł Samson, pobił Filistyfy, Bram miast obronnych wyważał zawiasy, Targał jak nitki najmocniejsze liny, Lecz kiedy poznał kobiety ramiona, Białe jej sploty związały Samsona I będą wiązać mężów po wsze czasy... ' Bo najmocniejsza jest miłość na świecie, Ze lwem poradzisz—ale nie z dziewczyną: Słodką swą piersią upoi, jak wino, A ust makami uśpi cię, jak dziecię.,,

Albo te śpiewne:

W perłowe łzami i kwiatami senne

Nurzam się łąki, Jak gdyby w oczy z kochania promienne,

Ust słodkie pąki, Serce oddycha wilgoci rozkoszą,

Ziół aromatem... Żal — że cudowną tę łąkę wykoszą Wraz z rosą, z kwiatem...

71

Zmilkła, słysząc, że chrzęści żwir.

Klara zwróciła w tę stronę głowę — i serce jej za*⁵ marło:

W arkadzie bluszczów ukazał się Janusz. Od tego czasu, jak go ostatni raz widziała, nie zmienił się nic prawie. Była to ta sama medal jonowa twarz, o trochę za krótkim, energicznym podbródku i wydatnym, bielszym, niż reszta smagłej cery, czole. Ciemne, wijące się w loki w więzieniu włosy, krócej ostrzyżone obecnie, skręcały się jedynie na końcach w drobne wichry. Obcisły szary kostjum, miękka koszula, fantazyjnie związana kokarda krawata, s z ar oki pas i filcowy, o dużych skrzydłach kapelusz nadawały mu trochę zamaszystą postawę bojowca.

Głęboko osadzone, orzflftiowe oczy, pociągnięte jakby posnową marzycielstwa, na widok dziewcząt jakby się przetarły radosnym promieniem.

—Pozwolą się rodaczki przedstawić — usłyszała Klara po raz pierwszy jego żywy, swobodnie grający głos.

— Janusz Tarczyński — skłonił się zlekka w jej stronę i zwrócił się całkowicie ku Marcie. Patrzył chwilę pilnie, uśmiechnął się porozumiewawczo, wyciągnął dłoń i, ciepło ujmując podaną rękę, wymówił zacisznie, jakby wspominał:
jf — Jakże jasna!

Rzeczywiście stojąca w słońcu Marta swemi zło- cącami się warkoczami, błyszczącą czeczunczową suknią, którą oglądał w nocy, lekkim spłonieniem hożej twarzy — sprawiała wrażenie niezwykle jasne, wprost olśniewające.

Zdziwione nieco sposobem powitania błędne jej oczy rozszerzyły się cudownie, zmieniając się w modrą, pociągającą toń. Złożona w jego uścisku dłoń drgnęła nieznacznie i jednocześnie w żrenicach zai- giałły zalotnie figlarne płomyki

Klarę ogarnął zrazu niesfycHany popłoch, potem uczuła jak gdyby gorejące węgle w piersiach i otwieranie pustki w czaszce, w którą jęły pogrążyć się wrażenia, myśli, świadomość.

Z pod nawiśniętych ciężko powiek widziała, że coś mówią do siebie, zwracając się ku niej, razem odchodzą, majaczą w perspektywie alei, wsiąkają jakby iw mgłę.

Ocknęła się na chwilę przytomność: posłyszała w pobliżu .oddalające się skrzypienie ich kroków.

—Januszu! — targnęło się w piersiach rozpaczliwe wołanie —. ale nie wybiegło na usta. Usiłujący się dźwignąć głos oberwał się i runął jak w otchłań, pociemniało jej w oczach i zleciała jak w przepaść strącona w czeluście omdlenia.

Janusz tymczasem pod pozorem obejrzenia ogrodu uprowadził Martę w ustronne zacisze. Szli w milczeniu. On podniecony, ona nieco zażenowana towarzystwem niezwyklego człowieka, który swem niepo- wszedniem zachowaniem się w stosunku do niej niepokoił i zaciekawiał.

—Tu się kończy posiadłość willi naszej — zaczęła trochę nieswoim głosem—ta góra ze śniegiem— to Monte Baldo — za nami Gardone sopru —kośció • łek — a tu jezioro.

—A tu — ujął ją za obie ręce — z pseudonimtf* Marta, z imienia Klara, zamurowane szczęście moje— te smukłe palce zmieniły mi celę więzienną w siedlisko rozkoszy, wystukiwały mi cudowną pieśń miłości którą płakało i tęskniło srece w sibirskiej głuszy... Uciekłem — szukać. Zawierucha zawiąła ślady, ale przecuciem znalazłem jasną, jak to słońce, błękitno- oką, jak to jezioro, świeżą, upajającą, jak to powietrze, śliczną, kwitnącą — jak ten cały kraj. Już nie widmo, ukryte za ścianą, ale pełne życie, które mogę przycisnąć do serca...

Głos mu się zmienił, porwał ją wpół i począł całować wylękle oczy, powlekając się śmiertelną bladością twarz i struchlałe usta.

Oszołomiona potokiem jego niejasnych dla niej słów, z przeraźliwym błyskaniem w myślach, że ma do czynienia z szaleńcem, nie była w stanie się bronić. Nieruchoma, martwa z przestachu, z wrażeniem, że rozstępu je się pod nią ziemia, zwisła na chwilę bezwładnie w jego ramionach. Potem się szarpnęła, odskoczyła, opuściła się bezsilnie na ławkę i, zakrywając oburącz twarz, wybuchła spazmatycznym płaczem.

— Klaro! — cdjii jest, Klaro? — rwącym się ze wzruszenia głosem począł ją uspakajać Janusz, przysiadł się, miękko ujął ją za rękę.

Wyrwała dłoń, odsunęła się gwałtownie i postyszał w kipiących łzach urywane zdania:

— Proszę sobie iść — nie jestem żadna Klara. Proszę sobie iść... — piersi jej wzdrygały się głośnym szlochaniem.

, Januszowi ścierpły ręce i nogi, zmieszał się, straszył cił zupełnie głowę. Żalony, nerwowy jej płacz domagał się pociechy, a on czuł pustkę w czaszce — zupełne rozprężenie wszystkich władz — niemożliwość żądanej decyzji. Wreszcie się wzmógł na siłach i począł jąkać: .

— Pani — doprawdy — proszę przebaczyć, proszę przestać płakać i... proszę mnie zrozumieć... wysłuchać...

Podniosła się, by uciec. Zagroził jej drogę:

— Nie! Pani nie może odejść z fałszywym o mnie mniemaniem, z poczuciem krzywdy, ja muszę się usprawiedliwić — posadził ją niemal przemocą na ławce i, patrząc z prawdziwym żalem na jej ukrytą w dłoniach łkającą głowę, żywo, chaotycznie, z przejęciem począł jej w skróceniu opowiadać historję dwu cel, dzieje więziennej miłości.

— Pani — kożczył — wydała mi się doskonałym wcieleniem wizji mojej wyobraźni, byłem pewny, że spotyka msię z tą, którą kochałem i byłem kochany,, Niech pani zrozumie, że całowałem ją jakby miraż, toważa tę scenę za niebyłą, przebaczy i jak o znikomym mirażu zapomni.

— Pani Marto, szkoda cudnych rzęs, lepiej popatrzeć pocziwie, przekonać się o szczerości mego wejrzenia, pojednać się po bratersku.

Marta, silnie wzruszona romantyczną opowieścią, ujęta serdecznym, błagalnym tonem jego głosu — odsłoniła nieco różową z płaczu i zawstydzona twarz i obrzuciła go przelotnie i nieśmiało pełnemi łez oczyma.

Potem znów odwróciła się dającą się ruchem urażonego dziecka. Wreszcie udobruchana prośbami, popatrzyła ponownie, a widząc stroskaną minę Janusza, uśmiechnęła się uroczo i laskawie; lekko jak ptak porwała się z ławki i świecąca fruującymi warkoczami, wybiegła z alei.

Janusz długo patrzył zachwyconymi oczyma na grupę palm, za którymi zniknęła.

— Szkoda — przewinęła mu się myśl, lotna jak westchnienie. ,

Czuł, że dała się przebłagać, że go opuściła bez gniewu i nr obilo się mu lekko na duszy, niemal radośnie, że się tak ułożyła cała przygoda.

Donośny gong dał sygnał na obiad. Udał się na górę, by się przebrać. Gdy zeszedł, wszyscy już byli w jadalni.

Drugi stół wrzał różnojęzycznym gwarem, brzękał szczękaniem łyżek i szklanek. Janusz, mruknąwszy: morgen! zajął wskazane przez madchem miejsce, przez czas pewien obserwował desenie talerza i monosylabami odpowiadał ha

pytania usiłującego zawiązać konwersację sąsiada, zajęty całkowicie myślą, czy ona jest?

Zebrał się wkońcu na odwagę i postanowił rozejrzeć się po sali.

Na przeciwległym rogu stołu, przedzielone otyłą damą, siedziały obie rodaczki.

Marta miała zaczerwienione jeszcze powieki, a gdy spotkała się z jego wzrokiem, zasłoniła się dłonią rękami i zartnnieniła się mocno.

Towarzyszka jej, dziwnie, nienaturalnie wprost blada, zdawała się nie spuszczać z Janusza przejmująco żalonych i jednocześnie posępnych oczu.

Było coś męczącego i ciężkiego w tem jej upar- tem patrzeniu. Ilekroć zaś próbował się spotkać z wejrzeniem Marty, ze źrenic tamtej wypadał przeraźliwy błysk i niby mignięcie wąskiej stali przecinał promienie ich wzroku, twarz jej przy tem stawała się boleśnie ostrą, niemal groźną.

Janusz widział w tych rysach wyraźny wyrzut.

Zwierzyła się swej przyjaciółce — pomyślał — zrobiło *mu się niezmiernie przykro, że to zajście nie pozostało wyłączną ich obojga tajemnicą.

Mylił się. Klara nic nie wiedziała, ale przeczuwała, że między nimi coś niezwykłego zaszło, jakieś w stosunku do niej okrutne przemieszczenie od którego ściekała jej z twarzy wszystka krew i rozdzierała serce. To też gdy skończył się obiad, wybiegła za Martą, dopędziła na schodach i, wpijając się palcami w kiście rąk, zaczęła pytać szybko i gwałtownie:

— Pociście poszili! Czemuś bawiła tak długo — dlaczego płakałaś — słyszysz, mów zaraz! Coście tam robili?

Głos jej stał się świszczący, oczy srogie i gorejące.

— Nic! — wykrzyknęła napadnięta Marta.

— Kłamiesz — ja wiem...

— A więc widziałaś. — Marcie zakręciły się znów w oczach łzy. — Porwał mnie tak nagle... tak mocno przycisnął — dech mi zamarł z lęku — nie miałam sił krzyknąć — ustami zawarł mi usta... Wyrwałam się, rozplakałam — ale mi wytłumaczył wszystko — tak przepraszał — wziął mnie za inną... błagał — ale ja uciekłam i gniewam się... umyłam oczy...

— Tylko oczy — wymówiła Klara szydlerczo. — Ty twarz i usta wymyj ! wyszoruj sobie mydłem, a dobrze! — dodała dziko — bo nosisz skradzione innej pocał...

Zachłusnęła się słoną krwią, która bluznęła do gardła. Puściła jej ręce, zmierzyla nienawistnym spojrzeniem, wstrząsnęła się, poszła w korytarz i, słaniając się od ściany do ściany, po omacku, jak ślepa, szukała drzwi do swego pokoju.

Wskutek tego krwotoku Klara przez czas pewien nie schodziła na dół, werandując na swym balkonie.

Z tej wysokości mogła obejmować wzrokiem sporą część wybrzeża i duży szmat ścielącego się w dole jeziora.

W polu jej widzenia snuli się po białej drodze ludzie, dwukołowe ręczne lub zaprzężone w ustrojone kitami muły wózki, od czasu do czasu z piskiem i śwędem przelatywał między murami parowy tramwaj, bił wodę statek, a po błękitnej, błyskającej falą roztoczy ciągnęły świecące żółtymi żaglami barki i uwijały się ubrane w różnokolorowe bandery spacerowe łódki.

Klara zdawała się z całego tego ruchu nie spostrzegać nic prócz jednego drobnego czółna, którego czerwona chorągiewka migiała w zmęczonych cierpieniem oczach, niby krwawy sygnał bujającego nad wodami jej nieszczęścia.

Śledziła niezmordowanie miarowe ruchy ciemnej

sylwetki wiosłarza i jasne kształty nieruchomego sternika.

Widziała nieraz, jak się wlokły wolno puszczone wiosła, obie postacie zbliżały się, pochylały ku sobie i zdawały się tańczyć na fali.

Wówczas przesywał ją zimny dreszcz i doznawała ulgi, gdy Janusz znowu chwycił wiosła i płynął.

Chwilami i łódka zaczynała biec tak szybko, że długa, wązka bandera sprawiała wrażenie smugi krwi, ciągnącej nad jeziorem, pomykali coraz dalej, czółno znikало, jakby tonęło i wkrótce stawał się widoczny jedynie purpurowy punkcik, który niby płonąca złowrogo żrenica patrzył tak długo w jej oczy, póki nie wycisnął z pod zgorzałych powiek skąpych, zjadliwych łez.

Czasem znów podpływali tak blisko, że rozróżniała dokładnie ich twarze, szczegóły ubrania, wyraziste gesty, świadczące o ożywionej rozmowie.

Kiedyś ją dostrzegli, Marta zaczęła machać parasolką i oboje wołać: hop, hop! dźwięcznie i radośnie.

A ona skuliła się w sobie i dygotała całym ciałem do szpiku kości tak okrutnym, śmiertelnym popłochem przejęta, jakiego doświadcza zgoniona do ostatniego tchu łania, gdy nagle posłyszysz w pobliżu tryumfalne okrzyki zbliżającego się pościgu.

Gdy męka stawała się zbyt srogą, zamykała oczy, wciskała głowę w poduszki, by nic nie widzieć, nie słyszeć, ale jakaś fatalna, nieodparta moc podjudzała ją patrzeć znowu i dręczyć się dalej.

Te przejażdżki po jeziorze zaczęły się stosunkowo niedawno, Marta bowiem przez kilka dni boczyła się na Janusza, pierzchała, gdy zbliżał się, udawała, że go nie widzi, ale w tem stronieniu było znacznie więcej obowiązkowej pozy, przymusu, niż rzeczywistej urazy.

Przebaczyła mu właściwie wszystko, uważała je dnaK, że wypada podąsać się jeszcze, pókaprysić, i wy- |wiązywała się z zadania prześlizgnięciem: jej obrażone minki były tak wdzięczne, ukośne, karcące spojrzenia tak zalotne, zażenowanie przy mimowolnym spotkaniu tak ponętne — że ten krótki okres pozornego „na bakier” nie odstręczał, lecz pociągał, nie rozluźniał, ale zacieśniał stosunek.

Janusz intuicyjnie odgadł grę i okazał się znakomitym partnerem. Rozradowany, jak dzieciak, witał ją grobowym wyrazem winowajcy i jednocześnie jasno uśmiechniętymi oczyma. Gdy bawiła się w chowanego, potrafił ją zawsze odszukać, gdy udawała Ucieczkę, w czas jej przecinał drogę, a pewnego razu zaproponował, czy nie lepiej przejechać się łódką, niż błąkać się po ciasnym ogrodzie.

I — Chciałbym, pani Marto, zmienić teren mych cierpień, resztę kary zamiast na lądzie odbyć na wodzie, jako galernik, jej wiosłarz — prosił, kłaniając się pokornie po chłopsku kapeluszem do ziemi.

Lekkie spłonienie się — wybąkane: nie wiem sama! — moment wahania się i wesołe: no zresztą! — zdecydowało sprawę.

I na szerokiej wodzie, na jasnym słońcu reszta urazy rozwiązała się jak dym. Zapanował swobodny, jasny, wesoły nastrój.

Czasem tylko chybnęło się słabiej, niż łódka, któreś serce, załaskotał po nerwach drobniejszy niż drzenie fali przelotny dreszcz i wygładzały się dusze ła- godnem, słonecznem weselem.

Janusz opowiadał swoje przygody, deklamował wiersze, zachwycił się pejzażem, przyczem nieraz urodę jej wciągał w zakres wdzięcznych i trafnych porównań. Czasem jej się pilniej przyglądał, dotykał mocniej spojrzeniem i jakby ujmował uśmiechem.

Przeżyta scena jakby uległa istotnie zupełnemu zapomnieniu, nie wspominali o niej nawet w napom-

knietóach — a jednak wrażenie jej bytowało w instynktach Marty i czasem wracało w postaci obawy, lecz zamiast tamtego okrutnego strachu budziło się tyl* ko załęknienie, niepokój w sercu i jakieś nieznanne pierwiastki wzruszeń, wtrącające w senne zamyślenie wszystkie władze duszy.

Obawy były płonne: Janusz stał jeszcze daleko od tego rodzaju zamiarów — dawna wprawdzie jego miłość stawała się coraz bardziej widmową, ale trwały jeszcze czarowne o niej wspomnienia, które nadawały dyskretną subtelność pączkowaniom nowego uczucia. Wystarczył mu widok uroczej dziewczyny, bujanie się We dwoje na jednej fali, radosna świadomość wspólnego istnienia w luzurowej, przezroczej krainie.

Jeżeli z nią mówił o miłości, to w formie opowiadań o Klarze, a jedyną rzeczą, która mogła uchodzić za wyznanie, była prośba, by nosiła jak tamta warkocze, i nauka stukania, by móc czasem, jak z tamtą porozumiewać się sekretnym językiem.

Marta zgadzała się chętnie na te jego, jak nazywał, więzienne nałogi, nadawało to bowiem w jej oczach ich stosunkowi cechę oryginalną, stawiało ją w jakiejś nowej i ciekawej pozycji.

Mętne poznanie, że wchodzi stopniowo w dziwne prawa niewidzianej, przez ścianę pokochanej kobiety, wydawało jej się sytuacją wysoce romantyczną.

Widziała się w roli heroiny fantastycznego poematu i z wrodzoną łatwością nicowania uczuć wpadała w odpowiedni nastrój; przyczem oczy jej stawały się sennie rozmarzone, a twarz wniebowzięta.

Płochą dziewczyna robiła się sentymentalną, wrażliwą mimożą, skłoną do tkliwych wzruszeń i rozrzewniania się do łez. Ale były to nastroje nietrwałe, byle co przeobrażało ją odrazu, Za lada powodem wybuchała pustym śmiechem, który jak rozsypane paciorki dzwonił po wodzie i skałach.

Rozszalała z tłumionego za długo wesela Huśtała łódką, zanurzała po łokcie w łechotliwe fale różowe ;ęce, garściami chlustała na Janusza wodą, a gdy bryzgał na nią, rozprysnięte krople, spływające po Szyi i piersiach, ni to palące iskry, ni to igły z mrozu, ciekły z dreszczem głębiej.

Perłowy śmiech jej wówczas stawał się urywany, spazmatyczny, wpadający w nerwowe chichotanie.

Wyczerpana, przeginała się przez burtę, odrzucała wtył głowę i na w pół leżąc wymawiała leniwie: pływmy dalej!

Powoli posuwała się chwiejna łódź, a jeszcze wolniej poruszała się w niej gęstniejąca krew, kołysały bezkształtne, rozmarzone myśli i bujne piersi, słodką rozkoszą już senne.

Pod ten czas wła&nie Klara zwlokła się z góry i leżała jak dawniej w ogrodzie.

Rozdzierająca rana, że Janusz jej nie poznał, zaogniała się z powodu jego ustawicznego obcowania z Martą..

Jak daleko zaszyły jej stosunki, nie wiedziała, ale samo przypuszczenie, że tamta może posiadać kwiat miłości, który niejako odchuchała w więzieniu, roz- krzewiła krwią własnego serca, stawało się dla niej torturą.

Gdyby ta miłość zginęła, uschła, potrafiłaby przeboleć stratę, ale świadomość, że źródło to bije, jak biło, tylko zmieniło kierunek, wtrącało ją w gorejące czeluście męki.

Była zbyt dumną, by teraz wyznać, kim jest. Jęczał w niej straszny żal, że nie zrobiła tego odrazu, gdy się zjawił, opuściła chwilę, która mogła zdecydować o szczęściu, spóźniła się o sekundę i straciła wszystko.

Z przed oczu jej został zabrany, z roztwierają- cych się objęć wydarty, nie! stokroć gorzej: tęsknota

ku niej pchnęła go w innej ramiona; w tem tkwiło największe okrucieństwo, to straszne szyderstwo losu, które nietylko krzywdzi, boli, ale poniża.

— Potom go rozkochała, by się stać swatką, rajfurką?— pytała z rozpaczą. f f

A gdy Marta jej się zwierzyła, dlapzego^nosi stale warkocze, dlaczego nauczyła się stukać, rozjątrzyły się w niej najzjadliwsze cierpienia, jakby roje os obsiadły wnętrzości.

Zrozumiała, że stała się dla nich podniecającym środkiem, że służy za kulisę, za powabne tło do romantycznych scen, że z miłości jej zrobili sobie suflera.

Zdawało się jej, że on odbywał wtedy z nią tylko próby, by na ser jo wystąpić z inną. Czują się zdegradowaną do roli niemej klawiatury, na której się wprawiał, by dać koncert z Martą.

W straszliwym rozdrażnieniu nie tylko ją, ale i jego zaczynała nienawklzić.

W stosunku do obojga przybrała ton odpychający, niemal wzgardliwy.

Gdy przychodzili i próbowali nawiązać rozmowę, zbywała zapytania szorstkimi ucinkami zdań, a wychudła jej twarz przybierała wyraz srogi, usta zaciskały się w grymas zawzięty, a w zgasłych oczach zaczynały migać martwe, xzimne światła, jak pobłyski księżycy.

—» Ciężko chorzy ludzie stają się często źli — objaśniał Janusz Marcie stan uczuć Klary— bo i źle jej jest bardzo — dodawał i robiło mu się żal tej młodej, leżącej samotnie po całych dniach dziewczyny.

To też nie zrażony oschłem przyjęciem, zjawił się kiedyś sam. Trafił na względnie pomyślną chwilę, kiedy serce jej tak dalece zmordowane nieustanną boleścią, że nie jest w stanie już dłużej cierpieć i wypoczywa krwawe w otchłaniach bezdennego smutku. Le- ała wyzuta z sił, z twarzą bladą jak opłatek, z umie- r^jaco zapatrzonemi wdał oczyma. Zwieszająca się z leżaka biała, przezroczysta ręka dotykała smukłemi palcami kępki wyzieraających z trawy stokrotek.

Janusz, myśląc, że pragnie je dostać, zerwał wszystkie i posypał ją drobnymi kwiatkami.

Klara wstrząsnęła się i obróciła ku niemu znęka- ■ ne, wylękle źrenice.

—Pani chłodno—wymówił, podniósł leżący obok cienki szal i począł ją otulać troskliwie — o tak! — owinął jej nogi — będzie lepiej — poprawił pod głowę wsuniętą poduszkę i zajrzał jej w oczy serdecznie, pocziwie.

A w niej jakby pękły naraz wszystkie nabrzmiałe bólem wrzody, przygasły pałania zaognionych ran. Zasłoniła się szybko małym wachlarzem, by ukryć napływające zewsząd łzy. Ale niepodobna było ich nie widzieć — wielkie jak grochy płynęły jedna za druga na ukos przez policzki, ściekając na szyję; cicho szlochały szarpane łkaniem piersi, dygotały spazmatycznie jak gałązki na wicherze szczupłe ręce.

— Nie trzeba płakać, panno Alu, nie trzeba —² przekładał ciepło wzruszony Janusz — wszystko się wygoi, wyleży, minie, będzie dobrze, zobaczy pani, tylko się krzepko trzymać, przegnać złe myśli, patrzeć w przyszłość z otuchą... Widziałem ja nie takie stany, a jednak wygrzebywali się z tarapat ludzie. Człowiek jest mocny; zdaje się, że już ledwie zipie, ale nic, wytrzymał, taka jest twarda sztuka ów homo sapiens... Spotykałem na etapach szkielety w łachmanach i ranach, a dochodzili na miejsce i żyli... Skrzypiące koło nieraz najdłużej się toczy... — A widząc, jak płacz jej się powoli uśmierza, począł opowiadać o tych krzyżowych drogach, o swoich własnych moralnych i fizycznych dolegliwościach, o grozie życia na dalekiej północy, o samotności i tęsknotach, przyczem nadmie-

toiał, jak go ratowało i krzepiło w najgorszych godzinach wspomnienie o serdecznem uczuciu nieznaney, nawet osoby, a jakkolwiek wyrażał się o tej sprawie ogólnikowo i mętnie, Klara wiedziała jasno, o czem mówi, i poczucie, że jej miłość dźwigała go w dniach trudnych. ocaliła i wróciła życiu, jak cudowny balsam kładło się na rany i roztopiało zgryzoty duszy.

Nadeszła Marta, usiadła obok, ale zjawienie się jej nie wpłynęło zupełnie na tok słów Janusza..

— Pod obronę jej cudownego obrazu uciekałem się — ciągnął — i odzyskiwałem siły! Tak, panno Alu, nie pomogą mikstury, jeśli ich nie poprze wola, wiara i nadzieja, że wszystko skończy się pomyślnie. Pani się wprost sama truje, ale my nie damy dłużej się zamartwiać, prawda, panno Marto?

— Naturalnie! — odpowiedziała Marta.

A Klara potrząsnęła smutno jasną głową i, uśmiechając się przez łzy do Janusza, rzekła:

— Pan umie dawać prześliczne recepty dla duszy, ale cóż robić, jeżeli celka, w której się to „dziwo” mieści, sypie się w gruzy?

— Damy sobie radę,⁴ zamurujemy na dobre, choćby gwałtem, i kwita! — wymówił żartobliwie.

— O! — zaprzeczyła w tym samym tonie — to wbrew zasadom więzić siłą.

— Dla dobra... a zresztą analogja jest tylko pozorna.

A ona zamyśliła się i powiedziała po pauzie:

— Kto wie, czy ciała nasze nie są to celki, w których każdy z nas siedzi, wyodrębniony od reszty ludzi.

— Cóż znowu! — wtrąciła Marta.

— A jednak jest w tem coś z prawdy — zauważył Janusz i popatrzył pilniej w twarz Klary, zaciekawiony powabem jej niełatwych, misternie złożonych rysów; szczególnie interesującym wydało mu sędę jej czyste, męsko sklepione czoło i daleko patrzące, żalodne i jakby trochę skryte fijołkowe oczy.

Ta rozmowa wywarła silny wpływ na dalszy układ ich stosunków. W ciągłym obcowaniu z Klarą ucichły miłosne igraszki Janusza z Martą, przeobrażając się w głębsze, kształtujące się tajemnie w mrokach instynktów uczucie.

Współdziałała temu w znacznym stopniu Klara, która stała się orędowniczką ich kochania, łączyła ich zawczasu w parę, czyniąc to nieraz wprost z sakramentalną powagą kapłanki.

Beznadziejny stan choroby, zbliżający ją nieubłaganie do grobu, nadawał chwilami jej zwrotom mowy ów majestatyczny ton, jaki zapanowuje w obliczu śmierci.

Gasła łagodnie, jakby nie umierała, lecz zachodziła podobnie do zorzy wieczornej o wczesnej porze wiosny, co niewiadomo jak niknie, roztopiając się nieznacznie w zmierzch i noc.

Stawała się z dniem każdym bardziej przejrzysta, a jednocześnie zarówno dla Marty jak i Janusza coraz łaskawsza, coraz im bliższa i coraz więcej sama szczęśliwa.

Czuła, jak odzyskuje stopniowo jego serce w nowej, pozbawionej wszelkiego zmysłowego pieirwastku postaci; jak, spadając z ciała, wchodzi z nim w jakiś pozafizyczny stosunek i była serdecznie wdzięczna Marcie, że zabrała sobie jego namiętność, pozostawiając jej czystą resztę duszy.

I rzeczywiście tak było.

Inteligencję Janusza silniej pociągała ciekawa, niezwykła, rewelacyjna natura Klary, niż błyskotliwa 'zręczność umysłowości Marty.

Pierwsza wzniecała w nim chęć całkowicie ją pojąć, druga — objąć w ramiona i posiąść.

Gdy był z Klarą, doznawał czasem mistycznych

wzruszeń, jak gdyby patrzył na cudowne, nieziemskie widziadło — obcowanie z nią potęgowało zdolność poznania, rozdalało horyzonty widzenia,

Gdy znalazł się sam na sam z Martą, szczupły zasób pieśczętliwych słów cisnął mu się na usta, myśli zamierały w słodkich zakłóceniach krwi, wzrok się zwięzał niejako do obwodu jej ciała, którego krasa zachłanna zabierała oczy.

Wiedział dokładnie, że kocha i jest kochany, to też nie doszło między nimi do wyznań, nie raziło i nie dziwiło, że Klara ma ich za narzeczonych. Nurtująca ich namiętność rozrastała się niejako w każdym oddzielnie, nie szukając spajającego w jeden płomień wyrazu. Wszelką dążność w tym kierunku paraliżowała żywa troska o chorą. Całkowity czas poświęcali pielęgnowaniu swego „biedactwa”, które nie mogło wkrótce chodzić o własnych siłach i, wniesione przez Janusza na rękach, zległo na dobre w, łóżku.

Po całych dniach to kolejno, to razem przesiadywali w jej pokoju, pilnując resztek kołującego się życia.

Jedynie noce przebywała sama, a że spać nie mogła, więc albo notowała ostatnie wnioski w wyniesionym z więzienia dzienniku, albo odczytywała historię własnej miłości i była do łez rada, że się tak wszystko pięknie i szczęśliwie kończy.

Śmierci się nie bała. Sprawa pogrzebowa, przedstawiała jej się rozmaicie: czasem jako nicłość, a czasem jakoby wyzwolenie z więzów ciała na wolną, nieograniczoną egzystencję samej duszy, zdolnej do absolutnej, bezpośredniej komunij i z pokrewnymi duchami, doskonalszego przenikania się, współodczuwania najsubtelniejszych nastrojów* najlżejszych ruchów my-, śli — zniesienie wszelkich granic, usunięcie ostatniej materialnej przegródki, która rozłącza ludzi i zmusza do porozumiewania się za pomocą słów, mimik i gestów, które się jej wydawały w wielu razach środkiem równie niedołącznym, jak stukanie przez ścianę.

I na myśl, że tak być może, cieszyła się swem przyszłym spotkaniem z Januszem w wieczności.

Zmęczona rozmyślaniami, pogrążyła się w pół- uśpienie, w którym otwierały się przed nią jakieś jasne widmowe łąki, delikatne, pachnące, pełne łez liljowe kwiatów kielichy, srebrzyste, ciche, kryształowe jeziora, roz tęsknione pustką, ginące w nieskończonej perspektywie, białe, lśniące szlaki, melancholijne gęźdźby melodji, nadlatujących z bezmiernej, grającej smutnie dali.

Doznawała wrażenia, że już się oderwała od ziemi i błądzi w innym, lunatycznym świecie, jako lotny puch.

Bardzo niechętnie budziła się z tych snów. Pomimo braku fizycznych cierpień, zaczynała ją nużyć powolność konania. To też kiedyś, gdy w nocy nastąpił silny krwotok, pozwoliła krwi płynąć swobodnie i dopiero nad ranem, by uśmierzyć palenie w gardle, poprosiła służącą o lód.

Gdy zaalarmowani Janusz i Marta weszli, zastali ją silnie zmienioną.

W bursztynowych, złocistych, rozburzonych włosach leżały, jak zwiędłe płatki lilji, białe policzki, pęk ust kwitł jeszcze, a zbiegłe w oczy życie nadawało niesłychaną jasność rozszerzonym tęczęwkom.

Powitała ich przejrzystym światłem tych oczu i winowa j czym uśmiechem dziecka, które coś spsościło.

— Jakże można było — zaczął Janusz.

— Nie gderać!...

— Nie wolno mówić — przerwał.

— Kiedy trzeba... mam pewne polecenie...

— To proszę pisać — przysunął papier.

Klara wzięła podany ołówek, trzymała chwilę

I nagle przypomniała sobie, że zna jej pismo. Ręka drgnęła, ołówek potoczył się po podłodze.

— Nie trzeba — wymówiła pośpiesznie, gdy Janusz chciał go podnieść — wolę stukać. I wychudłe, filigranowe palce jęły wprawnie kołatać po blacie stolika:

— Zajmijcie się... w komodzie na prawo torebka z 40 lirami, powinno wystarczyć... jak najskromniej...

— Gdyby co pozostało — oddajcie naszym ludziom... bliższych nie mam,,,

— I jeszcze jedno — zaczęła po pauzie wypuki- wać — włóżcie mi to do trumny — wręczyła Januszowi zaklejony w kopercie odłupany na pamiątkę kawał tynku więziennej ściany, który już zdążył się ro^okruszyć na miał i drobne grudki,

— Tacyście dobrzy dla mnie, niech wam dobrze będzie — wymówiła wygasłym głosem i oczy jej się przyćmiły,

Janusz, któremu w takt jej stukania rozdygotało się serce, wyszedł, by ukryć wzruszenie.

Korzystając z tego, Klara zwróciła się do Marty i rzekła:

— Bardzo go kochasz?

— Taki — zabrzmiała głucho przez zaciśnięte spazmem gardło odpowiedź.

— To pamiętaj — obchodź się z nim ostrożnie, bo to delikatny instrument...

Gdy Janusz wrócił, wzrok jej się znów wyjaśnił.

Patrzyła na niego, to na Martę, wahając się —■ dać czy nie dać — ale przemogło pragnienie przypomnieć im się kiedyś raz jeszcze.

— Właściwie... — zaczęła.

— Proszę nie mówić — przerwał Janusz.

Więc znów stukała: należy się wam ode mnie ślubny prezent, kosztowności nie mam, więc przyjmijcie rzecz dla/mnie najdroższą, — wydostała z szufladki starannie zawinięty w papier i obwiązany kilkakrotnie tasiemką zeszyt — rozwiążcie to i przeczytajcie..* ale po latach! — dodała głosem.

W pokoju zapanowało na dłuższy czas uroczyste milczenie.

Wymowne jej oczy jęły, zwolna zmierzchnąć, zachodzić jakby senną mgłą; zasłoniły je naprzód długie rzęsy, potem powieki.

Z zamkniętymi oczyma leżała blada, nieruchoma i jedynie podnoszące się na piersiach rąbki koszuli świadczyły, że żyje.

— Śpi! — szepnęła Marta.

— To dobrze, sen pokrzepia — odparł Janusz i cicho zasunął rolety.

W pokoju zapanował mrok: w cieniach łóżka widniała biała, drobna jej twarz i unoszące się pod bielizną piersi.

Skrzypnęły drzwi, wsunęła się głowa gospodyni, która rozpaczliwymi gestami wywołała ich na korytarz. Gdy wyszli, zaczęła im gorąco przekładać, że chorą należy koniecznie przenieść do sanatorium. Z potoku jej słów Janusz zrozumiał, że pragnie się Klary pozbyć gwałtownie, długo się sprzeciwiał, aż wreszcie uległ namowom i udał się zasięgnąć w tej kwestji rady lekarza.

Doktor, który znał dokładnie stan swej pacjentki, wytłumaczył, że przenosiny są bezcelowe, że zresztą wstąpi przed wieczorem.

Gdy Janusz wrócił, dowiedział się, że Klara śpi jeszcze i nie należy jej niepokoić.

Kiedy po paru godzinach zajrzał, zobaczył, że leży, jak ją zostawił, na wznak, ale trochę nienaturalnej pozycji: z głową wykręconą do ściany i zwisającą bezwładnie z krawędzi łóżka białą, jak alabasterę ręką.

— Nie żyje! — zaszepotało mu trwożnie pod czaszką.

Dotknął dłoni, była zimna, zaglądnął w twarz i zobaczył nawpół otwarte oczy z zastygłą między rzęsami łzą i ten pogodny, zamknięty w sobie, cichy lecz chłodny, zagadkowy i obcy dla żywych pół-uśmiech, jaki miewają spokojnie umarli.

— No tak! — po dłuższej pauzie przemknęła w głowie myśl, niby ostateczny wniosek całego szeregu mętnych dociekań. Podniósł troskliwie i ułożył wzdłuż ciała opuszczoną rękę, następnie rozsunął rolety, otworzył naościęz okna i drzwi balkonu, machinalnie zabierając się do wszystkich drobnych czynności i kłopotów, związanych ze sprawą pogrzebu.

Było ich niemało. Janusz nie żałował fatygi i języka, by urządzić wszystko, jak należy, i nie dać się przy tem obedrzeć.

Jakoż udało mu się, pomimo stosunkowo nieznaczących funduszków, zakupić miejsce i murowany grób.

Wyprowadzenie zwłok, przez wzgląd na spokój kuracjuszków, odbyło się jak zwykle w sekrecie i do dnia.

Czterech tragarzy wyniosło na noszach przykrytą czarnym suknem trumnę... Musiała nie być ciężką, bo pięli się prędko pod górę do Gardony sopra, gdzie leżał parafjalny cmentarz. Na przodzie ktoś świecił latarką — z tyłu postępował Janusz i Marta.

Dogasały już gwiazdy i robiło się białe, gdy szczypty kondukt znalazł się w obrębie pełnego kamiennych krzyżyków i kilku pięknych pomników schludnie utrzymanego „campo santo”.

Stary ksiądz w wyszarzanej sutannie wymruczał pośpiesznie obrzędowe modlitwy i pokropił obficie zwłoki i zebranych. Zadygotała krótko na intencję zmarłej sygnaturka, a potem na prymarję odezwały się dzwony okolicznych kościołków: zakołysały się jak gdyby przeciągłe jęki nad ziemią, rozchodziły się melodyjnie po jeziorze, roztrącały żałośnie na skałach, a gdy umilkły, błędziły jeszcze dalekie, dźwięczne echa, jakoby na cytrach granie.

Zachurkotała spuszczone na pasach trumna. Tęgi Włoch w bandyckim kapeluszu i zielonym fartuchu począł zamurowywać sklepienie, chwycił cegłę po cegle, dopasowywał młotkiem, cementował kielnią, a słysząc kołatanie tych narzędzi, Janusz doznawał wrażenia, że grób wystukuje jakieś nieznanne, tajemnicze słowa.

Pierwsze grudki przyjętym zwyczajem rzucone zostały ręką — następnie żywo poczęły pracować łopaty.

Ostry chrzęst sypiącego się żwiru i głucho stękanie walącej się ziemi wywoływały w sercu Janusza uczucie dotkliwego smutku.

Ale zaledwie została ukończona mogiła, dopominanie się o napiwki, sprzeczki o zapłatę zniszczyły ten nastrój.

Rozdrażniony targami, zmęczony całodzienną bieżącą i niedospaną nocą podawszy rękę Marcie, począł w milczeniu zstępować na dół.

Było już prawie widno. Mocno skrzył się śnieg na Monte Baldo, a w przejrzystym powietrzu rysowały się wyraźnie wszystkie załomy gór, skały i urwiska — w oddali, niby wieżycy gotyckiego tumu, czerniały grupy strzelistych cyprysów.

Omgłone jezioro zdawało się spać jeszcze, a przyparte do brzegu żagle barenk — śnić.

Pusto było, bezludnie i niezmiernie cicho.

Zdenerwowana przejściami ostatnich dni, Marta tuliła się lękliwie do ramienia Janusza, drżąc lekko, jak od chłodu. On widział delikatny puszek jej policzków, chwiejący się nad drobną, różową konchą

o*

Ucha rozplątany z fofy lok — i kryjący w długich rzesach nieco wilgotny błękit oczu.

— Spocznijmy, Marto! — rzekł po raz pierwszy zwyczajnie po imieniu.

Usiedli na ławce.

— Jaki żal — szepnęła i w źrenicach jej błysnęły łzy.

Rozrzewniony przygarnął jej głowę do serca i począł głąskać łagodnie po jedwabistych włosach.

Pocałował w wilgotne oczy, potem w rozchylone usta, raz jeden i drugi i bez liku i bez pamięci.

Objął ją, a ona opasała go splotami rąk i poczęła oddawać pocałunki, drgać, prężyć się w ramionach i powtarzać zdyszczonym szeptem:

— Mój, mój...

— Moja — zanurzał wargi w wycięcie sukni i niewiadomo za czyją sprawą rozpięty się zatraski stanika, obnażając całkowicie opaloną ciemnof-złocistą płeć szyi i biało-różowe wezbrane namiętnością dziewicze, jędrne piersi.

Znikło z oczu wszystko: widność świata i ślepotą śmierci, wstępujące w niebo płomienne słońce i świeży, ciemny grób.

Silniejsza niż wzburzenie żywiołów — pożar, wichur, powódź, trzęsienie ziemi — elementarna potęga związała ich rozkoszy uściskiem i poniosła w krwawy szal...

III

W pierwszych miesiącach miłosnego' upojenia nadmiar zmysłowych rozkoszy niweczył poczucie różnic indywidualnych i zarówno Marta jak Janusz uważali się za szczęśliwie dopasowane małżeństwo.

Ale gdy nadszedł czas normalnego układania się pożycia, szło znacznie trudniej, niż się spodziewali.

— Utrze się! — pocieszał się Janusz, starając się nie pamiętać rozmaitych drobnych zakłóceń i wprost zdumiewających go chwilami nieporozumień.

Tymczasem droga stała się coraz mniej gładka, po przykro trzęsącej grudzie nastąpiły jeszcze dotkliwsze wyboje.

Jedną z na j główniejszych przyczyn takiego biegu rzeczy była rodzina Marty, składająca się z dwóch sióstr zamężnych i brata kawalera.

Starsza Anna była za dość wziętym adwokatem, średnia Melanja za dobijającym się coraz lepszej pTaktyki lekarzem, a brat Juljusz, zdolny inżynier, zużytkował swe fachowe wiadomości na robieniu spekulacji placami i domami.

Przystojny, wesóły i sympatyczny, skutkiem wielkiego powodzenia u kobiet zwlekał z ożenkiem, hołdując; jak zwykł mawiać, uśmiechając się hultajsko, zasadzie Spencera, że na różnaitości polega urok wszelkiej zabawy, przyczem pokpiwał z sióstr i szwagrów, że się tak nieopatrznie dali wziąć na nudny sakrament.

Cała ta grómada stanowiła od lat kilku znakomicie dobrany świeatek.

W stosunkach panowała nie tylko zupełna harmonja, ale uprawiał się pewien kult wzajemnej adoracji.

Siostry miały wysokie mniemanie o wartości własnej i swych mężów; mniej zaślepieni z natury mężczyźni podsycali to uczucie przez wzajemne reklamowanie swych zalet i jeżeli w swoim kółku pewno dość pobłażliwa zresztą krytyka była dopuszczalna, to nazewnątrz obowiązywało solidarne popieranie się w każdym absolutnie wypadku.

Marta, jako najmłodsza, była benjaminkiem całej familji: szwagrowie, brat i siostry, uważając się za naturalnych następców nieżyjących rodziców, otaczali ją opieką i szczególnymi względami.

Uroda jej, spryt, ponętna kokieteria — wszystko było przedmiotem stałego zachwytu. To też, gdy wybór jej padł na Janusza, osoba kandydata stała się przedmiotem ożywionych debat.

Zdania były podzielone: panowie twierdzili, że Janusz nie jest żadną partją, godną ręki Marci; majątku nie ma* stanowisko literata zapewne jest zaszczytne, ale żyć z tego trudno, zwłaszcza przy jego skrajnych poglądach, niepopularnych wogóle, a zdyskredytowanych wskutek ostatnich wypadków, w oczach trzeźwo myślących ludzi.

Panie nie oponowały wprawdzie przeciw powyższym wywodom, ale zdradzały niezwykle silne zainteresowanie się osobą Janusza: „talent i sława” — mówiły z zapałem — „artysta”, „człowiek w każdym razie niezwykły! — i to ich entuzjastyczne stanowisko stało się powodem pewnej konsternacji i niepokoju w obozie męskim, w wejściu bowiem Janusza do rodziny zaczęli upatrywać pewne niebezpieczeństwo dla siebie, obawiali się, że ten z innego świata człowiek może zachwiać ich autorytetem, naruszyć błogą równowagę.

I na tym tle zawiązała się milcząco niejako koalicja przeciw osobie przybysza.

Wrażliwy Janusz odczuł odrazu niechętny nastrój panów i wkrótce zrozumiał, że istotnie są to odmiennego typu, niż on, ludzie, i w ich środowisku pozostanie zawsze do pewnego stopnia intruzem.

Stosunek ten, dość nieprzyjemny, dałby się wyminąć, gdyby nie to, że Marta objawiła silne ciążenie w tę właśnie stronę, w otoczeniu swej rodziny czuła się jak w swoim żywiole i irytowało ją, dla czego Janusz w tem towarzystwie ma się nieswojo.

Obawy mężów na razie okazały się płonne: panie szybko się rozczarowały; Janusz nie umiał imponować, a poczucie obcości czyniło go zwłaszcza z początku trochę niezgrabnym i jakby zażenowanym.

To też pierwsze wrażenie było raczej ujemne, niż dodatnie.

Wkrótce też żony musiały przyznać rację wątpliwościom, wyrażonym przez mężów. Okazało się, że dochody Janusza nie są w stanie postawić domu na właściwej stopie; i podczas gdy one miały obszerne apartamenta z gazowym oświetleniem i wszelkimi wygodami. Marta gnieździła się w trzech lichu umeblowanych pokojach w oficynie trzeciego piętra i musiała się obywać jedną służącą do wszystkiego.

Co gorsza, nie było nadziei, by ten stan mógł się poprawić. Janusz pisał stosunkowo niewiele i zgadzał się jedynie drukować w niektórych tak zwanych postępowych, mniej popłatnych pismach. W dodatku tracił wyraźnie szansę stania się popularnym autorem, nastął bowiem okres ogólnej reakcji, znakomita sposobność do obdzierania z laurów zastępu „Młodej Polski”, doba odwetu, w której wylegli pozapędzani przedtem w kąty ciurowe krytyki i po wzajemnem porozumieniu się jęli wyklinać w imię swojskości „destrukcyjnych” pisarzy i, przeciwstawiając im dawno wyszeptane talenty, ustawiać stare spróchniałe bóstwa na szczydłach reklamy.

Janusz doskonale zdawał sobie sprawę z całej sytuacji, ale Marta i jej rodzina, która również posunęła się znacznie wstecz, nie orjentowała się, na czym polega owo „przeszacowanie” wartości, i była przekonaną, że świetnie zapowiadająca się przed kilku laty gwiazda talentu Janusza istotnie przygasa.

Oczywiście Januszowi nie mówiło się o tem otwarciu, ale dawano mu to odczuć w postaci lekkich aluzji naprzykład przy czytaniu odcinka któregoś z „Kurjerów” doktor, uderzając ręką w gazetę, wołał:

— Ten, to rozumiesz, pisze...

<— Jak na maszynie! — potwierdził Janusz, uśmiechając się dziwnie.

— Grubo musi zarabiać — wtrącił adwokat.

— Po dziesięć albo piętnaście kopiejek za wiersz objaśniał Janusz.

' — A ty?

— Pięć, sześć, wyjątkowo siedem...

Dlaczego im czego nie pošlesz?

— Wątpię, czyby wzięli, a zresztą kierunek tego pisma jest sprzeczny z memi przekonaniem.

— Mój drogi — zabrał głos inżynier — ja, jak stawiam dom, nie pytam o poglądy właściciela placu, Stefana nie interesują przekonania jego klientów, Stacha — pacjentów... co to ciebie obchodzi, jak myśli redaktor, abyś zrobił swoje... Któryś z wielkich, zdaje mi się Puszkin, powiedział: twórczości się nie sprzedaje, ale rękopis można...

— Mój rękopis to część mego ja... Mogę się z nim stawić w redakcji obojętnej, ale nie w tej, która mnie zwalcza. Ty stawiasz mieszkania dla przygodnych lokatorów, a ja, widzisz, buduję twierdzę ducha, i na tem polega różnica.

Mężczyźni przerzucili się porozumiewawczymi spojrzeciami. Panie patrzyły ciekawie na Janusza, słysząc w akcencie jego mowy podniosły ton, ślecfząc w wyrazie twarzy ten niepowszedni błysk, który spodziewały się w nim widzieć stale.

Marta spłoniła się lekko, była dumna z męża w tej chwili.

— Zapewne — zaczął poważnie doktor — ale obok twierdzy musi być odpowiednie zaprowiantowa- nie załogi, zwłaszcza, gdy się ma żonę, a w perspektywie, choć Marcia nie spisuje nam się dotąd, dzieci. Dziś, dajmy na to, nie jest jeszcze źle, ale już są braki: nie macie odpowiedniej zastawy, Marcia nie ma buduaru, salonu...

— Ale ma mnie — przerwał trochę wyniośle Janusz.

'= — Nie tylko ona, za 9 rubli 50 kop. nabyłem całego Tarczyńskiego, nota beue w płóciennnej oprawie — dociął z burzliwie figlarnymi płomykami w oczach inżynier.

Adwokat parsknął śmiechem.

Cios był trafny; istotnie to, z czego się chlubił Janusz, można było nabyć za tę cenę.

Janusz się zmieszał, trochę przybladł i odparł słabo:

— Tak, to co dałem, ale nie to, co pozostało we mnie.

— O tem ja nic powiedzieć nie jestem w stanie — rozłożył komicznie ręce Juljusz — jako inżynier potrafię zbadać i określić wartość pokładu węgla, ale twoją kopalnię, Januszu, muszę szacować według tego, co widzę na powierzchni lady księgarskiej.

— To jest 9 rubli 50 kop. — dygotały w głowie Janusza myśli jak ostre strzały i, nie znajdując odpowiedzi, spojrzął na Martę, jakby szukając w niej oparcia.

Ale spotkał go nieżyczliwy grymas niby urazy.

Marcie było nieprzyjemnie, że się dał pobić, a zarazem czuła się dotkniętą, że jest zdania, iż jego osoba winna jej wystarczać za wszystko.

Uwagom szwagra przyznawała w duchu rację.

Nabyta na włóczędździe niedbałość Janusza o jutro, pewna artystyczna cyganerja, lekceważąca sobie różne wymagania owej skali życia, którą Marta przywykła uważać za niezbędną i której utrzymanie było naj- główniejszym celem zabiegów mężów siostr, stawały się nieraz tematem sprzeczek,

— Nie rozumiem — oburzała się często — jak artysta może być obojętny na brak estetyki w mieszkaniu, w którym się spędza większą część życia.

— Nie jestem wcale obojętny... przeciwnie! bronił się Janusz — ale, widzisz, urządzić się ładnie.

Ida ota« —

stylowo, tak jak ja to rozumiem, na to trzeba być magnatem, skoro nas nie stać, to przyznam ci się, równie mi są obrzydliwe Wojciechowskie czy wiedeńskie meble, prawdziwie więcej mi już przypadają do gustu proste stołki lipowe, ławki, parę kilimów... trzeba by o tem pomyśleć.

Martę te jego pomysły przejmowały trwogą; widziała kiedyś na wystawie etnograficznej chłopską chatę, wydało to jej 'się bardzo swojskie, ale również niewygodne. Krytykę zaś, której. Janusz poddawał urządzenia lokalów swych szwagrów, nazywając te apartamenta typowo „burżuazyjnym” Pocięj owem, przypisywała jego skrajnym społecznym poglądom, które były przedmiotem szczególnej irytacji zarówno jej, jak i całej rodziny.

Ta sprawa była jedną z najdrażliwszych.

Doktor, adwokat i inżynier zaliczali się do obozu trzeźwego postępu, pozytywnej pracy, obcej wszelkim „mrzonkom”, i nie mogli wprost znieść tych ledwie dostrzegalnych półuśmiechów „z jakimi, nie protestując otwarcie, Janusz słuchał ich wywodów. *

W ogóle wrażliwa twarz Janusza, zdradzająca nastroje uczuć, szkodziła mu w tych stosunkach najwięcej.

Zdarzało się nieraz, że podczas swobodnej gawędy o sprawach publicznych, o własnych interesach dość im było spojrzeć na jego wyraz twarzy, by odczuć, że ten człowiek stanowi opozycję, że w duszy jego odbywa się tajemny proces bezlitosnej krytyki, jakoby sądu z niepoehlebnym dla obecnych wyrokiem.

I wówczas rozmowa nabierała dziwnego charakteru: gwałtownego przekonywania, że milczący oponent nie ma słuszności.

Mówiło się o oplakanych skutkach minionego ruchu, o klęskach, sprowadzonych na kraj, o bandytyz- mie, ogólnej deprawacji mas, ze szczególną satysfak- 9d

cją wytykano wszystkie błędy i niepowodzenia skrajnych stronnictw.

Dużo pod tym względem bolesnego dia Janusza ma&rjału dostarczał adwokat, jako należący do koła obrony spraw politycznych. On to wreszcie sprowokował go,

Kiedy bowiem żona jego, dość gorąco kąpana kobieta, zaprotestowała przeciwko bezwzględnemu pastwieniu się nad obozem pobitych i przypomniła szereg podniosłych momentów, mąż odparł z pewnem podrażnieniem:

— Tak, pod wpływem chwilowego nastroju, ale ja przecież mam obecnie sposobność dotykać się zbliż- ka, wiem, co się dzieje; świadkowie nieproszeni śpiewają jak z nut; lepi się od błota owa sławetna partja...

Janusz zmienił się na twarzy i przerwał:

— Wsławił się Leonidas przez Efejtesa — głos jego drżał i w tym wąwozie, gdzie był bohater i zdrajca, potomność postawiła pomnikowego lwa, bo był bohater... Lwia nasza lista dłuższą jest od czarnej, w tem widzę świetność... Wszystko zależy od strony, z której się chce oglądać zjawiska...

— Najlepiej patrzeć bezstronnie... — wycedził doktor.

— Zapewne, ale już taka jest właściwość mego wzroku, może dlatego, że krew mego ojca w żyłach mi łka.

Doktor przybladł na twarzy, pani Melanji wystąpiły wypieki. Janusz bezwiednie dotknął bolesnych wspomnień: niezaszczytnej roli, jaką rodzice lekarza odegrali w wypadkach z przed czterdziestu kilku laty, i, choć aluzja była mimowolną, epizod ten wpłynął na zaostrenie się stosunków.

Janusz przestał bywać na familijnych zebraniach. Marta chodziła sama, a gdy wracała, czuł, że przy-

chodzi jakby nieprzychylnie napompowana, rozkapryszona, pełna różnorodnych pretensji.

Nie mylił się*, w jego nieobecności odbywał się rodzaj rad rodzinnych, podczas których napadano na Martę, że się nie umie postawić jak należy, że powinna wymagać, by się zabrał do jakiegoś istotnego zajęcia — do lekcji, do pracy biurowej — w wolnych chwilach niech się bawi piórem.

— Próżniak to jést w gruncie rzeczy i basta! — taka mniej więcej składała się w rezultacie o nim opinia, którą nasiąkała stopniowo i Marta.

Istotnie, o ile praca jej szwagrów rzucała się w oczy, gdyż o wyznaczonych godzinach w poczekalniach panował gwar, ruch, przewijali się pacjenci, klienci, wszystko świadczyło, że się coś namacalnie dzieje, odbywa — o tyle warsztat jej męża sprawiał wrażenie nikłe i ciche.

Trochę papieru na biurku i książek, chodzenie godzinami z kąta w kąt, od czasu do czasu jakaś notatka — nic więcej.

Podczas gdy adwokat mógł godzinami 'opowiadać o'zawilościach wygranej sprawy, lekarz o przebiegu i trudnościach dokonanej operacji, inżynier o rozmiarach placów, cenach, planów domów — Janusz, zapytany, co robi, mógłby odpowiedzieć co najwyżej: myślę.

Czasem próbował wciągnąć żonę w zakres tych myśli, ale przychodziło to niełatwo, trudno mu było wogóle rozpowiadać o tajemnych, nieraz nawpół świadomych procesów twórczości, a tem bardziej w przykrym nastroju ich współżycia.

Zadawał sobie jednak gwałt i czytywał jej bruljony, lecz głuchy ze wzruszenia głos, zająkiwanie się na mniej czytelnych miejscach, dostrzegane chropowatości stylu psuły wrażenie.

Janusz czuł wyraźnie, że efekt musi być chybio-

100

iiy, że jest to pozbawione wszelkiego uroku dla Marty, a dla niego niemal bolesna lektura.

Zresztą w tych czasach nie był rzeczywiście usposobiony do pisania.

Troski realnej rzeczywistości rozjadaly tkanę marzeń, nie pozwalały się zapomnieć, wejść całkowicie w temat, by stać się jego życiem.

Nowa powieść, którą zaczął, szła opornie i to go rozdrażniało; pragnął bowiem jak najprędzej zakończyć pracę, by za otrzymane honorarium wyjechać gdzieś z Martą. Przypuszczał, że w tym wspólnym wojażu uda się im lepiej zespolic, odzyskać całość nadwerężonych uczuć, zwrócić się ku sobie sercami, jak niegdyś.

Lubił marzyć o tej podróży i było mu przykro, że Marta wątpi w urzeczywistnienie tych pięknych projektów.

Zmuszony przez nią poruszyć stosunek do jej rodziny, miał z nią dłuższą, cieplejszą rozmowę.

— Owszem — usprawiedliwiał się — chętnie u- znają, że są to przyzwoici, dobrzy i pożyteczni ludzie; nie podzielam w wielu punktach ich poglądów, ale przecież nie usiłuję ich reformować, dlaczegóż oni pragną mnie przefasonować na swoje kopyto. Powinni zrozumieć i tyś im powinna wytłumaczyć, że między nami istnieje pewna zasadnicza różnica. Ja im nie mam za złe, że Stefan pragnie zdobyć jak najwięcej spraw, Stach chorych, Juljusz afer, wypływa to nie tyle może z chęci robienia fortuny, ile z naturalnego popędu każdego człowieka rozszerzyć zakres swej działalności, i wpływu. Dążenie to istnieje i we mnie, tylko przejawia się z natury mego fachu w sposób odmienny. Fachem mym jest rozwój duszy; o nią, by rosnać w siłę, troszczyć się muszę przede wszystkim, ją kultywować, szanować jak śpiewak gardło, by nie stracić czystości głosu, nie fałszować

10

i Któż cię do fałszu zmusza? i — Istnieją tendencje w tym kierunku, ja, Marto, jestem bardzo wrażliwy, przez skórę czuję, intuicyjnie się domyślam wielu rzeczy... Śmiałybym się z tego wszystkiego, gdybym był pewny, że dzieje się to bez twego udziału...

Marta zaczerwieniła się mocno.

— O ile mówimy o tem — zaczęła bąkać — to przez wzgląd na nasz wspólny interes, dobro...

— Interes nie zawsze jest dobrem — przerwał, marszcząc się, Janusz, a widząc jej pomieszenie, dodał łagodniej — ja wiem, że trzeba czasu, by się żyć, dopasować, ale nie tylko czasu, lecz i wzajemnych usiłowań...

Pewne usiłowania, podjęte po tej rozmowie w tym kierunku, polepszyły stosunki i wpłynęły na nastrój, zgromadzeń rodzinnych, którym Janusz począł asy- • stować.

Drażliwe kwestje znikły z widowni, konwersacja nieraz zaczynała krążyć koło interesujących Janusza tematów, skutkiem czego asysta zmieniała się często na czynny współudział w rozmowie.

— Cóż, podobno powieść piszesz? — zdradzał zajęcie się jego pracą inżynier.

— Coś w tym rodzaju.

— No i wyjdzie Numa za Pompiljusza — żartował.

— Nie wiem jeszcze, sprawa bowiem erotyczna będzie ledwie tłem, myślę sięgnąć w inną, mniej zbadaną dziedzinę duszy...

To szkoda — wtrąciła pani Melanja — powieść bez romansu, to jak kwiat bez zapachu...

— A bo wy — odezwał się doktor — aby o miłości i najczęściej duby smalone; ze zdrowego instynktu poezja zrobiła szpital, neurastenję; czy nie mam racji? — zwrócił się do Janusza.

Niewiele — odparł Janusz — ów zdrowy instynkt to nieraz brutalność, poezja go wysubtelnia, pogłębia; sprawę w istocie swej bardzo ziemską potrafiła uszlachetnić, otoczyć błękitnymi czarami niebios... Któż z nas w wiosnie życia nie kochał się na wzór „W Szwajcarii” Słowackiego. Reminiscencje poetyckie stają się jak gdyby podręcznikiem miłosnych wzruszeń całej ludzkości, tej idealizacji każdy z nas wiele cudownych chwil zawdzięcza, w blaskach jej wszystko piękniej wygląda, bujniej rozkwita...

— Bravo! — klasnęła w dłonie pani Anna — was, moi panowie — zwróciła się do męża — należałoby oddać na czas pewien do terminu Januszowi, byście się nauczyli sztuki kochania.

— Ho, ho — przerwał wesoło adwokat — Andzi się przypominają dziewicze czasy, postarzeliliśmy się, moja droga.,. %

— Za prędko, właśnie dla tego tak prędko, żeśmy rozmieniali skarb uczucia na drobną monetę nałogu.,.

— Znakomicie! — wykrzyknął z zapalem Janusz i z radością pocałował panią Annę w obie ręce.

— No to dobrze — zaczął doktor — ale czy nie są to w gruncie rzeczy iluzje? Czytałem właśnie opis popłochu w teatrze. Rycerscy panowie tratowali swe damy, opuszczali ukochane nad życie, by ratować siebie...

t| , ~ Cóż z tego? — oponował Janusz — że w człowieku łatwo się budzi zwierzę, czy dla tego nie należy zrywać w sobie anioła, przeciwnie, jak najczęściej... Jeżeli przez odpowiednią kulturę zdołaliśmy z dzikiego głogu wyprowadzić najcudniejsze odmiany róż, dla czego byśmy, postępując odpowiednio z gatunkiem ludzkim, nie mogli osiągnąć wyższych istot, niż jesteśmy obecnie. Ideał nadczłowieka nie jest próżnym złudzeniem...

— Zapewne — rzekł Juljusz — tylko że trudno

sobie pozwolić na OWą hodowlę... walka o by!...

— To też tę walkę — ożywał się coraz silniej Janusz — znieść należy. Stosunki można tak ułożyć, że troska materialna będzie nie więcej wymagała wysiłku, niż oddychanie... Wyzwolona energia obróci się w kierunku doskonalenia naszego jestestwa.

— To są utop je!...

— Nie, to konieczność!

— Nim słońce wszędzie, rosa oczy wyje.

— Ale przecie wszędzie! — rzekł z mocą Janusz « oczy mu zajaśniały; dreszcz jego entuzjazmu udzielił się paniom.

wszystkie trzy chłonęły go wzrokiem, w zapale swym wydawał im się niezwykle wysoki i piękny.

Marta przysunęła się i szepnęła: Kocham.

— Nade wszystko!.. — odpowiedział cicho Janusz.

— Co to za konszachty? — uśmiechnęła się życzliwie pani Melanja.

Marta zaróżowiła się i spytała: można powiedzieć? — a gdy Janusz skinął głową, oświadczyła z tryumfującą miną:

— Janusz powiedział, że mnie kocha nadewszystko!

— Bagatela!.. — zaczął trochę powątpiewająco doktor.

— Dlaczegożby nie? — zaprzeczył nieco ironicznie inżynier — co innego my, terminatorzy, ale mistrz zdolny jest niewątpliwie do takiego patosu uczuć, zwłaszcza, gdy wszzechwobec to stwierdza.

Twarz Janusza zgasła, zmieszał się, a gdy znalazł się w domu, tuląc do piersi Martę, począł mówić urywanie i szybko:

— Trochę skłamałem; Kocham cię bardzo, są jednak rzeczy, rozumiesz... ojczyzna, zakon mojej duszy... zresztą poco mówić, przecież wiem, że ty nie zechcesz nigdy... — ! ogarnęło go niezwykle wzruszenie i jakby smutek złych przecuć.

W parę dni potem Marta wróciła z miasta niezwykle ożywiona i oświadczyła, że jutro muszą się stać w mieszkaniu u Juljusza.

— Zdarza się jakiś znakomity interes — opowiadała chaotycznie Juljusz pragnie zaangażować mój posąg... Z tych siedmiu tysięcy w parę lat może się zrobić dwadzieścia siedm, a nawet więcej. Chodzi o twoją zgodę. Jakies grunta pod Warszawą, pokazywał plany, ale ja się na tem nie znam.

Januszowi ścierpły ręce.

— Marto — wymówił poważnie — to nie może być dobry interes!

— Zobaczysz! Juljusz ma głowę nie od parady* trochę ryzykant, ale zato Stefan, a zwłaszcza Stach są przezorni.

— Zobaczymy — weschnął i stawiał się w oznaczonej godzinie.

Wszyscy byli już w komplecie. Mężczyźni siedzieli około stołu, na którym leżał plan Warszawy z okolicami; jedno miejsce było zakreślone czerwonym ołówkiem.

Panie usadowiły się na kozetce. W jednej z najciemniejszych kątów umieścił się Janusz.

^v — Więc otwieram sesję — rzekł z żartobliwą powagą Juljusz — i, jako referent, proszę o głos.

— Ten grunt — wykreślił granicę — łyki gotowe są oddać za 30 do 40 tysięcy rubli z pocałowaniem ręki. Istotnie obecnie nie jest to więcej warte, z powodu bowiem fortu ani drzew zasadzić, ani murowanych fyudynków stawiać na tym terenie niewól no. Tymczasem wiem już napewno, że, primo, droga kolejki podjazdowej pójdzie przez te pola, a secundo, co najważniejsze, fort i to wkrótce zostanie zniesiony. Rozumiecie chyba, jak ta ziemia zacznie skakać w górę!...

Ale to jeszcze nie wszystko. Warszawa, która skutkiem cytadeli nie może się rozwijać w kierunku nadwiślańskiego dworca, zacznie się posuwać w naszą stronę. Za parę lat morgi te będzie się sprzedawać na łokcie, a komu da Bóg dłużej wytrzymać, na tych placach powstana jedno z najpiękniejszych dzielnic mia- miasta. To fortuna! — zakończył.

— Czy jesteś tylko pewny — wtrącił doktor. \

— Tak dalece — zapalał się Juljusz — że pakuję bez wahania cały swój kapitał na ostatni numer hipoteki, wasze staną na pierwszym, nie ryzykujecie więc nic, najwyżej brak j>rzez czas pewien procentów; na naczelnem miejscu stanie oczywiście fundusz iMarty...

— Ja myślę, że istotnie zaangażować się śmiało można, tracimy wprawdzie procent, ale wobec spodziewanych korzyści — zwrócił się do żony adwokat.

— Naturalnie! — odparła pani Anna.

— Ja również rezygnuję z procentu, o ile dochodu nie będzie — wymówił po namyśle lekarz.

— My także ~ zaczęła Marta.

—: Nie — zaprotestował Juljusz — ty się nie potrzebujesz zrzekać, bo nie masz z czego — Pola wydzierzawiamy tymczasem choćby pod kartofle; po o- płaceniu podatków, na ciebie wystarczy. No, ale Janusz, cóż ty, ąankcjonujesz?

— Nie — zabrzmiał głucho głos.

Dlaczego? — wszyscy zwrócili się w jego stronę.

— To nie jest dobry interes, Juljuszu! — mówił Janusz, patrząc w przestrzeń.

— Czyś ty oszalał!... to nie jest dobry interes?

— Od jedenastu lat z tym się poram i po ra? pierwszy natrafiam na tak szczęśliwą operację...

— Może korzystny, ale nie dobry — starając się jak najogólniej wyrazić swą myśl, jąkał się Janusz

— nieświadomi sprzedawcy, podczas gdy my zarabiamy, tracą...

— To jest w porftdku rzeczy... jeden zarabia, a drugi traci! — zaper^ł Juljusz — zresztą, jeśli nie my, skorzysta kto isPY— l|| — Niech sobie korZY^{sta} — ze szczerze zmartwionym wyrazem twarzy ^ybąkał Janusz. — Marto, ty tgeo nie rozumiesz, ale ja ci wytłumaczę... Chodźmy do domu — wymówił zni^{on}Y^m głosem. — Musimy się namyślić — dodał, chc& złagodzić wrazenie... Chodźmy do domu, Marto! — powtórzył i wstał.

W pokoju zapanowało ciężkie milczenie. Marta nie ruszała się z miejsc^ siedziała osowiała z przym- kniętymi oczyma.

— Marto, ja idę! — rzekł Janusz zmienionym głosem.

— A ja zostaję! odparła ² tłumioną irytacją; poruszyła się niecierpliwie ^{na} krześle i siadła bokiem.

Janusz widział jej dziwnie zaostrzony, przykry jakby obcy profil.

Patrzył chwilę bolenie, odwrócił się i wyszedł.

Mąciło mu się w głosie, potęrał co moment przechodniów, plątał się na skrzyżowaniach ulic, o mało co nie wpadł pod tramwaj i, dopiero znalazłszy się w domu, odzyskał jasne widzenie rzeczy.

— Nie mogę się zgodzić — rozmyślał, chodząc wielkimi krokami po pokojach — to jakbym wyłudzał bilet loteryjny, o któryś dowiedziałem, że nape- wno wygra.

— „Szczęśliwa operacja”, „To jest w porządku rzeczy”, trafne określenia, a jednak tak jest istotnie. „Jeśli nie my, skorzysta kto inny” i to racja.

Spostrzegł się, że doświadcza jakby zachwiania.

— Jednak ja się zmieniłem i to grubo — wyszeptał z goryczą. — Marta ² nimi... jej pieniądze bez mojej zgody nic zrobić nić może... Tę władzę przyznaje

mi prawo... Kodeks Napoleona... Bóg wojny. — Myśli zaczęły biec w odmiennym kierunku, musiał użyć wysiłku, by je na właściwe tory swrócić. Nie miał już wątpliwości żadnych. Znalazł się natomiast w nowej kolizji: jeśli nie da ruszyć pieniędzy, skorzystasz niesłusznie przysługującego mu prawa, jeśli pozwoli, popełni tak zwany w katechizmie grzech cudzy.

— Muszę ją przekonać, ona się nie orientuje w sytuacji — gotów był ją usprawiedliwić, ale ciągle zawadzał mu głęboki żal i uraza, że została.

Mrok wypełniał pokój. Janusz, zanurzony w ciemnościach, odrzuciwszy głowę na poręcz fotelu, opuściwszy w dół ręce i zamknąwszy oczy, doznawał tego niezwykłego wyzucia z sił, jakie bywa w chwilach absolutnego zniechęcenia do myślenia o czemkolwiek, do odczuwania, do życia. Słyszał, jak w jadalnym pokoju służąca zapalała lampę, szykuje do herbaty, j pragnął, by te przygotowania ciągnęły się jak najdłużej ; nie chciało mu się bowiem za nic ruszyć z miejsca, odpowiadać na przewidywane pytania.

— Czy mam podać, czy czekać na panią?

— Może Marjanna iść spać — wywiał na usta dawno przygotowaną odpowiedź, i wsunął się w fotel, jakby miał zamiar do reszty się obezwładnić, wyzbyć się ostatecznie poczucia istnienia.

Siedział tak długo bez ruchu, potem otworzył leniwie oczy i przez zmrużone rzęsy wpatrywał się w drgania rozchodzących się promyków lampy, wsłuchiwał się w monotonne tykania zegaru.

— Musi być późno — pomyślał i wstał.

Zamykano bramy. Zegar wskazywał jedenastą.

— Nie wraca — westchnęła myśl.

Nalał szklankę herbaty. Skosztował: była wstrętnie letnia i gorzka. Przelknął plasterek szynki, zapalił papierosa i zaczęło się oczekiwanie.

Każdy turkot dorożki, łoskot kroków, szmer na
JC3

schodach wzniewał niepokój, ciepłą nadzieję, że Marta nadchodzi.

Tymczasem płynęły milczące godziny, ubywały w kamienicy kwadraty oświetlonych okien, zacichał ruch i czasem tylko szybki tętent kopyt, roznoszących rias gumowych kołach po ulicach rozpustę, świadczył, że miasto nie umarło zupełnie.

— Nie wróci — szepnął Janusz, zzuł obuwie i położył się, jak nieraz za czasów kawalerskich, w ubraniu na łóżku.

W lekkim drzemaniu począł mu majaczyć pewien nocleg w czystym odludnym polu. Podobnie jak teraz wyczuł zbliżające się widma niebezpieczeństwa, znużenie, samotność i głód. Jęły go osaczać, jak wówczas, obawa przed niewiadomą czeluścią jutra, obojętne chwile zupełnej rezygnacji, przerywane trwożnym biciem zalęknionego serca.

Zasnął mocniej dopiero nad ranem, a gdy się obudził, ocknęła się jednocześnie zeszywniała w mózgu myśl, że pokój Marty jest pusty. Następnie zaczęły się snuć zgryźliwe wnioski, że na złość mu została, że się tam toczyły uwłaczające mu rozmowy, że go spotkało coś gorsze, niż zdrada.

Boleść jego poczęła przybierać kanty niezwykle ostre, nieznośna rana zaczęła się zaogniać płomieniami oburzenia i gniewu. Z dziką satysfakcją uprzytomnił sobie całe mnóstwo drobnych poniżeń, które znosił pokornie, i rozjątrzył się zawzięciem pragnieniem odwetu.

W głowie mu się począł formować zjadliwy list, pełen cięć subtelnych i ostrych, jak chirurgiczne lancety. To mu przyniosło ulgę. Zapalny stan mijał, a jednocześnie iście literacki pomysł zemsty wygasł. Zwarty ból począł się rozplýwać w cichy smutek i ociekający łzami żal.

Marta jęła mu się wydawać godną jedynie ser-

decznego współczucia, zaplątaną w trudne dla niej zawilóści życia słabą istotą, dzieckiem, które, nie wiedząc, czego chce, zaczyna kaprysić.

Powziął zamiar, gdy przyjdzie, powiedzieć: be! dziecko! nie gniewać się, a jedynie zawstydzić.

Zrobiło mu się jaśniej na duszy; czuł, że osobiście zgłaszać się nie może, ale że wypada posłać choćby służącą.

—Rozstali się źle... ktoś musi pierwszy wyciągnąć rękę... dlaczego ona? — rozmyślał i w przewidywaniu, że zjawi się na obiad, kazał nakryć stół obrusem, kupić trochę kwiatów, by przywitać ją uroczyście.

Nie przyszła jednak, ale zato pod wieczór zjawiała się pokojówka od doktorów z ustnem poleceniem wydania aksamitnej sukni i wachlarza.

—Państwo idą do teatru — nie omieszkała zawiadomić z ową złośliwo-unizoną życzliwością, jaką miewa dla trosk swych chlebodawców służba.

Januszowi zadrgała djafragma, po trzewikach rozpląnął się ostry chłód. Poszedł do komody, wysunął szufladę i grzebał się długo, zanim odszukał pudełko z wachlarzem. Nie mógł znaleźć klucza od szafy, gdzie wisiała pierwsza sprawiona przez niego, niezbyt droga, ale bardzo szykowna, lekko dekolowana aksamitna sukienka, w której Marcie było niezwykle do twarzy. Gdy wydobywał ten strój, miał wrażenie, że jednocześnie traci coś z uczuć dla żony, a gdy służąca, owinąwszy w białe płótno, zabrała sukienkę, wydało mu się, że wyniesiono część istoty Marty.

—Do teatru! — poczęła mu się jak gdyby rozchodzić w szwach czaszka na przyjęcie wciskającej się wszystkimi szczelinami myśli, że jest to przecież zerwanie, koniec ich stosunków.

Niedowierzająco, jakby w roztargnieniu rozejrzał się po pokoju: niedbale posprzątany stół, wysunięta z poprzewracanymi rzeczami szuflada, roztworzona na- oścież szafa — zdawały się świadczyć o przeprowadzce, o rozpoczynającej się rujnacji gniazda.

Janusz poczuł się znów na wylocie, rozdrożu, i choć w swej życiowej włóczędce oswoił się z tego rodzaju sytuacjami, obecna wydała mu się czemś zgoła odmiennem, niepojętem i do krwi bolesnem.

Nie było to zwykłe rozstanie, smutna rozłąka, ale gwałtowne rozdarcie, z którym się usiłował, lecz nie mógł pogodzić.

Ogarnął go niemal strach, roztwierały się zupełnie nieznane dziedziny przygnębień, uczucie wewnętrznego skulenia jak gdyby wobec srogich odgłosów wielkiej obławy, zbierającej się, by bezlitośnie schwytać jego zwinięte w sobie, nadziane kolcami jak jeź, serce.

—Trzeba ruszać w świat! — szumiało mu w u- szach, a nie miał energii podnieść się z miejsca.

Wreszcie dźwignął się z wysiłkiem i przeszedł do gabinetu.

Począł machinalnie przeglądać rzeczy. Ulubione książki, pamiątkowe przedmioty odkładał oddzielnie; potem otworzył szuflady od biurka i jął porządkować papiery.

Odczytał stare listy, niektóre zostawiał, inne darł t rzucił na podłogę. Przeglądał swoje notatki, zawiązki prac, różne fragmenty — z przestankami ciężkich zamyśleń; jedne urywki przypominały mu okoliczności, w których powstały, inne wydawały mu się jakby obce, nie swoje, były to twory minionych i zapomnianych nastrojów duszy.

Przerzucanie tych szpargałów łagodziło stan cierpienia, odrywało od chwili bieżącej i wlekło w przeszłość.

Na dnie szuflady znalazł owinięty starannie w papier i obwiązany tasiemką zeszyt.

—Muszę przekonać się, co to za prezent? —■ po

myślał; rozplątał węzeł, rozwinął papier i wydobył? gruby w niebieskiej okładce kajet.

Struchlał: zeszyt był przesznurowany i opatrzony pieczęcią dobrze mu znanego więzienia. Na pierwszej stronie, niby motto, widniało w cydzysłowach: Niedarmo Jasność i słodycz i wino Z twemi imiony -splotły się, dziewczyno, Wiem, żeś upojna i jasna i słodka, I serce moje pozna cią, gdy spotka".

Przypomniał sobie, skąd jest ten wiersz, poznał pismo — rękę Klary,

Z wrażeniem jakby podnoszenia się i opadania całego jestestwa jął czytać, zatapiał się coraz głębiej w pamiętniku, z którego zaczęły się stopniowo wyłaniać jego własne uczucia i wychylać twarz żalosa Ali.

Cała przeszłość wyluskiwała się z łupin wyrazów i niby z otwartych grobów zmartwychwstały żywe bicia jego strutego dziś i jej uschłego w mogile serca. Działo się z nim coś dziwnego, w głowie tkwiło nieustanne poczucie, że Klara nie żyje, a w piersiach poruszały się gorące zdroje miłości, jakby tryskające z tej otwierającej się, straszliwej rany.

Czytając dawne swe listy do niej, miał wrażenie, że je stwarza powtórnie, podwaja znaczenie każdego serdecznego wyznania i oddaje w wieczne władanie Ali-Klarze.

Tak powściągliwe niegdyś wyrazy jej kochania w dzienniku tym wybuchały nieraz namiętnym warem. Tkliwe jej pieśszczoty zapalały się krwią cielesnych utęsknień.

Janusz dowiadywał się: „Wiem, czemu prosi, bym kładła na mur ręce, ale o nie wie, jak często kładę usta i jak słodka staje mi się ta ściana,.. Śnił mi się przy mnie, zbudziłam się we łzach... czemu? czy że mł się tak śniło, czy że był to tylko sen!..."

A potem w dniach sądu okrzyk:

„Boże, ocal! w me piersi skieruj gromi!"

A gdy wyszedł, pisała:

„Ściano, mów! Każdy kamieniu, gadaj o nim! Wszystkie jego myśli, wzruszenia mi wyjaw. Zwróć pocałunki, któreś mi zabrała... Kłamiesz, żeś obojętnie biała!.. tyś błada ze szczęścia i gorejesz wewnątrz!... Pamiętam, jak drżałaś rozkoszą w tych miejscach, gdzie przystawał — zadrzyj raz jeszcze. Wezmę na siebie cały ogrom męczeństw, w tobie zawarłych, lecz musisz wszystko powiedzieć od początku do końca: straszne dni i noce innych, ale jego każdą noc i każdy dzień. Niech zawyją we mnie wszystkie słyszane przez ciebie wrzaski bólu i przekleństwa, abym mogła tylko usłyszeć jego słodkim głosem szeptane słowo miłości!..."

A potem: „Dziś wychodzę, chciałbym zabrać wszystkie te cegły, by mieć choć z nich grób. Odłupałem kawałek tynku, ale starczy na zamknięcie oczu".

„Opuściłam celę — jestem niby na wolności. Pisałam do niego — odpowiedź nie nadchodzi..."

Znalazłam się w toku sprzeczek, sprzeczam się również, ale coraz rzadziej, przekonuję się bowiem, że każdy z nas jest jakoby więźniem, szczelnie w swej celi zamkniętym. Rozmowa jest jakoby stukaniem do siebie, często jednak mur jest tak gruby, alfabet tak odmienny, że porozumieć się niepodobna... Na ogół, pominąwszy wyjątkowe wypadki duchowego pokrewieństwa, niczego nie może się dowiedzieć człowiek o człowieku... „Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie!" — jakie trafne! Co najmniej dwa fałsze brzmia w wyrazie myśli — a w wyrazie uczuć co zostaje z prawdy? ledwie echo z za dziesiątej góry — a czę-

śfo mc... Najgłębsze przepaście najstraszniejszym zieją milczeniem!..."

—Nic! — powtórzył Janusz i umilkło w nim na moment wszystko.

Ziała głucho przepaść, a na dnie leżało ciało Klary takie, jakie widział na łożu śmierci — z zastygłą między rzęsami łzą i cichym, zagadkowym, łagodnym półuśmiechem.

Patrzył i doznawał wrażenia, że się wali w gruzy i sypie się w otchłań jego dusza, jęczy na dnie strasznym, stękającym żalem. Rozbitem sercem usiłuje ogarnąć umarłą i ogarnąć nie może.

—Klaro! co się z tobą stało? — tłucze się w nim okrutny krzyk.

—Umarłam, Januszu — żali się strasznym półuśmiechem — dla ciebie, przy tobie, przez ciebie...

Paroksyzm rozszalałej rozpaczycy skrzył go na krzesło, objął ramionami głowę i ścisnął czaszkę, która zdawała się pękać, zakrzywione szpony bólesci targały wnętrzości, spazm chwycił za gardło.

Minąłem się ze szczęściem! — mignęła myśl w zenicie katuszy i jak błyskawica ognistą pręgą przeorała mózg.

Zgasło na chwilę wszystko, a gdy ból przycichł. Janusz odsłonił twarz; cerę miał bladziemiastą, jak u ludzi wydobytych z głębokich podziemi.

—Dalej, dalej — zmuszało go coś czytać.

„Nie poznał mnie!" — a następnie w krótkich wyrazach konwulsyjne jej męki szarpały mu serce.

Potem treść dziennika jęła się wyjaśniać, z drobnych napomknień odtwarzały się całkowicie te pełne czaru wspólne rozmowy, owo niezwykle dokładne ujmowanie się, jakoby łagodne uściski duszy, ciche wylewy roztopiającej się w nikłych pieszczotach eterycznej rozkoszy.

„Wkrótce będzie koniec!" — zaznaczyła godzinę przecucia blizkiej śmierci.

A potem dopisek: „Za cenę życia pragnęłam ci kupić szczęście, jeżeli źle kupiła, nie gniewaj się, Januszu, jeżeli dobrze, podziękujcie oboje"....

„Do widzenia!..."

Ostatnie wiersze Janusz czytał przez łzy. Końcowe ustępy pamiętnika tchnęły nietylko łagodną rezygnacją, ale jakąś tajemną radością, a słowo pożegnania było skreślone śmiałym, pewnym pismem.

— Do widzenia! — wyraz ten stał się jak gdyby progiem, na którym się Janusz zastanowił całkowicie; były się, jak fale, przy nim jego myśli, nie będąc w stanie ani go ominąć, ani przeskoczyć.

Przekonywał się, że sprawa nieśmiertelności, którą uważał za rozstrzygniętą w sensie przeczącym, nie została rozwiązana w nim wcale, a była jedynie przyjętą formułą, podobnie jak determinizm i konieczność dziejowa.

Po stronie tych mniemań stała logika, a wbrew nim płynęło całe życie, odbywające się w poczuciu wolności i wewnętrznym przeświadczeniu, że się nie umiera.

Teraz dopiero jasno sobie zdawał sprawę, że istnienie, pozbawione tych poczuć, traci sens wszelki, że wszystkie dążenia, działania ludzi stają się bez nich absurdem, że są one jakoby mleczem świadomości naszej, ośrodkami wysiłków duszy, których porażenie grozi paraliżem.

Przypominały mu się kilkakrotnie doznane w chwilach szczególnego psychicznego napięcia przebliski jakby przedistnienia i myślał, że jednak widać coś wraca z otchłani śmierci na nowo do życia z palnięcia, że było.

To coś nie mogłoby powstać z nicości — więc, znaczy, nie wszystko ulega zniszczeniu.

Nie miał absolutnej pewności, że tak jest, ale zaczęło mu się zdawać, że tak być może, i na tym tle poczęły się snuć misterne tkanki marzeń o zaświatowym spotkaniu się z Klarą, o zespoleniu się z nią duchem, o drżących subtelną rozkoszą widmowych wzruszeniach miłości.

Jak kielich kwiatu, zdjęty tęsknotą zbliżającego się poranku, roztwierało mu się szeroko serce, lekko wzdychały piersi, jakby w poczuciu mającego w sieni dali szczęścia, o którym śnił i śnił...

Zbudził go dzwonek.

Pierzchnęło wszystko — zadygotał, myśląc, że Marta.

— Czy można? — poznał głos szwagra lekarza.

— Proszę — wymówił, orjentując się dopiero teraz, że jest już dzień.

Lekarz, widząc nieład w pokoju, sterając twarz Janusza i utkwione w sobie senne i zmęczone oczy, nieco się stropił i stracił wątek ułożonego wcześniej programu rozmowy.

— Proszę — powtórzył Janusz, wskazując krzesło.

— Czy pan, czy ty? — wahał się doktor i nagle, upytomniwszy sobie, że Janusz nie wstał na powitanie, postanowił postawić sprawę na ostrzu miecza.

— Przyszedłem — zaczął — rozmówić się w sprawie jego stosunku z Martą, który należy uregulować tak czy inaczej.

— Tak czy inaczej — powtórzył pytającym tonem Janusz.

— Tak, to jest na zasadzie wzajemnego układu, obustronnych ustępstw ustalić pewne „modus vi- vendi”...

— W takim razie sądzę, że lepiej inaczej — przerwał pośpiesznie Janusz — gdybyś pan przyszedł wczoraj, nie wiem, jakby wypadła moja odpowiedź ale teraz sądzę, że lepiej inaczej. Bo pan nic ni

Wiesz — głos mu zaczął drgać ze wzruszenia — ale Marta będzie wiedziała, niechaj jej pan powie, że Klara, to Ala... Ona wszystko zrozumie...

— Wątpię — odparł lekarz i, zły, że inicjatywa rozejścia się, prawie postanowiona na rodzinnej naradzie, wyszła ze strony Janusza, dodał oschle:

— Zresztą to zbyteczne, o porozumieniu się nie może już być mowy.

— Właśnie i ja tak myślę — ciągnął Janusz — bo, widzi pan, ja jestem z innego, a wy z innego więzienia, siedzimy w zupełnie odrębnych celach, posługujemy się rozmaitym alfabetem i nie dostukamy się nigdy do niczego, choćbyśmy pokrzwawili sobie palce. Niech pan Marcie powie to, o co prosiłem, przeprosi szczerze za moją omyłkę. Ja nic nie chcę, zabieram sobie tylko ten zeszyt, choć wspólnie nam został dany... — umilkł i zapatrzył się w przestrzeń.

— Trudności ze strony pańskiej nie spodziewamy się żadnej — odezwał się po pauzie lekarz.

— Trudności? — wymówił Janusz, jakby ocknięty z głębokiego uśpienia — trudności... no tak — z oczu mu wyjrzał tragiczny smutek — żadnych — wyszeptał upadłym głosem.

Doktor badawczo przyglądał się zmarnowanej twarzy i przygasłym źrenicom Janusza, skłonił się zlekka i wyszedł.

Gdy znalazł się w salonie, gdzie go oczekiwała cała rodzina, prócz popłakującej w swym dawnym dziewczym pokoju Marty, na gremjalne zapytania: więc co?

— Przedewszystkiem — rzekł poważnie — skonstatowałem jako lekarz, że on ma najwyraźniej tu — stuknął się w czoło — i możemy z nim mieć deszcze nielada kłopot... dobrze, *e ostatni.

OSTATNIE DZIEŁO

Iruś, przyprowadziłem ci gościa, Stach Zatorski, mój uczeń — świetny karykaturzysta — mówił weso* ło Chemski, oraz świeżo zdemobilizowany porucznik od ułanów, krzyża Virtuti i walecznych,

Zatorski skłonił się po wojskowemu, stukając w obcasy ucałował podaną rękę i patrząc z pewnym zdumieniem na panią Irenę, rzekł:

—Ja szczerze, po żołniersku powiem, słyszałem, że żona naszego mistrza jest bardzo przystojna, ale to mało — pani jest zachwycająca!

—Ach, co za komplement — zarumieniła się lekko i ujmujący uśmiech rozchylił pęk jej drobnych ust.

— W każdym komplementcie jest pewna doza przesady, a w tem, co mówię, ani krzty jej niema.

Zatorski spojrział ukradkiem na Chełmskiego, który był typem intrygującej brzydoty i miał niedźwie- dziowatą postać, mocno wystającą dolną szczękę, duży cokolwiek skrzywiony na bok nos —»jedynie wysokie czoło jajowatej głowy i przenikliwe za szeroko rozstawione oczy, świadczyły, że jest to człowiek nie przeciętny. Istotnie był. fenomenalnie wszechstronnie uzdolnionym malarzem, głośnym na cały świat.

—Iruś, daj nam co przekąsić, przyszedliśmy pie- cHotą, a sądzę, że me wezmiesz mi za złe, Se zaprosiłem Stacha na czas dłuższy, niema mieszkania, ani pracowni, wyszukujemy mu ten pokój na górze.

— Ależ badzo proszę — odezwała się pani Irena, — postaram się urządzić wszystko jak najlepiej, ale zato pan robi moją karykaturę.

—O, trudno będzie, pani ma za klasyczne rysy, a gdy wyszła spytał żywo:

— Gdzież to mistrz wynalazł takie żywe arcydzieło?

—Spotkałem ją przed krematorjum na Campo Santo w Medjolanie i od pierwszego wejrzenia, jakby piorun trząsł, zakochałem się, jak student. Dotknął mnie jej melodyjny głos, któryni pytała towarzyszki, co znaczy napis, no ten wiesz: „Wydarci robakom winniśmy być schłonięci przez czysty ogień” — wytłumaczyłem znaczenie łacińskich słów i przedstawiłem się. Z jej pewnego zażenowania i mimowoli wyrzeczonych wyrazów: ach to pan? zrozumiałem, zrozumiałem, że nazwisko moje jest jej znane. Poleciałem za nią, jak war jat do Krakowa. Dowiedziałem się, że jest sierotą, po młodo zmarłym rzeźbiarzu Tumskim, na wychowa • niu u ciotki. Złożyłem im wizytę; w dwóch skromnych pokoikach mieszkała ta moja królowna. Długo się wa- nałem, walczyłem ze sobą, bo widzisz z taką facjatą, dotknął dłonią nosa, aż wreszcie powiedziałem sobie: buch kasztan w wodę. Głos mi zastęgał w piersi i jękałem się, jak na egzaminie, gdym składał wyznanie, W trzy miesiące potem odbył się nasz ślub. Jestem najszczeńliwszym złudzi, nie wierzę sobie ,ale czuję, że mnie kocha, jest dobra, pogodna, inteligentna, zna się na sztuce; jedynie jej krytyki słucham uważnie. Gdym chorował na te przekłete kamienie, pielęgnowała mnie, jak szarytka — ciągnął z wrastającym wzruszeniem — powiadam ci: żeń się, jedynie w małżeństwie można znaleźć prawdziwe szczęście.

Tak, aie w dobranem.

—Zapewne,

Chełmski trochę sposepniał i rzekł z westchnieniem;

—Zazdroszczę ci czasem twojej urody.

—A ja twojej sławy, to więcej znaczy, kobiecie mężczyzna musi czemś imponować, a ty — co tu dużo gadać, złoty medal w Paryżu, a co obraz —to tryumf.

— Wiesz, że dopiero teraz cieszę się z powodzenia, bo to mi daje grube dochody, a chciałbym, by miała, czego dusza-zapragnie; dla niej kupiłem tę posiadłość, bo lubi gospodarzyć, trzymam wierzchowce, bo lubi konną jazdę, będziesz mógł jej towarzyszyć, mnie trzęsienie szkodzi.

—Proszę panów — odezwał się dźwięczny głos.

Przy śniadaniu Zatorski jeszcze raz skonstatował w duchu, że pani Irena jest prześliczna. W obramowaniu bujnych jasno-kasztanowatych włosów, widniała o rzeźbionych rysach twarz, ozdobiona delikatnym bladoróżowym rumieńcem, pod ciemkim łukiem ciemnych brwi głębokie błękitne oczy zdawały się mienić ustawicznie, jakby odzwierciadlały każdą wibrację myśli, każde drgnienie wzruszenia.

Czarna bez rękawów sukienka, odsłaniała pięknie postawioną szyję i białe atlasowe ramiona.

Gdy wstawała, podziwiał jej gibkość ruchów i kształtną budowę, trochę może za szczupłą, jakby nie była mężatką, ale dopiero rozwijającą się dziewczyną.

Istotnie, była bardzo młodą, kończyła dwudziesty rok,

—Jedz — zapraszał Chełmski — te rzodkiewki z ogrodu mojej pani, te klomby, te kwiaty, to wszystko i jej dzieło.

—Tak, zaśmiała się pani Irena, odsłaniając sznuę równych, białych ząbków — z pomocą fachowego ro- \ botnika.

— Ale dozór! dozór! — oponował Chełmski —* to najważniejsze,

— Istotnie jest tu u was, jak w raju — rozglądał się wokoło Zatorski — po tem mojem barbarzyńskim życiu wydaje mi się, że jestem w zaczarowanym świecie,

— Barbarzyńskim pan powiedział — zdziwiła się Irena — ależ wojsko, ci ułani z chorągiewkami, to takie cudne!

— Tak, tu w mieście na tyłach, ale gdyby pani ich zobaczyła po paru miesiącach frontu, przeraziłaby się tych brudnych obdartusów.

- — Ale bój, szarża ,to musi być porywające.

— Szarża istotnie warta życia, choć bardzo rzadko się teraz zdarza, ja w przeciągu pięciu lat szarżowałem raz tylko, a poza tem, jak piechury marsz do okopu. Bitwa to święto, a potem długie szare w błocie dni, nudne krecie życie, a gdy intendentura zawiedzie — głodno i chłodno; surowa kapusta, marchew — przysmaki, zamiast tytoniu uschłe liście, no i te in-sekta, których na froncie pozbyć się niepodobna.

~ A za co pan dostał krzyże?

— Virtuti właśnie za tę szarżę, w której zdobyliśmy baterję, a waleczny, za dobry i niebezpieczny wywiad.

__Musi mi to pan wszystko dokładnie opowiedzieć.

— Ależ Iruś, pozwól że mu jeść.

— No więc już nic, — pani Irena umilkła na mo- | ment i znowu spytała. —

Komendanta musi pan znać dobrze?

— Raz go tylko dłużej widziałem i ujął mnie od- razu. Zdumiewający jest urok tego człowieka, gdy się rozejdzie wieść, że jest w pobliżu, jak gdyby elek

tryczny prąd przebiega szeregi, najbardziej zmęczeni odzyskują siły i z wiarą w niewątpliwe zwycięstwo chłopcy biją się, jak lwy.

—Zygmunt, ty musisz zrobić jego portret, wszystkie dotychczasowe są chybione.

—Już to zrobiłem — i Chełmski przyniósł bardzo udatną podobiznę.

—Wcale dobry, czy długo ci pozował, chwalił portret Zatorski.

—Nie, przyjrzałem mu się w teatrze podczas galowego przedstawienia.

—Powiadam pani — zwrócił się Zatorski do pani Ireny — ten człowiek ma zamiast oczu obiektywy i klisze fotograficzne w mózgu.

—Czyli, że jestem aparatem—zaśmiał się Chełmski, — nie, mój, drogi, malarstwo to nie barwna fotografia. Kiepski jest obraz, jeżeli w nim nic niema z duszy artysty. No, ale my tu gadu gadu, a mnie czas do akademiji, — spojrzął na zegarek. — Mam tam trzy godziny tygodniowo.

—I zawsze grzmisz rysunek, rysunek!

—Tak i coraz głośniejsze, bo jest to coraz bardziej zaniedbanem i potem wychodzą rozmaite kicz.

—Maciej zaprzęgaj — huknął.

Wkrótce przed gankiem stanął kabriolet, do którego włądował się Chełmski i znikł za bramą.

—Pani ma istotnie zacnego męża, — patrząc za odjeżdżającym mówił Zatorski — mam mu wiele do zawdzięczenia, pomagał mi często, jak zresztą wszystkim uczniom w ciężkiej sytuacji, uratował mnie od wylania z powodu ostrego zatargu z dyrektorem szkoły, w którym dałem folgę mej południowej po babce włoszce zapalczywości.

—Właśnie, to też zdziwiłam się, skąd pan ma takie krucze włosy, smagłą pleć i jak węgiel oczy.

—Czyli czarny jak djabeł, ale nie taki, jak malufą, trochę tylko gorączka i t tego powodu popełniam czasem nietakt, to też gdybym coś takiego zrobił, proszę mnie wybić, ale się nie gniewać.

— Trudno bić na zimno, — zaśmiała się pani Irena — Zygmunt zato jest uosobieniem łagodności.

—Tak, ale jak się rozjuszy, to żartów niema. Raz pamiętam w Monachjum, siedzieliśmy całą paczką w knajpie i rozmawialiśmy po polsku, i oto jakiś Niemiec zrobił złośliwą uwagę pod naszym adresem i Polski. Zygmunt podniósł się z nabiegłą krwią twarzą, wyglądał strasznie, złapał za kark szwaba i wyrzucił przez okno; szczęściem było to na parterze. Policja, protokół. No ale dzięki wstawiennictwu wpływowych osób, udało się sprawę zatuszować, zapłacił karę za zniszczone pludry. Zresztą takie cudne rączki, jak pani, są zdolne ułaskawić tygrysa — i Zatorski zniecka złapał i ucałował obie ręce, ale uczynił to w tak zręczny i miły sposób, że pani Irena się lekko tylko zmieszala i szybko odzyskując równowagę, rzekła: — Pokażę panu moje konie.

Gdy weszli do stajni, gniada klacz „Tuneczka” odwróciła zgrabną, ozdobioną białą gwiazką głowę, a kary „Smok” stulił uszy.

—Koś, koś! — mówiła pani Irena, podając cukier wierzchówce.

— Niech się pan nie zbliża — zawołał — on gotów pana ugryźć.

Zatorski klepnął karosza silnie po szyi i podrapał pod gardło.

—Niema obawy — rzekł — do konia tylko śmiało, już ja go wezmę w swoje obroty. Zły, bo za dużo stoi, zatył się. Jeżeli pani ma ochotę, to możemy się przejechać dla nabrania apetytu.

—Tak, ale Macieja niema!

—A on poco? żądny ze mnie byłby kawalerzy- sta, gdybym sobie sam nie umiał dać rady, zaczyna -

łem od szeregowca, czyściłem, dawałem obrok, można powiedzieć żyłem za pan brat z pocziwym Czardaszem i miałem łzy w oczach, gdy zabłąkana kula położyła go na miejscu.

— Chyba późno będzie, wahała się pani Irena, tak, zdaje się, że i Zygmunt wraca.

Istotnie wkrótce ukazał się kabriolet.

— Cóż oglądałeś nasze konie — wołał Chełmski zdaleka, witając ich machaniem kapelusza. — Nó jakże podobały ci się nasze rumaki — gramoląc się z pojazdu.

— Wcale dobre, tylko zamało chodzą, muszę je przetrenować.

— Wiecie — gadał z ożywieniem Zygmunt — dostałem znakomite zamówienie.

Zbiorowy portret rodziny hrabiów Tęczyńskich, kapitalne gęby, zwłaszcza babka matrona, sama jedna sto tysięcy warta. Mówiłem też o tobie, radzą, byś zrobił album posłów sejmowych; jest to fak stworzona dla ciebie galeryjka, palce lizać.

Po obiedzie pani Irena poszła sprawdzić czy pokój dla Zatorskiego jest w porządku, a panowie do pracowni na papierosy.

Na ścianach, w kątach, na podłodze było pełno studjów, szkiców. Chełmski bowiem odznaczał się niezwykłą pracowitością.

Na sztalugach stał prawie wykończony najnowszy obraz.

W szeroką tajemniczą czeluść, jakby podnoszącej się do ziemi chmury, stężalej u dołu, wlewała się cicha rzeka o brzegach jałowych i pustych wydm piaszczystych; ku czeluści zbliżała się unoszona prądem płytka łódka, w której leżała nieruchomie owinięta w całuny sztywna ludzka postać; wyrzucone na piersi jej ręce bezkrwiste i białe błyszcząły jak kościane krzyże. Za pierwszą w pewnym oddaleniu sunęła cicho, identycznie podobna druga, dalej trzecia, a na skrócie rzeki ukazywały się zarysy czwartej. Chmura im wyżej, tem, stawała się mniej gęstą, zmieniając się w obłok wreszcie w mgłę w której zdawały się majaczyć jakieś aniołom podobne cienie świecące zlekką odblaskiem jak gdyby łuny płonącej za chmurą. Z obrazu bił smutek i melanchol ja, było coś bolesnego w tym milczącym korowodzie samotnych umarłych, pędzonych przez pustynię w nieznaną krainę, skąd nikt nie wraca.

— No jakże — spytał Chełmski.

— Powiem krótko — dzieło godne mistrza — to chyba wystarcza, a to co? Spostrzegł wystający z pod draperji złoty róg ramy.

— Przebudzenie się wiosny — odparł Chełmski i podniósł płótno.

Na świeżej, świecącej rosą łące wśród leśnych kwiatów i grupy młodych brzózek, owianych jakby świetlanym obłokiem drobnych rozwijających się listków — leżała naga dziewczyna: jedną ręką zdawała się igrać drgającym promieniem słońca, drugą odpędzała trzepoczącego się przy policzku motyla, w jej błękitnych oczach snuła się jeszcze jakby mgła senności, na ustach błędził uśmiech przedziwnego wdzięku. Wiosną była pani Irena.

Zatorski stał jak oczarowany, tyle powietrza, cudny dziewczęcy akt porywał oczy, wiosną tą był światła, i żywych barw w obrazie, rosą zdawało iskrzeć, cudny dziewczęcy akt porywał oczy, wiosną tą była pani Irena.

— I tyś tego" nie wystawiał: spytał po chwili?

— Nie — trudno mi było ją namówić do pozowania, Iruś jest dziwnie skromna, dziewiczo wstydliva to jeszcze jeden jej urok, który mnie zawsze wzrusza, przykro by jej było, gdybym ją pozwolił oglądać obycym ludziom, a i mnie także — może kiedyś —

i Chełmski zasunął draperje, akurat w czas, bo po chwili weszła pani Irena.

—Zdaje się wszystko w porządku, a jak by pan czego potrzebował, proszę bez ceremonji.

—Może się prześpisz — proponował Chełmski.

—Zwykle nie śpiam, ale dziś jestem trochę zmęczony.

—A ja po obiedzie ucinam chrapiokiego. Co prawda wstaję bardzo wcześnie, bo póki słońca póty mego — literaci pracują po nocach, a my w dzień.

—Dobranoc, dobranoc — kłaniała się wdzięcznie obojgu pani Irena—a ja pójde pilnować wiśniówki.

—Powiadam ci non plus ultra, Iruś niczem Ba- czewski i Chełmski znikł w gabinecie, a Zatorski udał się na górę.

Pokój był obszerny o dwóch oknach z balkonem; przy ścianie stało wygodne obszerne łóżko, pod oknem biurko z przyborami piśmiennymi z paczką listowego papieru. Fotel szeszłąg, w rogu szafa, kilka krze- seł i parę oprawnych szkiców Chełmskiego dopełniały umeblowania, nad biurkiem była przybita lampa, a na nocnym stoliku stała oprawna świeca.

Wieczorem, gdy rozeszli się na dobre spać, zjawił się w szlafroku Chełmski ze stosem książek—przyniosłem kilka nowości, może lubisz czytać do poduszki wiesz, zrobiłeś bardzo sympatyczne wrażenie na mojej żonie, mówi, że masz taki łatwy sposób bycia, że zdaje jej się, że zna cię oddawna.

—Jesteście bardzo dobrzy oboje dla mnie i ła- skawi — mówił serdecznie Zatorski — jak tak dalej pójdzie, gotowym wieki uwas siedzieć.

—Ależ siedź, siedź, póki tylko zechcesz, no dobranoc, a zapamiętaj swój sen na nowem miejscu. — Zwykle się sprawdza.

Zatorski wyszedł na balkon i widział rozłożystą orzeźbę, błoń, kopiec Kościuszki i jakieś majaczące

w dali rosochate drzewa. Noc była świeża, ogród, dyszący zapachem i rosą. Na jasnym niebie mruły gwiazdy i ostry sierp księżycy nużał się w lekkich, jak dym obłokach. Ogarnął go spokój i cisza, przyływ łagodnych i ciepłych uczuć.

—Prześlizna — ocknęła się nagle myśl i stanął mu w oczach obraz budzącej się wiosny.

Wszedł do pokoju położył się, zapalił świecę, potem papierosa i wpatrywał się w zwoje snującego się dymu, wreszcie zgasił światło i zasnął. Śniło mu się, że się pali i w żaden sposób ognia stłumić nie może. Ocknął się z przerażeniem; słońce błyskało w oknach, a na progu stała służąca z białą kawą i tartinkami.

—Która godzina — spytał?

—O już jedenasta — państwo dawno wstali.

Zatorski zerwał się, ubrał się pośpiesznie i zbiegł na dół.

—A śpioch, śpioch, żartował Chełmski.

—A ja projektowałem, że pojedziemy rano konno — mówiła przekornie pani Irena. -

—Jestem prawdziwie zawstydzony, a co do konnej jazdy to możemy choćby zaraz.

—Czy nie za gorąco wtrącił Chełmski?

—Nie, jest trochę wiatru, a zresztą jak się prze- pocą to dobrze im zrobi — no jakże będzie — zwrócił się do pani Ireny.

—Dobrze — pani Irena wyszła i wróciła w obcisłej, uwydatniającej jej kształtny tors amazonki. Wkrótce zjawił się Zatorski i w sztylpach i aksamitnej kurtce.

Maciej podał konie. Pani Irena, opierając się drobną stópką na rękę Zatorskiego zręcznie usadowiła się na siodle, Zatorski dosiadł Smoka, który odrazu stanął dęba, potem jął w lansadach kroczyć bokiem, ale

prowadzony wprawna ręką jeźdźca, został zmuszony, do normalnego chodu.

— Chwacki pan! — zauważył Maciej. Smok idzie jak dziecko.

— Cóż chcesz, ułan był w bitwach, no a teraz zaprzęgaj, odwieziesz mnie do domu hrabiów Tęczyńskich, o drugiej wrócisz po mnie, będę tam malował.

Chełmski ruszył do Krakowa, a jeźdźcy w przeciwną stronę, w kierunku Jurtowskiej Woli.

— Pani doskonale siedzi, choć właściwie teraz damy jeżdżą po męsku.

— Mam nawet kostjum, ale jakoś nie mogę się zdecydować.

— A jednak jest to normalniejszy sposób jazdy, bo po damsku niepodobna kierować szenkłami.

— Jakto?

Zatorski puścił wolno cugle i ściskając odpowiednio obcasami, zmusił Smoka do zatoczenia koła.

— No, ale pan majster — zdziwiła się pani Irena, pod Zygmuntem Smok idzie jak się podoba, nieraz zawraca sobie do domu i radzi nie radzi musimy go słuchać.

Pani Irena trąciła tancerkę spicrutą i ruszyła kłusa.

— Widzi pani, jak ładnie, jedziemy w łeb w łeb, jak patrol ułański no, a teraz— komenderował w skok

Konie porwały i ruszył jak wfcher na przełaj przez błonia.

— Panie, — tam fosa! — usłyszał Zatorski przeraźliwy głos pani Ireny, powstrzymującej z całej siły Tancerkę.

— Hop, — rozległ się jego głos. Smok przesadził fosę, a potem drugi raz z powrotem i osadzony silną ręką — przysiadł na zadzie i stanął, jak wryty.

— Niestychane — mówiła z zapalem pani Irena.

— Cóż wielkiego — dobry koń, klepał Smoka po

123

szyi, nie długo będzie brał bar jery — o jak "się spienił, a i Tancerka cała w płamach. Istotnie za gorąco— wracajmy! A pani zarumieniła się od wiatru, jak jabłuszko — uśmiechnął się do niej. Pojedziemy sobie stępa, a ja pani zaśpiewam parę naszych piosenek.

— Poprawił zawadjacko czapkę i zanucił:

Ułani, - ułani, malowane dzieci, nie jedna dziewczyna za wami poleci, nie jedna dziewczyna i nie jedna wdowa za wami ułani polecieć gotowa.

Urwał i mówił dalej. — Żadna epoka wojny nie wydała tyle piosenek, co ta i żadne wojsko nie śpiewało tak dużo, jak my.

— Miły pan ma głos — odezwała się pani Irena.

— Tak trochę, byłem w szwadronie, jak to mó wią rosjanie zapiewała, ja zaczynałem, a za mną cała gromada.

Gdy wrócili, pani Irena z gorączkowem ożywieniem opowiadała przy obiedzie o skoku Zatorskiego-

— Powiadam ci fosa szeroka, jak ten pokój.

. — No niech pani trochę opuści — śmiał się Zatorski.

— No, ale niemniej trzy ćwierci i wiesz — mówiła do męża — że pan Zatorski ma bardzo miły głos, śpiewał mi po drodze piosenki.

— Zatorski, Zatorski, po co tak długo, mów mu po prostu Stach.

— Ależ proszę bardzo — a będę mówił pani — Reno to o całą sylabę krócej.

— To i mnie 4>yka wypadnie mówić ci Ruś — nie'ja zawsze będę ci mówił Iruś — i Chełmski pocałował żonę w rękę.

Po obiedzie Chełmski poszedł się zdrzemnąć, a Zatorski asystował pani Irenie przy obcinaniu świeżo rozwiniętych róż.

—• Niech mi pani da jedną różę na pamiątkę dzisiejszej jazdy?

— Krótka będzie pamiątka, bo szybko zwiędnie— rzekła pani Irena, ofiarując mu ponsową.

<— Śliczny kwiat, tem piękniejszy, że z pani rączek, a jak zwiędnie, jak pensjonarka zachowam jej płatki, lubię zbierać takie drobiazgi, widok ich budzi całe pasma wspomnień wesołych i smutnych, którym dał przeszłości nadaje czar dziwnego uroku — mówił zacisznym głosem, czując, że go ogarnia jakiś romantyczny nastrój.

Tak z sobą gawędzili nieraz godzinami, podczas gdy Chełmski pracował w mieście. Ale powoli niefrasobliwa wesołość, jaką wniósł z sobą w ich dom Zatorski, poczęła się mącić. W serce pani Ireny wkradł się niezrozumiały dla niej niepokój, który, jakby oddalał ją od Zatorskiego. Powodowana jakąś intuicją zaczęła unikać dłuższego przebywania z nim sam na sam, a nieraz, gdy spotykały się ich spojrzenia dostrzeżone w jego źrenicach, nagły płomienny błysk — budził popłoch w całej jej duszy, spuszczała oczy i strącała się tych jego wejrzeń zapomnieć.

Chwilami budził ją w nocy jakiś niezrozumiały lęk, gdy we śnie stanął przed nią obraz Zatorskiego, starała się o nim nie myśleć, a jednak myślała i nie raz w jego obecności, bez żadnej przyczyny rumieniała się do łez.

Piosenki jego puste, bez żadnej głębszej treści, wtrącały ją w otchłań zadumy, z której budziła się, jakby ze słodkiego snu.

Ta jakaś leniwa senność, sprzeczna z jej żywem usposobieniem, ogarniała ją coraz częściej.

Zatorski zdawał sobie dokładnie sprawę ze swych uczuć. Sen się sprawdził — szeptał, tłukąc się po swoim pokoju; płonę i ognia tego ugasić nie mogę.

Nie śmiał marzyć o wzajemności, miał też pewne skrupuły względem Chełmskiego.

—Co robić? szarpał się za loki długich swych włosów i wreszcie postanowił opuścić ten dom i zapomnieć o wszystkim.

—Muszę wyjechać — przerwał nagle przy śniadaniu trwające milczenie.

—Dlaczego? spytali prawie jednocześnie oboje, pani Irena aż podniosła się z krzesła i odwróciła się szybko do okna, by ukryć rumieniec, który ją oblał

—Muszę — bąkał, — mówiłeś sam — ten sejm.

—No to pojedziesz i wrócisz — przekładał Chełmski — chyba, że ci źle u nas.

Zatorski milczał — głowa mu boli — rzekł wreszcie.

—Ot i zakaprysił, on zawsze był taki — rozłożył Chełmski bezradnie ręce — idź prześpij się, musiałeś wstać lewą nogą. — Masz tu „kogutka” zażyj w wodzie.

Zatorski przyjął machinalnie proszek, rzucił się w swoim pokoju na łóżko i ściskając oburącz skronie, w których pulsowały łomotały, jak młoty, słyszał jak przez ścianie turkot odjeżdżającego kabrioletu i głos ogrodnika pokrzykującego na pielące baby. Leżał długo bez ruchu ze ściśniętym w gardle spazmem wewnętrznego łkania, któremu męska ambicja wzbraniała wybuchnąć.

—Muszę przed odjazdem powiedzieć jej choć słów kilka, muszę, —, wstał błądy i zeszedł na dół. Zastał panią Irenę w gabinecie męża. Siedziała na wysokim fotelu, zapatrzona w okno. W czerwonych promieniach zachodzącego słońca, włosy jej płonęły, jak mrący bursztyn.

W zamyśleniu nie dosłyszała kroków Zatorskiego; ujrzała go dopiero w progu. Stał i milczał — w momencie tej napiętej ciut

szy pani Irena przeczuła, że coś niezwykłego zająć musi. Chciała wstać i odejść, ale nie miała siły się ruszyć.

—Pani Ireno, zaczął rwącym się głosem i nagle upadł na kolana, chwycił jedną ręką kiść jej dłoni, a drugą obnażone ramię i załkał.

Irena zbladła, jak papier, serce zaczęło jej bić gwałtownie, spuściła źrenice i ujrzała pełne łez oszalałe z miłości jego oczy.

—Nie trzeba płakać, panie Stachu, mówiła raz po raz. Łzy jak grad toczyły się po jej policzkach i drżącą ręką ją gładziła jego miękkie loki.

A za oknem stał Chełmski, który, niedoczekawszy się koni, wrócił piechotą, nieruchomy jak słup, niby przygwożdżony do ziemi, która zdawała się chwiać i usuwać pod nogami.

Obraz widziany wżerał mu się w mózg. zdawał się orać czaszkę, a był tak piękny, że artysta nie mógł go zniszczyć.

Szczątkami świadomości zrozumiał, co ma czynić. Odwrócił się i zgarbiony, jakby dźwigający cały ciężar gruzów swego szczęścia, błędnym krokiem ruszył ku miastu.

Nad ranem pani Irena otrzymała przyslaną przez umyślnego kartkę.

—Zamówienie zagranicą, wyjeżdżam—Chełmski.

II

Zatorski spędził noc bezsennie. Wczorajsza scena wzburzyła go i wtrąciła w męczarnie niepewności.

Pani Irena wyrwała mu się z rąk i zamknęła się w swoim pokoju. To też łaskawe jej słowa mogły być uważane jako objaw litości, współczucia dla cierpienia nieszczęśliwego kochanka. Przypuszczał, że prawdopodobnie zwierzyła się już mężowi i nie pozostaje mu nic innego, jak chyłkiem wyjechać. Wstał blady, zmieniony, jak po chorobie i począł pakować rzeczy.

—Czy nie można tu gdzie dostać koni — zwrócił się do służącej, która przyniosła kawę. — Wyjeżdżam.

—Ojej! to pani samiuteńka pozostanie — zawołała Frania, która, zanim oddała pani kartkę Chełmskiego, nie omieszkała jej przeczytać.

—Jakto?

— A bo pan wyjechał za granicę, ma tam coś ma • lować. Pan nasz, to strasznie fasy na obrazy.

—Co Frania mówi? — Zatorskiemu z wrażenia tak drgnęły ręce, że upuścił spodek, który rozprysnął się na podłodze.

—To nasze szczęście, — mówiła figlarnie Frania, zbierając szkło — a list czytałam na własne oczy, dziś rano przez umyślnego pan przysłał.

—A cóż pani?

—Pani jakby jakaś słaba, nie chciała nic jeść, nie dała się ubrać, nie słyszy, co do niej mówią. A co do koni...

—Potem Franiu, potem.

Zatorski zaczął chodzić niespokojnie po pokoju i wreszcie postanowił przed wyjazdem zobaczyć się za wszelką cenę z panią Ireną, by z jej zachowania się wywnioskować, co mu czynić wypada. Spodziewał się ją spotkać przy śniadaniu, ale pani Irena nie zjawiła się. Czuli się istotnie źle, miała gorzki żal do męża, że ją opuścił w takiej chwili, w chwili ciężkich zmagania się i rozpaczliwej walki z porywającym ją uczuciem, potępiała się za wczorajszą chwilę zapomnienia, w której nie' tylko nie odtrąciła, ale jakby ośmieliła Zatorskiego. Bała go się spotkać i nie przyszła na obiad.

Zatorski siedział sam, posępny i ponury. Sucha je

go twarz drgała nerwowo. Porywcza jego natura nie mogła długo znosić takich chwil niepewności.

—Muszę ją zobaczyć — szeptał — powiem jej dwa słowa, tak, czy nie, a potem, a potem — nie wiedział, co ma zrobić, czuł, że ma gorączkę, kipiał cały, gotów popełnić szaleństwo. Tułał się z kąta w kąt po swoim pokoju i wreszcie siadł, starając się całą siłą woli opanować rozigrane nerwy.

Pod wieczór ochłonął nieco. Czuł się strasznie zmęczony, gnębił go jakiś żal, ciężkim smutkiem oblekała się dusza. Wyszedł na balkon, oparł się o poręcz i patrzył w ogród, w którym tyle chwil z nią spędził, jak w utracony raj. Nagle drgnął, dostrzegłszy przesuwający się jej cień, który znikł w ciemnej alei.

Przez poręcz, chwytając się balustrady, zeskoczył na dół i szybko dopędził panią Irenę.

Szli w milczeniu bok o bok tak blisko, że wiotka jej suknia ocierała się o niego, przy każdym doknięciu wzniecając w całym jego ciele, jakby podmuch płomienny. Ujął ją za kiść ręki, czując, jak dłoń jej drży i puls chwilami zamiera, by potem zabić w przyśpieszonym tempie.

Gdy stanęli obok ławki, Zatorski zmusił ją usiąść. Objął jej kibić i tracąc wszelkie panowanie nad sobą, począł całować jej usta, szyję, kark, ramiona...

—Mia cara gioia, trevora — szeptał przypomniane nagle z dzieciństwa słowa babcinej pieszczoty.

Pani Irena słaniała mu się w ramionach, jakaś gorąca fala wzbierała w niej coraz silniej i jak powódź zrywała wszystkie tamy, wszelkie próby oporu; zmąciły się jej myśli i tonąc w jakiejś słodkiej otchłani, bezwiednie chwyciła go za szyję i z najgłębszych warstw jej duszy wydobył się nabrzmiały jakby bolesną skargą i spazmatycznym szlochem szczęścia jeden wyraz: mój!

Gdy opadły osłabłe jej ręce, Zatorski nieprzytomny ze szczęścia, rzucił się na kolana i począł całować ją po nogach...

Zbudziły ich głosy powracających z roboty ludzi; zerwali się oboje. Pani Irena szybko pobiegła do domu, Zatorski został sam Dygotał cały jak w febrze, z ostrem bolesnym uczuciem raptownie przerwanej pieszczoty; jak pijany, chwytając się poręczy, wszedł na górę. Czuł zawrót w głowie, silne napięcie wszystkich nerwów, gwałtowne nabrzmienie krwi w tętnicach. Chłód nocy orzeźwił go, mętne myśli jęły się wyjaśniać, słyszał zamykanie drzwi, głosy rozchodzącej się do siebie służby, parskanie wracających od wodopoju koni, aż wreszcie zaległa cisza.

Zatorski zdjął obuwie i ostrożnie stąpając po schodach zeszedł na dół, minął lekko oświetlony, przez pełnię księżyca niedomkniętą okiennicę — jadalny, salon i stanął u drzwi jej sypialni. Z zamartwieniem serca, z wolna nacisnął klamkę, otworzył drzwi i wstrzymał się na progu. W sypialni panowała zupełna ciemność, — Pani Irena nie widziała nic, ale odczuła jego obecność. Skuliła się w sobie, jakby się przyczała, bez ruchu, z zastygłym oddechem, tylko serce trzepotało się w jej piersiach, jak schwyty w sieci ptak. Posłyszała, że zbliża się i że dotyka krawędzi łóżka. Przerażająca jej myśli, ale upragniona całą głębią instyktu chwila oczekiwania wydała się jej wiekiem.

Podniósł ją pod ramiona i przygarniał do siebie. Przyłgnęły do jego ust pół otwarte wilgotne jej usta i w długim pocałunku, jak gdyby zawrzała słodka potok wzajemnej rozkoszy. Opletli się w uścisku. Pani Irena szeptała jakieś słowa, w których tylko rozróżniał swoje imię Stach. Dygotała cała, głębokie oddechy, podobne do łkania, zwały jej piersi wstrząsnęły się spazmatycznie i osunęła się bezwładnie. Dla Zator

skiego minął również zenit rozkoszy, oprzytomniał i przerażony jej nieruchomością zapalił świecę.

Leżała bezsilna, blada; pionowa, drobna zmarszczka przecinała jej czoło, w niedomkniętych ustach błyszczały mocno zaciśnięte zęby, oczy miała zamknięte, z pod długich rzęs wymykała się łza; pierś falowała lekko.

Renuś moja, całował jej pachnące włosy i delikatnym głaskaniem, uspokoił bałwaniącą się w niej jeszcze krew.

Westchnęła silniej i odsłoniła głębokie błękitne, zasnute słodką ngłą oczy, objęła go nagle za szyję i opierając głowę na ramieniu, wymówiła prawie głośno — mój.

Od tej chwili rozpełtał się w niej z całą siłą bujny temperament kobiety, którego Chełmski nie potrafił w niej rozbudzić. Wyzbyła się szybko swej dawnej nieśmiałości, dziewiczych zawstydzeń.

W rosie miłości rozwinęła się z pąka w cudowny, dyszący zapachem kwiat. Ze ślicznej dziewczyny zmieniła się w pyszną, wspaniałą kobietę. Zaczęła się lubować swym pięknem i doznawała pewnego rozzmysłowienia, stając nieraz nago przed lustrem. Ubierała się w przezroczyste ażury, nosiła rozciętą z boku suknię, która przy każdym ruchu uwydatniała jej kształtną nogę.

Zrobiła się zalotna, kusząca, ponętna. Biała delikatna jej płeć jakby się zaróżowiła płomieniami krwi tętniącej namiętnie w jej żyłach.

Nie gasiła już światła, gdy wchodził nocą, chciała cieszyć się pełnią jego urody i dać mu się nasycić własną swoją krasą.

Zatorski, okiem artysty wpatrując się w jej postać, wyszeptał z zachwytem: — Wyglądasz jak posąg.

Bądź drugim — powiedziała i zgasiła świecę.

Była tak biała, że świeciła w ciemności.

Smagły Zatorski ginął prawie w nocy, tak, że jedwie rozróżniała jego kształty. Poczęła go jakby szukać rękami w ciemności.

— To droga głowa — mówiła, — to ramiona, to piersi.

Krew jej uderzyła do głowy: słodka lubość ugięła w kolanach, upadła, pociągając go za sobą na podłogę i potężna fala namiętności wzruszyła nieruchomą noc. Ocknęły się na moment uśpione kwiaty i otwały swe stulone kielichy, zaszumiały lekko czuby drzew, rozjarzyły się żywiej gwiazdy, dwa tęskniące ku sobie śnieżne obłoki złączyły się w jeden, płynęły srebrząc się w poświacie księżycy.

Służby krępowali się coraz mniej, która zresztą domyślała się wszystkiego; Frania miała nawet rzeczowy dowód, spinkę do mankieta, znaną w łóżku swej pani. Maciej trochę się gorszył. Kobiety za to broniły panią Irenę.

Niech pilnuje żony, a nie lata za obrazami, — panicz piękny, jak malowanie.

To prawda, zgadzał się Maciej, ale, jak pan wróci — co będzie.

Chełmski jednak nie wracał, nie dawał znaku życia o sobie.

Pani Irena chwilami myślała o mężu, ale szybko odganiała te myśli, by nic nie mąciło ich szczęścia.

Zatorski kochał panią Irenę, prawdziwie całą mocą swojego młodego serca, całym ogniem swej południowej krwi.

Pani Irena dopiero w stosunku z nim poznała całą moc potęgi miłości. Otworzyła się przed nią bezkresna kraina wstrząsających wzruszeń słodkich, omdleń sennych, odurzeń, radosnych odurzeń do nowej pieśczoły.

Przytrzymała go nieraz u siebie do rana.

Byś mi nieuciekł — mówiła — obwiązując jego czarny lok pasmem swych jasnych włosów, — a teraz śpijmy — i sen ich był, jakby marzenie o sobie, przepojony ciepłem przytulonych ciał i subtelnym aromatem, którym pani Irena zdawała się pachnąć cała.

W dzień prawie nie rozstawali się zupełnie. Naj-ff»ilsze chwile spędzali przy kominku, on siadał na fo • telu, a pani Irena na poręczu bawiła .się lokami jego włosów, słuchała nuconych piosenek, słów kochania, opowiadań o przygodach tułaczkiej jego młodości i przeżyć wojennych.

Kiedyś, wpatrując się w dogasający ogień, zamyśliła się głęboko.

—O czym tak dumasz? — pocałował ją w głowę.

—Myślę, że może nasza miłość przygaśnie i w popiół się obróci.

—Nigdy-

—A gdy drewek zabraknie?

—To rzucę się na stos, by go podsycić.

—Tak to się mówi.

—Nie wierzysz? — Zatorski wsunął w żar rękę.

—Co robisz warjacie? — pani Irena szarpnęła go gwałtownie w tył.

Spalona ręka była cała w bąblach.

—Niegodziwy chłopcze — poczęła mu opatrywać płatkami z oliwą dłoń i, patrząc na jego ściśnięte usta, pytała troskliwie: bardzo boli, idź kotuś położyć się, ja pojedę po doktora.

—Ależ to głupstwo, to nic.

Ręka go jednak istotnie piekła, udał się na górę j starał się zasnąć, ale nie mógł. Pokój, w którym dawno nie był. wydał mu się obcy i pusty, czuł się nieswojo i nagle serce zabiło radośnie, gdy spostrzegł na schodkach szybkie, drobne kroki.

| • W drzwiach ukazała się otulona szlafrocikiem pani Irena i z figlarnym uśmiechem rzekła.

—Przyszłam odwiedzić chorego, czy nie przeszkadzam?

!> — Ależ.

Siadła na brzegu łóżka. — Taki biedny, taki słaby, kaleka, nie może mnie pieścić, więc ja muszę, zaraz, tylko uczeszę cię na kobietkę. Zwinęła jakby w kok jego długie włosy i przewiązała wstążeczką.

—Jaka śliczna blondyneczka, z wąsikami, poku- śnia — pocałowała go w usta. Nozderka jej się rozděły, ukazała się z pod koszulki biała wzdymająca się pierś. Przytuliła się całym ciałem.

—Prawda, za ciężka jestem, ale cię nie zaduszę — szeptała nerwowo, nagle wstrząsnęła się, ściskając go w biodrach, podniosła się na klęczkach, podała się w tył, głośnie, podobne do szlochu westchnienia zatargały się w rozdětem gardle i nawpół zemdlna upadła głową na jego muskularną pierś.

Od tego czasu zaczęli się przebierać coraz częściej, a właściwie pani Irena, której Zatorski, jako malarz, wymyślał rozmaite kostjумы. Raz występowała jako Turczynka, to znów jako tancerka, to znów j;ko kabaretowa śpiewaczka. I pani Irena tańczyła i śpiewała frywolne piosenki przy dźwiękach jego mandoliny, bawili się, jak dzieci, czasem odgrywali całe sceny, ustawiali dwa stoły przy jednym, w balowej, silnie wydekoltowanej sukni, jedząc winogrona, robiła mocne oko do Zatorskiego, który we fraku popijał przy drugim stole wino.

W pewnej chwili Zatorski wstawał, podchodził do pani Remy i, kłaniając, przedstawiał się.

— Jestem Zateini, Włoch, nikogo tu nie znam, nie mam z kim zamienić słowa, czuję się tak samotny, może pani pozwoli się przysiąść, będzie to dla mnie wielkiem szczęściem, zwłaszcza* że Dani mi przypo

mina ogromnie pewną osobę, którą kocham bez pamięci i do której ciągle tęsknię.

— Proszę — mówiła, uśmiechając się zalotnie — jaki dziwny zbieg okoliczności, pan znowu uderzająco jest podobny do wybrańca mojego serca, że gdybym nie wiedziała, że pan jest Zateini mogłabym myśleć, że mu na imię Stach, jedyny mój chłopiec.

— Ale, skoro się tak składa — mówił Zatorski — to może pani mi się da pocałować chociaż w rękę.

— Nie tylko w rękę, ale w nogę — śmiała się pani Rena.

Zatorski, całował ją po nogach, aż wreszcie wstała i rzekła: — Może mnie pan odprowadzi do domu. Zatorski podawał pani Renie ramię i prowadził ją do sypialni. Oto mój dom — mówiła pani Rena na progu.

— Czy pani pozwoli sobie złożyć wizytę?

— Bardzo proszę, ale kiedy — chciałabym, by mnie pan zastał.

— Niebawem.

I w pół godziny Zatorski był u niej i mówił: przypomniałem sobie, że jestem Stach Zatorski.

— A ja — twoja Rena.

— Renuś — mówił Zatorski, biorąc ją w objęcia — nie wiem, jak cię mam pieścić, czuję się tak ubogi w porównaniu do bogactwa twych wdzięków, chciałbym mieć sto ust, by cię całować, sto rąk, by cię pieścić, chciałbym — ciągnął z jakąś porywającą go pasją, targając ją za ramiona — pomnożyć swą męskość, by by cię móc pieścić jednocześnie całą.

— Zacałowałabym cię na śmierć, szeptała, ściskając go mocno.

— I cóżbyś zrobiła ze mną umarłym,

— Spaliłabym się z tobą na stosie i ulecielibyś my w tumanie dymu, spłynięci w jeden obłok. I odchodząc od zmysłów, splatali się ze sobą tak silnie, że zatracali poczucie odrębności istnienia. Jej rozkosz biła w nim, jego w niej; zdawali się w sobie roztopiać, stawać się czemś jednym, nierozzerwalnym, tak silnie spojonym, że odczuwali fizyczny ból, gdy rozplatali się z objąć.

Miłpść ich rosła, z czasem odkrywając coraz nowe sekrety rozkoszy, w których odgadywaniu pani Rena odznaczała się ogromną erotyczną intuicją.

Ona to wpadła na pomysł zwlekania ze wszystkich kątów skór na posłanie.

I leżąc w tych skórkach, budziły się w nich jakieś pierwotne, dzikie instynkty.

Nawijały się na usta lubieżne słowa. Jego pieśczęty stawały się bolesne, brutalne, a w niej budziła się niezrozumiała chęć doznania gwałtu.

Broniła się zaciekle, a gdy usiłował obezwładnić odpychające go ręce ugryzła go yr dłoń do krwi, nareszcie uległa, poddając się, jak zmięty kwiat.

— Coś zrobił — skarżyła się, jakby żałując utraconego dziewictwa.

A on, wycalowując ją, mówił wzruszony:

— Renuś — dziewczę moje, zawsze mi jesteś panienką, i głos mu się złamał zdławiony wzruszeniem.

— Biedactwo moje, mówiła pani Irena, całując zadaną mu ranę — przebacz, żem taka chciwa twojej miłości, wierz, że gdy walczyłam z tobą, pragnęłam całym płomieniem mej krwi, byś mnie zmógł. Pamiętaj, że gdy mnie pytasz — czy tak można, czy tak można, nie wierz mi nigdy, gdy szepczę — nie. Wiedz, że to znaczy — tak, Jesteś mój od stóp do głowy, tak, jak ja twoja, słuchasz, jak teraz krew się we mnie cicho kołysze, jak senne morze, tak mi słabo i słodko, nie, nie wiedziałam, że tak kochać można, a czuję, że to jeszcze nie kres. Chciałabym zasnąć na wieki w twoich ramionach ze snem o tobie i jeżeli jest raj i wieczni

na w nim szczęśliwość, to będzie nim dla mnie ten sen.

Zarzuciła nań białe swe ramiona i przytuliła głowę do piersi.

Zatorski głaskał ją po głowie:

— Niema, mówił termometru na temperaturę uczuć, ale gdybyś rozcięła mój mózg, ujrzałabyś tam swój wizerunek, a gdyby serce, — buchnąłby z niego ku tobie płomienny potok mego uczucia. Ma dusza jest pełna ciebie, czuję cię w każdej komórce mego ciała, sam nie wiem dla czego, zacom taki szczęśliwy i zaczynam wierzyć, że Bóg cię mi zesłał, dając mi nie- biosa nie po śmierci, ale za życia i na ziemi.

— A jednak — mówiła wdziwając koszulkę, pani Rena — zdaje mi się, że kocham cię więcej, bo budzą się we mnie ku tobie matczyne uczucia. Chciałabym czasem, byś się stał takim malutkim czarnowłosym chłopczykiem, bym mogła cię brać na ręce i bujać do góry.

— Żałuję, że nie mam mleka — szepnęła — karmiłabym cię, jak niemowlę i wiedziałabym, że zmienione w krew z mej krwi poczęte krąży w twych żyłach i byłbyś więcej mój.

— Renuś!

— Bij — szeptała.

Zatorski uderzył ją raz jeden lekko, nieśmiało, potem mocniej po raz drugi i, rozogniony poczerwieniałem piętnem na plecach, chciał uderzyć jeszcze mocniej po raz trzeci, ale Rena usunęła mu się do nóg i zaczęła ścisnąć jego stopy. Podniósł ją bladą, bez> przytomną położył na łóżku i, widząc, jak drży całe ciało, zdjęła go litość i póty głaskał, aż uspokoiła się zupełnie.

Nie odmykając oczu, szepnęła — daj mi rękę i tuląc ją do ust, zasnęła.

Żatorski patrzył ze wzruszeniem w jej słodką twarz i przypomniał mu się ten dziki poryw okrucieństwa, który go poniósł, gdy chciał po raz trzeci uderzyć, przeraził się myślą, że w napadzie miłości gotów jest ją pobić do krwi, a nawet zabić.

— Boże, mój Boże — począł się prawie modlić ś przysięgał, że nie podniesie na nią nigdy ręki, chociażby go^o błagała. Ujął promień złotych, pachnących jej włosów i ucałował, jak relikwię.

Ocknęła się.

— Czy długo spałam? — zapytała sennie.

— Nie.

— A ja mam wrażenie, że wieki -U tak mi było dobrze, zdawało mi się, że tonę w miękkim, białym puchu.

— Wyrzucimy te skóry — rzekła po przerwie— złe są, brudne i brzydkie... Lepsze i piękniejsze są pa* chnące kwiaty, na których się kochają tęczowe motyle... Pocałuj mnie łagodnie... Śniło mi się, że szliśmy razem po pas w ich łamach, a w dali przed nami majaczył jakiś obłany różowym światłem daleki kraj, bił stamtąd jakiś chór cudownej melodji i nagle ujrzałam w tej dali bujającego ślicznego anioła. Był to złocisty cherubin o białych świecących skrzydłach. I uczułam jak spływała na mnie jakaś łaska nieba, która obmywała mą duszę z grzechów krwi.

— Pocałuj mnie jeszcze łagodniej.

Umilkła. — Odsuwając się od niego, wymówiła.

—Daj mi zasnąć tej łasce.

Zatorskiemu jakieś wewnętrzne, nie zupełnie uświadomione, uczucie kazało wstać i odejść.

Nazajutrz pani Rena zastała w buduarze i w salonie mnóstwo sprowadzonych z miasta kwiatów.

— Co ma znaczyć ta owacja?

— Bo to akurat miesiąc mija od pierwszego dnia naszej znajomości — Zatorski
pocałował ją w rękę/
— Miesiąc — wyszeptała pani Rena i posmut

niała nieco i zapatrzyła się przez okno na żółknący klon i upadający zwolna jego złoty liść.

— Miesiąc i ani znaku życia — przypomniała sobie nagle o istnieniu Chełmskiego.

' — Co będzie, jak wróci — przemknęła jednocześnie w ich głowach myśl.

I pani Rena, jakby odgadując jego myśl, mówiła zacichłym głosem.

— Dlaczego nie jest naszym ojcem, by mógł się cieszyć naszym szczęściem, wszak nieraz mi mówił córuś, córuś mi mówił. Padnę mu do nóg i wyznam wszystko, a on mnie podniesie, jak ojciec.

Łzy jej popłynęły po twarzy i był to pierwszy ich smutny dzień.

III

Chełmski dobił się do miasta pod wieczór, zaszył się w najciemniejszym kącie plant i siedział nieruchomy, jak kamień. Nieszczęście spadło nań tak nagle, niespodziewanie, że ogłuszyło go zupełnie. Zakrzepły w nim wszystkie uczucia, roztargały się na strzępy myśli i tylko od czasu do czasu, jak w półmroku, występował widziany obraz i nikł i znowu powracał.

Zbliżała się noc. Opustoszały planty, cisza zaległa w mieście i raptem na cztery strony świata załka- ła tęskna trąbka hejnału, rozdzwoniły się zegary, bijąc dwunastą. Chełmski ocknął się na moment, ostry ból przeszył mu czaszkę i po chwili znowu zapadł w poprzedni letarg.

— Tu spać nie wolno, proszę iść do domu — zaczepił go przechodzący policjant.

— Do domu, a jak kto nie ma domu?

— Każdy ma swój 'dom — i policjant, spostrzegłszy na palcu Chełmskiego bogaty pierścion z brylantem i złotą dewizkę, poszedł dalej.

U4

\ — Dom! dom! dom! — huczało Chełmskiemu w głowie i przypomniała mu się raptem chwila, kiedy ło śmierci ojca, wypędzony przez macochę, ruszył świat.

— Więc znowu — pomyślał — trzeba i to jak najdalej, jak najprędzej, natychmiast — i z nadejściem ranka udał się do kolejowego biura, f \ — A, pan — witał go uprzejmie urzędnik — zapewne wycieczka do Włoch?

\ — Do Włoch — powtórzył machinalnie Chełmski. \

V — Dam panu książeczkę, są już, są. i A- Dobrze — powtórzył.

Dam panu do Florencji, a tam dostanie pan już dalej naturalnie I klasę.

Chełmski był w stanie takiej depresji i obojętności wszelkiej woli, że zgadzał się na wszystko. Udał się na dworzec i tak jak stał, bez żadnych bagaży, wsiadł w pierwszy pociąg, idący w kierunku Wiednia.

Wtulił się w głąb wagonu i by nie odpowiadać na pytania kilku znajomych pasażerów, udawał, że drzemie.

Gdy pociąg ruszył, porwał go tak gwałtowny paroksyzm rozpacz, że chwycił się za poręcz kanapy« by nie upaść. Trwał krótko, potem zrobiło mu się duszno, chciał otworzyć drzwi i wyskoczyć, ale były na- zewnątrz zamknięte.

Pociąg mknął szybko, zatrzymując się tylko na ; (ważniejszych stacjach).

Pod wieczór Chełmski stanął w Wiedniu, przejechał na dworzec południowy i znalazłszy się w sali jadalnej, poczuł, że jest głodny, ale jeść nie mógł, wypił tylko parę kieliszków koniaku, które go odurzyły.

Oparł głowę o stół i zlekka drzemał. Sala opustoszała, zaspani kelnerzy przyglądali się podpitemu ' Maściowi. Wreszcie szwajcar zbudził go i rzekł:

Ida płacze — 13

• Pociąg odchodzi dopiero o pierwszej w nocy

— O pierwszej — mruknął Chełmski, nie podnojąc głowy — gdzie ja jestem, ach, tak, w Wiedniu -4 znów zapadł w męczący, jak koszmar, pół sen.

Zbudził go ruch napływu pasażerów, zapłacił rachunek i wyszedł na peron.

Pociąg już stał. Wsiadł do sleepingu, położył się i próbował zasnąć, ale nie mógł, wyszedł na korytarz i patrzył w okno. 7

Szybko minęły piaski i równiny, pejzaż stawał się górzysty i wkrótce pociąg jął się piąć serpentyną Semmeringu, potem wpadł w doliny. Wielkie świerki jak gdyby schodziły z gór i Chełmskiemu zdawało się, że biegną ku niemu, by go swymi ciężarami zawałć.

Kiedyś zachwycał się temi widokami, obecnie odbijały się w jego osłupiałych oczach, jak w lustrze, nie sięgając głębiej i nie budząc żadnych wzruszeń.

Na którejś stacji jakiś chłopak wetknął mu koszyczek z butelką wina i zakąskami. Wypił chciwie wino i z trudem przełknął kanapkę. Korytarzyk nagle zaroił się nawpół rozebranymi pasażerami, chcącymi oglądać góry, przypominające swymi kształtami głowę człowieka.

Byli to przeważnie Niemcy, z których by żaden sobie nie darował, by przesłepić ten widok.

— Kolos! — powtarzali — nie prawda, zwróć się do Chełmskiego.

Chełmski milczał. — Czego oni chcą odemnie, — szumiało mu w mózgu i poczuł się lepiej, gdy rozeszli się i pozostał sam.

W Bocen przy rewizji granicznej wywołało pewną sensację, że oryginalny pasażer nie posiadał żadnego bagażu.

Brak rzeczy w hotelu w Florencji wywołał tak silne zaniepokojenie, że odebrano mu paszport i kazano zapłacić za numer z góry.

Dopiero, gdy kelner przy płaceniu zauważył, że Chełmski ma dobrze wypchany pugilares, nieufność pierzchła, wrócono mu dokumenty i w dodatku świeży numer miejscowej gazety. Chełmski czytał piąte przez dziesiąte, litery skakały mu w oczach, ożywił się nieco przeczytawszy w dziale ogłoszeń, że dawna jego pracownia, gdzie namalował pierwszy obraz, którym zdobył rozgłos, jest do wynajęcia.

Wyszedł z hotelu i wkrótce wstąpił w dobrze mu znaną bramę starego domostwa. Nic się tu nie zmieniło od lat dwunastu, tylko gospodyni, którą znał jako młodą kobietę, wyglądała teraz jak chuda megiera.

Poznała Chełmskiego.

—A, signore polacco — witała go z radością, a ucieszyła się jeszcze więcej, gdy dowiedziała się, że chce pracownię wynająć; przedstawiła mu dwie swoje córki, hoże dziewczyny; dowiedziawszy się, że chce pracownię wynająć natychmiast, rzekła — trzeba tam będzie jednak posprzątać, może pan wróci za dwie godziny.

—Poczekam — rzekł Chełmski, siadł na ławeczce i odpowiadał monosylabami na potok słów gadatliwej włoszki.

Mieszkanie składało się z właściwej pracowni i pokoju. Chełmski wszedł po stromych, trzęsących się schodkach i zastał tu wszystko jak dawniej: wąskie łóżko, stół przykryty serwetką szydełkowej roboty, parę krzeseł, wypłowiałą kanapkę i własne sztalugi, które tu pozostawił dla swoich następców.

—A gdzie mam posłać po rzeczy? — pytała gospodyni.

—Proszę mi kupić parę sztuk bielizny i kuferek — wręczył jej Chełmski pieniądze, a gdy wyszła, położył się na łóżku i zamknął oczy. 'Otoczył go rój wspomnień: borykanie się z biedą, pierwszy sprzeda

ny obraz i wesoła z tego powodu z kolegami biba/ I wydało mu się, że przeszłość powraca z tą różnicą że brakło tego humoru i werwy życia, która wszystko osładza. Wspomnienia nagle pierzchły i hydra cierpienia zagłuszona narazie tem zdrętwieniem duszy, którą spowodowała nagłość ciosu, wychyliła swą potworną głowę i zaczęła mu szarpać serce, targać trzewia, wpijać się szponami w mózg, w każdy fibr nerwów. Zdawało mu się chwilami, że oszaleje z bólu. Obraz widziany rozsadzał mu czaszkę i z całą jaskrawością stawał przed nabiegłymi krwią i łzami oczyma.

— Iruś — szeptał spiekłemi wargami — jakieś mogła tak mnie zamordować!

Boleść dochodziła do zenitu, a potem opadała nagle i dusza jego stawała się martwa i pusta, jakby cała jej treść wyczerpywała się wraz z cierpieniem.

Zachował jedynie pewną dozę wrażliwości wobec piękna i w oglądaniu dzieł sztuki zyskiwał chwilę ulgi i zapomnienia.

Szczególniej bliskim stał się dlań ponury genjusz Michała Anioła. Godzinami przesiadywał w zakrystji Nowej i przyglądał się uśpionej nocy i bolesnym usiłowaniom wydobywania się z marmuru rysujących się kształtów dnia. Przypomnił sobie napisany z powodu tego nagrobka wiersz:

Widzisz tę noc, co słodko tak uśpiona, Jak ją Anioł wydobyl z kamiennego łona Śpi, bo jest żywa, a że się nie ludzisz, Przystaniesz wątpić, skoro ją obudzisz, co Buonarotti odpowiedział:

Dobrze mi spać i szczęsnym mi jest losem Z kamienia być. W te dni niesprawiedliwe, Widzieć i czuć: o to są męki żywe, Na Boga, nie budź, i mów tu cichym głosem.

148

1 Widzieć i czuć o to są męki żywe — powtarzał i rozpaczą Chełmski i przelatywały mu przez głowę pomyslenia o tem, że muszą skamienieć — umrzeć. ^ 1 Te zagadnienia i niektóre artykuły zaczęły zaprzętać go coraz silniej.

i Któregoś dnia, gdy siedząc w restauracji zagłębił się cały w posępnej zadumie, zbudził go okrzyk:

— Mistrz tu...

Stał przed nim dawny jego uczeń Bill, który przekonawszy się, że nie ma twórczego talentu, wyspecjalizował się w odnawianiu starych obrazów.

Chełmski, który witał swych dawnych uczniów zawsze bardzo serdecznie, interesował się ich kolejami życia i szczegółowo rozpytywał się o wszystko, przywitał Billa dość ostro.

Stropiony Bill przysiadł się do stolika i nie wiedział jak zacząć rozmowę.

— Cóż — po dłuższej pauzie odezwał się pierwszy Chełmski — zawsze po dawnemu odnawiasz?

— Właśnie skończyłem niedawno robotę w Padwie.

— Słuchaj Bill — zapytał go żywo Chełmski — ty, który obcujesz ze świętymi i całe dni siedzisz w kościele, jak ci się zdaje, czy tam poza grobem jest życie i czy zapominamy, czy też zachowujemy świadomość przeszłości?

— Nie zastanawiałem się nad tem—odparł Bill— choć jestem skłonny wierzyć w nieśmiertelność duszy.

— A w ciała zmartwychwstanie?

— Możliwe.

— A jak mamy rozumieć, że zmartwychwstaniemy w ciałach tych samych, ale nie takich samych?

— Przypuszczam, że w tym lepszym, idealniej- szym świecie osiągniemy wyższy stopień doskonałości pod każdym względem, i pod względem fizycznym staniemy się piękniejsi.

149

' Czyli, że Ja — zaśmiał się nienaturalnie Chełmski — mogę się stać podobny do tego umiera-^{*}jącego Adonisa, co leży w muzeum Anioła — umilkł, zamyślił się i dodał po chwili:

— I nic się właściwie nie zmieni, bo skala pozostanie ta sama: brzydki stanie się przystojnym, przystojny ładnym i tak dalej,

— Wszystko jest względne, „z kamienia być” to jest bezwzględny spokój.

— Czy mistrz przyjechał tu malować? — pytał Bill, by zmienić, temat rozmowy.

— No tak, zapewne — odrzekł wahająco Chełmski przychodź tu czasem Bill, nie mam do nikogo gęby otworzyć, przychodź tu czasem — wstał i wyszedł.

— Malować — szeptał — uciec od rzeczywistości w świat wyobraźni, w krainę marzeń.

Siadł w pracowni i usiłował wymyśleć jakiś temat, ale nie mógł: wyryty w mózgu obraz czulej sceny pani Ireny z Zatorskim zasłaniał mu wszystko i wydało mu się, że gdy go wyrzuci na płótno, wypluje żrącą go truciznę.

Zabrał się do roboty, postacie miały być naturalnej wielkości, cała zmiana polegała tylko na stroju. Zatorskiego postanowił ubrać w aksamitny kostjum pазia, panią Irenę w powłóczytą bogatą szatę królowny.

— „Paź i królowna” — szeptał z goryczą, przerywał pracę, siadał na łóżku i zapadał w tępe osłupienie. To, co się stało, wydawało mu się chwilami czems nieprawdopodobnym, niemożliwym, niemożliwym — cem się pomieścić w głowie, a jednak prawdziwym. I prawda ta występowała na płótnie z całą jaskrawością w całym bogactwie barw, mistrzowskim pędzlem powołana do życia.

I po skończeniu obrazu nie doznał ulgi, ale prze-

ęiwnie, jakby rozdrapał przysychającą ranę. Poczul żar w mózgu i gniazdo skopionów w sercu; przestał spać zupełnie, stracił apetyt, wybiegał z pracowni na ulicę, z ulicy do pracowni, jakby chcąc uciec od siebie.

Raz jeszcze widział się z Billem i zadał mu parę pytań na dawny temat i chwycony nagłym paroksyzmem boleści, wybiegł z restauracji, zapomniawszy zapłacić.

— Poślę im ten obraz — postanowił i w chwili jakiegoś mściwego uczucia, które błysnęło jak sztylet, zaświtała mu pewna myśl. Wyciął kwadracik płótna i poczał szybko malować; gdy skończył, rzucił się twarzą w poduszki i suche łkanie poczęło mu targać piersi. — Iruś — szepnęła, i spłynęła mu z oczu jedna łza.

Leżał tak długo... wstał i w przystępie jakiegoś rozczulenia nakreślił na odwrotnej stronie kwadratu parę słów.

Wahał się długo, w jakimś stwardnięciu serca przylepił wycinek do obrazu i tak zręcznie zatuszował brzegi, że zlały się z ogólnym tłem.

Sprowadził stolarzy, kazał zapakować obraz i wysłać pod adresem żony.

Gdy pudło wyniesiono, pożałował swego kroku, chciał ich zawrócić, ale ogarnęło go niezwykle zmęczenie i straszny śmiertelny smutek poczucia, że jest to ostatnie jego dzieło.

— Koniec — wyszeptał, rozejrzał się po opuszczonej pracowni, która mu się wydała nagle popyną jak grób. Wybiegł na miasto i wsiadł w pociąg, idący do Medjolanu.

Przyjechawszy, zamknął się w hotelowym numerze i leżał parę godzin bez ruchu jak oczadziały. Pod wieczór wstał, napisał list, wsunął do portfela i udał się na Campo-Santo. Stanął przed krematorjum i wpatrywał się w wyryty na frontonie napis:

Vernibus crepti puro commumimur Igni indate rubitum mens reverentu petit.

Szmer szybko uciekających z pod jego nóg jaszczurek zwrócił jego oczy na piasek.

W tem miejscu stała — przypominał sobie dokładnie, tu posłyszał jej melodyjny głos, tu skrzyżowały się ich spojrzenia, tu — zapłonął w jego sercu ogień miłości, tu — ukląkł i zdawało mu się, że widzi ślady jej stóp na piasku.

Pochylił się i przytknął usta złożone w pocałunek. Ostry żwir poczuł na wargach. Spazm strasznego żalu ścisnął go za gardło. Wydobyl rewolwer i strzelił sobie w bok, a czując, że żyje, wypalił po raz drugi.

Zbiegli się ludzie...

W wigilję tego dnia Zatorski przywiózł obraz.

—To od Zygmunta — silnie denerwowała się pani Irena, pomagając odbijać paczkę.

Zatorski ustawił obraz na stalugach i odjął karton. Cofnęli się, ujrzawszy siebie i nagle pani Irena krzyknęła i zachwiała się, dostrzegłszy pomiędzy fałdą swej sukni i kolanem Zatorskiego małą trupa główkę o szeroko rozstawionych oczodołach i jajowatej czaszce.

—Jezu — stęknęła i upadła zemdlona.

Długo nie można było jej się docucić.

—Zabiłam go, zabiłam! — powtarzała raz po raz, odzyskawszy przytomność.

—Idźcie stąd wszyscy! zabiłam! — umilkła nagle i leżała jak martwa. Wieczorem dostała gorączki i sprowadzony doktor nie mógł jasno określić choroby, która trwała długo.

Nazajutrz telegram o samobójstwie Chełmskiego zelektryzował całe miasto.

W parę dni potem nadeszła obszerna korespondencja Billa.

— Chełmskiego — pisał — spotkałem we Florencji i odrazu zauważyłem silną zmianę w usposobieniu mistrza: pewną nieznaną nigdy przedtem szorstkość w obejściu oraz zaprzętanie się zagadkami pozagrobowego życia, których dawniej nie poruszał nigdy. Wiem, że malował jakiś obraz, który wysłał do kraju — obrazu tego jednak mi nie pokazał. W ostatniej rozmowie, gdy ja jego, postawione w jakiś jakby sposób kategoriyczny, pytanie: — Więc co jest po śmierci? — odpowiedziałem: — Nie wiem, dodał: — Skoro nie wiesz, to należy przepawić się na tamten brzeg i dowiedzieć się.

— Mistrzu — odparłem — tysiące pokoleń przeszło tam, a nikt nie wrócił, by nam powiedzieć prawdę,

— Prawda — zawołał w uniesieniu — poco: prawda jest okrutna, jedynie coś warte są złudzenia, rozumiesz, złudzenia, które przekłeta brutalna prawda w gruzy rozbija. I nie pożegnawszy się, wypadł na ulicę. W przypuszczeniu, że jest chory, postanowiłem go nazajutrz odwiedzić. Dowiedziałem się, że wyjechał. Zdziwiło mnie, że nie znalazłem w pracowni ani jednego szkicu, ani jednego rysunku. Ponieważ zostawił rzeczy, myślałem, że wróci. Rano dowiedziałem się z pism o jego tragicznej śmierci. Pojechałem natychmiast. Zastałem go jeszcze w kostnicy. Nie zmienił się wiele, był tylko bardzo bledy, prawdopodobnie z upływu krwi. Postanowienie pozbawienia się życia musiało być bardzo silne, miał dwa postrzały, drugi śmiertelny w serce. Z listu, znalezionego przy nim, dowiedzieliśmy się, że pragnie być spalony w krematorjum. Mistrz był znanym w Medjolanie, nawet jeden z jego obrazów znajduje się w miejscowej galerji. To też pogrzeb był dość tłumny. Zapanowała martwa cisza, gdy wsunięto jego ciało w piec i słycać było tylko

szum buzującego ognia. Wreszcie wydobyto ruszt i garstkę prochu i kilka kawałeczków zczerwieniałych kości zsypano do glinianej urny. Wmurowano ją w katakumby i położono tymczasowy napis po polsku i włosku:

„Zygmunt Chełmski, malarz”. Rektor akademii wygłosił bardzo piękną mowę, wyrażając żal z powodu straty, jaką poniosła sztuka przez śmierć wielkiego syna Polski, ja przemawiałem w imieniu Polaków, ale bardzo krótko, żal tamował mi słowa. Przeszukaliśmy jego numer, przypuszczając, że znajdziemy jakieś piśmienne wyjaśnienie przyczyny jego śmierci, ale nie znaleźliśmy nic.

W Krakowie odprawiono egzekwie, na których pani Irena z powodu choroby nie była. Postanowiono również urządzić wystawę obrazów Chełmskiego i komitet zwrócił się piśmiennie do pani Ireny z prośbą, by nadesłała cenniejsze szkice i ostatni obraz. Zatorski przesłał wybrane szkice, a co do obrazu, tłumaczył się, że musiałby na to uzyskać pozwolenie pani Ireny, która jest jednak na tyle słaba, że nie może z nią mówić w tej sprawie.

Pani Irena istotnie bardzo powoli powracała do zdrowia. Tragiczna śmierć męża wstrząsnęła nią do głębi, czuła się winną i nękał ją ten straszny żal, jakiego doznajemy, przypominając sobie wszystkie krzywdy, wyrządzone zmarłym, których już nic wynagrodzić nie jest w stanie.

Smutek zapanował w domu i Zatorski poczuł trwogę, że może jej miłość utracić na zawsze.

To też, gdy pani Irena wyraziła życzenie, by pojechał sprowadzić prochy Chełmskiego do kraju, Zatorski ujmując ją delikatnie za rękę rzekł:

— Ale w jakim charakterze, Renuś, mam jechać?

144

Sądzę, że byłoby daleko naturalniej, gdybyśmy uleglizowali nasz stosunek. POCO nas ludzie mają wytykać palcami. Mam znajomego księdza na Bielanych, ślub nasz odbyłby się pocichu, bez świadków.

— Dobrze, pomyślę — odparła pani Irena, — ale natychmiast po ślubie wyjedziesz.

Pomimo tego, że ślub był tak cichy, wieść o nim przedostała się do szerszej wiadomości i opinia się podzieliła; jedni gorszyli się, że nie wyczekała nawet czasu zdjęcia żałoby, drudzy dowodzili, że dobrze zrobiła, starając się, by jej nieprawy stosunek uzyskał sankcję kościoła.

Gdy Zatorski wrócił z prochami Chełmskiego, cały Kraków doznał silnego podniecenia. Spodziewano się bowiem na pogrzebie ujrzeć intrygującą wszystkich wdowę.

Musiano użyć bardzo silnych wpływów, by zwalczyć przeszkody, które stawiało duchowieństwo w pogrzebaniu samobójcy, spalonego w krematorium, na poświęconej ziemi. Wreszcie zgozono się z warunkiem, że prochy będą złożone w trumnie.

Gdy kondukt ruszył, zaczęli się cisnąć wszyscy naprzód, by ujrzeć panią Irenę i Zatorskiego.

Pani Irena, w czarnej sukni bez welona, wyglądała niezwykle pięknie, była blada; długa choroba wysubtelniła jej postać i rysy, przywracając jej dawny urok dziewczęcy.

— Ten ma szczęście — szeptali, patrząc na Zatorskiego, mężczyźni. — Trudno się dziwić, chłopak piękny jak rzadko, a Chełmski był brzydki, jakich mało — mówiły panie.

Powoli kondukt dotarł do cmentarza. Trumnę spuszczone na sznurach w murowany grób z zasuwana płytą kamienną. Gdy prześpiewał operowy chór — rektor akademii sztuk pięknych wygłosił wspaniałą mowę, popelniając, jak mniemano, niezręczność przez fokie aiśzycac ksi.ąiejfi

napomknienie o nieutulonym żalu wdowy, ale nie mylił się.

Żal pani Ireny istotnie był tak głęboki, że utonęła w nim na pewien czas miłość do Zatorskiego. Ta trupia głowa leżała pomiędzy nimi, jak nieprzewyciężona zaporą.

Zatorski nie śmiał się upomnieć o swoje mężowskie prawa. Chodził jak struty. Większą część dnia spędzał w pracowni i często odsłaniał ostatni obraz Chełmskiego i patrzył.

Ta mała trupia główka zdawała się szczerzyć ku niemu zęby, chwilami w sposób tak straszny, że ogarniał go strach i zgroza.

Kiedys jednak przyglądając się bliżej drgnął, dostrzegłszy szczelinę, chwycił scyzoryk i ostrożnie odlepił kwadracik płótna z fatalną głową i na odwrotnej stronie wyczytał napis:

— Ja ci przebaczam, Iruś.

Ze wzruszenia serce mu zamarło w piersi.

Pani Ireny nie było w domu. Wyszła bowiem, jak to czyniła zresztą codzień, na cmentarz, by zanieść świeże kwiaty i gorąco się pomodlić. Gdy wróciła, zdziwił ją podniecony stan Zatorskiego.

— Renuś, mam niespodziankę — i zaprowadził ją do pracowni.

Pani Irena spojrzała na obraz i osłupiała.

— Co to jest — wymówiła prawie z przerażeniem. * .

— Ot co! — pokazał jej na odwrotnej stronie napis. > •

Pani Irena, przeczytawszy go, rozszlochała się tak silnie, że trudno było ją uspokoić.

Gdy nazajutrz poszła na cmentarz i dnia następnego uczyniła to samo, zirytowany Zatorski powiedział gniewnie;

■— Widzę, że dbasz więcej o umarłych niż o żywych — przecież ci przebaczył!

Pani Irena spojrzała nań poważnie i rzekła:

— Nie gniewaj się, Stach, cóż, że mi przebaczył, ja muszę przebaczyć jeszcze sama sobie i wiesz co mi przyszło na myśl, że nie mamy prawa ukrywać ani jednego promyka jego sławy przed światem. Wystawię przebudzenie się wiosny i ostatni obraz, które daruję muzeum narodowemu na własność.

— Czy chciałabyś istotnie?

— Tak!

— A co ludzie powiedzą?

— Nie obchodzi mnie nikt, ale to nikt.

— Nawet ja?

Pani Irena objęła go ciepłym spojrzeniem i rzekła:

— Powiem ci tylko tyle, że tęskniłam, gdyś był we Włoszech.

— Renuś — chciał ją objąć wpół, ale wywinęła się zręcznie i powiedziała:

— Zajmij się wystawą.

Zatorski spieszył się jak mógł. Wreszcie obrazy zostały oprawione i wysłane do muzeum

Obrazy Chełmskiego zrobiły furorę. „Przebudzenie się wiosny” kupił jakiś Amerykanin za kilkanaście tysięcy dolarów.

Poważna krytyka podnosiła zalety, ograniczając się do wzmianki, że modelami są znane w Krakowie osoby.

Ale sprawozdawca pewnego brukowego pisma, Wertczyński, człowiek o dość podejrzanej opinii, lubujący się w skandalach, napisał: „Pani Irena, primo- voto Chełmska, secundo Zatorska, dała dowód — nie pierwszy zresztą — niezwyklej odwagi. „W Przebudzeniu się wiosny” zaprezentowała istotnie godne pen- dzla swe Wdzięki. Ostatnie dzieło mistrza ofiarowała muzeum narodowemu. Czw pani Zatorska myśli, że

tym darem zdoła okupić stratę, jaką poniosła sztuka polska przez tragiczną śmierć pierwszego jej męża, której przyczyny obecnie są aż nadto przejrzyste".

Zatorski przeczytał tę wzmiankę w mieście. Blady z wściekłości, wpadł jak bomba do redakcji i publicznie spoliczkował Wertczyńskiego.

Nie było rady. Wertczyński poczuł konieczność wyzwania go na pojedynek.

Nazajutrz zjawili się dwaj panowie w zapiętych tużurkach.

— Co to ma znaczyć? — pytała pani Irena, gdy wyszli.

— Nic! Pytali mnie o cenę szkiców.

Zatorski pojechał do miasta i poprosił sekundantów dwóch kolegów z pułku.

— Proszę was — mówił — o jedno: jak najostrzejsze warunki, ja muszę przedziurawić tego łajdaka.

Nazajutrz gdy pani Irena wstała, Frania zawiadomiła ją, że o szóstej rano przyjechali dwaj oficerowie i zabrali pana do miasta.

Pani Irena struchlała, domyśliła się, co mężowi jej grozi. Znała jego zapalczywy charakter i wiedziała, że jeżeli będzie się biał, to nie na żarty. W trwodze o jego życie, poznała siłę przywiązania do tego człowieka. Zagłuszone ciężkimi przeżyciami uczucia, jak iskra odgrzebana w popiołach, zapalała jej duszę.

Silnie zdenerwowana chodziła po pokoju, wypadła na ganek i puściła się pędem do furtki, widząc nadjeżdżającą dorożkę z której wysiadł Zatorski.

— Tyś się bił, tyś może ranny.

— Nie Renuś — idąc do domu, trzymając ją za rękę mówił wesoło:

— Miałem się bić, ale warunki okazały się tak ostre, że pan Wertczyński uznał za stosowne nie zja
wić się na placu; spisaliśmy jednostronny protokół i oto jestem.

— Ależ mógł się przecież stawić i zabić.

— Co, on mnie? Nie potom się rodził, by mnie taki dureń zastrzelił!

I był tak komiczny w swem oburzeniu, że pani Irena wybuchnęła śmiechem i po chwili rzekła:

— Wiem żeś skoro się pojedynekował, toś musiał, ale stawiając ostre warunki czyś pomyślał o mnie — popatrzyła mu czule w oczy.

— Renuś — Zatorski objął ją w pól i poczuł na ustach słodycz dawnego pocałunku.

— Więc przebaczyłaś sobie — mówił, tuląc ją w ramionach.

— Tak prawie — wyszeptwała garnąc się ku niemu.

I to „prawie” spopieliło się wkrótce w płomieniach zmartwychwstałej miłości. Budziło się czasami w dziedzinie świadomej myśli, która znacznie łatwiej przebacza i prędzej niż serce zapomina.

KONIEC

padłem z kretesem w ten młyn dyabelski i krgcgslw jak wie- wiórRSlw klatce, otrzymując chwilami wrażenie szalonego pędu.

Zdarzają się dni absolutnego braku czasu. Człowiek jest niby Bóg wie jak zajęty... pracowitem próżniactwem, które męczy i wyczerpuje gorzej, niż najcięższy wysiłek.

Latanie, wiatrak w języku, rozpraszanie się na wszystkie strony, miliony drobnych, poszarpanych, ruchliwszych niż obrazy kinematografu wrażeń—oto życie z dnia na dzień, jałowe, rozbite na momenty, na atomy, na „kółka” papierosowego dymu.

Robić się nie chce! Za ledwie kiedy niekiedy w bezsennej godzinie popełniam jakiś fragment, lakoniczny artykuł, ciętą krytyczną uwagę, maximum trzysta wierszy miesięcznie.

Szczupły dorobek! Jedynie te notatki prowadzę dość systematycznie, ale jakże inaczej, niż dawniej!

W Klonowie były to długie, serdeczne zwierzenia, istna spowiedź z ra- i chunkiem sumienia, po którym następował dotkliwy żal, a często i poprawa. J Dziś są to prawie migawkowe zdjęcia, chwytające jedynie kontury zjawisk, j uczuć i zdarzeń, utrwalane naprędce, bez retuszu, raczej z nałogu, niż z po- :i trzeby ducha. Poprostu strzępy!

Dzięki im mogę sobie powtarzać, że prawie „n u l l a d i e s sine I i n e a” i zagadywać w ten sposób wewnętrzne wyrzuty o marnowaniu czasu. — Wykręć! ale skuteczny. Niestety!

Prawdziwie niestety! Bo jednak trafiają się minuty, w których wyczuwam w sobie krążący wir skłębionych chaotycznie tematów i pomysłów, zda

je się świetnych w dodatku. Wszystko to czeka tylko chwili stosownej (tu — sęk właśnie), by się wyłonić i wcielić...

Oho! Wrocki paraduje! zacznie mi zaraz zerkać przez ramię, wietrzyć, a co najważniejsza — radzić. Pęcherz dziennikarski, gruchoczący w potrzebie rymami.

Nie lubimy się, choć uchodzimy za przyjaciół i jesteśmy na ty...

Stuka — więc — pauza... i do szuflady.

* #

*

Prawdziwa niespodzianka: Żosicki - laureat, Druga, nagroda—trzysta fajgli, nie w kij dmuchał! Notabene powieść ma być wcale niezła. Zobaczymy! Tymczasem sto rubelków, jak lodu, puścił z nami w jeden wieczór. To się chwali!

Zaczęło się pod „Światełkami”, dalszy ciąg u Gablera. Na razie czułem się nieswojo: Ten piramidalny małpiszon próbował imponować zdobytym wawrzynem; na dobitkę znać było, że cieszy go nie powodzenie dzieła, ale własnej osoby! Tego już zupełnie nie rozumiem! Trzeba być chyba szewcem ostatniego gatunku, nie artystą.

W epilogu, przy winie, zniwelowały się wszelkie różnice hierarchiczne i przekonaniowe i zapanował rozczulający, na poły łzawy, na poły bohaterski nastrój.

Było koło szóstej. Dawno nie widziałem o tej porze Warszawy. W puste kurytarze ulic wsącał się mizerny, zamglony ranek. Wszystko, co rości jakąkolwiek pretensję do inteligencji, spało jeszcze. Trotuarami ciągnęło tylko

bydło fabryczne. Dążyły grupkami lichy odziane postacie z blaszankami w rę- *ku i zagasłem spojrzeniem — bezmyślne automaty, dopasowane do maszyn.

Posępne głosy syren wzywały ich do pośpiechu, hucząc wstrząsającym jękiem, podobnym do wycia i zgrzytania nienazartej paszczy wietrzącego zdobycz potworu. Gdzieś, jak grzmot daleki, toczyły się wozy ładowne z ciężkim miarowym tartasem, od którego brzęczały witryny. W huku tym znać było krwawe, mozolne tętno natężonej pracy.

Głupio jest przy takim akompaniamencie wracać z birbantki. Przebrzydły kacenjamer staje się czemś ostrem i bolesnem. Szklanka kawy wydaje się czarną otchłanią, siedliskiem ciemnych upiorów; cytryna ma smak kwasu siarczanego i tylko, woda sodowa jako tako działa, a najlepiej czem-
prędzej powtórzyć bibę i w koniaku utopić zgryzotę.

* *

*

Brawo! Twórczość była: dwie noce z rzędu przy biurku i obie owocne. Wiersz — mocny w koncepcyi, kunsztowny w formie, napisany z niezwykłym polotem. Jakkolwiek mocno pokiereszowany w druku, zrobił wrażenie. Zemler nawet raczył się wyrazić: „Czytałem z satysfakcją— a to u niego dużo. Następnie zaszczycił mnie dłuższą pogadanką o zadaniach krytyki; poglądy jego w tej materii są istotnie ciekawe.

Ddwodził mianowicie, że w krytyce wcale nie chodzi o ocenę wartości dzieła.

— Obiektywnie — mówił — jest to niemożliwe dla braku odpowiednich przyrządów i Subiektywne zaś sądy, jakkolwiek się opowiada o stałości skali

naszego Ja", są tak zależne od nastroju chwili, zbiegu okoliczności, że trudno coś na nich fundować. — My — fachowcy — przyznawał się — w zawodzie naszym zatracamy w dodatku dziewiczą wrażliwość. Prędko wkraczamy w stan, w którym niepodobna już oddać się dziełu bezpośrednią duszą i sercem, jak zwykły śmiertelnik, ale odbieramy wrażenia za pomocą skomplikowanego aparatu doktryn, przyjętych poglądów, utrwalonych uprzedzeń. Ani rusz nie możemy wykrzyknąć z prostotą: „Ach, jakie to piękne 1" lub: „Co za skandali" Entuzjazm, gwizdanie, frenetyczne brawa — to rzecz niezblazowanej publiczności.

Robotę taksatorską rzetelnie wykonywa czas, więc przyszłości powierzmy tę czynność 1

Większość kolegów moich zgadza się ze mną w tym względzie, ale mają za to pasyę sprowadzać wszystko do jakichś wspólnych mianowników; oczywiście, dzieje się przy tem grube naciąganie, bo prawdziwe dzieła sztuki są zwykle absolutnie niewspółmierne i rozsadzają szuflady.

Ja staram się jak najmniej pisać o książce, a za to wypowiadać się z talentem k propos dzieła, chociażby w formie subtelного aforyzmu, lub zjadliwego konceptu.

Wtedy krytyk staje się twórcą; jest to wprawdzie twórczość wtórna, coś w rodzaju muzycznych waryacyi na pewien temat, ale zawsze twórczość, a więc posiada trwalszą wartość.

— Wy, zdaje mi się, pisujecie także sprawozdania — zagadnął mnie raptem.

— Taki — odparłem nieco zawstydzony.

— Spostrzegł to i rzekł:

— Cholernie niewdzięczne zadanie: opowiadać treść swojemi „słowami”, jak w sztubie; wytykać jako błędy zwroty, których niema jeszcze w gramatyce... To się robi często dla grosza, a zawsze wtedy, gdy się chce być gwałtem literatem, nie mając żadnych kwalifikacji po temu!...

W rezultacie streścił się w pożyczce „przy sposobności”, jak się wyraził, dziesięciu rubli — „do jutra”.

Ta ostatnia okoliczność zachwiała we mnie wiarę w szczerłość jego wynurzeń.

Zdolny niewątpliwie, ale na wielu punktach skończony rzezimieszek. Sam nie od da, a upominać się trudno i niebezpiecznie w dodatku; mógłby mnie schlastać, zarznąć, posypać solą i pieprzem i połknąć, jak nieszczęsnego Laskowicza, który dotychczas wije się z powodu tej bezlitosnej, a pozornie trafnej krytyki. Oskalpował go tak, że nieprędko zapuści czuprynę.

* • *

\$

Przenieśliśmy się do nowej cukierni, gdzie mamy zarezerwowany oddzielny pokój między szóstą a dziewiątą.

Zły jestem, bo trochę daleko, choć niewątpliwie wygodnie. Na razie miałem nawet zamiar (postanowień z doświadczenia unikam) przestać chodzić, ale nie wytrzymałem.

Znałogowilem się poprostu do tych posiedzeń, które w gruncie rzeczy nie są zajmujące, a tem mniej pożyteczne. Swoją drogą łązi się i gada przeważnie o niczem.

Stosunkowo jest najzabawniej, gdy się ktoś z kim pokłóci. Wówczas bardziej dotknięty zakłada na przeciwległym rogu secesyę i wszelkimi sposobami jedna zwolenników.

Neutralni, do których zwykle należę, bywają tu i tam, starając się pogodzić zwaśnionych.

Jakoż po pewnych ceregielach i obustronnym warunku omijania nadal drażliwej kwestyi, następuje uroczystość pojednania, i znów jesteśmy w komplecie.

W „knajpie” rej wodzi Rudzki, jakoby filozof, tak go przynajmniej tytułują wszyscy, choć, zdaje mi się, jest to ranga czysto honorowa, którą otrzymał w braku innej.

Jest to człowiek istotnie imponujący; wygląda, jak lew; gdy mówi, ściany dygocą, a gdzieś daleko rozbrzmiewa huczne echo, niby gwar wzburzonego potoku.

Oponować mu niepodobna, gdyż z punktu ogłusza przeciwnika. Był niegdyś bogaty, włóczył się po całej Europie, gdzie stracił wszystko, a nabył wielkopańskich manier i pewności siebie, która mu dopisuje stale. Zna języki, jest niewątpliwie inteligentny, odcytany i mógłby prawdopodobnie pisywać z powodzeniem, ale nie chce z zasady.

— Ja przyrzekłem sobie, — grzmi, — nagabany w tym względzie — że nic absolutnie robić nie będę i basta!

Jakoż dotrzymuje słowa. Obywa się byle czem; prowadzi żywot ascetyczny; o ile mu wpadnie w ręce większa kwota, zwrócona przez dawnych przyjaciół-wierzycieli, przepuszcza ją z nami natychmiast i znów komenderuje

garsonowi: „Szkłankę wody i „Figaro!“ ale w sposób tak wyniosły, jakby obstalowywał co najmniej szampana.

Lubimy go wszyscy i podziwiamy za wiecznie dobry humor, zamaszystą fantazyę i murowane zdrowie, którego mu najwięcej zazdroścę, zwłaszcza teraz, kiedy coś się popsuło w państwie Duńskim.

Sypiać nie mogę, to jest właściwie: usnąć, poczem popadam w jakiś kamienny letarg, który nietylko nie pokrzepia, ale morzy. Nie wstaję, lecz dźwigam się z łóżka z ołowianą głową, niezdolny do niczego, jakby zacadziały. Prostuję się dopiero pod wieczór, a w nocy zaczynają się dzikie harce rozegzaltowanej myśli, żywiołowa, niepowstrzymana gra wyobraźni, [pożar w mózgu.

Muszę się chyba poradzić.

* *

*

W zeszłym tygodniu byłem na „Złotym Rogu“, a dusza jeszcze się kołysze melodią tej sztuki.

Tak potężnego wrażenia nie doznałem dawno, a chyba nigdy w teatrze.

Nie było to przedstawienie, ale jakieś czarodziejstwo, hipnotyzowanie widza do zupełnego obezwładnienia refleksyi, zapamiętania się w zachwycie.

Z początku przypatrywałem się uważnie, potem pochłaniałem, wreszcie zostałem pochłonięty ze szczętem, i zdawało mi się, że ta scena, ci ludzie, upajający rytm ich słów, są wytworem mych własnych marzeń.

Gdy spadła kurtyna, siedziałem chwilę, jak we śnie, goniąc duszą ulatujące widma.

Trzeba było jednak wstać i wyjść w głupi zgiełk ulicy, który mnie bił, jak pałką po głowie.

Krytyka sygnalizuje niezwykle powodzenie, zachowując się oględnie wobec nieopatentowanej firmy. Publiczność entuzjazmuje się i gada, gada, gada.

Ale cóż z tego?— Nic właśnie!

To, co poruszone w piersi mogłoby się rozrosnąć w milczeniu i wstrząsnąć do głębi, ugrzęźnie w zaspach frazesu.

W naszej knajpie zwłaszcza wrzało, jak w ulu.

„Rozbierano” w ścisłym znaczeniu tego słowa sztukę i lubowano się kolejno jej wdziękami w sposób obrzydliwy.

Nie było w tem ani krzty uwielbienia, namiętnego porywu uniesienia, który pragnie ovladnąć i sam się całkowicie oddaje, lecz, jakby lubieżność, rozkoszowanie się każdym poszczególnym dreszczykiem, wyrafinowana rozpusta zużytych starców, których coś wreszcie zdołało podniecić.

Kurczyłem się z odrazy i nagle wybuchnąłem mimowoli:

— Co tu długo gadać, zbłąźniliśmy się i kwita, bo właściwie po opuszczeniu teatru należało się rzucić i spełnić jakiś bohaterski czyn!...

— A wiecie — po pauzie zdziwienia odezwał się pierwszy Zemler — taką pointą można wcale efektownie zakończyć sprawozdanie. Pozwolicie skorzystać?

— Wiadomo, że w Henryku siedzi stary, patetyczny romantyk — wtrącił pobłaźliwie Rudzki — podszyty w dodatku...

— Wiem co chcesz powiedzieć — przerwałem, silnie podrażniony — nie fatywuj się, rozumiem dobrze znaczenie tych epitetów.* „pierwszy” to coś pośredniczego między „naiwny” a „głupi”, a „społecznik”, to już dureń skoń-

czony; mam przecież najnowszą encyklopedyę! Nie obrażam się jednak — ciągnąłem, siłąc się na spokój — bo ty, mi to mówisz, ty, który nie pojmujesz zupełnie tego dramatu...

W sztuce tej — mówiłem zdyszany — bije właśnie echo z tamtych uroczych, romantycznych stron, w głosie złotego rogu słyhać metaliczne, bron- zowe wieszczby tych słonecznych dzwonów, — zaśniedziałych, lecz tylko w twym sercu, temat, jeżeli etykietę przyczepić się godzi, jest prawie społeczny.

Poeta wmyślał się, wrósł cierpieniem w życie narodu i postawił przed nami, jak złowieszcze widmo, plastyczną wizję momentu jego dziejów: Zbutwienie domniemanych szczytów, które, jak skały zwietrzałe sypią się w gruzy i w proch niemocy, ciemne ślepe szarpanie w dołach, cały ten zamęt tragiczny, ziejący grozą zagłady. Każdy tam ujrzał siebie, każdemu otwarła się jego mogiła, cuchnąca posepnem tchnieniem śmierci. Róg szyderczo podzwaniał w nasze trąbki blaszane, aż wyrzucił własny posepnny, przerażający nawet zwierzęta, złoty ton, jasny piorun na nasze głowy, grzmiący policzek, prosto w twarz.

Rudzki śmiał się fortissimo, jakby kto rzucił kule na bęben.

Coś mnie poderwało:

Panu się łatwo śmiać tak głośno, boś pan pusty zupełnie i stąd rezon i rezonans — wyrzucałem — resztkami głosu, wstrzymując spazmatycznym skurczem woli napływający zewsząd potok gorących łez.

Zrobiła się chwila ciężka i naprężona, w której poczułem się odosobniony zupełnie.

Ścięło się we mnie odrazu wszystko, i suchem hardem spojrzeniem fiksowałem Rudzkiego.

W zmienionej jego, jakby skamieniałej twarzy, uśmiechały się w dalszym ciągu wesoło rozbawione oczy.

— Histe-ry-ja! — poskandował, bębniąc takt palcami, wstał i po chwili wywołał przez garsona Zemlera.

— On was wyzwie — szepnął mi trwożnie Laskowicz.

— I owszem — odparłem z udaną swobodą i opuściłem cukiernię, biegnąc prawie kłusem do domu, gdzie dałem spłynąć niezrozumiałym, niosącym smutne ukojenie, obfitym łzom.

Potem mnie wciągnęła milcząca otchłań zadumy i stężała w sen.

*

* *

O pierwszej, kiedym myślał właśnie, że niema wcale tej „siły fatalnej, któraby mogła zjadaczy chleba w aniołów przerabiać”, Zemler i niejaki pan Szocki, do przesady ugrzeczniony, ale mocno sztywny jegomość, zjawili się w imieniu Rudzkiego z żądaniem satysfakcji.

Miałem pewien kłopot z wyszukaniem sekundantów.

Wiedząc, że mam do czynienia z tak szczwanym lisem, jak Zemler, nie mniej kutym Rudzkim, że Szocki w dodatku jest specjalistą od spraw tego rodzaju, bałem się bardzo, by mnie nie wystrychnięto na dudka^

Pomijając więc najbliższych kawiarnianych kolegów, którzy co moment wpadali z wyraźną ochotą oddania mi przysługi, udałem się do starego dor- patczyka, adwokata Kosicza.

Przyjął mnie bardzo życzliwie, i, wysłuchawszy sprawy, wyraził nadzieję, że wszystko niewątpliwie załagodzi się pokojowo.

Na drugiego świadka wprost gwałtem narzucił mi się Wrocki.
Gruboskóre bydlę! Wie przecież, jak go nie cierpię.

No, ale trudno — stało się.

Dziwna rzecz, żem się dopiero teraz spostrzegł, jak jestem, pomimo licznych stosunków, samotny!

Tylu znajomych, kolegów, przyjaciół od pióra, od knajpy, od spódniczki, ale ani jednego od serca!

* *

*

Miałem dobre przeczucie. Chcieli mnie zabrać najwyraźniej. Przed chwilą był Kosicz, i gdy mi pobieżnie, łagodząc niewątpliwie słowa, zakomunikował tekst cyrografu, przy którym się upierają, z oburzenia ledwie się zdobył na wykrzyk: Co?

— Oczywiście! — potwierdził Kosicz — to też[^] powiedziałem im bez ogródki, że żądania ich są niemożliwe do przyjęcia; po południu mamy się zebrać powtórnie. Widząc, że sprawa się komplikuje, chciałem pana prosić o wyznaczenie granicy ustępstw...

— Dziękuję! — przerwałem mu żywo i oświadczam, że wobec takiego postawienia kwestyi o żadnych przeprosinach z mojej strony nie może być mowy.

— Cóż? Więc pojedynek?

— Chociażby, ale poważny; nie chciałem, by zakrawał na szopkę...

— Błahy powód! błahy powód! — powtarzał zafrasowany Kosicz — ale trudno, kiedy[^] wyraźnie przypierają do muru. . .Może to strachy na lachy, a w takich razach istotnie dobrze roEi zażyć na ostro, choć można się i zawieść.

— W każdym wypadku jestem i będę panu wdzięczny! — odezwałem się, ściskając go mocno za rękę.

— A masz pan przynajmniej pojęcie o strzelaniu?...

— I owszem, za czasów uczniowskich polowałem dużo, miałem też okres pistoletomanii i doszedłem do względnej wprawy, od kilku lat jednak nie miałem broni w ręku!...

— Fechtunku — ani dudu?

— Bijaliśmy się ongi domorosłym sposobem w palcaty...

— Domorosłym! to na nic! No, jakoś to będzie — uśmiechnął się sympatycznie i wyszedł.

Pod wieczór zjawił się Wrocki z miną uroczystą i tajemniczą.

— Alea jacta est! — wyrzekł sentencyjnie, i gładząc rękoma cylinder, przyglądał mi się pilnie.

Dla zamaskowania rozjarzenia, które zadrgało mi pod piersiami, począłem pogwizdywać, wybijając takt nogą...

— Jutro o 6-ej zajedziemy po ciebie — recytował Wrocki — meta 15 kroków; po komendzie: raz! w ciągu czterech sekund strzał wolny; pistolety gwintowane z muszkami i wizyerami — ostatni wyraz wymówił niepewnie i wlepił we mnie oczy. Zrozumiałem, że węszy mój strach.

— Z dwoma wizyerami, czy z jednym?—brałem go na fundusz, domyśliwszy się, że się absolutnie nie zna na tych puszkarskich terminach.

— No, z wizyerami — powtórzył — zresztą Kosicz ma protokół.

— Jeżeli tylko z dwoma to głupstwo! — drwiłem, siląc się na obojętność.

— Zapewne — choć Rudzki podobno kapitalnie strzela! trafia w 3sa! — dodał z ubolewaniem.

— Całe szczęście, że nie jestem żadnym asem!

Dowcipnie! ale zawsze... Wierz mi, że robiłem co mogłem — to ten waryat Kosicz!...

— Nie potrzebnieś się fatygował; chodziłeś przecie nie w obronie mojego życia, lecz honoru. A Kosicz jest dżentelmen, nie żadna fujara, zresztą prosiłem go o takie warunki.

Wrocki, zbity z tropu, umilkł na chwilę; poczem, spostrzegłszy się, że nastąpiła zmianaPrSTTzamlast, by on igrał ze mną, ja się z nim drocę — zjeżył się i rzekł sucho:

— Winszuję ci zimnej krwi i życzę jej na placu!

; — Zapewne w myśl tego życzenia, napomknąłeś niechcący o rzekomym kunszcie stfееleckim Rudzkiego — wtrąciłem złośliwie.

Wrocki zmieszał się i jakby się zmartwił naprawdę.

Henryku — zaczął z innego tonu — być może, że popełniłem niezręczność, sądziłem jednak, że w takim stosunku, jak nasz.

— To jest jakim ? — osadziłem go.

— Chciałbym powiedzieć szczerym i przyjacielskim, ale widzę ze zdziwieniem, że coś się nagle zepsuło między nami. — Nie poznaję cię.

— Ale ja ciebie za to — wybuchnąłem — doskonale! Zawsześ ten sam! Przyszedłeś napawać się moją obawą; podpatryć, jak mi dzwonią zęby i drżą mankiety; zachciało się upolować na gruncie mojej duszy trochę wzruszeń — gratka nielada!

Popsuło się? — Nic, a nic! Żeśmy się po pijanemu lizali i pilj brude rsc haft, to nie znaczy jeszcze, bym na trzeźwo nie dostrzegł tej anty- patyi, która nas stale roztrąca...

— Antypaty? ja do ciebie? — cedził Wrocki — z jakiej racji za co?...

— Za co? Nie cierpię cię za to właśnie, za co się brzydzę sam sobą: za fałsz, za skoszlawioną wrażliwość, za metodyczne, świadome kłamstwo; za roztrwoniony płomień duszy w bladze literackiej!... Gdybym jutro zginął, byłbyś w stanie wycezyłować z tego powodu rzewne wspomnienie, bo w tobie już się wszystko transponuje na wiersze!... Masz cerę, jak bibuła, farbę drukarską w żyłach, zatruciłeś się ołowiem czcionek i tym jadowitym wyziewem zaraziłeś mnie... Jak koloraturowej śpiewaczce drga w gardle tryl, tak nam się ciągle skręca język we frazes. Wielkie słowa beltają się w zbutwiałej piersi. Zanurzeni po szyję w gnojowisku, możemy z bezczelną swobodą deklamować hymny do słońca. Myszkuje po ranach ludzkich, po najdyskret- niejszych zakątkach zbolełego serca, by wyłupić ztamtąd pomysł do nowelki!... Ty byś dla sensacyi na dwie szpalty, spalił całą Warszawę, nowożytny Neronie, Kuryerkowy Cezarze! Kochankę byś zarznął za nowy ton, brata rozpruł dla świeżego porównania... Po hulaszczej nocy w tingel tanglu, przy biurku stajesz się święty i ronisz na temat rozpusty atramentowe łzy, wstrętne, jak kleksy!... Ciebie zdaleka czuć czernidłem; patrz! włosy ci się jeżą, jak istne stalówki, uważaj, bo się rozlecisz, jesteś cały pocięty na paski szpalty; za dziesięć kopiejek od wiersza w lot się rozwijasz z niczego, jak papierowy wąż w ręku magika!...

Urwałem z braku tchu.

Wrocki stał blady i osłupiały; kąty ust krzywiły się w wyraz cierpki i prawie bolesny.

— Widzę — wyrzekł z trudem — że pomimo pozorów męstwa, upiór jutra odbiera ci zmysły!

To nikczemne posądzenie podziałały jak okład z lodu; w jednej chwili odzyskałem panowanie nad sobą, i pragnąc go zwieść, bąkałem ze świetnie zrobioną skruchą:

— Mylisz się, u podstawy mego uniesienia leży co innego: Zazdrość mnie pożera— rozumiesz! Jalusie du metier — nędzne uczucie!... Zawadzasz mi, zaćmiewasz wszechstronnym talentem, na każdym polu zastaję cię, jako groźnego rywala...

Wrocki przyglądał mi się podejrzliwie.

Spuściłem skromnie oczy, jak najwprawniejszy kabotyn, uśmiechając się smutno.

I co \o jest próżność: twarz Wrockiego złagodniała.

— W każdym razie — zaczął.

— Jest to stan nad wyraz przykry; wleż w moją skórę, a zrozumiesz katusze stałego rozdrażnienia.

— Ha, trudno! — uśmiechnął się błogo — nic dla ciebie pod tym względem uczynić nie mogę; licytujmy się, owszem, ale in plus...

— Wolałbym i n minus — szydziłem, wzdychałem melancholijnie.

— A ja wolę zamknąć dyskusję. Pamiętaj, że jutro musisz być spokojny; możemy kiedyś pogadać na chłodno o tym drażliwym temacie, a teraz idź spać!...

Zawahał się i podał mi rękę, którą uścisnąłem odruchowo.

Kiedym ochłonął, doznałem wrażenia ulgi, jakbym załatwił zadawniony, ciężki rachunek. W rezultacie zbeształem w nim siebie i to mi sprawiało rodzaj satysfakcji.

Widmo pojedynku nie zawadzało mi nic, a nic. Rozumiałem dokładnie, że warunki są ostre, ale przypuszczenie, iż mogę zginąć, przedstawiało mi się niby przykład fikcyjny, oderwane wyobrażenie, ślizgające się swobodnie po powierzchni mózgu.

Śmierć, moja własna śmierć wydawała mi się czymś tak odległym, trudnym do pojęcia, a zwłaszcza od jednego wystrzału wprost bezsensownym, że myśl o niej łączyła się z niemal wesołym, skłonny do kpin nastrojem, w jaki nas wprawia nieprawdopodobnie zabawna przygoda.

To też nie bałem się wcale; podniecała mnie jedynie nowość sytuacji, w jakiej się miałem znaleźć niebawem; lekko drażniła nerwy stara znajoma trema, targająca mnie zwykle przed każdym publicznym występem. Starłem się uprzytomnić sobie dokładnie, jak się to wszystko odbędzie. Korciło mnie nadzwyczaj drasnąć kulką Rudzkiego, nie przez mściwość lub gniew, który już zwietrzał zupełnie, ale tak sobie dla próżnego tryumfu, dla puszczenia po mieście miłego echa, że biliśmy się nie dla formy, i że ze mną zadzierać niebezpiecznie.

To w każdym razie dobrze robi — pomyślałem radośnie i nadto jaskrawe wyznanie, jakby mi rozdarło owrzodzenia duszy.

Spłynąłem ohydną posoką, wzdrygając się: Na com ja już zeszedł; pochlebny bełkot ulicy mnie łechce; na jakie słupy gotowem się drapać ku uciezce gawiedzi.

Płaski gad ambicyi stoczył godność osobistą ze szczeniem.

Zataiłem się przed sobą ze wstydu, zdławiony, zalany goryczą.

Zbudził mnie trzask otwieranej bramy.

Późno było: ze wszystkich stron kamienicy szklily się sztywne szyby wygasłych okien, jak ślepe oczy. Wokoło zwolnionym, przytłumionym gwarem huczał młyn miasta. W lichym strzępie płachty zbrukanego nieba tliła się nieśmiało nikła gwiazda. Koty, orły blaszanych szczytów, darły się dziko.

— Spać czas! no i list na wszelki wypadek warto zostawić — przypomniało mi się z jakiejś powieści i odsunąłem szufladę.

Ale do kogo? w miękki samotny smutek, jak ptak w swoje pióra, wtuliło mi się zziębłe serce.

W pośepnem sam na sam począłem machinalnie przerzucać stare szpargały, cofając się w przeszłość ich śladem.

Mijałem pośpiesznie, niecierpliwie widne brutalne koszary świeżego zgiełku, dążąc z zapartym oddechem w rodzinne zacisze, w tę dal minioną, osnutą słodkim zmierzchem, mającą w sinych, pachnących mgłach.

Znalazłem swój gruby dziennik. Z kilku przejranych stronic buchnął na mnie zwichrzony, odurzający tuman siedemnastoletnich uczuć i marzeń, gorący, jak płomień, upajający, jak kwietnik purpurowych róż.

Dalej leżała paczka listów rodziców, jedyne widome dziedzictwo umarłych.

Kartki wyżółkłe, jak światło gromnicy, spłowiałe pismo, niby zeschnięte lzy; wypieczone nad lampą w papierze półkoła na podobieństwo gloryi świętych w zaśnieżonych obrazach.

Listy z wioski, zapadłej w piaskach, w sosnowym lesie, nad cichą rzeką; z dworku, do okien wrosłego w ziemię, z pod którego omszałego dachu wy- rajowały się na chwałę i wesele, a wracały na śmierć zgarbione niedolą, pobite szeregi pokoleń.

Mus — króciutkie słowo — sprzedał na kołki, na parkany, na podpałki te czarne belki, do których przywarło tyle westchnień, żarliwych pacierzy, gorących łez, krwawego potu, klęsk życia, że bez święcenia mogły iść na ołtarz Bogu, na Krzyże Męki Pańskiej, na trumnę bohatera.

Chłonałem rdzeniem serca rzewne, proste bez żadnego stylu związane wyrazy. Usypiały mi w żyłach tętna krwi. Ciche, żałobne marzenia o jakichś gasnących wieczorach miłości, o szumnym przelocie ptaków szczęścia nad głową, zginionych w nieprzejrzanym mgle, wyzwały mnie z sił i jak omdlenie położyły na łóżko.

Czułem, jak mnie kołyszą na sen fale śmiertelnej tęsknoty, melodyjne i smutne, fale bezbrzeżne, niewiadomo z kąd i dokąd idące, jak głuche, dalekie granie wiecznie wzruszonego morza.

Bez oporu tonąłem w ich zalewie, jakby wciągany w głąb, obcą pieszczotliwą mocą.
* * *

Wszystko odbyło się trochę inaczej, niż wyobrażałem, a zwłaszcza nadszpodziewanie prędko.

Przeciwników zastaliśmy na placu; po wymianie ukłonów, sekundanci oddalili się trochę na stronę; pocziwy doktor Lipski, który wmawia we mnie neurastenię, porał się z jakąś szkatułką, a ja z Rudzkim przyglądałem się dawno niewidzianej wiewiórcie, migającej, niby rudy płomień, między gałęziami potężnego świerku,

Rozmierzone metę na niedużej polanie, porosłej nędzną trawą. Stanęliśmy.

Szocki wyrecytował suchym głosem zwięzłą pojednawczą przemowę.

Następnie Kosicz wyrzekł kilka zdań w tej samej materii, ale tonem tak serdecznym, że byłbym pewno wyciągnął rękę, gdyby nie zabójcza flegma, z jaką Rudzki przecierał binokle. To mnie rozdrażniło, a figlarne, jakby życzliwe, a zarazem przekorne jego spojrzenie rozjątrzyło mnie do reszty.

Kurczowo ścisnąłem podany pistolet.

Raz! — podniosłem broń do oka. Dwa! — brzmiała miarowa komenda. Trzy!—Rozległ się stłumiony strzał i dyskretne świsnięcie tuż koło ucha, które mnie zniewoliło pociągnąć za kurek.

Buchnęło i wązka smuga dymu zamroczyła mi oczy na moment.

Kiedym przejrzał, Rudzki, oparty o czerwonawy pień sosny, stał na jednej nodze, a drugą, podgiętą, oglądał poniżej kolana.

Wszyscy czterej sekundanci razem z Lipskim otoczyli go w jednej chwili; pozostałem samotny w dziwnym rozproszeniu całej istoty.

— Nie marnuj mi tylko doktor spodni — posłyszałem wspaniały głos Rudzkiego, który echo poniosło po lesie.

— A gdzież on! — wyjrzało z poza cylindrów, jego Iwie oblicze. — Stoi zdrow i cały!

— No! No! — potrząsnął głową, jakby z podziwem. — Chodźże pan — przewierciłeś mi łydkę, boską łydkę, którą z takim nabożeństwem modelowali paryscy rzeźbiarze. — No, daj rękę, wandalu!

Uścisnęliśmy się.

Rudzki, podpierając się, rzec można, wątłą postacią Zemlera, któremu tik nerwowy latał po policzku z niezwykłą szybkością, wpakował się do karety.

Ruszyliśmy się również; w drodze milczący Kosicz rozgadał się na dobre.

— No, panie — odetchnął, ujmując mnie za łokieć — jakby mnie kto na sto koni wsadził! Rana głupstwo; będzie za tydzień wycinał hołupce. Miałem przez was noc niewesołą; bo trza panu wiedzieć, że Rudzki niegdyś dya- blo strzelał, a przytem dziwny to człowiek, nieobliczalny, po którym można wszystkiego się spodziewać: najlepszego i najgorszego. On jest w stanie tak sobie en passant zdmuchnąć (felowieka, jak świecę i ani się obejrzyć.

Swoją drogą, musisz go pan odwiedzić jaknajprędzej, choćby jutro!... Podaliście sobie ręce, więc znaczy niema urazy.

— Co do mnie — odparłem — to nie czułem jej i przedtem.

— Właśnie tem bardziej, szczególnie iż dałbym głowę, że Rudzki parł do pojedynku ot tak sobie... No, ale trafiła kosa na kamień, i mogło być nieszczęście Tak to przez drobiazg, przez brak gwoździa w podkowie, nie jeden jeździec kark kręci!... Właściwie za tę dzisiejszą naszą wyprawę należą nam się baty, a mnie, jako najstarszemu, bizun najgrubszy. Bo rozumiem-, zdarzają się brutalne potrącenia, nadeptanie jakiegoś tak sekretne guzika duszy, że następuje raptowne rozprężenie całej istoty ludzkiej, przeistoczenie wszystkich władz w bezkształtną, zmieszaną z błotem i śliną, skrwawioną masę uczucia, dla którego zmiżdżenie przeciwnika staje się najpilniejszą, niemal organiczną potrzebą, jak wycie dla kopniętego psa. I wówczas pojedynek, choćby amerykański, jest klapą bezpieczeństwa, ujętym w pewny kodeks upustem dla na- b[^]atych krzykiem jn|ciwłgo bóli[^] instynktów!... Można też gwoli opinii publicznej puknąć sobie z daleka... Ale tak ni zf tego ni z owego — Kosicz skrzywił się i machnął niechętnie ręką.

— Ja tu wysiadam — dodał po pauzie. — Muszę być na dziesiątą w sądzie.

s

— A ja w redakcyi — odezwał się nakoniec Wrocki.

Rozstaliśmy się. Pozostawiony sam sobie, uczułem straszne znużenie jak ścięty z nóg, ledwiem wgramolił się na schody. Wchodząc do pokoju wstrząsnąłem się febrycznie, przerażony do głębi. Przyczajony[^] bl[^]dy trupi Jgk teraz dopiero wychynął się z kryjówki, strosząc mi włosy na głowie, chwytając zimnem pod kolana.

Trwało to krótko, a potem nastąpiły przewlekłe minuty, ciągnącej się. £ jajc[^]laj[^]ii[^]dliw[^] apaty[^] podobnej do tych bezmyślnie nudnych gam, które " już wybrząkiwały nademną i podemną dwa bez słońca rosnące na stare panny podlotki, przybite, anemiczne trzecie córki przykutych do biurka, szarych jak ąsfalt, urzędników.

Nazajutrz odwiedziłem Rudzkiego. Przywitał mnie z łóżka okrzykiem:

— Witaj, bohaterze I Pakuj, się w fotel; mam tu coś dla pana.

O! — podał mi dziennik poranny — proszę, czytaj pan głośno:

„Wczoraj w pobliżu pól Grochowa odbył się poważny pojedynek pomiędzy znanym w szerszych kołach filozofem i estetą panem E. R. i młodym, lecz utalentowanym literatem panem H. O.; przyczem pan R. otrzymał lekki postrzał w nogę.

Przyczyną orężnej rozprawy była ostra dyskusya z powodu głośnej premiery teatralnej.

Oryginalne tło tego zajścia jest, bądź co bądź, faktem charakterystycznym i wysoce znamiennym.

Oto, nagle pojawia się w środowisku naszym gotowość walczenia o sztukę J z bronią w rękę.

/

Huk kruszących się lodów wroży wiosnę, bujność, słoneczność, uniesienie! Kto wie: czy ten wystrzał nie jest również taką zapowiedzią pęknięcia zapleśniałej skorupy obojętności społeczeństwa naszego dla spraw artystycznych?

Pragniemy wierzyć, że tak! I z tej racji, choćby to się miało komu nie- podobać i ściągnać na nas gromy oburzenia, wtórujemy temu wystrzałowi z całą sympatią entuzjastycznym, wniebosiężnym: Eviva l'arte!"

— Jezus! Marya! — wyrwało mi się z ust, któż to to pisał?

— Wrocki — grzmiał Rudzki śmiechem. — Och! — krztusił się — aż mnie bebechy bołą. Wyobraź pan sobie, był wczoraj u mnie. Nudziłem się, piekł opatrunek, i przyszedł mi kapitalny koncept zaszcześcić mu powyższą ideę. Przyznam się, że nie bardzo liczył na powodzenie.

Aż tu dziś patrzę: jest! owocuje moja płonka w najlepsze... No, no, jakie parę tygodni mamy zapewnione bajeczne wzięcie we wszystkich fajfokłokach, zwłaszcza pan, jako pogromca. Ja bo nawet nie mogę nosić nic na temblaku; chyba po szkocku z gołemi łydkami?...

— Ale, a propos, czyś pan kuli mojej nie słyszał zupełnie?

— I owszem i to bardzo blisko koło ucha!

— No, patrzcie, co to wyjść z wprawy; mierzyłem powyżej brzegu kości policzkowej w przewidywaniu, że jeśli nieco zgóruję, trafię w skroń — a tu gdzie Rzym, gdzie Krym! — fata\ne pudło!

— Poważne były zamiary — po pauzie zdumienia wyrzekłem, przymuszając się do uśmiechu, który mi się nagle zwarzył w coś szorstkiego. — Nie przypuszczałem, że pan potrafi być tak dalece zawziętym!

— Zawziętym? przytem dalece? — powtórzył Rudzki.— Pan mnie posądzasz o skarb, o zdolność do mocnych uczuć, gdy mnie tymczasem wszystko

7,5^{hi} _____ Jestem tylko ciekawy, chciałem po prostu przekonać się, jak wygląda celny strzał do człowieka; przypuszczam, że musi to być coś więcej zajmującego, niż *tire au pigeons*. Ach, cóż za grymas zgorszenia! Oczywiście sądzisz pan, że istnienie ludzkie, a zwłaszcza pańskie, jest czymś znacznie donioślejszym, niż egzystencja gołębia.

— W danym wypadku interesuje mnie więcej pańskie — przerwałem sucho.

— Ja na tym punkcie nie mam jasno wyrobionego zdania. Wiem za to dobrze jedno: Pomrzemy wszyscy, nie dziś to jutro! Jest to więc tylko kwestia czasu. Że zaś w chwili śmierci dziesiątek czy setka lat przeżytych wydaje się mniej, niż momentem, bo przeszłość, jako nieistniejąca realnie, jest pozbawiona rozciągłości, a obraz jej perspektywy, nie widzę słusznej racji, troszczyć się zbytnio o długowieczność swoją, a tembardziej cudzą!...

— Od kiedyż to, jeśli wolno wiedzieć, przyszedł pan do tych wniosków? — spytałem z przekąsem.

Rudzki popatrzał na mnie filuternie, zlekka przymrużonemi oczyma.

— Nie od chwili strwonienia majątku — zaręczam, choć może panu to się wyda podejrzanem, ale znacznie wcześniej! Nie potrafię rozumie się ściśle określić dnia ani godziny; powiem tylko, że skłonność do wyluskiwania prawd rażących objawiałem od dzieciństwa; była to wrodzona zdolność mej cynicznej, jak mówiono, natury. — *fich!* — przecież pamiętam wybornie, kiedym wreszcie skończył jakoby nauki, mój świętej pamięci rodzic, który, pomimo olbrzymiej fortuny, zrobionej na budowie domów, pracował w dalszym ciągu od świtu do nocy, zapragnął mnie przyprządz do swego kieratu. Oparłem się temu stanowczo.

— Nie, papo — oświadczyłem, mówiłeś mi tylekroć, że zbijałeś dla mnie majątek, sądzę więc, że ci zrobię jedynie przyjemność, jeżeli spożyję owoc twoich zabiegów, bez troski, swobodnie, jako ptak, który ani sieje, arii orze...

Ojciec mój osłupiał.

— Jak to trutniu I — zaperzył się — więc ty śmiesz mi cynicznie mówić w oczy, że zmarnujesz to, co zgromadziłem w pocie czoła.

— Dla mnie przecież, papo!

— file nie na roztrwonienie; chciałem ci dać podwalinę bytu, gotowy warsztat do pracy, abyś nie potrzebował zaczynać z niczego. Liczyłem, że rozwiniesz interes i, jak ja tobie, zostawisz swoim następcom świetną firmę.

— Dobrze — mitygowałem oburzonego starca — przypuśćmy, że zastosuję się do twego życzenia i nietknięty, a nawet zwiększony majątek zostawię dzieciom, oczywiście w myśl twych zasad, nie na użycie, lecz jako kapitał, który pomnożony winny przekazać wnukom, te prawnukom i tak dalej i tak dalej. Jednym słowem każde bieżące pokolenie, jak się też w istocie powszechnie dzieje, ma się trudzić, wyrzekać się wielu darów życia dla następnych, te z kolei dla przyszłych i tak w nieskończoność.

Wiecznie pościć, suszyć przy suto zastawionym stole w przewidywaniu jakichś tam zagórskich gości, którzy w dodatku też nie zasiądą do biesiady, oczekując nowych przybyszów, czyż może być większy absurd, bezmyślniejsze marnotrawstwo? Nie! niech każdy ma swoje eon to. Ja będę żył ną włąr sny rachunek, na samego siebie! Nie chcę, nie potrafię i nie rozumiem, jak można umartwiać się i czegokolwiek wyrzekać przez troskliwość o nieistniejących, dalekich, nieznanym mi ludzi!

Uparty starzec obciął mi pensję i zapracował się na śmierć.

Odziedziczywszy wszystko, zawiąłem się po swojemu, prędko, w przeciągu dziesięciu lat puściłem sześćkroć, jak oko. Ł

Używałem, ale nie użyłem. Na każdym kroku przeszkadzało mi widzenie brutalnej prawdy. Co to długo gadać, kiedy nawet miłość, najmocniejsza esencja rozkoszy ludzkiej, nie była w stanie czujności mojej upoić 1

Po przez uroki wzorzystej przędzy, w którą się lubi ten instykt osnu- wać, przeświecał mi zawsze wyraźnie ostateczny cel, istotny rezultat: nieestetyczne, pozbawione wszelkiego wdzięku obcowanie fizyczne!

~To ~feż nie mogłem być ani rusz poetą w miłości, a jedynie doświadczonym maszynistą, świadomym wszystkich sprężyn, trybów, dźwigni tego pociągu, który bez względu na ilość zwodnic, zakrętów i tajemniczych tuneli, wyładowuje się wiecznie na tej samej stacyi ku zawodowi naiwnych pasażerów, puszczających się w tę podróż z torbą złudnych uniesień.

Ja zawsze miałem tor oświetlony jaskrawię i widziałem, jak i dokąd jadę. Włókna mego mózgu, jak drucziki elektrycznej lampy, żarzą się ustawicznie; powabne twory zmięchu, mamidła zagadkowej ciemności, są dla mnie dziedziną niedostępną. Mózg mnie przytłacza. Wszystko mi się odbywa w przeraźliwym blasku białego dnia!... To w końcu nuży.

Rudzki umilkł. W źrenicach mu zawibrowały cienkie metaliczne połyski, niby migotanie igieł. Kątaami ust prześlizgnął się szybki uśmiezek, ostry i bolesny i znikł, jak lśnięcie.

Zesztywniałe na moment rysy twarzy, przybrały po chwili zwykły wyraz niedbałej pewności, z którym mówił:

Apetyt mój okazał się w gruncie rzeczy mizernym. Przekonałem się, że ta energia, która zdaje się tryskać wszystkimi porami mego wielkiego cielska,

jest właściwie ledwie werwą, czemś w rodzaju musowania szampana, który z hukiem wyrzuca, ale korki tylko, pieni się, szumi, niby przelewa przez brzegi kielicha, aż raptem gaz się ulatnia, piana kurczy, opada i w przepełnionem pozornie naczyniu ledwie się bełta na dnie.

To też, gdym stosownie do obietnicy, danej ojcu, wyzuł się z jego dziedzictwa w przyspieszonym z umysłu tempie, z pewną złośliwą satysfakcją wydobyłem z futerału mój „Smit i Wettson” i zajrzałem w czarny otworek.

— Oto jest dmuchnięcie, którem cię w jednej chwili mogę zgasić, nieznośna świeco! — przemówiłem do świadomości, w nadziei, że zmruży wytrzeszczone ślipy i zmętnieje raz wreszcie.

Tymczasem płomyk jej ani drgnął, przeciwnie wydłużył się, rozdał, jakby czemś podsycony, i zajaśniał przezroczystym ogniem.

— Niech cię piorun trzaśnie! — zakląłem, odrzucając rewolwer, i jednocześnie, jak objawienie, olśniła mnie myśl: Toż ja, do licha, pobrnąłem zupełnie fałszywą drogą! Bez najmniejszego talentu, bez szczypty życiowego natchnienia, podjąłem się w tej nedorzecznej komedyi del arte, która się na widowni świata od wieków różgrywa, czynnej roli, mając zaledwie kwalifikacye na postawnego figuranta, milczącego statystę, nic więc dziwnego, że zrobiłem fiasko.

Za to niewątpliwie tkwi we mnie świetny materyał na widza. Stwierdziwszy to, usunąłem się z trupy, ze sceny przesiadłem się do krzeseł i patrzę, bawiąc się nieraz wcale nieźle.

Sztuce można wiele zarzucić, jest naprzykład za rozwlekła, ale posiada dużo interesujących momentów, zawile sytuacje i znakomitą obsadę świetnych

aktorów, traktujących swe role zupełnie seryo, rzetelnie, z prawdziwym przejęciem, a nawet z wiarą w jakieś posłannictwo mistyczne.

Widowisko przedewszystkiem urozmaicone. No, choćby ten wasz świątek artystyczny, gdzie się dzieje wszystko na pokaz, czyż nie jest efektownym zespołem arlekinów, żonglerów słowa? Masz pan więc i panopticum, va-rietés; szopkę, teatr maryonetek, farsę, żywe obrazy, tragedję, co się komu podoba, przytem bez żadnych antraktów, kurtyna wiecznie otwarta, suflera nie słycać, a bilet gratis! Czegóż chcieć więcej? To też gdyby nie to, że i tu * mi trochę bywa za widno, i często z pod szminki dostrzeżony trąd lub łachman w kostjumie razi, mógłbym długo jeszcze...

Rudzki urwał, przeciągnął się leniwie, podnosząc do góry prężące się mocno ręce i ziewnął potężnie:

— Och, jak się czasem nagle spać zachciewa. Panu sen służy?

— Niebardzo!

— A w dzień możesz zasnąć?

— Nie zawsze!

— Ja[^]ż na zawołanie, a w tej chwili nawet z ochotą. Całą noc przemyślałem, opatrunek doskwierał!

Zrozumiałem, że audyencya skończona.

Wizyta okazała się w skutkach ciężką. Łatwiej z nim się strzelać, niż obcować sam na sam.

Po tych jego zwierzeniach czuję się tak, jakby mi grzyb rozjadał zrąb duszy.

*

Głowa mi pęka. Państwo z przeciwka sprowadzili sobie gramofon i kręcą go dzień cały. Doszło do tego, że dostaję dreszczów na sam widok tej mosiężnej trąby z rozdziawionym, błyszczącym wylotem. Mam uszy rozdarte od skrzypiących taktów udanego śpiewu. Reszta pięter za to szaleje z uciechy.

Nic dziwnego: zamieszkują je ludzie, urodzeni w murach, którym plafon sufitu zastępuje niebo, palniki Auera — gwiazdy, kilka oleandrów pod markizą— las, bruki — murawę, a pieśń żywej piersi — dygotanie mechanizmu.

Chwilami napastują mnie przypuszczenia, że kiedyś cała treść inteligencji ludzkiej wcieli się w maszyny, a człowiek przekształci się w jakiś przewód pokarmowy, polip wkręcony w ich tryby, automat całkowicie zależny od tych stalowych istot, ściśle wyrachowanych, dokładnych i obojętnych, jak lodowiec. Dusza zniknie, stając się jakąś zdolnością szczątkową, a zbyteczne jej wzruszenia, będą wywoływały takie wrażenia podziwu i komizmu, jak dziś osoba strzygąca uszami.

Czasem majaczy mi się, niby we śnie, jak dźwiga się naprzód morderczym pochodem kamienne miasto, miażdżąc rośliny, ptaki i zwierzęta. Ce- glaste, jak krew spiekła, mury zagrodzą glob cały. Ziejące dymem straszliwe gardziele kominów oślepią słońce. Centralna stacja elektryczna nerwami drutów rozsiewać będzie głosy i światła. Centralny warsztat siecią rur i szyn będzie dostawiał porcyce odzieży i strawy. Centralny buduar stanie się zakładem antropotechnicznym, przy nim w centralnej hali jeden wielki motor będzie niańczył w gumowych łapach niemowlęta, a w centralnym grobie mechaniczne świdry drucziane stoczą ciała umarłych. W ocembrowanych morzach legnie trupem woda i zdławione wichry pod krzyżami mostów żelaznych. Padną na

płask góry zryte, prócz jednej centralnej, skąd potworna pompa będzie Sawkami wtlaczała w studnie kamienic określone dawki powietrza.

A potem wszystko zleje się razem: mury w skałę monolitu, kominy w krater olbrzymi, bogacze we wzdęty, jak balon, brzuch, urzędnicy w ogólny „s i t z f I e i s c h” ludność robocza w jedną, jak sosna opalona, zczerniałą rekę; my, literaci, w olbrzymią szczotkę najeżoną piórami i przyśrubowaną do maszyny rotacyjnej, a Rudzcy wówczas w kopułę łąba palną sobie z armaty, bo życie stanie się śmiertelnie jednostajne i nieciekawe zupełnie.

W tym kierunku przynajmniej dąży ewolucja ze swą specjalizacją, żelazną dyscypliną, paragrafami na wszystko i tresowaną w koszarach ludzkością.

Trzeba ją jednak, póki czas, choć samemu ratować.

Czuję, że jestem tym trybem życia potrząskany, zasypany do pół duszy jakimiś gruzami, w które się zapadam coraz głębiej, i rozdrażniony do tego stopnia, że pobudliwość moja staje się wprost anormalną.

Onegdaj, naprzykład, ledwie nie wytuział łobuza, który mi piszczącą cewkę drewnianą chciał sprzedać jako słowika. Wczoraj, zobaczywszy zdjęty bruk i rozkopaną do gruntu glinę, ledwie się oparł pokusie, by nie paść na nią, jak niegdyś, kiedy w gwałtownym, namiętym porywie rzucałem się piersią w trawę lub na rolę i słyszałam pod sercem, w dalekich głębiach, jak gdyby drugie, głuche, dumnie bijące tętno, które rozogniało miłość do tej ziemi i wciągało myśli w mogiły krwawych pogromów i świetnej chwały.

Po minutach gorączkowego podniecenia, nieraz nagle, bez widocznego powodu, następują rozwlekle, upadłe godziny, walące się w przeszłość ciężko i bezdźwięcznie, jak bryły ołowiu. Woskowa wrażliwość tężeje na granit o który się szczyrbia rąbanice najostrzejszych wrażeń.

Staję się tak zwartym wewnątrznie, że aż mnie boli to jakieś prawie srogie zacięcie się w sobie. Czuję się, jak w szczupłej celi więzień, okuty na rękach i nogach w pudowe kajdany. Ramy okna wydają mi się kratą, a ten dudniący za niemi, nieprzerwany tartas ulicy czemś bezlitośnem, odrażającym i haniebnem, niby szydercze urągowisko rozbestwionej gawiedzi nad płynącą skrycie krwawą łzą wieczystej niedoli.

Budzę się w czas posepny, jakby otruty goryczą, zupełnie samotny, więcej niż na odludnem pustkowiu, na jakichś ciągnących się bokiem świata bezdrożach, któremi błądzą tajemnicze smutki i zagadkowe niepokoje. Przesuwają się niby jednostajne paciorki różańca, z martwym, monotonnym szelestem, zadumane milczenia ciszy. Łka serce. I gdzieś, niby z cmentarnych katakunjb wyjęty, zaczyna grać brązowy dzwon bezdennej tęsknoty, kołysze się, marząc melancholjnie coraz piękniej, coraz senniej.

W pół oddechu wstrzymuje się tchnienie piersi, krew tętna swe zawiesza, i staje się jakby na jawie niepojęty sen.

Z powłóczystego obłoku lotna postać wychyla ku mnie tkliwe, dziewicze oblicze o rysach tak delikatnych, jak rzeźba w eterze. Nie mocą wzroku, ale zachwytem wzruszenia chłonę subtelne piękno widziadła, przeczuwam za ciemną zasłoną długich rzęs cudne, utopione we łzach oczy, odgaduję rzewnym smutkiem strwożonej duszy bolesne wycięcie rozchylonych w żalony pocałunek ust, śmiertelny wysiłek dźwigających się do Uścisku omdłałych rąk.

Trwa moment słodkie zjawisko i rozplywa się w błękicie, jak melodyjny akord w przestrzeni, jak pachnące westchnienie kwiatu.

Znika wszystko. I znowu duszna klatka pokoju w hałaśliwym ^pódwórzu, łoskot i wrzawa wokoło.

Muszę się przenieść, wyjechać, jak najprędzej zmienić mieszkanie, bo stracę zmysły w tym odmiecie.

*

Prowadziłem przez szereg dni żywot posłańca. Zdeptałem mile chodników, miliony schodów, muszę żelować buty, ale znalazłem prawdziwy skarb, przytem bajecznie tanio: dziesięć rubli z usługą — a zalet tysiące, poczynając od bramy, za którą niema tej przytłaczającej, sklepionej nory, ale odrazu obszerny plac podwórza. W nim tylko jedna podłużna oficyna, piętrowa rudera, stokroć lepsza, niż studnie; na końcu doklejona przybudówka: ów mój skarb.

Drewniane, dygocące, odkryte schodki na osłoniony gontowym daszkiem ganeczek, wyłączne własne wejście, otwierane prostym kluczem drzwi, a za niemi przestronna bielona izba ze zwykłą podłogą i dwa weneckie okna, patrzące sześciu szybami prosto w ogród sąsiedniej posesyi.

Granicę stanowią zielone sztachety, po których mogę z pokoju brzdąkać laską, a gdy się dobrze wychylę, omal nie palcami. Jeden gimnastyczny skok z parapetu, a dałbym nurka w zieloną kępę jaśminów i bzów, które coś z sobą szepczą i trwożą się pękami kwiecica, ilekroć na nie spojrzę.

— Nie bójcie się, nie zuroczę was! Oplećcie się w wieńce niebieskie i białe, w obłok aromatu! Szemrzą, więc przenoszę wzrok na brzozy, które w świeżo rozwitem listowiu wyglądają jak jasny rozprysk zielonkawego światła, zwisający w powietrzu; za niemi mocna zieleń trawnika, a pośrodku, między kasztanami, plecami do mnie okrakiem, na odłamku skały usadowił się nagi amerek, złotym grotem przez ramię mi grozi, a brązowym kołcza

nem ciska srebrne snopy wody. W głębi lekki włoski pałacyk, jeszcze nie zamieszkały, ale widocznie lada dzień spodziewa się gości, bo go porządkują na gwałt. Szkoda, bo gracują ślicznie omszałe ścieżki i z pewnością wysypią je ostrym, bolesnym żwirem. Za pałacykiem znów sztachety, pusty plac, szary domek i gdzieś za nim dopiero większe budowle, mam więc widok tak rozległy, że mogę długo staczać oczy po cudnie zgiętej linii nieba, prawie do horyzontu; który musi być gdzieś niedaleko.

Mad głową nikt mi nie tupie; za to, gdy przechyliłem się mocniej w fotelu, ujrzałem w całości pierzasty obłok, który zkądeś zabłąkany przeciągnął cichy i wdzięczny, niby żagiel na wklęsłym jeziorze.

W nocy ujmuję całe konstelacje gwiazd, mam nieśmiałą nadzieję posłyszeć słowika, który może się zatulać w tak ustronną dzielnicę.

A wtenczas złączą się rozkoszne, prawdziwie wiejskie wieczory, cza- rowne, upajające majowe noce, drgające śpiewem, zapachem i miłością.

Choć i teraz jest mi już do tego stopnia dobrze, że wprost ruszać się nie chcę.

Zdaje mi się chwilami, że istotnie z promocyą wyjechałem na wakacje.

Przypominają mi się żywo te pierwsze dni odurzenia, słodkiej, leniwej kontemplacji, niedbałego wywczasu. Wrażenie potęguje to samo uczucie zagmatwania w mózgu, który rozpędzony egzaminami, zdaje się, jeszcze coś twardego miele, a właściwie tylko jakieś resztki bezkształtnych myśli w kółko obraca.

Od czasu do czasu rzucam machinalnie pióro i wodzę po tym papierze, nie zdając jasno sprawy, jakie z liter składają się słowa, nie troszcząc się o budowę zdań; może gdzie nawet zbraknie podmiotu, lub orzeczenia, to i cóż?

w każdym razie muszą one pozostawać w jakimś związku z obecnym stanem mej duszy i kiedyś, gdy zechcę, wyłatać tem i skrawkami obraz ubiegłej przeszłości. Czy dokładnie? — mniejsza o to.

Nie zastanawiać się! przedewszystkiem oddychać i patrzeć!

Trzeba jednak jeszcze dla ścisłości zanotować protokół zeznań gadatliwej gospodyni, beczkowatej pani Kaczmarskiej, właścicielki nieruchomości Nb policyjny 8, hipoteczny — pal go dyabli! — tudzież pralni z magłem — bagatela 1

W jej to twarde, jak pracze, dłonie z niezwykłą skwapliwością złożyłem całkowitą należność za komorne. Zaszczyciła mnie za to dłuższą pogadanką, która od kwestyi czyszczenia butów, samowara, nie wyprawiania breweryi po nocach, ostrożności z ogniem, wyrzekania na lokatorów, którzy jej zdaniem rekrutują się przeważnie z pod ciemnej gwiazdy, przeszła na sąsiedni ogród, przedmiot stałych jej wzdychań. Okazało się bowiem, że dziadkowi jej, mydlarzowi, trafiała się sposobność nabycia go za psie pieniądze; a teraz takie czasy, że trudno wymaglować „fondusz” na postawienie frontu, a o kupnie ogrodu niema co gadać!

Posesya ta przez kilka rąk, rosnąc ciągle w cenie przeszła w posiadanie państwa Roinich. Z potoku słów w tej materyi o jakimś pięknym ojcu, co umarł młodo, smutnej wdowie — ustrzegło mi najmocniej w uwadze, że jest i córka, ale „pożal się Boże, czyste zmartwienie: ni z pierza to, ni z mięsa, słaniaj się~itwat^encznie słabe na chorobę nerwową”, o^Jakiej pani Kaczmarska, jak żyje, nie słyszała.

Na nieśmiałą uwagę, że jednak takie niesłychane choroby się zdarzają, otrzymałem krótką replikę: „Z próżniactwa! —¹ nie machać po nocach smy

kiem, ale postać z pół dnia przy balii; albo maglu, a w mig byłoby zdrowie, jak nie wiem co I"

Oczywiście ani pisałem o swoich dolegliwościach, bo zamaszysta baba gotowaby mnie wpakować do pralni, albo co gorsza—wylać z mieszkania.

Zatałem też swój zawód literacki; strzelił mi koncept odpowiedni, że piszę pozwy do sądu, czem zaimponowałem jej wyraźnie.

* *

*

Nie zauważyłem, kiedy przyjechali,! Właśnie weszła po raz pierwszy pełnia i patrzyłem z zachwytem w rozjaśniony, pachnący ogród, gdzie, jak złom marmuru pod srebrzystą łuską dachu, błyszczał mi w oczach ten pusty dom.

W tem drgnął żywy jęk w głębi, i z czeluści okna trysnęły śpiewne, wibrujące, rozlewne tony, ujmujące mnie odrazu za serce.

Lękliwy rozkoszny dreszcz przecwałował mi po całym ciele.

Moment bezwiednego oporu wciągane morzem człowieka i natychmiastowe poddanie się tajemniczej władzy.

Straciłem z oczu wszystko i zatonąłem w rozkołysanych falach płynącej wprost na mnie melodyi.

Muzyka zawsze odmykała mi tajniki duszy i podszeptowała jakieś pół- myśli, półczucia niewysłowionej piękności, w powszednim toku życia zakryte; próbowałem czasem wyrazić je w słowach, i, choć chwytałem jedynie widma, rysunek tych cieni posiadał wiele powabu.

file jej gra jest czemś nadprzyrodzonym.

Chyba ma struny, plecione z cierpiących nerwów, z włókien mrącego w smutku serca, a skrzypki sklecone z drzewa, które uschło z nostalgii.

Grała z natchnienia, improwizując porywczo.

Chwilami melodia trzepotała się boleśnie, płacząc się w obłądne, spazmatyczne akordy, które huczały mi w głowie, jak wichry szaleństwa.

Muzyka trwała niedługo i pękła nagle w pół tonu, jakby raptem opadły zemdlone ręce.

Ogród mi się w oczach odmienił: Drzewa przybrały dziwne kształty chwiejnych, melancholijnych postaci; kiście okwitających bzów i świeże pęki jaśminów szeptały rytmiczne, odurzające a niepojęte wyrazy.

Biały amarek zdawał się jakimś skulonem, wystraszonem dzieckiem, porzuconem w nocy samotnie. Wiązka bladych księżycowych promieni sączyła mu się w kołczan, a przygasła iskra, niby kropelka krwi, migotała na ostrzu złotej strzały.

W piersiach mi załkał nieutulony żal...

*

p *

Odrzu miałem mgliste przecucie, że nie jestem tylko przygodnym słuchaczem, lecz, że jakiś węzeł mistyczny dzierga się między nami.

Jakoż fibry mej duszy stały się szybko czułym kamertonem jej skrzypiec, który, współdzwicząc ze strunami, jednocześnie i tony ich stroił.

Po trzech dniach graliśmy wspólnie, jakby oddając sobie smyczek na- przemian. Zaczynała ona swe muzyczne zwierzenia tajemnic najskrytszych.

Rozedrganiem minorowych tonów wyznawała najgłębsze tęsknoty, w tkliwych pianissimach roztopiała cisze swych smutków. Dźwięczały boleśnie żale wielostrunne, przeciągłe, zawodzące monotonną melancholią.

W spazmatycznych burzliwych akordach wibrowały nuty namiętne, rozdarte dysonansy buntowniczych szarów ducha, porywcze stakata jęków, konające w pauzach gwałtownych upadków, i znów kwilił rzewny lejtmotyw szlochających dźwięków, płynących rytmem żalobnym w wieczystą ciemność.

Fi wszystkiemu temu wiernie i harmonijnie wtórowała rozegrana moja dusza, jak gdyby mi w piersi lkało jej dziewicze, umęczone serce.

Lecz dość było, bym uczynił jeden samodzielny ruch uczuć, a przekształciła się wnet na jego wzór melodya.

I moje własne wzruszenia, jakby w oka mgnieniu przemienione w muzykę jej władzą, wracały do mnie, żywe, zharmonizowane, śpiewne.

Niesfalszowane nigdy, czasem tylko jak gdyby nieco spieszczone, otulone delikatną posnową subtelnego czaru, równie szczere, tylko więcej dyskretne.

Tak minął cały czas pełni, siedem złotych rozmarzonych nocy, które spędziłem na jakimś innym, księżycowym świecie.

Zbudzony, zastałem dzień słotny i smutny; a po nim zaszła noc chmurna i wietrzna, w której nie grała, tylko umarłym kwiatem płakały kity bzów.

Nazajutrz deszcz nie padał, ale czas zdawał się jeszcze bardziej posępny.

W ciężkiej chwili niezgrunowanego żalu skreśliłem na skrawku papieru, że mi śmiertelnie głucho bez głosu tych strun, żem je ukochał, tęsknię i czekam i machinalnie rzuciłem tę białą wstążkę w prąd wichru.

Pod wieczór wypogodziło się nieco; z opon zadymionego nieba wysypała się garstka rozproszonych drobnych gwiazd. Ale na drzewach ogrodu wisiały rozpięte kiry nocy; każde było jakby w krepowym welonie.

O późnej godzinie, kiedy wszystko leżało w martwym uśpieniu, i zmęczony późnym czuwaniem zaczynałem już drzeć, oparty na parapecie okna, nagle ocknąłem się, tknięty przeczuć, że coś się staje.

W pierwszej chwili zdawało mi się, że amor powstał ze skały.

Nie!

Płynęła ku mnie rytmicznie wiotka, kształtna postać, wyglądająca w ciemności, jak smukła kolumna zwartego mroku.

Serce mi się porwało na jej spotkane, perliste łzy rozkoszy wypełniły piersi.

— To ty — jedyna! — szepnąłem.

— Ja! — zadrgał cichutki ton.

— Nie mogę rozeznąć twych cudnych rysów, daj pocałunkom twą rękę śpiewną!...

Wyciągnęła nad sztachety filigranowe, jakby z błękitu toczony palce.

Wychyliłem się, zawisłem prawie, ale nie zdołały się zetknąć nasze ręce.

Rozległo się, niby chrzęstliwe pęknięcie struny, i wymieniliśmy przeciągły, pieszczotliwy, upajający uścisk przez zroszoną gałązkę jaśminowych kwiatów, które zostawiła w mej dłoni.

Znikła, rozwiała się, i po chwili zabrzmiała krótka, serdeczna piosenka, pełna słodkich fletów, radosnych dzwonek i jakichś dalekich sygnałów żałoby.

Wszystko odbyło się tak prędko, niespodzianie, po nocy, że choć stało się wczoraj, mam wrażenie, jakbym wspominał o smutnym widmie szczęścia

z przed lat wielu, i patrzę, jak na dawną i jedyną pamiątkę, na pęk białych kwiatów, które zachodzą po brzegach zwiędłą barwą śmierci.

* *

*

Dziś zrana rozdarł mi sen raptowny, krótki, przesywający jęk, nie wiem czy z zewnątrz, czy ze mnie idący — i zgasł, jak przeraźliwa błyskawica w stężącej chmurze uśpienia, która zawarła się znów nade mną.

W dzień zauważyłem niezwykle ruch w ich domu.

O zmierzchu zajechał powozem znakomity doktor i bawił długo.

Może tylko znajomy?

Noc minęła cicho i spokojnie. Widnokrąg się przetaił. Sierp księżyca wyrznął się na niebie.

* § *

Niepodobna łudzić się dłużej. Ona jest ciężko chora. Onegdaj było konsylium.

Przed ich bramą wyłożono ulicę słomą, na której turkot najcięższych nawet wozów zamiera i dudni tak ponuro, ponuro przez dzień cały.

Miewam noce straszne.

Widzę w jej oknie nikłe, pełgające światełko, w które wpatruję się, jak w ognisko życia. Czaszka mi się w szwach rozchodzi, ilekroć płomień ten chwieje się i przygasa; a potem się spaja w jakimś palającym gorącu, gdy się prostuje i równo żarzy.

W godzinę kilkakroć przekręca się koło tortury.

Krzewy okwitły. W ogrodzie tuła się pełno rozchwianych, zagadkowych cieni, trwoźnych poszeptów, tajemnych, nękających szmerów, przerażających trzasków, wzniecających paniczny popłoch wokoło.

Wszystko zanurzone w szarych, mętnych, posępnych otchłaniach mroku.

fmor wydaje się jakimś zmiażdżonym kształtem białości, a nad nim stale unosi się rozprysły, szlochający płacz.

Nie widzę tych łez, bijących w ciemność, ale słyszę ich łkania i czuję tak, jakby wszystkie płynęły skroś moje serce, zimnym, szalejącym pianą strumieniem.

* * *

— Jezus, Maryal Jeszcze przed świtem wzięła kilka harmonijnych pełnych akordów, które skonały w przeciąglej, długiej jak wieczność, zacichającej w wolnych interwallach cudownej, kochanej nucie.

W dzień słomę zdjęto; rzucił się na to miejsce rozjuszony turkot i grzmi, grzmi.

Zgiełk walił ulicę, a na tej jednej bramie ktoś raptem przylepił białą kartę; krzyż, pod nim wyolbrzymione tragicznie, zczerniałe litery:

Stella Roini umarła...

Zamykam oczy; we śnie kamiennym czekam sto lat! Budzę się, patrzę, patrzę: karta wciąż wisi.

Więc znów zasypiam w bałwanie żelaza na tysiąc lat... Karta wisi!

Ściśnięty w dyszącej siną trucizną ołowianej bryle czekałem raz jeszcze milion... — napróżno!

fi

Więc teraz pójdę i zedrę gwałtem!

*

Nie dali!!

Wchodzili tu wszyscy. Każdy, kto chciał. Jakiem prawem? Nie wiem!

Potworna, zlepiona z kopyt, sierści i sukna czwórka koni stała przed bramą.

Obok krzątali się jacyś dygnitarze w czarnych, stosowanych kapeluszach.

Gdy mnie mijali, powitałem ich dostojnym ukłonem.

Przeczekałem; aż weszli, i jak ujęty za rękę, wstąpiłem na schody.

Duża sala; pod ścianami ludzie... a właśnie ci czarni, jak szatani, odstawiali pośpiesznie wazony i gasili płonące, ogromne pochodnie.

Pośrodku na wysokościach widniała ona.

Poznałem ją odrazu. Ujrzałem wyraźnie, że to unosi się przedemną nawiedzające mnie dawno słodkie i piękne widziadło.

Z powłoczystego białego obłoku wychylała się ta sama tkliwa dziewczęca twarzyczka, za ciemną zasłoną długich rzęs czułem cudne, utopione we łzach oczy. Boleśne, wycięte usta rozchyłały się w żaloszny pocałunek.

W zwiniętych na piersi bezsilnych dłoniach znać było śmiertelny wysiłek dźwigających się do uścisku omdlałych rąk.

Tylko zakryła się przedemną nierozpływającym się melodyjnie błękitem, lecz twardem wiekiem ciemnego drzewa.

42

Wieżli ten mój klejnot, a potem niesli prawdziwie, jak śliczne skrzypce— nabożnie, ostrożnie.

Myślałem, że na cmentarzu ją wyjmą i zagra, by zbudzić wszystkim umarłym serca. Mnie — moje!

R oni co zrobili?

Wrzucili ją w ciemną szczelinę ziemi, zamurowali bezlitośnie spiekłym, szorstkim, krwawym kamieniem i obciążyli jeszcze górą gliny w obawie, żeby nie wstała.

Powiedziałem tym nikczemnym szatanom, że są nietyko źli i podli, ale i bezdennie głupi, bo nie wiedzą, że ja mam władzę jednym drgnięciem uczucia grób ten rozwalić, wskrzesić ją i wyzwolić.

* *

*

Siły fizyczne wracają powoli, ale władze ducha zapadają jeszcze często w to apatyczne odrętwienie, w jakie je wtrąciła długotrwała choroba.

Co prawda w znacznym stopniu współdziała temu monotony tryb kuracyi.

Całe dni spędzam pod cieniem magnolii w nisko zasłanym leżaku.

Nieruchome, ciepłe przepojone zapachem kwitnących róż powietrze, modra, bezobłoczna otchłań nieba, ogromna, hipnotyzująca zielonawo-błękitna płaszczyna jeziora „Garda”, wszystko to wprawia duszę w stan bezprzedmiotowej zadumy, w ostateczną bierność, graniczącą prawie z niebytem.

Oczy moje właściwie nie patrzą, ale niby zwierciadła zatrzymują w sobie odbicia obrazów i leniwym ruchem włączają się machinalnie w półkole widnej przestrzeni.

Z białego lśniącego szczytu Monte-Baldo staczają się zwolna po zielonym zboczu gór, na rozpostartą powierzchnię jeziora, i nieraz mrużą się do łez, oślepienie skrząc się migotaniem drobnej fali.

I wtenczas jawi się zwykle coś podobnego do myśli i, jako te ciche, majaczące spłwiałych żaglach łodzie przesuwa się zwolna i ginie w czymś tak milczącym, jak daleka grupa strzelistych cyprysów, które, niby smukłe wieże pogrążonego w toniach gotyckiego tumu, unoszą się tęsknotą w przezroczyście niebo.

I czasem istotnie, kiedy w przedwieczornej godzinie poczną bić dzwony wokoło, nadlatujące melancholijne jęki zdają się dobywać i z pod wody i czynią wrażenie rozegranych Glorią Boską organów, zatopionych w głębinie na wieki.

Ze wszystkich stron uderza w piersi jakby jeden żałośny lament:

— flmen, amen, amen!...

Potem się nagle cały pejzaż ucisza i otula w girlandy liliowych zmierzchów.

I wtenczas zaczynają od brzegu przeszłości przebijać do mnie cicho płynne orszaki słodkich wspomnień o tym śnie cudownym.

Zapatrzony w ich uroczy wizerunek, niby w piękną wizję odległej, zasnutej subtelnym smutkiem krainy, zaczynam pojmować, że się rozkochał w gwieździe urojenia, w uplastycznionem marzeniu wypiastowaniem samotną melodyą duszy podczas kwietnych zamieci, w złotych lunatycznych godzinach nocy.

* * *

Zgon marzeń jest śmiercią rzeczywistą, a bywa tak tragiczną, że można oślepnąć z rozpacz!

* *

T\ jednak słowa, rzucone jękiem nieprzytomnej boleści strasznych grabarzom, zawierały prawdę:

Człowiek, dopóki nie straci zdolności kochania, władny jest mocą cierpiącego uczucia rozwałać w sobie katakumby najgłębsze i, jak stwórcy świata tchnieniem miłości podnosić złożone już w grobie i wskrzeszać wszystkie własnego serca tęsknice, w krwawych skrytkach tego skarbcza zawarte.

* *

*

Dziś, nie mogąc zasnąć, otwarłem żaluzje.

W jasnej, prawie bezbarwnej kopule nieba widniał wzbity niezmiernie wysoko błyszczący otwór księżyca i kilku rozrzuconych migotliwych gwiazd, w dole, jak drugie niebo, płasko w bezkresy rozpostarte, stało się nieruchome jezioro; po bokach góry owiane mgłą wyglądały jak stężałe, opięte zgęstniałym mrokiem cienie. Na jednym leżał biały podłużny obłok — to śnieg!

Zapatrzyłem się i poczułem, jak zwolna rozdała się widok, mętnieje, roztapia się, wszystko, co realne gdzieś zapada, ginie i, jak z morza ziemia, wylaniają się mirażowe lądów nieznanych.

Rwą mi duszę do lotu; cicho drgająca nad nimi błękitnawa łuna skrapla się w senną gwiazdę, która zawraca głowę, i ciągnie do siebie, jak żywioł obłądny.
Czyżby^czas już w płomień lecieć po nową urnę popiołów?...

cukierni na rogu Żórawiej i Marszałkowskiej zbieraliśmy się codzień między g. 6-tą a 8-mą, by pogadać o niczym i sztuce, z którą znajdowaliśmy się wszyscy w mniej lub więcej prawych stosunkach. Najbardziej podejrzanym pod tym względem był najstarszy pan Tomasz, który niegdyś coś popełniał w nieistniejącym już piśmie.

Obecnie nietyko nie pisał, ale nawet, w naszym gronie przynajmniej, nie odzywał się prawie zupełnie, i stale milczał o rozmaitych rzeczach lub, o ile znalazł amatora, przegrywał w szachy. Dziś partnera nie miał, wszyscy bowiem byliśmy mocno poruszeni strasznym pojedynkiem, który się świeżo odbył z wielkim rozlewem wina.

Z konkretnego faktu rozmowa zesłała na spór o racjonalność tego rodzaju rozpraw. Zdania się ważyły. Ogólnie jednak zgadzano się, iż są pewne wyjątkowe położenia bez wyjścia, w których jedynym środkiem obrony honoru jest wystąpienie z marnym i słabo nabitym pistoletem.

Jeden złośliwy malarz naprzekór dowodził, że jest antyduelantem bez zastrzeżeń.

— No, a gdyby tak ci kto dał w pysk? — argumentował jego kolega.

— Tobym mu oddał z przysypką, i kwita!

— Ba! czybyś tylko zawsze potrafił, twój przeciwnik może być znacznie silniejszy...

— Lub słabszy! — wtrącił pan Tomasz, który swoim zwyczajem nie brał udziału w rozmowie.

Odezwanie się jego wogóle były ewenementem, a tym razem szczególnie, brzmiały czemś dalekim akcent głosu, zastanowił nas więcej, niż zwykle.

W pauzie ciszy mizerny nowelista, zwietrzywszy temat, zapytał:

— Zaciekawia mnie pan doprawdy; jestem pewny, że pogład pański urobił się pod wpływem rzeczywistego zdarzenia.

— Istotnie! i właściwie nie powinienem zabierać głosu w tym przedmiocie, gdyż znieważony czynnie, nie reagowałem zupełnie. Policzek zdążył przyschnąć; dwadzieścia lat to chyba dla przedawnienia wystarcza!

— Tylko nie w tych sprawach — szepnął zgryźliwy poeta.

file pan Tomasz, zajęty obcinaniem cygara, nie dosłyszał uwagi. Zapalił i począł opowiadać:

— fich! i ja niegdyś byłem FarysemL. i znarowiony pegaz wyrzucił mnie z uniwersytetu, dzięki czemu, oraz protekcji zmuszony byłem przyjąć w zakładzie hydropatycznym posadę, która się okazała wyśmienitą pod każdym względem: Miałem oddzielny pokój, całodzienne bardzo przyzwoite utrzymanie, 30 rubli miesięcznie, a nawet tytuł inspektora łazienek. W zakres moich obowiązków wchodziło kontrolowanie, czy kąpielowi i chorzy wykonywają ściśle recepty lekarza, czy temperatura wody, procent soli lub ilość borowiny wytrzymują przepisaną normę.

Jakkolwiek stanowisko moje w hierarchii inteligentnego personelu było dość podrzędne, jako relegowany student i trochę literat cieszyłem się względami władzy, posiadałem sympatyę kuraćyuszów, zaufanie i łaski kuracyuszek. Przytem, mając popołudnie wolne, brałem żywy udział w reunionach, majówkach, wycieczkach i bawiłem się znakomicie, korzystając z każdej sposobności, których nie brakło.

Najszykowniejszy w kraju zakład, w bardzo malowniczej miejscowości, posiadający wszelkie udogodnienia i ustaloną renomę hydropatyi, gdzie nietylko

panuje woda, ale-i wesołość, ścigał na główny sezon dużo próżniaczej publiczności ze sfer zamożniejszych, dla których pobełtanie się w wannach było przeważnie tylko miłym dodatkiem do innych rozrywek. To też w lecie rozległy park zmieniał się na śliczny, umajony zielenią potężnych drzew, gwarny salon, gdzie zwierciadła zastępował staw, posadzkę — strzyżone gazony, dywany — pachnące kobierce kwiatów, a rolę plafonu grało upięte muślinami lotnych obłoków błękitne sklepienie niebą z promiennym słońcem w dzień, ze świetnym fajerwerkiem barw na zachodzie w godzinach liljowego zmierzchu, z brylantowym żyrandolem drgających gwiazd i złotym lampionem księżycy w nocy.

W tak czarownej atmosferze roztopiała się sztywność konwenansu; słodki powiew od pól roznosił wokoło zasadniczy pierwiastek wszelkiej zabawy — swobodę, a nerw społecznego towarzyskiego życia — flirt, wibrował ustawicznie.

Ten chochlik — swawolny żart namiętności — figlował na spacerach, czepiał się łódek, fruwał w grzywach wierzchowców i w fałdach amazonek, pisał na reunionach, słowem pełno go było wszędzie, zakradał się nawet do łazienek.

Rozigrany w dzień, pod wieczór rozmarzał się i wzdychał upajająco w cienistych alejach, na ławeczkach, w altanach. W nocy za to nieraz rzewnie płakał, tuląc się do cudownych kolan tkliwej i smutnej bogini miłości, której wyznawał swoje psoty powszednie.

Nie poprawiał się jednak. Rano na pierwszy odgłos zakładowej orkiestry zrywał się uśmiechnięty i broił na nowo.

Przy podniecających dźwiękach brzękadeł, tego błazna uczucia, trzy letnie miesiące minęły szybko, rozkosznie, zawrotnie, jak szalony „tour” walca, przetańczony pierś w pierś ze zwinną i uroczą danserką.

Zaledwie jęły się rumienić palczaste liście wina, oplatającego werendy, posypały się pierwsze płatki blado-żółte ze zwisłych żałośnie brzoź, zrudziała zieleń trawników, rozsnuły się srebrne nici pajęcze i. zmętniało niebo — lotne, bogato i jaskrawię upierzone ptactwo pierzchnęło przed widmem jesieni, pozostawiając jedynie rzeczywiście schorzałych niedobitków, których postękiwanie przedtem ginęło w ogólnym wesołym świegocie.

Letni salon opustoszał, i jak niezamieszkanym gmach zaczął się chylić do ruiny.

Szarzały i warzyły się po nocach klomby; rozpadały się na proszek kielichy kwiatów. Pordzewiały korony drzew, plamiąc się ognistą purpurą, zwiędłym bronzem, zaśniedziałem złotem. Długimi korytarzami alei świstał ponuro wiatr \ miały się w podskokach stada liści, niby skrwawione wyszarpane skrzydła, rwące się do lotu.

Jednocześnie z powodu niżenia cen w zakładzie, wraz z mgłami, szarugą i melancholią jesieni poczęli ściągać się z różnych zakątków świata zupełnie odmiennego typu goście. Kuracjusze ci przywozili z sobą nędzne walizki, lekkie sakiewki, a ciężkie cierpienia, mało humoru — dużo trosk.

W początkach listopada park już zczerniał zupełnie i stał się jak gdyby cmentarzyskiem, gdzie nad kurhanami zgorzałych liści, niby nad mogiłą dzieci swojego lata, pełnego marzeń i szumnej chwały, powyginane tragiczne szkielety drzew załamywały wyschłe z rozpachy patykowate ręce.

W tej porze właśnie zawitał do nas pan Marcin Łopato, którego odrazu i trafnie przezwano wielbłądem.

Istotnie — długa jego obwisła twarz z rządkiem i siwiejącymi bokobrodami, kołyszący się chód, mocno zgarbione plecy, tabaczkowe ubranie i szcze

gólny jakiś wyraz cichej rezygnacji i zapracowanego smutku w rysach oblicza, w spłowiałych wypukłych oczach i całej postawie — dziwnie przypominały to wytrwałę, łagodne, juczne stworzenie.

Niezgrabny, śmieszny i mało obyty w towarzystwie, w trakcie kuracji zbliżył się nieśmiało do mnie. Musiałem uchodzić w jego oczach za bardzo wpływową w zakładzie figurę, gdyż od pierwszego dnia obdarzał mnie oznakami wysokiego szacunku, a potem zaufania.

Zwierzył mi się, że jest nadetatowym urzędnikiem przy wydziale hipotecznym jednego z miast gubernialnych, gdzie od wielu lat pełni funkcję kopisty i uchodzi za unikat w swoim zawodzie; na dowód pokazał* mi kilka aktów, godnych prawdziwego podziwu. Pismo jego sprawiało wrażenie znakomitej litografii, a każda litera, kreska i kropka, były wyczelowane artystycznie. Treść za to tych papierów była czemś do tego stopnia nudnym, martwym i jednostajnym, że powiedziałem sobie: Jeśli ręka jego posiada choć źdźbło duszy, to zachorowała poprostu na pismo o wstręt, i wzdryga się z obrzydzeniem na samą myśl powrotu do tak monotonnej, pozbawionej wszelkiego powabu, jałowej pracy. Jeżeli się zaś oddawała temu z zamiłowaniem — to trzęsie się zdeprawowana ohydą rozkoszy.

Okazało się jednak, że była to pozbawiona wszelkich uczuć i pretensji, najzwyczajniejsza dłoń najmity, żadna jedynie chleba dla siebie i swoich. Wielbłąd bowiem nie, chełpił się wcale swoim kunsztem, cenił go jedynie, jako narzędzie zarobku i przyznawał się, że wolałby pisać gorzej a szybciej, ale inaczej, jak wolno i ładnie, nie umie.

Przez kilka pierwszych tygodni wielbłąd był w ustawicznym transie zachwycenia. Numer, meble, wanny, stół, na który inni nieraz sarkali, jednym

słowem wszystko wydawało mu się ostatnim wyrazem komfortu; a ta szczupła doza troskliwości, jaką najobojętniejszy lekarz i łaźniennik bezwiednie musi wkładać przy spełnianiu swoich obowiązków, rozrzewniała go, jak najczulsza pieśczoła.

— Drogo, ale jak w raju, żyć i nie umierać! — mawiał mi codzień

Jako pacjent, był on wzorem systematyczności i posłuszeństwa. Z mechaniczną dokładnością wykonywał najdrobniejsze przepisy, nie opuścił nigdy żadnego zabiegu, pilnując temperatury wody i czasu trwania kąpieli, jak oka w głowie.

Gdy posłyszał „już!” — wyskakiwał z wanny jednym susem, jakby się obawiał, że moment dłużej może zniweczyć zbawienne skutki kuracji. Biorąc usiadki, gdzie chory może sam śledzić czas, pożyczał odemnie chronometru i wlepił wylupiaсте oczy w cyferblat, zrywając się w oznaczonej sekundzie, jak szydłem ukłóty.

— Trzeba, panie, trzeba — mówił z radosnym uśmiechem, gdym żartował z tej pedanterii — sporo to kosztuje, a przytem gdyby... nie! musi po- módz! Niezawodnie pomoże — dodawał z wiarą, patrząc na mnie badawczo.

Z biegiem czasu jednak począł wątpić i wyraźnie się martwił; stał się milczący, zamyślony i z jeszcze większą dokładnością i zawziętym zapałem oddawał się kuracji.

Mieszkaliśmy na jednym korytarzu, obok. Pisząc po nocach, miałem sposobność zauważyć, że memu sąsiadowi, który przedtem sypiał, jak na ob- stalunek określoną regulaminem normę godzin od 10-ej do 7-ej, sen gorzej służy. Słyszałem, że kręci się na łózk, aż dzwonią sprężyny, i jak miech wzdycha.

Któregoś dnia, widząc, jak ze zwieszoną głową czeka w łazienkach kolei, napadłem go wesoło:

— Co się pan smucisz u licha, przecież wszystko idzie znakomicie, doktor mi mówił, że nerwobóle minęły.

— Mnie brzuch niepotrzebny, ale ręka! — odparł posepnie.

— Przyjdzie chwila i na rączkę; pan byś chciał wszystko piorunem!...

— Przyjdzie? — pan powiada — podchwycił żywo, patrząc na mnie z niepokojem i wdzięcznością.

— No, proszę pamiętać, bo ja tu nie mogę wiecznie popasać!... Żona i czworo dzieci — to nie żarty. fi teraz nietyko nic nie zarabiam, a co mam trać!

T\le obiecany czas nie nadchodził.

Wielbłąd z dnia na dzień upadał na duchu. Garb mu urósł, zmizerniał, stracił swój świetny apetyt; prowadził kurację pilnie, ale już bez dawnego zapału; wlaził do wody leniwie, wyskakiwał mniej żwawo; unikał ludzi, nie rozmawiał nawet ze mną.

Za to cienkość ściany pozwoliła mi się dowiedzieć, że mamrocze do siebie.

Zwykle zaczynało się od rachunków:

Osiemnaście dni po 3 ruble = 54... Staś, Zosia, Marynia... ach! i wpis Józia... 50.

Komorne 17. Nie, dłużej niepodobna; niema co, trzeba wracać do domu!...

Potem ciężkie wzdychanie i głuchy głos: — Boże mój, co to będzie!... Mój Boże!...

Pauza ciszy.

I raptem: „Ojcze nasz, któryś jest... chleba naszego...” namiętne, żarliwe słowa pacierza. Wreszcie pewnej nocy zbudził mnie gruby, gorzki, stłumiony, serdeczny płacz.

Nazajutrz Wielbłąd wyglądał, jak kijami obity. Fi wieczorem, złapawszy mnie na korytarzu, przycisnął przerażonemi oczyma do kąta, i pokazując mi papier, począł zadyszczanym szeptem powtarzać.

— Patrz pan, patrz pan tylko, co się dzieje!... przeczytaj!...

Na kartce widniały jakieś zygzakowate karakalusy i wielki kleks na końcu.

"— Próbowałem pisać — wyjąkał, złamany.

— Bo niepotrzebnie pan próbujesz; denerwujesz sam siebie, nie jesz, gadasz po nocach. Przedewszystkiem spokój, spokój i jeszcze raz spokój — odparłem, by coś powiedzieć.

Wielbłąd popatrzał na mnie żałośnie.

— Może i racya, doktor to samo twierdzi — wymówił w zamyśleniu i cicho; spokorniał i odszedł.

Pozostał mu jeszcze 15 dni kuracyi.

Przez pierwszy tydzień Wielbłąd przechadzał się ostrożnie, prawie na palcach; przeżuwał cierpliwie najsumienniejszą potrawę; usiłował się nawet uśmiechać, a w łóżku ani się poruszył, tak, że ledwie po lekkim wstrzymanem chrząkaniu poznawałem, że nie śpi. W niedzielę jednak o północy, kiedym rymował w największym rozpędzie, zgubiłem świetne porównanie, tknięty nagłym, krótkim wybuchem spazmatycznego łkania. Po chwili i sprawca tego wandalizmu wpadł do mnie, jak obłąkany. W jednej koszuli ze śmiesznie cienkimi, porośniętymi jasnym włosem nogami, belkotał szlochającym głosem:

— Panie, co to jest, ja zapalki zapalić nie mogę... nie trafiam w pudełko...

— Traf pan w dzwonek, lub zawołaj lokaja, — odparłem zirytowany, że mi przerwał natchnienie.

Wielbłąd chlipnął nieznacznie, odwrócił się prędko i wyniósł swój garb.

Żał mi go się zrobiło; chciałem iść za nim; ale w numerze jego zapanowała długa niezmacona cisza.

Właśnie kończyłem strofkę, kiedy we drzwi zakołatało dyskretne pukanie. Potem nieśmiało wsunął się smutny Wielbłąd w brązowym surducie, z potulną miną skruszonego winowajcy.

— Przepraszam—dygnawszy, zaczął bąkać obwisłymi wargami.

— Filet owszem! — usprawiedliwiałem się pośpiesznie,— mnie samemu przykro, że tak zbył pana. Zły byłem, bo mi pan przerwał pisanie.

— Pan pisze? — wymówił Wielbłąd z podziwem, a twarz mu się wydłużyła. Widzi pan, pan pisze! — powtórzył. — A ja...

Wlepił rozżalone wypukłe oczy w czarne sznurki wierszy i przez chwilę pochłaniał moje bazgranie chciwie.

— Żeby choć tak, uszłoby od biedy! — westchnął.

— Nie trzeba nigdy, do ostatka tracić nadziei! — wyrzekłem w formie pociechy.

*— Właśnie, ja sam o tem u siebie myślałem — zaczął podniecony, i jeżeli tylko pan inspektor się zgodzi, wszystko może być jeszcze dobrze... Bo, uważa pan — przysunął się do mnie i mówił trwożnie i tajemniczo. Co to jest za leczenie?... Dzień w dzień jedno to samo, a po południu żadnych środków, a przecież ja za cały dzień płacę — skarżył się — a co gorsza, czas się napróżno traci!...

Żeby to tak pan inspektor — prosił, obejmując mnie żalonymi oczyma — pozwolił — dodatkowe zabiegi.

Niech oni rano robią swoje, a po obiedzie my swoje...

— Panie! — przerwałem surowo, zrozumiałwszy, o co chodzi, — Przewszystkiem to byłoby nadużycie z mojej strony, a ja tu przecież jestem właśnie od tego, żeby pilnować, by ściśle wypełniano polecenia lekarzy... To akurat tak samo, jakbym ja pana namawiał do sfalszowania kopii.

— O, przepraszam! — odparł poważnie i z pewną dozą urazy Wielbłąd — kopii absolutnie sfalszować niepodobna, bo przecież zawsze potem następuje z aktem konfrontacja... Przytem to jest dokument... A tu co? — wody panu szkoda?... ubędzie?...

Panie inspektorze, na rany Chrystusa!... przysięgam — zaczął gwałtownie poszarpanym, ze wzruszenia głosem — ja, żona, wszystkie moje dzieci, niewinne dzieci, których Bóg wysłucha, będziemy się modlili codzień za pana... Niech pan nas nie gubi!

Schylił się, chcąc mnie pocałować w rękę. Wyrwałem ją pośpiesznie.

— Cóż znowu!... no dobrze, dobrze, zobaczymy... obiecywałem, by przerwać tę dręczącą scenę.

Wielbłąd, kiwając dziękczynnie głową i obrzucając błagalnymi spojrzeniami, wycofał się za próg.

Nazajutrz wybadałem dyplomatycznie lekarza.

— Co do ręki, to mocno wątpię, aleśmy mu przynajmniej wyporządzili żołądek! — objaśnił mnie młody doktor.

Wobec tego oświadczenia skrupuły moje pękły. Postanowiłem dotrzymać obietnicy. Bojąc się, by mnie kto ze służby nie zdradził, udawałem, że

się sam kąpie, a Wielbłąd mi tylko towarzyszy. I zaczęły się różne eksperymenty.

— Ja myślę — gadał Wielbłąd, — że tu trzeba obniżyć temperaturę, bo wiadomo przecie, że w cieple wszystko się rozłazi, a w zimnie tężeje, a właśnie chodzi o to, żeby łapa zeszytywniała... A, teraz weźmiemy cię, duszko, iak w łubki, mówił, oblepiając z satysfakcją rękę borowiną.

Co do mnie, oczywiście zapatrywałem się sceptycznie na tego rodzaju środki, ale trochę liczyłem na wpływ sugestyi.

Jakoż, istotnie, po trzech dniach tego samoleczenia, Wielbłąd, zoczywszy mnie w parku, przykłusował niezgrabnym kurs galopkiem, wołając zdaleka:

— Panie, zapiąłem prawą ręką majtki, ot ten guziczek, jak Boga szczerze Kocham!...

Taki malutki, a ja go szach, mach... i siedzi w pętelce — opowiadał, jaśniejac radością.

Zapiąłbym i drugi, gdyby był... — pokazywał mi szczątki okruszonej blaszki.

— A tobyśmy — chychotał, podrygając komicznie koło mnie — doktorkowi szpasa wycieli! — Zaraz do wszystkich pism wykaligrafuję ogłoszenia, jak się leczy t r e m e n s!...

Ucieszyłem się również. Kto wie — myślałem — a nuż!... i byłem prawdziwie wzruszony, gdy po ostatnim zabiegu w wilię wyjazdu przystąpiliśmy do wykonania próby nad skutecznością naszej kuracyi.

Z kabiny przeszliśmy wprost do kancelaryi łaźienek. Wydobyłem arkusz, podłożyłem rygi i zmieniłem stalówkę.

Spojrzałem ukradkiem na Wielbłąda. Był uroczysty i blady.

— Tylko spokojnie, spokojnie — wszystko pójdzie dobrze — dodawałem sobie i jemu otuchy.

Wielbłąd usiadł w fotelu, poprawił na ukos papier, przysunął się do stołu, przycisnął lewą ręką arkusz i odchrząknął.

Widząc ogólny wygląd jego twarzy i postaci, byłem prawie pewny, że tak znakomicie przystosowany, poprostu nastawiony całym ciałem do pisania, mechanizm nie może zawieść.

Ujął pióro, trafił odrazu w kałamarz, zgarbił się nad papierem. I rozpoczęło się bezlitośne okrutne dziubanie stalówką to tu, to owdzie, robienie fatalnych dziur i kleksów. Wreszcie w gwałtownym drgnięciu palców obsadka wyleciała, jak z procy w powietrze.

Wielbłąd na krótki moment zwisnął bezwładnie na fotelu, potem się chwycił za skronie i jęknął z rozpaczą:

— Jak ja się jej i dzieciom pokażę!... Jak ja się im pokażę!

Zerwał się raptownie i stał się straszny:

Oczy mu wyłaziły z orbit i nabięły krwią, a rozwalone wargi zrobiły z jego łagodnej twarzy paszczkę wściekłości.

— Łotry, szarlatany, oszuści, złodzieje!... — zaryczał dziko..,

I ledwem się zjeżył, by stanąć w obronie godności instytucji, wyciął mi chorą ręką zdrowy policzek.

Krew mi ściekła do nóg, które stężały, jak kłody. Zdrętwiałem i stałem, iak słup, bez jednej myśli, prawie bez uczucia.

Jak przez mgły zobaczyłem skurczoną boleśnie jego twarz, i posłyszałem gdzieś za drzwiami rozdzierające histeryczne łkanie.

Kiedy? nie wiem, może w parę minut, może w godzinę, odruchowo skoczyłem za nim, ale nie było już nikogo; zwałem się na ławkę, jak zmiażdżony; Twarz mi płonęła gorejącym ogniem.

Nie przypominam sobie, w jaki sposób znalazłem się w numerze na łóżku.

Ciemno już było, kiedy się we mnie poruszyło gwałtownie rozjątrzenie i żądza pomszczenia doznanej obelgi. Tysięczne krwiożercze zamiary rozlatywały mi się po głowie: pastwić się, kości mu połamać, wyrwać z mięsem kudły, strzelać się o trzy kroki, ciągnąć czarne gałki... O żadnych przeprosinach nie mogło być mowy; chyba, gdyby mi padł plackiem do nóg publicznie i pozwolił się kopać obcasami w zęby...

Dygotałem z rozdrażnienia i nienawiści.

Ostatecznie wyczerpany zesłabłem, ogarnął mnie ponury smutek, zdziczenie samotne, a potem uczucie niezwykłego roztargnienia.

Wówczas jęły mi dopiero wpadać w ucho odgłosy jego kroków. W pierwszej chwili rozjuszony poczuciem jego obecności, począłem się pienić na nowo.

fi on tymczasem chodził i chodził tam i napowrót. Musiał być w pantoflach lub boso, bo kroki nie wydawały łoskotu. Słysząc było tylko ciężkie, miarowe dudnienie miękkich stóp. Te łązące, przytłaczające stąpania stały mi się, jak sukna na wzburzoną duszę; fale gniewu i oburzenia spłaszczały się powoli; bolesne natężenie nerwów zelżało.

Zmęczony, jakby zachodzony cierpliwością tych monotonnych, niezmordowanych, bezowocnych ruchów, usnąłem.

Zbudziłem się późno, z obelżywą świadomością doznanej zniewagi i krzywdy, która widocznie podczas snu tkwiła dalej we mnie.

Ubierając się, wpatrywałem się bezmyślnie przez szyby, po których ciurkiem ciekła woda, w zgniły, obrzydliwy dzień, mętny od kaszowatego śniegu, który topniał w locie, i włączających się tumanów mgły.

Po klejkowej, lśniącej drodze przeciągnęła bryczka.

On wyjeżdża! Wzdrygnąłem się cały. Dokończyłem z pośpiechem tu- alety i zbiegłem pędem na dół.

Powiem mu głośno wobec służby, że jest głupi wielbłąd, nieokrzesane bydlę, które gdy je człowiek spoufali, narowi się i wierzga!... — myślałem, zaciskając zęby.

Wyszedłem na ganek.

Lokaj wrzucił właśnie do kozła związaną sznurkiem walizkę niedbałym, lekceważącym ruchem fagasa, który wie, że nie dostanie na piwo. Furman majstrował coś około koni.

Wielbłąd był już na bryczce.

Odrazu przypomniała mi się widziana niegdyś na wozie zdychająca szkapa. Tak samo miała obwisłą dolną wargę, bezwładnie rozłożone przednie nogi, jak jego omdlałe, rozkrzyżowane na oparciach ręce.

Z pod lichego, wyrudziałego palta wystawał garb pleców, oczy były wpół przymknięte. Śnieg lepił się do baków, struga wody sączyła się ze zmiętego ronda za kołnierz, a on siedział nieruchomy, obojętny, jakby w najcudniejszą pogodę.

— Powiem mu poprostu, że jest gbur! — złagodziłem zamiar.

— Wystarczy: niewdzięcznik! — postanowiłem, zbliżając się ku niemu.

file zaledwie dotknąłem jego ręki, przygotowane słowo wyrzutu zwinęło mi się w gardle, jak płachta obmokła i, ważąc się chwilę w piersiach, spadło wilgotne na serce.

Trwożnie, nieśmiało uścisnąłem bijącą dłoń, jakbym ja był winien i miał go za coś przeproszać.

Wielbłąd dźwignął powieki.

Utkwił we mnie tępe, duże, śmiertelnie smutne oczy. Jakby się nieco spłoszyły i jęły szkłem zachodzić nieszczęsne źrenice, zakrążyły w wypukłych białkach, i grube, ziarniste łzy poczęły kapać i toczyć się po workowatych policzkach. Drgnęły kilkakroć szczęki, poruszyły się wielkie, obwisłe usta, mia- mląc jakiś wyraz...

Furman ćwiknął batem. Ostro ruszyły spasiono konie zakładowe.

Rudy kapelusz i pałakowate plecy rozplynęły się szybko w szarudze, zawiei i gęstych mgłach posepnego dnia.

Pan Tomasz umilkł; pociągnął mocno cygaro i zachmurzył twarz kłębami dymu.

— Co się z nimi wszystkimi stało, nie wiem... Nie spotykałem go więcej — dodał zmienionym głosem z poza sinawego obłoku.

Wstał nagle i, nie żegnając się z nikim, wybiegł prędko z cukierni.

— A to się rozchodził I Wygadała mu się chyba na całą wieczność naprzód bita nadbuzia lub nadbita buzia, jak kto woli 1 — zrobił dowcip poeta, pragnący uchodzić za wrażliwego jedynie na absolut.

I uśmiechnął się — ale sam.

/

Laureat

u wierszyk, tam wzmianka krytyczna, gdzieindziej znów artykułik lub korespondencyja z letniego mieszkania, a wszystko zawsze podpisane, zrobiło wreszcie swoje.

Nazwisko Ludwika Siwińskiego utarło się i brzmieniem swem w umyśle przeciętnego warszawiaka, kształcącego się na kuryerach, wywoływało sympatyczne lecz i mgliste wspomnienie o czemś drukowanym gdzieś i kiedyś.

To coś nie zostawiało trwałego wrażenia, gdyż Siwiński prócz łatwości pisarskiej, posiadał tak drobną szczyptę talentu, że właściwie zużyta, mogłaby istotnym polotem uskrzydlić ledwie wiązkę sonetów — pan Ludwik zaś popełnił ich sporo, nie licząc innych drobiazgów.

Swoją drogą był to młodzieniec pożyteczny. Od 9-ej bowiem do 3-ciej pracowicie ziewał w biurze ubezpieczeń od nieszczęść wszelkiego rodzaju, i spełniał swe obowiązki bez zapału, ale umiejętnie. To też był ceniony podwójnie — i jako urzędnik i jako literat.

Pierwsze stanowisko zapewniało mu 60 rubli pensyi miesięcznej, drugie mniej regularne i pewne — gratyfikacje zaszczytów.

Do pana Ludwika jak w dym udawano się w kwestyach składni i ortografii, i wyrok jego nie podlegał apelacyi.

Panu Ludwikowi, jako swej chwale pisarskiej, dyrekcya powierzała redakcyę ogłoszeń, stylizacyę raportów i t. p. odpowiedzialne czynności, przy których Siwiński doznawał wzruszeń autora, redaktora i cenzora w jednej osobie; to też tego rodzaju pracom oddawał się z upodobaniem, doświadczając szczególnej radości i jakby wewnętrznego łechtania.

Wyniosłe, wcale niebiurowe marzenia nawiedzały wówczas jego rozognioną głowę.

— Co znaczy szef wydziału, co znaczy dyrektor, co znaczy rada zarządzająca?— pytał w duchu. Szefa może wylać — dyrektor, dyrektora — I rada, radę — walne wybory akcyonaryuszów — a w ostatnim wydaniu Zarysu literatury ostatnich lat stoi jak wół: ...„w najświeższej dobie zdołali się wyróżnić: ten, ów Ludwik Siwiński i wielu innych.” I nikt już tego nie odmieni.

Na myśl o tem nietyko wzdymała się w nim wszystka próżność, ale poruszały się żarłoczne instynkty pychy, które, niby hydra zdrętwiała, leżały przyczajone na spodzie duszy. Przyszła jednak chwila, kiedy jej drgnięcia przyprawiły Siwińskiego wprost o fizyczny zawrót głowy, tak silny, że musiał opuścić biuro, przejechać kilka ulic, i poleżeć chwilę na otomanie w swoim pokoju, zanim oprzytomniał zupełnie.

Sprawcą tego ataku był fejleton pod tytułem: Z za kulis konkursu.

„Z 203 nadesłanych utworów — informował jeden z sędziów — zakwalifikowano do ogólnego czytania 40. Z tych podczas ostatnich zebrań wysunęły się na plan pierwszy 4 komedye, z których jedna; „Lis w kurniku”, znakomicie co prawda odczytana, wywoływała wybuchy szczerzej wesołości, 5 sztuk poważniejszych i 2 dramaty — jeden prozą „Szczęście”, drugi wierszem pod serdecznie swojskim tytułem „Skowronek”... Niektóre osobliwości stylu ostatniego utworu budzą podejrzenie, że pod godłem „Sfinx” ukrywa się zaszczytnie znany poeta z za kordonu”.

Siwiński pożerał notatkę, chciwie wysysując z każdej literki zawartą w nich rozkosz. Wreszcie złożył Kuryera, uśmiechnął się i z przymkniętymi

oczyma przeżywszy jeszcze raz od początku do końca całą błogość wzruszenia, począł się szybko przebierać w świeży garnitur, nucąc coraz raźniej i głośniej: tram, tram, tram doa, doa. doa, tram!

Z tym marszem tryumfalnym wyszedł na ulicę.

Czuł się niezwykle podnieconym, miał prawie ochotę zaczepiać przechodniów, czy zwierzyć się, że ten „sfinx” to on! a jednocześnie z góry spoglądał na ten bezimienny snujący się tłum i wyniośle stąpał środkiem trotuaru z uroczystą miną człowieka, przed którym kroczy widmo rozgłosu i sławy.

W ten sposób dotarł do cukierni, gdzie zbierała się garść mniej znanych literatów i artystów.

Zajawszy zwykle miejsce począł kolejno taksować zebranych i z prawdziwą satysfakcją stwierdził, że szczęśliwy wynik konkursu wyniesie go odrazu ponad wszystkich. Na rachunek przyszłego sukcesu kazał sobie podać szklankę czekolady i niby wielki pan biorący incognito udział w zabawie oficjalistów, raczył pobłaźliwie się uśmiechać z rozlicznych anegdot i dowcipów, które robiono na temat świeżo odebranych depeesz wojennych.

Wesoła polityka i żartobliwe kombinacje strategiczne pochłaniały do tego stopnia wszystkich, że nikt nie zwracał uwagi na niezwykle sposób bycia Siwińskiego, który przybierał rozmaite pozy, bębnił palcami po stole, wołał na cały głos kelnera, przeglądał dziesięć razy jedną i tę samą gazetę, nie mogąc ani chwili usiedzieć spokojnie.

Wreszcie nie wytrzymał i w pauzie ciszy, chwyciwszy „Kuryer” po dyplomatycznym wstępie: „oho, jest o konkursie!” — odczytał na głos całą wzmiankę.

— Bagatela 203 utwory; grafomanów nie brak — zauważył stary krytyk.

— Ten sfinks z za kordonu to prawdopodobnie Przerwie.

— A może Łopata?

I nie Przerwie, i nie Łopata, tylko ktoś miejscowy — odezwał się z naciskiem Siwiński.

— A pan skąd wiesz I

— Ot tak sobie przypuszczam — odparł filuternie, z trudem cofając w głąb siebie wprost wyłażący mu na usta okrzyk: sfinks — to ja!

— Nie bój się pan, oni świetnie wiedzą, kto, co i jak? Wszystkie te godła, koperty — to szopki, wiem przecie — objaśniał zgryźliwy publicysta, któremu zdarzyło się być sędzią w jakimś drobnym konkursie.

Jakiś Siwińskiego ogarnął niepokój.

— Jakim sposobem? — wybąkał-

— Zwyczajnie: autor z firmą zwierza się pod wielkim sekretem przyjaciołom, którzy, nie w ciemną bici; wiedzą co zrobić z tajemnicą wypada. To też bądź pan spokojny, że jeżeli Przerwie do konkursu stanął, nie zdarzy się taki skandal, żeby go pobił pierwszy lepszy debiutant, a choćby nawet ja lub pan. Znakończość za rzecz mierną — otrzyma nagrodę, pan za świetną, zaszczytną wzmiankę...

Siwiński truchlał, słuchając tych wywodów.

Świadomość, że omal się nie zdradził i mógł się sam pogrzebać — napawała go przerażeniem. Jednocześnie targały nim tysiączne wątpliwości: a nuż pod tem samym godłem i tytułem ukrywa się kto inny; zresztą tylko 2 nagrody, 5 sztuk wszystkiego ma być zakwalifikowane do grania, sześć więc z jedenastu wymienionych musi odpaść, i łatwo stać się może, że on tak bliski wyniesienia i chwały znajdzie się na szarym końcu i pozostanie dawnym Si

wińskim, o którego redakcyje się nie ubiegają, nieraz drukują, lecz nieraz również pod pozorem braku miejsca odpowiadają z kwitkiem.

Dawniej mu to wystarczało, lecz dziś, skoro go już zaleciał odurzający zapach sławy, na samą myśl takiego obrotu rzeczy burzyło się w nim wszystko.

Od tego czasu Siwiński żył, jakby w febrze moralnej. Kilka razy dziennie ze szczytu świętych marzeń, rozkosznych nadziei coś go przerzucało nagle w otchłań ostatecznej apaty i upadku. Co wieczór pilnie i gorączkowo wertował dzienniki od deski do deski, i nic tam nie znajdował dla siebie.

Pełno było sensacyjnych depeš — ale w sprawie konkursu panowało absolutne milczenie.

Wreszcie zupełnie niespodziana bomba pękła.

Któregoś dnia przy wejściu do biura Siwiński uczuł się schwycony za nogi, i wnet znalazł się w górze.

— Hura, niech żyje! — wrzeszczeli koledzy.

— Banzaj I — darł się najgłośniejszy pomocnik buchaltera.

— Vivat laureat! — huczał basem stary kasyer.

Siwińskiemu krew ściekła do serca.

— Co? — gdzie? — jękał blady, znalazłszy się na ziemi, i wsłuchiwał się oszołomiony, z zatajonym tchem w piersiach, w czytana na głos notatkę Porannego:

„Z ostatniej chwili: Wczoraj po północy rozstrzygnął się głośny konkurs dramatyczny; 1-szą nagrodę tysiąc rubli otrzymał znakomity poeta Przerwie za sztukę „Męczennik;” 2-gą w ilości 500 przypadła w udziale młodemu lecz utalentowanemu literatowi p. Ludwikowi Siwińskiemu za dramat „Skowronek”, godło „sfinks;” prócz tego ukwalifikowano do grania jeszcze 3

sztuki. Blizsze szczegóły i sprawozdanie, które zapewne sędziowie zechcą podać do wiadomości publicznej, zamieścimy niebawem..."

W ten sposób zaczął się dla Siwińskiego szereg upajających, tryumfalnych dni.

Tegoż jeszcze wieczoru wiadomość powtórzyły wszystkie dzienniki.

Nazajutrz Siwiński otrzymał od redakcyi pism illustrowanych listy z prośbą o fotografię i drobny fragment nagrodzonej pracy.

Wkrótce w tak zwanych „migawkach" Kuryera pojawiła się krótka jego biografia i zręcznie skreślony wizerunek zewnętrzny, w którym go przedstawiano względem warszawianek, jako przystojnego młodzieńca o jasnych, rozmarzonych oczach.

Wogóle z powodu jego osoby, jako nieopatrzonoego okazu, zrobiło się więcej hałasu, niż z powodu zwycięstwa Przerwica, który posiadał już ustaloną renomę.

Powinszowania i komplementy spotykały go wszędzie. Nieraz nawet na ulicy zdarzało mu się posłyszeć — patrz, Siwiński laureat! i wówczas czuł, jak pierś jego niepomiernie się rozszerza, jak go coś odurza, łaskocze i unosi. A każdy taki hołd podsyczał w nim łaknienie nowych owacyi. Popularyzował się tedy przy każdej sposobności. Na byle wezwanie leciał przyjąć udział w journal parlc, ozdobić swoją osobą fajfoklok, prezentował się w teatrach, na koncertach, pokazywał się tłumowi w udziałowej, puszył się w nadświdrzańskiej; łąził po redakcyach, zebraniach literackich, jednym słowem wszędzie, gdzie się mogła zdarzyć okazya pogadania o „Skowronku"

I posłyszenia, a choćby nawet wyludzenia słowa uznania dla siebie.

Powodzenie dzieła miłe jest każdemu artyście i opiera się na tym serdecznym, prawie rodzicielskim uczuciu, wiążącym twórcę z utworem. Najsmutniejszy poeta ma chwilę pogody, gdy widzi, że to co w trudzie ducha hodował, pieścił i kochał zyskuje sympatyę i miłość ludzi. Chwała dziecka go obchodzi, nie własna. Siwiński zaś przeciwnie wysuwał na pierwszy plan swo-; ją osobę, zadzierał swoją uwieńczoną głowę, ceniąc „skowronka” o tyle, o ile \ świergotał jego sławę.

Koledzy-literaci szybko się zorientowali w sytuacji i niektórzy z nich, ku uciechu reszty; poczęli uprawiać pewien rodzaj sportu okadzania Siwińskiego; nazywało to się „wydąć skowronka, jak cięląinę.”

Zabawa ta przyBIerała chwilami tak karykaturalne rozmiary, że Siwiński możeby się i spostrzegł, gdyby nie pewien poważny krytyk, ale i filut zarazem, który w przystępie dobrego humoru, klepiąc go po ramieniu oświadczył:

— Jeśli pańska sztuka zrobi nawet fiasco w teatrze, co zresztą przewiduję, nie przestanę twierdzić, że należy ją pięknie oprawić i złożyć obok klejnotów poezji naszej w skarbcu literatury.

Siwiński atramentowym ołówkiem dosłownie zanotował sobie to zdanie, cytował je każdemu, i w rezultacie zatruł się ostatecznie czadem dytyrambów, wyziewami pychy.

Straszna kłapa, jaką zrobiła jego sztuka w teatrze, nie otwarła mu oczu; przelotny moment zwątpienia zatuszował się w mgnieniu oka, skoro posłyszał brawa, i wywołany na scenę ujrzał wynurzający się z orkiestry wieniec—hołd biurowych kolegów. Po przedstawieniu, w dodatku przy zbiorowej kolacji wznoszono jego zdrowie, a krytyki nazajutrz, jakkolwiek dość powściągliwie, zaznaczyły, że chociaż „Skowronek” jest istotnie mało sceniczny,

jednakże pewne oddzielne momenty, poprawność wersyfikacji, a zwłaszcza swoiskośćJ podniosła szlachetna tendencja słusznie skłoniły sędziów do wyróżnienia tego utworu w dobie rozpasania się niezdrowych i mętnych pomysłów tak zwanej nowej szkoły.

Tylko kilka mniej zależnych tygodników odezwało się dość szorstko, a jeden nawet bez ogródki oświadczył, że skandaliczne nagrodzenie „Skowronka” wobec zupełnego pominięcia tak wstrząsającej sztuki jak np. „Szczęście”, której druk właśnie się rozpoczyna, ostatecznie, chyba zdyskredytują wartość wszelkich konkursów.

„Usiłowano za pomocą puzonów reklamy wtrąbić w nas, że sztuka p. Siwińskiego jest sztuką aksamitu, w świetle kinkietów jednak aksamit okazał się ordynarnym welwetem, który rudział i rozłaził się wprost w oczach”...

Cios był dotkliwy, ale właśnie surowy tygodnik uchodził za organ filose micki, a okrutny krytyk pochodził istotnie z żydów, i nazywał się w dodatku wprost niemożliwie, zwłaszcza po „Wrześni”, bo — Berlin.

To też pisma antysemitki wyświetliły panu Berlinowi pobudki jego niezadowolenia (chrześcijańska tendencja utworu), wykazały dobitnie kim on jest właściwie; oskarżając go jednocześnie o hakatyzm, determinizm i mord rytualny. A Siwiński w delirium oburzenia, wbrew swej dobrej w gruncie rzeczy naturze, wykropił do redakcji siarczasty list, gdzie znalazły się przytyki o „arogancyi rasowej”, „zjadłości partyjnej” i inne tym podobne zjadliwe uwagi, których się zwykle w takich „żydowsko-radykalnych” wypadkach używa.

Zawrzała polemika, wzajemne wdeptywanie się w błoto, o mało co nawet nie odbył się pojedynek; powoli jednak wszystko unormowało się, uspokoiło i nastąpiła cisza.

Pan Ludwik z początku był rad nawet z tej, jak mniemał, chwilowej przerwy, czuł się bowiem trochę zmęczony, rozdrażniony i wyczerpany, skoro jednak wypoczął, a cisza dalej wciąż trwała, poczęło go coś podjudzać i korcić.

By zrobić znów huczek postanowił wydać ozdobnie „skowronka”, miał jednak ku zdumieniu swemu wiele kłopotu ze znalezieniem nakładcy, a gdy wreszcie książka wyszła, zbyto ją blademi, lakonicznemi wzmiankami zwyczajnym petitem, na ostatniej stronie.

Skończyło się wszystko jak nożem uciął. Dzień znakomitości dnia minął tak niepowrotnie, jak zwykły mijać takie dni.

Wyniesiony cudzemi rękami powyżej właściwej sobie miary, Siwiński według praw ciężenia musiał spaść do normalnego poziomu; nie mógł tego jednak ani zrozumieć, ani tembardziej z naturalnym biegiem rzeczy się zgodzić.

Rozjuszona powodzeniem hydra pychy domagała się wciąż świeżej strawy. W poszukiwaniu jej Siwiński imał się rozmaitych sposobów. Puszczal się na feljetony, studia krytyczne, impresye, sadząc się zawsze na oryginalność, dziwaczne koncepty, pisane stylem pretensjonalnym, napuszczonym i krzykliwym, za co go raz zerznięto istotnie, fi, choć gorzki to był pokarm, pożarł go niemal radośnie.

Niestety ciągi nie powtarzały się więcej, a w dodatku redakcye poczęły go pilnować i coraz mniej udzielać mu miejsca.

Dotknięty do żywego Siwiński, rozżalony do całego świata, rzuciwszy biuro, postanowił „w ciszy i spokoju” spreparować nową bombę. Sprawił sobie fotel, cały garnitur przyborów piśmiennych, ryzę papieru, maszynkę do kawy i... przestał prawie pisać zupełnie.

nDnie mijały w śnie, w marzeniach o zaszczytach rychłej sławy, w przeglądaniu gazet, czy czego o nim niema, w wałęsaniu się po mieście gwoli znalezienia tematu. W nocy przeznaczone na pracę, zaczynało się podniecone kawą krążenie jakichś chaotycznych strzępów obrazów po głowie—jałowa gra ubogiej wyobraźni, która sprawiała czasami rzeczywiście złudzenie świetnej koncepcji.

Wówczas Siwiński odgrażając się „teraz ja im pokażę”, chwycił za pióro, ale naraz wszystko rozsypywało się w proch, gdzieś się ulatniało, lub najwyżej powstawał mizerny, bezkształtny fragment, którym niepodobna było imponować nikomu.

Wtedy Siwiński doznawał tego przeraźliwego uczucia strachu i bóleści, jakiej musi doświadczać postrzelony ptak, co bije rozpaczliwie z całej siły skrzydłami by wznieść się do góry, a czuje, że jakiś fatalny ciężar ołowiu ściąga go coraz niżej, na ziemię.

Im silniej zaś miotał się, podzegał i wspinał, tem wyraźniej ujawniała się bezowocność wszystkich wysiłków. Potem zwykle nawiedzały go martwe godziny wycieńczenia i zupełnej apatii, wśród której nieraz nagle wybuchało tak gwałtowne pożądanie upojenia się choćby raz jeszcze tryumfem, że wydobywał skrzętnie zachowane wycinki z gazet, przeżuwał chciwie wszystko od początku do końca i zyskiwał z mozołem wysaną kropelkę, jakiejś pociechy. Marny to był jednak trunek, jak złe wino, co niby odurza, a właściwie pozostawia kwaśny obrzask w ustach i zgagę w gardle.

Któregoś dnia, po przejściu wszystkich okresów swej katuszy, Siwiński począł machinalnie się wpatrywać w wiszący na gwoździu wieniec. Drobniej

sze liście i kwiaty osypały się już dawno, pozostały jedynie postrzępione wy- żółkłe kiście palm, pałkowaty drut, z festonami obluzowanego szpagatu.

Całość wraz z cieniami padającymi na ścianę czyniła wrażenie czegoś rozdeptanego, spłaszczonego i wydała się Siwińskiemu wyschłym szkieletem zdechłego ptaka jego sławy, z resztką wyskubanych skrzydeł i sznurkowatym, zwieszonym ogonem.

Wzdrygnął się boleśnie, wstał i zbliżył się. Złudzenie pierzchło.

Począł bezwiednie rozplątywać szpagat, gdy raptem coś mu strzyknęło silnie w mózgu. Zastygł na chwilę z zatajonym oddechem, potem gorąca fala krwi oMała go jak ukropem, i jął chodzić gorączkowo po pokoju.

Pozornie świetny pomysł zaświtał mu w głowie.

Ze zwiędłych laurów, jak ten sznur, tragedia zdawała się wysnuwać sama przez się. Efektowny i wstrząsający, tak to czuł przynajmniej, finał narzucał mu się z jasnością wizji. Ostatni, kulminacyjny akt dramatu wisiał przed nim na ścianie, tak jak gotowy.

Dorobić tylko początek i odrazu się pokaże, co Siwiński znaczy.

Błędny uśmiech wyniosłego zachwyty przewinął się na zmizerowanych ustach, uczuł ogień na policzkach, mocne bicie w skroniach. Łaskotliwym, rozkosznym uczuciem, tak jak wówczas, wzdęły mu się piersi, ziejące pychą widzenia zamroczyły oczy.

Noc całą spędził bezsennie w jakimś słodkim odurzeniu, w snach marzących, o gwarze oklasków, hucznych bębnach sławy, których głuche odgłosy pieściły mu uszy.

Następnych dni, wciąż silnie podniecony, układał plan dramatu, co szło mu opornie.

Wreszcie zarysował się nader słabo następujący ogólny szkic na 3 akty: Młody poeta zdobywa nagrodę konkursową, przez co wzbudza zawiść i zazdrość powszechną... prześladowany, szykanowany na każdym kroku zostaje doprowadzony do tego, że odbiera sobie życie, wieszając na sznurku, który znalazł w zdobytym wawrzynie... Stosownie do treści i ukończenia tytuł I winien zawierać w sobie grozę i ironię zarazem...

Gdy przyszło jednak do szczegółów, ku zdumieniu Siwińskiego, rozciął w głowie temat - kurczył się z przerażającą szybkością, i w rezultacie pozostawał samotny, końcowy efekt w jakiejś dziwnej, nie dającej się uginać piórem, sztywnej postaci, możliwej jedynie do faktycznego wykonania. I gdy się wszystko ulatniało, to jedno jaskrawię i z nieodpartą siłą narzucało się jego wyobraźni. \

Czasami zniechęcony Siwiński próbował zwrócić się do innego tematu, ale tamten właśnie, jak gdyby mu zatarasował całe pole widzenia; odpychany powracał, z zapomnienia wynurzał się całkowicie. W biały dzień, na jawie * zmuszał myśleć o sobie, łudził jakąś daleką perspektywą mętnych obrazów ' i tem kusił; by go obrabiać.

fi gdy oszukany Siwiński zabierał się rażno do roboty, próżno wytężał wszystkie władze, rozdrapywał, rzec można pazurami gorejący mózg — temat zsychał się w tragiczny epilog, w tej postaci twardniał wprost na kamień, nie dając z siebie nic więcej wydobyć, sklezione zaś z mozołem zawiązki niedołęznego dyalogu pod piórem rozpryskiwały się na nic.

Siwińskiemu opadały zmordowane ręce. Ogniste, zgryźliwe łyzy szczypały powieki. Bóle ostre, jak igły, przeszywały czaszkę, poczem następowały długie zatrute godziny ostatecznego upadku i niemej rozpacz.

Oślupiałemi źrenicami fiksował szczątki wieńca, a zwieszający się skrętami sznurek, niby prężąca się zmija, zdawał się szyderczo nań patrzeć związanym na końcu supełkiem, który chwilami przybierał kształt jadowitej główki z wysuniętym żądłem.

Wówczas po ciele Siwińskiego przeć wałowy wał zabobonny tajemniczy dreszcz; kołkiem stawało w piersiach serce schwytnie trwożą i mętne poczuciem skradającego się krok za krokiem niebezpieczeństwa.

Nie śmiejąc ruszyć się z miejsca, zagapionemi oczyma pośpiesznie przetrząsał ściany i kąty, czując, że tu coś jest, gdzieś się zaczął i czyha.

Po takiej rewizji strach jego przygasał, ale nie odchodził precz, tylko JsKbyjA/siąkał gdzieś głębiej w mrok duszy i tam usypiał.

Pewnego wieczoru lęk ten zbudził się ze zdwojoną siłą, i latające w popłochu spojrzenia Siwińskiego uderzyły z całym rozmachem o hak wbity w mur, wysoko i, jakby nań nadziane, wstrzymały się nagle.

Siwiński zadrzał z bólu i przerażenia.

Hak również drgnął i, niby mocno zakrzywiony palec, nieubłaganym żelaznym ruchem kiwnął nań raz i drugi.

Siwiński struchlał, skóra mu ścierpła na głowie, zimny powiew podniósł włosy. Zerwał się, wyskoczył z pokoju, zatraskując drzwi za sobą. Susami sadził po schodach i dopiero, znalazłszy się na ulicy, opamiętał się nieco. Poczul, że jest cały w potach, a wszystkie pulsa rozwalają mu żyły. Było już dość późno, ale miasto roilo się od tłumu, który wyległ z domów po upalnym dniu_

Nagrzane mury, niby piece, ziały gorącem, które płynęło kanałami dusznych ulic. Jedyne na większych placach, lub w okolicach Wisły dyszało świeżym chłodnym powiewem.

Siwiński z początku uciekał prędko, zręcznie wymijając przechodniów, ale wkrótce się zmachał i zgarbiony znużeniem jął włóczyć nogami, jak człowiek schorzały.

Doznawał jakby zeszywnienia fizycznego i duchowego, zdrętwienia członków, uczuć i myśli.

Czasem tylko jakiś dobitniejszy głos rozmowy nad uchem, niespodziany szcęk dzwonka, gwałtowne tupotanie kopyt po drewnianym bruku, trzask zamykanej bramy wzniecały w nim krótki moment zaleknienia, szybko mijające dotkliwe uczucie spłoszenia się wewnętrznego, po którym zalegał martwy spokój. I znów machinalnie szedł dalej, zmieniając kierunek pod wpływem bodźców czysto zewnętrznych, którymi się biernie powodował.

Raz go pociągnęło światło—tam znów zawlokła grupa przechodniów — tu skręcił, bo tędy zawróciła dorożka.

W ten sposób znalazł się wreszcie w restauracji i poddając się propozycjom kelnera obstał kolację z majonezem, angielską gorzką i bombę piwa.

Jadł bez apetytu, ale pił chętnie, po każdym kieliszku zyskując na siłach. Począł rozglądać się po knajpie i poznał, że jest „pod księżycem”. W sali było już dość pełno.

Przy oddzielnych stolikach siedziało pojedynczo kilka dam, spozierających zazdrośnie na koleżanki, które już znalazły przygodnych towarzyszy. Z oszklonej galeryi dolatywał kulawy mazur paru smyczków i brzęczącego fortepianu.

Jakiś szpakowaty jegomość z załzawionymi oczyma huczał: oj, dziś, dziś! wzbudzając ogólną wesołość.

Od strony gabinetów słycać było, drażniące zmysły, pisk i chichotania kobiecych głosów oraz rubaszne wybuchy rozpasanego męskiego śmiechu. Im później w noc, tem silniej wzmagal się sztucznie podniecany, nerwowy, ra- dośny gwar, który przeobrazał się w sercu Siwińskiego w jakiś ciężki przytłaczający smutek.

Każdy wytrysk śmiechu jak spazm ściszał mu gardło; dźwięki tanecznej muzyki przeraźliwą melodyą jęczały mu w głowie, a stale plątał się jakiś bolesny, dyskretny motyw, niby żalony ostatni ton struny, co pękła i dogorywa, łkając w głębi duszy.

Wreszcie zapłacił i posiedziawszy jeszcze chwilę, dźwignął się i wyszedł.

Opustoszałe ulice wydały mu się posepnymi korytarzami, wiodącymi w czeluście ciemności; rzadcy przechodnie — samotnymi cieniami istot zbłąkanych i ślaniających się, jak on, w labiryncie bez wyjścia.

Znalazszy się przed swą kamienicą przystanął, jakby się zawahał i w głę- bokiem, niejasnem zamyśleniu o sprawie niezmiernej wagi, sprawie jeszcze niewyraźnej i bardzo odległej, nacisnął guzik.

Terkotliwy dźwięk dzwonka przeborował go na wskroś. Uczuł niepokój. Człapanie stróża wydało mu się czołganiem jakiejś wstrętnej, bezkształtnej postaci, przed którą usiłował się cofnąć.

Za późno I — pomyślał, słysząc złowrogi zgrzyt klucza.

Skulił się i z rezygnacją wsunął w mroczką sklepioną jaskinię. r^Rr Walenie się zamykanej bramy uczyniło nań wstrząsające wrażenie rzeczy straszliwej i dokonanej.

Pnąc się po schodach liczył machinalnie stopnie, zatrzymując się na każdej kondygnacyi, by spocząć chwilę.

Znalazł się w pokoju, osobnie na palcach, jakby bojąc się kogoś zbudzić, zapatrzony w lampę i zdziwiony, że pali się jeszcze, przekradł się do biurka i zagłębił w fotelu.

Z nałogu jął kreślić bezmyślne na arkuszu papieru różne arabeski, kratki, desenie, zalewając je kolejno atramentem.

Potem nastąpiła serya podpisów z różnymi figlasaru, wreszcie kaligrafowanie kilku pierwszych z brzega słów, powtarzających się bez końca. Tym razem:

Strasznie, ciężko i samotnie, ale mus...

Strasznie, ciężko i samotnie, ale mus...

W końcu ogarnęła go senność, położył głowę na stole i zapadł w długi letarg.

Ocknął się, jakby zawołany.

Lampa gasła. Przy mętnej jasności napełniającej pokój odczytał wyrazy:

Straszno, ciężko i samotnie, ale mus...

Zastanowiły go te słowa, i raptem, nieznanem kołem skojarzeń wrócił do swojego dramatu, olśniony nowością pomysłu.

— fkleż tak! oczywiście... tylko wszystko na odwrót... Finał winien stać się początkiem, a potem idzie reszta; jak z płatka. Żal, rehabilitacja i tryumf ostateczny... Rusztowanie oryginalne: rękopisy rozpoczętych prac... z tego porywająca scena, na scenie: — Odczytywanie z pośmiertnych papierów fragmentów cudownego piękna... tłum ryczy z zachwytem i poznaje, co stracił... Gremialny pochód na cmentarz... Powódź światła, wieńczenie mogiły...

— Tytko od „tego” zacząć — szeptał silnie wzruszony, rozgorączkowany, jak w malignie.

Schwycił sznurek, wywalił szufladę, zrzucił na kupę wszystkie szpargały.

Okazało się, że jeszcze za nisko.

Jął dopełniać stos zeszytami polskiego słownika.

— Wszak to prace nie moje... — stropił się, kładąc tom na tom.

— Ależ to tylko próba! — mignęła pocieszająca refleksja.

Stał na książkach, zaczepił sznurek o hak i drżącymi z pośpiechu rękami rozplątywał supełek, by zrobić pętlę.

Poczuł swąd dogasającej lampy i wydało mu się, że to na jego cześć płoną kaganki w dzień zaduszny.

Zwrócony twarzą do tapety wpatrywał się w fantazyjne kwiaty, i pieścił się zagadkowymi ich kształtami i mnogością.

— Tyle kwiatów—pomyślał rozrzucony—aż tyle kwiatów dla mnie... Jak dziwnie pachną zwiędłym liściem, murem, stęchłą wilgocią... zupełnie jak grób...

Targnął nim dreszcz śmiertelny.

— To próba! — jakiś głos utulił wnet widmo przerażenia.

— Prawda! — przypomniał sobie... ale jeneralna, więc trzeba grać już, jak się należy.

Mocno trącone rusztowanie rozsypało się, szeleszcząc bibułą.

Siwiński wyprężył się. Wolnym, przeciągłym ruchem podkuliły się nogi... Grzmot frenetycznych oklasków zadudnił mu pod czaszką, i piorunem zapadła ciężka, ołowiana kurtyna, zasłaniając wszystko na wieki.

Fragment Pamiętnika.—8,

TBilfi I In

m;^k

Nad

urwiskiem

wmmm

zr

\
S-U

a płaskiej wyniosłości, w znacznej odległości od położonego w dołach miasteczka, znajdował się sadek owocowy na klin ku ziemi, zawartym pomiędzy zbiegającymi się drogami i zygawkowatą linią stromego urwiska. Urwisko to niegdyś przedstawiało ledwie łagodny spadek, porośnięty krzakami i bujną trawą, ale skoro wykryto w nim dobrą, tłustą glinę i kamień użyteczny, spustoszone zostało zupełnie, Nagie zbocze, pełne dziur, jam, jaskiń smutnych, jakby czeluścią wkupionych oczu, przedstawiało obecnie sypkie rumowisko okruchów wapienia, co nakształtjosti^ch strumyków zdawały się ściekać do złomów głazów, spoczywających na dnie. Z tej strony ziemia obsuwała się powoli, tak że w końcu WM/0- r ^cu wypełzły na wierzch pokurczone sploty korzeni stojących na skraju jabłoni, \ potężny krzyż z blaszanym Chrystusem, zardzewiałym i czarnym, znalazł się na samym brzegu przepaści i, pochylony, rozciągał nad nią opiekuńcze ramiona.

Grunt ten należał do gminy, to też każdy spieszył z niego skorzystać i z tego powodu owoce, przedwcześnie zrywane, nie mogły dojrzeć nigdy. {W tym roku po raz pierwszy wynajął je głębi Lejba za kilka rubli. J Lejba był niegdyś sadownikiem na większą skalę, ale potem zbiedniał do tego stopnia, że od lat wielu nietyko nie robił jnteressów, ale przestał nawet^marzyć^o geszeftach, żyjąc jak mucha okruszynami z ubogich stoł^)/v lichej mieściny.

Jedyny chałat, noszony w dzień powszednie i szabas, przeszedł już całą gamę kolorów i stał się bezbarwnym, załojonym łachmanem, dobrze dopasowanym do ziemistej cery, żółtosiwego zarostu, garbatych pleców i spłowia-

1 kijotr

łych oczu nędzarza, który sprawiał wrażenie zgrzybiałego starca, jakkolwiek liczył za siebie lat 50. Stałe, systematyczne morzenie się głodem wycieńczyło go tak dalece, że Lejba nie czuł się zdolnym nie tylko już do pracy, ale nawet do jakichkolwiek żywszych pożądań.

Zrana instynktownie szukał pożywienia, dość jednak było mu połknąć cośkolwiek: kawał rzepy, strączek grochu lub główkę cebuli, by zapaść na resztę dnia w apatyczne, bezmyślne zdętwienie, z którego nie była go w stanie wydźwignąć najponętniejsza obietnica zarobku. Z tego powodu Lejba zyskał opinię „niespełna rozumu”, „trochę głupiego żydka”. I w istocie, z wyniszczeniem sił fizycznych część wrodzonej inteligencji zanikła, a szczupła reszta pozostawała bezwładna w uśpieniu.

Niedołężstwo Lejby, obojętne już dla niego samego, było długo wielkim zmartwieniem żony Ryfki, którą za czasów względnej pomyślności zdążył zaopatrzyć w partyę dzieci. Stopniowo jednak i ona oswoiła się ze stanem męża, i pozostawiwszy go na łasce losu—wściekłym bieganiem po całej okolicy, błyskawicznie szybkimi obrotami kilkorublowego kapitału, wyławiała tę ściśle wyrachowaną dozę strawy i ciepła, która nie daje wprawdzie żyć po ludzku, ale wystarcza, by nie umrzeć.

Dzieci jednak z latami rosły, zwiększała się objętość żołądków, a kapitał zakładowy, jedyne źródło utrzymania, stał ciągle w jednej mierze. By zwiększyć dochody, Ryfka musiała ekspensować coraz więcej swoją energią, stając się niesłychanie natarczywą i zawziętą przy każdym targu.

Każda taka transakcja handlowa była po prostu z jej strony szeregiem rozpaczliwych wysiłków. Patrząc na nią w tych chwilach, można było mniemać, że sucha Żydówka podlega atakom ciężkiej histeryi. Najuroczystsze za

klęcia na sumienie, „pod chajrem”, na złamanie nóg i rąk, i śmierć natychmiastową — sypały się z jej zwiędłych warg z niepohamowaną gwałtownością; wychudłe jak szczapy ręce latały jak w szale, oczy gorzały.. Wreszcie, gdy operacja została szczęśliwie załatwioną, spocona, zadyszana, wydając resztę, zwilżała językiem spiekle i głodne usta, i postępując, jakby wyczerpana zupełnie, wlokła się z koszem dalej, by przy pierwszej sposobności podnieść się na nowo. Wszystko to jednak pomagało niewiele. Ryfka tylko się rozdrażniała niepotrzebnie, i jako natrętna; nrežnośna, szachrajka, zaczynała tracić sympatyę kundmanek. •

Sytuacja stawała się coraz tragiczniejszą, gdy naraz w lipcu, w porze \ 2W* największego zjazdu letników, spadły, jak z nieba, wielkie pieniądze za spra- Jz^cMtuA. wą i w ręce głupiego Lejby.

Lejba znalazł pugilares, który wypadł turyście, drapiącemu się na górę Zamkową; w swej naiwności zapytany, czy nie widział zguby, oddał ją bez wahania, a uradowany i zdumiony tą uczciwością właściciel ofiarował mu w nagrodę dwie pięćiorublówki.

Wieść o tem zdarzeniu rozniosła się w lot po miasteczku i złapała Ryfkę na targu. W pierwszej chwili oszołomiona przekupka omal że nie wypuściła kobiałki z jajkami, aż jej się słabo zrobiło. Potem nie chciała za nic wierzyć i dopiero, gdy jej przyprowadzono tryumfalnie zastraszonego i zgłupiałego do reszty męża, jak pantera wydarła mu z rąk zdobycz i rozpląkała się ze szczęścia. Część pieniędzy obróciła na kupno kosza i towarów dla starszej córki, która miała obsługiwać letników na dole, sobie zatrzymała rewir gór, a dla Lejby „wydźwiandała” ów sadek pod krzyżem.

#

Był to interes ze wszech miar świetny. Z kilkunastu sztetyń można było się spodziewać do 20 pudów owocu, co przy najniższej cenie stanowiło zysk olbrzymi. Letnia schorzała gruszka i parę skarłowaciałych śliwek, tak zwanych „kulek”, mogło zapewnić wykwintne utrzymanie dla Lejby, który miał czuwać nad całością dobytku. Słowem, jedna z najbiedniejszych rodzin podupadłego miasteczka wyrosła raptem niemal na patrycyuszów, a dla głowy dostojnego rodu — Lejby został, niby złoty baldachim, wzniesiony na 2-ch patykach słomiany daszek, by się ani na krok po za obręb wynajętej posiadłości nie wydał.

Lejba uroczyście obiecał, i on bowiem zaczynał już rozumieć, co za pomyślna zmiana zaszła w jego losie. Powoli, pod wpływem słońca, świeżego powietrza i lepszego odżywiania się robaczywym owocem, który niby manna sypał mu się pod nogi z każdym powiewem wiatru, budził się z apaty i coraz jaśniej pojmował doniosłość swojego stanowiska. Wreszcie ocknął się w nim stary zabiegliwy sadownik. Żona, która z początku dowiadywała się dość często, widząc jak Lejba skrzętnie gromadzi przed budką najdrobniejszy owoc, jak zbiera chrust w wiązki, w pęczki szczaw, że ma nawet ukryte w słomie podniesione na drodze spore polano, że oblicza — i to trafnie — przypuszczalne dochody, zaczyna się zapalać do interesów i roić o przyszłych geszeftach, uradowana i rozrzewniona, ofiarowała mu czerstwą bułkę i spokojna oddała się całkowicie swoim kombinacjom handlowym, by wyzyskać sezon w całej pełni.

Tymczasem Lejba spędzał czas rozkosznie. W biały dzień, wiedząc, że sam widok jego obecności wystarcza, wyciągał się na trawie i drzemał lub oddawał się marzeniom. Śniło mu się, że dzierzawi tak wielki ogród, iż żona i wszystkie dzieci muszą mu pomagać... Pali się ognisko, wędzą się śliwki

na lasach — a zdrowy owoc, jak złoto, łąduje się na krypy... Płyną po falach lśniące tam w dole Wisły hen, aż pod most Warszawy... Tłum ludzi na brzegu, krzyki, targi, brzęczenie pieniędzy... Gwizdanie parowca rozdzierało zwykle tę snującą się przędzę powracającym wspomnieniem o rozbitym przez statek galarze, wraz z którym poszedł z wodą cały jego majątek... Lejba wstrząśnięty budził się i ścigał posępnym spojrzeniem sunący korytem rzeki komin i czarną smugę dymu, jak banderę nieszczęścia, które minęło, wzięło haracz boleści i chyba już nie wróci. W tym szczupłym zakresie przypuszczeń, nadziei i rozważań obracały się leniwie jego myśli aż do zachodu słońca.

Pod wieczór obawa o całość sadu zaostrzała jego uwagę i stawał się czujny.

W jasne księżycowe noce był pewny swego dobra; na widnych szeroko polach, na białych błyszczących drogach nie spodziewał się ujrzeć rabusia. Za to silnie go trwożyły noce chmurne i ciemne. Wówczas w szeleście wiatru po gałęziach, w chrzęście obluzowanej blachy na krzyżu, w chwiejbie krzaków, przybierających dziwaczne, zagadkowe kształty, wietrzył obecność czyhającego na jego szkodę człowieka, i niepokoił się tem tylko. Obchodził swój klinek, uderzał laską po pniach, chrząkał głośno, by dać znać, że jest i czuwa. W przypuszczeniu, że w podmiejskich ogrodach napewno w tej porze kradną, cieszył się, że jego posiadłość jest na pustkowiu, w znacznej odległości od siedzib ludzkich. Podczas ulewy i burzy nie lękał się złodziei, ale nękał go wiatr. Skulony w swej budzie, nadsluchiwał pilnie, a każdy łoskot spadającego jabłka odbijał się bolesnym echem w jego rozżalonem sercu. Ten słaby stuk tłukącego się owocu był dlań daleko groźniejszy, niż ogłuszający turkot grzmotów, pęknięcie gromów i zygzaki błyskawic, rozdzierających piorunem niebo.

Po burzy zdarzało się nieraz widzieć tu i owdzie na tle ciemnego horyzontu gorejące wysokie łuny, i przyglądał im się z martwą obojętnością, choć wiedział, że ten ogień pożerał dobytek wieśniaków. W obrębie jego wązkich uczuć, po za najbliższymi, reszta ludzi, a szczególnie „goje” figurowali jedynie jako sprzedawcy Inb nabywcy, po za interesem nie istnieli dlań zupełnie; i mogliby mu się w oczach zapadać w ziemię, a on by nawet nie drgnął, do tego stopnia był mu ten żywioł zawsze zupełnie obcy, a dziś w pewnej mierze wrogi, z tej bowiem strony zagrażało jedynie niebezpieczeństwo jego drzewom.

— Friedman go raz dobrze oszukał — za to on jest sprytny i bogaty. Chaim handluje kradzionymi końmi — niech on sobie handluje, to także interes — ale po marne jabłko taki kawał drogi najgorszy żydek nie polecą, bo on ma delikatne zdrowie i rozum... fi głupi chłop — co to jemu szkodzi, kiedy on jest silny jak koń, i może nogami i rękami cały dzień machać jak wiatrak, — rozmyślał i burzył się, jak się pokazało — nie napróżno.

Przyszły chłodnawe, spokojne sierpniowe noce, tak widne, że Lejba mógł w cieniu liści podziwiać dorodność wypełniających się sztetyn. Były jeszcze zielone, ale za parę tygodni można już je było oberwać. Lejba myślał o tym dniu z najwyższą rozkoszą, miała przyjść żona i dzieci, by zdjąć ostrożnie wszystko rękami. Obrodziło niebardzo, nie więcej jak 15 do 18 pudów, ale cen za to należało się spodziewać wysokich, po dwa ruble a może i 15 złotych, i podniecony cyframi Lejba począł roić o projektach świetnej przyszłości.

Tymczasem z ruin zamku stoczył się po zboczu jakby duży szary głaz, u podnóża wyciągnął się w kształt ludzkiej postaci i jasną drogą, idącą wąwozem, począł się piąć, ciężko dysząc i sapiąc.

Był to znany powszechnie niemowa, jedna z osobliwości obfitującego w różne zabytki miasteczka. Szczególny ten osobnik w zimie tylko prowadził tryb życia osiadły w chałupie brata, który zagarnął jego grunta, gdzie pod groźbą pięści wykonywał najordynarniejsze roboty.

Z wiosną zaczynał się dlań żywot pasterski: pędzał po krzakach bydło, nawołując je i zbijając do kupy jakimś beczeniem, podobnym do ryku cielęcia. W lecie jednak wypowiadał rodzinie posłuszeństwo i zmieniał się w wolnego koczownika. W dzień i wieczorami kręcił się koło domków letników, podziwiających go, jako prawdziwe dziecko natury, rzadki okaz pierwotnego, nietkniętego kulturą człowieka; chętnie wdawali się z nim w mimiczne rozmowy i częstowali papierosami, które ssał namiętnie. Wesole służące, do których robił czule małpie miny, kazały mu ciągnąć z głębokich studni wodę, rąbać drzewo i nosić owoce. To też nocami niemy obierał sady co się zowie. Przyłapany na gorącym uczynku przez większe siły Izraela, przyjmował z poddaniem się odpowiednią porcyę kijów i nazajutrz opowiadał komicznie wszystkim o swoich przygodach, ilustrując dosadnymi giestami proces bicia, przyczem śmiał się jakimś idyotycznym, pełnym zadowolenia chichotem. O ile się spotkał z Żydem w pojedynkę — nie tchórzył, robił najstraszniejszą z swoich min i, jak człowiek z epoki łupanego kamienia, wydobywał z za pazuchy odłamek głazu, którym groził prawie zawsze skutecznie.

Żydów wogóle nie lubił, i to wcale nie za te odebrane razy, ale tak po prostu, jakby nasiąknął miazmatami niechęci, krążącymi w jego otoczeniu. Na określenie tej rasy miał kilka stałych giestów: świderkowate ruchy palców koło skroni, mające wyobrażać pejsy, liczenie na dłoni pieniędzy i pokazywanie wizerunku męki pańskiej, o co każdego Żyda posądzał.

Kalectwo tego paryasa nie musiało być zupełne, miał on bowiem pewne pojęcie o dźwiękach i był zdolny do wydobywania z siebie niektórych głosów. Przy całym upośledzeniu umysłowym niepodobna go było nazwać kompletnie głupim. Niemowa posiadał pewną dozę sprytu i zmysł obserwacji, wyrażający się w ujmowaniu charakterystycznych cech rzeczy, które świetnie oddawał mimicznie. Słowem, przy bliższym poznaniu zyskiwał, ile na pierwszy rzut oka, przez odrażającą płaską twarz, porośłą jakby szczecinią, głupkowaty uśmiech, nie schodzący z jego wywiniętych warg i ustawiczne sapanie sprawiał wrażenie potwornego kretyna, Przyczyniał się do tego niewątpliwie strój, a raczej brak stroju, który dopiero kompletował się w ciągu lata z łaski letników w nader oryginalne kombinacje.

Obecnie niemy miał na sobie podarte kalesony, gorsową zmiętą koszulę pod- pasaną sznurkiem, stary pozbawiony guzików surdut bez jednej poły, która została na kolcach tarniny, i obszerny wyrudziały melonik, noszony z dumą i fantazją.

Tak wyelegantowany, otrzymawszy zamówienie od płci pięknej, na której wdzięki — niezrażony absolutnym brakiem powodzenia — był bardzo wrażliwy, dążył śmiało do sadu „swojego.”

Lejba, zatopiony w marzeniach, nie słyszał stąpania bosych nóg i dopiero szamotanie się gałęzi, które niemy obdzierał wraz z liśćmi z owoców, wstrząsnęło nim do głębi. Struchlał, poznawszy rabusia. Niemowa również się zdziwił i, uważając go za spółtowarzysza wyprawy, wskazywał mu życzliwie drugie drzewo, przyczem uśmiechał się całą szerokością obrzydliwej gęby.

— Ty złodziej, ty rozbójnik; to mój sad I — zapominając o jego kalectwie, trząśnięty z gniewu Lejba — a w końcu, opamiętawszy się, pokazał mu kij i daszek.

Niemy zrozumiał — skurczył twarz jak paszczę buldoga, wyciągnął z zanadru ostry kamień i, bujając go w rękę, celował w głowę Lejby.

— Buuch! — stęknął, naśladowując głosem uderzenie, a całą postacią ruch padającego martwo ciała, zaśmiał się parszkającym chichotem i robił swoje.

Lejba wiał się z żalu i bezsilnej wściekłości.

— Idź—ty idź—szlochał, targając niemowę za postrzępiony rękaw coraz śmielej i mocniej. Niemy opychał pazuchę i kieszenie, a mając już pełno, począł wesoło zwijać kosmyki włosów na podobieństwo pejsów i, wydłużając brodę, naśladować i droczyć się z Żydem.

Gdy chciał odchodzić, Lejba kurczowo przytrzymał go za połę. Wnętrznosci mu dygotały z rozdrażnienia, mięśnie twarzy wzdrygały się, wyschło gardło. Latającymi jak w febrze rękami, odwołując się w ostatniej rozpaczy do miłosierdzia cudzego Boga, wskazał niememu wizerunek Chrystusa.

Niemowa spoważniał, rozkrzyżował ręce, przebił dłonie i szturchając palcem Lejbę w piersi dał mu do zrozumienia, że to on właśnie jest sprawcą tej męki. Pokręcił zgorszony głową, zasapał z oburzenia i, pokazawszy połę zmiętą w kształt świńskiego ucha, oddalił się, bełkocząc. Lejba usunął się # na trawę; czuł się jak stratowany kopytami dzikiego zwierzęcia. Szkoda nie była zbyt wielką, ale desperacka myśl, iż może się co noc powtarzać, rozpuszczała po nerwach wszystkie drgawki boleści, rozsadzała mózg i szarpała serce. Lejba chwycił się za głowę, wstawał i chodził w zatoki między drzewami, miotał głośnie przekleństwa, wygrażał przestrzeni pięściami, padał na trawę i darł jak szponami chłodną ziemię.

Nazajutrz, korzystając z deszczu, który spędził nienawistnych ludzi z pola, pognął do miasteczka. Ryfki nie zastał. Wyprawiła się za Wisłę po kur-

częta. Kupił więc kilka papierosów, paczkę zapalek i wrócił bez tchu do pozostawionego bez opieki sadku, gdzie jak lis, przez psy osaczony, ze zgryzotą . zaszył się na cały dzień w budę.

Pod wieczór wypogodziło się. Szary całun, zasnuwający niebo, zwijał się w obłoki, które płynąc to odsłaniały, to zakrywały faldzistą kotarą owal księżycą, wprawiony niby złoty witraż w błękitną kopułę olbrzymiej świątyni. Wiatr szedł górą, ziemię otulał spokój i uroczysta cisza.

W łagodnym rozlewie melancholijnego światła widniały szeroko rozpostarte przestrzenie pól, srebrzące się tu i owdzie grzebieniami ściernisk, spadająca skrętami w dół, niby lśniąca szarfa, biała droga, poszczerbione fantastycznie mury ruin i w matowym panczerzu uśpionego Wisła z przypartemi do brzegów plamami tratw, na których płonęły milczące ogniksa. Zdaleka, jak niepojęte stłumione wyrazy, rzewne i serdeczne, nadlatywały tajemnicze szepty bujających zbóż, trwożne szmery liści wzdychających drzew.

Zachwycający był kraj, jak tęskny obraz wyjęty z marzeń, co śnił się wzruszonemu sercu w smutnej godzinie uwielbień niepoznanego Boga, w samotnym zamyśleniu, które jest Jemu modlitwą.

Ale na wieki wieków od wszelkiej rozkoszy wyklęty Żyd, całkowicie na pastwę nędzy wydany, zupełnie obojętny na te uroki, wypatrywał tylko swą krzywdę, czającą mu się w każdym cieniu, w każdym szeleście cudownej nocy.

I krzywda ta skradała się ku niemu równie upośledzona, ciemna, ze V szczęścia wyzuta.

Lejba, ściskając kuczowo kij, usta a najzawzięciej uczucia, rozróżniał już bełtające się łachmany, które niby skrzydła nietoperza trzepotały się w około zbliżającej się postaci.

Żydowi zadrgała nerwowo wystająca grdyka; gardło kaleczyła oschła gorycz, przeszył go dziki dreszcz: wystąpił z ukrycia i spotkał się z napastnikiem, pod krzyżem.

Na dystansie paru kroków zatrzymali się obaj i fiksowali się zakłętymi oczyma.

— Na! — syknął wreszcie Lejba pokazując papieros.

Niemy, zaskoczony po raz pierwszy datkiem ze strony żydowskiej, zdziwił się na razie, a potem łaszczącym się ruchem podleciał zgiętymi w kolanach nogami i przyjął dar łapczywie. Lejba cofnąwszy się na skraj urwiska, podał osłoniętą dłonią zapalną. Niemowa zapalił przykucnął i począł ssać dym.

Chmury otoczyły księżyc; zrobiło się o tyle ciemno, że Lejba widział tylko w żarzącej się centce wzdęte wargi i koniec nosa swego wroga.

Zdjął go jakiś zabobonny lęk i niepokój. Zmienił zamiar i jął, giestyku- lując gorączkowo, przekładać, że w sadach podmiejskich są znakomite owoce i tam je kraść właśnie należy. Niemowa potakiwał, pokazywał na migi, jak je obrywa, pożera, cmokał z lubością ustami, głaskał się po brzuchu, wtajemniczał Żyda w rozmaite sposoby podłazenia pod parkan, opowiadał jak go biją sadownicy i rechotał wstrętnym chichotem. Zawiązała się dziwna, bez głosu, głucha, przyjacielska prawie gawęda.

Poczuli się tak blizcy, że, gdy niemy, schłonawszy do munsztuka tytoń, splunął, wstał podsunął się do spadku, a Lejba odruchowo zastąpił mu drogę, obaj zdumieli się na chwilę i spoglądali na siebie z niedowierzaniem i jakby zawodem.

Struny nastrojone tylko co harmonijnie, opornie i z pewnym trudem napinały się, by wydać bolesny dysonans.

Niemowa, ociągając się, machinalnie wy dobył swój kamień.

Lejba niejako z obowiązku, niechętnie podniósł kij i dopiero w zamachu zgrzytnęła w nim mściwie zawziętość. Mierzył w głowę, ale niezgrabnym uderzeniem trafił w rondo melonika i strącił go w wąwóz.

Niemy, którego całą dumą był ten kapelusz, zawył z żalu; złapał oburącz drugi koniec pałki i poczęli się wodzić nad brzegiem urwiska.

Siły ich były jednakowo bezdarmne i słabe. Drąg chodził niemrawo, leniwie, niby tłok w pracującej resztkami pary popsutej maszynie. Słysząc było przyspieszone sapanie niemego i świszczący oddech zapadłej piersi Żyda.

Pierwszy szarpał się gwałtownie, nieprzytomny z wściekłości; rozważniej- szy, choć również dygoczący z rozdrażnienia Lejba w odpowiedniej chwili puścił kij.

Niemowa się zatoczył, zatrzymał się o krzyż i rzucili się na siebie z go- łemi rękami, p^rz^

Poczęły się zmagać śmiertelnie dwa bezsilne niedołęstwa, dwie nędze kalekie.

"^Chwilami zdawało się, że to się pasują po nocy wywleczone z mogił rozkładające się trupy, że się splatają wstrętne kikuty zbutwiałych członków, chrapią i rżęzą dziurawe zaropione płuca, bełkoczą pożarte strzępy języków, chrupie próchno kości, miotają się zgniłe szmaty łachmanów.

W furii potwornej walki rozjuszyły się wszystkie plemienne urazy, poruszył się zatruty osad wieloletnich podjudzań i jak zjadliwe robactwo podniecał nienawiść.

Niemowa starał się wydrzeć pejsy „parszywemu żydowi,” Lejba zdusić zawsze obcego a teraz przeklętego „goja.”

Co moment poślizgiwał się to jeden to drugi i, chwytając się krzyża, odzyskiwał równowagę. Raptem urwała się pod nimi ziemia, zawisli na chwilę obaj, trzymając się zbawczego słupa, gdy nagle wychybotany w bójce krzyż wyważył się i zwałił całym ciężarem.

Koziołkując runęli, oberwały się kamienie, stęknęła ziemia, potoczyły się dwa ciała i nieruchomo legły, bezkształtne i szare, jak głązy.

Krzyż sunął się po zboczu z szorstkim szelestem sypiącego się żwiru, aż się zatrzymał na jakimś występie, pękł w górze z głuchym trzaskiem, i cały wierzchołek z łoskotem zleciał na dno.

Bogatemu w stare zabytki, wciąż podupadającemu miasteczku przybyła nowa osobliwość.

Krzyż nad stromym urwiskiem dziwnie przełamany.

Ustawiony napowrót — bez blachy Chrystusa, króry się gdzieś zapodział, i górnej części wyglądał, jak wielka dwuramienna szubienica.

Patrząc na te rozpięte na pustkowiu czarne złowrogie belki niepodobna było się oprzeć wrażeniu, że jest to wymowny znak groźby lub przestrogi.

I tak po dziś dzień na fatalnej krawędzi zagłady, gdzie ziemia z pod nóg się osuwa, oparcie stóp przepaść chłonie—widnieje samotny ten niegdyś symbol miłości, roztrzaskany na godło obustronnej hańby w kalekim boju tępiącym resztę życia raz już obdartych, upośledzonych przez los nędzarzy.

Mija go obojętnie zaślepiony przechodzień, i tylko wichry jesienne, ciągnąc nad tą bolesną szczeliną ziemi, wygrywają czasem na węglach sterczą

cego drzewa wtrząsającą melodyę, podobną do tragicznego chorału, w którym płonie pożoga, nasiąknięta dymem i kurzawą krwi...

Głos bije, wznosi się i błaga Pana o gniew na występne ręce—nie miecz bez win.

Posępne niebo milczy, a ludzie, odurzeni zgiełkiem targowisk życia, tonów hymnu nie słyszą.

Komu[^]więcjo wiatr śpiewa?...

Któż zgadnie?

fi
Rien ne va plus

mgławicy dni słotnych, po nocy niespokojnej i rozwichrzonej, wychylił się tak cudowny poranek, że najbardziej zaawansowani suchotnicy poczęli wierzyć w powrót do zdrowia, a początkujący—Leski, puściwszy w trąbę przestrogi lekarzy, żwawo i raźnie wszedł aż na szczyt B e r i g o, skąd dysząc lekko począł rozglądać się ciekawie.

Zalew słońca był już wszędzie w powietrzu na wzgórzach i morzu. Sypał się wokoło jego płomienny, rześisty pył. Żarzyły się ogniem czerwonym dachówki zgromadzonych w rozdole willi; oślepiająco błyszczały nagie urwiska Madonny de la Guarda; miliardami iskier wibrowała świerz turkusowej zatoki, na której stojące nieruchomie żaglowe barki czyniły wrażenie ni to rozbitych na tłącym się stepie namiotów, ni to błędnych, zbielejących, złoconych widziadeł.

I cały ten brzeg, dobrze znany, dziś jakby odmieniony nagle ognistym dotknięciem, zjawiał się oczom Leskiego nie jako zewnętrzny realny pejzaż, lecz raczej plastyczne marzenie duszy o czymś słonecznym, błękitnym i pięknym.

Patrząc, zdawało mu się, że snuje sam z siebie ten świetny jasny sen.

Oskrzydłał go zachwyty, a jednocześnie pękał ów tęskny, podniosły smutek, który się zrywa na ogromie morza, buja w szafirowej głębinie nieba i skrapla się pod sercem w nieschlōniętą drobinę wieczystego żalu, że się z tym wszystkim już niepodobna zespolić wiecznie zmieszać i zapomnieć się raz na zawsze.

W tym wizya pierchła spłoszona; ostry gwizd rozdarł błogość uśpienia. Leski drgnął i machinalnie jął ściagać uwagą czający się brzegiem pod skałami

pociąg, który czołgając się szybko niby olbrzymia jaszczurka, to krył się w nory licznych tuneli, to znów się wysuwał w obłoku pary i dymu.

— A gdyby tak się kropnąć do Monaco! — dojrzał naraz dawno knuty zamiar i „lekkomyślny,” jak się w tej chwili nazwał żartobliwie młodzieniec, objąwszy raz jeszcze krótkim, ale pamiętliwym spojrzeniem cały widok, schodził pospiesznie w dół, w kierunku stacyi.

Zaledwie zdążył kupić bilet *andante e ritorno* i wskoczyć do pustego przedziału, trzasnęły drzwiczki, rozległy się okrzyki *pronti!* *partenza!* pociąg pisnął i kazał się kłaniać pozostałym maruderom lub gapiom.

Na peronie, udając wyśmienicie atak nastawioną gitarą, w zsuniętym na tył głowy bolero, młody włosz występował z wielką brawurą marsz *bersa-lyerów*; dalej grupka wędrownych muzykantów, brzęcząc w mandoliny, wyciągała piosnkę o *sole mi o!*; słabe z początku dudnienia kół nie głużyło ani głosów słodkiej melodyi, ani łagodnego klekotu fal morza, które jak gdyby i jej wtórowały, i lekko chygotały wagonem i wprawiały zarazem w dziwne drżenie serce Leskiego, który wzruszony radośnie rzucał oknem soldy i odpowiadał znakami kapelusza na ukłony obdarowanych i ich wesołe *a rivederci grazia signore!*

Gdy znikli, usiadł i cieszył się, że jest sam, więc ma wolny dostęp do widoku na obie strony. Z jednej grała i mrużyła powieki promienna roztocz liguryjskiego morza, z drugiej—sterczały strome skaliste wzgórza, pokratkowane murami na klatki, z poza których wychylały się wachlarzowate czuby palm, kolczaste szpony agawy, ciekła purpura pnących róż i wzbierały mocno zielone potoki bluszczów. Roślinne bujne i kwietne życie zdawało się tu tryskać wprost z rumowisk kamienia. Potym tor odszedł od brzegu, rozwalila się

dolina na obie strony, góry cofnęły się w dal i urosły zarazem; na szczytach zaskrzył się śnieg, po reglach szły szeregami ciemne pinie i podszyte srebrem tłumy podobnych wierzbini oliwek.

Czarna czeluść — i po chwili Leski znalazł się jakby w olbrzymiej oranżeryi. Po lewej ręce na płaskim wybrzeżu słały się ponsowe łąny gwoździków i lewkonii, po prawym pagórkowatym, wśród guzowatych zbronzowiałych pni palm, chwiały się śmigłe łodygi świeżo wystrzelonych aloesów, dźwigały się, jak budowle z wielkich liści złożone, potężne magnolie, tu i owdzie nieruchome cyprysy, niby kaplice milczenia, ostrą swą wieżycą przerastały kępy drzew, krzewów i pnączów wielokroć nieznanych.

Niektóre z nich kwitły właśnie.

Z czerezy zieleni wyróżniały się, jak korowody ślubnych par, białym puchem odziane wiśnie i jabłonie, po rozrosłych mimozach tak, jak lite szaty kobiet dojrzałych spływało jasno-żółte roztopione złoto, a dalej, niby wąż dziewczyny, w różowym muślinie stały orszaki bezlistnych brzoskwiń, czyniące w lotnej płomiennej swej mgłę wrażenia istot wyschniętych od ognia uczuć przedwczesnych. Ogrzane powietrze ziało zapachem, miejscami przezierała przez kraty zieleni różnobarwna mozaika kształtnych domów.

Znów tunel, i zapadło się wszystko w ciemność, jak przelotne widzenie w otchłaniach pamięci.

Pociąg wyskoczył na krawędź riviery.

Zamigotały w oczach drobne zmarszczki roztoczystej powierzchni, wzrok Leskiego poniosło z początku daleko, daleko — a potem bliżej jał zapatrywać się w wielkie, jakby w wyodrębnione z reszty drgającej wody nieruchome tafle, niby przezroczyście płyty marmuru o tle błękitnym, seledynowych plamach

i żyłach słońca. Gdy pociąg stawał słyhać było dyskretny, a ustawiczny głos bijącej fali, która zdawała się szeptać i gaworzyć o jakichś rzeczach dziwnych i odległych — o swoich przedwiecznych sprawach, zawiłych kolejach tajemnych tęsknotach i zadawnionym smutku.

W sennym zamyśleniu o tej ich mowie minął Bordigere, machinalnie przeciągnął oczyma po wzorzystych płachtach, rozwieszonych wzdłuż koryta jakiejś rzeczki i ocknął się zupełnie w Ventimilii, gdzie należało się przesiąść.

W francuskim couppee zyskał towarzyszkę podróży.

Była to młoda kobieta ubrana z pewną kokieteryjną prostotą w piaskowy kostyum podróży" i biały boerski kapelusik, który wdzięcznie odbijał od ciemno kasztanowatych włosów tak obfitych, że prawie obciążających zgrabną jej głowę.

— Wcale niczego i szykowna dziewczyna! — zdecydował Leski, zlustrowawszy ją szybkim ukradkowym spojrzeniem, — ale po pauzie, uderzony nagłą refleksją, że i określanie nie jest trafne i wrażenie pobieżne, począł jej się z boku przyglądać. Istotnie twarz widziana z profilu okazała się niezwykłą.

Było to nadobne, artystycznie rzeźbione młodzieńcze jeszcze, ale odarte z świeżości oblicze białe, gładkie i zwarte jak medalion z marmuru.

Wielkie podłużne rzęsne oczy z szeroką niby stale zalęknioną modrą źrenicą patrzyły martwo przed siebie bez szczypty pogody lub rozmarzenia. W kątach ślicznie wyciętych ust jątrzył się wyraz niesmaku, wzdargy i surowego cierpienia. Całość wywierała silne wrażenie zasępionego piękna.

Gdy wstała by zdjąć paczkę, Leski spostrzegł, że jest słuszniejsza, niż mniemał i wcale nieszczupła, tylko smukła i kształtna jak posąg.

Zdjęła rękawiczki i zamigotały filigranowe niemal przezrocze, jak u schorzałego dziecka, drobne ręce. Były to jakieś zupełnie sprzeczne z jej wystygłym wyglądem ciepłe, nerwowe, niezmiernie ruchliwe dłonie, które się uwijały szybko około torebki, niby śnieżne skrzydełka strwożonego ptaka. Wreszcie uspokoiły się i legły zlekka drżące obok siebie, jak koncha muszli perłowej, rozłupana na dwoje.

Wpatrzony w nie Leski, doznawał dziwnego wzruszenia.

Wydało mu się, że oto właśnie napotkał ucieleśnioną tkliwość kobiecą, intuicję delikatnego dotknięcia, dar subtelnej wrażliwości tkwiący w tych pociągłych palcach. Uczuł, że jeśli gdzie, to w takie tylko dłonie można złożyć bezpiecznie wzdrygające się przed każdą szorstkością, z żywej rany stworzone serce. One jedne mogłyby je ująć nietyko bez urazy, ale i wygoić do głębi. W ich miękim stuleniu, jak w puchowym gnieździe, dałby się ukołysać jego szarpliwy takt w rytmiczne, powolne bicie, ułagodzić na długi upajający sen.

— Moje, dobre... — zadrgały mu w piersiach, subtelne struny kochania i porwały się szelestem westchnienia pieszczotliwe wyrazy.

A one jakby przeczuciem tknięte pierzchły płochliwie z kolan i pochowały się w rękawiczki.

Za chwile wypadła Mentona, pociąg przystanął; nieznajoma, skinąwszy według zwyczaju cudowną głową, zgrabnie zeskoczyła z wagonu, a na jej miejsce zawałił się rozlany niemiec z grubym cygarem, w rozdętych wargach i wkrótce zabił jego odorem fiołkowy zapach, jedyny nikły ślad, że była istotnie.

Leski pochrząkując, klął hakatystę i jednocześnie niechętnym spojrzeniem fiksował ponure, czarno brunatne skały, zwiastujące bliskość Monte-

Carlo. W szarym zmroku, jakby w idącym od nich cieniu, utonął mu nagle dobry humor, zgasła słoneczna pogoda.

Był to jednak stan przejściowy, gdy wysiadł orzeźwił się znacznie, a wyrzucony windą na górę dał się oszołomić odrazu panującym tam zbytkiem, ruchem pełnym blasku, werwy i wesołej swobody.

Z początku, niby chłop na odpuście, gapił się niezgrabnie i dziwował. Przystawał na widok eskimoskich strojów mężczyzn i pań, spowitych w bronzowe wuale, istne grupy czupiradeł pędzących w tumanach kurzu z kwakiem, benzyną i dygotaniem potwornych samochodów. Z nabożeństwem, jak przed cudownym obrazem, usuwał się z daleka z drogi snującym się kobietom, oczarowany przepychem ich lekkich przejrzystych tualet, powabem kształtów, które pozwalał sobie podziwiać ledwie krótkim muśnięciem oka, nie śmiąc znieważać majestatu tak wspaniałego piękna.

Wkrótce jednak począł się orientować wyraźniej; zaleciał go: jakby myszka wina, specyficzny, podniecający zmysły, wyziew tego musującego życia — zlekka zgniły, jak zapach przekwitłego bukietu, — aromat wykwintnej rozpusty. Niby się gorsząc, a jednocześnie upajając atmosferą, prędko nasiąkał mikrobami zepsucia, dostosowując się bezwiednie i stopniowo do ogólnego nastroju.

Poprawiwszy zawadyacko kapelusz, muskając wąsika i nie bez wdzięku wywijając dereniową laską jął krążyć, jak ćma, wokoło płonących na każdym kroku pokus. Intrygowały go szczególnie kobiety. Z całego wzięcia się ruchów i stroju przekonywał się coraz dobitniej, że większość składa się z kokot, ale tak szykownych, urodziwych i nieraz wprost uroczych, że chciało im się powiedzieć: idźcie i grzeszcie jak najwięcej! a jeśli cisnąć kamieniem, to drogocennym i oprawnym w złoto.

Leskiego na takie było niestać, co rozumiał i czego z łatwością domyślały się one.

To też uśmiechy i wymowne spojrzenia, jakie wysyłał i odbierał nawzajem, miały szczególny sympatyczny powab, jakby bezinteresownej zabawy, swobodnych ćwiczeń na świeżym powietrzu, niewinnej walki, w której się strzela ślepymi ładunkami, i to nadawało całej grze pewien pociągający czar, podobny do tchnienia lekkiej, swawolnej, ale melodyjnej muzyki.

Leski jak gdyby podśpiewywał figlarnymi oczyma: łaskocze mnie szelest twoich wdzięcznie uniesionych spódniczek; w rytm twych drobnych nóżek kołysze się krew we mnie, ślicznie ci w tym kapeluszu... przez koronki biustu widać nie więcej niż potrzeba, ale tego dość, by oszaleć.

One odpowiadały uśmiechem: mile graces, jesteś wcale do rzeczy, młody i zgrabny chłopaku, szkoda tylko, żeś goły — a teraz nasze żniwa, żniwa, więc pardon, cóż robić — trzeba dybać na szkatuły poważnych staruszków.

I Leski, niejako przyznając im słuszość, nie obrażał się i z dobrą miną szedł dalej.

Raptem stanął, w perspektywie alei ujrzał oddalającą się postać. Sposób uniesienia po ażurową pończoszkę oślepiająco białej sukni, zalotne rzutne stąpanie wysokich pantofelków, jaskrawy z wywiniętym rondem kapelusz i płynące w powietrzu boa z piór sygnalizowały zdaleka, co za acz jest niewiasta. Piękna linja jej ciała, kształt kibici i ciężki węzeł kasztanowatych włosów, złojących się w słońcu, wydał się Leskiemu nie tylko czymś znajomym, ale i blizkim.

Zniknęła na skrócie, i wówczas dopiero mignęło krótkie, gwałtowne jak błyskawica, przypomnienie znajomej z wagonu.

Domysł ten nieprawdopodobny, a jednak przesywający, Leski wyrwał z siebie natyęmiast, jak zatrutą strzałę, i całym zamachem precz odrzucił; ale ten wysiłek wyczerpał w mgnieniu oka cały zasób werwy i radości życia, skuliło się w nim wszystko, przycupnął na ławce i zastygł. Po chwili zupełnego zapomnienia się, nagły wstręt do siebie i zjadliwa wzgarda lunęła nań z góry, jak wiadro pomyj. Wzdrygnął się z obrzydzenia. Wszystko naraz przybrało w jego oczach barwę szat zgniłych i strupieszenia; nawet plamy słońca, padające na żwir przez liście, wydały się światłem zbutwiałym, jak rozdarte próchno. Napotkawszy mętne oczyma figurę szatana, wdzięczącą się wysokości pstrokatemu gmachu, uczuł moment zabobonnej trwogi, który wnet wyszydził gburowato.

— Nic demonicznego w tym niema! — splunął przez zęby—zwykle łajdaczenie się bogatego próżniactwa! Chodź, bydlaku — rzekł prawie głośno do siebie — zajrzyj i ty do koryta!

Wstał i powlókł się do kasyna, podzegając po drodze z dziką satysfakcją zamiar wygrania pokaźnej sumy, by się unurzać po uszy w tym błocie. Czynił to na przekór jakiemuś wyczuwanemu w sobie pączkowi sentymentu, w który jak w tutkę nierozwitego liścia, zlewały się niedostrzegalne rosy smutku w dużą kroplę łzy.

Gdy się jednak znalazł w tak zwanej jaskini, cały animusz i rozjątrzona zawziętość rozbicia banku, jak lotny dym, rozeszły się bez śladu w tej przestronnej sali, która o tej porze dnia sprawiała wrażenie chłodu i opuszczenia.

Wielkie okienne witryny były zasłonięte sztorami, a tu i owdzie przyćmione czerwonymi obrazami lampy, nie były w stanie pokonać rozpostartego w niej zmierzchu. W mdłym okręgu każdego z tych rozwieszonych świateł,

majaczyła skupiona gromadka ludzi prawie nieruchomych i milczących. W natężonej ciszy tułały się, jak nikłe echa, garłowe wzywanie krupierów i trwał nieprzerwalny martwy brzęk przesuwanych pieniędzy.

Leski z zeszywniałym w czole pytaniem: po co ja tu wlażłem?... długo się błakał między stołami, aż wreszcie, znalazłszy dogodniejszą lukę w potrójnym szeregu graczy, ustrzegł w niej, by się przyjrzyć, jak się to odbywa.

Stół był podwójny, pokratkowany z obu stron w odpowiedni sposób, pośrodku kręciła się powoli, wielkości talerza, ruleta, na której obwód, zręcznym ruchem dwu palców, senny krupier puszczał w przeciwną stronę szybko toczącą się białą kulkę.

Faités votre je u, messieurs! — zachęcał kilkakrotnie, Rien ne va plus! — wołał po chwili; stół w momencie zaściełał się srebrną i złotą monetą—potym ktoś wygłaszał jakieś słowa — grabki zgarniały stos pieniędzy, wałący się z ciężkim brzękiem w kasetkę. Tu i owdzie migające ręce rozdrapywały w lot wypłacone stawki, i po krótkiej przerwie cała procedura powtarzała się na nowo.

Spokojnie, miarowo i monotonna szła osławiona gra: w twarzach uczestników nie dostrzegało się również nic szczególnego. Były to przeważnie znużone napięciem uwagi maski, śledzące wlepionymi gałkami oczu rączy bieg kuli. Na niektórych tylko twarzach, w górnej części policzka spalała się centka wypieku, gdzie niegdzie w zaszklonych tęczówkach, tlił się drobnymi wybuchami, chciwy i drapieżny płomycek, jak żar pod skorupą popiołu. Początek każdego nowego touru, wprawiał w pośpieszny ruch dziesiątki białych dłoni, które fruwały nad stołem, jakby samodzielne członki, oderwane od sterczących kadłubów. W tylnych szeregach zwracały uwagę śmiesznie wyciągnięte

z kołnierzyków grdyki, ruchem usiinego zazierania. Wielu coś notowało na małych kartkach.

Całość widoku była do tego stopnia jednostajna, nużąca i jakaś usystematyzowana, że Leskiemu przypominała się, widziana niegdyś, hala fabryczna z warsztatami pilnej, dokładnej, mechanicznej pracy.

Znudzony, od niechcienia wydobył przeznaczone 40 franków i, w myśl rady otrzymanej w hotelu, stawiał po 10 na manque i pierwszy tuzin. Pierwszą wygranę przyjął z podziwem, druga go podnieciła, przy trzeciej, jakby chwycony niewidzialnym trybem, szarpnął się naprzód i przywarł mocno do stołu. Kilka kolejek opuścił oszołomiony mnóstwem kombinacji, które trysnęły i zakołowały mu w mózgu. Pierwsza go zawiodła. Bezsensowna refleksja, że gdyby postawił wręcz przeciwnie, na n o i r e, i zdublował w dodatku, wygrałby niechybnie, nappełniła go niezwykłą otuchą. Wydobył nowego ludwika i odegrał się. Rzeczywiście miał wenę, gdyż stawiał z godzinę bez straty.

Obliczywszy rezultat, ochłonął znacznie i wreszcie zrozumiał, że operując tak małą sumką, przy grze ostrożnej, obłowić się niepodobna. Chcąc wyzyskać szanse, postanowił ryzykować. Jakoż wygrał na szóstkę, przegrał na numer, wygrał na quatre miał już 600 fran., które z kolei stopniały do pierwotnych czterdziestu.

Zły, spocony, z obolałymi od stania nogami, w chwili ostatecznego zniechęcenia, gniewnie rzucił oba ludwiki na chybił trafił. Potoczyły się daleko, na przeciwległy kraniec, w dwie sąsiednie kratki, jedno na Ns 7, drugie na czerwoną ryskę dzielącą numery.

Co wypadło? — nie dosłyszał, zauważył tylko, że zaborcze grabki omijają jego monety, co go zaczęło przyprawiać o zatajanie się tchu w piersiach

płochliwe gorące muskania po całym ciele. — Jeżeli — z górą tysiąc franków, szumiało mu w uszach... Tak, 1 08 0... Uporał się wreszcie z tabliczką mnożenia i realny rezultat, pękaty krągły słupek z 54 ludwików, wyjechał w jego oczach i zatrzymał się na szczęśliwej kratce.

Leski wyciągnął się jak długi, by sięgnąć. Gdy nagle znajoma, drobna, filigranowa, drgająca dłoń, nakryła pieniądze; rozsypały się krążki; pośpieszyła jej na pomoc druga, bliźniaczo do pierwszej podobna, równie tkliwa i śliczna, i w czułym ich stuleniu znikła garstka złota.

Leski skamieniał, serce w nim stanęło, myśli zeszywniały, krew stężała, stwardniały na lód ręce i nogi.

Dozorujący porządku krupjer, obrzucił ich oboje podejrzliwym spojrzeniem.

Ale Leski tego nie widział; znikło mu wszystko z oczu, oprócz jej strojnej postaci i cudownego oblicza, skroś które, jak wichrem gnane obłoki, przedzierały się zmienne wzruszenia: zalęknienie, prośba, uśmiech żalony, bezczelny poryw zuchwalstwa, złośliwe migotania w źrenicach i nagła, jak piorun, ślizgająca się szybko w dół, od czoła ku cierpko ściągniętym ustom, tragiczna zmarszczka boleści, wążka, jak ostrze cierpienia.

Odwróciła się i świetna, wspaniała, wmieszała się w tłum; na jej miejscu wyrósł tużurek i gra poszła dalej zwyczajnym trybem.

Rien ne va plus! — posłyszał Leski. Rien ne va plus! — dźwięczało, gdy mijał stoły. Rien ne va plus! — ugodziło go przy wyjściu, wżarło się do mózgu, i, jak mechaniczny świder, borowało skronie.

Gdzieś przysiadł; słabo pękały mu w piersiach wystrzały z poblizkiego „tire aux pigeons.” Krążyła z gwarem rozbawiona publiczność; pomykały sa

mochody, dreptały kobiety, rozgłośnie rżnęła, buchającą w jasne powietrze dęta muzyka.

On siedział w umarłej ciemnej czeluści, zupełnie samotny, jakąś władzą z tego wszystkiego wyodrębniony, niby deskami ze wszystkich stron obity.

Raptem drobny szelest, cichy, coraz bliżej i trwoźniej szumiący, przeraził go do głębi; zerwał się, i z chłodnymi ciarkami w ciele stanął bez oddechu.

O dwa kroki zatrzymała się ona...

Panie, zaczęła po francusku, ja wiem, „q u e je suis cochon, mais que faire...” I dowiedział się, że przybyła z Paryża, że nie rozumie dla czego, ale straciła powodzenie w tym sezonie; męczą ją za długi w hotelu, a nikt się poważny nie trafia... O, notre metier et souventtrfes dur, monsieur—wymówiła do mnie i z trudem, jakby przymierzając myślami ciężar minionych kolei.

Leski milczał.

— Vous me comprenez? vous parlez français — dopytywała się po pauzie.

— Tak!

.— Voyons — i nagle zalotny uśmiech rozwidnił mi lazur, jej zasnute, mrokiem źrenice; tu le voudras bien — zaczęła filuternie, przechodząc na ty -7- możemy, na mój koszt naturalnie, spędzić rozkosznie wieczór i słodko noc.—Je sais bien aimer, et tu me plais mon petit—mio caro! z dziecinnym przymileniem i ujmująco powtórzyła po włosku.

Leskiemu coś boleśnie rozciągnęło się w sercu, popękało na drzazgi i zakurzyło się oparem krwawej wątłej mgły. Osłabł tak, że nie mógł wy- dźwignąć żadnego wyrazu.

Nalegany —Rien ne va plus! — wyrzucił bełtające się w pustej czaszce słowa i zwiesił bezwładnie głowę.

Długa, sycząca w uszach minuta milczenia... Głębokie westchnienie — i raz jeszcze, mocno zmienionym głosem, wyszeptane ponownie przyznanie; je sais, que je suis coc ho n, mais que faire, on doit vivre, m o n s i e u r!

Potym ostry skrzyp żwiru w gwałtownym zawrocie i powolne furczenie, jedwabny przeciągły szelest, oddalający się posuwicie w szeroki świat na zawsze, jak tęskny, smutny szmer odtrąconej fali, która gdzieś w niewiadomy bezmiar spodem morza odchodzi, by zginąć w otchłani na wieki.

Humoreska

an Mateusz, osiedliwszy się w Warszawie na stałe, w poczuciu obowiązków obywatelskich nietyko zapisał się na członka Towarzystwa Dobroczynności i Zachęty Sztuk Pięknych, ale postanowił jeszcze popierać piśmiennictwo krajowe i przez biuro Ungra zaprenumerował wszystkie pisma miejscowe; przedpłatę wniósł za cały rok z góry, przyczem, nie mając jeszcze urzędzonego mieszkania, prosił, by wszelkie dodatki odesłano mu w końcu roku. Jak się okazało, postąpił sobie bardzo przezornie, kiedy bowiem nadeszła pierwsza porcja dzienników, zjawiała się potrzeba sprawienia specjalnego stołu z olbrzymim blatem, który z przerażającą szybkością począł się zapełniać stosami drukowanej bibuły.

Pan Mateusz, który pragnął z początku utrzymać jaki taki porządek w układaniu pism, przekonał się wkrótce, że jest to praca nad siły i po kilku tygodniach na stole zapanował kompletny chaos: numery Roli pomieszały się z Niwą i Izraelitą, Goniec poplątał się z Kury erem, a płachty Sło- wa przykrywały zeszyty Tygodników postępowych.

Wraz z tym nieładem, w sercu pana Mateusza jak gdyby przygaśł szlachetny pietyzm dla słowa drukowanego: począł bowiem dopuszczać się karygodnych wykroczeń, owijając np. paczki w najświetniejsze ilustracje Ziarna, lub miętosząc najbardziej pomysłowe ankiety Gazety, w celach użytkowych.

Co gorsza, nie uczuwał z tego powodu żadnych zgryzot sumienia, nie tracił na humorze, a nawet w ostatnich czasach zyskał na fantazyi i jakby odmłodził. Przyczyniła się do tego następująca okoliczność:

Pan Mateusz, bywając tu i owdzie, zauważył, że wiele mam, a także córek, traktuje go nie jako starego kawalera, za którego, Słusznie zresztą, miał

się oddawna, lecz jako poważnego epuzera, mogącego zapewnić swej wybranej nietylko dostatek, opiekę, lecz i miłość, może niezbyt porywczą, ale stateczną. Pewna zaś średniowieczna wdówka, zbudowana tęgo i odpowiedzialnie, zabrała się do niego w sposób tak niedwuznaczny i energiczny, że właśnie parę dni temu, spożywając z nią wilię, przy winie, pod wpływem spojrzeń ognistych, pan Mateusz poczuł niewątpliwy, wyraźnie matrymonialny nastrój, którego nie doświadczał od lat kilku.

To go zastanowiło nie na żarty. Święta całe spędził w rozmyślaniach i z biciem serca wyglądał Nowego Roku, który mieli powitać razem, by się przekonać, czy nastrój się powtórzy, i zdecydować się na krok stanowczy.

Na Sylwestra, wstał jak zwykle o 8-mej rano; wytarł się zimną wodą i w trakcie wkładania świeżej bielizny, badał w lustrze swe kształty uważnie. Egzamin wypadł bardzo pomyślnie. Jędrności ciała, czerstwej cery mógł mu pozazdrościć niejeden młodzieniec; starannie ułożone wąsy przedstawiały się okazale i nadawały twarzy dziarską minę; niewielka łysinka na ciemieniu dała się zamaskować uczesaniem; jedna bródka kompromitowała nieco siwizną.

I pan Mateusz zastanawiał się właśnie, czy ją zgolić, gdy przerwał mu medytację wark dzwonka.

Narzuciwszy szlafrok, zdziwiony wczesną wizytą, spytał:

— Kto tam?

— Z Tygodnika i Ilustrowanego dodatki!

— Aha! — przypomniał sobie pan Mateusz: — dziś odbiorę wszystko! — i podnosząc zatrzask, uczył się cokolwiek podnieconym.

— Dwanaście tomów Sienkiewicza i tuzin naukowych — mówił rozno- siciel, ukazując dwie paczki ładnie oprawnych książeczek.

— Wcale tego... wcale tego! —oglądając gustowne okładki, mruzczał zar dowolony pan Mateusz — podziękuj, przyjacielu... Czekaj, masz tu na piwo, serce...

— A to co! — zawołał, widząc, że roznosiciel odmyka drugą połowę drzwi.

— A no otwieram, bo tam się w bramie ładuje Gazeta Polska...

Jakoż wkrótce rozwarły się naroścież podwoje, i dwóch rosłych drabów, zasapanych i czerwonych, wniosło tragi, na których piętrzyły się stosy „Histo- ryi sztuki,” warstwy „Ziemi zamieszkaney przez Polaków,” ozdobne teczki do tymczasowego przechowywania zeszytów, okładki do tomów i cała Biblioteka dzieł wyborowych.

— Uf — stęknęli posłańcy, stawiając mocno tragi — gdzie to mamy zwalić?— pytali, ocierając oburącz pot z czoła.

Pan Mateusz zakręcił się po saloniku, nieco zakłopotany szczodrobliwością redakcyi.

— Choćby tu, pod ścianą!

— Dalej go! — i posłańcy wysypali ładunek, który utworzył pagórek, sięgający do parapetu okna.

— Zaczekajcie! — cofnął się pan Mateusz do gabinetu po drobną monetę.

Zanim wrócił, Goniec, wszystkie K u r y e ry i kilka pomniejszych tygodników zdążyło złożyć swoje dary, tak, że szczupły salon został po obu stronach zapchany dodatkami prawie do sufitu, a przez pozostawiony środkiem korytarz, przeciskało się czterech ludzi, dźwigając wielki, płaski, prostokątny przedmiot, owinięty w prześcieradło. Przed nimi uwijał się w tużurku fertyczny

młodzieniec, torując drogę i przestrzegając: „Ostrożnie! powoli! o tu!... nie włazi, to na ukos!”

— Jestem z Wędrowca—przedstawił się, ujrawszy pana Mateusza:—'Z wesołą nowiną! Los panu dopisał co się zowie! Największy z naszych obrazów przypadł panu w udziale... Odsłonić!

Spadło prześcieradło.

Pan Mateusz, zrozumiawszy o co chodzi, uszczęśliwiony począł ciekawie przypatrywać się malowidłu. Zachodził to z jednej, to z drugiej strony, zwijał dłoń w rurkę i stale widział zalawowaną na czarno płaszczyznę.

— Co to jest? — zapytał wreszcie.

— Jest to szyb opuszczonej na zawsze kopalni — informował żywo członek redakcyi: — pomysł istotnie oryginalny... Wrzało tu niegdyś życie, ruch. Uwijali się z lampami górniczy. Pomykały szale tam i napowrót, wyrzucając na powierzchnię olbrzymie masy czarnych dyamentów, wydartych z łona ziemi!... A teraz co? Głucha cisza, jednostajna zwarta ciemność, wielkie „nic,” buchające ponurym głosem z posępnego płótna. Nastrój wprost tragiczny. Temat, wobec drożyzny węgla, ściśle aktualny, a pomimo to głęboki co najmniej trzysta metrów w dół... Trzysta metrów — entuzjazmował się, widząc pewien zawód na twarzy pana Mateusza. — W głąb trzysta! pięć szerokości, trzy wysokości, razem cztery tysiące pięćset metrów sześciennych — dodał z przyciskiem— zupełnie gratis! Sądzę więc, że zyskaliśmy w panu na wieki wiernego przedpłaci... to jest przyjaciela naszego pisma.

— Ależ dziękuję serdecznie — ściskając za rękę młodzieńca, mówił oszołomiony, porwany wymową, wzruszony pan Mateusz.

— Spełniliśmy tylko nasz święty obowiązek — odparł z godnością reporter i wyszedł.

— My, zapewne, — ścigając go zawistnym spojrzeniem — nie możemy jako pismo poważne, zdobywać się na tak obszerne prezenty — ironizował suchy jegomość, który stał od kilku minut na progu. — Szanowny pan, czytając pilnie naszego Lekarza Domowego, musiał zwrócić uwagę na szereg artykułów o największych wrogach człowieka, bakterjach. Otóż teraz, jako premium doroczne, dzięki zabiegom naszej redakcji, jesteśmy w możności ofiarować abonentom czyste kultury niektórych zarazków.

Jegomość otworzył wielką szkatułkę, w której rzędami stały flakoniki i probówki, pozatykane szczelnie watą.

— Oto jest — wskazał pierwszy szereg — trąd skandynawski, oryginalny, eksportowany specjalnie na nasz użytek. Następny: cholera azjatycka, febra żółta... No, dalej, to tyfus plamisty, czarna ospa, tu zaś — machnął niedbale ręką — zwykły dyfteryt, paciorkowce szkarlatyny, różnego rodzaju wysypki, komplet chorób kawalerskich, wogóle rzeczy bardziej znane, banalne, powszednie... Zarazy morowej, niestety, nie zdołaliśmy otrzymać na czas, ale w przyszłym roku będziemy ją mieli niezawodnie. Szanowny pan, jako wnoszący należność za cały rok z góry, ma prawo wyboru dwóch flakoników choroby pierwszorzędnej, lub trzech minorum gentium. Służę panu!

Pan Mateusz odskoczył.

— Ależ nie... — począł bełkotać blady, jak kreda.

— Bardzo proszę, proszę bardzo, bez ceremonii, wszak to się panu słusznie należy. Radziłbym febrę żółtą, artykuły egzotyczne są teraz w modzie.

— Nie chcę! — zdławionym głosem wyrzucił pan Mateusz.

— A więc pan woli choroby krajowe, swojskie!... bardzo znacznie, popierać swoje to rozumiem, to po obywatelsku, a więc proszę: liszaik cielęcy, tyfus brzuszny i suchoty, wszystko w najlepszym gatunku, gwarantuję!

I delegat Lekarza Domowego, złożony 3 tutki na biurku, skłonił się poważnie i znikł ze swoją skrzynką.

Pan Mateusz zeszywniałem i nogami cofnął się do sypialni i przerażone- mi oczyma fiksował złowieszcze flakony.

Tymczasem z Przyjaciela Zwierząt przysłano mu parszywego kundysa Katona, który, obwąchując wszystkie kąty, złożył w końcu dowody swego zaufania na zasłaniającym kominek ekranie ręcznej roboty, poczem jął łasić się do pana Mateusza a kopnięty, wsunął się pod kozetkę, warcząc gniewnie. Raptem wyskoczył, ujadając gwałtownie.

— A pódziesz! o Jezu! — rozległ się krzyk, potem przeraźliwe kwiczenie, łoskot, i pies skowycząc z podkulonym ogonem wrócił na dawne miejsce.

Za nim, prowadząc uwiązane za nogę prosiaka, ukazała się w stroju ludowym przysadzista wieśniaczka z koszem pod pachą.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! ledwo mi kiecki nie rozdarł psia jucha.

— Na wieki wieków! — machinalnie odparł pan Mateusz. — A czego to chcecie, matko? — spytał, ocknąwszy się.

— A dyć z Dobrej Gospodyni jezdem, przykazali mi tu odstawić tego chudźca, ale aby mu tak pan pomyje, a jeszcze obierzyny, będzie na Wielkanoc jak się patrzy. A tu kokoszka nieśna, cudactwo, pewnikiem od Mniemców. Gadali co mendel na dzień zniesie, myślałam, bajdy! Idę, a tu

ona gdace; pomacałam—jest; nie minęło pacierza! rety! znowu gdace, i tak cztery jajka bez drogę... o tu.

Gospośia wyjęła jajka z fartucha i położyła je na konsoli, przyczem jedno pękło, sącząc białko, które Katon począł zlizywać łapczywie. Wypuszczona czubata kura wskoczyła na cylinder i jęła się w nim mościć, bijąc skrzydłami.

— O Matko Przenajświętsza, jeszcze siedzieć chce! w zimie!..., a to bestyja zawzięta!... — dziwowała się kobieta, kiwając głową.

Pan Mateusz, patrząc na hożą twarz chłopki, która mu przypomniła rozkosze wiejskiego zacisza, rozrzewnił się i w przystępie rozczulenia, ujawszy ją dawnym zwyczajem pod brodę, chciał zaproponować, by sobie zabrała całą chudobę, gdy ostry, sarkastyczny głos: „Przepraszam... zdaje się, nie w porę... przeszkodziłem cokolwiek” — zwrócił jego uwagę w inną stronę.

We drzwiach sterczała wysoka, deskowata dama w binoklach i olbrzymiej pelerynie, z pod której wyglądało kilkanaście drobnych nóżek.

— Z Nowego Pedagoga przychodzę — zasyczała z przekąsem.

I, odwinąwszy pelerynę, wskazując pana Mateusza stadku wystraszonych dziewczynek, mówiła uroczyście:

— Przypatrzcie się: oto jest właśnie mężczyzna, stary kawaler, przyłapany na gorącym uczynku.

Potem; ukrywszy w fałdach szat wszystkie dzieci, prócz jednej czteroletniej, recytowała szybko i kategorycznie:

— Pismo nasze doszło do wniosku, że nietyko teoretycznie, lecz i praktycznie powinniśmy wdrażać czytelnikom zasady wychowania. Panu przypadła w udziale opieka nad tą sierotą!... Współczuję jej głęboko... Ale stało

się. Sądzę, że będzie to dla pana rodzajem ekspiacyi za szereg lat spędzonych w rozpuście.
Ukłoń się, Jadziu!

Jadzia dygnęła.

W tej chwili kura zagdakała poważnie.

- Co to jest za zwierz? — rozpoczęła egzamin dama.
- To kura — odpowiedziało, jak pozytywka, dziecko.
- Co kura robi?
- Kura gdacze?
- Dlaczego kura gdacze?
- Kura gdacze dlatego, że znosi jajko.
- A co ona zrobi z tem jajkiem?
- Ona robi to, że siądzie.
- Co się weźmie z tego jajka?
- Z tego jajka weźmie się kurczę.
- A ty skądęś się wzięła?
- Wzięłam się z jajka.

— Dobrze! Rozumie pan — zwróciła się do pana Mateusza, że w tym wieku możemy tylko zaznajamiać dzieci z tą zasadniczą kwestyą wychowania w sposób ogólnikowy i niezbyt dokładny, za rok jednak powinna być wtajemniczona we wszystko. Tak, mój panie — ciągnęła tonem proroczym, podnosząc w górę śpiczasty palec:—skończyły się piękne dni Aranjezu, błogie dni bociana, na którego było tak wygodnie podtatusiałym lowelasom składać wszystkie winy. Żegnam — i oddaliła się, mierząc pana Mateusza wzrokiem pełnym pogardy.

Katon warknął. Jadzia wtoczyła się w kącik i, wykręcając paluszki, złożyła buzię w podkówkę.

Pan Mateusz, który miał maślane serce, ochłonawszy z depresji, w jaką go wtrąciły krzywdzące podejrzenia, chciał zbliżyć się, by uspokoić dziecko, ale mu weszło w drogę dwóch eleganckich, gładkich i miłych w obejściu blondynów.

— Pardon — mówił wyższy, kłaniając się z galanterią: — Przegląd Felczerski pomimo poparcia, jakie znalazł w sferach najbardziej miarodajnych, nie jest jeszcze w możności zdobyć się na zbyt wysokie premium, chociaż do tego dąży... Na razie jednak ofiarowujemy usługi osobiste: strzyżemy, golimy, stawiamy bańki, pijawki, enemki, co pan każe h discretion i gratis. Sądzę, że bródka...

— Ha brodę i owszem — zgodził się pan Mateusz, rad, że przynajmniej tym razem skorzysta.

W mgnieniu oka twarz jego była pociągnięta mydłem i brzytwa z błyskawiczną szybkością zamigotała koło policzków. Niższy, tymczasem wydobywszy maszynkę, osmyczył mu w lot czaszkę przy samej skórze, zostawiając jedynie pęczek włosów dla zamaskowania łysiny.

Zanim skropiony kolońską wodą z wypomadowanymi na szpic wąsami pan Mateusz, płaczu blizki, zdążył się opamiętać, blondynów już nie było, natomiast stał przed nim mocny brunet o wyglądzie ponurym i pełnym grozy.

— Proszę zaśpiewać: aaa!... — zakomenderował energicznie.

— Aaa! — mimowoli usłuchał pan Mateusz, otwierając szeroko usta.

W obu rękach przybysza błysnęły kleszcze: traf, traf!... — i w każdej zostało po zębie.

— Ma się jeszcze prawo do trzech plomb mastykowych, lub jednej złotej za okazaniem kwitu w redakcyi Dentysty między piątą a siódmą codzień, prócz niedziel i świąt — oświadczył brunet i wyszedł majestatycznie.

Pan Mateusz, brocząc krwią, skoczył wściekły do drzwi sypialni, zamknął je na klucz i rzucił się na łóżko, dygocząc z rozdrażnienia.

Z redakcyi: Głosu, Echa, Bluszczu, Misyi katolickich, Łowca, Mód, Wiek u... dobijano się ustawicznie.

— Zostawić! — krzyczał pan Mateusz.

Trzeszczała podłoga od sypiących się zwalów książek, map, teczek, albumów, słowników, jedynych prawdziwych wizerunków Chrystusa i wszystkich Świętych.

Wkrótce zaskrzypiał ofiarowany przez Melomana gramofon na nutę: „Zbudzić się z ułudnych snów...” Delegat Muchy pękl z łoskotem ze śmiechu. Współpracownik Świętecznego odczytał poważny traktat o kroju spodni; a automatyczny pistolet, nastawiony przez tygodnik Sport, strzelał co pięć minut, tłukąc za każdym razem zwierciadło. Potem zakolała nerwowo kilkanaście rąk i rączek, pracujących w Dekadencie.

— Zostawić! — huczał pan Mateusz.

— Jeszcze czego, a to dopiero! — nie możemy!... przyszliśmy bowiem gremialnie tylko pokazać nagą duszę.

Pan Mateusz zasapał pod wpływem tej impertynenckiej propozycyi.

Tymczasem przy drzwiach naradzano się.

— Niech się „mydlarz” sam pofatyguje do redakcyi, bo my powtórnie trudzić się nie myślimy — zadrwił jakiś głos.

Panu Mateuszowi krew nabiegła do głowy, zerwał się, chcąc pomścić obelgę, i nagle zamarł.

We drzwi poczęły stukać jakieś drżące i tajemnicze palce.

— „Ze świata duchów...” — zaszemrał przejmujący, idący jakby z otchłani szelest.

Panu Mateuszowi, który był zabobonny, kosmyk włosów sztorcem stanął na głowie. Wydało mu się, że lada chwila ukaże mu się przeraźliwe widmo, kościotrup, a może śmierć z kosą.

Rzucił się oszalały do okna, wybił szybę i począł wołać ratunku!

Katon ujądał, kura, jako że minęło kilka pacierzy, znowu zagdakała, Jadzia kwiliła żałośnie, prosiak chrząkał.

Tłum zebrał się pod oknem. Zagrała trąbka Pogotowia, rozległy się alarmowe gwizdawki policyi.

Po chwili w wyważonych drzwiach zjawilo się kilku policyantów.

Na widok ich pan Mateusz posiniał z oburzenia. Jako abonent Gazety Policyjnej, był pewny, że jest to także premium, które w sposób brutalny wdziera się do jego sypialni.

— Precz! — zawołał nieprzytomny z pasyi, chwycił jedną ręką Katona za ogon, drugą prosiaka za ucho i począł tym kwiczącym i wyjąłym orężem okładać stróżów porządku.

Obezwładniony, poturbowany i rozbrojony, znalazł się bardzo szybko w cyrkule, oskarżony o zakłócenie spokoju publicznego i czynny opór władzy.

Przy spisywaniu protokołu pan Mateusz, nie zdając sobie zupełnie sprawy z właściwej sytuacji, w przekonaniu, że go mają obdarzać w dalszym ciągu, zaklinał się i przysięgał, że nic nadal prenumerować nie będzie, z rze

wnym płaczem wypraszał się od wszelkich dodatków bezpłatnych, zachowując się słowem tak niepoczytalnie, że komisarz, mruknąwszy: „Waryat,” kazał go zamknąć tymczasem w „chłodnej,” a nazajutrz odesłać pod obserwację do Tworek.

Na pierwszej konsultacji pan Mateusz odpowiadał na pytania lekarza dość trafnie; dopiero spostrzegłszy na biurku jakiś dziennik, zaczął się wyraźnie niepokoić, a gdy mu wpadły w oczy łokciowe czerwone litery prospektu: „Wielkie Premium Bezpłatne” — z pianą na ustach porwał fatalny dokument i pożarł go w mgnieniu oka.

Wsadzono go w kaftan i zamknięto w oddzielnej celi, gdzie przez trzy dni podlegał atakom furii.

Pó strawieniu prospektu ostry okres minął, jak ręką ujął, i obłąd pana Mateusza przybrał formę łagodnej manii.

Wydawało mu się mianowicie, że jest redaktorem i wydawcą w jednej osobie dwóch konkurencyjnych czasopism: „Dnia” i „Nocy,” rozwijających swe poglądy na szpaltach przestrzeni.

Wszystkie zjawiska, odbywające się w czasie, rzeczy, znajdujące się w przestrzeni, przedstawiały mu się w postaci „wiadomości bieżących,” „ogłoszeń,” lub „dodatków bezpłatnych.”

Siebie z początku uważał za jedyne prenumeratora i czytelnika tej olbrzymiej gazety. Potem, w miarę komplikowania się choroby, uroiło mu się, iż jest lichy oprawnym tomem Biblioteki dzieł wyborowych, którego nikt czytać nie chce. To go upakarzało i martwiło w wysokim stopniu. Schudł, zmizerniał i żółkł na pergamin.

Wreszcie 29 marca nad ranem oddał Wielkiemu Wydawcy swego ducha. Na prima Aprilis, w dzień dżdżysty, zamglony i posepny, zajechał antykwaryusz hurtownik i złożoną w skrzyni makulaturę, jego ciała wywiózł na Bródno.

Redakcja niebieska przyjęła go prawdopodobnie przychylnie, bo cierpiał. Ziemskie za to odpłaciły mu się czarną niewdzięcznością: o zgonie jego nie było żadnej wzmianki ani w tekście, ani w dziale wiadomości płatnych. I tak nieodżałowanej i świętej pamięci prenumerator, który za cały rok z góry płacił, pozbawiony wszelkiej reklamy, niby wybitna sztuka niezależnego autora — zrobił ostateczną klapę — a mogła jego, szybciej, niż sława kuryerkowa, uległa zapomnieniu.

ŁADANÍ LITERACKICH

V

I

BIBLIOTEKA

30-330 Warszawa, ul. Nowy iwial Tel. 2S-68-63

IN

Miasteczko Kozłowo, w którym Czarliński został internowany, leżało na uboczu w odległości 60 wiorst wązkich a długich od stacyi kolejowej i około 3 mil od poczty, że zaś grunt był gliniasty, podczas roztopów wiosennych i szarug jesieni ruch kołowy stawał się niemal niemożliwy, i Kozłowo zamieniało się jakby w bagnistą wyspę, odciętą grzązką topielą od reszty tego typu siedlisk, rzadko rozsianych na sennej równinie.

Ludność miasteczka stanowiła garstka osobników różnych wyznań, tonących niemal bez śladu w mrowiu żydostwa.

Z czego to mrowie żyło — było to dla Czarlińskiego nierozwiązaną zagadką i chwilami stawał się skłonny do przypuszczeń, że drogą stopniowego przystosowania się osiągnęli zdolność przyswajania sobie na podobieństwo roślin pokarmu wprost z powietrza, słońca i błota rynku.

Nad bezpiecznem bytowaniem tych mieszkańców czuwało stale dwóch pijanych kolejno, a często pospołu strażników. Z instytucyi najważniej-

1"

szą państwową stanowił monopol, religijną — zapadła w ziemię, okryła pleśnią wieków bóżnica, a użyteczności publicznej — zakład Chaima Szwarzwasera, z trzema mosiężnymi talerzykami oraz szyldem: »strizka, britje, cyrulnie i wsio czto trebujetsia« — to ostatnie miało znaczyć bańki, pijawki, rwanie zębów, puszczenie krwi, wogóle cała medycyna, którą w braku lekarza Chaim z powodzeniem uprawiał.

Z tego względu cieszył się dużą powagą w miasteczku; zresztą istotnie był to człowiek obrotowy, bywały i o tyle postępowy, że nosił się krótko, prenumerował rosyjską »Niwę«, a w razach nagłych zasłabnąć za podwójną taksą nic wahał się naruszać święta sabatu.

Z nim to Czarliński z powodu swej bujnej czupryny wszedł w stały i niemal zażyły stosunek.

Chaim cenił swego klienta, jako człowieka, z którym jest o czym pogadać. Czarliński rad słuchał miejscowych ploteczek i rozmaitych pantoflową pocztą dostarczanych nowin z szerokiego świata.

W gruncie rzeczy, były to wiadomości błahe, nie się bowiem ciekawego ani w okolicy, ani tembardziej w miasteczku nie działo i dziać się nie mogło, zwłaszcza w czasach, kiedy po minionej zawierusze w najżywszych ośrodkach życia wszystko zamarło; ale Czarliński znajdował się w tym właściwym ludziom nagle wykolejonym nastroju nerwowego oczekiwania czegoś niezwykłego, jakiegoś niesłychanego zdarzenia, które odwróci radykalnie przegraną szansę życia, i spodziewał się lada dzień o takim wypadku się dowiedzieć.

To też nieraz, gdy Chaim witał go słowami: »z wi Pan, co słuciłoś?«, Czarlińskiemu zaczynało bić gwałtownie serce, i dowiadywał się, że do sklepu Borucha dobierali się w nocy złodzieje, a Mendel Błat kupił za psie pieniądze z przepędzanego przez miasteczko stada dwie kulawe gęsi.

Wkrótce jednak i to jedyne źródło wieści miało się zamknąć przed Czarlińskim na zawsze.

Pod jesień w miasteczku wybuchła szkarlatyna, dzieci ginęły, jak muchy, przyczem przebieg grasującej choroby był niezwykły, wysypka lekka mijała szybko, aż naraz dzieci puchły, traciły przytomność i w ciągu paru dni umierały.

Dowiedziawszy się o tych objawach, Czarliński wyszukał w koszu swych rozmaitej treści książek podręcznik lekarski i bardzo szybko zo- ryentował się, że zapalenie nerek chłonie ofiary.

Pragnąc być lojalnym, zakomunikował o tem Chaimowi, ale zarozumiały samouk odparł z powagą:

— Co ma nerka do lego?. Nerka jest w macicy, a macica w brzuchu, a jemu nie brzuch, lecz twarz i pod oczyma nasamprzód puchnie; ja panu powiadam, że to jesl podwójna krosta

czerwona na wierzchu, a czarna w środku. Ja próbowałem już i lapis i niegaszone wapno - i wszystko na nic.

Oburzony tą terapią Czarliński zaczął działać na własną rękę i za pomocą senesu i gorących kompresów osiągnął w kilku przypadkach pożądany skutek.

Powodzenie kuracji, a zwłaszcza przeprowadzone wobec naocznych świadków esencją octową próby moczu na białko, napęfniały Żydów niemal zabobonną trwogą, i Czarliński zyskał wkrótce opinię napół czarodzieja, napół cudotwórcy, a że leczył bezinteresownie, mieszkanie jego zaroilo się od pacjentów, przyczem materiały analizy poczęto mu znosić wiadrami.

Zrazu próbował się bronić, dowodził, że nietyko medycyną, ale wogóle niczem mu się zajmować nie wolno, lecz ulegając błaganiom w jasnych i wyraźnych wypadkach, radził jak umiał, stosując niewinne domowe środki, które, jeśli nie pomagały, to i zaszkodzić nie mogły.

Chaim tymczasem nie zasypiał gruszek w popiele; ujawszy sobie strażników ćwiartką monopolu, ułożył wspólnie z nimi donos, że »polity- czny« miasteczko buntuje. Skutkiem tego Czarliński musiał odbyć uciążliwą podróż do »Gu- bernii«, gdzie sprawę o tyle wyjaśnił, że go pozostawiono na miejscu z surowem napomnieniem, by siedział cicho i w żadne konszachty z miejscową ludnością się nie wdawał.

Odpowiednią instrukcję otrzymali też strażnicy, którzy przez parę dni trzymali wartę pod jego mieszkaniem i poturbowali kilku dążących na konsultację pacjentów.

W ten sposób Czarliński stracił i praktykę i życzliwość Chaima — i wrócił do swoich studiów matematycznych i do swego pamiętnika, gdzie notował strzępy nawiedzających go myśli i rozmaite, przeważnie zaprawione ironią i goryczą relleksye.

Czasem tylko wykradały się doń chyłkiem schorowane doszczętnie egzemplarze, zdecydowani kandydaci na kierkut, którym należało jedynie życzyć szybkiego i lekkiego skonania.

Wizyty tego rodzaju były niezwykle męczące, trzeba było bowiem wysłuchiwać stękań, szlochania, narzekań, lamentów, oglądać nieraz wprost wstrętne wrzody, strupy, rany, obrazy zgniłej, parszywej niedoli, straszliwe wizerunki cuchnącej nędzy.

To też Czarliński zżymał się wewnątrz, ilekroć postyszał charakterystyczne człapanie za progiem, i ponurym: — czegoż tam znowu? — witał te wsuwające się pokornie długopole postacie, od których jego pokój napęfniał się momentalnie przyprawiającym o mdłości zaduchem.

Poradzić im nie mógł — więc się irytował tylko, i, wybuchając nieraz gniewem, wyrzucał tę hołotę za drzwi, zapowiadając, że jeśli się raz jeszcze zjawią, weźmie się do kija.

Groźby poskutkowały, wizyty stawały się coraz rzadsze i wreszcie ustały zupełnie.

Czarliński kompletnie osamotniony, zamknięty szczelniej, niż zwykle, sam w sobie, z jakąś złośliwą satysfakcją natrząsał się szyderczo z tych szalonych zamiarów i świetnych rojeń, którym tak brutalnie • zaprzeczyła obrzydliwa rzeczywistość.

Życie jego, niedawno tak bujne, zamieniło się nagle w jałową egzystencję, w której, zdawało mu się, stopniowo zastyga krew w żyłach, kamienieje mózg, trupieje dusza.

Były to jednak tylko pozory, w tajnikach jego jestestwa wciąż jeszcze targało się rozgorzałe, głodne niepowszednich wzruszeń serce i chwilami z tego głodu wściekłe. Czasem wprost zazdrościł okrutnemu losowi tych, którym się nie udało tak względnie na sucho wywinąć z matni, jak jemu — jako ludziom przynajmniej sytym mąk i cierpienia.

—Skończyli, jak przystało — myślał — a ja nędznie i głupio.

Czuł się niemal dotknięty, że mu, niby pobytowemu złodziejowi, naznaczono w brudnej mieścinie marne dwa lata, wobec czego niepodobna nawet uciekać i zamykać sobie legalnego powrotu do kraju.

—Sytuacja moja ■— pisał z tego powodu w pamiętniku — jest głównie tem nieznośna, że śmieszna. Schodzę do roli małomiasteczkowego bohatera, staję się pogromcą Chaima. Dostałem za to nosa z gubernii, ale i horttrową wartę, która zrobiła grube wrażenie. We wzroku mieszkańców dostrzegam przy spotkaniu podziw, pomieszany z trwogą. Ustępują mi z drogi, jak dzicy przed szamanem.

Gdybym był Żydem, mógłbym tu zostać wziętym cadykiem, byłoby to przynajmniej oryginalne zakończenie kariery, to też żałuję, że się urodziłem Aryjczykiem, zwłaszcza, że jest tu kilka wcale niczego Semitek, którebym chętnie kurował na bezdzietność... Przytem zjawiają się w prasie głosy, że to jedyna droga do asymila- cyi. Jest to więc pod pewnym względem działalność dla mnie, jako dobrego obywatela kraju, wskazana...

Potem następowała uwaga:

Bezczynność jest bezwstydnym doradcą — ale jak pozbyć się doradcy, gdy brak sposobności do czynu?...

— Pracować!

I Czarliński pogrążył się na nowo w cyfrach, a w miarę zatapiania się w coraz wyższe zagadnienia matematyczne, zaczynał odczuwać całe surowe piękno tej ścisłej nauki, która z kilku prostych pewników, dźwigana logiką, wyrasta w gmach wielki i wspaniały.

Szczególnie zaciekało go rozwiązywanie zawiłych zadań, z których nieraz wypadały mu w odpowiedzi liczby tak zwane urojone, nie-

istniejące, a czasem tajemniczy znak nieskończoności.

Te otrzymywane ze ścisłych rozumowań symbole wtrącały go w koło głębokich rozważań.

—Więc i tu nawet — myślał — jako ostateczny wynik otrzymuje się urojenie, przekraczające granice poznania pojęcia, wielorakie rozwiązania kilku niewiadomych stosunkowo prostego zrównania. A więc i w rezultacie czysto umysłowych spekulacji, wyprowadzonych z niewzruszonych założeń, otrzymuje się nieraz tylko pozór, a często wątpliwość. Dość dwóch niewiadomych, a wszelka pewność znika, zaczyna się błądzenie po omacku, gdzie ślepy traf rozstrzyga i, gdy w sferze oderwanego myślenia następuje się nieskończona ilość możliwości, w realnym życiu coś jedyne, jako konieczność wypada i post factum się sądzi, tak być właśnie musiało — dlaczego nie inaczej? Tego nikt nie wie, nikt się nad tem nie zastanawia.

Któregoś dnia, gdy był zajęty całkowaniem nieskończenie małych wielkości, posłyszał staranne wycieranie nóg o słomiankę.

—Znowu I — zmarszczył się, patrząc niechętnie na drzwi.

Zanim się jednak otwarły, rozległo się stukanie i czysto po polsku wymówione wyrazy:

— Czy można?

- Proszę! — zerwał się zelektryzowany.

W progu ukazała się skromnie, lecz gustow

nie ubrana brunetka, postawna, piękna jeszcze, choć już niezbyt młoda, o wyrazistych, jakby wykutych w białym kamieniu, zastygłych rysach i uderzającym wejrzeniu dużych, piwnych oczu, dziwnie nieruchomych, jakby wpatrzonych stale w jeden punkt.

— Przeszkodziłam panu — wymówiła, spoglądając na rozłożone książki i zapisany rachunkami arkusz.

— Ależ, proszę — zakręcił się po pokoju Czarliński, wyrwał z kąta staroświecki na rolkach fotel, podsunął go damie i zaczął machinalnie porządkować nieco zaniedbane ubranie i rozlatującą się czuprynę.

Nieznajoma siadła, oparła się łokciem o stół, złożyła głowę na dłoni i przypatrywała się Czarlińskiemu dość długo.

—Słyszałam — zaczęła wreszcie spokojnym głosem — że pan jest znakomitym doktorem, a z tych znaków wyższej matematyki, które znam dobrze co prawda tylko z widzenia — widzę, że pan musi być rozumnym człowiekiem.

— Nie jestem medykiem — odpowiedział Czarliński.

—A jednak o pana lekarskich sukcesach cuda głosi całe miasteczko.

—Między ślepych jednooki uchodzi za ostro- widza; miałem podręcznik i com wyczytał, tom zastosował — udało się szczęśliwie, w paru wy-

padkach polegałem na intuicyi — no i prawdopodobnie działała też sugestia.

— Może i w stosunku do mnie natchnie pana intuicya, ja zdaje się mocno chora jestem — spojrzała żywiej na Czarlińskiego, któremu wydał się nagle błysk jej oka i cała twarz znajomą.

- Nazywam się Starska — ciągnęła — mój syn miał na imię Stach, a pseudonim Leon.

- To jego matka! — jakby wykrzyknik rozległo się w głosie Czarlińskiego i serce mu stanęło na moment, niby schwywane w kleszcze.

Spotykał się z Leonem zaledwie kilka razy, ale wiedział dokładnie, czem był ten chłopak i co go spotkało, i teraz, patrząc na panią Star- ską, zdawało mu się, że znowu z nim konspi- ruje, tak bardzo była do syna podobna.

- Chora jestem — powtórzyła — mam wrażenie; że coś żywego jest we mnie, w dzień śpi, ledwie dyszy — tu, pod piersiami czuję, jak drzemie, ale gdy zejdzie noc — zmrużyła oczy boleśnie — zaczyna się rzucać, dręczyć — tak mnie to męczy, bezlitośnie męczy —¹ ścisnęła usta i rysy jej ściągnęły się cierpieniem.

Nastąpiła długa pauza obopólnego milczenia.

- Dawno pani tego doświadczła? — odezwał się w końcu Czarliński, by przerwać ciszę.

—Od kilku miesięcy, właśnie od tej samej chwili... bo może pan wie, że Stach...

—* Wiem — odparł głucho.

- Prawda, we wszystkich pismach lo było — dwa wiersze drobnym druczkiem — trudno uwierzyć, ale chyba prawda, kiedy wszędzie było i w tych samych słowach... Widzi pan, to się wszystko tak stało... Jak mój mąż zmarł, okazało się, że nasz folwarczek — zna pan, o dwie mile stąd — Korwin — posiada tyle długów, że niepodobna się utrzymać. Poszedł z licytacyi, a ja ze Stasiem, którego czas było uczyć, przeniosłam się tu właśnie, gdzie dotąd mieszkam, i pan Barwicki, może pan słyszał — miał tu własny domek, w którym osiadł, wysłużywszy emeryturę — już nie żyje... przyjaciel nasz stary, przygotowywał Stasia do gimnazjum, do piątej klasy, bo chciałam, by chłopak jak najdłużej był przy mnie. Uczył się znakomicie, a pan Barwicki nieraz mi mówił, że tak zdolnego ucznia nie spotykał, choć setki dzieci przeszło przez jego ręce.

Zdał celująco. Trzeba było się rozstać. Wielkie to było dla mnie zmartwienie — no, ale cóż robić — musiał kończyć szkoły, i ukończył łatwo, szło mu bowiem wszystko, jak się wyrażał, »śpiewająco«. A miał rzeczywiście bardzo miły głos, ciągle improwizował, albo śpiewał — wesół był zawsze, jak ptak.

Jak, bywało, przyjedzie na wakacje, to tak innie, rozruszał, że dokazywaliśmy razem, jak dzieci, a gdy mu się udał jakiś figiel, promieniał

cały; mówił, że ze mnie znakomity towarzysz, i przezywał mię wtedy po męsku — mamę zamieniał na marnot, a Stefanię na Stefka.

Kiedys ino wytłómaczył, co to jest prawdziwy towarzysz — wtajemniczył we wszystko. Ja się na razie trochę zląkłam, ale kiedy zrozumiałam, o co chodzi, pokochałam go jeszcze więcej i pomagałam, za co mi nieraz mówił: marnot jest dzielny i męzny, ja wiedziałem, że tak będzie!

Wyjechał uczyć się na inżyniera, ale z powodu awantur został wydalony i stał się nielegalnym. Pisywał do mnie jednak często, choć krótko z rozmaitych miejsc. Czasem wpadał tajemnie, czasem mi przysyłał na wypoczynek którego ze swoich. Miałam ich tu kilkunastu i wszyscy zgadzali się, że Stach jest dzielny chłop.

- Jeden z najdzielniejszych — wtrącił Czarliński.

Pani Starskiej zaświeciły płomieniem oczy.

— I pan także... pan go znał?

— Trochę!

— Pan towarzysz?

— Tak!

— Więc z panem mogę mówić otwarcie — to dobrze — i poczęła opowiadać szybko, chaotycznie i nerwowo:

— Ja chciałam pracować z nim razem, ale odpisał, że usługi, jakie oddaję na razie, są zupełnie wystarczające, że mnie wezwie w stosownym czasie, że wie, iż jestem odważna, i na posterunku, gdzie potrzebna będzie odwaga, mnie postawi.

Czekałam niecierpliwie na wezwanie, gdy naraz listy się jego urwały, nikt do mnie nie przyjeżdżał, jakby zapomnieli o mnie zupełnie. A tu w gazetach i z rozmaitych stron — wstrząsające wieści, i czułam sama, że tam, gdzie najniebezpieczniej, z pewnością stoi mój syn.

Ale nakazał mi odwagę, więc stulam się nią i nic mnie nie przstraszało, prócz braku wieści — żeby choć słówko, choć jedno słówko, a tu ani litery — powtórzyła żałośnie i oczy stały się martwe, nieruchomo zapatrzone w przestrzeń, a twarz niepowszednio surowa, jak oblicze kamiennego posągu.

Siedziała chwilę bez ruchu, jak zastygła, i po dłuższej przerwie, głosem nienaturalnie spokojnym i nieco przygasłym zaczęła mówić, jakby do samej siebie:

'— Obcem pismem ta krótka kartka zawiadamiała, że Stach od kilku miesięcy jest ciężko chory, że mam zaraz przyjechać, i zgłosić się do doktora Patrika.

— Zrozumiałam, co to znaczy. Patrik było to nazwisko głośnego obrońcy, który prowadził polityczne sprawy.... Przyjechałam, a Patrik mi oświadczył: Dobrze, że pani jest. Sprawa pani chłopca jest poważna! — Naturalnie — pomy-

siałam sobie — Słach drobnostkami nie lubił się zajmować — i powiedziałam:

- Niech się pan mecenas niczego nie boi, ja i mój syn jesteśmy odważni...

A on uśmiechnął się i rzekł:

— Pani nie znam bliżej, ale matka takiego dzielnego syna niewątpliwie jest go warta!

Potem dał mi adres jednych państwa, którzy mnie przyjęli bardzo życzliwie i zaprosili na mieszkanie.

Było mi tain bardzo dobrze, — tylko obchodzili się ze inną niezwykle, nieco sztucznie, i było mi trochę nieswojo, gdy prezentowali mnie gościom, nie jak zwykle, z nazwiska, ale z silnie akcentowanym dodatkiem: jego matka!

Właściwie, powinna byłam czuć się dumną, że Stach uchodzi za lak znakomitą osobistość, tymczasem za każdym razem robiło mi się dziko i bardzo smutno.

Poweselałam, gdy mi wyrobiono widzenie się ze Stachem.

Stanął przed kratami taki zuchowaty i dziarski, jak zawsze, a w oczach miał ten świetny płomień, który mu się jawił w chwilach uniesienia i który tak kochałam.

— Marnot! — zawołał radośnie — dlatego nie pisałem. Niech się mama nie boi, a jakby doszło co do czego, ja mamie wstydu nie zrobię...

Milczałam, bo nic wiedziałam, o czym mówi,

a on plótł wesoło Irzy po trzy, aż minąłznaczony czas... Wróciłam trochę zmęczona ze wzruszenia, ale i pełna otuchy. To też, gdy Patrik powiedział: sprawa komplikuje się i staje się ciężką, wyraziłam zdanie, że przesadza. Potem nie mogłam się dobić widzenia ze Stachem, aż dopiero na sądzie. Stawało ich odrazu kilkunastu. Dopuszczono tylko najbliższą rodzinę, ze czterdzieści osób. Sala była tak ładna, biała i jasna, że zrobiło mi się prawie wesoło, gdym się w niej znalazła. Gwar rozmów ucichł nagle, gdy ktoś krzyknął: proszę wstać, sąd idzie! Wstałam i ujrzałam kilku wyższych wojskowych, którzy się rozsiedli za stołem.

Potem weszli oni, wszyscy młodzi, postawni a na przedzie mój Stach z dumnie podniesionem czołem i drwiącemi oczyma. Dostrzegł mnie i uśmiechnął się; chciałam mu oddać uśmiech, ale nie zdążyłam, bo usiadł, i widziałam tylko jego plecy i bujne, dawno nieslrzyżone włosy takie długie w lokach, jak moje — musnęła się dłonią po puszystych, krucznych warkoczach.

Drgnęłam mimowolnie, gdy stuknęły o posadzkę kolby bagnetów.

Długo czytano akt oskarżenia, którego nie zrozumiałam prawie wcale, bo nie znam dokładnie rosyjskiego języka, potem zeznawali jacyś świadkowie, których nie rozumiałam również, kilku mówiących po polsku oświadczyło, że nic nie wiedzą, nic nie pamiętają...

Ciągnęło się

WIUM

wszystko powoli i nudno. Następnie wstał młody pułkownik — jak mnie objaśnił sąsiad — prokurator i znowu sala ożywiła się znacznie. Mówił do zmroku, często słyszałam swoje nazwisko, ale wszystko to tak dalece mnie znużyło, że nie byłam wprost w stanie oddać Stachowi pożegnalnego uśmiechu.

Spuściła wzdłuż ciała ręce, przymknęła oczy, i twarz jej cała i postawa przybrała wyraz ostatecznego wyczerpania.

Trwała tak dłuższy moment, wreszcie ocknęła się i, jakby wzmożona raptownie na siłach, zagadała żywo:

— Naprawdę zaczęło się dopiero następnego dnia. Zaspałam trochę, to też, gdym przybyła, już się rozpoczęła rozprawa i musiałam czekać pauzy, by dostać się do środka. Przemawiali właśnie adwokaci. Mówili płynnie, ale trochę z polska, więc rozumiałam piąte przez dziesiąte i muszę przyznać, że bronili zawzięcie. Ostatni i najlepiej mówił Patrik, który między innymi bronił Stacha.

Zaczął spokojnie, ale zapalał się powoli i w końcu wskazując jedną ręką ławę podsądnych, wyciągnął drugą w kierunku sędziów i zawołał z mocą:

— Panowie, jesteście ludźmi wojny, sami odważni, musicie cenić wysoko odwagę, jesteście przytem ludźmi honoru. Nie śmiem żądać od was, byście przed męstwem tych młodzieńców

ggj

prezentowali broń, ale nie wątpię, że okażecie się wspaniałomyślni wobec tych pokonanych, którzy walczyli śmiało i do ostatka...

Skończył i usiadł. Szmer uznania przebiegł po sali. Potem uniósł się niedbale prokurator i oświadczył, że podtrzymuje całkowicie swe oskarżenie. Następnie przewodniczący, siwy zupełnie, otyły generał, z dobrodusznym wyrazem twarzy spytał podsądnych, co mają do powiedzenia na swe usprawiedliwienie.

I wtedy podniósł się Stach. Ujrzałam w czarnych kędziorach twarz mego chłopca, białą, jasną, prawie promienną, i gorejące, jak w ogniu, oczy.

Pan wie, jak on mówił ślicznie i jaki piękny miał głos.

Dreszcz przejął wszystkich po pierwszych jego zdaniach, a potem w sali robiło się coraz ciszej i ciszej — tak cicho, że słyhać było, jak biją serca, jak porywają się w jego wzruszonych piersiach potężne słowa, namiętne, śmiałe i dumne. Ktoś za mną zaczął łkać, ale to łkanie tłumił jego drgający jak dzwon cudowny głos.

Rozumiałam wszystko, każdziuteczki wyraz, każdą pauzę, każdy ton, i powiem, że takiej mowy nikt nie słyszał i nie usłyszy nigdy.

Gdy przerwał na chwilę, by nabrać tchu, rozkołysały się głośnie szlochania, płacz szemrał naokół — ja jedna tylko płakać nie mogłam, dlaczego? do dziś dnia nie wiem — powtórzyła, 2*

i w roziskrzonych jej źrenicach zamigotały wielkie łzy.

Czarliński, prawie z przestachem, patrzył w jej tragicznie mieniającą się ze wzruszenia twarz i widział, jak pałające przed chwilą uniesione rysy gasną i powlekają się zwolna śmiertelną bladością.

- Skończył — zaczęła głucho — ale nikt się nie ruszał z miejsca. Wreszcie podniósł się z trudem otyły generał, a za nim sędziowie, i wyszli, jeden za drugim, gęsiego. Widziałam, jak obrońcy i koledzy zaczęli ścisnąć Stacha za ręce, ale on widać był bardzo zmęczony, bo ciężko oddychał i ob ci orał chustką spocone czoło. Chciałam podejść i powiedzieć, by nie stał przy oknie, bo może się przeziębici — ale nogi mi tak zdrętwiały, że nie mogłam się ruszyć — on jednak przeczuł widać moje życzenie, bo przesiadł się na drugi koniec ławki.

Z początku było głośno i gwarno, ale zwolna żywe rozprawy uśmierzyły się i stało się tak dziwnie spokojnie, jakby wszyscy posnęli. Patrzyłam w okna różowe od łuny zachodu i prawie zapomniałam, gdzie jestem.

- Wstać! sąd idzie! — zbudził mnie rozkaz. — Palily się w czerwonym słońcu szlify i akselbanty. Wyteżyłam słuch, ale stary generał czytał tak niewyraźnie, że nic nie można było zrozumieć.

Gdy skończył, szcęknięły karabiny, żołnierze wzięli broń na ramię, otoczyli ich i wyszli. Nie mogłam dojrzeć twarzy Stacha, widziałam tylko jego białą rękę, która, jak skrzydło gołębia, trzepotała się w moim kierunku.

Patrik podszedł do mnie, wziął pod ramię i dopiero gdyśmy wsiedli w dorożkę, rzekł, rozkładając bezradnie ręce:

Ha! trudno—robiłem, co mogłem... może nie zatwierdzą, choć słaba nadzieja.

Spytałam go, o czym mówi.

On spojrział na mnie wytrzeszczonymi oczyma, poczem ujął mnie ciepło za rękę i oznajmił, co zaszło.

Oburzyłam się i powiedziałam, że to są żarty, że oni tak tylko, żeby ich nastraszyć, mego Stacha nastraszyć...

I nagle w szeroko rozwartych oczach pani Starskiej mignął dziki błysk i wybuchnęła nagle histerycznym, rwącym się na sztuki śmiechem.

- Ha, ha, ha! jego zastraszyć — ha, ha, ha! — targał się straszny głos, zanosił się spazmatycznie, głuchł w chwilach utraty tchu i znów się wydobywał ze ściśniętej krtani okrutny, przeraźliwy, szarpiący duszę.

Czarliński w pierwszej chwili stracił głowę, ale oprzytomniawszy, zerwał się i ścisnął mocno tętnice w kiściach jej rąk, począł ją uspokajać zrazu łagodnie, a potem stanowczym, surowym tonem.

Zacibła, tylko ciągle jeszcze wstrząsały się wzdęte piersi; ale po wypiciu wody i to usta-
piło. Błada, jak kreda, leżała czas pewien w fotelu, z zamkniętymi oczyma, oddychając
ciężko. Powoli westchnienia coraz bardziej stawały się rytmiczne, łagodne, wreszcie zupełnie
ciche. Wzburzone rysy twarzy uspokajały się zwolna, przybierając wyraz sennego uśpienia.

Patrząc na nią, Czarliński doświadczał lekkiego drżenia w sercu i dopływu niezwykle de-
likatnych rzewnych wzruszeń, rozkliwiających niemal do łez. Czuł, że, gdyby objął ją w tej
chwili, rozplakaliby się oboje i stałoby się im obojgu lżej. Ciągnęło go nieprzeparcie osunąć
się do jej stóp i przytulić do kolan zmordowaną głowę.

Ale wkrótce pani Starska zbudziła się, uniosła ociężałe powieki. Przetarła się posnowa
mgły w oczach i z głębi jej zapadłych' źrenic wyrzał posępny smutek.

— Ja, zdaje się, śmiałam się — wymówiła, rozglądając się dokoła. — Rzeczywiście i
wtedy te pogrożki wydały mi się śmieszne i głupie.

Następnego dnia wezwano mnie na dziesiątą wieczór do kancelaryi, zwrócono resztę
pozostawionych dla Stacha pieniędzy i powiedziano, że, jeśli chcę, mogę mieć widzenie.

Stałam więc znowu przed siatką i czekałam długo. Nakoniec się zjawił w towarzystwie
żołnierzy.

Był ostrzyżony krótko, przez co wydawał się jakby zmieniony; twarz jego stała się
więcej, niż zwykle, harda i prawie przykro zuchwała. Ale zaledwie spojrzał na mnie, rysy
jego złagodniały odrazu. Nie wiedziałam, o czym mówić — on także milczał, aż nakoniec
odezwał się stłumionym głosem:

— Niech się mama nic nie boi, ja mamie wstydu nie zrobię, ja wiem, że mama jest mężna
i to świetne jej dziedzictwo jest we mnie. Niechże mama zaświadczy im, że patrzę w jutro
pogodnie i jestem tak spokojny i pewny siebie, jak nigdy.

A ja ciągle nie wiedziałam, co mówić...

— Może pani chce wejść za kratę — zaproponował mi asystujący urzędnik.

— Weszłam — głos pani Starskiej pękł, jak rozstrzaskany. — Weszłam — podjęła z
trudem ochrypłym szeptem — wyciągnęłam ręce, a on pochylił mi się do ust, i w pocałunku
tym uczułam, Boże, w tym pocałunku, jak się w serce moje wylewa uchodzące zeń życie...

Głowa jej upadła na stół, jak ścięta, i trwała lak chwilę bez ruchu.

— Gdzie on jest? — podniosła raptem białą, znieruchomiałą, jak w masce twarz, w której
zdawały się palić nieprzytomne oczy. — Ciemno mi się zrobiło, a gdym przejrzała, ktoś mnie
trzymał pod ręce, a jego już nie było, gdzieś znikł, rozplynał się, jak cień. Niema go i gdzie

jest? nie wiem... — jęknęła żałośnie i z rozpaczą.

Splotła silnie palce, aż trzasnęły sławy zwiesiła głowę i jęła mamrotać do siebie:

- Tego niepodobna zrozumieć, a przecie - żadnej wieści znikąd!... Pięć miesięcy i nic! I we wszystkich pismach... — przycisnęła ręką lewą pierś, zęby jej zaczęły szczełkać, jak w febrze, a czoło okryło się kroplami zimnego potu.

— Co pani jest? — przeraził się Czarliński.

Dygotała bez słowa.

— Nic... tak... już... już... minęło...

Odetchnęła głębiej i wymówiła z wysiłkiem:

— Widzi pan, tak to w dzień czasem tylko i na krótko, ale w nocy często do białego rana.

Pan się pytał, od kiedy? Właśnie od tamtej chwili odrazu poczułam, że coś stało się ze mną, że coś nieswojego leży we mnie, to żyje... W dzień przyczają się, jak kot, a w nocy rzuca mi się na serce i, jak z myszą, tak z niem igrą, w pazury chwyta... Przerazona, zboląta, staje, ledwie drży, zamiera... Leżę cichutko, nie śmiem się poruszyć, udaję nieżywą — i wtedy folguje — i tylko jakby lekko łapami trąca... Wstrzymuję oddech, pulsów bicie — ale napróżno, serce się nagle zrywa, zaczyna kołatać, drgać, lata mi po całych piersiach, jakby w panicznym popłochu, a on tylko na to czyha, rzuca się i znowu się pastwi... Nie sypiam prawie, a jeśli nawet uda mi się zdrzemnąć, to nie opuszcza mnie mę-

25 —

ne wiedzenie, a to jest i nie zostawia mnie ani na chwilę. Życ mi z tem trudno, a umierać jeszcze nie chcę, bo kto wie... może... O panu mówią, że pan cuda czyni, niech mi pan poradzi, co mam z tem począć — patrzyła na Czarlińskiego błagalnie chorobliwie rozszerzoną źrenicą.

- Mówiłem pani, że nie jestem lekarzem — odparł nieswoim głosem i w jakimś dziwnym napadzie ni to rozstroju, ni to rozdrażnienia, począł mówić krzykliwie i oschle:

- Serce nie mysz! Mysz od takich eksperymentów po kwadransie ginie, a pani pięć miesięcy z tem żyje. Serce nasze jest dyabło wytrzymałe, nie zmoże go nawet tygrys, raczej sam się zmorduje, wychudnie, z biegiem czasu zmieni się w cień, aż zdechnie zupełnie i pozostawi ledwie nikłe wspomnienie.

- Niech się pani stara — dodał cieplej — nie myśleć o tem, zabijać czas byle czem, choćby się modlić, jeżeli pani może i wierzy.

— Tak pan mówi... był czas, gdy się modliła, ale nie wysłuchał mnie Bóg — odparła pani Starska posępnie. — Nie myśleć o tem, pan powiada — a o czem?... Przecież we wszystkich pismach — może więc i prawda. Choć, kto wie, mogli tak napisać kazać... Jak pan sądzi, czy rzeczywiście to, co było ogłoszone, stało się — czy się naprawdę coś podobnego stać mogło? Przecież to przechodzi wszelkie pojęcie — i jakby

od ciągu powietrza zwichrzyły się jej na czołem włosy, a w oczach zamigotał błysk szaleństwa.

—Mów pan! — domagała się odpowiedzi, wpatrując mu się w twarz ostrą, zwężoną źrenicą.

Czarliński spuścił oczy i, plątając się, począł mówić wymijająco:

- Co ja mogę wiedzieć... Pani przyszła mnie się radzić, a więc mówię i powtarzam nie jako lekarz, lecz jako człowiek: nie myśleć o lem... Syn zalecał pani męstwo, a męstwo — to panowanie nad sobą i hart w najgorszej sytuacji... No, czy nie tak — powiedz pani sama.

—No, tak! — powtórzyła wahająco się pani Starska.

—No, więc proszę mnie słuchać — nie jestem młodzik, widziałem dużo i sam przeszedłem niemało — zagadywał sprawę. — Gdzie pani mieszka?

—Trzeci dom od uliczki, ganek pod daszkiem.

—Więc proszę wrócić do siebie spokojnie, położyć się i zaraz usnąć. Ciemno jest — odprowadzę panią...

—Ależ poco, i tak blisko, a znam każdy wybój, każdą dziurę, z zamkniętymi oczyma trafię... Nie śmiem pana fatygować i tak zabrałam mu tyle czasu, przepraszam, a bardzo będzie mi miło, jeżeli pan zechce mnie kiedy odwiedzić. Mam dobrą herbatę, parę słoików konfitur, czem

chata bogata, tein rada — proszę bardzo — i uśmiechnęła się ujmująco.

— Dziękuję pani, nie omieszkać skorzystać — odprowadził ją na schody i świecił lampą, dopóki nie znikła za węglem.

Pomimo obietnicy i szczerzej chęci, Czarliński ociągał się ze złożeniem wizyty.

Osoba pani Starskiej wywarła nań silne wrażenie, kiedy jednak począł rozważać na zimno niektóre szczegóły jej zachowania się, rodziło się w nim podejrzenie, że ta kobieta znajduje się w stanie cokolwiek anormalnym — że ogrom, nieszczęścia jak gdyby przerastał jej intelektualne siły, to też, pomimo najpewniejszych danych, nie zupełnie rozumie, że to, co się stało, stało się istotnie i odstać się już nie może. Czego jednak myślą nie ma sił ogarnąć, odczuwa instynktem serca, w którym goreje niewygasłe ognisko bólu, cierpienie tak straszne, że przybiera w poczuciach jej postać realnie istniejącego potwora, który zżera jej wnętrzności.

Pomimo własnej recepty: nie myśleć o tem, łapał się sam co chwila na gorącym uczynku krążenia umysłu około tej sprawy i rozumiał, że jego rada jest na nic, że, skoro się z nią spotka, rozmowa niewątpliwie zejdzie na te krwawe tory i koniec końcem stworzy się taka sytuacja, w której będzie zmuszony dać jasną odpowiedź, że pisma się nie myliły, że jej Stach zginął istotnie.

Tego się właśnie obawiał, to też pomimo, iż mocno korciło go zajrzeć w jej trochę surowe, ale niepowszednio piękne oblicze, znaleźć się pod urokiem dziwnego jej spojrzenia, podręczyć trochę swe rozdrażnione serce w ogniu jej męki, odkładał wizytę z dnia na dzień, prawie miesiąc cały.

Kilkakrotnie był pod jej domem i w ostatniej chwili cofał się do siebie lub go mijał prędko.

Któregoś jednak dnia, gdy się zabierał do odwrotu, dostrzegła go z ganku — i zawołała dźwięcznym, drgającym radością, wesołym głosem:

- Nakoniec się pan wybrał! Jak to do- brzel Samowar właśnie kipi, od tygodnia dla pana go nastawiam, a pan nie łaskaw...

— Byłem niezdrów — skłamał Czarliński — nic wielkiego, katar nieznośny i lekkie zajęcie oskrzeli.

— To też właśnie. Herbata z malinami pysznie panu zrobi. Proszę spocząć, zaraz wrócę — i wysunęła się do spiżarki.

Czarliński tymczasem rozglądał się po schludnym, jasnym pokoju i staroświeckich meblach, świadczących o dawnej zamożności. Szczególną jego uwagę zwróciło biurko hebanowe i śliczny, w stylu Ludwika, stojący zegar.

— Nie chodzi, zepsuty, a niema komu naprawić — widząc, że mu się przygląda, objaśniała pani Starska. — Proszę, niech mi pan po może rozłożyć len obrus. O tak, dobrze. Jak pan woli, w szklance, czy filiżance? Czy nie za mocna?... A teraz konfiturek... Sama smażyłam dla Stacha, ale on tych malin nie będzie jadł. — Położyła nacisk na tych, a całe zdanie wymówiła z taką swobodą, że Czarliński drgnął, jak ukłuty, i rzekł z lekkim przekąsem:

— Widzę, że pani znacznie się lepiej już czuje...

- Ach, i jak jeszcze! Ten srogi kot okazał się kołeczkiem. Mała, zwinięta w kłębuszek kizia, moja kochana, figlarz, jakich mało. A ja głupia nie domyśliłam się... choć, co prawda, jest to tak niezwykle zdarzenie, że trudno było zo- ryentować się odrazu...

— Jakie zdarzenie?

— A jaki pan ciekawy — robiąc zagadkową minę; patrzyła nań wesoło i po namyśle rzekła poważnie: — Widzi pan, pan dla mnie jest bliz- kim człowiekiem, jako znajomy Stacha i wygnaniec, ale czy ja dla pana, tego nie wiem — przecież się prawie nie znamy... Jak panu na imię?...

— Władysław.

—Mnie Stefania. Otóż, panie Władysławie, proszę o mnie źle nie myśleć, nie przypuszczać, że jestem płochą kobietą, która, by ukryć swe przewinienie, niestworzone bajki plecie... Nie bez wysiłku, wyznaję szczerze, spędziłam siedmnaście lat w cnocie, jak zakonnica. Miałam dwadzieścia

— 3&

dwa, gdy owdowiałam. Pięć lat tylko byłam za mężem. Młoda, zdrowa, silna i dziś mogę powiedzieć, przystojna, miałam ja swoje burze, tęsknoty i liczne zasadzki — mogłam i pragnęłam, ale dla Stacha zwalczyłam wszystko... Dziś mam lat trzydzieści dziewięć — to jesień już, chyba więc nie czas w jesieni, gdy się przetrwało całe lato... Ale ludzie są złośliwi, więc mnie posądzać będą... Lecz co mi tam! — machnęła lekceważąco ręką — co ranie do tego, nic mnie cały świat nie obchodzi — o Stacha dbam, więcej o nic...

Umilkła.

— Co ma znaczyć cała ta tyrada? Do czego to wszystko zmierza? — plątał się w domysłach Czarliński. Olśniła go raptem myśl, że to są na jego rachunek robione zwierzenia. Na razie się spłoszył, zmieszał, ale, ochłonawszy, rzekł z ga- lanterią:

— Pani jest w kwiecie wieku, jak...

- Może — przerwała. — Ale to tylko pogarsza w opinii ludzkiej całą sytuację — i raptem wzdrygnęła się, przyczem oczy jej zrobiły się jasne, prawie przezrocze, a twarz oblokła się cichym uśmiechem szczęścia.

— Sza! Mały łobuzie — szepnęła półgłosem.

— Co pani powiedziała?

— Powiedziałam: sza, mały łobuzie — powtórzyła wesoło.

przyjść kiedyindziej — pożegnał się i, wracając do domu, mruzczał zirytowany:

— Albo waryatka, albo kokietka bez serca; noga moja tam nie postanie...

Powzięte to postanowienie starał się w sobie utwierdzić, ale napróżno. Osoba pani Starskiej narzucała mu się uparcie, to jako zagadka dla umysłu, to jako niepojęte czasem ostre, a czasem tkliwe wzruszenie serca.

— Nie pójdę — zawzinał się, czując jednocześnie, że czyni na przekór samemu sobie. Prostu z ambycyi, by postawić na swoim.

Wreszcie nastąpiła się sposobność odwiedzin. Odebrał mianowicie wezwanie do Gubernii, a że takie powołania mogły się skończyć przeniesieniem do dalszych miejscowości, zdecydował, że wypada pójść i na wszelki wypadek się pożegnać.

Wizycie postanowił nadać charakter oficjalny. Włożył czarny surdut, świeży krawat i wciągnął na ręce, noszone zwykle w kieszeni, zamszowe rękawiczki.

— Pan Władysław! — ze szczerem uradowaniem powitała go pani Starska. — Gdzież to się pan zawieruszył? Proszę siadać, ja w ten moment skończę — i zakreśliła się energicznie koło maszyny. — Widzi pan, ile zdążyłam przez czas jego nieobecności naszyć — pokazała mu stos pokrajanego w szerokie pasy płótna — same pieluszki, a to koszulka i kaftaniczek... Cały

sekret polega na tem, by było jak najmniej szwów, bo każdy obrębek delikatnemu ciałku daje się we znaki.

— Dla kogóż pani to wszystko szyje?

— Dla Stacha! — i znów zawarczała maszyna.

Czarliński zdrętwiał.

A pani Starska wyprostowała starannie zeszyty rękawek i rzekła:

— Będzie miał wyprawkę nielada. Kupiłam okazjijnie całą sztukę barchanu i cienkiego płótna. Muszę się śpieszyć, bo to już obliczyłam, niespełna dwa miesiące. Co u pana słuchać, czemu się pan nie pokazywał? niedobry i niegrzeczny — strofowała go żartobliwie, wyciągając fastrygę.

Oślupiały Czarliński nie był w stanie wydobyć słowa, wreszcie wyjąkał zmienionym głosem:

— Dostałem wezwanie... przyszedłem się pożegnać; zdaje się, że mnie przenoszą...

- Czy być może? — zatrwożyła się pani Starska. — Ależ toby było fatalne, tak liczyłam na pana... Czy to już pewne?

— Przypuszczam.

- Niech pan się stara zostać koniecznie — jęła nalegać gorąco — mnie niezmiernie na tem zależy, a sądzę, że i panu nie jest obojętne; pan jest dobry, mądry człowiek — przytem towarzysysz, obojgu nam blizki — bez pana zostałabym sama w krytycznej chwili.

EtiUMł

Wzruszenie, z jakim to mówiła, poczęło się udzielać Czarlińskiemu i ogarnęła go nagła rzewność i głęboki smutek; uświadamiał sobie coraz jaśniej, że tej kobiecie pomieszał się rozum z cierpienia i że należy ją ratować.

—Pani Stefanio! — zaczął rwącym się głosem — czy pani nie ma gorączki, mówi pani tak dziwne rzeczy, proszę się tylko choć na chwilę zastanowić...

— Dziwne! pan powiada — spojrzała na niego jasnymi, szczeremi oczyma — istotnie, mnie również na razie wydawało się dziwne, ale, po głębszym namyśle, zrozumiałam, że jest to zupełnie naturalne. Niech pan sam powie, gdzież się dziecko przed gwałtem ma schronić, jak nie w łonie matki — w tym pocałunku ostatnim on, osaczony wokół, skrył się we mnie, wchłonęłam go ustami, by wynieść stamtąd, w sobie krwią jako płód żywiciel, powić, wykarmić mlekiem, jako niemowlę, jako dziecko wyniańczyć, odchowac i wrócić światu człowiekiem, jakim go zabrałam. Tą samą maszyną, którą szylam sukienki mu przed laty, szyję teraz. Z tej maszyny czerpałam środki, nim podrosł, bo później lekcyami na siebie zarabiał — i znowu czerpać będę. Pana chciałam prosić na ojca chrzestnego. I jeszcze jedno — pobladła niezmiernie i wymówiła, zniżając tajemniczo głos:

—Gdyby się domyślili, że to Stach, to my skłamiemy, powiemy, że to jest inny — mój i pana syn — dobrze?

—Dobrze — odparł mimowolnie Czarliński.

—Kiedy pan jedzie?

— Jutro do dnia!

—To niech pan idzie i wyśpi się. Spory szmat drogi i niech się pan ciepło ubierze, bo noce chłodne! Ale, ale... dobrze, zem sobie przypomniała; proszę mi kupić dwa tuziny takich perłowych guziczków — wręczyła mu jeden na wzór — i pięć łokci takiego welwetu, bo tu nie dostanie.

Czarliński wziął w milczeniu próbki, wyszedł, jak pijany, i całą noc spędził jakby w tępem osłupieniu.

W Gubernii okazało się, że chodzi o jakieś »sprawki«, dla których musiał tłuc się kilkadziesiąt 'wiorst na żydowskiej bryce. Zły, jak siedm dyabłów, przespał się w lichym zajeździe, cały następny dzień pięty zbijał, by załatwić poleczone sprawunki, i odżałowawszy dziesięć rubli na resorową landarę, wyruszył z powrotem.

Pod noc dowłókł się do miasteczka, wysiadł na rynku i, brnąc w czeluściach ciemności do domu, zauważył, że z okna pani Starskiej sący się światło.

Zbliżył się i przez omglone szyby dostrzegł łagodny, czysty profil jej twarzy, schylonej nad robotą i białą, obracającą szybko maszynę, delikatną rękę.

— Szyje i szyje! — szepnęła i targnęło mu się boleśnie serce od srogiej myśli, że winna-
by właściwie zeszyć całun dla syna z tych skrawków bielizny.

Nazajutrz był u niej i począł przychodzić coraz częściej.

Pani Starska była zachwycona załatwieniem sprawunków.

— Pan to anioł doprawdy, guziczki kropelka w kropkę takusieńkie, a welwet nietyko z
koloru, ale i połysku podobnusięńki, bo widzi pan, ja mu chcę zawczasu uszyć takie samo
ubranko, jakie sprawiłam mu po raz pierwszy, gdy skończył trzy lata. Pamiętam wybornie
fason i miarę chłopczyny, skroję na pamięć i jestem pewna, że będzie leżało, jak ulał. Chcę,
by wszystko powtórzyło się na nowo, jota w jotę od początku do koń... — ręce jej drgnęły tak
silnie, że rozsypała guziki, twarz zbieleła, jak wapno, i szeroko rozwartemi z lęku oczyma
obejrzała się dookoła.

Uspokoila się jednak szybko.

- Przestraszyłam się, jak głupia — wyrzekła drżącym jeszcze, nie swoim głosem — czego
ja się boję? Przecież, gdyby to się znowu powtórzyć miało, przyjdę, wchłonę go w pocałunku
na nowo... dziesięć, sto razy rodzić go będę — wydzierać śmierci, by był nieśmiertelny.

Głos jej nabrzmiał mocą, a twarz ogrzała się, jakby idącym z wewnątrz ogniem.

— Ja teraz wszystko rozumiem. Gdy im znikł chcieli to zataić i dlatego kazali ogłosić
wszystkim pismom, by się prawda nie wydała. Szkoda, że pan Barwicki nie żyje, uczyłby go,
jak dawniej, no, ale trudno, ja wiem, że pan przygotować go do klas się podejmie. Nie będzie
pan miał wiele kłopotu. Chłopak zdolny, chętny, żywy, jak iskra, ale figle jego niewinne, bez
cienia złośliwości, pokochacie się prędko. Dam panu pokoik z całem utrzymaniem, a gdy
malca ułożymy spać, będziem sobie gwarzyli o nim — dobrze?

— Dobrze!

Czarliński przyjął z pewną dozą radości pro- pozycję, jakby zapominając na moment, że
są to fikcyje, przywidzenia zwichniętego umysłu.

I tego rodzaju zapomnienia zaczęły mu się zdarzać coraz częściej. Pewność i wiara pani -
Starskiej, bogactwo szczegółów w jej opowiadaniach, jakiś sugestywny czar, bijący ze słów,
widok namacalnych przygotowań do przyjścia na świat oczekiwanego dziecka —
oddziaływały nań tak silnie, że dawał się wciągać w krąg jej obłądnych marzeń, zapominał
się chwilami zupełnie i czasem rozmawiał o przyjściu na świat Stacha zupełnie poważnie.

Pozostawiony sam sobie, opamiętywał się i truchlał na myśl, co się stanie, gdy czas
zdrzugoce gmach złudzeń i matka się przekona, że syna wskrzesić nie jest zdolna.

Według zwierzeń pani Starskiej do kryty-

cznego momentu pozostawało ledwie parę tygodni i Czarliński zastanawiał się, czy nie lepiej, by uniknąć katastrofy, stopniowo podrywać i obracać w ruinę jej urojenia. Ale nie mógł się na to zdobyć, w obcowaniu bowiem z nią doznawał jakby zamroczenia zdrowego sądu o rzeczach, zaczynały w nim się budzić wątpliwości co do niezłomności praw natury, stawał się skłonny do przypuszczeń, że wszystko jest możliwe, że cud się darzy.

Czasem próbował obserwować zewnętrzny wygląd pani Starskiej, ale nie umiał nic stanowczego orzec o jej stanie, kształty maskowały luźne suknie, przytem znajdował ją prawie ciągle przy szyciu w pozycji siedzącej, przegrodzoną stołem. Zauważył tylko, że jakby zeszcupiała na twarzy, ma sińce pod oczyma i trochę żółkłą cerę. Zmiany te przypisywał przesiadywaniu nad maszyną nieraz późno w noc.

Pani się zapracowuje, mizernieje pani z dnia na dzień... poco tyle tego — powiedział jej kiedyś, wskazując na stopy pieluch, śliniaczków, kaftaników, koszulek.

— Co pan się na tem rozumie — odparła wesoło — dziecko musi być suche i czyste, co moment trzeba je przepowijać... Wtedy, choć mogłam sobie pozwolić na szwaczkę, wszystko przygotowałam dla mego jedynaka sama i czułam się zdrowa, jak ryba... Że wyglądam marnie, nic dziwnego — wszystkie kobiety w tym stanie mierznieją i brzydą, ale potem zobaczy pan, stanę się różowa i biała, tak, że niejednemu jeszcze potrafię w głowie zawrócić — i uśmiechnęła się mu ślicznie i zalotnie.

— Co innego mnie martwi — ciągnęła poważnie — że rzadziej odczuwam jego ruchy, niż wtedy. Za to są niezwykle gwałtowne, aż mnie ściska w sercu. Myślę, że dlatego, iż jestem znacznie starsza, miałam przytem dużo trosk i kłopotów, i w chwili rozpacz poczęłam. Niech się pan jednak nie niepokoi i nie przeraża, gdy zlegnę — nie przyjdzie on mi łatwo, wtedy dwie doby to trwało... Duży był, dwanaście funtów ważył, silny, w kwartał już główkę sztywno trzymał, w pół roku próbował siedzieć i tak brykał, że strach go było samego zostawić w kołysce. Ząbki mu się wyrzynały bez bólu, pierwszy mam schowany. Jakie to dziwne: wkrótce będę miała dwa pierwsze. Ale dobrze, że sobie przypomniałam — może pan mi znieśie ze strychu kołyskę. Sama się boję, bo zdźwiganie w takich razach najwięcej szkodzi.

Czarliński nietylko zniósł kołyskę, ale, widząc że jest odrapana, podjął się olakierować, co skuteczniał tak znakomicie, że wyglądała, jak nowa. Pani Stefania uszyła tymczasem materacyk i firanki z cieniutkiego muślinu, aby zasłonić dziecko od much.

Sprzęt ten, ustawiony koło stołu, stał się przedmiotem jej najtkliwszych wejrzeń. Od czasu do

czasu próbowała nogą naciskać bieguny, nucąc przy tem półgłosem:

A-a-a! kotki dwa, Szare, bure obydwu, A ten trzeci malusi, Drogi synek mamusi I

Przy ostatnim wierszu głos jej stawał się niewymownie pieszczotliwy, niby słodkiej rozkoszy jęk, i Czarliński dostrzegł w jej rysach rozlewającą się błogość, a w oczach łzy. Głębokie jej wzruszenie udzielało mu się w postaci rozlewnych marzeń o jakimś dalekiem szczęściu w różowym zaciszu, majaczna myśl, aby syn ten był ich synem, i mętna miłości tęsknota, niby senne widmo kołysało się w tej toni uśpienia, w którą go pogrążał monotony motyw jej piosenki.

Chwilami jednak rozżarzała się w nim nagle cała przytomność umysłu i wówczas to »A-a-a« kołysanki przeszywało go nawskróś, jak krzyk bóleści borowało mu czaszkę i zmieniało się w mózgu w rozdzierającą dziką nutę. Wstawał, żegnał się szybko, czując, że dalsze słuchanie może go przyprawić o utratę zmysłów.

Nazajutrz jednak stawał się punktualnie. Kobieta ta ciągnęła go, jak otchłań, a jej obłąkane, gdy zastanawiał się na trzeźwo, urojenia, skoro znalazł się przy niej, przemieniały się w jakieś tajemnicze misteryum, w którym brał udział, doświadczając subtelnych dreszczów napoły słodkiej, napoły bolesnej rozkoszy.

Tak dalece przywykł do tych, jakby mistycznych wieczorów, do tych, chwilami dlań strasznych, przejmujących do szpiku kości, a czasem znów czarujących zwierzeń, że, gdy z powodu przeziębienia musiał pozostać w domu, uczył jak gdyby wyrwę, w sercu i opuszczenie w duszy.

Myśląc w samotności o całej sprawie, zrozumiał, że ta kobieta leci w przepaść, a on z nią także gdzieś się obsuwa — że dom jej jest siedliskiem nieszczęścia, nad dachem jego grom, a u progu groza. Należy zerwać ten węzeł, którym się z nią splątał — myślał — pozostawić ją samą sobie, niech się bieg spraw sam przez się rozstrzyga. Pozna swą omyłkę, i albo pochłoną ją ciemne czeluście obłądu, zginie, albo się uleczy, przeboleje, wygoi się w czasie i smutna do życia powróci.

'— Nie pójdę tam — szeptał i, choć czuł się dobrze, dzień jeden wytrzymał. Następnego dnia, gdy o oznaczonej godzinie chodził zdenerwowany po pokoju, rozległo się stukanie, od którego zamarło mu serce. W drzwiach ukazała się pani Stefania w obszernej salopie i fokowym, przyprószonym śniegiem, kołnierzu i takiejże czapce, w której jej było niezwykle do twarzy.

- Domyśliłam się, że pan chory, i przynoszę panu malin na poty. Ledwie doszłam, tak ślizko, bałam się, że upadnę, no ale jakoś poszło szczęśliwie.

- Dziękuję, zawstydza mnie pani swoją do-

brocią — odparł szczerze wzruszony, zapominając odrazu o swych postanowieniach — właściwie zdrów już jestem i wybierałem się właśnie.

— To dobrze, może mnie pan odprowadzi. Śnieg taje i marznie, istna gołoledź; boję się przewrócić, mogłoby mi to bardzo zaszkodzić — dodała poważnie.

Gdy wyszli, Czarliński podał jej ramię i ostrożnie, pieczołowicie prowadził, czując, jak mu się opiera na rękę, ociężała, leniwa w ruchach.

Gdy znaleźli się w mieszkaniu, uderzył go zmieniony wygląd pokoju — większa część mebli była wyniesiona, pozostało tylko jej łóżko, usłane śnieżną pościelą, stolik z zamkniętą maszyną, pod ścianą osłonięta wiotkim muślinem kolebka i parę krzeseł, podłoga lśniła jak lustro, czystość biła od ścian.

- Kazałam posprzątać, bo to już niedługo — wyrzekła, widząc, że się rozgląda zdziwiony — za tydzień, choć może być parę dni wcześniej, parę dni później. Niepodobna nigdy, choćby się znało termin poczęcia, określić daty dokładnie.

Wie pan, że im bliżej, tem bardziej się niepokoję i martwię, obawiam się, że go karmić nie będę mogła sama. W piersiach czuję pełność, aż mi duszno, ale nic się nie pokazuje, choć już powinno być inaczej. Przytem czuję się dziwnie osłabioną, doznaję rwania z lewej strony i lewa ręka drętwieje mi, jak kłoda. A cóżby się stało, gdybym umarła, ktoby się nim zajął, ktoby go chował? Pana jednego, panie Władysławie, mam na świecie, ale czy pan zgodzi się i potrafi? — wymówiła smutno, wpatrując się weń przejmującym do żywego głębokim wejrzeniem.

— Zgodzę się i potrafię — odparł ściśniętem gardłem Czarliński — ale poco te czarne myśli, wszystko pójdzie dobrze — dodał, siląc się na swobodę.

- Ja wiem, że na pana liczyć mogę, ale pozostaje jeszcze jedna sprawa, która mnie boli: Jak on będzie zapisany w papierach? — syn wdowy, niewiadomego ojca. Co będzie, gdy on się dowie, czy zdoła uwierzyć, a jak nie uwierzy, co mój Stach o mnie pomyśli; nie zastanawiałam się nad tą sytuacją wcale, teraz widzę, że nie wszystko może się tak samo co do joty powtórzyć — zwiesiła znękaną głowę i rozłożyła bezradnie ręce.

Czarliński milczał, zapatrzony na krążący wielkimi płatami za oknami śnieg, drgnął, ocknął się i postanowił spróbować raz jeszcze.

— Tak, ma pani słuszność, proszę mi wierzyć — zaczął mówić gorąco i z przejęciem — że czas się cofnąć nie daje, minione nie powraca, a jeśli się powtarza, to w zmienionej postaci. Stach nic złego nie pomyśli, ludzie tego typu, co on, są obojętni na tego rodzaju sprawy... Syn może być tylko wdzięczny matce za dane życie, a tembardziej za zwrócone po śmierci. Pani Ste-

fanio, on żyje w pani, bo pani go wskrzesza co moment w swem sercu — to przecież tak wiele... Wszyscyśmy śmiertelni, mijamy, jak wątłe cienie, ślad szybko po nas ginie, a tylko nieliczni są godni wiecznej pamięci, a Stach nietyko w twej, ale i w innych żyje i żyć będzie...

- O tak! — powtórzyła z uniesieniem pani Starska — za kilka dni posłyszę jego żywy krzyk, jego tkliwe kwilenie, a potem jego szczebiot, a potem dziecinną mowę, a potem wdzięczny, pełny, męski jego głos.

W cienych jej oczach zamigotały jasne ognie, twarz płonęła. Chwyliła Czarlińskiego za obie dłonie i, ściskając, wołała, jakby w szale:

- Dziękuję panu, pan mnie pocieszył, napełnił otuchą, a byłam już bardzo zgnębiona — i zaczęła szlochać.

— To nic — ciągnęła przez płacz — niech pan nic nie zważa na te historye, jestem zdenerwowana, to są nasze w tym okresie zwykłe kaprysy. To zaraz przejdzie — łkała cicho — o już! — i podniosła uśmiechniętą w łzach twarz.

— Pan mi musi oddać jeszcze jedną przysługę. W uliczce, za bóżnicą, u stolarza na prawo, w głębi mieszka babka, nazywają ją Magdą. Trzeba ją zawczasu zamówić, niech się czysto umyje, wszystko co potrzebne na miejscu znajdzie... Panu damy znać — zarumieniła się zlekka ■ — jak już będzie po wszystkim... Zapamięta pan: za bóżnicą na prawo...

- Dobrze! — odparł złamanym głosem Czarliński i gdy wyszedł, pomimo zawieruchy, puścił się we wskazanym kierunku, odszukał odpowiedni adres, zastanowił się, czy istotnie zamówić tę kobietę, zdecydował, że nie, a jednak na wszelki wypadek zanotował sobie w pamięci jej mieszkanie.

Zamieć trwała całą noc, szalał wicher i targał tak silnie okiennicami, że Czarliński zasnął na dobre dopiero nad ranem. Gdy się zbudził, było już cicho, za oknem iskrzył się jasny mroźny dzień, widniały zasypy śniegu i płowe smużki dymów, unoszących się spiralną linią prosto do góry.

Patrząc w pustą perspektywę ulicy, dostrzegł Szwarcwassera, dążącego pośpiesznie w towarzystwie najbliższej sąsiadki pani Starskiej w kierunku jej domostwa.

Coś go tknęło, przełknął szklankę grzanego mleka, narzucił na ramiona futerko i, zapomniawszy kaloszy, brnął po kostki w śniegu.

Na skrócie ulicy spotkał jakąś okręconą w chustkę kobietę, z której chaotycznych słów i lamentów wyrozumiał tylko tyle, że tam się coś złego stało, że pani wije się i krzyczy.

Gdy wpadł do pokoju, ujrzał bladą jak kreda, zmienioną z boleści twarz pani Stefanii, unoszące się gwałtownie z pod poszarpanej koszuli piersi, wysadzone z orbit nieprzytomne oczy i chwytające łapczywie powietrze w pół otwarte, spieczone usta.

W mieszkaniu było pełno zawodzących sąsiadek, przy łóżku krzątał się Chaim i rozcierał tartym chrzanem pięty chorej.

— Co pan tu robisz! — krzyknął zdziaczalym głosem Czarliński, chwytając felczera za ramię.

— Pan się nie potrzebujesz rozbijać, ja wiem, co ja robię, czy pan nie widzi, jak jej serce pika?

I Chaim w danym wypadku miał rację, był to istotnie niezwykle ostry atak sercowy, ale odchodzący od zmysłów na widok stanu tej kobiety Czarliński wyrzucił Żyda za kark, wypędził wszystkich, zatrzasnął drzwi i zatrzymał się na środku pokoju zupełnie bezradny. Słyszał jej ciężki oddech, widział wzdrygające się piersi i umęczone oczy, pełne cierpienia spojrzenie. Atak jednak powoli się uśmierzał, duszność ustępowała, drganie ciała przeszło w dreszcze, od których poczęły dygotać jej zęby. Wreszcie uspokoiła się zupełnie, zamknęła powieki i zapadła w długotrwałe omdlenie.

Czarliński otulił pieczołowicie jej nogi, naciągnął osuniętą kołdrę na obnażone ramiona i począł się wpatrywać z niezmierną czułością w jej pobielającą twarz i rozchylone usta, których lekkie tchnienie świadczyło jedynie, że żyje jeszcze.

Drgnęła, poruszyła się i, nie odmykając oczu, szepnęła sennie i tak cicho, że ledwie dosłyszał:

— Gdzie dziecka?

Mróz mu przeciągnął po grzbiecie, głos zastygł w piersiach.

— Gdzie dziecko? — powtórzyła głośniejszym głosem i odsłoniła wielkie, rozszerzone źrenice.

- Kapie się — z trudem wydobył Czarliński ze ściśniętej krtani głuchą odpowiedź.

— Gdzie?

— W kuchni, bo tam ciepłej — wyjąkał upadłym głosem.

— To dobrze — wymówiła i znów jakby usnęła. Wysiłek wypowiedzenia tych kilku wyrazów

do tego stopnia wyczerpał Czarlińskiego, że usiadł. Szumiało mu w uszach, biły puls w gorejących skroniach.

Zapanowała ciężka cisza. Pani Starska zdawała się spać na dobre, oddychała głęboko i tylko drobne perełki potu na czole oznajmiały, że cierpi jeszcze.

■ Poruszyła kilkakrotnie ustami i poczęła jak gdyby bredzić przez sen:

— Dlaczego on nie krzyczy? Dlaczego tu tak duszno i ciemno?

A potem już przytomniej jęła pytać raz po raz:

— Dlaczego dziecko nie krzyczy?

— Śpi.

— Gdzie?

— W kołysce.

— To dobrze 1 — i znowu zamknęła oczy. Czarliński przełknął wzbierające łzy i prawie modlił się, by już usnęła na wieki.

Ale ona obudziła się i wymówiła dość wyraźnie:

— Proszę przysunąć kołyskę, pragnę go zobaczyć.

Milczał, dygocąc jak liść.

— Przysuń pan kołyskę — napierała się, a gdy nie odzywał się, usiadła na posłaniu i potoczyła wkoło wielkimi, palącemi się, jak w gorączce, oczyma.

— Niech pan przysunie, bo wstanę...

Czarliński podniósł się, dźwignięty rozpaczliwym męstwem, ale ona już stała boso, wpół naga, w opadającej z ramion koszuli, wyprostowana, we wzburzonych kruczonych lokach włosów, tragicznie piękna, ale i straszna.

Usiłował zagrozić jej drogę.

Odsunęła go piorunującym spojrzeniem, pełną grozy postawą i zbliżyła się do kołyski. Czarliński cofnął się pod okno skulony, blady, jak trup.

Pochyliła się nad muślinem i raptem zadygotało w powietrzu monotonne, przeciągłe: »A-a-a!«

Ucieła w półtaktu, odwróciła dziwnie zmienioną, jakby w papierowej masce, umarłą twarz i, patrząc nań obłąkanemi oczyma, położyła palec na ustach, szepcząc: — Spit

Zachwiała się, zatoczyła na ścianę, osunęła na kolana, i jęła bąkać zszarpanym, gasnącym głosem:

— Ja... tu... przy nim... poduszkę...

Głowa jej upadła na posadzkę, z ust wydobył się ni to jęk, ni to świszczące westchnienie, zatrzepotała się gwałtownie i wyprężyła, jak struna.

Napół przytomny Czarliński odczuł zrazu tylko, że się nań wali jakaś okrutna kamienna cisza, potem się przeraził, że ona leży tak spokojnie. Przypadł, pochylił się.

Twarz była jeszcze żywa, ale gdy ujął za ręce, wczuł z nich sztywny chłód; zajrzał w niedomknięte źrenice: były zaszklone, jak gdyby zbiegły łzą.

Zrobiło mu się strasznie żal, że wała się na zabłoconej, zdeptanej butami obcych ludzi podłodze, próbował ją podźwignąć i w końcu szalonym wysiłkiem bezwładną, lecącą mu przez ręce złożył na pościeli.

W rysach jej wciąż jeszcze tliły się ślady życia, tylko czoło stało się gładkie, lśniące, jakby pokryte szronem, a niezamknięte oczy zdawały się* patrzeć żałośnie z martwej rozpadliny.

Nie mógł znieść przeraźliwego ich wejrzenia. Odwrócił się i zdrętwiałymi palcami zacisnął powieki tak mocno, że aż zakłęśły.

Nie śmiał spojrzeć, co się z temi uroczeni oczyma stało. Zbliżył się do okna, oparł zgryzione czoło o zmrożone szyby i, patrząc z otchłani swego smutku na nieruchomy, głuchy, senny, bezludny, śniegiem jak całunem zaciągnięty step, myślał z cierpką goryczą, ile serc musi się jeszcze okrwawić, ile łez gorących spłynąć, by się ta biała obojętna pustynia rozgrzała i zdziczałe zagony przestały zarastać piołunem.

EPILOH

ZELMA

Stolik pod lustrem w knajpce Sans-Souci no-^s sygnaturkę — »zajęty«, przy nim bowiem stale późnym wieczorem, a czasem i o rozmaitych porach dnia, zbierała się artystyczna drużyna — ludzie dość jeszcze młodzi, niewątpliwie utalentowani, ale w przeważnej swej liczbie idący na przepadłe.

Do grona tego należał aktor o wyrazistych rysach, żywej mimice i ładnej postawie, ale z tak przepięk i ochryplem gardłem, że mógł grywać tylko role podrzędne; kolegą jego po fachu i kieliszku był śpiewak, z bożej łaski, który brak szkoły i naderwany głos, zwłaszcza w górnych registrach, sztukował temperamentem, wyprężaniem rąk i przymykaniem powłóczyстых oczu, co w kabarecie wywoływało pożądane wrażenie.

Do stałych gości należało też dwóch malarzy, z których jeden od czasu zdobycia srebrnego medalu na wystawie szkiców nie mógł się posunąć ani o krok dalej, a drugiemu ciągle coś stawało na przeszkodzie zabrać się do wykoń

czenia dzieł wielkich i oddawna zapowiadanych.

Najinteligentniejszym i najbardziej wykształconym z całej tej kompanii wykolejeńców był tak zwany poeta — najmłodszy i bodaj najniezwyklejszy. Wszyscy bowiem jego koledzy miewali chwile tryumfu, i tem się pochrębiając, żyli.

Mirskiemu nie powodziło się nigdy. Czuł, że posiada dar poetycki, oryginalny i niezdolny do naśladowstwa, które zapewniało innym tytuły znanych i poczytnych, ale zarazem jakąś krzywiznę w tym talencie, skutkiem czego wiersze jego uchodziły za dziwactwa.

Redaktorzy, czytając jego rozczepierzone zwrotki, wrzuszali ramionami, czasem cytowali je dla śmiechu w odpowiedziach od redakcyi, i jedynie pisma postępowe zdobywały się na odwagę wydrukować coś z tych poezyi, ale zawsze gdzieś na szarym końcu, w jakiejś mało widocznej luce, którą można było byle czem zapełnić. Wzajemna adoracya, obowiązująca w tem gronie, rozciągała się i na Mirskiego, ale i tu w przystępach dobrego humoru dopuszczano się komicznych trawestacyi jego wyszukanych rymów i na bardzo odległych analogiach osnutych porównań.

Zalewanie tego wspólnego wszystkim robaka braku uznania nie udawało się Mirskiemu tak dobrze, jak innym. Miał bowiem dziwne pod tym względem usposobienie. Podczas gdy towarzysze

jego po odpowiedniej dozie kieliszków nabierali niezwykłej pewności siebie i fantazyi: śpiewak porywał się do operowych arii, aktor przedstawiał bohaterów Szekspira, malarze urągali od mydlarzy wszelkim mistrzom, odgrządzając się, że oni im dopiero pokażą, — Mirskiego, w miarę potęgowania się hulaszczey atmosfery, ogarniał coraz cięższy, beznadziejny smutek — brał głowę w dłonie i zalewał się łzami, otwierał, jak dowcipkowano — dystylarnię.

Pijatyki takie zdarzały się nierzadko, ilekroć bowiem który z kompanii zarwał gdzie kawał grosza, czuł się w obowiązku przepuścić wszystko tegoż wieczoru. Poza tem częstymi fundatorami bib byli tak zwani weseli pasażerzy, przygodni znajomi, przeważnie przyjezdni z prowincyi, którzy, wciągani najczęściej przez aktora w »koło artystów«, poznawali nocne życie miasta.

Od paru dni taką dobrowolną jednak i świadomą ofiarą był daleki kuzyn Mirskiego — Jarzębski, człowiek zamożny i niegłupi, który, przyjechawszy ze wsi, sam odszukał poetę i wyraził chęć wesołym towarzystwie trochę się przewietrzyć i pobomblować.

Dziś właśnie w zamkniętej od frontu knajpie odbywały się szumne poprawiny. Stolik był zastawiony i zalany wódką, portere i szampanem, który pito już bez wyboru, jak się komu zdarzyło.

Śpiewak, purpurowy z wysiłku, wyciągał, ile głosu starczyło:
Wiatr za szybami śmieje się, Psia krewi — to życie takie złe!

Aktor deklamował do lustra Otella, a jeden z malarzy przy każdym »psia krew« tłukł z pa-
są kieliszki.

—Do ordynku, panowie szlachta — wprowadził chwilowo jaki-taki ład rozweselony oby-
wateł, napętniając kolejki.

—Niech bractwo żłopie, bo jutro wyjeżdżam — zapraszał bez żenady.

—Złoty chłop, jak Boga kocham 1 Pożycz mi 10 rubli — zyskał moment przytomności
aktor i, wkładając imperyał do kieszeni, wyrzekł z komicznym patosem:

—Ofelio, idź do klasztoru 1

—Więc pić, czy nie pić? — zastanawiał się głęboko śpiewak. — Chyba pić! —
decydował nagle i wysuszał wszystko, co stało w pobliżu.

—Srebrny! — na wystawie szkiców — szarpał malarz Jarzębskiego za rękaw.

—Zostaw, bo mi urwiesz kończynę — bronił się obywatel.

—Co? nie wierzysz! mogę pokazać — wydobył kwit z lombardu — dotychczas nie
wykupiony, pewno już sprzedali, pal dyabli! ale kwit, co mam, to mam i kilka bajecznych
szkiców...

mogę ci sprzedać, dla ciebie po 5 rubli sztuka w sztukę.

— Niestety, jutro wyjeżdżam — śmiał się głośno i rozlewnie obywatel — ale trzy
wezme, płacę gotówką, przyslesz mi pocztą — wymienił adres.

— Mirek! cóż ty nie pijesz i siedzisz, jak sowa? — zwrócił się do poety.

Mirskiemu było istotnie markotno, mierziło go tak wyraźne naciąganie, wstydził się za
swoją kompanię, widząc, jak krewny wszystko doskonale rozumie i trafnie ocenia.

- Chodźmy już — rzekł sucho — głowa mnie boli, dość tego!...

—No więc, panowie, czas do domu, czas, zabawili nas — zanucił Jarzębski, załatwił
rachunek i, nie czekając, aż reszta się wybierze, wyszedł z Mirskim na ulicę.

—Skąpo jedzą, to też się łatwo urzynają, ja mógłbym drugie tyle — gadał, wkładając
rękawiczki. — Wiesz co, mam ochotę tak na zakończenie wdepnąć do jakiej dziewczuchy;
gdzie tu zobaczyć warto?

- Właściwie nigdzie — najdrożej u Gotli- bowej.

— Daleko?

- Spory kawał!

—No to się przejedziemy. Fiakier! — zawołał parokonkę, wymienił adres miejsca i dalej
ciągnął: — Ty się ze mną nie żenuj, proszę cię...

wiem, że ci się nie przelewa, a u mnie buraki, jak cukierl i pszenica w tym roku, jak złoto. Mógłbyś do mnie kiedy wpaść, zapołowalibyśmy, odkarmiłbym cię, sam jestem, mam gospodynię — jędrne to i rumiane, ale głupie, jak but, a nawet, jak para, wokoło same chamy, bo rozparcelowali. Najbliższe sąsiedztwo o dwie mile — cztery panny na wydaniu, brzydkie jak grzech śmiertelny i całą czwórką na mnie lecą, więc bywam rzadko. Słyszę, ty piszesz, ale w druku cię nie widuję...

Gumy poczęły podskakiwać na gorzej brukowanych ulicach, latarnie stawały się coraz rzadsze, skręcili w wązki zaułek i zatrzymali się przed dwupiętrową kamienicą z mocno jarzącą się okrągłą lampą.

Przez okratowany otwór w bramie łypnęło jakieś oko i odemknęła się furtka.

- Macie tam co świeżego? — zagadnął szwajcara Jarzębski, wstępując na schody.

- U nas pierwszy sort! sam pan wie — odparł odźwierny.

— A co tak cicho, umarł kto?

— No, bo już późno, po fajrancie!

Istotnie, w domu panowała atmosfera znużona i senna. W sali na kozetkach we wpółleżącej pozycji drzemało kilka zaledwie dziewcząt, w kącie ze zwieszoną głową i zsuniętym na czoło kapeluszu kiwał się i coś mamrotał jakiś ululany zupełnie jegomość.

Wejście nowych gości sprawiło pewne ożywienie: niektóre dziewczęta powstały, zjawilo się parę nowych i rozsiadło się w pobliżu.

—Czekaj duszko — odsunął Jarzębski jedną ze zbyt obcesowych — daj choć odpocząć i trochę się obejrzeć.

—A ty na którąbyś reflektował? — zwrócił się do Mirskiego.

—Na żadną, jestem za trzeźwy.

—Więc ty, jak to mówią, tylko »w pianom widziecc, może to i dobra metoda — ciągnął, rozglądając się i wzrok jego spoczął na siedzącej w przeciwległym kącie sali dziewczynie, z twarzą posępną i niezwykle bladą, która zdawała się nie zwracać najmniejszej uwagi na całe otoczenie, i to właśnie zaciekało Jarzębskiego.

, — Chodź tu, moja mała — kiwnął na nią.

Podniosła się, jak automat, i zbliżyła.

Była to mocna brunetka, nieokreślonych lat, o postawie drobnej, lecz kształtnej. Niemiłą na pierwszy rzut oka surowość jej ostrych, lecz regularnych rysów łagodziły cienie pod dolną powieką i smutne wejrzenie osłoniętych długimi rzęsami oczu.

—Jak ci na imię?

—Zelma!

—No i imię? — pokręcił Jarzębski głową. — Zaczekaj tu chwilę na mnie — rzucił kuzynowi i, poprzedzany przez dziewczynę, udał się na wyższe piętro.

Po wyjściu obywatela wszystko powróciło do dawnej normy. Podniszczone palto i krzywe buty poety nie wzbudzały zaufania. Został zakwalifikowany do kategorii tych gości, co przyszli się »zagrzać« i mogą »postawić« najwyżej... parasol w kącie.

Osamotniony Mirski czekał kwadrans, czekał pół godziny i wreszcie znudzony poszedł szukać kuzyna.

Po schodach dostał się na galerię, biegnącą wzdłuż całego piętra; wychodziła ona na podwórze, otoczone niewysokim parkanem. Za nim ciągnęły się niezabudowane place, ogrody, szeroki widok na majaczące na widnokręgu, pokryte lasem wzgórza. Mirski zapatrzył się w dawno niewidzianą przestrzeń, w sunące po niebie pierzaste obłoki, niby poszarpane żagle statków, płynących wśród gwiazd, i powoli zatracił poczucie, gdzie jest — zaczęło mu się przypominać dzieciństwo, biały domek na krańcach miasteczka, mały sad, spróchniałe słupy dziecinnego huśtawki i ogarniała go delikatna tęsknota i subtelny żal za tem wszystkim, co jakoś nieznacznie przepadło, stopniowo obsuwało się w ziemię, rozpraszało w czasie, aż rozwiało zupełnie, jak roztar- gany wichrem dym.

Głos obywatela, dobywający się z za sąsiednich drzwi, obudził go z zadumy. Zbliżył się i zastukał.

— To ty, Mirek?

— Ja!

— Otwarte! Mirski wszedł.

Jarzębski siedział w paltocie, w kapeluszu na bakier i popijał wino. Naprzeciwko stała ubrań a jak w sali, Zelma z wyciągniętą ręką w estradowej pozie.

— Oryginalna dziewczucha — śmiał się kuzyn — zamiast pić, łupi mi tu rozmaite francuskie wierszydła, jak z rękawa sypie... Mussety nie Mussety, co chcesz... do twojej maści — para!

— No wal dalej!

Et te deuxieme sentit soudain Une effusion de la douceur, Une flamme en ses yeux eteints, Qu'il lui soit fait selon sa foi, seigneur! Quelqu'un avait cios mon tombeau, Quelqu'un avait frappe mon ame, Mais qui donc apporta la flamme Et ressuscita les flambeaux?

Głos jej zacichł i zamyśliła się.

— Verlaine! — ogłosiła po chwili i wypowiedziała pieśń jesieni. -

Mirski tłómaczył ten wiersz — to leż, gdy skończyła, zaczął po polsku: Pośpnie lka Skrzypcowa gra Jesieni...

- Widzisz, to to samo po naszymu — objaśnia! Zelmie obywatel — a ten pan, to taki sam poeta, jak ci twoi; rymy mu równie łatwo płyną na język, jak innemu ślina.

—Poeta 1 — wymówiła niedowierzająco dziewczyna i badawczo popatrzała w twarz Mirskiemu.

— Powiedz jej co jeszcze!

Mirski, który nie miewał nigdy chętnych słuchaczy, począł deklamować z niezwykłym przejęciem; głos miał przytem dźwięczny, melodyjny, pełny wibrujących akcentów.

Podczas gdy mówił, dziewczyna go wprost chłoneła spojrzeniem, usta miała w pół otwarte, jakby jej tchu brakło, a na bladej twarzy pojawiły się jakby drgawki silnego wzruszenia.

Gdy skończył, rzuciła się ku niemu.

— Tu es uraiment poete, poete, poëte — powtarzała raz po raz — jak ślicznie to »sonne«, jak y>zwonek<n — mówiła żywo z cudzoziemską po polsku, wplatając co chwila francuskie wyrazy.— Encore, encore! — nalegała gorączkowo, cała w płomieniach.

Gdy Mirski, nadeklamowawszy się do syta, przerwał, kuzyn rzekł wesoło:

— Doprawdy spodziewałem się tu wszystkiego, ale nigdy takiej uczy artystycznej; dzięki wam opilem się poezją, jak bąk.

Na te słowa Mirski, jakby zgasł, uczuł wstyd i silny niesmak.

— Nie przeszkadzam — mruknął, wycofał się na ganek i oparł o balustradę.

Zły na siebie patrzył ze zmarszczonymi brwiami w odsłonięty księżyc, nadaremnie usiłując stłumić w sobie rozszepcane wiersze własne i cudze, które się wydobywały samorzutnie z rozbudzonej pamięci.

Nagle poczuł dotknięcie. Odwrócił się i ujrzał i ładą twarz Zelmy i pałające, jak węgle, oczy.

— Allons vite, vite — pochwyciła go za rękę, wciągnęła do małego pokoiku, zamknęła drzwi na klucz i rzuciła mu się na szyję, zacałowując czoło, oczy i usta. — Ty poeta — szeptała gorączkowo — je faime, baise moi...

Zrzuciła szybko ubranie i oddała mu się jak w szale, w nagłym dawno nieznanym wybuchu namiętności. Potem leżała długo z zamkniętymi szczelnie oczyma, uderzająco, prawie papierowo blada. Westchnęła, uniosła leniwie powieki i, patrząc głęboko w wzburzoną twarz Mirskiego, wyszeptała tonem twierdzenia:

— Ty, poeta! — ujęła go za rękę, pociągnęła po smukłych palcach i przytuliła do dłoni ciepłe, drgające usta.

Tymczasem Jarzębski niecierpliwił się na korytarzu, dobijał się do drzwi, aż wreszcie natrafił na właściwe.

— Zaraz — uspokajał go Mirski; poprawił odzienie i wyjął pieniądze.

— Jamais! — zachnęła się Zelma — ale ty

przyjdiesz jeszcze, kiedy przyjdiesz? — dopytywała się zdyszczym z podniecenia głosem, chwytając Mirskiego spazmatycznie za rękę.

— Jutro! — odparł oszołomiony całym zajściem Mirski, oddał jej pocałunek, i wyszedł wzruszony.

— A, niech cię dyabli! — poklepał go kuzyn — toś zuch, a to nie Zelma, lecz szelma prawdziwa: dałem jej pięć rubli, wzięła, ale zaczęła się wymawiać zmęczeniem, zaklektła mi wierszydłami głowę i doczekała się młodszego. Pierwszy raz mi się coś podobnego zdarza — gadał rozbawiony, idąc po schodach. — I powiedz mi, dlaczego wszelkiej kategorii niewiasty na was lecą; co mają rymy do tego interesu, nie rozumiem tej babskiej logiki.

— Europejski — zakomenderował dorożkarzowi — doprawdy bajeczny kawał, zostałem zdystansowany z kretesem... No, tu cię wysadzę, szczęściarzu. A, jakbyś chciał przyjechać, piśnij słówko, koszta podróży biorę na siebie, tylko moja Marysia pójdzie pod klucz!...

— Do widzenia — odezwał się Mirski i, wsłuchując się w miarowy tętent oddalających się koni, myślał o przygodzie, jaka go spotkała, jakby o zajściu niezupełnie prawdopodobnym a jednak zastanawiającym. — Co to być mogło? — rozważał — czy chwilowy kaprys histerycznej, zdeprawowanej istoty, czy rzeczywiste uniesienie, wywołane jego talentem, pierwsze ujarzmienie

żywego serca mocą poetyckiego czaru, tryumf, dowód uznania, początek powodzenia, zadokumentowany w tak niepowszedni sposób?!

Nazajutrz był u Zelmy i począł bywać coraz częściej, witany przez nią jak bóstwo, żegnany jak kochanek. — Ty, poeta! — mówiła mu z pełnym zachwytem oczyma i na ten temat była gotowa godzinami rozprawiać, choćby do rana. Lubiała przykładąć ucho do jego piersi i gwarzyć o jego sercu.

— Ja wiem, ty tam masz wszystko, i to, co płacze, i to, co smutne, to, co się żali i śpiewa... tak, jakby un coaquillage przyłożyć do ucha, u ciebie tak echo morza szumi... tobie dość zapragnąć

I powiesz, co szumi, bo ty poeta. W tobie jak un oiolon wszystko gra, a jak ty zechcesz, to człowiek zapomina o świecie i czuje tylko, że jest un chagrin, et une douleur tranquille, calme, presque douce.

— Mówisz ciągle o mnie, opowiedz coś o sobie — próbował dopytywać się Mirski.

— POCO? i cóż ja jestem, nic już, un cime- tiere abhorre de la lunę — przerywała cytata z Bau- delaire'a wszelkie badania, tak, że nie mógł się nic z jej przeszłości dowiedzieć.

Znać w niej było tylko pochodzenie z lepszej sfery i wielkie odczytanie a nawet znawstwo poezji; widział także, że bladła, jak trup, gdy ją odwoływano do gości, wracała, jak z krzyża

zdjęta, i siadała posępna, ze skamieniałą twarzą, unikając jego spojrzenia.

- Nie przychodź tak wcześnie — zawołała kiedyś z rozpaczą, chwytając się za skronie — po trzeciej, mam prawo być wolna!

— Przecież ja i tak wiem — zauważył — czy nie mogłabyś stąd wyjść?

— Wyjść — stąd tylko wynoszą! — wymówią dziko i zastygłe jej rysy ściągnęły się w uśmiech goryczy.

Strzegąc pilnie tajemnic swych tragicznych kolei, z niezmiennym zajęciem słuchała, gdy Mirski opowiadał jej o sobie; szczególnie zwłaszcza zaciekały ją sekrety twórczości, o której poeta, nie mając przed kim się zwierzać, rozwodził się czasem, niewiele się troszcząc o to, czy go rozumie.

— Dziwisz się, że mało piszę, istotnie, wyrzucam z siebie znacznie mniej, niż mam; całe tematy przeżywam w myśli, przetrawiam od początku do końca i, jako rzecz dokładnie już poznaną, wprost lenię się napisać. Zresztą, widzisz, wiem, że w technice pisarskiej to marzone musi stracić wiele subtelnego czaru, który stanowi najwyższą wartość, a na który niema słów w języku ludzkim. Czasem myślę, że wolałbym być muzykiem, który może nietyko tony, ale ich ćwierci wyznaczać i zamiast słowem, które ma ściśle określone znaczenie, posługiwać się bez-

imienną nutą nastroju. Muzyk śpiewa jak ptak, poeta musi nazywać jak uczony.

— Ty, mój ptak! Jak ty mądrze mówisz, ja nie wszystko rozumiem, ale ja wiem, o wiem — potrząsała głową — to znaczy — wskazała na serce: — tu co innego, a tu — dotknęła ust — nie to samo! Co znaczy marzyć? — spytała.

— Riuer!

— Reuer — powtórzyła, a siedziała właśnie u jego nóg — ne bouge un moment — oparła głowę o jego kolana, zamknęła oczy i twarz jej stała się jakby martwa, głęboko uśpiona, a potem rozchyliły się lekko usta, zatęczał się jakby półuśmiech, po rysach przebiegły wzruszenia cienie.

Trwało to z minutę, poczem uniosła powol' rześiste powieki i wymówiła sennie:

— Ja marzyłam, tak mi było dobrze i smutno, i cicho, jakbym już umarła, ty siedziałeś przy mon tombeau i myślałeś: »Tam Zelma leży«, a potem odszedłeś, a ja słyszałam każdy twój krok i zbudziłam się w grobie. Chciałam się zerwać, by cię dogonić, ale wieko było mocno za- hite, och mocno! — Żałośnie zadrgały jej usta, uniosły się piersi głośnie westchnieniem.

Czasem, gdy było duszno, wychodzili na balkon.

— Tu cię dotknęłam — stawała w miejscu pierwszego spotkania i, wsparta o jego ramię, wodziła jakby • zdziwionem spojrzeniem po pustych przestrzeniach, sadach, wzgórzach i niebie.

5*

tak innym i uroczym przy jego boku wydawał się jej tylekroć oglądany pejzaż.

Kiedyś, błądząc długo wzrokiem po gwiazdach, spytała go raptem:

— Czy jest Bóg?

— Nie wiem — odparł.

- Musi być — wyrzekła z mocą.

— Dlaczego?

— Bo musi być ktoś taki, coby mógł wszystkich przygarnąć i wszystko wszystkim przebaczyć! Taki — dodała i popadła w zadumę.

A Mirskiemu przyszedł na myśl ustęp z Beniowskiego o Bogu i wydeklamował go półgłosem.

Zelma nie zrozumiała wszystkich słów, ale odczuła potęgę i olbrzymi rozmach wspaniałych strof.

— C'est sublime! — zawołała entuzjastycznie — powiedz co jeszcze.

Zaczął:

Smutno mi, Boże.

Gdy skończył, ujrzał w jej oczach łzy.

— Maleńka dziecina, cest tenfant — szepnęła. — Tak, un tout petit. Si petit — rozłożyła dłonie na miarę niemowlęcia i wybuchnęła nagle spazmatycznym, wstrząsającym piersi i trzewia płaczem.

Mirski zaczął ją uspokajać, wreszcie zniecierpliwiał się i rzekł dość ostro:!

— Przystaniesz!

Umilkła natychmiast i stała pokornie, łykając łzy. Gdy zaś Mirski podniósł niespodziewanie rękę, chcąc wskazać spadający właśnie meteor, w oczach jej odmalował się przestraszenie, paniczne niemal przerażenie, z którym mu się rzuciła błagalnie do nóg.

— Co ty wyrabiasz! — podniósł ją zdumiony.

Drżała cała, jak w febrze, nie mogąc złapać głosu, aż wreszcie wyjąkała łopoczącemi i z resztą lęku wargami:

- Myślałam, que tu vas me battre...

- Ja, cóż znowu... co za głupi pomysł!

- Tak! tak! ja głupia! — powtarzała cała jeszcze zmieniona — zapomniałam, że ty inny ty, poeta!

Mirski popatrzał na nią badawczo i rzeki:

— Kto cię bił i kiedy?

Milczała długo, czoło jej się zmarszczyło, jakby wysiłkiem namysłu.

— Tout passe — machnęła ręką. — Chodźmy już, bo zimno — dodała, a gdy się kładli, wymówiła cicho: — Gdybyś chciał jednak kiedy, to dobrze, tylko pas trop fort i po twarzy jej przeleciał nikły podskórny rumieniec.

Było to pierwsze oddawna i jedyne niejako erotyczne jej napomknienie; stopniowo bowiem wyzbyła się w stosunku do Mirskiego wszelkich zmysłowych pierwiastków i inicjatywa w tym kierunku nie wychodziła od niej już nigdy.

Serdeczne uwielbienie, duchowe obcowanie z poetą, słuchanie jego głosu i wierszy, z których część umiała na pamięć, wystarczało jej zupełnie. Poddawała się jednak posłusznie jego żądaniom czasem beznamiętna, ale zawsze tkliwa.

Truchlała na samą myśl, że mogłaby ten jedyny, w jej sytuacji ludzki i to z takim, w jej mniemaniu, niezwykłym człowiekiem stosunek utracić.

Czuła, jak jej zamarła i niemal doszczętnie zwiędła, zatratowana dusza przy nim rozkwita i zmartwychwstaje. W godzinach jego obecności miała wrażenie, że się wydzwiga ze swego grobu na jasne słońce, że nie jest już w tym domu, ale daleko poza jego murami i to z poetą sam na sam.

Za to jedno gotowa była błogosławić swej całej doli, gdyby nie głuche poczucie, które chwilami powstawało w niej i wkraczało jak potwór w progi świadomości, że tak wiecznie trwać nie może, że ten stosunek ich nie ostoi się do końca, że to się kiedyś musi urwać nagle i bezpowrotnie.

Ale w trybie życia z dnia na dzień odzwyczaiła się tak dalece dłużej zastanawiać nad przyszłością, że tego rodzaju przewidywania, niby raptowny bolesny kurcz, chwytają ją na bardzo krótko i mijały prędko.

Tymczasem była istotnie jedyną towarzyszką poety i czuła to dobrze, gdyż ją wtajemniczał w takie dyskretne sekrety, jak perypetye twórczości, pomysły przyszłych dzieł; zwierzał się z najfantastyczniejszych zamiarów.

Jednym z takich, który ze względu na naturę księgarzy należało nazwać bardzo fantastycznym, był powzięty pod wpływem uwielbień Zelmy¹ wspólnie uknuty plan wydania pierwszego zbiorku poezji. I sprawa ta wysunęła się wkrótce na stanowisko naczelne.

Mirski tak dalece zapalił się do tego projektu, że niemal o niczem innym nie potrafił mówić.

Zelma czuła się szczęśliwą i dumną, że go mu pierwsza poddała, a gdy, rozprawiając na ten temat, poeta wyrażał się czasem nasze wiersze — to słowo nasze otwierało przed nią od lat zabite na głucho dziedziny duchowych rozkoszy. Z nabożeństwem i niemal mistycznym wzruszeniem oglądała przepisany na czysto rękopis i łzy jej napływały do oczu na widok czarnych kolumn jego zgrabnego pisma.

Tomik ten postanowiono wydać ozdobnie z winietą i inicjałami w formacie małej ósemki, jeśli się uda, to choć część na czerpanym papierze.

Nad kwestyą honorarium nie zastanawiano się wcale — Mirski był przygotowany na najgorsze, a nawet za darmo, byle tylko dać się poznać światu i zdobyć imię. Ale początki pertraktacji okazały się nadzwyczaj trudne. Najpoważniejszy księgarz odmówił, wymawiając się ilością zamie

rzonych nakładów, drugi wziął, tydzień potrzymał i oddał, drobniejsi nawet gadać nie chcieli.

Mirski zrazu zdawał Zelmie szczegółowe relacje ze swych wędrówek, ale wkrótce przestał, stając się rozdrażnionym i ponurym.

Przychodził rzadziej, niż zwykle, złościł się o byle co, irytował się czasem, że go nudzi — aż kiedyś, nie wyrzekłszy prawie słowa, jak inni goście, wziął ją brutalnie i bez pożegnania opuścił.

Zelma długo leżała zdrętwiała, z zaciśniętymi powiekami, bez jednego ruchu, jak trup. Czuła absolutną pustkę w głowie i bolesne rwanie w sercu.

Miała wrażenie, że spotkało ją coś okropnego, coś straszniejszego, niż ten dzień, gdy się w takim domu znalazła.

Zdawało się jej, że lada chwila, jak wówczas rozpadną się narozcież drzwi i stanie w progu ta sroga krostowata postać, zezowaty zbir, pogromca opornych, z kańczugiem w ręku i szyderczym i groźnym pytaniem, czy wyjdzie do gości?

I jak wówczas, z przerażeniem kuliło się w niej serce i ramiona i gdzieś zapadały plecy przed świszczącym zamachem batoga.

Uległa wtenczas losowi, ale teraz już uledez, nie chciała za nic i ze zgorzałego mózgu tryśnęła zbawcza myśl.

Przypomniało jej się, że Mirski napomknął ° jakimś drukarzu, który za sto rubli podjął się nakładu. Była to suma dla niej niezwykła, ale Przyszło jej do głowy, że jednak nie niedostępna.

O tego to drukarza, gdy Mirski się zjawił, zaczęła się wypytywać.

— Cóż z tego, — zauważył niechętnie — dya-błu-bym zastawił duszę, gdyby tyle dał za to... Sto rubli, bagatela. — Zamyślił się, przypomniał sobie oferty kuzyna, ale stanęła w nim dęba ambicya na samą myśl, by mu się przyznać, jak go mało cenią. — Niema o czym gadać — wymówił sucho — lepiej spać

Wkrótce też zasnął, a ona całą noc w męce obmyślała swój zamiar, ciężko pasowała się z sobą, wzdrygała się ze wstrętu wobec przewidywanych scen, wahała się, ale gdy ją żegnał, pocałowała go tkliwie w czoło i rzekła zdeterminowana, głosem stanowczym:

— Nie martw się, wszystko będzie dobrze, proszę cię tylko, nie przychodź, aż za tydzień.

Mirski kilka dni nie był, któreś jednak nocy wstąpił, jak zwykle późno, po fajrancie. Pokój Zelmy był pusty; zato w sąsiedniej salce za ścianą rozlegał się gwar, śmiechy, piski, hulaszczcze śpiewy, odgłosy pijanej orgii.

Spocony posługacz biegał z butelkami z góry na dół. Chwilami z drzwi wypadały pijane, wpół-nagie i rozognione dziewczęta i bez żenady chłodziły się na ganku.

Mirski, czając się w pokoju, chciwie patrzył

na wszystko z pewną drobiną zazdrości i myślał z goryczą:

— Hulają sobie ludzie i mają za co?!

Wtem do numeru wpadła Zelma, rozczochrana,
w poszarpanej od góry do dołu i zlanej winem koszuli.

Gdy ujrzała Mirskiego, krótki, żalostny krzyk wydarł się jej z piersi, opuściła bezwładnie ręce, rozgorączkowane oczy przygasty, jakby zaszyły szklistą błoną, a na bladą twarz wystąpiły suche wypieki.

— Po coś ty przyszedł! — wyjąkała prawie ze zgrozą.

— Pięknie się bawicie — wyrzekł szyderczo Mirski.

— *lis sonł sales, Idches, dégoutants, mais ils sonł riches, riches* — jakby tłumacząc, powtarzała z rozpaczą.

— I to racja, twoja racja — wycodził przez zęby Mirski, odsunął ją z drogi i wyszedł.

Dwa tygodnie go nie było, a Zelma przez ten czas wprost szalała. Koleżanki nie mogły jej poznać, gospodyni nachwalić. Jakby szatańskim sposobem zdobywała sobie najbogatszych gości, przeważnie sprośnych, znanych z perwersyjnych skłonności podtatusiałych wujaszków.

Któregoś dnia jednak skończyło się wszystko, jak uciał, i przestała zupełnie wychodzić do sali, co za przysporzone dochody uchodziło jej płazem. W parę dni potem zjawił się Mirski.

— Ślicznie wyglądasz — zauważył przy powitaniu, patrząc na jej storturowane wprost oblicze i podbite sińcami oczy.

Nie odpowiedziała nic, spojrzała tylko nań winowajczo, ale jasnymi, prawie promiennymi oczyma. W milczeniu zamknęła na zasuwkę drzwi, zasłoniła starannie ręcznikiem dziurkę od klucza, spuściła story i uśmiechnęła się zagadkowo, patrząc na zdumioną temi czynnościami twarz Mirskiego, potem odrzuciła dywan z przed łóżka i Mirski ujrzał rozesłane srebro i papierki.

— Akurat sto rubli — rzekła tryumfująco, zgarnęła pieniądze, wsypała w leżącą na stole czapkę i szepnęła ostrzegawczo: — Tylko sza! Bo gotowi odebrać!

Mirski osłupiał.

— Co to ma znaczyć? — wybąkał — ależ ja za nic... — począł się wzbraniać, domyśliwszy się wszystkiego.

Lecz Zelma jęła go całować po rękach i mówić przejmującym, przerywanym z braku tchu głosem:

- Przecież ja-bym nigdy tak... Ty musisz, mówiłeś sam: dyabłu duszę... a ja i tak... wszystko jedno, wiesz przecie, czym jestem! Nic... *vaül rien!*... Oni i tak znajdą, zabiorą i jeszcze obiją!... Niech wiem za co... niech powiem Bogu, gdy spyta!... — I załapała się łzami.

Mirski szczerze się wzruszył; mówiła przeko

nywająco, pokusa była silna, drożył się jeszcze trochę, ale zgodził się wreszcie.

I nastaly dla niej cudne dni.

Zalatywał często, pokazywał jej korekty, wybierali wspólnie papier, oglądali winiety, sporządzone przez znajomych malarzy, i w toku tych spraw stosunek ich jakby się czemś nowem nasycił, stawał się mniej osobisty i jednocześnie czysty.

Mirski był tak dalece pochłonięty wydawnictwem, że nie interesowało go nic nad to, w gorączce tej, jakby się wypalił doszczętnie pociąg seksualny, z czego Zelma i cieszyła się i niepokoiła zarazem.

Wreszcie kiedyś wpadł, jak burza, by oznajmić, że jutro pierwsze egzemplarze będą gotowe i przyniesie pokazać.

Wiadomość ta sprawiła na Zelmie wstrząsające wrażenie.

— Już! — wymówiła prawie z lękiem, zakolała i chybnęło się spłoszone serce, aż dech jej zamarł w piersiach.

Trwało to jednak chwilę, poczem doznała wrażenia, jakby się w niej rozlało różowe światło wschodzącego dnia uroczystego święta, na które przygotować się godnie należy.

To też, gdy Mirski zjawił się nazajutrz, prawie nie poznał ani jej, ani pokoju. Numer był czysto wymyty, łóżko zasłane świeżą pościelą i przykryte kapą, znikły ze ścian pocztówki,

wa chlarze— wszystko, co czyniło z mieszkania tandetny buduar — pokój przypominał skromną stan- cyjkę studentki. Zelma zamiast luźnego szlafroka miała na sobie ciemną szczelnie opiętą sukienkę, ze sztywnym białym kołnierzem. Uczesana gładko, z puszczo- nymi po plecach kruczymi warkoczami wyglądała na młodą, ale poważną już panienkę. Na stoliku, zasłanym serwetką, zamiast świeczki paliła się nieduża lampa, przysłonięta zieloną um- brelką, stały filiżanki, cukiernica — w kącie szumiły mały samowarek. Na powitanie zamiast pocałunku podała mu szczupłą rękę, pozdrawiając mocnym uściskiem.

— Zaraz, tylko zaparzę herbatę — zaczęła się krzątać trochę nerwowo po pokoju, niby zażenowana brakiem wprawy gospoia.

• Mirski tymczasem rozwijał z papieru książkę. Był to chudy tomik, rzeczywiście wydany bardzo ozdobnie, w białej jak śnieg okładce, z niebieskim fantazyjnym irysem od tytułu pierwszego wiersza.

Zelma nalala filiżanki, siadła silnie zmieniona z bledszą niż zwykle, jak marmur, twarzą i rzekła prawie uroczyście:

— Nikt nam nie przeszkodzi, czytajmy! Mirski odchrząknął i zaczął melodyjnie, umie- jętnie akcentując wyrazy, deklamować. Czasem przerywał — zwilżał gardło herbatą, przewracał szeleszczącą kartkę i ciągnął dalej, wsłuchując się z upodobaniem we własny głos i własne rymy.

Zelma szeptała w sobie umiane na pamięć wiersze, nowym przysłuchiwała się w skupieniu, odgadując intuicyjnie znaczenie poszczególnych wyrazów.

Wzdrygnęła się nieznacznie, gdy uловиła sens nieznaney sobie najmniej zagmatwanej strofki:

Kto palić pięknu chce znicze ogniste, Musi stać ciągle przed aniołów strażą, Mieć duszę jasną, serce wiecznie czyste, Nie znać występku, bo zelzoną twarzą Nie godzien patrzeć jest w piękna oblicze, Kto palić pięknu chce ogniste znicze...

Zadrzała głębiej, gdy Mirski po tym wierszu zamyślił się i drasnął ją ukradkowem spojrzaniem, a zamarła cała, kiedy autor resztę tomiku jał czytać prędko, niedbale, byle zbyć.

— Koniec! — oświadczył dobitnie i zaniknął książkę, przyglądając się z zadowoleniem okładce.

Koniec! — wyraz ten jak wystrzał wybuchnął w jej mózgu i jakby na moment zamroczył, aż pociemniało jej w oczach. Nastąpiła długa, złowroga, rozciągająca się dla niej w bezmiar pauza milczenia, w której czuła, jak wyczerpuje się wszystko, wysnuwa się szybko ostatnia wyciągnięta, jak struna, złota nić i zaczynają się kosmate szorstkie sznury, grube ordynarne powrozy, poplątane w stryki postronki.

Samowar piszcział żałośnie, ćmiła coraz wątlejącym płomieniem gasnąca lampa, w pokoju robiło się szaro, niemo, samotnie i smutno.

— No, czas chyba iść — odezwał się wreszcie Mirski — zostawię ci ten egzemplarz, będziesz miała pamiątkę.

Zelma długo nie mogła się zdobyć na odpowiedź, głos jej jakby stężał i uwiązał w krtani.

W końcu podniosła się sztywno, jak automat, odsunęła szufladkę, wyjęła tani złoty medalionik i wymówiła starganym głosem:

— Książkę weź — nie powinna tu zostawać, a ode mnie przyjmij ten souvenir...

Mirski obracał w palcach medalik — odczytał cyzelowany napis: Lisette—prawdziwe imię Zelmy, nacisnął mimowoli sprężynkę i ujrzał wewnątrz promyk niezwykle delikatnych jasnych włosów.

—Cóż ja mam z tym fantem robić? — próbował zażartować.

, — To także nie powinno tu zostać — wymówiła wystygłym tonem i w zwężonych boleśnie żrenicach mignął błysk rozpaczny.

—Ha, skoro chcesz — ziewnął zlekka Mirski, wziął książkę, wsunął machinalnie prezent w kieszeń od kamizelki i zabierał się do odejścia. Wyszła za nim na galeryę — tu przytrzymała go kurczowo za kiść ręki, ściskając do bólu.

—Czas już! — odezwał się po chwili Mirski i postawił kołnierz palta, bo była sina chłodna noc.

Rozjęły się bezwładnie jej palce i zadygotała, gdyby w dreszczach.

— Wracaj i ty do pokoju, bo się przezię-

bisz — posłyszała, jak przez mgłę, uwagę, a polem jego oddalające się po schodach stąpania, które rozlegały się w niej, jak spotęgowane echo, idące z niezmiernej przestrzeni.

Trzask furtki wydał się jej, jakby waleniem się jakichś osypisk ze żwiru i gruzu.

— Koniec — w szumiącej głucho ciszy szedł jej po nerwach ostry szept, wkręcał się we wszystkie szczeliny mózgu, wtłaczał się z krwią w serce. Raptem przeszył ją nawskróś przejmujący gwizd i ogłuszyło dudnienie toczących się gdzieś wagonów.

Słyszała miarowy wark kół, czuła, jak sapie i dyszy lokomotywa, zmordowana ustawicznym dźwiganiem olbrzymich ciężarów. Straszne to znużenie zaczęło się jej szybko udzielać, uczepliła się rękami za balustradę i, by nie upaść na wznak, dla przeciwwagi pochyliła się naprzód i zwiśniętą twarzą zapatrzyła się, jak w otchłań, w zalane ciemnością dno podwórza. Tam, jakby się coś potwornego poruszyło i jęło czołgać, wyciągając płaskie, lepkie z błota macki.

— Koniec! — zgrzytnęło jej w głowie, jakby pękł szew w czaszce, i w tej samej chwili, niby obca siła, zerwała z baryery jej zaciśnięte konwulsyjnie palce i struchlała z przerażenia runęła w dół, aż stęknęła głucho ziemia. Ale cały dom spał, sprzętnięto więc jej zgruchotane zwłoki dopiero nad ranem.